

Jennifer Weiner

Kochając Większą Kobietę

(Good In Bed)

Tłumaczenie: Sonia Draga

nllm
BIBLIOTEKA

*W domu jest tyle smutku. Po kolejnej zdradzie
Tych, którzy zeń odeszli, wewnątrz wciąż się ludzi,
Że znęci ich z powrotem. Parkiet wciąż się kładzie
Pod stopy, które znikły. Ograbiony z ludzi,
Dom nie umie się zdobyć, by przeboleć kradzież*

*I wrócić do pierwotnych swych architektonik:
Radosnych prób trafienia w to, jak być powinno,
Dawno chybionych. Widać jeszcze ślady po nich:
Spójrz na te zdjęcia w ramkach, sztuce. To pianino
Z nutami pod siedzeniem stoika.
Ten wazonik.*

— Philip Larkin *tłum.* Stanisław Barańczak

Miłość to nic, nic, nic z tego, co oni mówią.

— Liz Phair

CZĘŚĆ PIERWSZA

Dobra w łóżku

Rozdział I

— Czy już to widziałaś? — zapytała Samanta.

Przysunęłam się bliżej do komputera, tak, aby moja szefowa nie słyszała, że rozmawiam prywatnie przez telefon.

— Co miałam widzieć?

— A... nic, nic. Mniejsza o to. Porozmawiamy, jak już będziesz w domu.

— Co miałam widzieć? — powtórzyłam swoje pytanie.

— Nic takiego — Samanta najwyraźniej chciała się wykręcić od odpowiedzi.

— Samanta, nigdy jeszcze nie dzwoniłaś do mnie w środku dnia bez powodu. No, mów. Wyduś to z siebie,

Samanta westchnęła. — No dobra, ale pamiętaj: nie zastrzel posłańca.

Teraz to zaczęłam się już niepokoić.

— *Moxie*. Najnowszy numer. Cannie, musisz teraz pójść i go kupić.

— Dlaczego? O co chodzi? Czy jestem na liście najgorzej ubranych?

— No, idź po prostu do lobby i kup to. Poczekam.

To było ważne. Samanta, oprócz tego, że była moją najlepszą przyjaciółką, była też partnerem w kancelarii „Lewis, Dommel i Fenick”. To Samanta kazała rozmówcom czekać na linii, albo zlecała swojej asystentce przekazać, że jest na spotkaniu. Samanta nigdy nie czekała przy telefonie. — To oznaka słabości — powiedziała mi kiedyś. Poczułam, jak z zaniepokojenia po całym kręgosłupie przechodzi mnie kłujący ból.

Zjechałam windą na dół, do lobby redakcji *Philadelphia Examiner*, pomachałam strażnikowi i podeszłam do małego stoiska z gazetami, gdzie znalazłam na stojaku *Moxie*, leżące tuż obok swych siostrzanych publikacji *Cosmopolitan*, *Glamour* i *Mademoiselle*. Trudno było go nie zauważyć, na okładce z supermodelką krzychały tytuły: „Dojdz ponownie: dowiedz się, jak przeżyć wielokrotny orgazm!” oraz „Zwolennicy pup! Cztery wybuchowe sposoby na to, by twój tyłek zaczął naprawdę się ruszać!” Po krótkiej chwili zastanowienia porwałam jeszcze małą paczuszkę czekoladek M&M’s, zapłaciłam żującemu hałaśliwie gumę sprzedawcy i wróciłam na górę.

Samanta wciąż czekała. — Strona 132 — powiedziała.

Usiadłam, wrzuciłam sobie do ust kilka M&M-sów, i przerzuciłam na stronę 132, którą okazała się być kolumna „Dobra w łóżku”, stała pozycja w *Moxie* pisana przez mężczyznę, której celem jest uzmysłowienie przeciętnej czytelnicy, czego jej chłopak może być świadom... a czego nie, co też się zdarza. W pierwszej chwili moje oczy nie potrafiły poskładać liter w sensowną całość. Wreszcie zaczęły się logicznie układać. „Kochając Większą Kobietę”, mówił tytuł, „Bruce’a Gubermana”. Bruce Guberman był moim chłopakiem przez trzy lata, aż postanowiliśmy

zrobić sobie przerwę trzy miesiące temu. A ta Większa Kobieta, to, mogłam jedynie przypuszczać, była moja osoba!

Wiesz, jak w horrorach bohater mówi: „Poczułem, jak serce przestaje mi bić”? No więc ja tak właśnie wtedy się poczułam. Naprawdę. Po czym odniosłam wrażenie, że zaczyna bić ponownie, tym razem wszędzie, w nadgarstkach, w gardle, w koniuszkach palców. Włosy na karku stanęły dęba. Moje ręce zrobiły się lodowate. Czułam, jak w uszach pulsuje mi krew, z chwilą, gdy przeczytałam pierwszą linijkę artykułu: „Nigdy nie zapomnę dnia, w którym odkryłem, że moja dziewczyna waży więcej ode mnie”.

Głos Samanty brzmiał tak, jakby dobiegał z bardzo, bardzo daleka: — Cannie? Cannie? Jesteś tam?

— Zabiję go! — wydusiłam z siebie.

— Weź kilka głębokich wdechów nosem — doradziła Samanta — i wypuść ustami.

Betsy, moja szefowa, rzuciła mi zaintrygowane spojrzenie znad ścianki działowej, która oddzielała nasze biurka. — Czy wszystko w porządku? — zapytała formalnie. Zacisnęłam powieki. Słuchawka telefonu, nie wiedzieć czemu, znalazła się nagle na wykładzinie. — Oddychaj!

— słyszałam głos Samanty, dobiegający słabym echem z podłogi. Charczałam, łapiąc z trudnością powietrze. Na zębach czułam kawałki czekolady i drobinki cukierkowej masy. Wciąż widziałam zdanie, oddzielone od reszty tekstu, które wytłuszczoną i różową czcionką krzychało ze środka strony. „Miłość do Większej Kobiety”, napisał Bruce, „jest aktem wielkiej odwagi w naszym świecie”.

— Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć, że to zrobił! Zabiję go!

Tymczasem Betsy obeszła ściankę, podchodząc do mojego biurka i próbowała zajrzeć mi przez ramię do magazynu, który trzymałam w dłoniach, a Gabby, moja wredna współpracowniczka, patrzyła w naszym kierunku. Jej brązowe oczy, małe jak paciorki, szukały oznak kłopotu, a swoje grube paluszki trzymała tuż nad klawiaturą, tak by mogła natychmiast wysłać e-maile do swoich przyjaciółek. Zamknęłam głośno czasopismo. Zrobiłam głęboki, skuteczny wdech i odesłałam rękami Betsy do swojego biurka.

Samanta wciąż czekała. — Nic nie wiedziałaś?

— Nie wiedziałam o czym? O tym, że on uważał, iż spotkanie się ze mną było aktem odwagi? — usiłowałam prychnąć sardonicznie. — Powinien spróbować *być* mną.

— A więc nie wiedziałaś, że dostał pracę w *Moxie*.

Przerzuciłam na stronę, gdzie była krótka charakterystyka osób współpracujących z magazynem, każda opatrzona pretensjonalnym, czarno-białym zdjęciem głowy. I był tam Bruce, ze swoimi długimi do ramion włosami, rozwianymi w sztucznie pewnie wywołanym wietrze. Wyglądał jak Gianni, pomyślałam nie bez cienia złośliwości. Felietonista „Dobrej w łóżku” Bruce Guberman przyłącza się od tego miesiąca do zespołu redakcyjnego *Moxie*. Guberman, pisarz, wolnego

zawodu, z New Jersey, pracuje właśnie nad swoją pierwszą powieścią.

— Swoją pierwszą powieścią? — powiedziałam. No dobrze, może wrzasnęłam. Głowy zwróciły się w moją stronę. Betsy, zatroskana, spoglądała na mnie zza ścianki działowej, a Gabby zaczęła pisać na komputerze. — Ta kłamliwa kupa gówna!

— Nie wiedziałam, że pisze powieść — bez wątpienia Samanta próbowała zmienić temat.

— On ledwo potrafi napisać krótkie: „Dziękuję” — prychnęłam.

— Czy wy naprawdę już zupełnie zerwaliście ze sobą? — zapytała Sam.

— Nie — powiedziałam i przerzuciłam na stronę 132. „Nigdy nie myślałem o sobie jako o łowcy pucołowatych dziewczyn”, czytałam, „ale kiedy poznałem C, zakochałem się w jej rozumie, jej śmiechu, jej iskrzących się oczach. Jej ciało, zadecydowałem, było czymś, z czym mogę z czasem nauczyć się żyć.”

— ZABIJĘ GO!

— Więc zabij go wreszcie i zamknij się już — wymamrotała Gabby, poprawiając na nosie swoje grube jak denka od butelki okulary.

Betsy znowu stała, moje ręce drżały i nagle, sama nie wiem w jaki sposób, wszystkie M&M'sy znalazły się na podłodze, rozgniatane pod kółkami mojego krzesła.

— Muszę kończyć — powiedziałam Samancie i odłożyłam słuchawkę.

— Czuję się dobrze — uspokoiłam Betsy. Ta rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie, ale potem wróciła do siebie.

Trzy razy próbowałam dodzwonić się do Bruce'a, ale kiedy jego automatyczna sekretarka po raz kolejny poinformowała mnie, że nie może odebrać telefonu, straciłam nerwy i rzuciłam słuchawkę. Wybrałam numer do Samanty.

— Dobra w łóżku, moja dupa — powiedziałam. — Muszę zadzwonić do redaktora naczelnego. To jest antyreklama. To znaczy, mam na myśli, czy oni sprawdzili jego referencje? Nikt do mnie nie zadzwonił.

— To złość przez ciebie przemawia — orzekła. Od kiedy zaczęła spotykać się z instruktorem jogi, stała się bardzo filozoficzna.

— Łowca pucołowatych dziewczyn? — zapytałam. Czułam, jak łzy zbierają się pod moimi powiekami, gotowe wypłynąć. — Jak mógł mi to zrobić?

— Czy przeczytałaś całość?

— Tylko początek.

— To może dalej nie czytaj.

— Jest jeszcze gorzej?

Samanta westchnęła. — Czy naprawdę chcesz wiedzieć?

— Nie. Tak. Nie. — nie umiałam się zdecydować. Samanta czekała.

— Tak. Powiedz mi.

Samanta ponownie westchnęła. — Nazywa cię... Lewinsko-podobną.

— W kontekście mojego ciała czy seksu oralnego? — próbowałam się zaśmiać, ale to, co z tego wyszło, przypominało raczej zdławiony szloch.

— No i ciągle pisze o twojej... niech sobie przypomnę... twojej obszerności.

— O Boże.

— Napisał, że byłaś mięsista — Samanta starała się ratować sytuację — i soczysta. To chyba nie jest złe słowo, no nie?

— Boże, przez cały ten okres, gdy się spotykaliśmy, nigdy nic takiego nie mówił.

— Rzuciłaś go. Jest zły na ciebie — powiedziała Samanta.

— Ja go nie rzuciłam! — wrzasnęłam. — Zrobiliśmy sobie po prostu przerwę! A on stwierdził, że to niezły pomysł!

— A co miał powiedzieć? — zapytała Samanta. — Mówisz: myślę, że musimy trochę czasu побыć oddzielnie, a on albo zgadza się z tobą i odchodzi, zachowując jeszcze resztki godności, albo błaga cię, byś go nie opuszczała, i wzbudza wtedy litość. Wybrał własną godność.

Wplotłam palce w moje brązowe, sięgające podbródka włosy i przeczesałam je mocno do tyłu, starając się oszacować straty. Kto jeszcze to widział? Kto jeszcze wiedział, że C. to ja? Czy pokazał artykuł wszystkim swoim przyjaciołom? Czy moja siostra to widziała? A, Boże uchron, moja mama?

— Muszę kończyć — powiedziałam ponownie Samancie. Odłożyłam słuchawkę i podniosłam się z krzesła, przypatrując się sali redakcyjnej *Philadelphia Examiner* — tuzinom osób, głównie białych, w większości w średnim wieku, przebierającym palcami po klawiaturach swoich komputerów lub gromadzącym się wokół telewizorów, by obejrzeć CNN.

— Czy ktoś tu wie, jak zdobywa się broń w tym stanie Ameryki? — rzuciłam pytanie do sali.

— Pracujemy nad tym — odparł Larry, redaktor działu miejskiego, mały człowieczek z brodą i zakłopotanym spojrzeniem, który wszystko zawsze brał na poważnie. — Ale wydaje mi się, że prawo w tym zakresie jest dość łagodne.

— Jest dwutygodniowy okres oczekiwania — zapiszczał jeden z redaktorów sportowych.

— Ale tylko dla tych, którzy nie ukończyli 25-ego roku życia — dodał asystent z działu osobowości.

— Chyba mówisz o wypożyczalniach samochodów — skwitował pogardliwie ten z działu sportu.

— Wrócimy do tego, Cannie — powiedział Larry. — Czy spiesz ci się?

— Powiedzmy — usiadłam, po czym wstałam ponownie. — Pennsylvania ma karę śmierci, prawda?

— Pracujemy nad tym — odparł Larry bez cienia uśmiechu.

— Och, mniejsza o to — zakończyłam rozmowę, usiadłam z powrotem i zadzwoniłam jesz-

cze raz do Samanty.

— Wiesz co? Nie zabiję go. Śmierć to zbyt łagodna kara dla niego.

— Cokolwiek uznasz — powiedziała lojalnie Samanta.

— Pójdiesz ze mną wieczorem? Zaczaimy się na niego na parkingu.

— I co zrobimy?

— Do tego czasu będę wiedzieć — odparłam.

Poznałam Bruce'a Gubermana na przyjęciu, co wydawało mi się teraz sceną z życia kogoś innego. Nigdy wcześniej na takich spotkaniach nie spotkałam chłopaka, który tak by się mną zainteresował, by od razu umówić się na randkę. Moim typowym sposobem na osłabienie oporu faceta była kombinacja celnego dowcipu, uroku osobistego oraz zazwyczaj własnoręcznie przyrządzony koszerne kurczak z czosnkiem i rozmarynem. Na Bruce'a nie potrzebowałam kurczaka. Bruce był łatwy.

Ulokowałam się w rogu pokoju dziennego, gdzie miałam niezły widok na całe pomieszczenie i dobry dostęp do ostrego dipu z karczochów. Wykonywałam właśnie swój najlepszy numer — naśladowałam życiową partnerkę mamy, Tanie, usiłującą zjeść nogę kraba królewskiego ręką na temblaku. Zatem, pierwszy raz zobaczyłam Bruce'a, gdy miałam rękę przyłożoną do klatki, tak jak na temblaku, usta szeroko otwarte i szyję wykręconą w szczególnie zabawny sposób, który pozwoliłby mi wyssać wyimaginowane mięso z wyimaginowanych kleszczy. Dochodziłam właśnie do fragmentu, w którym noga kraba znalazła się przypadkiem w prawej dziurce nosa, a na policzku prawdopodobnie miałam trochę karczochowego dipu, kiedy wszedł Bruce. Był wysoki, opalony, z kozią bródką i kucykiem włosów o kolorze brudnego blondu oraz łagodnymi, brązowymi oczami.

— Hm, przepraszam — powiedział — czy coś ci się stało? Uniosłam brwi przypatrując się mu uważnie. — Nie, czuję się świetnie.

— Wyglądałaś tak jakoś... — jego głos był miły, tak jakby trochę zanikał.

— Dziwnie?

— Kiedyś widziałem, jak ktoś dostał zawału — wyjaśnił. — Zaczęło się całkiem podobnie.

W tym momencie moja przyjaciółka Brianna zdążyła się już pozbierać. Wytarłszy oczy, z których lały się wcześniej łzy śmiechu, złapała go za rękę. — Bruce, to jest Cannie — powiedziała. — Cannie właśnie udawała kogoś.

— Och — bąknął Bruce, i stał tak, ewidentnie czując się głupio.

— Nie przejmuj się — uspokoiłam go. — Dobrze, że mnie zatrzymałeś. Byłam niemila.

— Och — przemówił znowu Bruce.

A ja ciągnęłam dalej. — Widzisz, próbuję być miłsza. To jest moje noworoczne postanowienie.

— Jest luty — zauważył Bruce.

— Jestem powolna na początku.

— No dobrze, — powiedział — ale przynajmniej próbujesz. — Uśmiechnął się do mnie i odszedł.

Resztę przyjęcia spędziłam na zbieraniu o nim informacji. Przyszedł z facetem, którego Brianna знаła ze szkoły. Dobre wieści: skończył studia, co oznaczało, że może być względnie inteligentny, i był Żydem, tak jak ja. Miał dwadzieścia siedem lat. Ja — dwadzieścia pięć. Pasowało. — Jest też zabawny. — powiedziała Brianna, zanim podała złe wiadomości: Bruce pisał już trzy lata swoją pracę magisterską, a może i dłużej, i mieszkał w środkowym New Jersey, ponad godzinę drogi od nas, łapiąc dorywcze prace jako pisarz-wolny strzelec i ucząc czasami grupy studentów pierwszego roku, utrzymując się ze stypendiów, ale głównie z pieniędzy od rodziców.

— Geograficznie niepożądane — oznajmiła Brianna.

— Miłe dłonie — odparowałam. — Ładne zęby.

— Jest wegetarianinem — powiedziała.

Skrzywiłam się. — Jak długo?

— Od czasu studiów.

— Hmm. No cóż, może mogłabym z tym coś zrobić.

— On jest... — Brianna urwała.

— Na zwolnieniu warunkowym? — zartowałam. — Uzależniony od środków przeciwbólowych?

— ...na swój sposób niedojrzały — skończyła wreszcie.

— To jest facet — wzruszyłam ramionami. — Czy oni wszyscy nie są tacy?

Zaśmiała się. — Ale jest dobrym facetem — powiedziała. — Porozmawiaj z nim. Przekonasz się sama.

Obserwowałam go cały wieczór i wiedziałam, że on mnie również obserwuje. Przez cały ten czas nawet nie odezwał się do mnie, wracałam zatem do domu, czując się bardziej niż rozczarowana. Minęło już trochę, od kiedy ktoś przypadł mi do gustu, i tu nagle pojawia się Bruce, absolwent uczelni, wysoki facet o miłych dłoniach i białych zębach. Był z zewnątrz, więc nadarzała się jakaś sposobność.

Ale wtedy, gdy za sobą usłyszałam kroki, nie myślałam akurat o nim. Myślałam to, co myśli każda kobieta, żyjąca w mieście, która słyszy szybkie kroki za sobą, gdy jest po północy, a ona znajduje się właśnie pomiędzy światłami ulicznymi. Rozejrzałam się szybko po okolicy, jednocześnie szperając po kieszeni w poszukiwaniu breloczka z kluczami, do którego miałam przyczepiony pojemnik z gazem łzawiącym. Na rogu ulicy była latarnia, a przy niej zaparkowany samochód. Obmyślałam strategię działania: sparalizuję chwilowo gazem tego, co tam za mną idzie, rozbiję następnie szybę samochodu, licząc na to, że włączy się alarm, zacznę wrzeszczeć: —

Morderca! — i ucieknę.

— Cannie?

Odwrociłam się. A tam był on, uśmiechając się nieśmiało do mnie.

— Hej — powiedział, śmiejąc się lekko na widok mojego przerażenia. Odprowadził mnie do domu. Dałam mu swój numer telefonu. Zadzwoił do mnie od razu następnego wieczoru i rozmawialiśmy przez trzy godziny, o wszystkim: o uczelni, rodzicach, jego pracy magisterskiej, przyszłości gazet. — Chcę się z tobą zobaczyć — oznajmił o pierwszej w nocy, gdy ja już myślałam, że jeśli dalej będziemy rozmawiać, będę rano w pracy wyglądać jak wrak człowieka. — Zatem spotkajmy się jutro — powiedziałam.

— Nie jutro — zdecydował Bruce — teraz.

I dwie godziny później, po złym zjeździe z mostu Bena Franklina, był znowu u moich drzwi: wydawał się jakiś wyższy, niż go zapamiętałam, w zwykłej koszulce i spodniach z dresu, a w ręce trzymał zwinięty w rulon śpiwór, który zapachem przypominał obóz letni. Na jego twarzy był nieśmiały uśmiech. I to było to.

A teraz, w ponad trzy lata od naszego pierwszego pocałunku, w trzy miesiące po naszej rozmowie o potrzebie przerwy, a cztery godziny od momentu, gdy odkryłam, że oznajmił całemu światu czytelników magazynu, że byłam Większą Kobieta, Bruce przyglądał mi się zza terenu parkingu, znajdującego się naprzeciwko jego mieszkania, gdzie zgodził się spotkać. Mrugał podwójnie oczami, robił tak w chwilach szczególnego zdenerwowania. Ręce miał pełne różnych rzeczy. Wśród nich była niebieska misa z tworzywa na jedzenie dla psa, którą trzymałam w jego mieszkaniu, by karmić z niej mojego Nifkina. Było tam też, oprawione w czerwoną drewnianą ramę, nasze zdjęcie zrobione na szczycie urwiska w Block Island. Był też mój srebrny kolczyk w kształcie kółka, który spokojnie leżał sobie od miesiący na nocnym stoliczku. Były trzy skarpety, opróżniona do połowy butelka Chanel 19, Tampony. Szczoteczka do zębów. Rupiecie zbierane przez trzy lata, wyjęte spod łóżka, ze szpary w kanapie. Najwyraźniej Bruce potraktował nasze spotkanie jako okazję do usmażenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu — zamierzał jakoś pewnie znieść moją wściekłość za „Dobrą w łóżku”, ale i oddać mi moje rzeczy. Czułam się, jakbym oberwała w klatę, gdy tak patrzyłam na swoje typowo dziewczęce przedmioty, wszystkie porzucane do kartonowego pudła po Chivas Regal, które pewnie zabrał z jakiegoś sklepu monopolowego na swojej drodze z pracy do domu — był to fizyczny przejaw tego, że między nami rzeczywiście wszystko było skończone.

— Cannie — powiedział chłodno, mrugając dalej oczami w sposób, jaki uznałam za szczególnie ohydny.

— Bruce — starałam się panować nad swoim drżącym głosem. — Jak tam nowa powieść? Czy też w niej będę brać udział?

Uniósł brwi, ale nic nie odpowiedział. — Przypomnij mi, — mówiłam — w którym momencie naszej znajomości pozwoliłam ci dzielić się szczegółami naszego intymnego życia z kilkoma milionami czytelników?

Bruce wzruszył ramionami. — Między nami nie ma już żadnej znajomości.

— Robiliśmy sobie przerwę — przypomniałam mu.

Bruce rzucił mi słaby, protekcyjnalny uśmiech. — Och, Cannie, oboje wiemy, co to miało oznaczać.

— Ja miałam na myśli to, co mówiłam — powiedziałam, przyglądając mu się. — Wydaje się więc, że tylko jedno z nas tak uważało.

— Nieważne — uciął Bruce, próbując włożyć mi do rąk pudło z rzeczami. — Nie wiem, czemu jesteś taka zdenerwowana. Nie napisałem niczego złego. — Wyprostował ramiona. — Tak naprawdę to wydaje mi się, że artykuł był całkiem niezły.

Tylko niewiele razy w moim dorosłym życiu zdarzyło się, by mi tak dosłownie odebrało mowę. — Jesteś z tego dumny? — przemówiłam wreszcie. W przypadku Bruce'a było to pytanie retoryczne.

— Nazwałeś mnie grubą w artykule. Zrobiłeś sobie ze mnie niezły żart. Nie wydaje ci się, że zrobiłeś coś niewłaściwego?

— Staw temu czoła, Cannie — powiedział. — Jesteś gruba — pochylił głowę — ale to nie znaczy, że cię nie kochałem.

Pudełko tamponów odbiło się od jego czoła, a cała zawartość rozsypała się po asfalcie parkingu.

— O, to miłe — przyznał Bruce.

— Ty absolutny draniu — oblizalam wargi, oddychając ciężko. Dłonie mi drżały. Cel stał się nagle bardzo odległy. Zdjęcie w ramie zsunęło się z ramion, a potem szkło rozbiło się na ziemi. — Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek, choć przez sekundę, myślałam poważnie o poślubieniu ciebie.

Bruce wzruszył ramionami, schylając się, by pozbierać tampony oraz kawałki drewna i szkła, a następnie wrzucić do pudła. Nasze zdjęcie zostało na ziemi.

— To jest najbardziej podła rzecz, jaką ktokolwiek mi zrobił — powiedziałam przez ściśnięte od łez gardło. — Chcę, byś to wiedział. — Ale nawet, gdy słowa wydobywały się z mych ust, wiedziałam, że to nie była prawda. Historycznie rzecz ujmując, moment opuszczenia nas przez ojca był bez wątpienia gorszym zdarzeniem. Co było jedną z wielu rzeczy, którymi mnie rozczarował — pozbawił mnie na zawsze możliwości powiedzenia innemu mężczyźnie, że to *Najgorsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła*, i żebym tak rzeczywiście myślała.

Bruce ponownie wzruszył ramionami. — Nie muszę się już więcej martwić o to, jak się czujesz. Postawiłaś sprawę jasno. — Wyprostował się. Miałam w głębi duszy nadzieję, że będzie

rozniewany, nawet przejęty, ale wszystko, co otrzymałam, to doprowadzające do szału, protekcyjnalne opanowanie. — To przecież ty tego chciałaś, przypominasz sobie?

— Chciałam przerwę. Potrzebowałam czasu na przemyślenie kilku spraw. Powinnam była po prostu cię rzucić! — powiedziałam z goryczą. — Jesteś... — nagle zabrakło mi słów, gdy stałam tak dalej, myślałam o najgorszych słowach, jakie mogłam mu powiedzieć, o słowach, które sprawiłyby, by poczuł się przynajmniej częściowo tak okropnie, rozwścieczony i zawstydzony, jak ja. — Jesteś mały — wykrztusiłam wreszcie, napełniając to słowo każdym odcieniem nienawiści, jaki mogłam w sobie zgromadzić.

Nic nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrzał. Po prostu się odwrócił i odszedł.

Samanta miała cały czas silnik włączony. — Dobrze się czujesz? — zapytała, gdy wsunęłam się na siedzenie pasażera, przyciskając kurczowo pudło do klatki piersiowej. Pokiwałam głową milcząco. Samanta pewnie myślała, że chcę być zabawna. Ale nie była to sytuacja, w której oczekiwałam od niej współczucia. Mając 1,75 m wzrostu, z atramentowo-czarnymi włosami, jasną cerą i wyrzeźbionymi wręcz kośćmi policzkowymi, Samanta wyglądała jak młoda Anjelica Houston. I była szczupła. Nie przykładając się do tego zbytnio, była nieskończenie szczupła. Mając do wyboru jakąkolwiek potrawę z całego świata, najprawdopodobniej wybrałaby brzoskwinie i chlebek ryżowy. Gdyby nie była moją najlepszą przyjaciółką, pewnie bym ją nienawidziła, ale nawet chociaż nią jest, trudno mi nie zazdrościć komuś, kto potrafi przyjąć poczęstunek i równie łatwo go odmówić, podczas gdy ja zawsze się częstuję, a potem wezmę od niej, jeśli nie będzie już chciała. Jedyne problem, jaki przysparzały jej twarz i figura to nadmierne zainteresowanie ze strony facetów. Nigdy nie potrafiłam sprawić, by umiała się choć raz wczuć w moją sytuację.

Spojrzała na mnie szybko. — Więc, hmm, wydaje mi się, że między wami już wszystko skończone?

— Dobrze ci się wydaje — odpowiedziałam posępnie. Moje usta cuchnęły od papierosów, moja cera, której odbicie zauważyłam w bocznej szybie samochodu, wyglądała blado i jakby była nawoskowana. Wpatrywałam się w zawartość pudła, które trzymałam na kolanach, w moje kolczyki, książki, pomadkę MAC, którą uważałam już za zaginioną.

— Czy wszystko w porządku? — zapytała delikatnie Samanta.

— Tak.

— Może chcesz się napić? A może pójdziemy gdzieś na kolację? Albo do kina?

Przycisnęłam pudło mocniej do siebie i zamknęłam oczy, żeby nie musiała oglądać, gdzie akurat jedziemy, bym nie musiała patrzeć, jak samochód się cofa i jedzie drogami w kierunku przeciwnym do tego, którym ja zawsze jeździłam do niego. — Myślę, że chcę po prostu jechać do domu.

Sekretarka automatyczna mrugała potrójnie, gdy weszłam do mojego mieszkania. Zignorowa-

wałam to. Wyłuskałam się z moich roboczych ciuchów, założyłam spodnie z dresu, T-shirt i boso powlokłam się do kuchni. Wyjęłam z lodówki zgrzewkę mrożonych lemoniad Minute Maid. Z górnej półki spizarni zdjęłam butelkę tequili. Wymieszałam wszystko w misce, wzięłam łyżkę, siorbnęłam głośno, usadowiłam się na sofie z niebieskiego dżinsu i zmusiłam do czytania.

Kochając Większą Kobię

Bruce'a Gubermana

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym odkryłem, że moja dziewczyna waży więcej ode mnie.

Była akurat na dworze, na przejazdce rowerowej, a ja oglądałem w domu mecz futbolowy, przeglądając czasopisma leżące na jej stoliku, kiedy znalazłem folder Weight Watchers — karta wielkości dłoni, z notatkami typu: co jadła, kiedy i co zamierzała zjeść, a także informacje o tym, czy wypila swoje dzienne osiem szklanek wody. Było tam jej imię. Jej numer identyfikacyjny. Oraz jej waga, której nie podam, bo jestem dżentelmenem. Wystarczy, jeśli napiszę, że jej wielkość zaszokowała mnie.

Wiedziałem, że C. była dużą dziewczyną. Z pewnością większą od kobiet, które oglądałem w telewizji, paradujących w kostiumach kąpielowych, noszących się lekko jak trzcina w sitcomach i serialach medycznych. Zdecydowanie większą od wszystkich dziewczyn, z jakimi spotykałem się wcześniej.

Czyżby, pomyślałam pogardliwie. Od obu z nich?

Nigdy nie myślałem o sobie jako o łowcy pucołowatych dziewczyn. Ale kiedy poznałem C, zakochałem się w jej rozumie, jej śmiechu, błyszczących oczach. Jej ciało, zadecydowałem, było czymś, z czym jakoś nauczę się żyć.

Jej ramiona były tak szerokie jak moje, ręce też prawie tak duże, a od piersi do brzucha, od bioder w dół, wzdłuż ud, była tak słodko okrągła i ciepła. Gdy ją przytulałem, czułem się jak w niebie. Było to jak powrót do domu.

Ale gdy razem wychodziliśmy, nie czułem się już tak doskonale. Może było to skutkiem przyswojenia pewnych oczekiwań społecznych, które narzucają, czego powinien chcieć mężczyzna i jak powinna wyglądać kobieta. Może, co bardziej prawdopodobne, było to z powodu jej wyglądu. C. była wytrawnym żołnierzem piechoty w wojnie ciał. Mając 1,75 m wzrostu, budowę ciała obrońcy z drużyny futbolowej i wagę, która dałaby jej pewną pozycję w profesjonalnej drużynie, C. nie mogła uczynić się niewidzialną.

Wiem jednak, że jeśli byłoby to możliwe — gdyby wszystkie te rozciągnięte, opadające i bezkształtne czarne bluzy mogły wymazać ją z fizycznego świata, poszłaby na to natychmiast. Nie znajdowała bowiem żadnej przyjemności w wielu rzeczach, które ja kochałem, począwszy

od jej rozmiarów, jej obfitości, soczystych i pulchnych kształtów.

Za każdym razem, gdy mówiłem jej, że jest piękna, wiem, że mi nie wierzyła. Za każdym razem, gdy mówiłem, że to nie ma znaczenia, wiedziałem, że dla niej miało. To był po prostu jeden głos, a głos świata był silniejszy. Mogłem wyczuć jej wstyd jak jakąś namacalną rzecz, która podążała za nami na ulicy, kuciała przycupnięta między nami w teatrze, zwinięta i czekająca na kogoś, kto powiedziałby jej najgorsze słowo na świecie: gruba.

Wiedziałem, że to nie była paranoja. Wciąż słyszysz naokoło, że otyłość jest ostatnim do zaakceptowania uprzedzeniem, że grubi ludzie to jedyne bezpieczne cele w naszym politycznie poprawnym świecie. Umów się z kobietą o dużych rozmiarach, a przekonasz się, na ile jest to prawdziwe. Zobaczysz, w jaki sposób ludzie patrzą na nią i na ciebie, przez to, że z nią jesteś. Spróbuj kupić dla niej bieliznę na Walentynki, a odkryjesz, że rozmiary się kończą tam, gdzie jej się zaczynają. Za każdym razem, gdy pójdziesz z nią do restauracji, będziesz widział, jakie przeżywa męczarnie, balansując pomiędzy tym, co chciałaby zjeść, a tym, na co może sobie pozwolić, będąc w publicznym miejscu.

I tym, co może sobie pozwolić mówić.

Pamiętam, kiedy wybuchła afera z Moniką Lewinsky, C, będąc dziennikarką, napisała żarliwą obronę stażystki z Białego Domu, która została zdradzona przez Linde Tripp w Waszyngtonie, a nawet bardziej przez swoich przyjaciół z Beverly Hills, którzy zajęli się sprzedawaniem wspomnień o Monice z ich wspólnych szkolnych lat do magazynów *Inside Edition* i *People*. Po ukazaniu się jej artykułu, C. otrzymała wiele nienawistnych listów, w tym jeden od faceta, który rozpoczął: „Z tego, co napisałaś, mogę wywnioskować, że masz nadwagę i nikt cię nie kocha”. I to właśnie ten list — to słowo — nie dawało jej spokoju, z wszystkich, które do niej padły. Wydawało jej się, że jeśli to było prawdą — ta część o nadwadze — to część o miłości byłaby równie prawdziwa. Tak, jakby bycie Lewinskopodobną było czymś gorszym od bycia zdrajcą czy bycia głupim. Tak, jakby bycie grubym było przestępstwem.

Miłość do większej kobiety jest aktem odwagi w dzisiejszym świecie, jest może nawet działaniem bezsensownym. Ponieważ kochając C. wiedziałem, że darzę uczuciem kogoś, kto nie wierzył, iż byt wart czyjejś miłości.

A teraz, kiedy wszystko między nami już jest skończone, nie wiem, do kogo kierować moją złość i smutek. Do świata, który sprawił, że tak właśnie traktowała swoje ciało — ona sama — i który uznawał, czy może być źródłem pożądania? Do C, za to, że nie była wystarczająco silna, by stawić czoła temu, co świat jej mówił? Czy też do mnie samego, za to, że nie kochałem jej wystarczająco mocno, by mogła uwierzyć w siebie?

W telewizji nadawali właśnie Śluby Znakomitości; zsunęłam się na podłogę przed moim łóżkiem, łzy zaczęły mi spływać po policzkach i wsiąkać w koszulkę, gdy chude jak zapalki modelki

mówiły „Tak”. Płakałam z powodu Bruce’a, który rozumiał mnie o wiele bardziej, niż mi się wydawało, i może kochał mnie bardziej, niż na to zasługiwałam. Mógł być wszystkim, czego potrzebowałam, wszystkim, na co miałam nadzieję. Mógł być moim mężem. A ja go wyrzuciłam.

I straciłam go na zawsze. Jego i jego rodzinę — to, co najbardziej kochałam w Bruce’ie. Jego rodzice byli tym, czym June i Ward mogli być, gdyby byli Żydami i mieszkali w New Jersey w latach dziewięćdziesiątych. Jego ojciec, który zawsze nosił bokobrody i miał życzliwe oczy, podobnie jak Bruce, był dermatologiem. Rodzina była dla niego całą radością. Nie wiem, jak inaczej to powiedzieć, czy też jak bardzo mnie to zaskoczyło. Mając wciąż w pamięci mojego ojca, obserwując Bernarda Gubermana miałam wrażenie, że patrzę na przybysza z Marsa. *On naprawdę lubił swoje dziecko!* Nie posiadałam się z zachwytem. *On naprawdę chce z nim być! Pamięta fakty z życia Bruce’a!* Ten Bernard Guberman zdawał się w dodatku również mnie lubić, może to miało mniej wspólnego z jego uczuciami wobec mojej osoby, a bardziej z faktem, że a) byłam Żydówką, zatem dawałam perspektywę małżeństwa, b) korzystnie zatrudniona, zatem nie byłam jawną poszukiwaczką złota, c) stanowiłam źródło szczęścia dla jego syna. Ale mnie nie obchodziły powody, dla których był dla mnie taki miły. Zwyczajnie rozkoszowałam się jego dobrocią za każdym razem, gdy tylko nadarzała się okazja.

Matka Bruce’a, Audrey, była w pewnym stopniu onieśmielająca, z paznokciami wymalowanymi w najmodniejszych kolorach, o jakich czytałam w *Vogue’u* w następnym miesiącu, z doskonale ułożonymi włosami i z domem pełnym szkła i białych wykładzin oraz siedmiu łazienek, z których każda zawsze była nienagannej czystości. Przed moimi przyjaciółmi nazywałam ją Nieskończenie Gustowna Audrey. Ale gdy już przechodziłam do porządku nad jej manicure, Audrey okazywała się być również miłą. Była z zawodu nauczycielką, ale wtedy, gdy ją poznałam, jej dni pracy dla zarobków już dawno minęły i była na pełnym etacie żoną, matką i wolontariuszką — była wieczną mamą w PTA¹, liderem Młodych Skautów i prezesem Hadassah, kimś, na kogo zawsze można liczyć przy organizacji corocznego Święta Jedzenia czy zimowych Balów Siostrzeństwa.

Zawsze uważałam, że wadą rodziców jest to, iż zabijają nasze ambicje. Mając rozwiedzionych rodziców i długi z czasów studiów, wciąż drapałam się po kolejnych szczeblach drabiny — następna praca, kolejne zlecenie, dla lepszych pieniędzy, dla większego uznania, dla sławy, na tyle, na ile możesz być znana, gdy twoja praca polega na snuciu opowieści o historiach innych ludzi. Kiedy zaczęłam pracować w małej redakcji, w samym środku zupełnego odludzia, pisząc o wypadkach samochodowych i zebraniach zarządu wodociągów, desperacko pragnęłam przenieść się do czegoś większego, a kiedy już się tam znalazłam, przed upływem dwóch tygodni myślałam znów o kolejnej pracy.

¹ Stowarzyszenie Rodziców-Nauczycieli.

Bruce był zadowolony, że udało mu się przedryfować przez szkołę, załapać tam pracę nauczyciela i dorabiać pisaniem na fuchę, zarabiał przy tym połowę tego co ja i pozwalał ojcu regulować rachunki za ubezpieczenie samochodu (swojego! — jeśli chodzi o ścisłość) oraz „pomagać” przy opłatach czynszu, czy też przyjmował od niego dotacje „na życie” w postaci banknotów studenckich, darowanych za każdym razem, gdy się widzieli, plus hojne czekiny na urodziny, żydowskie święto Chanukę, czy tak po prostu, bez okazji, a od kwot na nich zamieszczonych po prostu szczęki opadały. — Spokojnie — mówił mi, gdy wysuwałam się rano z łóżka, by pracować nad krótkim opowiadaniem, czy też by iść w sobotę wysłać kilka podań o pracę do redaktorów naczelnych w Nowym Jorku. — Musisz bardziej cieszyć się życiem, Cannie.

Czasem myślałam sobie, że lubił wyobrażać siebie jako jedną z głównych postaci piosenek Springsteena — jako wybuchowego, żarliwego, romantycznego dziesiętnastolatka, zlego na cały świat, a zwłaszcza na swojego ojca, szukającego dziewczyny, która by go wyzwoliła. Problem był w tym, że rodzice Bruce’a nie dali mu powodu do buntu — żadnej ogłupiałej roboty w fabryce, żadnej surowej, wciąż osądzającej ręki ojcowskiej, z pewnością też nie mógł narzekać na biedę. A piosenka Springsteena trwa Ja jedynie trzy minuty, łącznie z chórami, tematem przewodnim i grzmiącymi uderzeniami gitary, nadającymi klimat utworowi, nigdy natomiast nie brała pod uwagę brudnych naczyń, niewypranej bielizny, niepościelonego łóżka, tysięcy maleńkich aktów rozwagi i dobrej woli, które tak naprawdę podtrzymują związek. Mój Bruce wołał dryfować przez życie, przeglądając wiecznie niedzielne gazety, paląc wysokiej jakości trawkę, marząc o lepszej pracy w dużej redakcji, nie robiąc przy tym wiele, by ją dostać. Kiedyś, na początku naszej znajomości, wysłał swoje artykuły do *Examinera* i otrzymał pocztówkę z krótkim „spróbuj znowu za pięć lat” w odpowiedzi. Wrzucił ją do pudełka po butach i nigdy już o tym nie rozmawialiśmy.

Ale był szczęśliwy. „Głowa cała pusta, a ja to mam gdzieś” — śpiewał do mnie, cytując Grateful Dead, a ja zmuszałam się do uśmiechu, ponieważ uważałam, że moja głowa nigdy nie była pusta, a gdyby nawet była, zapewniam, że nie byłoby mi to obojętne.

No i gdzie mnie ten pośpiech zaprowadził? Zastanawiałam się, siorbiąc teraz głośno alkoholową breję z miski. Jakże to miało teraz znaczenie, gdzie zostawiał swoje papcie. Już mnie nie kochał.

Obudziłam się po północy, śliniąc się do pościeli. Czułam dudnienie w głowie. Po chwili zdałam sobie sprawę, że to było dudnienie do drzwi.

— Cannie?

Usiadłam, starając się zlokalizować swoje ręce i nogi.

— Cannie, otwórz drzwi natychmiast. Martwię się o ciebie.

Moja matka. Boże, proszę, tylko nie to.

— Cannie!

Zwinęłam się na łóżku w kłębek, przypominając sobie, że dzwoniła do mnie rano, milion lat temu, by mi oznajmić, że tej nocy będzie akurat w mieście, z powodu partyjki bingo dla homoseksualistów i że ona z Tanią wpadną na chwilę, gdy to się skończy. Cichutko wstałam, podszłam delikatnie stąpając do lampy halogenowej, by ją wyłączyć, jak tylko się da najciszej, co się jednak nie udało, wzięwszy pod uwagę, że przy okazji lampę wywróciłam. Nifkin zawył i wgramolił się na fotel, łypiąc na mnie z wyrzutem. Mama zaczęła znowu walić w drzwi.

— Cannie!

— Odejdź — powiedziałam słabo — jestem... naga.

— Nie, nie jesteś! Masz na sobie dres, pijesz tequile i oglądasz *The Sound of Music*.

Wszystko to było prawdą. Co mogłam powiedzieć? Lubię musicale. Zwłaszcza takie, jak *The Sound of Music* — a w szczególności scenę, w której Maria podczas burzy gromadzi osieroconą działość Von Trapp na swoim łóżku i śpiewa im „*Aly Favorite Things*”. Wyglądało to tak ciepło, tak bezpiecznie — tak wyglądała moja rodzina, przez minutę, kiedyś, wiele lat temu.

Słyszałam szemraną wymianę słów za drzwiami — głos mojej matki oraz czyjś drugi, niższy, jakby dym z Marlboro filtrowany żwirem. Tania. Ta od tego temblaku i nogi kraba.

— Cannie, otwórz!

Zmusiłam się do przyjęcia pozycji siedzącej i pozeglowałam do łazienki, gdzie włączyłam światło i zaczęłam się przyglądać swojemu odbiciu w lustrze, analizując sytuację i wygląd. Twarz pokryta smugami od łez, katastrofa. Włosy, jasnobrązowe z pasemkami miedzi, ostrzyżone na tradycyjnego pazia, zaczesane za uszami, również obecne. Brak makijażu. Widoczny — no dobra, niech będzie — podwójny podbródek. Pełne policzki, okrągłe, opadające ramiona, piersi o podwójnej miseczce D, tłuste paluchy, grube biodra, wielka pupa, uda solidnie umięśnione pod drgającą warstwą tłuszczu. Moje oczy zdawały się być wyjątkowo małe, tak jakby starały się ukryć w zagłębieniach twarzy, i było w nich coś rozpaczliwego, pożądlivego i chciwego. Miały kolor oceanu w Zatoce Menemsha na wyspie Martha's Vineyard, pięknej, winogronowej zieleni. Moja najlepsza cecha, pomyślałam ponuro. Śliczne, zielone oczy i krzywy, wymuszony uśmiech. „Taka ładna buzia” — powiedziałyby moja babcia, łapiąc ręką mój podbródek, a potem potakując głową, nie troszcząc się nawet o to, by powiedzieć resztę.

Zatem oto jestem. Dwadzieścia osiem lat, z trzydziestką pojawiającą się powoli na horyzoncie. Pijana. Gruba. Samotna. Niekochana. Oraz, najgorsze ze wszystkiego, frazes, Ally McBeal i Bridget Jones razem wzięte, które chyba zresztą razem ważyły tyle, co ja, no i dwie lesbijki, walące zdeterminowanie we drzwi. Najlepsze, co mogę zrobić, zdecydowałam, to zostać w ukryciu i symulować swą własną śmierć.

— Mam klucz — zagroziła mama.

Odsunęłam miskę z tequila z dala od Nifkina. — Zaraz — ryknęłam. Podniosłam lampę i uchyliłam lekko drzwi. Moja matka i Tania gapily się na mnie, mając na sobie identyczne bluzy z

kapturami i napisami L.L. Bean, a na twarzach wyraz zatroskania.

— Widzicie — powiedziałam — wszystko ze mną w porządku. Jestem po prostu śpiąca, więc idę właśnie spać. Możemy o tym porozmawiać jutro.

— Słuchaj, widziałyśmy artykuł w *Moxie* — oznajmiła mama. — Lucy go przyniosła.

Dziękuję, Lucy, pomyślałam. — Czuję się świetnie — powtórzyłam. — Świetnie, świetnie, świetnie, świetnie.

Mama, trzymając kurczowo zakreślacz do bingo, patrzyła na mnie sceptycznie. Tania, jak zwykle, wyglądała tak, jakby chciała papierosa i drinka, a ja i moje rodzeństwo to lepiej, żeby się w ogóle nie narodziło, by mogła mieć moją matkę całą dla siebie i mogły zamieszkać w komunie w Northampton.

— Zadzwońisz do mnie jutro? — zapytała mama.

— Zadzwonię — odpowiedziałam i zamknęłam drzwi.

Moje łóżko wyglądało jak oaza na pustyni, jak wysepka na burzliwym oceanie. Pochyliłam się i rzuciłam się na nie całym ciałem, na plecy, z rozpostartymi ramionami i nogami, jak rozgwiazda rozmiar czterdzieści osiem przytwierdzona do kołdry. Uwielbiałam swoje łóżko — śliczna, jasnoniebieska kołdra, mięciutkie, różowe prześcieradło, sterta poduszek, każda w poszewce o jaskrawym kolorze: jedna purpurowa, druga pomarańczowa, trzecia jasnożółta i czwarta kremowa. Kochałam koronki Laury Ashley i czerwony, wełniany koc, który miałam od kiedy byłam dziewczynką. Łóżko, pomyślałam, było dla mnie jedynym właściwym miejscem w tej chwili, co najwyraźniej było do zaakceptowania też i przez Nifkina, który przyłączył się do mnie w chwili, gdy wpatrywałam się w sufit, wirujący nade mną w alarmujący sposób.

Żałowałam, że powiedziałam Bruce'owi, żebyśmy sobie zrobili przerwę. Żałowałam, że go w ogóle spotkałam. Powinnam była biec tamtej nocy, po prostu biec dalej, bez odwracania się.

Żałowałam, że byłam dziennikarką. Szkoda, że moja praca nie polegała na pieczeniu ciastek w piekarni, gdzie jedyne, co musiałabym robić to rozbijać jajka, odmierzać mąkę i tak zarabiać pieniądze, i nikt nie mógłby mnie obrażać, i gdzie wszyscy nawet spodziewaliby się, bym była gruba. Każda fałda tłuszczu i zmarszczka cellulitisu służyłaby jako świadectwo doskonałości moich cukierniczych wyrobów.

Chciałabym zamienić się miejscami z facetem, który nosi na sobie tablice reklamowe „ŚWIEŻE SUSHI” i chodzi tak w górę i w dół ulicy Pine w porach lunchu, rozdając kupony na sushi w restauracji „Świat Wasabe”. Pragnęłam być anonimowa, niewidzialna. Może wolałabym nie żyć.

Wyobraziłam sobie, że wchodzę do wanny, po przyczepieniu do lustra zapisanej kartki papieru i przykładam ostrze brzytwy do nadgarstka. Potem zobaczyłam Nifkina, wychylającego się ponad brzeg wanny, zdezorientowanego, skrobiącego pazurami po ściankach, nie mogącego zro-

zumieć, dlaczego nie mogę wstać. I wyobraziłam sobie mamę, która będzie musiała przejrzeć moje rzeczy i znaleźć sponiewierane *Najciekawsze listy do Penthouse'a* w górnej szufladzie mojej garderoby, plus różowe, wykończone futerkiem kajdanki, które dostałam od Bruce'a na Walentynki. Wreszcie, zobaczyłam trzech sanitariuszy, usiłujących znieść moje martwe, mokre ciało przez trzy kondygnacje schodów. — Mamy tu jedną wielką — wyobrażałam sobie, jak jeden z nich mówi.

No dobra. Samobójstwo odpada, pomyślałam, owijając się kołdrą i wkładając pomarańczową poduszkę pod głowę. Scenariusze z ciastkarnią i tablicami reklamowymi, chociaż kuszące, prawdopodobnie będą trudne do zrealizowania. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jak to opowiedzieć w kronice szkoły. Absolwenci Princeton, którzy schodzili z szybkiej drogi kariery, raczej posiadali ciastkarnie, które potem rozwijali w sieci ciastkarni, których akcje następnie sprzedawali w ofercie publicznej i zarabiali miliony. A ciastkarnie byłyby tylko rodzajem odwrócenia uwagi na kilka lat, czymś do roboty podczas wychowywania dzieci, które niezmiennie pojawiałyby się na zdjęciach w kronice szkoły, ubrane w pomarańczowo-czarne stroje z napisami „Klasa 2012” na swoich przedwcześnie rozwiniętych piersiach.

To, czego chciałam, topiłam się w dalszych rozmyślaniach, to być znowu dziewczynką. Leżeć na łóżku w domu, w którym dorastałam, schowana pod brązowo-czerwoną, na kształt płatków kwiatowych, kołdrą, i czytać, choć jest już bardzo późno, dawno minęła pora zasypiania, i słyszeć, jak otwierają się drzwi i wchodzi ojciec, cicho staje nade mną, i poczuć jego dumę i miłość, jakby to była namacalna rzecz, jak ciepła woda. Chciałam, by położył swą dłoń na mojej głowie, jak zawsze w takich chwilach, i usłyszeć, jak mówi: „Cannie, jeszcze czytasz?”. Być matką i kochaną. I chudą. Chciałam tego.

Przeturlałam się po łóżku, wysunęłam spod kołdry rękę, wymacałam nocny stoliczek i wzięłam z niego pióro i papier. *Zrzucić wagę*, napisałam, a potem zatrzymałam się na chwilę i zamysliłam. *Znaleźć nowego chłopaka*, dodałam. *Sprzedać scenariusz. Kupić duży dom z ogrodem i pięknym ogrodzeniem. Znaleźć dla matki przyjaciółkę, która będzie bardziej do zaakceptowania. Gdzieś pomiędzy pisaniem *Zrobić sobie i utrzymać stylową fryzurę* a myśleniem *Sprawić, by Bruce pożałował* zasnęłam w końcu.*

Dobra w łóżku. Ha! Miał duży tupet, pisząc dla kolumny poświęconej seksualnym ekspertom, zważywszy, jak mało miał dziewczyn i jak mało wiedział, zanim mnie poznał.

Ja spałam z czterema facetami — trzema długoterminowymi chłopakami i jednym, uznawanym za chorego, pierwszorocznikiem, szybkostrzelcem — przed tym, jak związałam się z Bruce'm, a pół tuzina innych wodziłam za nos. Może i byłam duża, ale czytałam *Cosmopolitan*, od kiedy skończyłam trzynaście lat i wiedziałam, jak postępować z facetami. Przynajmniej nikt nigdy nie narzekał.

Zatem ja byłam doświadczona. A Bruce... nie był. Miał kilka nieudanych podejść w szkole,

kiedy jeszcze miał naprawdę fatalną cerę i zanim odkrył, że kapelusz i kucyk mogą niezawodnie przyciągnąć pewien rodzaj dziewczyny.

Kiedy pojawił się u mnie tej pierwszej nocy, ze śpiworem i koszulą w kratę, nie był prawiczką, ale nigdy nie był w prawdziwym związku, a przynajmniej nigdy jeszcze nikogo nie kochał. A więc on poszukiwał wtedy nauczycielki, podczas gdy ja, chociaż nie miałam nic przeciwko wpadnięciu w ręce Pana Cnotliwego, tak naprawdę szukałam uczucia, zaangażowania. No dobra, seksu.

Zaczęliśmy na kanapie, siedząc obok siebie. Sięgnęłam po jego dłoń. Była lodowato zimna i wilgotna. Kiedy, tak zwyczajnie, położyłam mu rękę na ramieniu, a moje udo przylgnęło do jego, poczułam, jak drży. Co mnie poruszyło. Chciałam być dla niego delikatna, miła. Wzięłam obie jego dłonie w moje ręce i pociągnęłam go z kanapy. — Chodźmy się położyć — powiedziałam.

Poszliśmy do mojej sypialni, trzymając się za ręce, on położył się na łóżku, płasko na plecach, z szeroko otwartymi i błyszczącymi w ciemności oczyma, wyglądając trochę jak pacjent na fotelu dentystycznym. Podparłam się na łokciu i pozwoliłam, by końcówki włosów delikatnie muskały jego policzki. Kiedy pocałowałam go z boku szyi, ciężko odetchnął, tak jakbym go rozpałała, a kiedy włożyłam mu pod koszulę moją dłoń i lekko pociągnęłam go za włosy na klatce piersiowej, westchnął „Oh, Carrie”, głosem tak delikatnym, jakiego jeszcze w życiu nie słyszałam.

Ale jego pocałunki były okropne, strasznie się przy nich ślinił, język miał toporny jak maczuga, a usta jakby chowały się w momencie, gdy napotykały moje, tak że zostawał mi wybór pomiędzy jego zębami a wąsem. Ręce miał sztywne i niezdarne. — Leż spokojnie — wyszeptalam.

— Przepraszam — odszeptał, a zabrzmiało to bardzo nieszczęśliwie. — Coś ze mną nie tak, prawda?

— Ciiii — oddychałam, moje usta ponownie znalazły się na jego szyi, dotknęłam jego delikatnej skóry w miejscu, gdzie kończyła się broda. Moja ręka powędrowała powoli wzdłuż jego klatki piersiowej, aż dotarła do krocza. Nic tam się nie działo. Przycisnęłam swoją pierś do jego ciała, pocałowałam jego czoło, powieki, koniuszek nosa, i znów sprawdziłam jego krocze. Dalej nic się nie działo. To już było dziwne. Zdecydowałam się pokazać mu sztuczkę, nauczyć go, jak może mnie uszczęśliwić, bez względu na to, czy mu stwardnieje, czy nie. Poruszył mnie do głębi, ten facet wysoki na 1,80 m z kucykiem i takim wyrazem twarzy, jakbym go mogła wręcz porazić, zamiast... tego. Oplotłam nogami jedną z jego nóg, wzięłam jego rękę i wsunęłam ją w moje majtki. Jego oczy napotkały moje i uśmiechnął się, gdy poczuł, jaka byłam wilgotna. Włożyłam jego palce tam, gdzie ich potrzebowałam, zostawiając na nich moją rękę, przycisnęłam je tak, by mu pokazać, co ma robić, i zaczęłam się poruszać na nim, pozwalając mu poczuć mój pot i ciężki oddech, i jęk, gdy już doszłam. Wówczas przycisnęłam ponownie moją twarz do jego szyi i przy-

sunęłam usta do jego ucha. — Dziękuję — szepnęłam. Poczułam coś słonego. Pot? Łzy, może? Ale było ciemno i nie widziałam.

Zasnęliśmy w tej pozycji: ja, mając na sobie tylko T-shirt i majtki, owinięta wokół niego; on, z ledwie rozpiętą koszulą, do połowy, wciąż w majtkach, spodniach z dresu, skarpetkach. A kiedy światło dnia przedostało się przez okna do pokoju, kiedy otwarliśmy oczy i spojrzeliśmy na siebie, miałam wrażenie, jakbyśmy się znali znacznie dłużej, niż tylko jedną noc. Jakbyśmy wręcz nigdy nie byli sobie obcy.

— Dzień dobry — wyszeptałam.

— Jesteś piękna — powiedział.

Stwierdziłam, że mogę przyzwyczaić się do takich słów na początek każdego dnia. Bruce stwierdził, że się zakochał. Byliśmy odtąd razem przez następne trzy lata i razem uczyliśmy się życia. W końcu opowiedział mi o swoim dotychczasowym życiu, swoim ograniczonym doświadczeniu, o tym, jak zawsze był wtedy pijany, albo naćpany, albo bardzo onieśmielony, o tym, jak kilka razy odrzucono jego względy na pierwszym roku studiów i po prostu postanowił być cierpliwy. — Wiedziałem, że któregoś dnia spotkam odpowiednią dziewczynę — powiedział, uśmiechając się do mnie, kołysząc mnie i tuląc do siebie. Przekonaliśmy się o tym — to, co on lubił, lubiłam i ja, oboje lubiliśmy. Czasami było to oczywiste. Czasem zaś było to na tyle pikantne, że nawet w *Moxie* uniesiono by brwi, tam, gdzie regularnie podawano nowe „gorące sekrety seksu!”.

Ale tym, co mnie ubodło, co uderzało mnie w serce, gdy obudziłam się następnego poranka, z wysuszonymi kompletnie ustami, czując się jak zakalec po wczorajszej hulance z tequila, był tytuł kolumny. „Dobra w łóżku”. To było kłamstwo. Nie to, żeby był jakimś seksualnym znawcą, cudownym chłopcem pod prześcieradłem... chodziło o to, że myśmy po prostu się kochali, kiedyś. Byliśmy oboje dobrzy w łóżku, razem.

Rozdział II

Sobotniego ranka obudziłam się na dźwięk telefonu. Trzy dzwonki, potem cisza. Dziesięcioskundowa przerwa, potem trzy kolejne dzwonki, po których ponownie nastąpiła cisza. Moja mama nie należała do osób, które kochają sekretarki automatyczne, stąd jeśli wiedziała czy wierzyla, że jestem w domu, nie przestawała po prostu dzwonić, do momentu, aż odbiorę. Opór był daremny.

— To jest wręcz nie do zniesienia — powiedziałam, zamiast typowego „halo”.

— To mogłaby być twoja matka — oznajmiła moja mama.

— Jestem w szoku. Nie mogłabyś zadzwonić do mnie później? Proszę? Jest bardzo wcześnie. Jestem bardzo zmęczona.

— Co tak jęczysz? Masz po prostu kaca — mówiła ożywiona. — Odbierz mnie za godzinę. Idziemy na pokaz gotowania do Reading Terminal.

— Nie — zaprotestowałam. — Absolutnie nie. — Chociaż wiedziałam, że mogłam protestować i narzekać, i wymyśleć z siedemnaście różnych wymówek, i tak koło południa byłabym wciąż na Reading Terminal, kuląc się w sobie, podczas gdy mama podniesionym głosem nie kończyłaby swojej tyrady na temat niefortunnego doboru menu przez szefa kuchni i jego umiejętności kulinarnych.

— Napij się trochę wody. Zażyj aspirynę — doradziła. — Zobaczmy się za godzinę.

— Mamo, proszę...

— Zakładam, że czytałaś artykuł Bruce’a — oznajmiła. Do mocnych stron mamy nie należy umiejętność wyszukanego sposobu zmiany tematu.

— Taaak — powiedziałam, wiedząc bez zadawania zbędnych pytań, że ona również czytała. Moja siostra, Lucy, subskrybowała *Moxie*, była zagorzałą czytelniczką wszystkiego, co miało coś wspólnego z kobiecością, zatem ostatni numer został im doręczony do domu. Po nocnej dyskusji pod drzwiami mogę jedynie przypuszczać, że podstawiła go mamie pod oczy... czy też był to Bruce. Sama tylko myśl o takiej rozmowie: „Dzwonię, by Pani powiedzieć, że właśnie ukazał się mój artykuł i sądzę, że Cannie jest z tego powodu bardzo zdenerwowana” — powodowała, że chciałam się ukryć pod łóżkiem. Jeśli bym się zmieściła. Nie chciałam chodzić po świecie, w którym *Moxie* było we wszystkich kioskach, skrzynkach pocztowych. Czułam się jak oparzona od wstydu, tak jakbym miała na sobie gigantyczne, karmazynowe „C”, jakby wszyscy na świecie wiedzieli, że to ja byłam bohaterką „Dobrej w łóżku”, i że jestem gruba, i że rzuciłam faceta, który starał się mnie zrozumieć i kochać.

— No dobrze, wiem, że jesteś zdenerwowana...

— Nie jestem — warknęłam. — Czuję się świetnie.

— Och — powiedziała. Wyraźnie moja odpowiedź nie była tą, której się spodziewała. — Pomyślałam, że nie było to zbyt miłe z jego strony.

— Jest okropnym facetem — rzuciłam.

— Nie był okropnym facetem. To właśnie dlatego jest to tak zdumiewające.

Opadłam na poduszki. Głowa mi pękała. — Czy teraz będziemy rozważać jego okropność?

— Może później — odpowiedziała mama. — Zaraz się zobaczymy.

W okolicy, gdzie dorastałam, są dwa rodzaje domów — te, w których rodzice pozostają w związku małżeńskim, i te, w których tak się nie dzieje.

Na pierwszy rzut oka oba rodzaje domów wyglądają tak samo — duże, cztero — i pięciosypialniane kolonie, usadowione w głębi, w pewnej odległości od ulicy pozbawionej chodnika, każda na obszarze pół hektara ziemi. Większość z nich pomalowano w konserwatywne kolory, z okiennicami i wykończeniami w kontrastujących odcieniach — np. ciemnoszary dom z niebieskimi okiennicami albo jasnobezowy budynek z czerwonymi drzwiami. W większości mają długie podjazdy, wykończone żwirem, i wiele z nich ma z tyłu wpuszczone w ziemię baseny.

Ale gdy się przyjrzeć bliżej — albo, nawet lepiej, pozostać tam Przez chwilę — można dostrzec między nimi różnice.

Domy rozwiedzione to te, gdzie ciężarówka Chem-Lawn, firmy pielęgnującej trawniki, już się nie zatrzymuje, to te, które omija pług w zimowe poranki po burzach śnieżnych. Obserwuj je, a zobaczysz albo procesje posepnych nastolatków, albo czasem panią domu, grabiącą, strzygącą trawę, kopiającą, przycinającą krzewy, wszystko samodzielnie. To te domy, w których camry czy accord mamy czy też minivan nie jest wymieniany na nowy każdego roku, tylko po prostu starzeje się coraz bardziej i gdzie drugi samochód, jeśli w ogóle taki tam jest, to najczęściej kupa złomu z czwartej ręki, kupiona z ogłoszenia, a nie tradycyjna, ale zupełnie nowa honda civic, lub też, jeśli dziecko ma wyjątkowe szczęście, zapierający w piersiach lek na kryzys wieku średniego — sportowy samochód Taty.

Nie ma tam fantastycznych krajobrazów, nie robi się latem wielkich przyjęć przy basenie, nie ma ekip budowlanych hałasujących o siódmej rano, by dobudować nowe, domowe biuro czy olbrzymią sypialnię. Prace związane z malowaniem trwają cztery lub pięć lat, zamiast dwóch czy trzech, i zanim są zakończone, farba zdąży się już łuszczyć.

Ale najlepiej można było zauważyć różnice w sobotnie poranki, kiedy zaczynała się Tatusiowa Parada, jak nazywaliśmy to z przyjaciółmi. W co drugą sobotę, o dziesiątej lub jedenastej, drogi dojazdowe do domów wzdłuż całej naszej ulicy i na sąsiednich drogach zapełniały się samochodami mężczyzn, którzy kiedyś mieszkali w tych wielkich domach, z dużymi, czterema czy pięcioma sypialniami. Jeden po drugim, wychodzili ze swoich samochodów, by przejść drózkami do domów, zadzwonić do drzwi tam, gdzie kiedyś sypiali, i zabrać swoje dzieci na weekend. Te

dni, jak mówili mi przyjaciele, były pełne ekstrawagancji — wycieczek na zakupy, do centrów handlowych, do zoo, cyrku, na lunch do restauracji, na kolację do restauracji, kino przed i po. Wszystko, by zająć czas, by wypełnić martwe minuty pomiędzy dziećmi i rodzicami, którzy nagle mieli tak mało sobie do powiedzenia, po wydekłamowaniu stosownych dowcipów (w przypadku kontaktów serdecznych, nie-wadliwych) czy jadowitych prychnięć (w przypadkach wciąż spornych, gdy rodzice wytykali sobie wzajemne niedociągnięcia i niewierności przed sądem — i, z rozpedu, przed plotkarską publicznością, a nawet przed własnymi dziećmi).

Wszyscy moi przyjaciele znali te ćwiczenia. Mój brat, siostra i ja doświadczyliśmy tego kilkakrotnie we wczesnym okresie rozchodzenia się naszych rodziców, zanim ojciec oznajmił, że chciałby być kimś mniej niż tatą, bardziej jak wujek, i że nasze weekendowe wizyty nie pasowały do jego wizji. Sobotnie noce spędzaliśmy na rozkładanym łóżku w jego kondominium po drugiej stronie miasta czy też mieszkaniu w centrum — zazwyczaj małym, zakurzonej miejscu pełnym zbyt drogiego sprzętu stereo i najnowszego modelu telewizora, i albo zarzuconym wręcz nadmierną ilością naszych zdjęć, albo pozbawionym ich w ogóle. U mojego taty Lucy i ja tłoczyłyśmy się na cienkim materacu rozkładanej kanapy, której stelaż gniótł nas w plecy przez całą noc, podczas gdy Josh spał obok nas w śpiworze na podłodze. Posiłki jadaliśmy wyłącznie w restauracjach. Niewielu z rozwiedzionych tatusiów znało sztukę kulinarną lub przynajmniej wykazywało chęć jej poznania. Większość z nich, jak się okazywało, poszukiwało po prostu nowej żony lub dziewczyny, która wypełniłaby lodówkę i oczekiwała z kolacją każdego wieczoru.

A w niedzielne poranki, w porze nabożeństw lub zajęć w szkole żydowskiej, parady zaczynały się znowu, tyle że w odwrotną stronę: samochody zatrzymywały się przed domami, by wyrzucić z nich dzieci, które spieszyły się, starając się jednak nie biec i nie pokazywać po sobie wyraźnej ulgi, a ojcowie usiłowali nie odjeżdżać zbyt szybko, próbując pamiętać, że to przecież miała być przyjemność, a nie obowiązek. A potem po prostu znikali — najczęściej ponownie się żenili albo wyprowadzali.

Nie było to takie złe, naprawdę — nie na miarę tragedii Trzeciego Świata czy Appalachów. Nie było bólu fizycznego, prawdziwego głodu. Nawet biorąc pod uwagę niższy standard życia przedmieścia Filadelfii były wciąż o niebo lepsze od tego, jak żyła większość ludzi na świecie czy w kraju. Nawet jeśli nasze samochody były starsze, wakacje spędzane w mniej rozrzucony sposób, a nasze baseny nie wyglądały jak nowe, mieliśmy w dalszym ciągu samochody, wakacje, baseny w ogródkach i dachy nad głowami.

I matki, i dzieci nauczyły się, jak się wzajemnie wspierać. Rozwód uczył nas, jak sobie radzić z tym wszystkim, czy to chodziło o ograniczone możliwości, czy też o to, co powiedzieć zastępowej, gdy pytała, kogo przyprowadzę na przyjęcie Ojców/Córek. („Tatę” — brzmiała preferowana odpowiedź.) Każdy z nas pojął sztukę bycia nonszalanckim i twardym, byliśmy oddziaływaniem młodych cyników, którymi zostaliśmy przed ukończeniem szesnastego roku życia.

Zawsze się jednak zastanawiałam, co czuli ojcowie, gdy odjeżdżali drogą, którą zazwyczaj kiedyś przyjeżdżali wieczorami i czy oni rzeczywiście widzieli ich poprzednie domy, czy zauważali, jak wszystko stawało się wytarte i popękane na rogach, od kiedy się wyprowadzili. Dziwiłam się ponownie, gdy podjeżdżałam pod dom, w którym dorastałam. Wyglądał, jak zauważyłam, bardziej nawet w stylu Joadów, niż zwykle. Ani mama, ani jej okropna partnerka życiowa, Tania, nie lubiły prac ogrodowych, więc trawnik zaśmiecony był warstwą obumarłych, brązowych liści. Żwir na podjeździe był tak rzadki, jak resztki włosów starszego mężczyzny przykrywające wyraźnie zarysowaną łysinę, a gdy parkowałam, mogłam dojrzeć słaby blask starego metalu zarysowujący się zza małej komórki na narzędzia. Mieliśmy zwyczaj trzymać w niej kiedyś nasze rowery. Tania ją „wysprzątała” usuwając z niej wszystkie stare kołowki: od trycykli do nieużywanych dziesięciobiegówek, i wystawiła je za komórkę, pozostawiając, by zardzewiały. — Myście o tym, jak o odnalezionym dziele sztuki — ganiła nas mama, gdy Josh narzekał, że ta sterta rowerów wyglądała, jakbyśmy mieli wysypisko śmieci. Zastanawiałam się, czy nasz ojciec kiedykolwiek tędy przejeżdżał, czy wiedział o mamie i nowej sytuacji, w której się znajdowała, czy myślał w ogóle o nas, czy był zadowolony z tego, że miał gdzieś w świecie trójkę dzieci, wszystkie już dorosłe, obce.

Mama czekała na podjeździe. Podobnie jak ja, była wysoka i ciężka (Większa Kobieta, słyszałam w głowie urąganie Bruce’a). Ale podczas gdy ja wyglądam jak klepsydra (wyjątkowo pełna klepsydra), moja mama miała kształty jabłka — okrągły tułów na solidnych, umięśnionych nogach. Była w szkole najlepsza w tenisa, koszykówkę, hokej na trawie, a obecnie była gwiazdą w Switch Hitters, drużynie lesbijskiej w softballu — żeńskiej odmianie baseballu. Ann Goldblum Shapiro zachowała zarówno ruchy, jak i delikatność uczuć byłego sportowca, kobiety, która wierzy, że nie ma problemu, którego nie dałoby się rozwiązać, i sytuacji, której nie można by naprawić dobrym, szybkim spacerem, czy też kilkoma długościami basenu.

Włosy nosiła krótkie i pozwalała, by były siwe, ubierała się w wygodne ciuchy w odcieniach szarości, beżu i jasnego różu. Jej oczy były tak samo zielone jak moje, ale szersze i mniej niespokojne, i dużo się śmiała. Była takim typem człowieka, do którego ciągle lgnęli nieznajomi — z zapytaniem o drogę, o poradę, o uczciwą ocenę w przymierzalni u Loehmanna, czy kostium kąpielowy przypadkiem nie pogrubia.

Dzisiaj, na nasze wspólne wyjście, miała na sobie jasnoróżowe, szerokie spodnie z dresu, niebieski półgolf, jedną z jej czternastu par trampek do specjalnych działań i wiatrówkę z małymi, trójkątnymi zapięciami w kolorach tęczy. Nie miała makijażu — nigdy go nie nakładała — a włosy sterczały, po naturalnym ich wysuszeniu. Wyglądała na szczęśliwą, gdy wsiadała do samochodu. Dla niej darmowa prezentacja gotowania w najlepszym sklepie z żywnością w centrum Filadelfii była lepsza od komedii na stojąco. Zamiarem organizatorów nie było przyprowadzanie osób towarzyszących, ale nikt nie zadał sobie trudu, by jej to powiedzieć.

— Oryginalne — powiedziałam, wskazując na jej zapięcia.

— Podobają ci się? — zapytała bez zastanowienia. — Tania i ja kupiłyśmy je w zeszły weekend w New Hope.

— Wzięłaś dla mnie jedno? — spytałam.

— Nie — odpowiedziała, nie dając się złapać na przynętę. — Kupiłyśmy ci to — dała mi mały prostokąt zapakowany w purpurową bibułkę. Odpakowałam go zatrzymując się na czerwonym świetle, by znaleźć w nim magnesik z obrazkiem przedstawiającym komiksową dziewczynę w okularach, z długimi, kręconymi włosami, i napisem: „Nie jestem lesbijką, ale moja mama nią jest”. Fantastycznie.

Zaczęłam manipulować przy radiu i byłam cicho podczas półgodzinnej jazdy z powrotem do centrum. Mama również siedziała cicho obok mnie, ewidentnie czekając, aż poruszę temat ostatniego dzieła Bruce’a. W drodze do Terminal, gdzieś pomiędzy sprzedawcą warzyw a stoiskiem ze świeżymi rybami, w końcu to zrobiłam.

— Dobra w łóżku — prychnęłam. — Hah!

Mama rzuciła mi z boku spojrzenie. — Zatem, zakładam, że on sam taki nie był?

— Nie chcę z tobą rozmawiać na ten temat — sarknęłam, gdy przechodziłyśmy koło ciastek i barów z tajską i meksykańską żywnością. Znalazłyśmy miejsca siedzące na wprost pokazowej kuchni. Szef — półzawodowiec, którego pamiętałam z lekcji Południowe Frykasy sprzed trzech tygodni — zbladł, gdy mama siadała.

Wzruszyła ramionami i zaczęła się wpatrywać w tablicę. W tym tygodniu była to Amerykańska Klasyka z Pięcioma Łatwymi Składnikami. Szef rozpoczął swój wykład. Jeden z jego asystentów — chudy, przyszczaty chłoptaş ze szkoły restauratorstwa — przystąpił do szatkowania główki kapusty. — On sobie obetnie palec — zaniepokoiła się mama.

— Szsz! — zgañłam ją, po tym, jak profesjonalści z pierwszego rzędu, głównie obywatele słusznego już wieku, którzy bardzo poważnie traktowali te lekcje, rzucili na nas gromkie spojrzenia.

— No dobrze, ale — mówiła moja mama — on zupełnie źle trzyma nóż. A teraz, wracając do Bruce’a...

— Nie chcę o tym mówić — powiedziałam. Szef kuchni topił na patelni gigantyczną grudę masła. Potem dodał boczek. Mama zaczęła ciężko oddychać, jakby była świadkiem ścinania czyjejś głowy.

— Czy ta potrawa nie ma wersji zdrowszej dla serca? — zapytała. Szef westchnął i zaczął mówić o oliwie z oliwek. Mama skupiła z powrotem uwagę na mojej osobie. — Zapomnij o Bruce’ie. Możesz znacznie lepiej.

— Mamo!

— Szsz! — syknęły łakomczuchy z pierwszego rzędu. Mama pokiwała głową. — Nie mogę

w to uwierzyć.

— W co?

— Widziałaś tę patelnię? Ona nie jest wystarczająco duża. — Pewny siebie, szef-na-praktyce usiłował umieścić poszatowaną niezbyt doskonale kapustę w płytkiej patelni. Mama podniosła rękę. Pociągnęłam ją czym prędzej w dół.

— Daj spokój.

— Jak on się czegokolwiek nauczy, jeśli nikt mu nie powie, że popełnia błąd? — narzekała, zezując na „scenę”. — Też tak uważam — zgodziła się kobieta siedząca obok.

— A jeśli on zamierza obtoczyć tego kurczaka w mące — ciągnęła mama — to powinien go najpierw przyprawić.

— Próbowalaś kiedyś pieprzu kajeńskiego? — zapytał starszy pan z przedniego rzędu. — Nie za dużo, rozumiesz, ale szczypta da ci naprawdę dobry smak.

— Tymianek też jest dobry — powiedziała mama.

— W porządku, — zamknęłam oczy, zapadając się głębiej w składanym krześle, gdy szef przeszedł do kandyzowanych, słodkich ziemniaków i naleśników z jabłkami, a mama zadawała mu pytania o substytuty, modyfikacje, techniki, których nauczyła się będąc wiele lat gospodynią domową, okraszając wszystko nieustannymi komentarzami, ku uciesze najbliższej siedzących, ale wywołując wściekłość całego pierwszego rzędu.

Później, przy cappuccino i gorących preclach z masłem ze stoiska preclowego Amiszów, zrobiła mi wykład, który, jestem pewna, musiała sobie przygotowywać od zeszłego wieczoru. — Wiem, że twoje uczucia są teraz trochę zranione, — zaczęła — ale na świecie jest tylu facetów.

— Taaak, masz rację — wymamrotałam, trzymając wzrok utkwiony w kubek.

— I kobiet też — kontynuowała mama, starając się mi pomóc.

— Mamo, ile razy muszę ci to mówić? Nie jestem lesbijką, nie interesuje mnie to.

Pokiwała głową z udawanym smutkiem. — Miałam takie wielkie nadzieje związane z tobą — westchnęła sztucznie i wskazała na stragany z rybami, gdzie szczupaki i karpie poukładane były jedno na drugich, z rozwartymi pyskami i wylupiastymi ślepiami, a ich łuski połyskiwały srebrzyście w świetle lamp. — To jest lekcja dla ciebie.

— To jest sterta ryb — poprawiłam ją.

— To mówi ci, że w morzu jest wiele ryb — powiedziała. Podeszła do straganu i postukała palcem w szklany pojemnik. Ruszyłam niechętnie do niej. — Widzisz to? — zapytała. — Wyobraź sobie, że każda z nich to jeden facet.

Gapiałam się na ryby. Te, ściśnięte po sześć na skruszonym lodzie, zdawały się gapić z kolei na mnie. — One mają lepsze maniery — zauważyłam. — Niektóre z nich pewnie także lepiej potrafią prowadzić rozmowę.

— Chcecie rybę? — zapytała niska Azjatka w gumowym fartuchu do samej ziemi. W jednej

ręce trzymała nóż do filetowania ryby. Pomyślałam od razu, że mogłabym się spytać, czy by mi go nie pożyczyła, i jak bym się czuła, patrosząc Bruce'a. — Dobra ryba — ponagliła.

— Nie, dziękuję — powiedziałam. Mama zaprowadziła mnie z powrotem do stolika.

— Nie powinnaś tak się przejmować — próbowała mnie pocieszyć.

— Ten artykuł już wkrótce będzie służył do wyścielania klatek dla ptaków...

— Cóż za celna uwaga podnosząca na duchu dziennikarza — jej wysiłki na nic się nie zdały.

— Nie bądź sarkastyczna — powiedziała.

— Nie mam innego wyjścia — westchnęłam.

Usiadłyśmy znowu. Mama podniosła kubek z kawą. — Czy to z powodu tego, że dostał pracę w tym magazynie? — zaryzykowała.

Wzięłam głęboki oddech. — Może — przyznałam. I było to prawdą: widzieć, jak gwiazda Bruce'a wschodzi, podczas gdy moja pozostawała w miejscu, mogłoby zranić, nawet gdyby jego pierwszy artykuł nie był o mnie.

— Radzisz sobie świetnie — powiedziała mama. — Twój dzień jeszcze nadejdzie.

— A co, jeśli nie? — zapytałam. — Co, jeśli już nie dostanę innej pracy, czy nie będę miała innego chłopaka...

Mama pomachała ręką, zbywając tę uwagę, jakby była zbyt głupia do jej rozważania.

— Ale co, jeśli naprawdę tak będzie? — spytałam drżącym głosem.

— Ma swoją rubrykę, pisze książkę...

— On mówi, że ją pisze — odparła mama. — Ale to wcale nie znaczy, że to prawda.

— Nigdy już nikogo nie poznam — powiedziałam bezbarwnie.

Mama ciężko westchnęła. — Wiesz, myślę, że to trochę moja wina — przyznała ostatecznie. To zwróciło moją uwagę.

— Gdy twój tata zwykł tak mówić...

Zdecydowanie nie chciałam, by rozmowa przybrała taki obrót.

— Mamo...

— Nie, nie, Cannie, pozwól mi skończyć — wzięła głęboki oddech.

— On był okropny — powiedziała. — Okropny i podły, pozwalałam mu na zbyt wiele i to przez zbyt długi czas.

— Już tyle wody upłynęło — dalej próbowałam przerwać ten temat.

— Przepraszam — powiedziała. Oczywiście, że już to mówiła wcześniej, ale zawsze bolało, ponieważ za każdym razem przypominało mi to, za co właściwie mnie przeproszała, a to właśnie było takie bolesne.

— Przepraszam, bo wiem, że to właśnie zrobiło cię taką.

Wstałam, zbierając nasze kubki, zużyte serwetki, resztki precli i wyruszyłam w poszukiwa-

niu kosza na śmieci. Mama podążała za mną.

— Zrobiło mnie jaką? — zapytałam.

Zastanowiła się przez chwilę. — No dobrze, widzisz, nie bardzo znosisz krytykę.

— Powiedz mi coś o tym.

— Nie wydajesz się być zbyt zadowolona ze swojego wyglądu.

— Pokaż mi kobietę, która jest zadowolona — odpierałam zarzuty.

— Ale raczej żadna z nas nie lubi, gdy jej niepewności są eksploatowane dla milionów czytelników *Moxie*.

— A ja chciałabym... — Spojrzała ponuro na stoły pośrodku, gdzie gromadziły się rodziny, jedząc kanapki i pijąc kawę, podając sobie sekcje *Examinera*. — Chciałabym, byś bardziej w siebie wierzyła. Jak z tym całym... romantyzmem.

Znowu temat, który nie chciałam omawiać z moją niedawno-objawioną-lesbijką.

— Znajdziesz odpowiedniego faceta — pocieszyła.

— Jak dotąd byłam zasypana ofertami.

— Byłaś z Bruce'em tak długo...

— Mamo, proszę!

— Był miłym facetem. Ale wiedziałam, że go tak naprawdę nie kochałaś.

— Myślałam, że jesteś już poza możliwościami dawania rad heteroseksualnym związkom.

— Jestem na gościnnych występach, by zaspokoić czyjeś potrzeby — powiedziała pogodnie. Już na zewnątrz, przy samochodzie, przytuliła mnie mało delikatnie — duży postęp, jak dla niej. Mama jest świetną kucharką, sympatycznym słuchaczem i dobrym psychologiem, ale nigdy nie była zbyt mocna, jeśli chodzi o okazywanie uczuć. — Kocham cię — powiedziała, co również nie było typowe dla niej. Ale nie miałam zamiaru oponować. Potrzebowałam całej miłości, jaką mogłabym otrzymać.

Rozdział III

W poniedziałkowy poranek siedziałam w poczekalni pełnej kobiet, zbyt dużych, by móc założyć jedną nogę na drugą, wszystkich zaklinowanych w fotelach o nieodpowiednich rozmiarach, znajdujących się na siódmym piętrze Centrum Zaburzeń Wagi i Trawienia przy Uniwersytecie Filadelfii. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to że jeśli ja kierowałabym tym miejscem, wprowadziłabym wygodne kanapy,

— Kilka ankiet — powiedziała uśmiechając się szczupła sekretarka siedząca za biurkiem, podając mi gruby na półtora centymetra zestaw formularzy wraz z podkładką i długopisem. — Tam jest śniadanie — dodała szczebiocząc, wskazując na stertę wyschniętych bajgli, beczulkę z niskotłuszczowym serem kremowym oraz dzban soku pomarańczowego z grubą warstwą miazgi owocowej na wierzchu. Jakby każdy chciał tu jeść, pomyślałam, przechodząc obok bajgli i siadając z formularzami pod plakatem, na którym był napis: „Zrzucając... w jeden dzień!” pod zdjęciem modelki ubranej w króciutką koszulkę do aerobiku, baraszkującej sobie w polu pełnym kwiatów, czego tak czy tak nie zamierzałam robić, bez względu na to, jak byłabym chuda.

Nazwisko. To było łatwe. Wzrost. Żaden problem. Obecna waga. Gorzej. Najniższa waga utrzymana jako dorosła osoba. Czy czternaście lat to już dorosła? Przyczyna, z jakiej chcesz zrzucić wagę. Pomyślałam przez minutę, potem nabazgrałam: „Zostałam upokorzona w narodowej publikacji”. Pomyślałam znowu minutę, i dodałam: „Chciałabym mieć lepsze samopoczucie, myśląc o sobie.”

Następna strona. Historia diet. Najwyższe wagi, najniższe, programy, w których uczestniczyłam, ile straciłam, ile z tego utrzymałam. „Proszę skorzystać z odwrotnej strony kartki, jeśli potrzebujesz więcej miejsca”. W rzeczywistości, wnioskując z krótkiej obserwacji obecnych w poczekalni, wszyscy jej potrzebowali. Jedna kobieta poprosiła nawet o dodatkową kartkę papieru.

Strona trzecia. Wagi rodziców. Wagi dziadków. Wagi rodzeństwa. Zgadłam za nich wszystkich. Nie był to temat, który się omawia przy stole podczas rodzinnego spotkania. Czy się przejadam, a potem oczyszczam, czy stosuję posty, nadużywam środków oczyszczających, ćwiczę obowiązkowo? Jeśli tak bym robiła, to czy tak bym wyglądała?

Proszę wymienić pięć ulubionych restauracji. No dobrze, to będzie łatwe. Wystarczy, bym się przeszła moją ulicą, a przejdę obok pięciu cudownych miejsc z jedzeniem — podają wszystko, począwszy od chińskich naleśników wiosennych, a skończywszy na tiramisu, i to zanim przejdę trzysta metrów. Filadelfia wciąż jest w cieniu Nowego Jorku i często zachowuje się jak nadąsana druga siostra, której nie wciągnięto na honorową listę. Ale renesans naszych restauracji był faktem, a ja mieszkałam w okolicy, która chełpiła się pierwszymi budkami z naleśnikami, pierwszym sklepem z makaronami oraz pierwszym teatrem gejowskim ze stolikami (takie sobie

aktorki, ale boskie kalmary). Mieliśmy też obowiązkowo po dwa sklepiki ze świeżą kawą na każde 100 m, co mnie zawsze narażało na trzydolarową przekąskę z czekoladowo-mlecznych ciasteczek. No, nie było to, zdaję sobie sprawę, śniadanie mistrzów, ale co dziewczyna ma zrobić? Jedyne próbować zrekompensować sobie unikanie barów z serowymi stekami na każdym rogu. Na dodatek Andy, jedyny przyjaciel, jakiego miałam w redakcji, był krytykiem żywieniowym i często towarzyszyłam mu przy degustacji potraw, jedząc *foie gras*, królicze *rilette*, cielęcinę i dziczyznę, czy przysmażone okonie morskie w najlepszych restauracjach w mieście, podczas gdy Andy mamrotał do mikrofonu zamocowanego pod kołnierzem.

Pięć ulubionych dań. Teraz zaczynało być podstępnie. Desery, według mnie, stanowiły całkowicie odrębną kategorię, w oddzieleniu od dań głównych, śniadania też były zupełnie innym tematem, i pięć ulubionych potraw, jakie potrafiłam przyrządzić, nie miały nic wspólnego z pięcioma najlepszymi produktami, które mogłam kupić. Puree ziemniaczane i kurczak pieczony działały na mnie kojąco, ale czy tak naprawdę mogłam je przyrównać do tart czekoladowych czy do *creme brulee* z Ciastkarni Paryskiej na ulicy Lombard? Albo do faszerowanych liści winogronowych w Viet Nam, smażonego kurczaka w Delilah, czy też ciasteczek z Le Bus? Coś nagryzmoliłam, a potem skreśliłam, kiedy Przypomniałam sobie czekoladowy pudding chlebowy w Silk City Diner, na gorąco, ze świeżo ubitą śmietaną, i zaczęłam od początku.

Siedem stron historii swojego ciała. Czy mam szmery w sercu, wysokie ciśnienie krwi, ja-skrę? Czy jestem w ciąży? Nie, nie, po tysiącokroć nie. Sześć stron na historię emocji. Czy jem, kiedy jestem zdenerwowana? Tak. Czy jem, kiedy jestem szczęśliwa? Tak. Czy rzuciłabym się teraz na te bajgle i śmiesznie wyglądający kremowy ser, gdyby nie to całe towarzystwo? No, zgadnij.

A teraz pora na strony z psychologii. Czy bywałam często przygnębiona? Zaznaczyłam *czasami*. Czy miałam myśli samobójcze? Skrzywiłam się, a potem wzięłam w kółko *rzadko*. Bezsenność? Nie. Uczucie bycia bezwartościowym człowiekiem? Tak, mimo że wiedziałam, że nie jestem bezwartościowa. Czy kiedykolwiek fantazjowałam o tym, by wyciąć z mojego ciała mięsiste i sflaczałe kawałki? A co, czy inni nie? Proszę dodać dodatkowe spostrzeżenia. Napisałam: *Jestem zadowolona z każdego aspektu mojego życia, za wyjątkiem wyglądu*. A potem dodałam: *I mojego życia uczuciowego*.

Zaśmiałam się lekko. Kobieta wciśnięta w fotelu obok próbowała się do mnie uśmiechnąć. Miała na sobie jedno z tych ubrań, o którym zawsze myślałam jako o szyku grubej damy: legginsy i góra w rodzaju tuniki o niebieskim kolorze delikatnego barwinka, ze wzorem w stokrotki na piersiach. Piękne ubranie i nie tanie, ale rozrywkowe. Tak jakby projektanci mody zdecydowali, że w momencie, gdy kobieta osiąga pewną wagę, nie odczuwa już potrzeby noszenia służbowych garniturów, spódnic i blezerów, a jedynie osławione bluzy sportowe i próbowali przeprosić za ubieranie nas jak wyrośnięte Teletubisie przy pomocy tych stokrotek na biuście.

— Śmieję się, by się powstrzymać od płaczu — wytłumaczyłam.

— Złapałam — powiedziała. — Jestem Lily.

— A ja Candace. Cannie.

— Nie Candy? Jak Cukiereczek?

— Myślę, że moi rodzice zdecydowali się nie dawać dzieciakom na podwórku jeszcze dodatkowej broni — oznajmiłam. Uśmiechnęła się. Miała błyszczące, czarne włosy, skręcone do tyłu z jakimiś lakierowanymi patykami, a w uszach tkwiły diamentowe kolczyki o rozmiarach orzeszków ziemnych.

— Czy sądzisz, że to zadziała? — zapytałam. Wzruszyła grubymi ramionami.

— Byłam na phen-fen — powiedziała. — Zrzuciłam trzydzieści sześć kilo. — Sięgnęła do swojej torebki. Wiedziałam, co teraz będzie. Typowe kobiety noszą przy sobie zdjęcia swoich dzieci, swoich mężów, domków letnich. Grube kobiety mają swoje zdjęcia, gdy były najszczuplejsze. Lily pokazała mi obraz swojej pełnej figury, w czarnym ubraniu, a potem z profilu, w spódniczce mini i sweterku. Nie dało się temu zaprzeczyć, wyglądała olśniewająco. — Phen-fen — powiedziała i westchnęła bardzo głęboko. Jej piersi wyglądały jak coś, co rządzone jest falami i grawitacją, a nie ludzką wolą. — Tak dobrze mi szło — rzekła z żalem. Jej oczy wpatrywały się gdzieś daleko. — Nigdy nie byłam głodna. To było jak latanie.

— Pośpiech też może cię wprawić w taki stan — zauważyłam.

Lily nie słuchała. — Płakałam w dniu, w którym wycofali go z rynku. Próbowalam i próbowałam, ale przytyłam z powrotem, tak szybko, w dziesięć minut. — Jej oczy zwęziły się. — Zabiłabym, by dostać więcej phen-fen.

— Ale... — próbowałam niepewnie — czy to podobno nie powodowało problemów z sercem?

Lily sapnęła. — Mając do wyboru pomiędzy byciem tak grubą a byciem nieboszczką, przysięgam, że musiałabym się nad tym zastanowić. To jest śmieszne! Mogę przejść się w dół ulicy z dwieście metrów i kupić na rogu kokainę, ale nie mogę dostać phen-fen za seks czy pieniądze.

— Och — nie potrafiłam powiedzieć nic innego.

— Nigdy nie próbowałaś phen-fen?

— Nie. Tylko Weight Watchers.

To wywołało burzę protestów i narzekań, a także przewrócenie oczami przez kobietę siedzącą niedaleko. — *Weight Watchers*²!

— To śmieć.

— Drogi śmieć.

— Stanie w kolejce po to, by jakaś chudzina mogła cię zważyć...

² Obserwatorzy wagi.

— A te ich wagi nigdy dobrze nie ważyły — powiedziała Lily do entuzjastycznego chóru: uh-huh! Rozmiar trzydzieści osiem zza biurka wyglądała na zaniepokojoną. Powstanie grubych kobiet! Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie nas nacierające w głąb holu, armię sprawiedliwych legginsów, wywracających wagi, rozwalających urządzenia do pomiaru ciśnienia krwi, zrywających ze ścian i drących na strzępy wykresy z pomiarami wag i zmuszających tych wszystkich klinicznych chudzielców do ich zjedzenia, podczas gdy my delectowałybyśmy się bajglami i niskotłuszczowym serkiem kremowym.

— Candace Shapiro?

Wysoki lekarz o niesamowicie głębokim głosie wzywał mnie do siebie. Lily ścisnęła moją rękę.

— Powodzenia — szepnęła. — A jeśli ma jakieś próbki phen-fena, to bierz je!

Lekarz był około czterdziestki, szczupły (oczywiście), siwiejący na skroniach, z ciepłym uściskiem dłoni i dużymi brązowymi oczami. Był także wyjątkowo wysoki. Nawet na moich grubych obcasach Doc Martensów ledwo sięgałam mu do ramion, co oznaczało, że musiał mieć przynajmniej 195 centymetrów. Jego nazwisko brzmiało coś jak Kruszelewski, tyle, że miało więcej sylab.

— Możesz do mnie mówić Dr K. — powiedział swoim absurdalnie głębokim, absurdalnie powolnym głosem. Wciąż czekałam, aż porzuci to, co brałam za niefortunne upodobnianie się do Barry'ego White'a i zacznie mówić w normalny sposób, aż stwierdziłam, że ten głęboki bas to dla niego właśnie normalny sposób mówienia. Usiadłam, trzymając przy piersiach torebkę, podczas gdy on przeglądał wypełniony przeze mnie formularz, mrużąc oczy przy kilku odpowiedziach, a śmiejąc się głośno przy innych. Rozejrzałam się, próbując się rozluźnić. Jego gabinet był ładny. Skórzane kanapy, biurko przyjemnie zavalone rzeczami, perski dywanik wyglądający na autentyczny, pokryty stosami książek, gazet, czasopism, z telewizorem w jednym rogu, a z małą lodówką z ekspresem do kawy na górze w drugim. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek tu spał... jeśli może kanapę rozłożyć w łóżko. Wyglądało to na takie miejsce, w którym chętnie bym została.

— Poniżona w narodowej publikacji? — przeczytał na głos. — Co się stało?

— Ugh — odpowiedziałam. — Nie chciałby pan tego wiedzieć.

— Nie, wręcz przeciwnie. Uważam, że to najbardziej niezwykła odpowiedź, jakiej ktokolwiek udzielił na to pytanie.

— No dobrze, mój chłopak... — skrzywiłam się. — Były chłopak. Przepraszam. On pisze dla tej kolumny w *Moxie*...

— Dobra w łóżku? — zapytał lekarz.

— Dlaczego nie? Lubię tak myśleć.

Lekarz zaczerwienił się. — Nie... to znaczy...

— Taak, to dla tej kolumny Bruce pisze. Proszę mi nie mówić, że pan to czytał — powiedziałam, zakładając, że jeśli jakiś czterdziestoletni lekarz-dietetyk to widział, to pewnie każda inna osoba, którą znam, również.

— Ja nawet to wyciąłem — przyznał. — Uznałem, że naszym pacjentkom może się podobać.

— Co? Dlaczego?

— No cóż, jest to całkiem przyzwoite, wrażliwe uznanie dla... dla...

— Grubej kobiety?

Lekarz uśmiechnął się. — Nigdy tak cię nie nazwał.

— Tylko użył wszelkich innych określeń.

— Zatem jesteś tu z powodu tego artykułu?

— Częściowo.

Spojrzał na mnie.

— No dobrze, głównie. To po prostu... ja nie... ja nigdy nie myślałam o sobie... w ten sposób. Jako o dużej kobiecie. To znaczy, wiem, że jestem... większa... i wiem, że powinnam zrzucić trochę kilogramów. To znaczy, to nie to, że jestem ślepa i nie zważam na kulturę, i na to, jakiego wyglądu Amerykanie oczekują od kobiety...

— Jesteś tu zatem z powodu oczekowań Amerykanów?

— Chcę być szczupła. — Popatrzał na mnie, wyczekując. — No, jakoś szczuplejsza.

Przerzucił dalej moje papiery. — Twoi rodzice mają nadwagę — powiedział.

— Coś... w tym rodzaju. Mama jest trochę przyciężka. Ojca nie widziałam od lat. Kiedy od nas odchodził miał coś w rodzaju brzuszka, ale... — przerwałam. Prawda była taka, że nie wiedziałam, gdzie ojciec mieszka i czułam się zawsze zażenowana, gdy przychodziło do tego tematu. — Nie mam pojęcia, jak on teraz wygląda.

Lekarz podniósł wzrok na mnie. — Nie widzisz go?

— Nie.

Coś zanotował. — A jak tam twoje rodzeństwo?

— Oboje szczupli — westchnęłam. — Jestem jedyna, którą uderzono grubą laską.

Lekarz zaśmiał się. — Uderzona grubą laską. Nigdy nie słyszałem, by ktoś tak to określił.

— Taaak, cóż, znam miliony takich określeń.

Przerzucił dalej papiery. — Jesteś dziennikarką?

Kiwnęłam głową. Przerzucił z powrotem. — Candace Shapiro... widziałem twój nagłówek.

— Naprawdę? — To była niespodzianka. Większość obywateli omija właśnie nagłówki.

— Pisziesz czasem o telewizji — przytaknął. — Jesteś bardzo zabawna. Czy lubisz swoją pracę?

— Kocham moją pracę — powiedziałam i dokładnie to miałam na myśli. Kiedy nie byłam w obsesji funkcjonowania pod wysokim ciśnieniem, bycia reporterem wystawionym na żer czyteln-

ników, nie walczyłam z terytorialnymi współpracownikami o przydział dobrego tematu, czy też gdy nie marzyłam tylko o sklepie z pączkami, udawało mi się spędzać czas w pracy naprawdę miło. — Jest rzeczywiście zabawnie. Interesująco, prowokująco... tak wszystko razem.

Zapisał coś w swoim notesie. — I czy wydaje ci się, że twoja waga ma wpływ na wyniki uzyskiwane w pracy... ile zarabiasz, jak dalece jesteś w tej kwestii zaawansowana?

Pomyślałam przez chwilę. — Chyba nie. To znaczy, czasami, niektóre z osób, z którymi przeprowadzam wywiad... no wie pan, oni są szczupli, ja nie, staję się trochę zazdrosna, może, albo zastanawiam się, czy oni myślą, że jestem leniwa czy cokolwiek, i wtedy muszę być ostrożna, gdy piszę artykuły, by nie pozwolić uczuciom wpłynąć na to, co o nich powiem. Ale jestem dobra w tym, co robię. Ludzie mnie szanują. Niektórzy z nich nawet się mnie boją. A to jest gazeta związkowa, więc finansowo jest u mnie w porządku.

Śmiał się i przewracał kartki, zwalniając na stronie psychologicznej.

— Byłaś na terapii w zeszłym roku?

— Przez około osiem tygodni — odpowiedziałam.

— Czy mogę spytać z jakiego powodu?

Zastanowiłam się przez chwilę. Nie jest łatwo powiedzieć komuś, kogo dopiero co się poznało, iż moja matka oznajmiła, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, że jest lesbijką. Zwłaszcza komuś, kto brzmiał, jak szczupły, biały James Earl Jones, pewnie ubawiłby się tym na tyle, by powtórzyć to głośno. I to możliwe, że kilkakrotnie.

— Rodzinne sprawy — powiedziałam w końcu.

Tylko spojrzał na mnie.

— Mama była... w nowym związku, i to działo się tak szybko, że mnie trochę zszokowało.

— I czy terapia pomogła?

Pomyślałam o kobiecie, którą przydzieliła mi Organizacja Ochrony Zdrowia, myszowatej postaci z lokami w stylu Mała Sierotka Annie, noszącej swoje okulary na łańcuszku na szyi i robiącej wrażenie, że się mnie trochę obawiała. Może słysząc o mojej nowonarodzonej lesbijskiej matce i nieobecny ojcu podczas pierwszych pięciu minut naszej rozmowy na temat historii mojego życia zorientowała się, że to było więcej niż zaplanowała znieść. Miała zawsze to lekko zstraszone spojrzenie, tak jakby się obawiała, że w każdej chwili mogłabym się rzucić na nią poprzez biurko, cisnąć jej pudełkiem chusteczek na podłogę i próbować ją udusić.

— Chyba tak. Główną tezę terapeutki było przekonanie, że nie mogę zmienić tego, jak inni w mojej rodzinie postępują, ale mogę nauczyć się, w jaki sposób na to reagować.

Nagryzmolił coś w moich formularzach. Starłam się delikatnie pochylić, by cokolwiek z tego odczytać, ale kartkę miał pochyloną pod trudnym kątem. — Czy to była dobra rada?

Wzdrygnęłam się w duchu, przypominając sobie, jak Tania się wprowadziła w sześć tygodni po tym, jak mama zaczęła się z nią spotykać, i jej pierwszym aktem rezydencji było usunięcie

wszystkich mebli z mojej sypialni i zastąpienie ich roletami w tęczowe pasy, książkami-samouczkami oraz dwutonowym warsztatem tkackim. Zamiast mówić dziękuję, utkała dla Nifki-na mały pasiasty sweterek. Nifkin dał się w niego ubrać raz, a potem go zjadł.

— Chyba tak. To znaczy, sytuacja nie jest doskonała, ale ja w pewnym sensie zaczynam się do niej przyzwyczajać.

— No, dobrze — powiedział i zamknął folder z moimi papierami.

— Przejdźmy do rzeczy, Candace.

— Cannie — odparłam. — Nazywają mnie Candace tylko wtedy, gdy mam kłopoty.

— Zatem Cannie — ciągnął dalej. — Prowadzimy roczne badania nad lekiem nazywanym sibutraminą, który daje podobne efekty, jak phen-fen. Czy zażywałaś kiedykolwiek phen-fen?

— Nie — powiedziałam — ale w poczekalni jest kobieta, której boleśnie go brakuje.

Uśmiechnął się ponownie. Miał, jak zdążyłam zauważyć, dołek w lewym policzku. — Traktuję to jako ostrzeżenie — oznajmił. — Teraz, sibutraminą jest o wiele łagodniejsza od phen-fen, ale przynosi ten sam efekt, który głównie polega na oszukiwaniu mózgu, by myślał, że dłużej jesteś pełna. Dobra nowina to to, że nie ma tego samego zagrożenia zdrowia i potencjalnych komplikacji, które przypisywano phen-fenowi. Szukamy kobiet, które mają przynajmniej trzydziestoprocentową nadwagę...

— ...i czuje się pan zaszczycony mogąc oznajmić mi, że się kwalifikuję — powiedziałam kwaśno.

Uśmiechnął się. — A więc, badania, „które już wykonano, wykazują, że pacjenci tracą pomiędzy pięć do dziesięciu procent swojej wagi w okresie jednego roku.

Zrobiłam szybkie obliczenia. Zrzucenie dziesięć procent z mojej wagi w dalszym ciągu nie zbliżało mnie do wagi, którą chciałam osiągnąć.

— Czy to cię rozczarowuje?

Czy on żartował? To było takie frustrujące! Mamy technologie, które pozwalają wymienić serca, wysyłać siedemdziesięciolatków na księżyc, powodować erekcję u staruszków, i to, co najlepsza współczesna nauka mi oferuje, to te nędzne dziesięć procent?

— Zgaduję, że to lepsze, niż nic — powiedziałam.

— Dziesięć procent to o wiele lepiej niż nic — oznajmił poważnie.

— Badania wykazują, że utrata nawet tylko czterech kilogramów może mieć dramatyczny wpływ na ciśnienie krwi i cholesterol.

— Mam dwadzieścia osiem lat. Moje ciśnienie krwi i cholesterol są w normie. Nie obawiam się o moje zdrowie. — Słyszałam, jak podnosi się mój głos. — Chcę być szczupła. Muszę być szczupła.

— Candace... Cannie...

Wzięłam głęboki oddech i zatopiłam czoło w dłoniach. — Przepraszam.

Położył rękę na moim ramieniu. Było to miłe. Pewnie nauczyli go tego w szkole medycznej: gdy pacjent zaczyna histeryzować na wieść o stosunkowo znikomej utracie wagi, połóż mu rękę na ramieniu. Odsunęłam moje ramię.

— Widzisz — powiedział. — Realistycznie rzecz biorąc, uwzględniając twoje dziedzictwo, typ budowy ciała, może się okazać, że nigdy nie było ci dane być szczupłą osobą. A to nie jest najgorsza rzecz na świecie.

Nie uniosłam głowy. — Och, nie?

— Nie jesteś chora. Nic cię nie boli...

Zagryzłam wargi. On nie miał zielonego pojęcia. Pamiętam, jak miałam czternaście lat czy coś takiego, byłam na letnich wakacjach nad morzem, spacerowałyśmy z moją smukłą siostrą Lucy po chodniku. Miałyśmy na sobie czapki baseballówki, szorty, kostiumy kąpielowe, a na nogach klapki. Jadłyśmy lody na waflu. Mogłam zamknąć oczy i widzieć, jak moje opalone nogi odróżniały się od białych szortów, poczuć, jak lody rozplývają się na języku. Miło wyglądająca kobieta o białych włosach podeszła do nas z uśmiechem. Spodziewałam się, że powie coś w stylu: jak bardzo przypominamy jej wnuczki, albo że wywołałyśmy w niej tęsknotę za swoją siostrą, za tym, jak było im razem dobrze. Zamiast tego, skinęła głową na Lucy, podeszła do mnie i wskazała palcem rożek z lodem. — Nie potrzebujesz tego, kochanie — oznajmiła. — Powinnaś być na diecie. — Pamiętałam takie rzeczy. Przez całe życie narastały takie nieprzyjemności. Wszystkie te przewlekłe rany nosiłam wszędzie ze sobą, jak kamienie zaszyte w kieszeniach. Cena, jaką trzeba zapłacić za bycie Większą Kobiętą. *Nie potrzebujesz tego*. Nie mam bólu. Co za dowcip.

Lekarz odchrząknął. — Pomówmy teraz chwilę o motywacji.

— Och, jestem bardzo zmotywowana. — Podniosłam głowę, zdołałam wysilić się na mały, krzywy uśmiech. — Może pan coś powiedzieć?

Odpowiedział uśmiechem. — Szukamy także osób, które mają właściwy rodzaj motywacji. — Zamknął teczkę z moimi papierami i skrzyżował ręce nad nieistniejącym brzuchem. — Pewnie już o tym wiesz, ale osoby, które mają największe sukcesy długoterminowe w zarządzaniu swoją wagą, zdecydowały się zrzucić wagę dla samych siebie. Wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu.

— Chciałbym się dowiedzieć — powiedział — czy możesz podać jakieś powody zamiaru utraty wagi, inne niż złość i obecne zdenerwowanie.

— Nie jestem zła — zaprotestowałam groźnie.

Nie uśmiechał się. — Czy możesz pomyśleć o innych powodach?

— Jestem fatalna — zaczęłam się zwierzać. — Jestem samotna. Nikt nie chce się ze mną umówić, bo tak wyglądam. Umrę w samotności, a mój pies zje moją twarz. I nikt nas nie znajdzie, dopóki zapach śmierci nie wydostanie się przez szparę w drzwiach.

— Wydaje mi się to wysoce nieprawdopodobne — odparł z uśmiechem.

— Nie zna pan mojego psa — powiedziałam. — A więc wchodzę? Będę zażywać te leki? Czy mogę już teraz coś dostać?

Uśmiechnął się do mnie. — Będziemy w kontakcie. — Wstałam. Założył na szyję stetoskop i postukał po stole do badań. — Przy wyjściu pobiorą ci krew do zbadania. A ja teraz muszę osłuchać przez chwilę twoje serce. Podejdź do mnie bliżej, proszę.

Usiadłam wyprostowana na stole, na zmiętej kartce papieru i zamknęłam oczy, gdy jego ręce przesuwały się po moich plecach. Po raz pierwszy od czasów Bruce'a mężczyzna mnie dotykał, z szacunkiem czy życzliwością. Na tę myśl moje oczy zapełniły się. Nie, nie rób tego, pomyślałam gwałtownie, nie płacz teraz.

— Oddychaj — Dr K. powiedział uspokajająco. Gdyby choć trochę zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, nie pozwoliliby sobie na to.

— Głęboki, ładny wdech... zatrzymaj go... i wypuść.

— Czy jeszcze tam jest? — zapytałam, wpatrując się w jego głowę, pochyloną, gdy wpychał mi stetoskop pod prawą pierś. I wtedy, zanim potrafiłabym się powstrzymać: — Czy brzmi jak złamane?

Wyprostował się, uśmiechając. — Wciąż tam jest. I nie jest złamane. I tak naprawdę, to brzmi jak silne i zdrowe serce. — Podał swoją dłoń.

— Będziemy w kontakcie.

Na zewnątrz, w korytarzu, Lily, kobieta w stokrotkowej koszuli, siedziała wciąż wciśnięta w swój fotel, połowa suchego bajgla spoczywała na jej kolanie. — No i co? — spytała.

— Dadzą mi znać — odpowiedziałam. W ręce trzymała kartkę z odbitym na ksero artykułem „Kochając Większą Kobietę” Bruce'a Gubermana. — Widziałaś to? — zapytała mnie.

Przytaknęłam głową.

— To jest wspaniałe — powiedziała. — Ten facet naprawdę to ujął. — Podniosła się na tyle, na ile fotel jej na to pozwalał i spojrzała mi prosto w oczy. — Czy możesz sobie wyobrazić tę idiotkę, która takiemu facetowi pozwoliła odejść?

Rozdział IV

Uważam, że każdy, kto nie ma partnera, powinien sprawić sobie psa. Uważam, że rząd powinien wkroczyć do akcji i zainterweniować: jeśli nie jesteś w związku małżeńskim, czy jakimkolwiek innym, jeśli cię porzucono, rozwiedziono czy owdowiono, powinnaś, czy też powinieneś sobie natychmiast sprawić zwierzęcego towarzysza.

Psy nadają twoim dniom bieg i cel. Nie możesz spać śmiesznie długo, czy też szwendać się całymi dniami i nocami, jeśli masz uzależnionego od siebie psa.

Każdego ranka, bez względu na to, co piłam, co robiłam, czy moje serce było czy nie było złamane, Nifkin budził mnie, lekko dotykając nosem moje powieki. Jest wyjątkowo wyrozumiałym, małym pieskiem, zdolnym siedzieć cierpliwie na kanapie z wdzięcznie skrzyżowanymi przed sobą łapami, podczas gdy ja śpiewałam do *My Fair Lady* czy wycinałam przepisy z *Family Circle*, które dostawałam w subskrypcji, chociaż, jak lubiłam żartować, nie miałam ani rodziny, ani kółka.

Nifkin jest małym i czystym, szczerzym terierem, białym w czarne plamy i brązowe znaki na długich, cienkich łapach. Waży dokładnie 4,5 kilograma i wygląda jak anorektyczny i przewrażliwiony Jack Russell, z uszami dobermana-pinczera, stojącymi wciąż na sztorc, jak przyczipione do jego łba. To pies używany. Odziedziczyłam go po trzech dziennikarzach z działu sportowego, których znałam w poprzedniej redakcji. Wynajmowali razem dom i zdecydowali, że dom potrzebuje psa. Wzięli więc z schroniska Nifkina, sądząc, że to był szczeniak dobermana-pinczera. Oczywiście, nie był nim... a wyrósł z niego szczerzy terier ze zbyt wielkimi uszami. Tak naprawdę, to wygląda jakby go poskładano dla żartu z dwóch różnych psów. A na pysku ma stale szyderczy uśmiech Elvisa — skutek tego, jak wieść niesie, że matka go biła, jak był malutki. Ale powstrzymuję się od uwag na temat jego wad, gdy jestem w zasięgu jego słuchu. Jest taki wrażliwy na punkcie swojego wyglądu. Tak, jak jego matka.

Redaktorzy sportowi spędzili z nim sześć miesięcy, albo poświęcając mu dużo uwagi, kąpiąc go, dając mu do picia piwo z jego miski, albo znowu zamykając go w kuchni, kompletnie ignorując, czekając wciąż, aż urośnie i zmieni się w prawdziwego dobermana-pinczera. Aż jeden z nich dostał pracę w *Fort Lauderdale Sun-Sentinel*, a pozostali dwaj zdecydowali się rozdzielić i przeprowadzić do własnych mieszkań. Żaden z nich nie chciał zabrać ze sobą małego, niespokojnego Nifkina, który w żadnym calu nie przypominał dobermana-pinczera (no, może za wyjątkiem uszu).

Pracownikom przysługiwały darmowe ogłoszenia w gazecie, zamieścili więc swoje, o treści: „Jednego psa, małego, łaciatego, za darmo do dobrego domu”, które pojawiało się przez dwa tygodnie bez żadnego efektu. Zdesperowani, ze spakowanymi walizkami i wplaconymi już kau-

cjami za nowe mieszkania, zastąpili mi drogę w kawiarni redakcyjnej.

— Ty albo znowu schronisko — powiedzieli.

— Czy demoluje mieszkanie?

Wymienili zakłopotane spojrzenia. — W pewnym sensie — powiedział jeden. — W większości — oznajmił drugi.

— Czy przeżuwa rzeczy?

Kolejne zażenowane spojrzenia. — Lubi kowbojki — powiedział jeden. Drugi się nie odzywał, z czego wywnioskowałam, że Nifkin pewnie lubi też inne buty, paski, portfele i wszystko, co znajdzie na swojej drodze.

— A czy nauczył się spacerować na smyczy, czy jednak wciąż za nią ciągnie? I czy wydaje wam się, że zareaguje na coś innego niż Nifkin?

Spojrzeli po sobie. — Widzisz, Cannie — jeden z nich w końcu się odezwał — wiesz, co się dzieje w schroniskach... chyba że przekonają kogoś, że jest dobermanem-pinczerem. A to raczej mało prawdopodobne.

Zabrałam go. No i oczywiście, Nifkin swoje pierwsze miesiące ze mną spędził w rogu pokoju dziennego, czając się ukradkiem i wygryzając dziurę w kanapie, zachowując się jak głupi królik za każdym razem, gdy smycz była przyczepiana do jego obroży. Kiedy się przeprowadziłam do Filadelfii, zdecydowałam, że od tego momentu będzie inaczej. Poddałam Nikina rygorowi: spacer o 7:30 rano, kolejny o 16:00, za co płaciłam dzieciakowi z sąsiedztwa dwadzieścia funtów tygodniowo, a potem zdrowotna przechadzka przed snem. Po sześciu miesiącach takiego obozu posłuszeństwa przestał przeżuwać i niszczyć w domu moje rzeczy, i był ogólnie rzecz biorąc zadowolony idąc grzecznie obok mnie, chyba że przeszkodziła mu w tym jaskółka albo skateboardzista. Dla jego rozwoju pozwalałam mu siadać na meblach. Rozkładał się obok mnie na kanapie, gdy oglądałam telewizję i spał co noc skulony na poduszce tuż obok mojej głowy.

— Ty kochasz tego psa bardziej niż mnie — narzekał Bruce, a prawdą było, że Nifkin był beznadziejnie zepsuty, z całym zestawem pluszaków, gumowych kości, małych, wełnianych sweterków i smakołyków oraz, co mi wstyd przyznać, swoją małą, psią sofą, obitą tym samym denimem, co moja kanapa, gdzie sypiał, gdy byłam w pracy. (Prawdą było również, że Bruce na nic mu się nie przydawał, nie kłopotał się nawet tym, by wyjść z Nifkinem na spacer. Przychodziłam do domu z siłowni czy przejażdżki rowerowej, czy też z długiego dnia w pracy i znajdowałam Bruce'a rozciągniętego na mojej kanapie — często ze swoją lufką marihuany w pobliżu — a Nifkina ulokowanego na jednej z poduszek, niemilosiernie drżącego, jakby miał za chwilę eksplodować. — Czy był na spacerze? — pytałam, a Bruce, zawstydzony, wzruszał ramionami. Gdy powtórzyło się to z tuzin razy, przestałam pytać.) W pracy miałam zdjęcie Nifkina jako wygaszacz ekranu i zapisałam się na subskrypcję wiadomości emailowych do *Ratter Chatter*, chociaż powstrzymałam się od wysłania im jego zdjęcia — jak dotąd.

Gdy byliśmy razem w łóżku, Bruce i ja wymyślaliśmy historie z życia Nifkina. Według mnie, Nifkin urodził się w majątnej rodzinie brytyjskiej, ale jego ojciec wyparł się go po tym, jak odkrył go w kompromitującej sytuacji w stodole z jednym z chłopców stajennych i wydalil go do Ameryki.

— Może pracował jako dekorator okien wystawowych — Bruce dumal, kladac rękę na mojej głowie.

— Z ręcznie robionymi kapeluszami — gruchałam i wtulałam się w niego. — Założę się, że kręcił się przy Studio 54.

— Prawdopodobnie znał Trumana.

— I nosił ubrania szyte na miarę, i miał laskę.

Nifkin patrzył na nas oboje, jakbyśmy zwariowali i wynosił się do pokoju dziennego. Nachylałam głowę do pocałunku i zaczynaliśmy z Bruce'em wyścigi od początku.

Ale tak samo, jak ja uratowałam Nifkina od reporterów sportowych, ogłoszeń w gazecie i schroniska, tak samo on także wybawił mnie. Powstrzymał mnie od bycia samotną, dawał mi powód dla codziennego wstawania rankami i kochał mnie. A może po prostu kochał fakt, że wiałam przeciwstawne kciuki i potrafiłam działać jako otwieracz do puszek. Cokolwiek. Gdy nocą kładł swoją mordkę koło mojej głowy, wzdychał i zamykał oczy, mnie to wystarczało.

Następnego ranka po mojej wizycie w klinice zarządzania wagą przyczepiłam Nifkina do jego przedłużonej smyczy, schowałam do prawej kieszeni plastikowy worek z Wal-Marta, a do lewej — cztery psie ciasteczka i piłeczkę tenisową. Nifkin skakał naokoło jak zwariowany, przeskakując z mojej kanapy na swoją, następnie biegł w głąb przedpokoju, do sypialni i z powrotem, z lekko przesadzoną prędkością, zatrzymując się jedynie po to, by mnie liznąć po nosie. Każdego ranka dla niego to był cały ceremoniał. Tak! zdawał się mówić. Jest rano! Kocham poranki! Poranek! Chodźmy na spacer! W końcu udawało mi się go wyprowadzić za drzwi, ale on wciąż skakał przy moim boku, gdy usiłowałam wydobyć okulary przeciwsłoneczne i je założyć. Wychodziliśmy na ulicę, Nifkin praktycznie tańcząc, ciągnąc mnie za sobą.

Park był prawie opustoszały. Tylko para złotych psów myśliwskich obwąchiwała krzaki i wyniosły cocker spaniel królował w rogu. Odpięłam mojego pieska, który pospiesznie i bez prowokacji wykonał nalot na spaniela, wściekle na niego szczekając.

— Nifkin! — wrzasnęłam, wiedząc jednak, że jak tylko znajdzie się na pół metra od drugiego psa zatrzyma się, wyda głębokie, pogardliwe prychnięcie, być może szczeknie kilka razy i zostawi psa w spokoju. Ja to wiedziałam i Nifkin to wiedział, i więcej niż pewne, że cocker spaniel też to wiedział (z doświadczenia znałam, że inne psy z reguły ignorowały Nifa, gdy wpadał w ten swój atakujący tryb, pewnie dlatego, że był bardzo mały i nie taki groźny, nawet kiedy się starał). Ale właściciel psa wyglądał na zatrwożonego, gdy zobaczył łaciaty, szczuro-terierowy pocisk nacierający na jego ulubieńca.

— Nifkin — krzyknęłam ponownie, a mój pies wreszcie mnie dosłyszał, zatrzymał się nieruchomo na swoim szlaku. Czym prędzej podbiegłam, starając się wyglądać dostojnie, i zgarnęłam go w ramiona, trzymając za kark, patrząc mu w oczy i mówiąc: — Nie — i: — Zły — w sposób, jakiego się nauczyłam w Lecznicy Posłuszeństwa. Nifkin zaskomlał i spojrzał na mnie, niezadowolony z przerwanej zabawy. Cocker spaniel merdał niepewnie ogonem.

Właściciel cocker spaniela wyglądał na rozbawionego.

— Nifkin? — zapytał. Mogłam dostrzec, że przygotowuje się do zadania pytania. Zastanawiałam się, czy miał tupet. Zrobiłam ze sobą zakład, że miał.

— Czy wiesz, co to jest nifkin? — zapytał. Punkt, Cannie. Nifkin, według przyjaciół mojego brata, to obszar pomiędzy jądrami faceta a jego pupą. Ci goście z działu sportowego go tak nazywali.

Zrobiłam swój najlepszy, zakłopotany wygląd. — Hm... to jego imię. Czy ono cokolwiek znaczy?

Facet zaczerwienił się. — No, taaak. To jest, hm... rodzaj określenia slangowego.

— A na co? — spytałam, starając się wyglądać niewinnie. Mężczyzna zaszurał nogami. Patrzyłam na niego wyczekująco. Tak samo Nifkin.

— Hm... — zaczął i przerwał. Postanowiłam zdobyć się na litość.

— Tak, ja wiem, co oznacza nifkin — powiedziałam. — To był używany pies. — Opowiedziałam mu w skrócony sposób o redaktorach sportowych. — I wtedy, gdy się w końcu dowiedziałam, co nifkin znaczy, było już za późno. Próbowałam nazywać go Nifty... i Napkin... i Rapkin, i cokolwiek mi tylko przychodziło do głowy. Ale nie odpowiadał na nic innego, tylko na Nifkina.

— A to kiepsko — skomentował, śmiejąc się. — Jestem Steve — powiedział.

— Ja Cannie. A jak nazywa się twój pies?

— Sunny — odparł. Nifkin i Sunny obwąchiwali się wstępnie, gdy ja i Steve podawaliśmy sobie rękę.

— Dopiero niedawno się tu przeprowadziłem, z Nowego Jorku — mówił. — Jestem inżynierem...

— Rodzina w mieście?

— Nie. Jestem sam. — Miał ładne nogi. Opalone, lekko owłosione. No i te głupie sandały z paskami Velcro, które każdy nosił tego lata. Szorty khaki, szary T-shirt. Urocze.

— Wybrałabyś się może kiedyś na piwo? — zapytał.

Milutkie, i z pewnością nie wynikało to z niechęci do spoconej kobiety o dużych rozmiarach.

— Pewnie. Byłoby mi bardzo miło.

Uśmiechnął się do mnie spod baseballowej czapki. Podałam mu swój numer, starając się nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, ale mimo wszystko czując się z siebie zadowolona.

Gdy byliśmy z powrotem w domu, dałam Nifkinowi kubek Smali Bitesów, zjadłam moje Special K, a potem wypłukałam gardło, wyczyściłam nitką zęby, wzięłam głębokie, uspokajające oddechy, przygotowując się do wywiadu z Jane Sloan, niezwykłą panią reżyser, której portret mam zaprezentować w niedzielnym wydaniu naszej gazety. Z szacunku dla jej sławy i ponieważ będziemy jeść obiad w bardzo wytwornym hotelu Four Seasons, ze szczególną dbałością dobiierałam ubrania, wciskając się zarówno w pas ściskający brzuch, jak i raj tuzy ze ściągającą górą. Gdy mój tułów był już przygotowany, włożyłam lodowoniebieską spódnicę, lodowoniebieski zakiet z modnymi guzikami w kształcie gwiazd i obowiązkowo toporne, czarne loafery z grubym szwem, mundurowe buty dla dwudziestoparolatek. Modliłam się o siłę i opanowanie, i o to, by palce Bruce'a uległy złamaniu w jakimś dziwnym wypadku przy pracy, gwarantującym, że już nigdy nie będzie mógł nic napisać. Wtedy zadzwoniłam po taksówkę, zabrałam notes i udałam się do Four Seasons na lunch.

Piszę o Hollywood dla *Philadelphia Examiner*. To nie jest takie proste, jakby się zdawało, ponieważ Hollywood jest w Kalifornii, a ja, niestety, nie.

Jeszcze nie, utrzymywałam. Piszę o trendach, plotkach, o nawykach dobierania się w pary gwiazd i gwiazdeczek. Robię recenzje, a nawet okazjonalnie wywiady z garstką sław, które raczyły zatrzymać się na Wschodnim Wybrzeżu podczas swojej trasy promocyjnej.

Zawędrowałam do dziennikarstwa po ukończeniu college'u, z dyplomem z angielskiego i bez konkretnych planów. Chciałam pisać. Gazeta to było jedno z tych niewielu miejsc, o których było mi wiadomo, że mogą płacić za pisanie. Więc we wrześniu, po skończeniu szkoły, zatrudniłam się w małej redakcji w Pensylwanii. Przeciętnym wiekiem zatrudnionych tam dziennikarzy były dwadzieścia dwa lata. Łączny okres naszego doświadczenia nie wyniósł nawet dwóch lat i, o rany, to było widać.

W *Central Valley Times* pisałam reportaże z pięciu szkolnych dzielnic, plus wybranych pożarów, wypadków samochodowych i jakichkolwiek innych zdarzeń, o których mogłam wyprodukować artykuł. Płacono mi za to księżęcą kwotę 300 dolarów tygodniowo — dość, by przeżyć, tak zwyczajnie, jeśli nic się nie wydarzało. No, a oczywiście ciągle coś się zdarzało.

Potem były ogłoszenia zaślubin. *CVT* było jedną z ostatnich gazet w kraju, które wciąż prowadziły, nieodpłatnie, obszerne opisy ślubów oraz, biada mi, ślubnych sukni. Szwy księżnej, koronka alencon, francuskie hafty, zwiewne welony, perlisterki, marszczone turniury... wszystkich tych określeń używałam tak często, że zachowałam je pod wybranymi klawiszami klawiatury. Tylko jedno przyciśnięcie klawisza i otrzymywałam kompletne wyrażenie: *oryginalny haft z pereł czy bufy z tafty w kolorze kości słoniowej*.

Któregoś dnia pisałam znużona kolejne obwieszczenie o ślubie i dumałam nad niesprawiedliwością na świecie, kiedy pojawiło się słowo, którego nie potrafiłam odczytać. Wiele z naszych

młodych panien wypełniało formularze odręcznie. A ta konkretna panna miała pochyły charakter pisma, pełen pętelek i zawijasów, i napisała tak fioletowym atramentem słowo, które wyglądało jak PAN-MOS.

Zaniosiłam ten formularz do Raji'ego, innego nowoupięzonego reportera. — Co tu jest napisane?

Zmrużył oczy na widok fioletu. — PAN-MOS — przeczytał wolno.

— Jak M-DOS, czy coś takiego.

— Dla określenia sukienki?

Raji wzruszył ramionami. Podrastał w centrum Nowego Jorku, a potem chodził do szkoły dziennikarskiej *Columbia Journalism School*. Wyrażenia środkowych pensylwańczyków były mu obce. Skierowałam się z powrotem do mojego biurka; Raji powrócił do swojej czarnej roboty, pisząc tygodniowe szkolne menu obiadowe. — Tater Tot³ — słyszałam, jak wzdycha. — Zawsze Tater Tot.

Co zostawiło mnie samą z PAN-MOS-em. W rubryce „kontakt w razie pytań” panna młoda nabazgrała swój domowy numer telefonu. Westchnęłam głęboko, podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

— Halo? — odpowiedział radośnie kobiecy głos.

— Dzień dobry — zaczęłam — mówi Candace Shapiro z *Valley Times*. Chciałabym rozmawiać z Sandrą Garry...

— Tu Sandy — zaszczebotała kobieta.

— Witaj, Sandy. Słuchaj, opracowuję tutaj ogłoszenia ślubne i czytam właśnie twój formularz i napotkałam słowo... PAN-MOS?

— Piana morska — odpowiedziała szybko. W tle usłyszałam, jak dziecko krzyczało — Ma! — co brzmiało jak w telewizyjnej operze mydlanej. — To kolor mojej sukni.

— Aha — zrozumiałam. — No cóż, to w zasadzie wszystko, co chciałam wiedzieć, więc dziękuję...

— Z wyjątkiem, że... może... To znaczy, czy wydaje ci się, że ludzie będą wiedzieć, co oznacza piana morska? No, na przykład, co tobie przychodzi do głowy, gdy pomyślisz o pianie morskiej?

— Zielona? — zaryzykowałam. Naprawdę chciałam odłożyć już słuchawkę. W bagażniku miałam trzy kosze bielizny do wyprania. Chciałam już wyjść z biura, iść na siłownię, uprać ciuchy, kupić mleko.

— Jakby jasnozielona, wydaje mi się.

Sandy westchnęła. — Widzisz, to nie to — zmartwiła się. — Uważam, że to jest bardziej

³ Zapiekanka z ziemniaków.

niebieski kolor. Dziewczyna w sklepie Bridal Barn powiedziała, że na ten kolor mówi się piana morska, ale wydaje mi się, że to bardziej brzmi jak zielony.

— Możemy napisać niebieski — zaproponowałam. Kolejne westchnięcie Sandy. — Jasno-niebieski? — próbowałam.

— Widzisz, ale to nie jest tak dokładnie niebieski — powiedziała.

— Napiszesz niebieski, ale ludzie, wiesz, pomyślą o niebieskim jak niebo, albo ciemnoniebieskim, a to nie jest żaden ciemny kolor...

— Bładoniebieski? — zasugerowałam, przelatując przez gamę nagromadzonych przez doświadczenie synonimów z ogłoszeń ślubnych.

— Lodowy niebieski? Niebieski jaja drozda?

— Nie wydaje mi się, żeby którekolwiek z nich się nadawało — powiedziała Sandy z przesadnym przejęciem.

— Hmm... — poddałam się. — Jeśli chcesz może to przemyśleć i do mnie oddzwonić...

To wtedy właśnie Sandy zaczęła płakać. Słyszałam, jak łkała po drugiej stronie telefonu, z odgłosami opery mydlanej w tle, a dziecko, które wyobrażałam sobie z lepкими policzkami i obolałym palcem u nogi po upadku, dalej kwiliło — Ma!

— Chcę, by było dobrze — wykrztusiła pomiędzy kolejnymi łkaniami. — Wiesz, czekałam na ten dzień tak długo... chcę, żeby wszystko było doskonale... a nie potrafię nawet powiedzieć, w jakim kolorze jest moja suknia...

— Och, nie — powiedziała, czując się absurdalnie nieudolna.

— Och, posłuchaj, to przecież nie jest tak źle...

— Może mogłabyś tu przyjechać? — zapytała, wciąż płacząc. — Jesteś dziennikarką, prawda? Może mogła byś popatrzeć na moją suknię i powiedzieć, jak jest naprawdę.

Pomyślałam o moim praniu, o planach na wieczór.

— Proszę? — pytała Sandy cieniutkim, błagalnym głosem.

Westchnęłam. Powiedzmy, że pranie może poczekać. A teraz to byłam już nawet ciekawa. Kim była ta kobieta i jak ktoś, kto nie potrafi napisać „piana morska”, mógł znaleźć swą miłość?

Spytałam, jak do niej dojechać, przeklinając się w duchu za bycie taką mięczarą i powiedziałam jej, że będę za godzinę.

Aby być zupełnie uczciwą, spodziewałam się przyczepy. W środkowej Pensylwanii było ich pełno. Ale Sandy mieszkała w prawdziwym domu, małym, białym, z czarnymi okiennicami i płotkiem z palików. Ogród z tyłu szczycił się plastikowym, pomarańczowym superbaniakiem na deszcz, porzuconym dużym kołem, nową huśtawką. Na podjeździe była zaparkowana błyszcząca, czarna ciężarówka, a Sandy stała w drzwiach — około trzydziestki, z oczami podkrążonymi, ale również i pełnymi nadziei. Włosy miała koloru jasnoblond, cienkie, jak z utkanego cukru, i lekko

utrącony nosk oraz szerokie, niebiesko-kukurydziane oczy malowanej figurki.

Wysiadłam z samochodu z notesem w dłoni. Sandy uśmiechnęła się przez oszklone drzwi. Mogłam dostrzec dwie małe rączki wczepione w jej udo, twarz dziecka zerkającego zza jej nogi, a potem znikającego za nią.

Dom był urządony tanimi meblami, ale czysty, wysprzątany, ze stertami magazynów na sośnowym, forniowanym stoliku do kawy: *Guns & Ammo, Road & Truck, Sport & Field*. Kolekcja „&”, pomyślałam. Na całej podłodze w pokoju dziennym była pudrowoniebieska wykładzina; nowe, białe linoleum — ten rodzaj, który rozwija się z jednej całości, ze wzorem oddzielnych kafelków — pokrywało podłogę w kuchni. — Czy chcesz wody mineralnej? Bo ja właśnie miałam sobie nalać — powiedziała nieśmiało.

Nie chciałam wody. Chciałam zobaczyć suknię, znaleźć dla niej odpowiednie określenie, wyskoczyć z powrotem na drogę i być dobrą i nieobecną, zanim zaczniesz się „Melrose Place”. Ale ona wydawała się taka przygnębiona, a ja byłam spragniona, więc zdecydowałam się usiąść przy jej kuchennym stole, pod przyczepioną na ścianie kartką „Pobłogosław Ten Dom”, z notesem przy boku.

Sandy nabrała łyk wody, po czym jej się odbiło, co przysłoniła dłonią, zamknęła oczy i potrząsnęła głową. — Wybacz mi, proszę.

— Czy jesteś zdenerwowana z powodu ślubu? — zapytałam.

— Zdenerwowana? — powtórzyła, a potem zaśmiała się lekko. — Kochanie, ja jestem przeżona!

— Czy to... — chciałam postępować tutaj bardzo ostrożnie — czy już wcześniej przygotowywałaś się do ślubu?

Sandra kiwnęła głową. — Ale nie tak. Za pierwszym razem uciekłam z domu. To było wtedy, kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży z Trevorem. Sędzia pokoju pod szyldem amerykańskiego orła — powiedziała. — Miałam wtedy na sobie suknię ze studenckich imprez na zakończenie roku.

— Och — skomentowałam.

— Za drugim razem — ciągnęła dalej — nie było ślubu w ogóle. To był tata Dylana, którego można by nazywać łóżkowym mężem. Byliśmy razem siedem lat.

— Dylan to ja! — zapiszczał cienki głosik spod stołu. Mała, gładko ulizana, blond główka wyjrzała na zewnątrz. — Mój tatuś jest w wojsku.

— Tak jest, kochanie — powiedziała Sandy, zamyślona czochrając jedną ręką włosy Dylana. Uniosła znacząco do mnie brwi, pokiwała głową i wyszeptowała: — W-i-ę-z-i-e-n-i-u.

— Och — znowu skomentowałam.

— Za kradzież samochodów — szeptała. — Nic, widzisz, takiego wielkiego. Tak właściwie to Bryana, mojego narzeczonego, poznałam, kiedy byłam na odwiedzinach u taty Dylana.

— Zatem Bryan jest... — właśnie zaczynałam się uczyć, jak długa pauza może czasem być najlepszą przyjaciółką dziennikarza.

— Od jutra na zwolnieniu warunkowym — powiedziała Sandy.

— Siedział za malwersacje.

Co, jak wywnioskowałam z dumy w jej głosie, było krokiem wyżej od fatalnych kradzieży samochodów.

— Więc poznałaś go w więzieniu?

— Tak naprawdę to pisywaliśmy do siebie trochę wcześniej — odpowiedziała Sandy. — Dał ogłoszenie do gazety... o, tutaj, zachowałam je!

— Zerwała się z nóg, przez co zagrzechotały szklanki z wodą, i wróciła po chwili z laminowanym kawałkiem papieru, nie większym niż znaczek pocztowy. A na nim była następująca treść: „Chrześcijanin, dzentelmen, wysoki, atletycznie zbudowany, Lew, szuka wrażliwej przyjaciółki do korespondencji i może czegoś więcej.”

— Dostał dwanaście odpowiedzi — ciągnęła dalej Sandy, promieniejąc wręcz z radości. — Powiedział, że mój list najbardziej mu się podobał.

— A co mu napisałaś?

— Byłam naprawdę uczciwa — przyznała. — Wy tłumaczyłam moją sytuację. Jak jestem samotną matką. Jak potrzebowałam wzorca dla moich chłopców.

— I myślisz...

— Będzie dobrym ojcem — powiedziała. Usiadła z powrotem, przyglądając się swojej szklance, jakby zawierała ona tajemnice wieków, zamiast zwykłej wody. — Wierzę w miłość — oznajmiła, głosem silnym i zdecydowanym.

— Czy twoi rodzice... — zaczęłam. Pomachała ręką w powietrzu, jakby chciała przegonić samą myśl.

— Mój ojciec opuścił nas, gdy miałam cztery lata — mówiła. — A potem to była tylko moja mama i jej przyjaciele, jeden po drugim. Tata Rick, Tata Sam, Tata Aaron. Przysięgam sobie, że tak nie będzie w moim przypadku. I nie jest — zaprzeczyła. — Myślę... wiem... że tym razem już będzie dobrze.

— Mamusiu? — Dylan pojawił się z tyłu, z zaczerwienionymi wargami, trzymając brata za rękę. Podczas, gdy Dylan był mały, szczupły i jasnowłosy, ten chłopiec — Trevor, jak mogłam sądzić — był ciemnowłosy i mocno zbudowany, z zamyślonym wyrazem twarzy.

Sandy wstała i rzuciła mi niepewny uśmiech. — Zaczekaj tutaj — oznajmiła. — Chłopcy, chodźcie ze mną. Pokażmy pani reporter śliczną suknię mamy!

Po tym wszystkim — więzieniu, mężach, ogłoszeniu Chrześcijanina — byłam przygotowana na coś okropnego, coś z resztek pozostałych po wyprzedaży, coś wywołującego horror. Firma Bridal Barn specjalizowała się w takich sukniach.

Ale suknia Sandy była piękna. Mocno dopasowana na górze, zwężony stanik mieniący się od kryształków wielkości płatków śniegu, odbijających światło, głęboko wycięty dekolt, który wydaniał kremową skórę jej piersi, rozszerzająca się mocno w dół, poprzez fale tiuli, szeleszczące wokół jej stóp. Policzki miała zarumienione, a jej niebieskie oczy iskrzyły się. Wyglądała jak matka chrzestna Kopciuszka, jak dobra wróżka Glinda. Trevor trzymał ją poważnie za rękę, gdy wchodziła do kuchni, mrużąc „A oto nadchodzi Panna Młoda”. Dylan przywłaszczył sobie jej welon i przymocował do własnej głowy.

Sandy stanęła w kuchennym świetle i wykonała obrót. Krańce sukni zaszemrały po podłodze. Dylan śmiał się i klaskał w dłonie, a Trevor wpatrywał się w swoją matkę, w jej gołe ramiona i opadające na nie włosy. Ona obracała się i obracała, a jej synowie patrzeli na nią jak zaczarowani, aż się w końcu zatrzymała. — I co o tym myślisz? — zapytała. Policzki miała zaróżowione i ciężko oddychała. Widziałam, jak z każdym oddechem jej pierś nabrzmiewała pod ufryzowanymi krańcami stanika. Obróciła się jeszcze raz i mogłam zobaczyć malutkie pączki róży z materiału, przymocowane na całej długości z tyłu sukni, zmarszczonej jak buzia niemowlaka. — Czy jest niebieska? Zielona?

Patrzałam na nią przez dłuższą chwilę, na jej różowe policzki i mleczną cerę, i rozpromienione oczy jej synów.

— Nie jestem dokładnie pewna — rzekłam. — Ale coś wymyślę.

Nie udało mi się zdążyć z terminem, oczywiście. Wydawca działu miejskiego dawno już poszedł, zanim zdążyłam wrócić do redakcji, po tym jak Sandy pokazała mi zdjęcia Bryana i opowiedziała o ich planach na miodowy miesiąc, po tym jak przeczytała synom *Gdzie żyją dzikie zwierzęta* i pocałowała ich w czołko i policzki, po tym jak dodała naparstek bourbona do swojej wody sodowej i połowę tego do mojej. — On jest dobrym człowiekiem — powiedziała rozmazana. Jej rozżarzony papieros wyglądał jak świetlik.

Miałam do napisania tekst na 7,5 centymetrów, mogłam napisać tylko tyle, by wypełnić przydzieloną przestrzeń pod zamazaną fotografią uśmiechniętej Sandy. Usiadłam przed moim komputerem, moja głowaintensywnie pracowała, wprowadziłam na ekran formularz do zgłaszania małżeństw, ten z miejscami na: imię pana młodego, imię panny młodej, nazwiska świadków, uczestników, opis sukni. Wtedy przycisnęłam klawisz „ESC”, wyczyściłam ekran, nabrałam większego oddechu i napisałam:

W dniu jutrzejszym Sandra Lousie Garry poślubi Bryana Perrault w Kościele Najświętszej Panny Miłosiernej przy ulicy Old College. Będzie podążać wzdłuż nawy kościelnej z kryształowymi grzebykami wpiętymi we włosy i przyrzeknie miłość szacownemu i uwielbianemu przez nią Bryanowi. Jego listy przechowuje pod poduszką, z których każdy przeczytany był tyle razy, że zrobiły się cieniutkie jak motyle skrzydła.

— Wierzę w miłość — twierdzi Sandy, chociaż cynik mógłby powiedzieć, że wszystkie znaki wskazują, iż to nieprawda. Jej pierwszy mąż opuścił ją, a drugi jest w więzieniu — w tym samym więzieniu, gdzie poznała Bryana, którego zwolnienie warunkowe rozpoczyna się dwa dni przed ślubem. W listach nazywa ją swą małą golębiczką, swym doskonałym aniołem. W kuchni, przy ostatnim z trzech papierosów, na które sobie pozwala każdego wieczora, Sandy mówi o narzeczonym, że jest jej księciem.

Jej synowie, Dylan i Trevor, wezmą udział w ceremonii. Suknia Sandy jest koloru zwanego pianą morską, koloru idealnie wyważonego pomiędzy jaśniutko niebieskim a jaśniutko zielonym. To nie jest kolor biały, kolor dla dziewczicy, nastolatki z głową pełną słodkich romansów, czy kolor kości słoniowej, czyli biały zmieszany ze zrezygnowaniem. Jej suknia jest koloru marzeń.

Dobrze. Trochę kwieście, w zagmatwany i wymęczony sposób. Suknia koloru marzeń? Całość miała znamiona zajęć z kreatywnego pisania w college'u, w każdej wręcz sylabie. Następnego ranka przyszedłam do pracy i znalazłam kopię artykułu przymocowaną do klawiatury komputera, problematyczny fragment zakreślono grubym, czerwonym mazakiem szefa. „ZOBACZ SIĘ ZE MNĄ”, mówiła krótka notka na marginesie, pismem nieomylnego Chrisa, redaktora naczelnego, często roztargnionego południowca, który dał się skusić na przeprowadzkę do Pensylwanii, na obietnicę przeniesienia się do większej, lepszej gazety w koncernie (na to, plus nie mający sobie równego połów pstrągów). Zapukałam nieśmiało do drzwi jego biura. Kiwnął na znak, bym weszła. Druga kopia mojego artykułu leżała na jego biurku.

— To — powiedział, wskazując spiczastym paluchem na papier. — Co to właściwie miało być?

Wzruszyłam ramionami. — To było właśnie... no dobrze, poznałam tę kobietę. Pisałam jej ogłoszenie i napotkałam słowo, którego nie potrafiłam odczytać, więc zadzwoniłam do niej, potem ją poznałam i wtedy... — mój głos zaczął słabnąć. — Myślałam, że to zabrzmi jak opowieść.

Spojrzał na mnie. — Miałaś rację — odparł. — Chcesz to zrobić ponownie?

I narodziła się gwiazda... no, coś w tym rodzaju. Każdego tygodnia znajdowałam pannę młodą i pisałam o niej mały artykuł — kim była, o jej sukni, o kościele, muzyce i planowanym na później przyjęciu. Ale przede wszystkim pisałam o tym, *jak*: jak młodzi zdecydowali się pobrać i stanąć przed pastorem, rabinem czy sędzią pokoju i przysięgać sobie wieczną miłość.

Widywałam młode i stare panny, ślepe i głuche, drżące nastolatki, ślubujące swoje pierwsze miłości, i dwudziestokilkulatki, zawierające śluby z mężczyznami, o których mówiły: ojcowie naszych dzieci. Brałam udział w pierwszych, drugich, trzecich, czwartych ceremoniach zaślubin i jednej zawieranej po raz piąty. Widziałam ekstrawagancje na ośmiuset gości (wesele ortodoksyjne, gdzie mężczyźni i kobiety tańczyli w oddzielnych salach balowych, i w którym uczestniczyło ośmiu rabinów, wszyscy pod koniec wieczoru ubrani w połyskliwe peruki a la Tina Turner). Wi-

działam parę biorącą ślub w połączonych ze sobą łóżkach szpitalnych, po tym jak wypadek samochodowy spowodował u niej porażenie czterech kończyn. Widziałam, jak na ołtarzu zostawiono pannę młodą, jak jej twarz się marszczyła, gdy drużba, blady i poważny, przeszedł wzdłuż nawy i szeptał, najpierw do ucha mamy panny młodej, a potem do jej ucha.

To było ironiczne, wiem, nawet wtedy. Podczas, gdy rówieśnicy pisywali przygnębiające, sarkastyczne, autorskie kolumny dla rodzących się magazynów internetowych, o tym, jak to jest być samotnym w wielkim mieście, ja się mordowałam w małej, lokalnej gazecie — dinozaurze, drżącym na samym dnie ewolucyjnej drogi mediów, bo będącym na wymarciu — badając związki małżeńskie. Jak niezwykle! Jak uroczo!

Ale ja nie mogłam pisać o sobie tak, jak moi znajomi ze szkoły, nawet jeślibym chciała. Prawdą było, że nie miałam tej rzeźkości, by pisać kronikę mojego własnego życia seksualnego. Ani też nie miałam takiego ciała, które bym mogła swobodnie wystawiać na pokaz, nawet na piśmie. A seks nie interesował mnie tak, jak ślub. Chciałam zrozumieć, jak to jest być w małżeństwie, być na tyle odważnym, by wziąć czyjąś rękę i pochylić się nad tą otchłanią. Analizowałam każdą opowieść panny młodej, każdą niepewną historię o tym, jak się poznali, dokąd chodzili, kiedy się dowiedzieli, zastanawiałam się nad nimi, przyglądałam się im ze wszystkich stron, szukając poluzowanej nici, niewidzialnej blizny, szpary w drzwiach, dzięki której mogłabym je wyważyć, bym mogła odwrócić zdarzenia i poznać całą prawdę.

Ten, który czytałby tę małą gazetę we wczesnych latach dziewięćdziesiątych, mógłby mnie pewnie dostrzec w rogach setek weselnych fotografii, ubraną w niebieską, lnianą suknię — prostą, by nie zwracać na siebie większej uwagi, ale szykowną, z szacunkiem dla powagi uroczystości. Zobaczyłby mnie siedzącą przy nawie, z notesem wciśniętym do kieszeni, wpatrującą się w setki różnych panien młodych — starych, młodych, czarnych, białych, szczupłych, nieszczupłych — poszukującą odpowiedzi. Skąd wiedzieć, że ten facet to właściwy facet? Jak można być tak pewnym, by z całą świadomością coś komuś obiecać na całe życie? Jak można wierzyć w miłość?

Po dwóch i pół latach weselnych zmagani mojej wypociny okazały się trafić na właściwe biurko odpowiedniego redaktora naczelnego dokładnie w chwili, gdy duża gazeta codzienna mojego rodzinnego miasta, *Philadelphia Examiner*, zdecydowała jako instytucja, że atrakcyjna generacja X-czytelników była najważniejsza, i że młoda dziennikarka, dzięki swojemu istnieniu, przyciągnęłaby ich uwagę do gazety. Zaprosili mnie zatem do miasta moich narodzin i namówili, bym nastawiła swoje oczy i uszy na filadelfijskich dwudziestokilkolatków.

Dwa tygodnie później *Examiner* zdecydował jako instytucja, że atrakcyjni czytelnicy generacji X nie są już istotni ani trochę, i powrócił do desperackich prób adresowania nakładu do piłkarskich mam na przedmieściach. Ale szkoda już nastąpiła. Zostałam zatrudniona. Życie było

dobrze. No, w większości.

Od samego początku najbardziej ujemną stroną mojej pracy była Gabby Gardiner. Gabby to masywna, wiekowa kobieta, z niebieskawo-białymi lokami i grubymi, zapaćkanymi okularami. Jeśli ja jestem duża, to ona jest super-duża. Mogłoby się wydawać, że powinna nas łączyć jakaś solidarność, z uwagi na doświadczenie tego samego prześladowania i wspólną walkę o przeżycie w świecie, który uważa każdą kobietę o rozmiarze większym niż 44 za groteskową i wzbudzającą śmiech. Nic jednak bardziej mylnego.

Gabby prowadzi w *Philadelphia Examiner* dział rozrywki i całkowicie wypełnia go sobą, lubi przypominać mi i wszystkim innym w zasięgu słuchu, że istnieje „dłużej, niż ty żyjesz na tym świecie”. Jest to zarówno jej siłą, jak i słabością. Posiada sieć kontaktów, która rozciąga się na oba wybrzeża i dwie dekady. Niestety, te dekady to lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Przestała czuwać gdzieś pomiędzy elekcją Reagana i pojawieniem się kabla, zatem istnieje cały świat rzeczy, począwszy od MTV, który po prostu nie rejestruje się na jej radarze w taki sposób, jak na przykład Elizabeth Taylor.

Wiek Gabby to mogłoby być coś od sześćdziesiątki w górę. Nie miała dzieci ani męża, żadnej dostrzegalnej oznaki seksualności, jak i jakiegokolwiek życia poza biurem. W jej krwi płyną plotki z Hollywood, a jej stosunek do ludzi, o których pisze, jest rzadko inny niż pełen czci. Podaje informacje o gwiazdach z reguły z trzeciej ręki, jako przedruki plotek z gazetek nowojorskich czy gazety *Variety* z Los Angeles, kopalni wiedzy o Hollywood, pisząc o nich tak, jakby byli jej bliskimi czy przyjaciółmi. Co mogłoby chwytać za serce, gdyby Gabby Gardiner była choć odrobinę do nich podobna. Ale nie jest.

Jest jednakże szczęściarą. Szczęściarą, bo większość czytelników *Examinera* jest po czterdziestce i nie jest zainteresowana poznaniem czegoś nowego, więc jej kolumna „Plotkowanie z Gabby” pozostaje wciąż jedną z najbardziej popularnych części naszej gazety — kolejny fakt, który ona często podkreśla, głośno o tym mówiąc (można przyjąć, że ona wręcz krzyczy, ponieważ jest głucha, ale ja jestem przekonana, iż robi tak, bo jest to bardziej irytujące od zwykłego mówienia).

Przez pierwsze lata w *Examinerze* zostawialiśmy się w spokoju. Niestety, sprawy zmieniły się zeszłego lata, kiedy Gabby wzięła dwumiesięczny urlop, by rozwiązać paskudnie brzmiący problem medyczny (jedyne słowo, jakie wychyciłam, to „polipy”, zanim Gabby i jej przyjaciółki rzuciły mi identyczne, tnące jak laser, nienawistne spojrzenia, a ja czmychnęłam z pokoju redakcyjnego, bez zabierania nawet mojego egzemplarza *Teen People*). Podczas jej nieobecności musiałam pisać jej codzienną kolumnę. Przegrała wojnę, ale wygrała bitwę: w dalszym ciągu nazywali to „Plotkowanie z Gabby”, dając krótką notkę napisaną żenująco małą czcionką o tym, jak to Gabby jest autorką kolumny, ale „członek zespołu redakcyjnego *Examinera* Candace Shapiro pisuje dla niej”.

— Powodzenia, dzieciaku — powiedziała Gabby wyniośle, idąc kołysząc biodrami do mojego biurka, by się pożegnać, promieniejąc, jakby nie spędziła ostatnich dwóch tygodni na lobbowaniu redaktorów, by drukowali to, co ona zadesperuje, zamiast dawać mi szansę w czasie jej nieobecności, przypuszczalnie będąc wtedy depolityzowana. — Podałam wszystkim moim źródłom, by do ciebie dzwonili.

Niesamowite, pomyślałam. Gorące plotki o Walterze Cronkite. Nie mogę się doczekać.

Na tym normalnie sprawa powinna się zakończyć, ale się nie skończyła. Każdego ranka, od poniedziałku do piątku, mogłam się spodziewać telefonu od Gabby.

— Ben Affleck? — mówiła chrapliwym głosem. — Co to jest Ben Affleck?

Albo: — *Comedy Central*? Nikt tego nie ogląda.

Albo, uszczypliwie: — Wczoraj widziałam coś o Królowej Elżbiecie na kanale *Entertainment Tonight*. Dlaczego my o tym nie pisaliśmy?

Staralam się ją ignorować — być miła przez telefon i co jakiś czas, kiedy stawała się wyjątkowo zrzędliva, poddawałam się i pisałam na końcu kolumny: „Gabby Gardiner powróci pod koniec września.”

Ale któregoś dnia zadzwoniła, a mnie nie było przy biurku, by odebrać telefon, więc Gabby usłyszała moją sekretarkę automatyczną, która brzmiała następująco: „Dzień dobry, tu Candace Shapiro, redaktor działu rozrywki *Philadelphia Examiner*.” Nie zdawałam sobie sprawy z mojej gafy dopóty, dopóki redaktor naczelny gazety nie przystanął przy moim biurku.

— Czy mówisz wszystkim, że jesteś redaktorem działu rozrywki? — zapytał.

— Nie — odpowiedziałam. — Nie jestem. Ja tylko pisuję w zastępstwie.

— Miałem wczoraj wieczorem telefon od bardzo zirytowanej Gabby. Późno wieczorem — podkreślił, z wyrazem twarzy kogoś, kto nie bardzo lubi, jak mu się przerywa sen. — Ona uważa, że dajesz ludziom do zrozumienia, iż odeszła na dobre, a ty przejęłaś jej robotę.

Teraz to ja nie bardzo wiedziałam. — Nie wiem, o czym ona mówi.

Westchnął ponownie. — Twoja sekretarka automatyczna — oznajmił. — Nie wiem, co tam jest nagrane i, szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Po prostu zmień to, żeby moja żona i dzieci nie były już więcej w nocy budzone.

Wróciłam do domu i poszłam się wypłakać do Samanty. (— Ona jest kompletnie nieobliczalna — zauważyła i dała mi pół litra stopionego w połowie sorbetu, podczas gdy ja pogrążyłam się w chandrze na jej kanapie.) Wściekłam się przez telefon na Bruce’a (— Po prostu zmień to cholerne nagranie, Cannie!). Zastosowałam się więc do jego rady, zmieniając tekst na sekretarce na następujący: „Tu Candace Shapiro, tymczasowa, chwilowa, przejściowa, pisząca tylko w zastępstwie, z pewnością nie na stałe, redaktor działu rozrywki”. Gabby zadzwoniła następnego ranka. — Uwielbiam tę wiadomość — powiedziała.

Ale szkoda została wyrządzona. Kiedy Gabby wróciła z urlopu, zaczęła nazywać mnie

„Ewa” — jak we *Wszystko o Ewie* — jeśli w ogóle się do mnie odzywała. A ja po prostu starałam się ją ignorować i skupić się na moich innych zajęciach: pisaniu krótkich opowiadań, kawalków powieści oraz *Trafionej gwiazdy*, scenariusza, nad którym pracowałam od kilku miesięcy. *Trafiona gwiazda* to romantyczna komedia o reporterce z dużego miasta, która zakochuje się w jednym z gwiazdorów, z którymi przeprowadza wywiady. Poznają się w bardzo oryginalny sposób (po tym, jak ona spada z barowego stołka, z którego strzelała do niego zalotnymi spojrzeniami, czyhając na niego w hotelowym barze), zaczynają potem niewłaściwie znajomość (po tym, jak on przypuszcza, że ona jest po prostu kolejną zwariowaną fanką, i to jeszcze większych rozmiarów), następnie zakochują się w sobie i, po odpowiednim Akcie Trzecim pełnym komplikacji, kończą w swoich ramionach, a potem są już tylko napisy końcowe.

Rola gwiazdy jest oparta na Adrianie Stadt, milutkim aktorze komediowym sitcomu *Saturday Night!*, którego poczucie humoru zdawało się być podobnego rodzaju jak moje — nawet wtedy, gdy wykonywał swoje słynne trzymiesięczne zadanie jako Pilot Pocisku Wymiotnego. Był facetem, którego oglądałam przez cały college i myślałam sobie, że jeśli byłby tu, czy też ja byłabym tam, pewnie byśmy byli razem. Reporterką oczywiście byłam ja, tyle że o imieniu Josie, dałam jej rude włosy i normalnych rodziców, będących wciąż w stabilnym związku małżeńskim.

Scenariusz był czymś, o czym często marzyłam. Był odpowiedzią na wszystkie moje dobre oceny, dla każdego nauczyciela, który kiedykolwiek powiedział mi, że jestem utalentowana, dla każdego profesora, który kiedykolwiek uznał, że mam jakieś możliwości. Ale przede wszystkim, był stustronicową odpowiedzią dla świata (i dla moich własnych, ukrytych lęków), który mówił mi, że kobiety o większych rozmiarach nie mogą przeżywać przygód, czy też zakochiwać się. A dzisiaj zamierzałam dokonać czegoś naprawdę odważnego. Dzisiaj, przy lunchu w hotelu Four Seasons, będę przeprowadzać wywiad z aktorem Nicholasem Kaye, gwiazdą *Belch Brothers*, nowej komedii dla nastolatków o braciach-bliźniakach, których gazy dają im specjalne magiczne moce. Ale co więcej, będę robić wywiad również z Jane Sloan, która była szefem produkcji filmu (jedną ręką trzymając się za nos, jak sądzę). Jane Sloan była dla mnie bohaterką, która, zanim zajęła się robieniem beznadziejnie głupich komercyjek, napisała i wyreżyserowała kilka najzabawniejszych, o najbardziej ciętym dowcipie filmów, jakie Hollywood kiedykolwiek widział.

Co lepsze, to były filmy z zabawnymi, uszczypliwymi kobietami. Tygodniami odrywałam się od bluesa o nieobecny Bruce’ie tworząc wyszukany sen na jawie o tym, jak się spotykamy, a ona błyskawicznie rozpoznaje mnie jako pokrewną duszę i potencjalną współpracowniczkę, wsuwa mi swoją wizytówkę i naciska, bym koniecznie się z nią skontaktowała, jak tylko zmienię zajęcie z dziennikarstwa na pisanie scenariuszy. Nawet uśmiechałam się lekko, wyobrażając sobie wyraz zadowolenia na jej twarzy w chwili, gdy jej uczciwie wyznaję, że już tak naprawdę to popełniłam jeden scenariusz i, jeśli sobie tego życzy, mogę go do niej wysłać.

Ona była pisarką i ja byłam pisarką. Była zabawna, jak mi się wydawało, i ja też byłam za-

bawna. Tak naprawdę, to Jane Sloan była też bogata i sławna, odniosła takie sukcesy, o których ja nawet nie śniłam, i miała rozmiar mniej więcej jednego mojego uda, ale siostrzeństwo, co sobie ciągle powtarzałam, ma ogromną moc.

Prawie godzinę po tym, jak przybyłam, a w czterdzieści pięć minut po tym, jak mieliśmy się spotkać, Jane Sloan usiadła naprzeciw mnie, kładąc duże lustro i jeszcze większą butelkę wody Evian obok swojego talerza. — Witam — powiedziała gardłowym głosem wydobywającym się z zaciśniętych zębów i przystąpiła do zdrowego nawilżania swojej twarzy wodą z rozpylacza. Obserwowałam ją z ukosa, czekając na puentę dowcipu, na to, że się w końcu złamie i powie, że się tylko wygłupia. Ale tego nie zrobiła. Nicholas Kaye usiadł obok niej i rzucił mi przepraszający uśmiech od ucha do ucha. Jane Sloan odłożyła wreszcie na bok lustro i butelkę.

— Przepraszam za nasze spóźnienie — powiedział Nicholas Kaye, który wyglądał prawie tak, jak w telewizji — uroczo, jak pączek róży.

Jane Sloan gwałtownie odsunęła na koniec stołu pojemnik z masłem. Następnie wzięła swoją serwetę, która była złożona na kształt łabędzia, otworzyła ją jednym, władczym ruchem nadgarstka, i dokładnie wytarła w nią swą twarz. Dopiero, gdy odłożyła na stół serwetę, pełną teraz plam z kremowego pudru, karmazynowego różu i czarnego tuszu do rzęs, zechciała łaskawie się odezwać.

— To miasto — wygłosiła — potwornie niszczy moje pory.

— Przepraszam — powiedziałam, czując się głupio, jak tylko to słowo wydobyło się z moich ust. Za co ja przepraszałam? Przecież nic nie robiłam jej porom.

Jane machnęła słabo bladą ręką, jakby moje przeprosiny za Filadelfię miały tak małe znaczenie, jak niekielekujący jeszcze zarodek, następnie podniosła srebrny nóż do masła i zaczęła nim grzebać w maselnicy, którą dopiero co przerzuciła na mój kraniec stołu. — Co musisz wiedzieć? — zapytała, nie patrząc nawet na mnie.

— Hmm — oznajmiłam, szperając w poszukiwaniu mojego pióra i notatnika. Miałam przygotowaną całą listę pytań, pytań dotyczących wszystkiego, począwszy od tego, w jaki sposób dobrała aktorów do swojego filmu, a skończywszy na tym, kto wywarł na nią wpływ i co ogląda w telewizji, ale jedyne, co przyszło mi do głowy, było: — Jak wpadła pani na pomysł tego filmu?

Bez unoszenia oczu znad masła powiedziała: — Widziałam w telewizji.

— To nocne widowisko komediowe na HBO? — Nicholas Kaye próbował być pomocny.

— Zadzwoiłam do reżysera. Powiedziałam, iż wydaje mi się, że to powinien być film. Zgodził się.

Wspaniale. Zatem tak robi się filmy. Małe dziwadła nie znoszące masła, Elwiry z butelkami w spray'u wykonują jeden telefon i, voila, od razu mamy film!

— Więc... napisała pani scenariusz?

Kolejne machnięcie ręki kostuchy. — Tylko go nadzorowałam.

— Zatrudniłszy kilku gości z *Saturday Night!* — wyjaśnił Nicholas Kaye.

Podwójnie wspaniale. Nie tylko nie pracowałam dla *Saturday Night!*, nie byłam nawet „gościem”. Cichutko porzuciłam plan wyjawienia jej, że napisałam scenariusz. Pewnie by się ze mnie naśmiewali przez całą drogę do Pittsburga, gdzie liczba zarodków była jeszcze większa, niż tu.

Nadszedł kelner. Oboje, Jane i Nicholas z nachmurzonymi minami spoglądali w swoje menu. Panowała cisza. Kelner rzucił mi błagalne spojrzenie.

— Poproszę giez cielęcą — powiedziałam.

— Doskonały wybór — przyznał kelner, promieniejąc z zadowolenia.

— Ja wezmę... — zaczął Nicholas. Długa, długa pauza. Kelner czekał, z długopisem w powietrzu nad kartką. Jane grzebała w maśle. Poczułam, jak kropla potu oderwała się od mojego karku i zaczęła spływać wzdłuż pleców, aż do opaski ściskającej mnie w pasie. — Tę sałatkę — powiedział wreszcie, pokazując palcem. Kelner pochylił się, by przeczytać. — Bardzo dobra, proszę pana — oznajmił z ulgą.

— A dla pani?

— Sałata — wymamrotała Jane Sloan.

— Sałatka? — próbował kelner.

— Sałata — powtórzyła. — Z czerwonych liści, jeśli macie. Umytych. Z octem na boku. I nie chcę, by liście były pocięte — ciągnęła. — Mają być poszarpane. Rękami.

Kelner naskrobał coś w swoim notesie i czmychnął.

— Hmm...

Salata, myślałam. Jane Sloan je sałatę na lunch, a ja tu będę siedzieć naprzeciw niej i wsuwać cielęciny. I, co gorsza, nie wiedziałam, o co ją pytać.

— Proszę mi powiedzieć, która scena w filmie jest pani ulubioną? — zdołałam wreszcie. Okropne pytanie, studenta pierwszego roku dziennikarstwa, lepsze jednak niż nic.

Uśmiechnęła się w końcu — słabo, przelotnie, ale jednak, to był niewątpliwie uśmiech. Potem pokiwała głową.

— Nie mogę — powiedziała. — Zbyt osobiste.

O Boże, pomóż mi. Ratuj mnie. Ześlij na Four Seasons przeraźliwe tornado, które poruszy tych wszystkich businessmenów, uniesie w powietrze porcelanę. Umieram tutaj. — Zatem, co będzie później?

Jane tylko wzruszyła ramionami i przybrała tajemniczy wygląd. Poczułam, jak ściągająca góra rajstop dała za wygraną i zaczęła się zsuwać z tułowia, zatrzymując się na moich udach.

— Pracujemy razem nad czymś — Nicholas Kaye zgłosił się na ochotnika. — Zamierzam napisać... z kilkoma przyjaciółmi z college'u... a Jane pokaże to studiom filmowym. Czy chciała-

byś o tym usłyszeć?

Przystąpił do entuzjastycznego opisu czegoś, co brzmiało jak najdurniejszy film na świecie — coś o facecie, który dziedziczy po ojcu niewiele wartą fabrykę poduszek i o tym, jak wspólnik ojca go przechytrza, a on i odważna sprzątaczką na końcu triumfują. Robiłam notatki bez słuchania, moja prawa ręka poruszała się mechanicznie po papierze, podczas gdy lewa równie mechanicznie dostarczała żywność do mych ust. Tymczasem Jane zajęta była rozdzielaniem swojej sałaty na dwie kupki — jedna zawierała głównie liście, a druga łądygi. Kiedy już skończyła z tą segregacją, przystąpiła do zanurzania zębatach elementów widelca w słoiczku z octem, a następnie wbijała go dokładnie w najbardziej liściasty kawałek sałaty i umieszczała go starannie w ustach. Po dokładnie sześciu takich operacjach — w czasie których Nicholas sprzątnął całą swoją sałatkę oraz dwa kawałki chleba, a ja opróżniłam połowę mojego osso bucco, które było, uwzględniając wszystko, wyśmienite — wytarła usta w serwetę, wzięła nóż do masła i zaczęła nim znowu grzebać w maselnicy.

Wyciągnęłam rękę i odsunęłam maselniczkę, myśląc, że już dłużej tego nie zniosę i również dlatego, że musiałam coś zrobić, ponieważ wywiad był już więcej niż beznadziejny. — Dość tego — powiedziałam surowo. — To masło nic złego ci nie zrobiło.

Nastąpiła pauza. Brzemienna cisza. Lodowata, ziejąca ciszą szczelina. Jane Sloan wpatrywała się we mnie czarnymi, martwymi oczami.

— Mleczarnia — oznajmiła, jakby to było przekleństwo.

— Trzeci największy przemysł w Pensylwanii — odparowałam, nie będąc nawet pewna, czy to była prawda. Ale to przynajmniej dobrze zabrzmiało. Zawsze, gdy wybierałam się na przejażdżkę rowerową i przejeżdżałam kilka kilometrów poza miasto, widziałam krowy.

— Jane jest alergiczka — powiedział szybko Nicholas. Uśmiechnął się do swojej pani reżyser i wziął ją za rękę, i wtedy mnie uderzyło: oni są parą. Chociaż on ma dwadzieścia siedem lat, a ona... Boże, przynajmniej piętnaście lat więcej. Mimo tego, że on jest ewidentnie ludzką istotą, a ona... nie. — Co jeszcze?

— Powiedźcie mi... — jękałam się, gdy w głowie odczułam pustkę spowodowaną tym nagłym odkryciem, widokiem ich splecionych palców. — Powiedźcie mi o filmie coś, czego jeszcze inni nie wiedzą.

— Część filmu kręciliśmy tam, gdzie kręcono *Showgirls* — zaproponował Nicholas.

— O tym jest w relacji dla prasy — powiedziała nagle Jane. Wiedziałam o tym, ale zdecydowałam, że będę uprzejma, zapiszę cytat, a potem wymknę się stamtąd robiąc diabelski unik, zanim odkryję, co kobieta jedząca sześć listków sałaty robi, kiedy zapyta się ją, czy chce deser.

— Coś ci powiem — oznajmiła. — Dziewczyna w kwaciarni? To moja córka.

— Naprawdę?

— Jej pierwsza rola — Jane mówiła, a jej głos brzmiał prawie dumnie, prawie nieśmiało.

Prawie naturalnie. — Zniechęcałam ją do tego... ona już ma obsesje na temat swojego wyglądu...

Ciekawie skąd to ma, pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

— Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam — przyznała Jane. Kąciki ust drgały jej nerwowo. — Ale ciebie lubię.

Niebiosa, pomóżcie reporterom, których ona nie lubi, myślałam, próbując skonstruować jakąś rozsądną odpowiedź, kiedy nagle wstała, zabierając ze sobą Nicholasa. — Powodzenia — wymamrotała i wymiotło ich za drzwi. Właśnie wtedy, gdy nadeszła karta deserów.

— *Coś dla panny?* — spytał kelner w sympatyczny sposób. Czy można mieć do mnie pretensje, że powiedziałam: tak?

— A więc? — zapytała Samanta, dzwoniąc do mnie po południu.

— Jadła sałatę na lunch — jęknęłam.

— Sałatkę?

— Sałatę. Zwykłą sałatę. Z octem na boku. Prawie umarłam.

— Tylko sałatę?

— Sałatę — powtórzyłam. — Z czerwonych liści. Określiła odmianę. I pryskała twarz Evianem.

— Cannie, wymyślasz to.

— Nie! Przysięgam! Moja hollywoodzka idolka, a okazuje się być jedzącym sałatę potworem, ta, ta miniaturowa Elwira z wytatuowanym makijażem oczu...

Samanta słuchała trzeźwo. — Płaczesz.

— Nie — skłamałam. — Jestem po prostu rozczarowana. Myślałam... no wiesz... miałam ten pomysł, że się zaprzyjaźnimy. I że prześlę jej mój scenariusz, ale ja nigdy nie dam nikomu tego scenariusza, ponieważ nie chodziłam do college'u z nikim z *Saturday Night!*, a tam właśnie są goście, których scenariusze się czyta. — Spojrzałam też w dół, na siebie. Więcej złych wiadomości. — I jeszcze mam osso bucco na moim żakiecie.

Samanta westchnęła. — Myślę, że potrzebny ci agent.

— Nie mogę dostać agenta! Uwierz mi, już próbowałam! Oni nawet nie spojrzą na twoje wypociny, dopóki czegoś nie wyprodukujesz, a producent nie obejrzy niczego, czego nie otrzyma od agenta. — Wytarłam oczy ze złością. — Ten tydzień mnie wykańcza.

— Poczta! — oznajmiła Gabby wesoło. Zostawiła stertę papierów na moim biurku i odeszła kaczkowatym chodem. Pożegnałam się z Sam i zajęłam korespondencją. Notatka dla prasy. Notatka dla prasy. Fax, fax, fax. Koperta z moim nazwiskiem, wyczelowanym dokładnie odręcznym pismem od, jak w końcu udało mi się odczytać po długiej analizie, Starszej Osoby, Złej. Rozerwałam kopertę.

„Droga Panno Shapiro — mówiły nierówne litery. — Twój artykuł o Celine Dion był najbar-

dziej ohydny, paskudny kawałkiem śmiecia, jaki widziałem, będąc od pięćdziesięciu siedmiu lat wiernym czytelnikiem *Examinera*. Nie dość na tym, że wykpiłaś muzykę Celine jako «pompatyczne, przekwitłe ballady», ale musiałaś się posunąć tak daleko, by wyśmiać jej wygląd! Założę się, że sama nie jesteś Cindy Crawford. Oddany, Pan E. P. Deiffinger.”

— Hej, Cannie.

Jezu Chryste. Gabby była cały czas za mną, podeszła mnie niepostrzeżenie. Będąc masywną, starą i głuchą, potrafiła być cicha jak kot, gdy miała taką potrzebę. Odwróciłam się i oto stała tam, zezując przez moje ramiona na trzymany przez mnie list.

— Czy dostałaś coś złego? — zapytała, głosem pełnym sympatii tak fałszywej, tak dziurawej, jak ser szwajcarski. — Czy musimy pisać sprostowanie?

— Nie, Gabby — odpowiedziałam, starając się nie wrzeszczeć. — Po prostu, trochę inny punkt widzenia.

Rzuciłam listem do kosza i odsunęłam moje krzesło do tyłu tak szybko, że prawie przejechałam Gabby po palcach nóg.

— Au! — syknęła i wycofała się.

„Drogi Panie Deiffinger, ” układałam sobie w głowie, „Może nie jestem supermodelką, ale przynajmniej mam wystarczająco dużo aktywnych komórek w mózgu, by wiedzieć, co mnie drażni, jeśli to słyszę.”

„Drogi Panie Deiffinger, ” myślałam, idąc ponad dwa kilometry do Centrum Zaburzeń Wagi i Trawienia, na pierwsze zajęcia mojej Otyłej Klasy. „Przykro mi bardzo, iż obraził się Pan za mój opis Celine Dion, ale tak naprawdę to uważam, że byłam bardzo łaskawa.”

Weszłam ciężko do pokoju konferencyjnego, usadowiłam się przy stole i rozejrzałam wokół. Była tam Lily, ta z poczekalni, i starsza, czarna kobieta, mniej więcej moich rozmiarów, z wypchaną teczką postawioną obok, zajęta obsługą swojego przenośnego czytnika e-maili. Była też nastolatka o włosach koloru blond, które odgarnięte były z twarzy przy pomocy opaski, jej ciało ukryte było pod bardzo obszerną bluzą i gigantycznymi, obwisłymi džinsami. I była jeszcze kobieta około sześćdziesiątki, która musiała ważyć przynajmniej 200 kilo. Weszła za mną do pokoju, idąc z pomocą laski, zlustrowała dokładnie wszystkie wolne miejsca, starając się pewnie ocenić, który fotel będzie odpowiadał jej parametrom, zanim zdecydowała się usiąść.

— Cześć, Cannie — powiedziała Lily.

— Cześć — mruknęłam. Słowa *Kontrola spożywanych porcji* były napisane na białej tablicy łatwościeralnej, a na ścianie wisiał plakat przedstawiający piramidę żywnościową. Znowu to gównno, pomyślałam, zastanawiając się, czy mogłabym urwać się z zajęć. W końcu chodziłam już do Weight Watchersów. Już wiem wszystko o kontrolowanym spożywaniu. Chuda pielęgniarka, którą pamiętałam z poczekalni, weszła przez drzwi, z rękami pełnymi misek, kubków z miarkami oraz małą, plastikową repliką ponad 100-gramowego kotleta schabowego.

— Dobry wieczór wszystkim — powiedziała i napisała swoje imię — Sarah Pritchard, R.N. — na tablicy. Przechodziłyśmy kolejno wokół stołu i dokonywałyśmy własnej prezentacji. Blondynka to była Bonnie, Murzynka to Anita, a ta bardzo duża kobieta to Esther z Oak Lane.

— Przypomina mi się college — wyszeptała Lily, gdy pielęgniarka Sarah zaczęła rozdawać broszury z tabelami kalorii i zestawy wydruków na temat modyfikacji postępowania.

— A mnie przypomina się Weight Watchers — odszepnęłam z powrotem.

— Spróbowałaś już tego? — zapytała blondynka Bonnie, przysuwając się bliżej do nas.

— W zeszłym roku — powiedziałam.

— A nie był to program Jeden Dwa Trzy — Sukces?

— Tłuszcz i Włókna.

— Czy to nie są płatki zbożowe? — zapytała Esther, która miała zdumiewająco cudowny głos — bardzo niski, ciepły, wolny od tego fatalnego akcentu Filadelfii, który sprawia, że ludzie tu urodzeni połykają samogłoski, jakby były zrobione z pyszniutkiego toffi.

— To Owoce i Włókna — powiedziała blondynka.

— Tłuszcz i Włókna było wtedy, kiedy musiałaś liczyć gramy tłuszczu i gramy włókien w każdym pożywieniu, i miałaś zjeść pewną ilość włókien, ale nie przekroczyć pewnej ilości gramów tłuszczu — wytłumaczyłam.

— Czy to działało? — zapytała Anita, odkładając swojego Palm Pilota.

— Nieee — odparłam. — Ale to pewnie była moja wina. Ciągle mi się myliło, którą to liczbę powinnam była utrzymywać poniżej, a którą powyżej... i wtedy odkryłam te ciasteczka z dużą zawartością włókien i żelaza czy czegoś takiego...

Lily wybuchnęła śmiechem.

— Każde miało z miliard kalorii, ale stwierdziłam, że to nie ma znaczenia, bo miały bardzo mało tłuszczu, a bardzo dużo włókien...

— Typowa pomyłka — uśmiechnęła się pielęgniarka Sarah.

— Tłuszcz i włókno są bardzo ważne, ale tak samo ważna jest ilość kalorii, jaką się przyjmuje. Jest to bardzo proste, naprawdę — powiedziała, odwracając się do tablicy, gdzie napisała jakiś rodzaj równania. Poczułam się jak w klasie maturalnej. — Kalorie przyjmowane a kalorie spalane. Jeśli spożywasz więcej kalorii, niż spalasz, przybierasz na wadze.

— Naprawdę? — zapytałam z szeroko otwartymi oczami.

Pielęgniarka spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Mówisz poważnie? Czy to takie proste?

— Mmm — zaczęła. Przypuszczałam, że była pewnie przyzwyczajona do grubych kobiet, siedzących potulnie w swoich fotelach jak przekarmione owce, uśmiechających się i kiwających głowami, i będących wdzięcznymi za mądrość, jaką się z nami dzieliła, wpatrujących się w nią speszonymi oczami pełnymi podziwu dla niej, a wszystko tylko dlatego, że miała to szczęście

urodzić się szczupłą. Ta myśl mnie rozjuszyła.

— Więc jeśli zjem mniej kalorii, niż spałę... — uderzyłam się w czoło. — Mój Boże! W końcu mam to! Rozumiem! Jestem wyleczona!

— wstałam i zaczęłam pompować rękami powietrze, podczas gdy Lily parsknęła śmiechem. — Wyleczona! Uratowana! Dzięki Ci, Jezu oraz Programie Zaburzeń Wagi i Trawienia za zdjęcie tego bielma z mych oczu!

— No dobrze — przyznała pielęgniarka. — Podsumowałam sprawę.

— Do diabła — powiedziałam, siadając z powrotem. — Miałam się właśnie spytać, czy można mnie już zwolnić.

Pielęgniarka westchnęła. — Widzisz — mówiła — to prawda, że jest wiele komplikujących czynników... i nauka nie rozumie nawet wszystkich z nich. Wiemy o wskaźnikach metabolicznych i o tym, jak ciała niektórych osób zdają się trzymać nadmiernej wagi bardziej niż inne. Wiemy, że nie jest to łatwe. Nigdy bym wam nie powiedziała, że jest.

Przyglądała się nam, oddychając szybko. A my wpatrywałyśmy się w nią.

— Przepraszam — wydusiłam wreszcie do ciszy. — Chyba trochę przesadziłam. Chodzi o to, że... cóż, nie chcę mówić za innych, ale już mi to wytłumaczono wcześniej.

— Uhm — powiedziała Anita.

— Mnie też — przyznała Bonnie.

— Grubi ludzie nie są głupi — ciągnęłam dalej. — Ale każdy program odchudzający, na który uczęszczałam, traktuje nas, jakbyśmy takimi byli — jak tylko wytłumaczają nam, że kurczak pieczony na ruszcie jest lepszy od smażonego, a mrożony jogurt od lodów, i żeby wziąć lepiej gorącą kąpiel zamiast jeść pizzę, zmienimy się wszystkie w Courteney Cox.

— To prawda — zgodziła się ze mną Lily.

Pielęgniarka wyglądała na przygnębioną. — Na pewno nigdy nie miałam zamiaru zasugerować którejkolwiek z was, że jest głupia — powiedziała. — Dieta jest jedną częścią programu — dodała. — Ćwiczenie też jest jego częścią, ale prawdopodobnie nie tak wielką, jak nam się dotąd wydawało.

Zmarszczyłam brwi. To całe jeżdżenie na rowerze czy chodzenie, plus regularne ćwiczenia na siłowni z Samantą — ćwiczenia były tą częścią zdrowego stylu życia, o której byłam święcie przekonana.

— Zatem dzisiaj — kontynuowała — będziemy mówić o wielkościach porcji. Czy wiecie, że większość restauracji serwuje porcje znacznie wykraczające poza nasze zalecenia żywieniowe jako dawki całodniowe dla większości kobiet?

Jęknęłam w duszy, podczas gdy pielęgniarka ustawiła na stole talerze, kubki i mały, plastikowy kotlet schabowy. — Prawidłowa porcja protein — wykladała, mówiąc powoli, donośnie i wyraźnie, tak, jak zazwyczaj mówią przedszkolanki do dzieci — to około 120 gramów. Czy któ-

raś z was może mi powiedzieć, ile to jest?

— Rozmiar twojej dłoni — wymamrotała Anita. — Jenny Craig — odparła widząc zaskoczone spojrzenie pielęgniarki.

Sarah wzięła głęboki oddech. — Bardzo dobrze — skomentowała, robiąc wyraźny wysiłek, by zabrzmiało to radośnie i optymistycznie.

— A co powiecie o porcji tłuszczu?

— Czubek twojego kciuka — wyszeptalam. Jej oczy otwarły się szeroko. — Widzisz, — powiedziałam — wydaje mi się, że wszystkie to już znamy... mam rację?

Rozejrzałam się wokół stołu. Wszystkie kiwały głową. — Jedyne, po co tu jesteśmy, jedyne, co ten program może nam zaoferować, to te tabletki. A więc, czy dostaniemy je dzisiaj, czy też musimy tu siedzieć i zachowywać się, jakbyśmy słyszały rzeczy, o których dotąd nie wiedziałyśmy?

Twarc pielęgniarki zmieniła się z przygnębionej (i lekko lekceważącej) na rozgniewaną (i bardziej niż trochę przerażoną). — Na to jest odpowiednia procedura — wyrzuciła z siebie. — Tłumaczyliśmy to. Cztery tygodnie zajęć z modyfikacji zachowania...

Lily zaczęła walić pięścią w stół. — Tabletki... tabletki... tabletki — skandowała.

— My nie możemy tak po prostu przepisać lekarstwa...

— Tabletki... tabletki... tabletki — Teraz skandowały też blondynka Bonnie i Esther. Pielęgniarka otworzyła usta, a potem ponownie zamknęła. — Pójdę po lekarza — powiedziała i czmychnęła. Cała nasza piątka spoglądała po sobie przez chwilę. A potem wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem.

— Ona się wystraszyła! — huknęła Lily.

— Pewnie myślała, że ją zgnieciemy — mruknęłam.

— Siądziemy na nią! — sapnęła Bonnie.

— Nienawidzę chudych ludzi — powiedziałam.

Anita wyglądała bardzo poważnie. — Nie mów tak — ostrzegła mnie. — Nie powinnaś nikogo nienawidzić. To nie jest zdrowe dla ciebie.

— Ach — westchnęłam. Właśnie wtedy Dr K. wsunął głowę przez drzwi, z karcąco spoglądającą pielęgniarką tuż za nim, przyczepioną wręcz do brzegu jego białego kitla.

— Rozumiem, że jest problem — zagrzmał.

— Tabletki! — domagała się Lily.

Lekarz wyglądał jak ktoś, kto bardzo chciał się śmiać i usilnie się starał, by tego nie robić.

— Czy jest tu jakiś rzecznik poruszenia? — zapytał.

Wszyscy popatrzeni na mnie. Wstałam, wygładziłam bluzkę i odchrząknęłam. — Wydaje mi się, iż w odczuciu całej grupy przeszliśmy już przez różne wykłady i kursy, i grupy wsparcia dotyczące modyfikacji zachowania. — Rozejrzałam się wokół stołu. Każda zdawała się potaki-

wać. — Wydaje nam się, że próbowałyśmy zmienić nasze zachowania i jeść mniej, i ćwiczyć więcej, i wszystkiego tego, co nam radzono robić, i to, czego naprawdę byśmy chciały... po co tu właściwie jesteśmy, za co zapłaciłyśmy, to coś nowego. Nazwijmy to, tabletki — podsumowałam i usiadłam w swoim fotelu.

— Cóż, wiem, jak się czujesz — powiedział.

— Bardzo w to wątpię — odparowałam.

— No, to może byś mi powiedziała — zaproponował łagodnie. — Widzicie, — mówił — to nie tak, że znam sekrety wiecznego odchudzania i jestem tu po to, by je wam przekazać. Pomyślcie o tym, jak o podróży... pomyślcie, że tkwimy w tym razem.

— Z wyjątkiem tego, że nas ta podróż prowadzi do cudownego świata zakupów ponadwymiarowych i samotnych nocy — narzekałam.

Lekarz uśmiechnął się do mnie — był to prawdziwie rozbrajający uśmiech. — Zapomnijmy na chwilę o grubych czy chudych — powiedział. — Jeśli tak świetnie znacie zawartość kalorii w każdym produkcie, a także jak powinna wyglądać prawidłowa porcja makaronu, jestem zatem pewien, że wiecie również, iż większość diet jest nieskutecznych. W każdym razie, w dłuższej perspektywie czasowej.

Teraz skupił naszą uwagę. To było prawdą, wszystkie to odkryłyśmy (z gorzkich, osobistych doświadczeń, w większości przypadków), ale słuchać, jak osoba będąca dla nas autorytetem, lekarz, który prowadził program odchudzający, mówi te słowa... cóż, to było wręcz herezją. Spodziewałam się, że wkrótce wpadną przez drzwi ludzie z ochrony budynku i wyprowadzą go na pranie mózgu.

— Uważam, — ciągnął dalej — że wszyscy będziemy mieli więcej powodzenia i będziemy szczęśliwsi, jeśli w zamian pomyślimy o małych zmianach stylu życia — o drobiazgach, które możemy robić codziennie, które nie okażą się nie do utrzymania w dłuższym czasie. Jeśli pomyślimy o tym, by być zdrowszym, szczęśliwszym samym ze sobą, zamiast tego, by wyglądać jak Courteney...

Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

— Cox — uzupełniłam. — A tak właściwie, to Cox-Arquette. Wyszła za męża.

— Dobrze. Ona. Zapomnijmy o niej. Skupmy się zamiast tego na tym, co osiągalne. A obiecuję, że nikt tu nie będzie was traktował jak osoby głupie, bez względu na to, jakie macie rozmiary.

Odkryłam, że byłam tym poruszona, wbrew sobie. W sumie, facet miał właściwie rację. Co więcej, on nie zniżał się do naszego poziomu. Było to... cóż, rewolucyjne, naprawdę.

Pielęgniarka rzuciła nam swoje ostatnie, niezadowolone spojrzenie i pomknęła za drzwi. Lekarz zamknął je za nią i usiadł. — Chciałbym zrobić z wami pewne ćwiczenie — powiedział. Rozejrzał się wokół stołu.

— Ile z was je coś wtedy, gdy nie jest głodna?

Martwa cisza. Zamknęłam oczy. Emocjonalne jedzenie. Miałam też już taki wykład.

— Ile z was je śniadanie i może, kiedy przychodzi do pracy i znajduje pudło z pączkami, wyglądającymi bardzo smakowicie, kusi się na jednego, tylko dlatego, że tam są?

Znowu cisza. — Dunkin' Donuts czy Krispy Kremes? — zapytałam w końcu.

Lekarz zasznurował swoje pełne usta. — Nie myślałem o tym.

— No tak, ale to robi różnicę — powiedziałam.

— Dunkin' Donuts — odparł.

— Czekoladowe? Z galaretką? Lukrowany, którego połowę odgryził ktoś z księgowości, tak że została tylko połowa?

— Krispy Kremes są lepsze — przyznała Bonnie.

— Zwłaszcza te na ciepło — dodała Esther.

Oblizalam wargi.

— Ostatnim razem, kiedy jadłam pączki, — powiedziała Ester — ktoś przyniósł je do pracy, tak jak właśnie mówimy, i wzięłam jednego, który wyglądał jak ten bostoński ze śmietaną... no wiecie, z czekoladą na górze.

Przytaknęłyśmy głowami. Pewnie wszystkie wiedziałyśmy, jak rozpoznać z wyglądu bostońskiego pączka ze śmietaną.

— Wtedy go ugryzłam — mówiła Esther — i był... — wykrzywiła usta pogardliwie — cytrynowy.

— Uups — powiedziała Bonnie — ja nienawidzę cytryny!

— No dobra — przerwał to lekarz, śmiejąc się. — Chodzi mi o to, że mogłyby to być najlepsze pączki na świecie. Mógłby to być platoński ideał pączkowości. Ale jeśli już zjadłyście śniadanie i nie jesteście naprawdę głodne, idealnie by było, gdybyście potrafiły po prostu przejść obok nich.

Myślałyśmy o tym przez chwilę. — Tak jakby — powiedziała w końcu Lily.

— Może mogłybyście próbować wmawiać sobie, że kiedy będziecie naprawdę głodne i tym, na co naprawdę będziecie miały ochotę, będzie pączek, wtedy możecie pójść i wziąć jednego.

Myślałyśmy ponownie. — Nie — oznajmiła Lily. — Wciąż jadam darmowe pączki.

— A jak mamy wiedzieć, że jesteśmy naprawdę głodne? — zapytała Bonnie. — Jak na przykład ja... ja zawsze jestem głodna i mam ochotę na to, czego nie powinnam jeść. Ale dajcie mi worek młodych marchewek i zrobię, co chcecie.

— A próbowałaś kiedykolwiek ugotować je i utłuc razem z imbirem i skórką pomarańczową? — zapytała Lily. Bonnie zmarszczyła nos.

— Nie lubię marchwi, — powiedziała Anita — ale bardzo lubię dynię z masłem orzechowym.

— Ale to jednak nie jest warzywo. To jest skrobia — wytłumaczyłam. Anita wyglądała na zbitą z tropu. — Jakże to nie może być warzywo?

— To jest skrobiowe Warzywo. Jak ziemniak. Nauczyłam się tego na kursie Weight Watchers.

— Na zajęciach z Tłuszczu i Włókna? — zapytała Lily.

— No dobra! — powiedział lekarz. Mogłam wyczytać z jego oczu, że to niesforne paplanie pięciu weteranek programów Weight Watchers, Jenny Craig, Pritikin, Atkins i innych, zaczynało go irytować. To mogło nie być zabawne.

— Spróbujmy czegoś — oznajmił. Podeszedł do drzwi i trzepnął po włączniku światła. Pokój zaciemnił się. Bonnie zachichotała. — Chcę, żebyście zamknęły oczy — powiedział — i starały się określić, jak się czujecie, właśnie w tej chwili. Czy jesteście głodne? Zmęczone? Jesteście smutne czy szczęśliwe, czy też podekscytowane? Spróbujcie się naprawdę skoncentrować, spróbujcie rzeczywiście oddzielić odczucia fizyczne od tych emocjonalnych.

Wszystkie zamknęłyśmy oczy.

— Anita? — spytał lekarz.

— Jestem zmęczona — odpowiedziała natychmiast.

— Bonnie?

— Och, może zmęczona. Może trochę też głodna — odparła.

— A emocjonalnie? — poganiał lekarz.

Bonnie westchnęła. — Mam dość szkoły — wymamrotała wreszcie.

— Dzieciaki mówią do mnie wulgarne słowa. — Zerknęłam na nią dyskretnie. Jej oczy były mocno zaciśnięte, a ręce zamknięte w pięści miała położone na swoich za dużych dżinsach. Szkoła średnia, najwyraźniej, nie stała się ani miłsza, ani przyjemniejsza od czasów, gdy ja do takiej uczęszczałam, z dziesięć lat temu. Żałowałam, że nie mogłam położyć ręki na jej ramieniu. Powiedzieć, że wszystko będzie lepiej... z wyjątkiem tego, że, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia w moim własnym życiu, nie byłam pewna, czy to była prawda.

— Lily?

— Umieram z głodu — odpowiedziała szybko Lily.

— A emocjonalnie?

— Hmm... w porządku — stwierdziła.

— Tak po prostu w porządku? — zapytał lekarz.

— Dziś wieczorem jest nowy odcinek *Ostrego Dyżuru* — odparła.

— Nie może być więc nic mniej niż w porządku.

— Esther?

— Jestem zawstydzona — powiedziała Esther i wybuchnęła płaczem. Otwarłam oczy. Lekarz wyjął małą paczuszkę chusteczek higienicznych i jej podał.

— Dlaczego zawstydzona? — spytał łagodnie.

Esther uśmiechnęła się słabo. — Bo, zanim zaczęliśmy, patrzyłam na ten plastikowy kotlet schabowy i myślałam, że wyglądał na połowę tego, co byłoby dobre.

To rozładowało napięcie. Wszyscy zaczęliśmy się śmiać, nawet lekarz. Esther wydmuchała nos i wytarła oczy.

— Nie przejmuj się — powiedziała Lily. — Ja myślałam dokładnie to samo o krążku masła w piramidzie żywnościowej.

Lekarz odkaszlnął. — A Candace? — zapytał.

— Cannie — poprawiłam go.

— Jak ty się czujesz?

Zamknęłam oczy, ale tylko na sekundę, bo to, co zobaczyłam, było twarzą Bruce'a i jego brązowymi oczami blisko mnie. Bruce mówiący, że mnie kocha. Wtedy otwarłam oczy i spojrzałam prosto na lekarza.

— Dobrze — odpowiedziałam, mimo że to nie było prawdą. — Czuję się dobrze.

— No więc, jak poszło? — zapytała Samanta. Ledwo dyszałyśmy, bliskie omdlenia, wyciskając poty na podwójnych „ruchomych schodach” na siłowni.

— Nieźle, jak dotąd — odparłam. — Na razie bez tabletek. Lekarz prowadzący zajęcia wydaje się być w porządku.

Wspinałyśmy się przez chwilę w ciszy, taśmociągi zgrzytały i piszczały pod naszymi stopami, podczas gdy z boku dobiegał hałas z zajęć Funky Fitness. Nasza siłownia zdawała się być zdeterminowana, by pozyskać nowych członków, oferując co tydzień nowe atrakcje, mieliśmy zatem Pilaty, aerobik gospelowy, przerywany korkociąg i coś pod nazwą Ćwiczenia Strażaka dla Całego Ciała, kompletne razem z wężami, drabinami oraz pięćdziesięciokilogramowym manekinem do wciągania w górę i w dół schodów. Tymczasem dach przeciekał, urządzenia klimatyzacyjne były niesprawne, a jacuzzi zdawało się być zawsze w naprawie.

— A jak ci minęła reszta dnia? — zapytała Sam, wycierając twarz rękawem. Powiedziałam jej o rozłoszczonym Panu Deiffingerze i jego obronie Celine Dion.

— Nienawidzę czytelników — sapnęłam, gdy moje „ruchome schody” wskoczyły na wyższy bieg. — Dlaczego oni muszą wszystko odbierać tak personalnie?

— Wydaje mi się, że według niego to źle obeszaś się z Celine, więc na to zasłużyłaś.

— Taaak, ale ona jest własnością publiczną. A ja to ja.

— Ale nie dla niego. Twoje nazwisko jest w gazecie. To robi z ciebie własność publiczną, podobnie jak Celine.

— Tyle, że większą.

— I z większym poczuciem smaku. I bez żadnych planów poślubienia swojego siedemdzie-

sięcioletniego menedżera, który zna ciebie, od kiedy skończyłaś dwanaście lat — powiedziała surowo Samanta.

— A teraz kto jest krytyczny? — spytałam.

— Cholemi Kanadyjczycy — odparła Samanta. Spędziła kilka lat pracując w Montrealu i przeżyła tam fatalną miłość. Nigdy nie miała nic miłego do powiedzenia o naszych sąsiadach z Północy, łącznie z Peterem Jenningsem, którego nieugięcie odmawiała oglądać, utrzymując, że zabrał pracę, jaka powinna była prawidłowo trafić do jakiegoś Amerykanina — „do kogoś, kto wie, jak wymawiać słowo o”.

Po czterdziestu potwornych minutach przeniosłyśmy się do sauny parowej, owinięte w ręczniki, i przybrałyśmy leżące pozycje na ławach.

— Jak tam Król Jogi? — zapytałam dociekliwie. Sam rzuciła mi zadowolony uśmiech i podniosła ręce ponad głowę, sięgając sufitu.

— Czuję się bardzo rozciągnięta — powiedziała z filuternym uśmieszkiem. Rzuciłam jej na głowę mój ręcznik.

— Nie torturuj mnie — ciągnęłam ją za język. — Ja pewnie już nigdy nie zaznam seksu.

— Och, tylko bez tego, Cannie! — zachnęła się Samanta. — A poza tym wiesz, że to nie będzie długo trwać. Moje znajomości nigdy nie trwają. — Co było prawdą. Życie miłosne Sam ostatnimi czasy miało na sobie jakąś wyjątkową klątwę. Poznawała faceta, wychodziła z nim raz, i wszystko było cudowne. Spotykali się znowu i sprawy dobrze szły. I nagle, na trzeciej randce, przeżywali okropnie niezręczną chwilę, jakieś niewiarygodne odkrycie, coś, co sprawiało, że dla Sam stawało się praktycznie niemożliwym nadal się z nim spotykać. Jej ostatni chłopak, żydowski lekarz z fantastycznym życiorysem i godną pozazdrosczenia budową ciała, wyglądał jak godny przeciwnik, aż do randki Nr 3, na której zabrał Sam do domu, a ona zdenerwowała się na widok zdjęcia jego siostry wiszącego dostojnie w hallu wejściowym.

— Co było w tym złego? — spytałam ją wtedy.

— Była w topless — odparła. Wychodzi Doktor Poprawny, wchodzi Król Jogi.

— Spójrz na to w ten sposób — mówiła Samanta. — To był okropny dzień, ale teraz już jest to skończone.

— Ja po prostu żałuję, że nie mogę z nim porozmawiać.

Samanta odrzuciła włosy do tyłu, na ramiona, podparła głowę na łokciu i spojrzała na mnie z góry, z poziomu gómej, drewnianej ławy.

— Z Panem Deiffledorfem?

— Deiffinger. Nie, nie z nim. — Nabrałam wody i rozlałam ją po rozgrzanych kamieniach, aż kłęby pary wodnej buchnęły w górę.

— Z Bruce'em.

Samanta zerknęła na mnie z ukosa poprzez mgłę. — Z Bruce'em? Nie rozumiem.

— Co, jeśli... — mówiłam powoli — co, jeśli popełniłam błąd?

Westchnęła. — Cannie, słuchałam ciebie miesiącami, jak opowiadałaś, że między wami nie było dobrze, nie było lepiej, jak uznałaś, że przerwa będzie właściwym rozwiązaniem na dłuższą metę. I nawet jeśli byłaś tym przybita krótko po rozstaniu, nigdy nie słyszałam, żebyś mówiła, że podjęłaś złą decyzję.

— A co jeśli teraz myślę coś innego?

— No dobra, co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Pomyślałam nad odpowiedzią. Artykuł był jej częścią. Bruce i ja nigdy nie rozmawialiśmy o tej całej sprawie z moją wagą. Może, gdybyśmy... gdyby on miał jakieś pojęcie o tym, jak się czułam, gdybym ja przypuszczała, jak bardzo on rozumie... może sprawy przybrałyby inny obrót.

Ale więcej niż za tym, tęskniłam za naszymi rozmowami, za tym, jak mówiłam mu, jak minął dzień, jak się wyżywałam po kolejnych wyczynach Gabby, jak czytałam mu potencjalne wątki moich opowiadań, sceny ze scenariusza.

— Po prostu tęsknię za nim — przyznałam mało przekonująco.

— Nawet po tym, co napisał o tobie? — zapytała Sam.

— Może to nie było takie złe — wymamrotałam. — To znaczy, on nie powiedział, że nie uważał mnie za... no wiesz... pociągającą.

— Oczywiście, że cię uważał za pociągającą — powiedziała Sam. — To ty *jego* nie uważałaś za pociągającego. Uznałaś, że był leniwy i niedojrzały, stwierdziłaś, że był flejtuchem, powiedziałaś mi raptem trzy miesiące temu, leżąc na tej samej ławie, że jeśli zostawi jeszcze jedną użytą chusteczkę higieniczną w twoim łóżku, zabijesz go i ciało podrzucisz do autobusu linii tranzytowej New Jersey.

Skrzywiłam się. Nie pamiętałam dokładnie linii, ale z pewnością zabrzmiało to tak, jak mogłam powiedzieć.

— A jeśli byś do niego zadzwoniła — ciągnęła Samanta — to co byś mu powiedziała?

— Cześć, jak się masz, czy planujesz znowu upokorzyć mnie w gazecie? — Właściwie to miałam miesięczną przerwę. Październikowe wydanie „Dobrej w łóżku” Bruce’a miało tytuł „Miłość i Rękawiczka.” Ktoś — Gabby, byłam prawie pewna — położył wczoraj egzemplarz na moim biurku. Przeczytałam go tak szybko, jak tylko mogłam, z sercem w gardle, aż przekonałam się, że nie było w nim słowa o C. Przynajmniej nie w tym miesiącu.

Prawdziwi mężczyźni używają kondomów, brzmiała pierwsza linijka. Co było do wygwizdania, wzięwszy pod uwagę, że podczas naszych trzech lat razem Bruce prawie całkowicie zaoszczędził sobie zniżania się do latexu. Nasze testy wyszły bez zarzutu, a ja w końcu zaczęłam zażywać pigułkę, po serii przerażających sytuacji, kiedy to jego erekcja opadała w chwili, gdy ja wyciągałam prezerwatywę. Tego drobnego szczegółu, oczywiście, ewidentnie brakowało w jego opowieści, jak też i faktu, że kończyłam sprawę, próbując nałożyć rzecz na niego — był to akt,

który pozostawił mi wrażenie nadopiekuńczej matki zawiązującej swojemu małemu synkowi buty. *Wkładanie rękawicy jest czymś więcej niż tylko zwykłym obowiązkiem*, nauczał czytelników Moxie. *Jest to oznaka oddania, dojrzałości, przejaw szacunku dla wszystkich kobiet — to znak jego miłości do ciebie.*

Teraz wspomnienie o sposobie, w jaki naprawdę traktował kondomy, wydawało się zbyt delikatne, by go nawet rozważać. A myśl o mnie i Bruce'ie leżących razem w łóżku powodowała, że kuliłam się w sobie, z powodu pojawiającej się zaraz kolejnej myśli: *Nigdy już tak nie będziemy.*

— Nie dzwoń do niego — ostrzegła Sam. — Ja wiem, że czujesz się teraz okropnie, ale przejdiesz przez to. Przeżyjesz to.

— Dziękuję, Glorio Gaynor — pogderałam i poszłam wziąć prysznic.

Kiedy wróciłam do domu, światelko w mojej sekretarce automatycznej pulsowało. Uderzyłam w klawisz „Play” i usłyszałam głos Steve'a. — Pamiętasz mnie? Faceta w parku? Słuchaj, właśnie zastanawiałem się, czy nie chciałabyś wybrać się na to piwo w tym tygodniu, czy może na kolację. Zadzwoń do mnie.

Uśmiechałam się, gdy spacerowałam z Nifkinem, szczyrzyłam zęby w uśmiechu, gdy przyrządzałam sobie na kolację pierś z kurczaka, słodki ziemniak i szpinak, promieniałam podczas dwudziestominutowej konsultacji z Sam na temat Steve'a, Uroczego Faceta z Parku. Dokładnie o godzinie dziewiątej wykręciłam jego numer. Zdawał się być zadowolony, że zadzwoniłam. Tak naprawdę, zdawaj się być... fantastyczny. Zabawny. Rozważny. Zainteresowany tym, co robiłam. Szybko przeszliśmy przez podstawowe fakty z naszego życia: wiek, szkoły, och-czy-znasz-Janiez-mojej-szkoły-średniej, trochę o rodzicach i rodzinach (podarowałam sobie na razie całą tę kwestię matki-lesbijki, aby mieć coś na wypadek drugiej randki), i trochę o tym, dlaczego-jestem-chwilowo-sam(a). (Zrobiłam dwuzdaniowe streszczenie problemu Bruce'a. On powiedział, że miał dziewczynę w Atlancie, ale poszła do szkoły dla pielęgniarek, a sam przeprowadził się tutaj.) Opowiedziałam mu o konkursie na przepis kulinarny *Pillsbury bake-off*. On przyznał się, że trenował boks i był jedynym białym facetem, który chodził na treningi. Zdecydowaliśmy, że pójdziemy na kolację w sobotni wieczór do *Najnowszego Dania* i może później załapiemy się jeszcze na jakiś film.

— Więc może teraz będzie dobrze — powiedziała Nifkinowi, który zdawał się tym za bardzo nie przejmować. Obrócił się trzy razy i usadowił na poduszce. Włożyłam koszulę nocną, starając się unikać moich odbić w łazienkowym lustrze i poszłam spać, czując się ostrożnie optymistyczna, że pojawiła się przynajmniej jakaś szansa, iż nie umrę w samotności.

Samanta i ja już dawno temu określiliśmy *Najnowsze Dania* jako idealne miejsce na pierw-

szą randkę. Miało wszelkie zalety: było tuż za rogiem od jej domu i mojego mieszkania. Jedzenie było dobre, nie było zbyt drogo, było typu PSWB (Przynieś Swoją Własną Butelkę), co dawało nam szansę a) zrobić wrażenie na facecie przynosząc butelkę dobrego wina i b) wyeliminować możliwość, że facet zaleje się w pestkę, ponieważ nie można było przynieść więcej niż jedną butelkę. Oraz, najlepsze z wszystkiego, *Danie* miało olbrzymie okna, od sufitu do podłogi i kelnerki, które chodziły na naszą siłownię i przez to nas znały, grzecznie więc sadzały do stolików przy oknach — nas plecami do okna, a faceta przodem do niego — tak by ta, która nie miała randki, mogła przespacerować się z Nifkinem i ogarnąć perspektywę.

Gratulowałam sobie, bowiem Steve wyglądał znakomicie w takiej perspektywie. Koszulka polo z krótkimi rękawami, gustowne spodnie khaki, które wyglądały, jakby je właśnie wyprasował i przyjemny zapach wody kolońskiej. Miła zmiana po Bruce'ie, który oddany był poplamionym T-shirtom i obwisłym szortom, i który, nie *zważając* na moje częste przypomnienia, używał dezodorantu najwyraźniej w dość przypadkowy sposób.

Uśmiechnęłam się do Steve'a. On uśmiechnął się do mnie. Nasze palce wędrowały po kalmarach. Wino było przepyszne, doskonale schłodzone i był wspaniały wieczór, z jasnym, rozgwieżdżonym niebem, i tylko lekki wiaterek przypominał o nadchodzącej jesieni.

— A więc, co dzisiaj robiłaś? — zapytał mnie.

— Wybrałam się na przejażdżkę rowerem do Chestnut Hill — odparłam. — Myślałam o tobie...

Coś błysnęło w jego wyrazie twarzy. Coś złego.

— Widzisz, — mówił cicho — muszę ci coś powiedzieć. Kiedy spytałem cię, czy nie poszłabyś ze mną na piwo... cóż, powiedziałem ci, że byłem nowy w sąsiedztwie... to znaczy, tak naprawdę to szukałem... no wiesz. Przyjaciół. Ludzi, z którymi można spędzać wieczory.

Z kalmarów zrobiła się ołowiana kula w moim żołądku. — Och.

— I zdaje mi się, że nie wyraziłem tego zbyt jasno... że... to znaczy, że to nie jest randka czy cokolwiek... o, Boże — powiedział. — Nie patrz tak na mnie.

Nie płacz, mówiłam sobie. Nie płacz, nie płacz, nie płacz. Jak ja mogłam to tak źle odczytać? Byłam wzruszająca. Chodzącym dowcipem. Chciałam Bruce'a z powrotem. Do diabła, chciałam mojej mamy. Nie płacz, nie płacz, nie płacz.

— Twoje oczy — mówił łagodnie. — Twoje oczy mnie zabijają.

— Przepraszam — powiedziałam głupio. Jak zwykle prosiłam o wybaczenie. Nie może już być gorzej, pomyślałam. Steve przyglądał się czemuś ponad moją głowę, za oknem.

— Hej, — zauważył — czy to nie jest twój pies?

Odwróciłam się i, no pewnie, to była Samanta i Nifkin, oboje wgapiali się przez okno. Sam była wyraźnie pod wrażeniem. Gdy na nią spojrzałam, dała mi szybko znak kciukiem do góry.

— Czy mogę cię na chwilę przeprosić? — wymamrotałam. Wstałam, zmuszając moje stopy

do poruszenia się. W toalecie obmyłam twarz zimną wodą, rozmazując makijaż, koncentrując się na nie-oddychaniu, czując, jak łyzy, których nie mogłam wypłakać, gromadziły się pod czołem i od razu przekształciły się w ból głowy. Rozważałam ciąg dalszy wieczoru: kolacja, a potem mieliśmy iść do multiplexu obejrzeć najnowszy, apokaliptyczny film. Ale nie mogłam. Nie mogłam spędzić całego wieczoru siedząc obok faceta, który właśnie zadeklarował się jako nie-randkowy. Może to czyniło mnie zbyt wrażliwą, albo zbyt zabawną, ale prawdą było, że tak nie potrafiłam.

Poszłam do kuchni i poszukałam naszej kelnerki.

— Prawie gotowe — powiedziała i spojrzała na moją twarz. — O, Boże... co? On jest pedalem. Zbiegłym przestępcą. Spotykał się z twoją matką.

— Coś prawie jak to — odparłam.

— Chcesz, bym mu powiedziała, że źle się czujesz?

— Taaak — zastanowiłam się. — Nie, powiem ci co... spakuj jedzenie i nic mu nie mów. Zobaczmy, jak długo będzie tam siedział.

Przewróciła oczami. — To jest aż tak źle?

— Tu jest jeszcze jakieś inne wyjście, prawda?

Wskazała na wyjście ewakuacyjne, które akurat było otwarte, podparte krzesłem zawierającym pomocnika kelnera robiącego sobie przerwę. — Idź tędy — powiedziała, i minutę później, chwytając dwa pojemniki z jedzeniem na wynos i to, co zostało z mojej dumy, prześlizgnęłam się obok adepta kelnerskiego i pomknęłam w czeluść nocy. W głowie mi pulsowało. Głupia, myślałam, ganiąc się surowo. Idiotka. Głupia, głupia idiotka, która myślała, że ktoś, kto tak wygląda, mógłby być zainteresowany kimś takim, jak ona.

Weszłam po schodach na górę, wywaliłam jedzenie, zdjęłam sukienkę, włożyłam mój nędzny dres, myśląc gniewnie, że pewnie wyglądam jak Andrea Dworkin. Zeszłam ciężko po schodach, wyszłam za drzwi i zaczęłam spacerować, najpierw w dół, do rzeki, a potem na północ, w kierunku Society Hill i Starego Miasta, i w końcu na zachód, do Rittenhouse Square.

Część mnie — ta rozsądna część — uważała, że nie było to nic wielkiego, drobna wywrotka na życiowej ścieżce rowerowej, i że to on był idiotą, a nie ja. *Jestem sam*, powiedział. Czy byłam w błędzie myśląc, że zaprasza mnie na prawdziwą randkę? No i co, jeśli to w końcu nie była randka? Chodziłam na randki wcześniej. Miałam nawet chłopaków. Było to całkiem rozsądne myślenie, że mogę mieć znowu jedno i drugie, a ten facet nie był wart już ani jednej sekundy mojego czasu.

Ale ta druga część — ta przeraźliwie piskliwa, histeryczna, nadmiernie krytyczna i, niestety, o wiele głośniejsza — mówiła coś zupełnie innego.

Że byłam głupia. Że byłam gruba. Że byłam tak gruba, że nikt już nigdy mnie nie pokocha i tak tępa, że tego nie widziałam. Że byłam wariatką, czy też, co gorsza, dałam z siebie zrobić wariatkę. Że Steve, ten elegancki inżynier, siedział teraz pewnie przy pustym stole, jedząc kalma-

ry i naśmiewając się z dużej, głupiej Cannie.

I komu miałam o tym powiedzieć? Kto mógłby mnie pocieszyć?

Nie moja mama. Nie mogłam jej tak naprawdę mówić o moim życiu uczuciowym, po tym jak oznajmiłam jej dość wyraźnie, że nie popieram jej życia. I ponadto, dzięki kolumnie Bruce'a dowiedziała się jak na razie wystarczająco o moich nocnych zajęciach.

Mogłam na pewno powiedzieć Samancie, ale ona pomyślałaby, że oszalałam. — Dlaczego zakładasz, że to z powodu twojego wyglądu? — zapytałaby, a ja wymamrotałabym, że to mogło być z jakiegoś innego powodu, albo jakieś czyste nieporozumienie, cały czas jednak czując prawdę w moich kościach, Ewangelię według mojego ojca: Byłam gruba i byłam brzydka, i nikt mnie już nigdy nie pokocha. I byłoby to krępujące. Chciałam, by moi przyjaciele myśleli o mnie jako o kimś, kto jest mądry, zabawny i zdolny. Nie chciałam, by mi współczuli.

To, co chciałam zrobić — to zadzwonić do Bruce'a. Nie powiedziałabym mu o najnowszym upokorzeniu — nie chciałam również jego współczucia, nie chciałam, by myślał, że się przyczółgam z powrotem, albo że tak planuję, tylko dlatego, że jakiś kędzierzawonogi głupek mnie odrzucił — ale chciałam usłyszeć jego głos. Nieważne, co napisał w *Moxie*, nieważne, jak bardzo mnie zawstydził. Po trzech latach znał mnie lepiej niż prawdopodobnie ktokolwiek inny na świecie, za wyjątkiem Samanty, i w tej właśnie chwili, stojąc na chodniku, na rogu 17-ej i Walnut, chciałam tak bardzo z nim rozmawiać, że poczułam, jak miękną mi nogi.

Popędziłam do domu, wbiegłam po schodach na górę, biorąc na raz po dwa. Spocona, z drżącymi rękami, rozwalłam się na łóżku i sięgnęłam po telefon, wybierając jego numer tak szybko, jak tylko mogłam. Odebrał od razu.

— Cześć, Bruce — zaczęłam.

— Cannie? — jego głos brzmiał dziwnie. — Właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

— Naprawdę? — poczułam w piersiach małą iskierkę nadziei.

— Właśnie chciałem cię powiadomić — rozpoczął, po czym jego głos zmienił się w chrapliwe, urywane łkania. — Mój ojciec zmarł dziś rano.

Nie pamiętam, co wtedy powiedziałam. Pamiętam, że podał mi szczegóły: miał wylew i umarł w szpitalu. Wszystko poszło bardzo szybko.

Ja płakałam, Bruce płakał. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy czułam się tak okropnie. To było takie niesprawiedliwe. Ojciec Bruce'a był takim cudownym mężczyzną. Kochał swoją rodzinę. On może nawet, myślałam, mnie też pokochał.

Ale nawet jeśli czułam się tak fatalnie, poczułam rosnącą iskierkę. *On teraz to chwyci*, coś mi szeptało w głowie. Jeśli przeżywasz taką stratę, czyż nie zmienia to twojego poglądu na świat? I czy nie mogło to zmienić sposobu, w jaki mnie postrzegał, moją rozwaloną rodzinę, utratę mojego ojca? Plus, będzie mnie potrzebował. Już raz mnie potrzebował, żeby uratowała go od samotności, od seksualnej ignorancji i wstydu... i z pewnością będzie mnie znowu potrzebował,

bym pomogła mu przez to przejść.

Wyobraziłam sobie nas na pogrzebie, jak trzymam go za rękę, jak mu pomagam, podtrzymuję go, jestem tam, by mógł się na mnie wesprzeć tak, jak ja chciałam się na nim wspierać. Wyobraziłam sobie, jak patrzy na mnie z nowym szacunkiem i zrozumieniem, nową rozwagą, oczami mężczyzny, a nie chłopca.

— Pozwól mi ci pomóc. Jak mogę ci pomóc? — spytałam. — Czy chcesz, bym przyjechała?

Jego odpowiedź była przerażająco szybka. — Nie — odparł. — Jadę do domu, a tam są teraz setki ludzi. Byłoby to dziwne. Czy możesz przyjść jutro na pogrzeb?

— Oczywiście — powiedziałam. — Oczywiście. Kocham cię — słowa wydostały się z moich ust, zanim skończyłam myśleć o nich.

— Co to znaczy? — zapytał, wciąż płacząc.

Całe szczęście, że szybko się opamiętałam. — Że chcę być tam dla ciebie... i pomóc ci w każdy możliwy sposób.

— Po prostu przyjedź jutro — odparł stłumionym głosem. — To wszystko, co możesz teraz zrobić.

Ale coś przewrotnego we mnie tkwiło.

— Kocham cię — powiedziałam znowu i zostawiłam słowa w zawieszaniu. Bruce westchnął, wiedząc, co ja chciałam i będąc niechętnym czy niezdolnym, by mi to dać.

— Muszę iść — zakończył. — Przepraszam cię, Cannie.

CZEŚĆ DRUGA

Zmieniam się

Rozdział V

Patrząc wstecz — pewnie była jeszcze możliwość, bym czuła się gorzej na pogrzebie Bernarda Gubernana. Na przykład, gdybym to ja go zabiła.

Nabożeństwo zaczęło się o godzinie drugiej. Przyjechałam tam wcześniej, ale parking był już pełny, a samochody zaparkowane były też na drodze podjazdowej, wysypując się na ulicę. Znalazłam w końcu miejsce po drugiej stronie ulicy, przebiegłam przez cztery pasy ruchu i wpadłam prosto na grupę przyjaciół Bruce'a. Stali w drzwiach westybulu, ubrani w garnitury, które z pewnością nosili tylko na spotkania w sprawie pracy, ręce w kieszeniach, rozmawiali cicho, trzymając głowy spuszczone do ziemi. Było piękne, słoneczne, październikowe popołudnie — dzień na podziwianie liści, kupienie butelki jabłeczniaka i rozpalenie pierwszego ogniska w tym roku. Na pewno nie dzień na to.

— Cześć, Cannie — powiedział miękko George.

— Jak on się czuje? — zapytałam.

George wzruszył ramionami. — Jest w środku — odparł.

Bruce siedział w niewielkim westybulu, trzymając butelkę wody Evian i chusteczkę w swojej prawej dłoni. Miał na sobie niebieskie ubranie, to samo, w które ubrał się na Yom Kippur⁴, kiedy to siedzieliśmy obok siebie w świątyni. Było wciąż za ciasne, a krawat wciąż za krótki. Na stopy założył płócienne tenisówki, które udekorował rysunkami gwiazdek i esów-floresów w czasie pewnego nudnego wykładu. W chwili, gdy go zobaczyłam, poczułam się tak, jakby cała nasza ostatnia historia odeszła w otchłań — moja decyzja o przerwie, jego decyzja napisania o moim ciele. Było tak, jakby nic nie pozostało, tylko nasz związek — i jego ból. Dawny Bruce i jego cierpienie. Jego matka stała nad nim, trzymając jedną rękę na jego ramieniu. Wszędzie byli jacyś ludzie. Wszyscy płakali.

Podeszłam do Bruce'a, przyklęknęłam i przytuliłam go.

— Dziękuję ci za przybycie — oznajmił chłodno. Formalnie. Pocałowałam go w policzek, kłując od, jak oceniałam, trzydniowego zarostu. Zdawał się nie zauważać tego. Jego mama przytuliła mnie w znacznie cieplejszy sposób, jej słowa brzmiały o wiele łagodniej niż jego. — Cannie, — wyszeptła — cieszę się, że jesteś tutaj.

⁴ Święto żydowskie zwane „Sądny dzień”.

Wiedziałam, że będzie źle. Wiedziałam, że będę się czuć okropnie, będąc tam, nawet po tym naszym zerwaniu na parkingu, mimo że, oczywiście, nie było ziemskiej możliwości, bym wiedziała, że coś takiego się wydarzy.

Ale nie było po prostu źle. To była agonia. Agonia, kiedy rabin, którego widywałam w domu Bruce'a kilka razy na kolacjach, opowiadał o tym, jak Bernard Leonard Guberman żył dla swojej żony i swojego syna. O tym, jak zabierał Audrey do sklepów z zabawkami, chociaż nie mieli jeszcze wnuków. — Po prostu żeby być gotów — mówił. A było to wtedy, kiedy to straciłam. Wiedziałam, że to ja miałam spłodzić te wnuki i jak bardzo one by go kochały, i jak szczęśliwa byłabym, mając ten rodzaj miłości w moim życiu.

Siedziałam tam na twardej, drewnianej ławie w tej salce pogrzebowej, osiem rzędów za Bruce'em, który miał być moim mężem, myśląc, że wszystko, czego chciałam, to być obok niego, i że nigdy nie czułam się bardziej oddalona.

— On naprawdę cię kochał — Barbara, ciotka Bruce'a, szepnęła do mojego ucha, gdy stałyśmy na zewnątrz domu i myłyśmy ręce. W ślepej uliczce samochody były zaparkowane podwójnie, otaczały budynek, było ich tak wiele, że trzeba było postawić policjanta przed cmentarzem na czas trwania pogrzebu. Ojciec Bruce'a był aktywny w świątyni i miał dobrze prosperujący gabinet dermatologiczny. Sądząc po zgromadzonym tłumie, wydawało się, że każdy Żyd czy nastolatek mający kiedyś problemy ze skórą pojawił się tu, by okazać szacunek zmarłemu.

— Był wspaniałym człowiekiem — powiedziałam.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem. — Był?

To wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że mówiła o Bruce'ie, który wciąż był żywy.

Barbara złapała mnie za przedramię swoimi kasztanowymi paznokciami i zaciągnęła do nieskazitelnie czystego, pachnącego zapachem proszku Downy pokoju z praniem.

— Wiem, że ty i Bruce zerwaliście ze sobą — powiedziała. — Czy to dlatego, że on się nie oświadczył?

— Nie — odparłam. — Wydaje mi się, że... po prostu czułam coraz bardziej, że do siebie nie pasujemy.

Tak jakby nie usłyszała tego.

— Audrey zawsze mówiła mi, jak to Bernie powiedział, że byłby szczęśliwy, gdyby miał ciebie w swojej rodzinie — oznajmiła. — On zawsze mówił: „Jeśli Cannie zechce pierścionek, będzie miała pierścionek za chwilę”.

O, Boże. Poczulałam, jak łzy zaczynały się zbierać w moich oczach. Znowu. Płakałam podczas nabożeństwa, kiedy Bruce stał na bimie i opowiadał o tym, jak ojciec nauczył go łapać piłkę i prowadzić samochód, i płakałam na cmentarzu, kiedy Audrey szlochala nad otwartym grobem i powtarzała: — To nie jest w porządku, to nie w porządku.

Ciotka Barbara podała mi chusteczkę.

— Bruce cię potrzebuje — wyszeptwała, a ja kiwnęłam głową, wiedząc, że nie mogę ufać memu głosowi. — Idź — powiedziała, popychając mnie do kuchni. Wytarłam oczy i weszłam.

Bruce siedział na werandzie, z przyjaciółmi dookoła, jak w kręgu na zajęciach z wybaczenia. Kiedy podeszłam, przymrużył oczy i obserwował mnie jak slajd z nowym okazem.

— Cześć — powiedziałam łagodnie. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Pokiwał głową i odwrócił wzrok. Wszystkie krzesła na werandzie były przez kogoś zajęte i nikt nie wyglądał, jakby zamierzał się stamtąd ruszyć. Tak wdzięcznie, jak tylko potrafiłam, przykucnęłam na stopniu za jego plecami, akurat poza kręgiem, w końcu przysiadłam, obejmując kolana. Było mi zimno i byłam głodna, a ja nie przyniosłam ze sobą żakietu. Na dodatek nie było wokół miejsca, by położyć talerz. Słuchałam, jak rozmawiali o niczym — o sporcie, koncertach, o swojej pracy, jakby nigdy nic. Obserwowałam, jak córki przyjaciółek matki Bruce'a, trio zagrożonych w rozmowie dwudziestokilkulatek, weszły na werandę z papierowymi talerzykami pełnymi kruchych ciasteczek i złożyły Bruce'owi kondolencje, nadstawiając przy tym swoje policzki do pocałunków. Poczulałam, jakbym połykała piasek, gdy oglądałam go, jak wyszedł ze swego kokonu i uśmiechnął się do nich, popisując się zaraz tym, jak pamiętał imiona ich wszystkich, kiedy to ledwo mógł mi rzucić krótkie spojrzenie. Pewnie, wiedziałam, że kiedy — jeśli — zdecydowalibyśmy się zerwać, najprawdopodobniej znalazłby kogoś innego. Ja po prostu nigdy nie myślałam, że będę musiała cierpieć podczas takiej sytuacji. Siedziałam nieruchomo, czując się żałośnie.

Kiedy Bruce wstał w końcu, podniosłam się też, by za nim pójść, ale moja noga zdążyła zdrętwieć, potknęłam się więc i rąbnęłam jak długa, krzywiąc się, gdy drzazga wbiła mi się w dłoń.

Bruce pomógł mi wstać. Z niechęcią, pomyślałam.

— Czy chcesz się przejść? — spytałam go. Wzruszył ramionami. Poszliśmy. Wzdłuż drogi podjazdowej, wzdłuż ulicy, gdzie tłoczyło się więcej samochodów.

— Przepraszam — odezwałam się do niego. Bruce nic nie powiedział. Sięgnęłam po jego rękę, czubki moich palców zaczęły gładzić wierzch jego dłoni. Jego dłoń pozostawała obca. — Widzisz, — mówiłam, czując się zdesperowana — wiem, że sprawy były... wiem, że my... — mój głos zanikał. Bruce spojrzał na mnie zimno.

— Nie jesteś już moją dziewczyną — oznajmił. — To ty chciałaś zrobić przerwę, pamiętasz? A ja jestem malutki — praktycznie prychnął.

— Chcę być twoją przyjaciółką — powiedziałam.

— Mam przyjaciół.

— Zauważyłam — odparłam. — Grzeczna grupka.

Wzruszył ramionami.

— Słuchaj, — mówiłam — czy moglibyśmy... czy moglibyśmy po prostu — przyłożyłam pięść do moich warg. Słowa mnie zawodziły. Wszystko to, co mi pozostało, to szloch. Ciężko przełykałam. Musisz przez to przejść, powiedziałam do siebie. — Cokolwiek wydarzyło się między nami, cokolwiek czujesz do mnie, chcę, żebyś wiedział, że twój ojciec był wspaniałym człowiekiem. Kochałam go. Był najlepszym ojcem, jakiego kiedykolwiek spotkałam i bardzo mi przykro, że już go nie ma, i czuję się okropnie z powodu tego wszystkiego... — Bruce najzwyczajniej mi się przyglądał. — I jeśli byś chciał do mnie zadzwonić... — zdołałam w końcu wyduśić z siebie.

— Dzięki — odezwał się wreszcie. Odwrócił się i ruszył w kierunku domu, a ja po chwili odwróciłam się, by iść za nim jak grzeczny piesek, iść odrętwiało ze spuszczoną głową.

Powinłam była zaraz odjechać stamtąd, ale tego nie zrobiłam. Zostałam nawet na wieczornych modlitwach, kiedy to mężczyźni z tałesami na ramionach tłoczyli się w salonie Audrey, waląc kolanami o twarde, drewniane ławy dla żałobników, opierając ramionami o przykryte lustro. Zostałam, kiedy Bruce i jego przyjaciele zgromadzili się w biało-chromowej kuchni, aby pogrzebać w tacach z jedzeniem i zamienić kilka zdań. Trzymałam się kurczowo skraju grupy, tak pełna smutku, że gotowa wybuchnąć, dokładnie na podłogę Audrey z hiszpańskich płytek. Bruce nie spojrzął na mnie. Ani razu.

Słońce zaszło. Dom powoli pustoszał. Bruce zebrał przyjaciół i zaprowadził nas na górę, do swojego pokoju, gdzie usiadł na swoim łóżku. Eric, Neil i jego ogromnie ciężarna żona usiedli na kanapie. George zająłkrzesło przy biurku. Ja złożyłam się na podłodze, poza kręgiem, myśląc przy pomocy jakiejś małej i prymitywnej części mózgu, że będzie musiał znowu ze mną porozmawiać, że pozwoli mi ukoić jego ból, jeśli te nasze lata spędzone razem miały coś jeszcze znaczyć.

Bruce odwiązał swój kucyk, potrząsnął włosami i związał je z powrotem. — Byłam dzieckiem przez całe moje życie — oznajmił. Nikt nie zdawał się wiedzieć, jak na to odpowiedzieć, zatem zaczęli robić to, co, jak przypuszczałam, robili zazwyczaj w pokoju Bruce'a. Eric wyjął jointa, George wyjął zapalniczkę z kieszeni swojej marynarki, a Neil wepchnął ręcznik w szparę między drzwi a podłogę. Niewiarygodne, pomyślałam, powstrzymując w sobie histeryczny śmiech. Traktują śmierć dokładnie w ten sam sposób, w jaki traktowali sobotni wieczór, kiedy to nie było nic ciekawego w telewizji.

Eric podał jointa Neilowi, nie pytając mnie nawet, czy chcę. Nie chciałam i pewnie to wiedział. Jedyne, co marycha sprawiała, to że stawałam się bardziej senna i jadłam znacznie więcej, niż zazwyczaj. Nie był to raczej ten rodzaj narkotyku, którego potrzebowałam. Ale, tak czy tak, byłoby miło, gdyby mi też zaproponował.

— Twój ojciec był naprawdę równy — wymamrotał George, i wszyscy pozostali, mamrocząc, zgadzali się z tymi słowami, za wyjątkiem ciężarnej żony Neila, która wykonała wielki wy-

silek, polegający na podniesieniu się na nogi i wyjściu z pokoju. Albo, być może, jest to zawsze wielki wysilek wstać i iść, gdy jest się w ciąży. Kto to wie? Neil wpatrywał się w swoje tenisówki. Eric i George powiedzieli znowu, jak bardzo jest im przykro. I wtedy wszyscy zaczęli rozmawiać o rozpoczętym właśnie sezonie rozgrywek NBA.

Zawsze dziecko, pomyślałam, patrząc przez dym na Bruce'a. Przez moment złapałam jego spojrzenie i patrzyliśmy wprost na siebie. Wychylił się do mnie z jointem: Chcesz trochę? Pokręciłam przecząco głową i nabrałam głębokiego oddechu w ciszę.

— Pamiętasz, jak basen był wykończony? — spytałam.

Bruce kiwnął lekko, ale zachęcająco, głową.

— Twój tata był taki szczęśliwy — powiedziałam. Spojrzałam na jego przyjaciół. — Szkoda, żeście tego nie widzieli. Doktor Guberman nie potrafił pływać...

— ...nigdy się tego nie nauczył — dodał Bruce.

— Ale upierał się, bardzo się upierał, że jego dom powinien mieć basen. „Moje dzieci nie będą się pocić przez kolejne lato!”

Bruce lekko się zaśmiał.

— Więc tego dnia, kiedy basen był skończony, urządził gigantyczne przyjęcie. — Teraz George potakiwał. Był tam wtedy. — Jedzenie zlecił firmie organizującej przyjęcia. Zamówił, na przykład, tuzin koszy z arbuzami...

— ...i beczkę — dodał Bruce, śmiejąc się.

— I całe popołudnie chodził w tych kąpielowych slipach z jego inicjałami, które kupił specjalnie na tę okazję, paląc to ogromne cygaro. Wyglądał wtedy jak król — zakończyłam. — Tu musiałyby być wtedy ze sto osób... — ucichłam. Miałam przed oczyma ojca Bruce'a w gorącej kąpeli, z dymiącym cygarem w zaciśniętych zębach, jednorazowym kubkiem pełnym piwa na brzegu za jego plecami i księżyc w pełni, wyglądający jak złote kółko zawieszony na niebie.

W końcu poczułam, że jestem na bardziej stabilnym gruncie. Nie potrafiłam palić jointa, a on nie pozwoliłby mi się pocałować, ale mogłam całą noc opowiadać historie. — Wyglądał na bardzo szczęśliwego, — powiedziałam do Bruce'a — bo ty byłeś szczęśliwy.

Bruce zaczął cicho płakać i kiedy wstałam, przeszłam przez pokój i usiadłam obok niego, nic nie powiedział. Nawet wtedy, kiedy go dotknęłam. Kiedy objęłam ręką jego ramiona, pochylił się do mnie, tuląc się, zarazem wciąż płacząc. Zamknęłam oczy, zatem tylko słyszałam, jak jego przyjaciele wstawali i wychodzili z pokoju.

— Och, Cannie — szepnął.

— Ciiii — odparłam, i zaczęłam go kołysać, pochylając go do przodu i do tyłu całym moim ciałem, popychając go lekko na łóżko, pod półkę udekorowaną trofeami z jego Malej Ligi oraz odznakami najlepszego ucznia ze szkoły żydowskiej. Jego przyjaciół już nie było. Byliśmy wreszcie sami. — Ciii teraz, ciiii teraz. — Pocałowałam jego wilgotne policzki. Nie opierał się.

Jego wargi były chłodne pod moimi. Nie odwzajemniał pocałunków, ale też nie odpychał mnie. Był to początek.

— Co chcesz? — wyszeptał do mnie.

— Zrobię, cokolwiek będziesz chciał — odparłam. — Nawet... jeśli chciałbyś tego... zrobię to dla ciebie. Kocham cię... — powiedziałam.

— Nie mów nic — szeptał, wsuwając ręce pod moją bluzkę.

— Och, Bruce — szepnęłam również, nie mogąc uwierzyć, że to się naprawdę działo, że on mnie też chciał.

— Ciii — tym razem to on uciszał mnie w ten sam sposób, jak ja jego, chwilę temu. Jego dłonie niezdarnie walczyły ze skomplikowanym zapięciem mojego biustonosza.

— Zamknij drzwi — wyszeptałam.

— Nie chcę pozwolić ci odejść — powiedział.

— Nie musisz — odparłam, wtulając głowę w jego szyję, wdychając jego zapach, mieszankę słodkiego dymu, kremu do golenia i szamponu, chełpiąc się z faktu, że jego ramiona obejmowały mnie, rozmyślając, że to było właśnie to, czego potrzebowałam, czego zawsze chciałam — miłość cudownego i słodkiego mężczyzny, który — co najważniejsze — rozumiał mnie. — Nie musisz już nigdy.

Starłam się, by było mu dobrze, dotykając jego ulubionych miejsc, poruszając w sposób, który, jak sobie przypomiinałam, lubił. Czułam się cudownie, będąc znowu razem z nim, i myślałam, obejmując jego ramiona, gdy on wtulał się we mnie i pojękiwał, że moglibyśmy zacząć od nowa; że *zaczynaliśmy* od nowa. Artykuł w *Moxie* byłam skłonna potraktować jak wodę spływającą wraz z nurtem rzeki, pod warunkiem, że złożyłby solenną przysięgę, że już nigdy nie wspomniaby nic na piśmie o moim ciele. A resztę tego, śmierć jego ojca, przeszlibyśmy już jako para. Razem. — Tak ciebie kocham — szeptałam, całując go po policzkach, trzymając go blisko siebie, starając się uciszyć nieśmiały głos we mnie, który zauważał, nawet w ferworze namiętności, że Bruce nic do mnie nie mówił.

Później, z głową na jego ramionach, kreśląc kółka na jego piersiach, myślałam, że nigdy wcześniej jeszcze nie czułam się tak dobrze. Myślałam, że to może ja byłam wciąż dzieckiem, dziewczynką, ale teraz byłam gotowa, podrosłam do stołu. Byłam gotowa czynić właściwe rzeczy, być kobietą, stać obok niego, podtrzymując go, począwszy od tej nocy.

Bruce najwyraźniej miał inne myśli. — Powinnaś już iść — powiedział, wysuplując się z moich ramion, po czym poszedł do łazienki, nie odwracając się nawet w kierunku łóżka.

To było niespodziewane. — Mogę zostać — zawołałam za nim.

Bruce wyszedł z łazienki, z ręcznikiem owiniętym wokół talii.

— Muszę jutro rano iść z mamą do świątyni i sądzę, że to mogłoby, hmm, skomplikować sprawę, jeśli... — ucichł.

— W porządku — oznajmiłam, pamiętając o swoim przyrzeczeniu, by być dorosłą, by myśleć o tym, czego on potrzebuje, zamiast tego, co ja chcę, nawet jeśli to, czego ja chciałam, miało wiele wspólnego z długim, powolnym tuleniem się, a następnie z łagodnym przeniesieniem się w stan snu — ale nie taki gwałtowny odwrót sytuacji. — Nie ma problemu — powiedziałam, i założyłam z powrotem swoje ubrania. Jak tylko wciągnęłam majtki, Bruce złapał mnie za łokieć i zaprowadził do drzwi, popychając, gdy przechodziliśmy obok kuchni i salonu, gdzie, przypuszczalnie, czekała jego mama i zgromadzili się przyjaciele.

— Zadzwoń do mnie — powiedziałam, słysząc, jak drży mój głos — kiedy tylko chcesz.

Odwrócił wzrok. — Będę raczej zajęty — odparł.

Wzięłam głęboki oddech, pragnąc mocno, by panika opadła. — W porządku — odezwałam się. — Wiedz jednak, że jestem tam dla ciebie.

Kiwnął głową z powagą. — Doceniam to, Cannie — powiedział, tak jakbym mu właśnie zaproponowała doradztwo w planowaniu finansowym, a nie swoje serce na talerzu. Podeszłam, by go pocałować. Nadstawił swój policzek. Świetnie, pomyślałam, wsiadając do samochodu, chwytając kierownicę tak mocno, by nie zauważył, jak ręce mi drżą. Mogę być cierpliwa. Mogę być dojrzała. Mogę na niego zaczekać. Kochał mnie tak bardzo, myślałam, pędząc przez ciemność do domu. Pokocha mnie znowu.

Rozdział VI

Kiedy miałam zajęcia z psychologii 101, profesor uczył nas o losowym wzmocnieniu. Umieszczono trzy grupy szczurów w trzech oddzielnych klatkach, wyposażonych w rygle. Pierwsza grupa szczurów dostawała kulki chlebowe za każdym razem, gdy napierała na rygiel. Grupa druga nie dostawała nigdy kulek, bez względu na to, jak silnie forsowała rygiel. A grupa trzecia dostawała kulki od czasu do czasu.

Grupa pierwsza, mówił profesor, nudzi się w końcu otrzymywaną nagrodą, a szczury, które nigdy nie otrzymywały nagrody, również się poddają. Ale te szczury, które dostawały kulki w sposób losowy, będą zawsze napierały na rygiel, łudząc się, że tym razem cud się wydarzy, że tym razem będą miały szczęście. To właśnie w tym momencie zdałam sobie sprawę z tego, że stałam się szczurem taty.

Kiedyś mnie kochał. Pamiętam to. Miałam w głowie garść fotografii, pocztówek, których rogi już się wystrzępiły od częstego oglądania. Scena pierwsza: Cannie, lat trzy, wtulona na kolanach tatusia, jej głowa oparta o jego piersi, czuje, jak jego głos grzmi w niej, gdy jej czyta *Tam, gdzie są dzikie rzeczy*. Scena druga: Cannie, lat sześć, trzymająca się oboma rękami taty, gdy ten pewnej ciepłej, letniej soboty prowadził ją przez drzwi szkoły podstawowej na test sprawdzający z zakresu pierwszej klasy. — Nie bądź nieśmiała — mówi do niej, całując w oba policzki. — Zdasz to wspaniale.

Pamiętam, że gdy miałam dziesięć lat, spędzałam z nim całe dnie, załatwiając sprawunki, spotykając się z jego sekretarką czy Panią Yee w pralni chemicznej, która czyściła jego koszule, czy też ze sprzedawcą (w sklepie z ubraniami), który spoglądał na mojego ojca z szacunkiem, gdy płacił za swoje garnitury. Kupowaliśmy ser brie w tym luksusowym sklepie z serami, który cudownie pachniał prażonymi ziarnami kawy, a płyty jazzowe w Starym Winylu. Wszyscy znali nazwisko mojego taty.

— Doktor Shapiro — witali go, uśmiechając się do niego, do nas, ustawionych w rzędzie, od najstarszego do najmłodszego, ze mną na czele. Kładł wtedy swą ciepłą dłoń na mojej głowie, głaszcząc mnie po kucyku.

— To jest Cannie, moje najstarsze dziecko — mówił. I wszyscy oni, począwszy od ekspedientów w sklepie z serami, a skończywszy na ochroniarzach w jego budynku, zdawali się wiedzieć nie tylko, kim on był, ale także, kim ja byłam. — Twój tata mówi, że jesteś bardzo mądra — mówili, a ja stałam tam, uśmiechając się, starając się wyglądać na rozgarniętą.

Ale dni jak te stawały się coraz rzadsze, w miarę jak podrastałam. Prawdą było, że ojciec zaczął mnie ignorować. Ignorował nas wszystkich — Lucy, Josha, a nawet moją mamę. Przychodził późno do domu, wychodził z domu bardzo wcześnie, spędzał weekendy w biurze albo na

długich przejazdach „by odświeżyć umysł”. Jakiegokolwiek uczucie otrzymywaliśmy, jakiegokolwiek uwagę na nas zwracał, było podawane w małych dawkach, nieczęsto udzielane. Ale, och, kiedy mnie kochał, kiedy kładł dłoń na mojej głowie, kiedy przykładając do niego moją głowę... nie było na świecie innego uczucia, które mogłoby to przebić. Czułam się ważna. Czułam się pieszczona. I zrobiłabym, cokolwiek by było trzeba, napierałabym na rygiel, aż ręce by krwawiły, by doznać znowu tego uczucia.

Zostawił nas po raz pierwszy, gdy skończyłam dwanaście lat. Wróciłam ze szkoły do domu i zastałam go, niespodziewanie, w sypialni, wkładającego stopy koszul i zwiłki skarpet do walizki. — Tato? — zwróciłam się do niego, przestraszona jego widokiem w dziennym świetle.

— Czy ty... czy my... — chciałam go spytać, czy gdzieś wyjeżdżamy, może na wycieczkę? Jego oczy były ciężkie, z na wpół przymkniętymi powiekami. — Zapytaj swoją matkę — powiedział. — Ona ci wytłumaczy.

I mama rzeczywiście wytłumaczyła — że zarówno ona, jak i ojciec kochali nas bardzo, ale nie potrafili rozwiązać problemów istniejących między nimi. Byłam wciąż odrętwiała z szoku powstałego po tej sytuacji, kiedy odkryłam prawdę o tym, co się dzieje naprawdę, od Hallie Cinti, jednej ze znanych i lubianych dziewczyn. Hallie była w mojej drużynie piłkarskiej, ale społecznie w zupełnie innej lidze. Na boisku często robiła wrażenie, jakby wolała, bym ją omijała, tak jakby moja stopa na piłce mogła przenieść moje osobiste wady i wysłać zarodki mej okropności, by przeczłogały się przez jej buty. Trzy lata później zasłynęła niechlubnie z zaordynowania krzepiących „lodów” trzem z pięciu grających zawodników drużyny koszykarskiej podczas przerwy w połowie meczu w czasie stanowych rozgrywek, i odtąd nazywaliśmy ją Hallie Cunti⁵, ale wtedy o tym nie wiedziałam.

— Słyszałam o twoim ojcu — powiedziała opadając ciężko na mój stół, który stał w rogu jadalni, miejscu, do którego rzadko zachodziła Hallie Cinti i jej podobni. Dzieciaki z klubu szachowego i moi przyjaciele z Młodych Dyskutantów przyglądali się z otwartymi ustami, jak Hallie i jej przyjaciółka Jenna Lind przewiesiły swoje torebki przez oparcia dwóch plastikowych krzeseł i zaczęły się we mnie wgapiać.

— Co słyszałaś? — zapytałam otóżnie. Nie ufałam Hallie, która ignorowała mnie przez sześć lat szkoły, ani Jennie, której włosy były zawsze doskonale nastroszone.

Hallie, jak się okazało, nie mogła się doczekać, by mi powiedzieć.

— Słyszałam, jak moja mama mówiła o tym wczoraj wieczorem. Wprowadził się na ulicę Copper Hill, z jakąś techniką dentystką.

Bawiłam się moją kanapką z masłem orzechowym, zyskując na czasie. Czy to było prawdą? Jak mama Hallie mogła o tym wiedzieć? I dlaczego o tym mówiła? Moja głowa zapehniała się od

⁵ Conti – Pizdeńka.

pytań oraz na wpół zapamiętanych twarzy wszystkich kobiet, które kiedykolwiek grzebały mi w zębach.

Jenna pochyliła się, by zadać dobijające uderzenie. — Słyszałyśmy, — oznajmiła — że ma tylko dwadzieścia siedem lat.

No dobra, to mogłoby wy tłumaczyć plotkę. Hallie i Jenna wpatrywały się we mnie, a moja grupa debatujących-zazwyczaj-przyjaciół przyglądała się im. Poczułam się, jakbym nagle została wypchnięta na scenę i nie pamiętała tekstu, ani nawet tego, co miałam grać.

— A więc to prawda? — zapytała Hallie niecierpliwie.

— To nic wielkiego — powiedziała Jenna, najwyraźniej mając nadzieję doprowadzić mnie do upadku poprzez sympatię. — Moi rodzice też się rozwiedli.

Rozwiedli, pomyślałam, smakując ten wyraz. Czy naprawdę właśnie to się działo? Czy mój tata zrobiłby mi to?

Uniosłam oczy na lubiane dziewczęta. — Idźcie sobie stąd — oznajmiłam im. Usłyszałam, jak jedno z moich debatujących-zazwyczaj-przyjaciół odetchnęło ciężko. Nikt nie mówił w ten sposób do Jenny i Hallie. — Zostawcie mnie w spokoju. Idźcie stąd!

Jenna przewróciła oczami. Hallie zasunęła z powrotem swoje krzesło. — Jesteś wielką, tłu-
stą, przegraną kupą — wypowiedziała, zanim zabrała swoją dietetyczną colę i popędziła do stoli-
ków lubianych dzieciaków, gdzie każdy miał na koszulce małego aligatora, a każda z dziewczyn
miała na obiad jedynie dietetyczną colę.

Szłam wolno do domu. Znalazłam mamę w kuchni, z około dziesięcioma na wpół rozpako-
wanymi torbami z artykułami spożywczymi, porozstawionymi na blatach i stole w jadalni. —
Czy tata mieszka z kimś innym? — wypaliłam. Włożyła trzy opakowania piersi kurczaka do za-
mrażarki i westchnęła, z rękami na biodrach.

— Nie chciałam, żebyś tak o tym się dowiedziała — wymamrotała.

— Hallie Cinti mi powiedziała — odparłam.

Moja mama znowu westchnęła.

— Ale ona nie wie wszystkiego — oznajmiłam, mając nadzieję, że mama zgodzi się ze mną.

Zamiast tego usiadła przy kuchennym stole i skinęła ręką na znak, bym się do niej przyłączy-
ła. — Pani Cinti pracuje w tym samym szpitalu, co twój ojciec — powiedziała.

A więc to było prawdą.

— Możesz mi o tym powiedzieć. Nie jestem już małym dzieckiem.

— Ale w tej właśnie chwili zapragnęłam nagle być małym dzieckiem — takim, któremu ro-
dzice jeszcze czytają do spania i trzymają za rękę przy przekraczaniu ulicy.

Mama westchnęła. — Uważam, że to twój ojciec powinien ci powiedzieć.

Ale taka rozmowa nigdy nie miała miejsca, a dwie noce później ojciec wprowadził się z po-
wrotem. Josh, Lucy i ja staliśmy w ogrodzie z tyłu domu i obserwowaliśmy, jak tata wyjmuje

walizkę z bagażnika swojego małego, czerwonego, sportowego samochodu. Lucy płakała, a Josh starał się tego nie robić. Ojciec ani razu nie spojrział na nas, kiedy przechodził przez żwirową drogę podjazdową, a obcasy jego butów zgrzytały przy każdym kroku.

— Cannie? — Lucy pociągnęła nosem. — Jeśli on znowu jest, to dobrze, prawda? Już nas nigdy nie opuści, prawda?

Wpatrywałam się w drzwi, które powoli zamykały się za nim.

— Nie wiem — oznajmiłam. Potrzebowałam odpowiedzi. Mój ojciec był niedostępny, mama nie stanowiła również żadnej pomocy. — Nie przejmuj się — zbesztła mnie. Jej twarz była porwana bruzdami bezsenności.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. — I to wszystko od mojej mamy, która nigdy nie mówiła do mnie „kochanie”. Tak, jak się tego obawiałam, musiałam udać się prosto do źródła.

Znalazłam Hallie Cinti w pokoju dziewcząt w następnym poniedziałek po południu. Stała naprzeciw lustra, rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie, gdy nakładała po raz kolejny na usta błyszczek Bonni Belle w kolorze Słodkiej Truskawki. Odchrząknęłam. Zignorowała mnie. Poklepałam ją po ramieniu i odwróciła się do mnie, z ustami wykrzywionymi z niesmaku.

— Co? — fuknęła.

Chrząknęłam, gdy ona patrzyła na mnie z furją. — Hmm... ta sprawa... o moim ojcu — zaczęłam.

Hallie przewróciła oczami i wyjęła ze swej torebki różowy, plastikowy grzebyk.

— Wprowadził się z powrotem — powiedziałam.

— O, jak wdechowo dla ciebie — odparła Hallie, czesząc teraz swoją grzywkę.

— Pomyślałam sobie, że może słyszałaś, dlaczego. Od swojej mamy.

— Dlaczego miałabym ci cokolwiek powiedzieć? — uśmiechnęła się szyderczo.

Spędziłam cały weekend na planowaniu tej ewentualności. Co mogłam ja, tłusta i niepopularna Cannie Shapiro, zaproponować ulizanej, ślicznej Hallie? Wyjęłam dwie rzeczy z plecaka. Pierwszą była pięciostronicowa rozprawka na temat parku z *Romea i Julii*. Drugą była jedna piąta butelki wódki, którą zwędziłam dziś rano z barku rodziców. Hallie i jej załoga może nie byli tak zaawansowani akademicznie, jak ja, ale nadrabiali staraniami na innych polach.

Hallie porwała z moich rąk butelkę, sprawdziła, czy plomba była naruszona, a potem sięgnęła po wypracowanie. Odsunęłam to szybko z powrotem do siebie.

— Najpierw mi powiedz.

Lekko wzruszyła ramionami, wsunęła butelkę do swojej torebki i odwróciła się z powrotem do lustra. — Słyszałam, jak moja mama mówi przez telefon. Powiedziała, że ta dentystyczna przyjaciółka oznajmiła mu, że chce dzieci — mówiła. — A mnie się wydaje, że twój ojciec już ich więcej nie chce. Patrząc na ciebie — ciągnęła — mogę zrozumieć, dlaczego. — Odwróciła się do mnie, z wymuszonym uśmiechem sięgnęła po rozprawkę.

Rzuciłam nią w Hallie. — Tylko przepisz to swoim piśmieniem. Zrobiłam kilka błędów, tak, by wiedzieli, że to ty, nie ja.

Hallie zabrała wypracowanie, a ja wróciłam do klasy. *Nie chce więcej dzieci*. No cóż, sposób w jaki nas traktował, mówił sam za siebie.

Został z nami przez następne prawie sześć lat, ale już nie był ten sam. Te krótkie chwile życzliwości i miłości, te wieczory, kiedy czytał nam w łóżku, te sobotnie popołudnia z rożkami lodów i te niedzielne popołudniowe przejażdżki samochodem — wszystko to odeszło w przeszłość. Było tak, jakby mój tata zapadł samotnie w długi sen, w autobusie czy w pociągu, i obudził się dwadzieścia lat później, w otoczeniu obcych: mojej mamy, siostry, brata i mnie, z których każdy czegoś chciał — pomocy przy zmywaniu naczyń, podwiezienia na zajęcia zespołu, 10 dolarów na kino, jego zgody, jego uwagi, jego miłości. Spoglądał na nas, jego łagodne, brązowe oczy błędziły w zakłopotaniu, a potem robiły się zacięte z gniewu. Kim są ci ludzie? Zdawał się zastanawiać. Jak długo będę musiał obok nich podróżować? I dlaczego oni uważają, że jestem im coś winien?

Zmienił się, z będącego kochanym w roztargnionego i czasem wręcz podłego. Czy dlatego, że znałam jego sekret — że nie chciał już więcej dzieci, że prawdopodobnie nigdy nas nie chciał? Czy dlatego, że tęsknił za tamtą kobietą, że ona była jego jedyną miłością, której musiał się wyrzec na zawsze? Sądziłam, że trochę z tego powodu. Ale były też inne.

Mój ojciec był — dalej jest, jak przypuszczam — chirurgiem plastycznym. Zaczął swą praktykę w armii, pracując z ofiarami pożarów, z rannymi żołnierzami, ludźmi, którzy wrócili z wojny z zaczerwienioną skórą i bliznami od środków chemicznych, czy też zeszpeceni, poorani od szrapnela.

Ale odkrył swój prawdziwy geniusz po tym, jak przeprowadziliśmy się do Pensylwanii. Tam przeważająca większość jego działań polegała nie na opatrywaniu żołnierzy, lecz pań z towarzystwa, kobiet, których jedyne rany były niewidoczne, i które skłonne były wydać tysiące dolarów na zdolnego, dyskretnego chirurga, by ten zmniejszył im brzuchy, sprawił, by powieki tak nie opadały, usunął worki tłuszczu i podwójne podbródki kilkoma zaledwie zgrabnymi cięciami skalpela.

Odnosił sukces. Zanim nas zostawił po raz pierwszy, Larry Shapiro zasłynął na przedmieściach Pensylwanii jako mężczyzna, do którego warto się udać z fałdami na brzuchu, z podbródkami do podciągnięcia, nosami do korekty czy piersiami do powiększenia. Mieliśmy odpowiednio duży dom, z krętą drogą podjazdową i wbudowanym basenem, z wanną na gorące kąpiele w tyle. Mój tata jeździł porsche (choć, na szczęście, mama zdołała mu wyperswadować nadmierną próżność). Mama miała audi. Mieliśmy też sprzątaczkę, która czyściła nasz dom dwa razy w tygodniu; co drugi miesiąc rodzice urządzali wystawne przyjęcia, wynajmując do zrobienia

poczęstunków odpowiednią firmę, jeździliśmy na wakacje do Kolorado (na narty) i na Florydę (dla słońca).

I wtedy odszedł, a potem powrócił, ale nasze życia się rozeszły, jak ukochana książka, którą czytasz i czytasz wielokrotnie, aż któregoś wieczoru zabierasz ją, by poczytać sobie w łóżku i nagle zszycie książkierzwała się, a tuziny stron rozsypują po całej podłodze. Nie chciałem tego życia. To przynajmniej było jasne. Byłem okropnie przywiązany do tej dzielnicy, do niekończącego się harmonogramu rozgrywek w piłce nożnej, konkursów poprawnej pisowni i szkół żydowskich, uwiązany spłacaniem rat kredytowych za dom i za samochód, przykuty nawykiem i obowiązkiem. I całą tę swą niedolę prznosił na nas — a zwłaszcza, z jakichś powodów, na mnie.

Któregoś dnia było już tak, że nie mogłem znieść patrzenia na mnie. I nic, co robiłem, nie było prawidłowe, nawet trochę.

— Spójrz na to! — grzmiał na moje 4+ z algebry. Siedział przy stole w jadalni, ze szklaneczką szkockiej przy łokciu. Stałem bojaźliwie w drzwiach, starając się skryć w ciemnościach. — Jakie masz na to wytłumaczenie?

— Nie lubię matematyki — mówiłem mu. Tak naprawdę to było mi tak samo wstyd za tę ocenę, jak on był zły z tego powodu. Nigdy w życiu nie dostałem oceny gorszej od piątki. Ale bez względu na to, jak bardzo się starałem, czy też jak wiele dodatkowej pomocy otrzymywałem, algebra mi się mieszała.

— Czy wydaje ci się, że lubiłem swoją szkołę medyczną? — warczał.

— Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jak duży masz potencjał? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakim marnotrawstwem jest trwonienie pieniędzy na prezenty dla ciebie?

— Nie obchodzi mnie żadne prezenty. Nie lubię matematyki.

— Świetnie — powiedział, wzruszając ramionami, ciskając po stole moją pracę, jakby ta nagle dostała jakiegoś obrzydliwego zapachu.

— Zostań sekretarką. Zobaczymy, czy mnie to będzie obchodzić.

Był taki dla nas wszystkich — opryskliwy, zgryźliwy, odpychający i grubiański. Tego roku wszystko kręciło się wokół niego. Przychodził z pracy do domu, zostawiał swoją teczkę w hallu, wlewał w siebie od razu pierwszą serię szkockiej z lodem i piekłac się z naszego powodu szedł schodami na górę do swojej sypialni, zamykając za sobą drzwi. Zostawał tam za zamkniętymi drzwiami albo prznosił się do pokoju dziennego i słuchał symfonii Mahlera w zacienionym pokoju. Nawet mając tylko trzynaście lat i nie doznawszy jeszcze dobrodziejstwa zajęć z podstaw zrozumienia muzyki, wiedziałam, że ciągłe słuchanie Mahlera, połączone z brzękiem kostek lodu w szklance, nie mogło zapowiadać niczego dobrego.

A kiedy w końcu zawracał sobie głowę odzywaniem się do nas, było to tylko narzekanie: jak bardzo był zmęczony, jak mało doceniany, jak ciężko pracował na nas, małych snobów — bełkotał — na wasze narty i ten wasz basen.

— Nienawidzę nart — powiedział Josh, i tak naprawdę było. Jeden zjazd i wracał do domu na gorącą czekoladę, denerwując się, a jeśli udało nam się zabrać go z powrotem, był w stanie przekonać Narciarski Patrol, że cierpiał od groźnego odmrożenia i musieliśmy go odbierać z punktu pierwszej pomocy, rozebranego do bielizny i nagrzewającego się pod specjalnymi lampami.

— Ja wolę pływać z innymi dziećmi w Centrum Rekreacji — przyznała Lucy, co było prawdą. Miała więcej przyjaciół niż reszta z nas razem wzięci. Wciąż dzwonił do niej telefon. Kolejny sporny punkt z ojcem.

— Ten przeklęty telefon! — wrzeszczał, gdy telefon dzwonił podczas kolacji. Ale nie wolno nam było zdjąć go z haka. To w końcu było jego biuro.

— Skoro nas tak bardzo nienawidzisz, dlaczego w ogóle masz dzieci? — krzyczałam do niego, zarzucając mu coś, co wiedziałam, że jest prawdą. Nigdy nie miał na to odpowiedzi — tylko więcej obelg, więcej złości, więcej bolesnej krytyki, karzącej wściekłości. Josh, który miał sześć lat, był tylko „dzieckiem”. Lucy, która miała lat dwanaście, była przez niego ignorowana albo zwymyślana. — Głupia — mówił, potrząsając głową, gdy oglądał jej oceny ze szkoły, — niezdar — gdy upuściła szklanekę. A ja, mając trzynaście lat, zostałam „psem”.

Prawdą jest, że w wieku trzynastu lat nie wyglądałam najlepiej. Oprócz piersi i bioder, które wyrosły chyba przez noc, otrzymałam skomplikowane wyglądający aparat metalowo-gumowy, który miał poprawić mój zgryz. Miałam obowiązkową fryzurę Dorothy Hamill⁶, która nie przysparzała mojej okrągłej twarzy żadnych zalet. Kupowałam ubrania w dwóch rozmiarach — workowaty i jeszcze bardziej workowaty — i spędziłam cały rok na nieustannym garbieniu się, starając się ukryć moje piersi. Wyglądałam jak Dzwonnik z Notre Dame, tyle tylko, że z plamami na twarzy i aparatem na zębach. Czułam się jak chodzący afront, jak kolekcja tych przypadłości, którym wytoczył wojnę. Wszystko, co robił, dotyczyło piękna — jego tworzenia, jego podtrzymywania, jego doskonalenia. Posiadanie żony, która zawiodła oczekiwania i nie pozostała szczupłą, było jedną rzeczą, jak przypuszczam...ale mieć córkę, która tak ewidentnie nawaliła, było niewybaczalne. A ja nawaliłam. Nie było nic pięknego, co by dotyczyło mojej osoby w wieku lat trzynastu, absolutnie nic, i mogłam czuć potwierdzenie tego faktu, gdy spoglądał na mnie twarzym, nienawistnym wzrokiem, oraz we wszystkich słowach, jakie do mnie wypowiadał.

— Cannie jest bardzo zdolna — słyszałam, jak mówił do swojego kolegi z golfa. — Będzie umiała sobie poradzić. Nie jest piękna, ale mądra.

Stałam tam i ledwo wierzyłam w to, co usłyszałam, a kiedy w końcu uwierzyłam, skuliłam się w sobie jak puszka pod kołami samochodu. Nie byłam głupia i nie byłam ślepa, wiedziałam, że pod wieloma względami różniłam się od Farah Fawcett, od dziewczyn w filmach i na plaka-

⁶ Popularna w latach 70 fryzura „Obcięcie na Pazia

tach zawieszonych na ścianach w pokojach chłopców. Ale pamiętałam jego dłoń na mojej głowie, jego brodę łaskoczącą mój policzek, gdy mnie całował. Byłam jego córeczką, jego małą dziewczynką. Miał mnie kochać. A teraz on uważa, że jestem brzydka. *Nie jest piękna...* ale który ojciec nie uważa, że jego mała dziewczynka jest piękna. Za wyjątkiem faktu, że już nie byłam malutka. I, jak sądziłam, nie byłam już jego dziewczynką.

Kiedy oglądałam swoje zdjęcia z tamtego okresu — a, co rozumiałe, jest ich tylko około czterech — w moich oczach widać jakąś okropną desperację. *Proszę, lubcie mnie*, błagałam, nawet jeśli starałam się ukryć za rzędem kuzynek podczas uroczystości bar micwy, pod bąbelkami gorącej wody w czasie przyjęcia basenowego, z ustami wykrzywionymi w bolesnym uśmiechu, naciągniętymi szczelnie na aparat, wbijając głowę w szyję, garbiąc ramiona, zapadając się w sobie, by stać się krótszą, mniejszą. Starając się zniknąć.

Wiele lat później, w college'u, kiedy moja przyjaciółka opowiadała przerażające sceny z dzieciństwa na przedmieściach, próbowałam jej wytłumaczyć, jak to było z moim ojcem. — Był potworem — wypaliłam. Robiłam specjalizację z angielskiego, byłam już biegła w Chaucerze, Szekspirze, Joyce, czy Prouście. Ale wciąż nie potrafiłam znaleźć lepszego słowa na określenie ojca.

Twarz mojej przyjaciółki zrobiła się bardzo poważna. — Czy on cię molestował seksualnie? — zapytała. Omal się nie roześmiałam. Biorąc pod uwagę to, jak wiele rozmów mojego ojca ze mną obracało się wokół faktu, że byłam tak bardzo brzydka, gruba, ohydna, molestowanie było ostatnią rzeczą, jakiej mogłabym się spodziewać.,

— Czy kłął? — spytała.

— Pił za dużo — odparłam. — Zostawił nas. — Ale nigdy mnie nie uderzył. Nigdy nie uderzył nikogo z nas. Byłoby łatwiej, gdyby to zrobił. Wtedy moglibyśmy to jakoś nazwać, włożyć do pudełka i nakleić na nie nalepkę. Byłyby prawa, władze, przytułki, telewizyjne talk-showy, w których dziennikarze poważnie omawialiby z nami to, co musieliśmy znieść, wewnętrzne uznanie tego, czego doświadczyliśmy, by pomóc nam przez to przejść.

Ale on nigdy nie uniósł na nas ręki. I wtedy, gdy miałam trzynaście, czternaście lat, nie miałam słów na to, co nam robił. Nie wiedziałam nawet, jak zacząć taką rozmowę. Co bym powiedziała? — On jest podły?

— Podły oznaczałoby areszty domowe, zero telewizji po kolacji, a nie ten rodzaj słownej napaści, jaką ojciec rutynowo serwował nam przy stole, zjadliwej recytacji tego, jak zawiodłam, nie wykorzystując swojego potencjału, przechadzka po tym, jak zawiodłam na każdym polu.

I kto by mi uwierzył? Mój ojciec był zawsze czarujący dla moich przyjaciółek. Pamiętał ich imiona i imiona ich chłopaków, grzecznie wypytywał o letnie plany czy wizyty w college'u. Nie uwierzyłyby mi, a jeśli nawet, to chciałyby, bym im to wytłumaczyła. A ja nie miałam żadnego wytłumaczenia, żadnej odpowiedzi. Kiedy jesteś na placu bitwy, nie masz luksusu w postaci cza-

su na zastanawianie się nad różnymi czynnikami historycznymi i wpływami socjopolitycznymi, które spowodowały wojnę. Po prostu trzymasz głowę spuszczoną i starasz się przetrwać, wkładasz kartki z powrotem do książki, zamykasz okładkę i udajesz, że nic nie jest zepsute, że wszystko jest w porządku.

Latem, przed moim ostatnim rokiem w szkole średniej, mama zabrała Josha i Lucy na wyspę Martha's Vineyard na weekend. Przyjaciółka miała dom do wynajęcia, a ona miała wielką ochotę wyjechać z Avondale. Ja miałam swoją pierwszą letnią pracę, jako stróż w lokalnym klubie rekreacyjnym. Powiedziałam mamie, że zostanę w domu, będę doglądać psów, pilnować naszej fortecy. Wyobraziłam sobie, że będzie fajnie: miałabym dom dla siebie, mogłabym się zabawiać z moim dwudziestotrzyletnim chłopakiem z dala od jej czujnych oczu, przychodzić i wychodzić, kiedy miałabym na to ochotę.

Przez pierwsze trzy dni było fajnie. Czwartego wróciłam do domu krótko przed świtem i poczułam się, jakbym znowu miała dwanaście lat. W sypialni był mój ojciec, z walizką na łóżku, stosami białych podkoszulek i stertami czarnych skarpet — może tymi samymi, myślałam beznamiętnie, które zabrał ostatnim razem.

Przyglądałam się im, a potem jemu. Ojciec spojrzał na mnie przez dłuższą chwilę. A potem westchnął.

— Zadzwoń — powiedział — jak tylko będę miał swój nowy numer.

Wzruszyłam ramionami. — Jak uważasz — odparłam.

— Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! — skarcił mnie. Nienawidził, gdy zachowywaliśmy się lekceważąco. Domagał się szacunku, nawet — zwłaszcza — kiedy nie zasługiwał na niego.

— Jak ona się nazywa? — zapytałam. Jego oczy zwężyły się jak szparki.

— Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Spojrzałam na niego i nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Czy wyobrażałam sobie, że to mogłoby zrobić jakąś różnicę? Czy imię miało jakieś znaczenie?

— Powiedz twojej matce... — zaczął. Potrząsnęłam głową.

— O nie — powiedziałam. — Nie każ mi robić brudnej roboty. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz jej to sam.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia. Dodał kilka koszul, garść krawatów.

— Cieszę się, że się wyprowadzasz. Wiesz o tym? — mówiłam. Mój głos był zbyt donośny w tej wczesno-porannej ciszy domu. — Nam będzie lepiej bez ciebie — dokończyłam.

Spojrzał na mnie. A potem przytaknął głową. — Tak — powiedział. — Myślę, że masz rację.

Powrócił do swojego pakowania. A ja poszłam do swojego pokoju. Położyłam się na łóżku — łóżku, na którym ojciec mi czytał, milion lat temu — i zamknęłam oczy. Mimo wszystko,

czekałam na to. Wiedziałam, że to nadejdzie. Myślałam, że będę to odczuwać tak, jak się odczuwa, gdy stary strup wreszcie odpada od rany — chwilowe cierpienie, krótki ból, uczucie braku. A potem nic. Po prostu zupełnie nic. To właśnie miałam odczuwać, to właśnie chciałam odczuwać, myślałam zawzięcie, rzucając się i przewracając na łóżku, próbując znaleźć wygodną pozycję. To nie ma znaczenia, mówiłam do siebie, raz po raz. Tylko nie mogłam zgadnąć, dlaczego płakałam.

Poszłam do Princeton, ponieważ powiedział, że tak mam zrobić, podczas jednego ze swych ostatnich aktów zaangażowanego rodzicielstwa. Ja chciałam iść do Smith. Podobały mi się obozy, lubiłam trenera grupy, podobał mi się pomysł szkoły żeńskiej, gdzie uwaga byłaby skoncentrowana na nauce, gdzie ja mogłabym być tym, kim jestem: podstawowym modelem poczwarki późnych lat osiemdziesiątych z nosem w książce.

— Zapomnij o tym — mój ojciec wygłosił przy stole. Nie było go już wtedy z nami od sześciu miesięcy: przeniósł się do nowej dzielnicy, mieszkał w zupełnie nowym, lśniącem, luksusowym mieszkaniu, z zupełnie nową, lśniącą przyjaciółką. Zgodził się spotkać z nami przy obiedzie, potem dwukrotnie to odwoływał i umawiał się na nowo. — Nie poślę cię do żadnej lesbijskiej szkoły.

— Larry — powiedziała mama, cichym i beznadziejnym głosem. Ojciec zignorował ją, wpatrując się we mnie podejrzanie, z widelcem pełnym stęka w połowie drogi do ust. — Nie jesteś lesbijką, prawda?

— Nie, tato — odparłam. — Tak właściwie to wolę trójki.

Przeżuwał. Połknął. Wytarł usta serwetką. — To o dwie osoby więcej niż myślałem, które byłyby zainteresowane oglądać ciebie naga.

Tak, jak bardzo podobał mi się Smith, tak nie lubiłam Princeton. Wyglądał jak scena jakiegoś bardzo udanego eksperymentu eugenika: wszyscy mieli blond włosy, byli bogaci i doskonali, za wyjątkiem kilku brunetek, które wyglądały olśniewająco, egzotycznie i doskonale. Podczas spędzonego tam weekendu nie widziałam ani jednej grubej osoby, ani nikogo z nieładną cerą. Tylko hektary lśniących włosów, prostych, białych zębów i doskonałych ciał w doskonałych ubraniach ozdabiających obszary pod doskonałymi wierzbami, rosnącymi poniżej doskonałych, kamiennych, gotyckich gmachów.

Powiedziałam, że będę nie do zniesienia. Mój ojciec powiedział, że go to nie interesuje. Tupałam nogami. Oznajmił, że albo Princeton, albo nic. A gdy już się spakowałam i pojechałam do Campbell Hali i byłam tam już wystarczająco długo, by zacząć zajęcia i stracić ze stojaka przy bibliotece rower otrzymany w prezencie za ukończenie szkoły, rozwód został sfinalizowany, a on odszedł na dobre, zostawiając nam rachunek za chesne, które właśnie opłacił na tyle, że byłoby dla mnie bardzo niepraktycznym rozpoczynanie czegoś gdzie indziej. Zatem dałam sobie spokój z drużyną wioślarską — żadna wielka strata dla mnie, ani dla drużyny, podejrzewałam, ponieważ

zdobyłam już obowiązkowy tytuł Freshman Fifteen, na dodatek moja współspaczka powinna była przybrać 7,5 kilogramów, ale tego nie zrobiła, dzięki swej przykładowej bulimii — a ja dostałam pracę w Departamencie Usług Żywnościowych, czule nazywanym Doofus przez pracowników.

Jeśli lata spędzone w college’u mają być najlepszymi latami czyjś życia, to bezpiecznie jest powiedzieć, że spędziłam najlepsze lata mojego życia z siatką na włosach, porcjując jajecznice i świeży bekon, wkładając brudne naczynia na pas transmisyjny, wycierając mopem podłogę, patrząc kątem oka na moich znajomych z klasy i rozmyślając, jak bardzo są oni piękniejsi, zgarbniejsi, tak dobrze czujący się w swoich skórkach, jak ja nigdy bym nie potrafiła. Wszystkie dziewczyny miały lepsze fryzury. I wszystkie były szczupłe. Co prawda, wiele z nich było szczupłych tylko dlatego, że wkładały palce do gardła po każdym posiłku, ale czasami zdawało się to być ceną, którą trzeba zapłacić za posiadanie tego wszystkiego, czego pragnie każda kobieta — mądrości, urody i sposobu na to, by jeść lody i ciasteczka wiśniowe i wciąż być szczupłą.

„Dobre włosy” było pierwszym artykułem, który napisałam dla alternatywnej gazety akademickiej. Byłam studentką pierwszego roku, a redaktorem naczelnym była Gretel, dziewczyna z trzeciego roku, której włosy koloru blond miały zawsze paramilitarną fryzurę (szczotkę na głowie). Na drugim roku miałam już własną kolumnę. Na trzecim byłam już doświadczoną pisarką, przesiadając każdą godzinę, której nie spędzałam na przerzucaniu siekaniny czy popychaniu mopa, w zatłoczonych, zakurzonych biurach redakcji *Nassau Weekly*, w Aaron Burr Hall, i wówczas podjęłam decyzję, że to jest właśnie to, co zamierzam robić w życiu.

Pisanie pomagało mi uciekać. Pozwalało uciekać z Princeton, gdzie każdy był szykowny i stylowy, i, jak w przypadku gościa w dole auli, przyszłym władcą jakiegoś mniejszego księstwa środkowowschodniego. Pozwalało mi uciekać przed uporczywą szarpaniną mojej rodziny, jej trwającą wciąż niedolą. Pisanie było jak wchodzenie do oceanu, miejsca, w którym potrafiłam się łatwo poruszać, gdzie potrafiłam być zgrabna, swawolna, niewidoczna i nagle widoczna — tylko nagłówek, a nie całe ciało. Siedzenie naprzeciw komputera, z białym ekranem i mrugającym kursorem, było najlepszą ucieczką, jaką znałam.

A było przed czym uciekać. W czasie tych czterech lat, jakie spędziłam w Princeton, mój ojciec ponownie się ożenił i sprawił sobie dwójkę dzieci. Daniela i Rebeke. Miał tupet przysyłając mi zdjęcia i zawiadomienia o narodzinach. Czy on sądził, że będę szczęśliwa, widząc pomarszczone buzie niemowlaków i malutkie odciski ich stóp? Poczułam się, jakby ktoś mnie kopnął. To nie było tak, że on nie chciał dzieci, ze smutkiem zdałam sobie sprawę. To chodziło o to, że on nie chciał nas.

Mama wróciła do pracy i jej cotygodniowe telefony były pełne narzekań na to, jak szkoły i dzieciaki zmieniły się od czasu, kiedy ona zrobiła dyplom nauczycielki. Podtekst był jasny: to nie

było życie, do którego była przeznaczona. To nie było miejsce, w którym spodziewała się być w wieku lat pięćdziesięciu, wiążąc koniec z końcem z alimentów i tego, co rada lokalnej szkoły płaciła stałym nauczycielom zastępczym.

W tym samym czasie Lucy oblała egzamin pierwszego roku w szkole w Bostonie i mieszkała w domu, uczęszczając wybiórczo do college'u publicznego i gustując w nieodpowiednich mężczyznach. Josh spędzał codziennie trzy godziny na siłowni, podnosząc ciężarki tak często, że górna część jego ciała wyglądała jak napompowana i właściwie przestał zupełnie się odzywać, za wyjątkiem serii tonalnych mruknięć i okazyjnego: „jak uważasz”.

— Zdobądź tylko to wykształcenie — mówiła mama znużonym głosem, po najnowszej recytacji problemów: że ostatnie czeki od ojca przyszły znowu późno, że zepsuł się jej samochód, że moja siostra ni wróciła do domu przez dwie noce z rzędu. — Tylko to skończ. I wszystko będzie z nami dobrze.

I wtedy — wreszcie — nadszedł czerwiec, w którym kończyłam college.

Z wyjątkiem kilku wymuszonych lunchów latem i przerw Bożonarodzeniowych nie widywałam mojego ojca. Wysyłał kartki urodzinowe (zwykle na czas) i czeki na chesne (prawie zawsze spóźnione), zazwyczaj na połowę tego, co powinien. Czułam się, jakbym się stała po prostu kolejnym zapomnianym elementem na jego liście sprawunków. Nie mogłam się spodziewać, że przyjdzie na moje zakończenie college'u. Nigdy nie myślałam, że go to obchodzi. Ale zadzwonił do mnie na tydzień przed tą długo wyczekiwaną datą, mówiąc, że cieszył się na nią. On i jego nowa żona, której nigdy nie poznałam.

— Nie jestem pewna... Nie sądzę... — jękałam się.

— Cannie — powiedział. — Jestem twoim ojcem. A Christine nigdy nie widziała Princeton!

— Więc powiedz Christine, że wyślesz jej pocztówkę — doradziła kwaśno mama. Obawiałam się tego, jak powiedzieć mamie, że on tam będzie, ale nie potrafiłam wymyśleć, jak mu tego zabronić. Wypowiedział magiczne słowa, słowa-pigułki. *Jestem twoim ojcem*. Po tym wszystkim — jego dystansie, opuszczeniu nas, a teraz nowej żonie i nowych dzieciach — wydawało się, że nadal pragnęłam mocno jego miłości.

Mój ojciec, ze swoją nową żoną i dziećmi za sobą, przybyli w czasie przyjęcia na Wydziale Języka Angielskiego. Dostałam małą nagrodę za twórcze pisanie, ale przyszli zbyt późno, by usłyszeć, jak wywoływano moje nazwisko. Christine była małą drobnią, z ciałem utwardzonym na lekcjach aerobiku i blond trwała na głowie. Dzieci były cudowne. Moja kwiecista suknia Laurry Ashley wyglądała świetnie w akademiku. Teraz wyglądała jak pokrowiec, pomyślałam ponuro. A ja wyglądałam jak kanapa.

— Cannie — powiedział ojciec, oglądając mnie z góry na dół. — Widzę, że akademicka kuchnia ci służyła.

Przycisnęłam do siebie moją głupią plakietkę. — Bardzo ci dziękuję — odparłam. Ojciec przewrócił oczami do swojej nowej żony, jakby chciał powiedzieć: *Czy możesz uwierzyć, jak ona jest przewrażliwiona?*

— Ja tylko żartowałem — oznajmił, a jego nowe, cudowne dzieci wpatrywały się we mnie, jakbym była zwierzęciem w zoo dla ponadwymiarowych.

— Mam, hmm, dla was bilety na uroczystość. — Nic nie wspomniałam, że musiałam zebrać, pożyczyć i w końcu zapłacić 100 dolarów, których nie potrafiłam zaoszczędzić, by zdobyć bilety. Każdy absolwent otrzymywał wszystkiego cztery sztuki. Administracja w Princeton nie przystosowała się jeszcze do naszych zrekonstruowanych rodzin, zawierających macochy, ojczymów, przybrane rodzeństwa i tym podobne.

Mój ojciec potrząsnął głową. — Nie będą konieczne. Wyjeżdżamy rano.

— Wyjeżdżacie? — powtórzyłam. — Ale opuście uroczystość!

— Mamy bilety do Sezamowego Miejsca — zaszczebiotała jego mała żona, Christine.

— Sezamowego Miejsca! — powtórzyła mała dziewczynka dla podkreślenia faktu.

— Zatem Princeton był nam jakby po drodze.

— To... hm... dobrze. — I nagle zamrugałam oczami od łez. Ugryzłam się w wargę tak mocno, jak tylko mogłam i przycisnęłam plakietkę do siebie tak silnie, że zrobił mi się na piersiach ślad po formacie A4, który pozostał tam jeszcze przez półtora tygodnia. — Dzięki, żeście wpadli.

Ojciec pokiwał głową i poruszył się tak, jakby chciał mnie przytulić, ale zakończył ten ruch ledwo dotykając moich ramion i dając mi ten rodzaj kuksańca, który robią zazwyczaj trenerzy kiepsko wypadającym sportowcom — uścisk typu: no, dawaj, śmiało! — Gratuluję — powiedział. — Jestem z ciebie bardzo dumny. — Ale kiedy mnie całował, jego usta nawet nie dotknęły mojej skóry i wiem, że cały czas patrzył na drzwi.

Jakoś przeżyłam ceremonię, wyprowadzkę z mojego pokoju w akademiku, długą podróż do domu. Powiesiłam swój dyplom na ścianie w moim pokoju i próbowałam wymyśleć, co będę później robić. Kolejna szkoła nie wchodziła w rachubę. Nawet po tych wszystkich śniadaniach, przy których pracowałam, po tych wszystkich obślizłych kawałkach bekonu i zwarzonych jajecznicach, miałam dwadzieścia tysięcy dolarów długu. Nie wyobrażałam sobie, bym mogła pożyczyć więcej pieniędzy. Zorganizowałam zatem kilka spotkań o pracę w kilku redakcjach małych gazet, które skłonne były rozważyć kandydaturę adeptki college’u bez doświadczenia w rzeczywistym świecie, w połowie recesji i spędziłam lato na jeżdżeniu po Północnym Wybrzeżu vanem z trzeciej ręki, jaki kupiłam za część zarobionych przy podawaniu jedzenia pieniędzy. Kiedy zapakowałam samochód, by wyjechać w tę podróż, złożyłam sobie obietnicę — nie będę już nigdy szczurkiem taty.

Zamierzałam odejść od rygla. On przynosił mi tylko nieszczęście, a ja ju nie potrzebowałam

więcej nieszczęścia w moim życiu.

Dowiedziałam się od brata, że ojciec przeniósł się na Zachód, ale nie zapytałam o szczegóły i nikt mi też ich nie zaoferował. Dziesięć lat po rozwodzie nie musiał już płacić wsparcia na dziecko czy alimentów. Czeki przestały przychodzić. Tak samo skończyły się kartki urodzinowe czy jakiegokolwiek oznaki uznające fakt, że my w ogóle istniejemy. Zakończenie szkoły Lucy nadeszło i odeszło w niepamięć, a kiedy Josh wysłał kartkę zawiadamiającą o jego uroczystości, wróciła do nadawcy. Wyglądało na to, że nasz ojciec przeniósł się dalej, bez powiadamiania nas o nowym adresie.

— Moglibyśmy go znaleźć przez internet, albo coś takiego — zaproponowałam. Josh spojrział na mnie.

— Po co?

Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi. Gdybyśmy go znaleźli, czy przyjechałby? Czy obchodziłoby go to? Pewnie nie. Zgodziliśmy się wszyscy w trójkę, że niech tak będzie. Jeśli nasz ojciec chciał być uznany za nieobecnego, pozwalamy mu na to.

I sami siłowaliśmy się z naszymi dwudziestkami, bez niego. Josh pokonał swój lęk przed zboczami i spędził półtora roku przenosząc się z jednego kurortu narciarskiego do drugiego, a Lucy wyjechała dość szybko do Arizony z facetem, który, jak się upierała, był kiedyś zawodowym hokeistą. Na dowód tego, kazała mu wyjąć w połowie kolacji sztuczną szczękę, by pokazać, że stracił wszystkie zęby.

I tak to mniej więcej było.

Wiem, że to, co się stało z moim ojcem — jego obelgi, jego krytycyzm, sposób, w jaki dawał mi do zrozumienia, że byłam wadliwa i zdeformowana — raniło mnie. Napotkałam wystarczająco dużo pomocnych artykułów w magazynach kobiecych, by wiedzieć, że przejdę przez taki rodzaj okrucieństwa bez szwanku. Przy każdym mężczyźnie, jakiego spotykałam, przyglądałam się uważnie sobie. Czy on rzeczywiście mi się podoba, zastanawiałam się, czy też szukam swojego tatusia? Kocham tego faceta, pytałam się siebie, czy też tylko myślę, by on nigdy mnie nie opuścił, tak jak to zrobił mój ojciec?

I dokąd to wszystko mnie zaprowadziło? Byłam samotna. Mężczyzna, który lubił mnie na tyle, by mieć mnie w swojej rodzinie, już nie żył, a ja nawet nie potrafiłam wyrazić właściwie, jak bardzo było mi przykro. I teraz, kiedy było możliwe — nawet było prawdopodobne — że Bruce dotarł w końcu do takiego punktu w swoim życiu, w którym mógł mnie zrozumieć, wyrazić współczucie dla tego, przez co przeszłam, z powodu tego, przez co on przeszedł — on nawet ze mną nie rozmawiał. Odebrałam to jak najokrutniej szy żart, jakby spod moich stóp wyciągnięto dywanik — inaczej mówiąc, tak jak traktował mnie ojciec, znowu to samo.

Rozdział VII

Wagi w Centrum Zaburzeń Wagi i Trawienia przy Uniwersytecie Filadelfijskim wyglądały jak wózki na mięso. Platformy były około cztery razy większe od normalnych wag, z balustradami dookoła. Kiedy się wchodziło na taką, czego doświadczałam co drugi tydzień począwszy od września, ciężko było nie czuć się jak żywy inwentarz.

— To bardzo niezwykle — powiedział Doktor K., wpatrując się w czerwone cyfry na wyświetlaczu wagi. — Zrzuciłaś cztery kilo.

— Nie potrafię jeść — odparłam odrętwiało.

— Chcesz powiedzieć, że jesz mniej — podsunął.

— Nie, mam na myśli, że za każdym razem, jak coś włożę do ust, to wymiotuję.

Spojrzał na mnie bacznie, a potem na wagę. Liczba nie zmieniała się. — Chodźmy do mojego gabinetu — zasugerował.

I byliśmy tam znowu: ja na krześle, on przy swoim biurku, mój rosnący formularz osobowy rozpostarty na wprost niego. Był bardziej opalony, niż kiedy widziałam go za poprzednim razem i chyba nawet jeszcze szczuplejszy, wręcz pływał w swoim białym, lekarskim kitlu. Minęło sześć tygodni od chwili, gdy widziałam Bruce'a po raz ostatni, a sprawy nie posuwały się do przodu tak, jakbym tego chciała.

— Większość pacjentów przybiera na wadze, zanim zaczniemy podawać im sibutraminę — oznajmił. — Przeżywają rodzaj ostatniego hurra! Więc, jak powiedziałem, to jest niezwykle.

— Coś się wydarzyło — przyznałam.

Spojrzał na mnie uważnie. — Kolejny artykuł?

— Ojciec Bruce'a zmarł — odparłam. — Bruce'a, mojego chłopaka... byłego chłopaka. Jego tata umarł w zeszłym miesiącu.

Spojrzał na dół, na swoje dłonie, na mój folder i wreszcie w górę, na mnie.

— Przykro mi to słyszeć.

— A on zadzwonił do mnie... i powiedział mi... i poprosił, bym przyszła na pogrzeb... ale nie pozwolił mi zostać. Nie pozwolił mi zostać z nim. Był taki okropny... i to było takie smutne... a rabin mówił, jak on lubił chodzić do sklepów z zabawkami, i poczułam się tak okropnie...

Zamrugałam moraió powiekami, by powstrzymać łzy. Bez słów Dr K. podał mi pudełko zmusteczkami higienicznymi. Zdjął okulary i przycisnął dwa palce do zgarbienia nosa.

— Jestem złą osobą — beczałam. Spojrzał na mnie miło.

— Dlaczego? Dlatego, że z nim zerwałaś? To jest głupie. Jak mogłaś wiedzieć, że to się stanie?

— Nie — odparłam. — Wiem, że nie mogłam. Ale teraz, to tak, jak... wszystko, czego chcę,

to być tam dla niego i kochać go, a on mi nie pozwala, i czuję się tak... samotnie...

Westchnął. — To trudne, gdy związek się kończy. Nawet jeśli nikt nie umiera, nawet jeśli odchodzisz na najlepszych możliwych warunkach i nikt inny nie jest w to zaangażowany. Nawet jeśli to ty jesteś tą, która pierwsza odchodzi. Nigdy nie jest łatwo. To zawsze boli.

— Ja po prostu czuję, że popełniłam wielki błąd. Tak, jakbym nie przemyślała spraw dobrze. Myślałam, że wiem... jak się będę czuć z dala od niego. Ale nie wiedziałam. Nie mogłam. Nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś takiego. I jedyne, co robię, to tęsknię — przełknęłam z trudnością, krztusząc się przy kolejnym szlochu. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć — że czekałam całe życie na faceta, który dotarłby do mnie, zrozumiał mój ból. Myślałam, że wiem, co to ból, ale wiedziałam teraz, że nigdy nie byłam tak zraniona.

Utkwił swój wzrok w płamie na ścianie ponad moją głowę, gdy ja płakałam. Potem oworzył szufladę, wyjął notes z podkładką i zaczął pisać.

— Czy wypadam z badań? — spytałam.

— Nie — odparł. — Oczywiście, będziesz musiała wkrótce zacząć znowu jeść. Ale myślę, że byłoby dobrym pomysłem, gdybyś mogła z kimś porozmawiać.

— O, nie — powiedziałam. — Tylko nie terapia.

Rzucił mi skrzywiony uśmiech. — Czy wyczuwam tu trochę antypatii?

— Nie, nie mam nic przeciwko temu, ale ja po prostu wiem, że to nic nie pomoże — powiedziałam mu. — Patrzę na sytuację realistycznie. Zrobiłam ogromny błąd. Nie byłam pewna, czy go wystarczająco kocham, a teraz wiem, że tak, i jego ojciec nie żyje, a on już mnie niekocha. — Wyprostowałam plecy i wytarłam twarz. — Ale ja dalej chcę to robić. Naprawdę chcę tego. Chcę mieć jedną rzecz w moim życiu, z którą czułabym się dobrze. Chcę poczuć, że robię coś właściwego.

Posadził mnie znowu na stole do badań, położył delikatnie ręce na moich plecach i ramionach i zawiązał kawałek gumowej rurki wokół mojego bicepsu, każąc mi zacisnąć pięść. Patrzałam w innym kierunku, gdy wbijał igłę, ale zrobił to tak umiejętnie, że ledwo to poczułam. Oboje obserwowaliśmy, jak szklana fiolka napełnia się moją krwią. Zastanawiałam się, co on sobie myśli. — Prawie gotowe — powiedział cicho, zanim zręcznie wyjął igłę i przycisnął kawałek gazy na ranę.

— Czy dostanę lizaka? — zażartowałam. Zamiast tego dał mi plaster i kawałek kartki, na której zanotował dwa nazwiska i dwa numery telefonu. — Weź to — powiedział. — I, Cannie, musisz jeść, a jeśli zorientujesz się, że nie potrafisz, musisz do nas zadzwonić i wówczas naprawdę zasugeruję, byś zadzwoniła do jednego z tych doradców.

— Jestem tak ogromna, czy naprawdę sądzisz, że kilka dni więcej mnie zabije?

— To naprawdę nie jest zdrowe — odparł poważnie. — To może mieć odwrotny wpływ na twój metabolizm. Moja rada to zacząć z prostym jedzeniem... tosty, banany, niegazowany napój

imbirowy.

Na zewnątrz, w poczekalni, dał mi plik papierów grubych na siedem centymetrów. — Ćwicz też dalej — doradził. — Pomoże ci to poczuć się lepiej.

— Tak jakbym słyszała moją matkę — powiedziałam, wpychając wszystko do mojej torebki.

— I, Cannie? — położył rękę na moim ramieniu. — Staraj się nie reagować tak emocjonalnie.

— Wiem — odparłam. — Gdyby tylko sprawy miały się inaczej.

— Będziesz czuła się dobrze — powiedział stanowczo. — I...

Jego głos zanikł. Wyglądał nieswojo.

— Wiesz, kiedy powiedziałaś, że jesteś złą osobą...

— Och — poczułam się zakłopotana. — Przepraszam. Mam czasem tendencję do bycia trochę melodramatyczną...

— Nie, nie. W porządku. Miałem tylko na myśli... Chciałem ci powiedzieć...

Drzwi windy otwarły się i ludzie zaczęli mi się przyglądać. Spojrzałam na lekarza i zrobiłam krok do tyłu.

— Nie jesteś — oznajmił. — Do zobaczenia w klasie.

Wróciłam do domu i rzuciłam się do telefonu. Jedyne wiadomości były od Samanty.

— Cześć, Cannie, tu Sam... nie, nie Bruce, więc, gałganie, pozbądź się tego żalnego wyglądu i zadzwoń, jeśli masz ochotę wybrać się na spacer. Postawię ci lodową kawę. Będzie wspaniale. Lepiej niż z chłopakiem. Pa!

Odłożyłam telefon i podniosłam słuchawkę znowu, jak tylko zaczął dzwonić. Może tym razem to był Bruce, pomyślałam. Zamiast niego była moja przyjaciółka.

— Gdzie się podziewałaś — narzekała. — Dzwonię i dzwonię.

— Nie zostawiłaś wiadomości — wytknęłam jej.

— Wiedziałam, że w końcu cię złapię — odparła. — Jak leci?

— No, wiesz... — zaczęłam i ucichłam. Moja mama naprawdę się starała od czasu śmierci ojca Bruce'a. Wysłała rodzinie kartkę i dała datek na świątynię. Dzwoniła każdego wieczoru i upierała się, bym przyszła na rozgrywki jej ligi softballu, na mecze pomiędzy Switch Hitters i Nine Women Out.

— Czy ty chodzisz na spacer? — spytała mnie. — Czy jeździsz na rowerze?

— Trochę — westchnęłam, przypominając sobie, jak Bruce miał zwyczaj narzekać, że spędzanie czasu w moim domu bardziej przypominało zajęcia z triathlonu niż wakacje, ponieważ moja mama zawsze starała się zorganizować spacer, przejażdżkę rowerem, koszykówkę dwóch-na-dwóch w Centrum Żydowskim, gdzie z radością blokowała mojego brata, wyprowadzając go na bandy, podczas gdy ja pociłam się na „ruchomych schodach”, a Bruce czytał sekcję sportową w

głównym foyer.

— Spaceruję — odpowiedziałam. — Codziennie wyprowadzam Nifkina.

— Cannie, to jest za mało! Powinnaś przyjechać do domu — przekonywała. — Będiesz na Dzień Dziękczynienia, prawda? Czy przyjedziesz w środę, czy wcześniej?

Uh. Święto Dziękczynienia. Rok temu Tania zaprosiła inną parę — kobietą, oczywiście. Jedna z tych kobiet nie tknęła mięsa i odnosiła się do par heteroseksualnych jako do „reproduktorów”, podczas gdy jej przyjaciółka, której krótko, po męsku obcięte włosy i szerokie ramiona niepokojąco przypominały mi mojego chłopaka z komersu na koniec college’u, siedziała obok niej zażenowana, a potem zniknęła, jak się okazało, w pokoju rodzinnym, gdzie znaleźliśmy ją kilka godzin później, oglądającą football. Tania, którą nałóg do Marlboro pozbawił zupełnie kubków smakowych, spędziła cały posiłek na krzątaninie pomiędzy kuchnią a stołem jadalnym, przynosząc jedną miskę za drugą wygotowanych, wygniecionych i przesolonych potraw oraz czegoś, co nazywano tofindykiem dla wegetarian. Josh urwał się wcześniej tego czwartkowego wieczoru mruczając coś o finałach, a Lucy spędziła cały czas przy telefonie rozmawiając z jakimś tajemniczym przyjacielem, który, jak, dowiedziałyśmy się później, był dwadzieścia lat starszym od niej, żonatym facetem.

— Nigdy więcej — wyszeptalam do Bruce’a tamtego wieczoru, kiedy próbowałam znaleźć wygodną pozycję na niewygodnej kanapie, a Nifkin trząśł się za głośnikiem stereo. Warsztat tkacki Tani zajmował przestrzeń, która kiedyś mieściła moje łóżko i za każdym razem, kiedy przyjeżdżałam do domu, musiałam biwakować w pokoju dziennym. W dodatku jej dwa diabelskie koty, Gertruda i Alicja, na przemian polowały na Nifkina.

— Dlaczego nie przyjechałabyś na weekend? — zapytała mama.

— Jestem zajęta — odparłam.

— Jesteś obsesyjnie zajęta — poprawiła. — Założę się, że siedzisz tam ciągle, czytając stare, miłosne listy, które dostałaś od Bruce’a, mając nadzieję, że się wyłącze, na wszelki wypadek, gdyby zadzwonił.

Cholera. Jak ona to robi?

— Wcale nie — powiedziałam jej. — Mam połączenia oczekujące.

— Strata pieniędzy — oznajmiła mama. — Widzisz, Cannie. On jest ewidentnie zły na ciebie. On nie wróci, biegnąc za tobą...

— Jestem tego świadoma — odparłam chłodno.

— No więc, w czym problem?

— Tęsknię za nim — przyznałam.

— Dlaczego? Za czym tak bardzo tęsknisz?

Nie odzywałam się przez chwilę.

— Pozwól mi o coś cię spytać — powiedziała mama łagodnie. — Rozmawiałaś z nim?

— Taaak. Rozmawiamy. — Tak naprawdę, to ja się zламаłam i zadzwoniłam do niego dwukrotnie. Za każdym razem rozmowa trwała krócej niż pięć minut, zawsze kończyła się stwierdzeniem Bruce'a, że ma coś do zrobienia.

Mama nie ustawała. — Czy to on do ciebie dzwoni?

— Nie za bardzo. Niedokładnie.

— A kto kończy rozmowy? Ty czy on?

To stawało się drażliwe. — Widzę, że wróciłaś do swojej specjalności dawania heteroseksualnych porad.

— Wolno mi — odparła mama radośnie. — No: kto odkłada słuchawkę?

— To zależy — skłamałam. W rzeczywistości, to był Bruce. Zawsze Bruce. Było tak, jak mówiła Sam. Jestem żalosna i wiedziałam o tym, i co gorsza, nie mogłam się powstrzymać.

— Cannie — powiedziała. — Dlaczego nie dasz mu spokoju? I sobie też go daj. Przyjedź do domu.

— Jestem zajęta — zaproponowałam, ale czułam, że słabnę w swym zdecydowaniu.

— Upieczemy ciasteczka — przymilała się. — Pójdziemy na długie spacerunki. Wybierzemy się na przejażdżkę rowerową. Może pojedziemy do Nowego Jorku na dzień...

— Z Tanią, oczywiście.

Mama westchnęła. — Cannie, — powiedziała — wiem, że jej nie lubisz, ale ona jest moją partnerką... Czy nie możesz przynajmniej spróbować być miła?

Myślałam o tym. — Nie. Przykro mi.

— Możemy mieć trochę czasu dla siebie, jeśli naprawdę tego chcesz.

— Może — odparłam. — Jest dużo roboty. A do Nowego Jorku muszę jechać na przyszły weekend. Czy już ci mówiłam? Będę przeprowadzać wywiad z Maxi Ryder.

— Naprawdę? Och, ona była świetna w tym szkockim filmie.

— Powiem jej, że tak mówiłaś.

— I słuchaj, Cannie. Nie dzwoń już do niego. Daj mu po prostu trochę czasu.

Wiem, że miała rację, oczywiście, a) Nie byłam głupia, i b) słyszałam to samo od Samanty i od każdego z moich przyjaciół i znajomych, którzy mieli chociaż przelotną znajomość sytuacji, i pewnie usłyszałabym to również od Nifkina, gdyby tylko mógł mówić. Ale jakoś nie potrafiłam przestać. Zmieniłam się w kogoś, kogo żałowałabym w innym życiu; kogoś, kto poszukiwał znaków, kto analizował sposoby, kto w każdym słowie konwersacji doszukiwał się ukrytych znaczeń, sekretnych sygnałów, podtekstu mówiącego: *Tak, wciąż cię kocham, oczywiście, że wciąż cię kocham.*

— Chciałabym się z tobą zobaczyć — powiedziała mu nieśmiało, podczas Pięciominutowej Rozmowy Telefonicznej Nr 2. Bruce westchnął.

— Uważam, że powinniśmy poczekać — oznajmił. — Nie chcę po prostu w to znowu tak

wskakiwać.

— Ale spotkamy się kiedyś? — zapytałam słabym głosem, który kompletnie nie był tym, jakiego normalnie używałam do konwersacji, a on westchnął ponownie.

— Nie wiem, Cannie — odparł. — Po prostu nie wiem.

Ale „nie wiem” nie było słowem „nie”, rozumowałam, a kiedy już miałabym szansę побыć z nim, powiedzieć mu, jak było mi przykro, pokazać, jak wiele mogłabym mu dać, jak bardzo chciałam być znowu z nim... no cóż, wtedy przyjąłby mnie z powrotem. Oczywiście, że by to zrobił. Czyż on nie był tym, który powiedział pierwszy: *Kocham cię*, trzy lata temu, gdy tuliliśmy się do siebie w łóżku? Czyż to nie on zawsze mówił o małżeństwie, zawsze zatrzymywał się podczas naszych spacerów, by podziwiać małe dzieci, zawsze przyciągał mnie pod wystawy sklepów jubilerskich, gdy szliśmy ulicą Samson, i to nie on całował mój serdeczny palec mówiąc, jak to zawsze będziemy razem?

To było nieuniknione, próbowałam sobie mówić. To tylko kwestia czasu.

— Pozwól mi ciebie o coś spytać — zaczęłam.

Andy, krytyk żywnościowy, poprawił okulary na nosie i wymamrotał do rękawa: — Ściany są pomalowane w kolorze jasnozielonym, ze złoceniami na gzymsikach — powiedział miękko. — To jest bardzo francuskie.

— Tak, jak wewnątrz jaja Faberge — spróbowałam, rozglądając się dookoła.

— Tak, jak wewnątrz jaja Faberge — powtórzył Andy. Usłyszałam wyciszone kliknięcie, gdy wyłączał magnetofon ukryty w jego kieszeni.

— Wytlumacz mi mężczyzn — powiedziałam.

— Czy możemy najpierw zacząć od menu? — przymilał się Andy. To był nasz standardowy układ: najpierw jedzenie, a potem moje pytania na temat mężczyzn i małżeńskiego życia. Dzisiaj testowaliśmy najnowszą restaurację z naleśnikami do ewentualnego zrecenzowania.

Andy przejrzał uważnie menu. — Interesują mnie: pasztet, ślimaki, warzywa z gruszką i ciepłym serem gorgonzola oraz grzyby we francuskim cieście na przystawkę — poinformował. — Możesz zamówić jakikolwiek naleśnik, jaki chcesz, jako danie główne, z wyjątkiem zwykłego.

— Ellen? — domyśliłam się.

Andy przytaknął głową. W życiu pełnym ironii Ellen, żona Andy’ego posiadała najmniej wyrafinowany z wszystkich możliwych zmysł smaku. Unikała sosów, przypraw, kuchni etnicznych i ciągle marszczyła brwi na każde menu, desperacko przeszukując je, by znaleźć takie rzeczy, jak zwykle pieczone piersi kurczaka i tłuczone ziemniaki, które nie byłyby przybrane truflami, czosnkiem czy czymkolwiek innym. Dla niej najlepszy wieczór, jak mi raz powiedziała, to ten z wypożyczonymi filmami i mrożonymi waflami „z takim rodzajem syropu, który nie ma nic wspólnego z klonem”. Andy uwielbiał ją... nawet wtedy, gdy rozwalala recenzowane przez niego

dania zamawiając kolejną sałatkę cesarską albo zwykły kawałek ryby.

Nasz kelner pochylił się z nonszalacją, by napęłnić nasze szklanki wodą. — Jakież pytania? — wycedził. Z jego bezceremonialnego zachowania oraz niebieskiej farby zasuszonej za paznokciami wywnioskowałam, że musi być kelnerem za dnia, a artystą malarzem w nocy. Zdawał się być ogromnie, w doskonały sposób nietykalny, obojętny. *Uważaj*, próbowałam mu powiedzieć telepatycznie. Chyba jednak to nie działało.

Zamówiłam ślimaki i naleśnik z krewetkami, pomidorami i szpinakiem w śmietanie. Andy wziął pasztet i sałatę oraz naleśnik z leśnymi grzybami, kozim serem i prażonymi migdałami. Każde z nas zamówiło po lampce białego wina.

— No, teraz — powiedział, gdy kelner popędził z powrotem do kuchni. — Jak mogę ci pomóc?

— Jak oni mogą... — zaczęłam. Andy uniósł rękę.

— Czy mówimy abstrakcyjnie czy o konkretnym przypadku?

— Chodzi o Bruce'a — przyznałam. Andy przewrócił oczami. Andy nie był fanem Bruce'a... od pierwszej i ostatniej recenzowanej kolacji, na którą ten się wybrał. Bruce był jeszcze gorszy od Ellen. „Wybredny wegetarianin — Andy przesłał mi następnego dnia w pracy wiadomość — to zasadniczo nocny koszmar dla krytyka żywnościowego”. Nie dość na tym, że nie znalazł ani jednej potrawy, którą mógłby zjeść, Bruce zdołał również pochylić swoje menu wystarczająco daleko w kierunku świecy palącej się na naszym stole, tak że praktycznie się od niej zapaliło, co spowodowało pędem trzy kelnerki wraz z ich szefem, a wyszło Andy'ego, pedanta anonimowości, czym prędzej do męskiej toalety, w przeciwnym razie groziło mu zdemaskowanie. — Trudno pozostać nierozpoznanym — ostrożnie zaznaczył następnego dnia — gdy ktoś cię szprycuje gaśnicą.

— Chcę po prostu wiedzieć — powiedziałam. — To znaczy, to czego nie rozumiem...

— No wypluj to z siebie — ponaglał Andy. Kelner powrócił, wywali! Andy'emu na talerz moje ślimaki, a przede mną zrzucił pasztet Andy'ego, po czym pośpiesznie się oddalił. — Przepraszam — zawołałam do jego pleców. — Czy mogłabym jeszcze dostać wody? Gdy znajdzie pan wolną chwilę? Proszę? — Całe ciało kelnera zdawało się wzdychać, gdy sięgał po dzbanek.

Jak tylko nasze szklanki zostały napęłnione, Andy i ja zamieniliśmy się talerzami. Zaczekałam, aż Andy opisał potrawy i posmakował, by kontynuować.

— No dobrze, to jest tak, że wiem, że to ja byłam tą, która chciała zrobić przerwę, i teraz tęsknię za nim, i to jest jak ten ból...

— Czy to jest ostry, kłujący ból, czy jest bardziej trwały, pulsujący?

— Czy ty się ze mnie nabijasz?

Andy spoglądał dłuższą chwilę w moje oczy swoimi, szerokimi, brązowymi i niewinnymi, zza okularów w złotej oprawce. — No dobrze, może trochę — powiedział wreszcie.

— On zupełnie o mnie zapomniał — narzekałam, nakłuwając ślimaka. — Jest tak, jakbym nigdy się nie liczyła... jakbym nigdy nic dla niego nie znaczyła.

— Nie bardzo już teraz rozumiem — przyznał Andy. — Czy chcesz go z powrotem, czy po prostu martwisz się o swoją spuściznę?

— I to, i to — odparłam. — Chcę po prostu wiedzieć... — nabrałam łyk wina, by odgonić od siebie łzy. — Chcę po prostu wiedzieć, że coś jednak znaczyłam.

— Tylko dlatego, że on zachowuje się tak, jakbyś nic nie znaczyła, nie oznacza, że naprawdę nic nie znaczyłaś — wytłumaczył Andy. — To pewnie jest jakaś poza.

— Tak myślisz?

— Ten facet cię uwielbiał — powiedział Andy. — To nie była poza.

— Ale jak on może nawet nie chcieć ze mną rozmawiać? Jak on może być tak zupełnie... — przecięłam ręką powietrze, by pokazać gwałtowny i absolutny koniec.

Andy westchnął. — Dla niektórych facetów to tak właśnie jest.

— Dla ciebie? — zapytałam.

Przerwał, a potem kiwnął głową. — Dla mnie jeśli był koniec, to było skończone.

Ponad jego ramieniem zobaczyłam, że nadchodzi nasz kelner... nasz kelner, plus dwóch innych, których tropił wyglądający na zaniepokojonego ciemnowłosego mężczyznę z fartuchem na ubraniu. Szef, jak przypuszczałam. Co mogło jedynie oznaczać to, czego Andy obawiał się najbardziej — mianowicie, że ktoś odkrył, kim jest.

— Monsieur! — zaczął mężczyzna w garniturze, podczas gdy nasz kelner postawił na stole nasze przystawki, inny dolał świeżej wody, a trzeci oczyścił z okruszków nasz mało-zakruszony stół. — Czy wszystko państwu smakuje?

— Po prostu świetnie — odparł Andy słabo, podczas gdy Kelner Numer Jeden ustawiał czyste sztucce obok naszych talerzy, Kelner Numer Dwa błyskawicznym ruchem umieścił na środku stołu chleb i masło, a Kelner Numer Trzy czym prędzej pospieszył z zapaloną świeczką.

— Proszę nam powiedzieć, czy jest coś, co moglibyśmy państwu podać. Cokolwiek! — szef zakończył gorliwie.

— Dobrze — powiedział Andy, a trzech kelnerzy ustawili się w rząd i wgapieni w nas, wyglądając na zaniepokojonych i lekko urażonych, zanim w końcu wycofali się do trzech rogów sali, skąd obserwowali każde poruszenie naszych ust.

Mnie to w ogóle nie obchodziło. — Ja po prostu myślę, że popełniłam błąd — oznajmiłam. — Czy kiedykolwiek zerwałeś z kimś i myślałeś, że popełniłeś błąd?

Andy pokiwał głową, po czym bez słowa zaoferował mi kawałek naleśnika.

— Co powinnam zrobić?

Zajadał, wyglądając na zamyślonego. — Nie wiem, czy to są prawdziwe grzyby leśne. Jak dla mnie, to smakują jak domowe.

— Zmieniasz temat — zwróciłam mu uwagę. — Jesteś... o Boże. Jestem nudna, prawda?

— Nigdy — odparł Andy lojalnie.

— Nie, jestem. Stałam się jedną z tych okropnych osób, które gadają o swych byłych chłopakach tak długo, aż już nikt nie potrafi tego wytrzymać i zostają bez żadnych przyjaciół...

— Cannie...

— ...i zaczynają samotnie pić, gadać do swych zwierzaków, co ja robię tak czy tak... o Boże — powiedziałam, na wpół wpadając do półmiska z pieczywem dla żartu. — To jest katastrofa.

Szef restauracji przybiegł, spiesząc co tchu. — Madame! — krzyczał. — Czy wszystko w porządku?

Wyprostowałam się, strzepując drobinki chleba ze swetra.

— Po prostu świetnie — uspokoiłam go. Pospiesznie się oddalił, a ja odwróciłam się do Andy'ego.

— Kiedy to stałam się *madame*? — zapytałam ponuro. — Przysięgam, ostatnim razem, gdy byłam we francuskiej restauracji mówili do mnie *mademoiselle*.

— Rozchmurz się — pocieszył Andy, podając mi ostatni kawałek pasztetu. — Znajdziesz kogoś lepszego od Bruce'a i on nie będzie wegetarianinem, i ty będziesz szczęśliwa, i ja będę szczęśliwy, i wszystko będzie dobrze.

Rozdział VIII

Próbowałam. Naprawdę. Ale okazało się, że byłam tak zaprzątnięta nieszczęściem spowodowanym przez Bruce'a, że nie potrafiłam spokojnie pracować. To właśnie o tym rozmyślałam, gdy siedziałam na pokładzie Amtrak Metroliner'a, wybierając się do Nowego Jorku i Maxi Ryder, perfekcyjnie wylokowanej i często porzucanej przez facetów gwiazdki nominowanego w zeszłym roku do Oscara romantycznego dramatu *Trembling*, w którym zagrała doskonałą chirurg mózgu, ulegającą w końcu chorobie Parkinsona.

Maxi Ryder była Brytyjką, w wieku dwudziestu siedmiu lub dwudziestu dziewięciu lat, w zależności od tego, którym magazynom uwierzymy, i która uważana była kiedyś, we wczesnym okresie swojej kariery, za kogoś w rodzaju brzydkiego kaczątka, aż, dzięki cudownym, ostrym dietom Piłatów i Zone (plus, jak się szeptano, pewnej dyskretnej chirurgii plastycznej), zdołała przemienić się w łabędzia o rozmiarze 34. W rzeczywistości, na początku miała rozmiar 34 i była na dodatek piękną, ale przybrała dziesięć kilo do swojej przełomowej roli w zagranicznym filmie *Advanced Placement*, grając nieśmiałą, szkocką uczennicę, która przeżywa gorący romans z dyrektorką szkoły. Zanim film dotarł do Stanów, zrzuciła dziesięć kilo, ufarbowała włosy na kolor kasztanowy, zerwała ze swoim brytyjskim menedżerem, związała się z najlepszą agencją w Hollywood i, co było do przewidzenia, założyła firmę produkcyjną („Maxi Już Jest”, jak ją nazywała). Została zaprezentowana w *Vanity Fair*, w galerii domów gwiazd, ubrana jedynie w czarne boa, skulona ponętnie pod tytułem „Posiadłość Maxi”. Maxi, innymi słowy, przybyła.

Ale przy całym swoim talencie i urodzie, Maxi Ryder wciąż była porzucana przez mężczyzn, w najbardziej publiczny sposób, jaki można sobie wyobrazić.

Robiła coś typowego dla gwiazdek-w-wieku-dwudziestu-lat, spopularyzowanego przez Julię Roberts i praktykowanego przez całą następną generację — zakochiwała się w swoich partnerach filmowych. Ale podczas gdy Julia ciągnęła ich przed ołtarz, biedna Maxi tylko łamała serce, raz za razem. I nigdy też nie odbywało się to bez rozgłosu. Asystent reżysera, w którym się zakochała w czasie kręcenia *Advanced Placement*, pojawił się na ceremonii przyznawania nagród Golden Globe przyklejony twarzą do jednej z dziewczyn ze *Słonecznego Patrolu*. Jej partner filmowy z *Trembling* — ten, z którym zagrała z pół tuzina gorących scen miłosnych, w których chemia pomiędzy nimi była tak namacalna, że praktycznie nasiąkała nią twoja prażona kukurydza — przekazał złą wiadomość jej i jednocześnie całemu światu podczas wywiadu, jakiego udzielał Barbarze Walters w jej programie „Dziesięć Fascynujących Osób”. A dziewiętnastoletni gwiazdor rockowy, którego poderwała w chwili słabości, ożenił się w Las Vegas w dwa tygodnie od ich spotkania z kobietą, którą nie była Maxi.

— To ciekawe, że ona w ogóle udziela wywiadów — Roberto, PR-owiec z Midnight Oil,

powiedział mi tydzień wcześniej. Midnight Oil było bardzo małą, nieznaną, nowojorską firmą public relations — kilka lig poniżej wielkich agencji, z którymi Maxi zazwyczaj miała do czynienia. Ale pomiędzy *Advanced Placement* a *Trembling* spędziła sześć tygodni w Izraelu kręcąc maleńki filmik, staroświecki kawałek o kibucu podczas Wojny Siedmiodniowej... a maleńkie filmiki miały generalnie niewielkie agencje reklamowe o ograniczonym działaniu, i tam właśnie trafił Roberto.

Seven Day Soldier pewnie nigdy by nie trafiło do amerykańskich domów sztuki, gdyby nie nominacja do Oscara, którą Maxi zdobyła za *Trembling*. A Maxi pewnie by nigdy nie zrobiła żadnej reklamy dla tego filmu, gdyby nie to, że podpisała kontrakt zanim została sławna, czyli zgodziła się nie otrzymać żadnego wynagrodzenia i reklamować film „w każdy sposób, jaki producenci uznają za odpowiedni”.

Więc, nie trzeba o tym mówić, producenci zobaczyli szansę zrobienia przynajmniej hucznego weekendowego otwarcia, bazując na sile gwaru wokół Maxi. Sprowadzili ją z planu zdjęciowego w Australii, umieścili w luksusowym apartamencie hotelu Ritz na Upper East Side, i zaprosili, jak to Roberto określił, „wybraną grupę reporterów” do nacieszenia się dwudziestominutowym wywiadem z nią. I Roberto, Panie błogosław jego lojalne serce, zadzwonił najpierw do mnie.

— Czy jesteś zainteresowana? — zapytał.

Oczywiście, że byłam, i Betsy była podekscytowana w sposób, w jaki to robią redaktorzy naczelni, gdy gruba ryba wpada w ich sieci, pomimo tego, że Gabby gderała o jednorazowych cudach i klapach.

Ja byłam szczęśliwa. Roberto był szczęśliwy. I wtedy wkroczył do akcji osobisty PR-owiec Maxi.

Więc tak sobie siedziałam, pogrążona w czarnych myślach, licząc dni, od kiedy Bruce i ja rozmawialiśmy (dziesięć), ilość minut rozmowy (cztery), rozważając umówienie się z numerologiem celem odszyfrowania, czy przyszłość niesie dla nas coś dobrego, gdy zadzwonił telefon.

— Mówi April z NGH — zabrzmiał ostro głos po drugiej stronie. — Rozumiemy, że jest pani zainteresowana rozmową z Maxi Ryder?

Zainteresowana? — Mam z nią wywiad w sobotę, o dziesiątej rano — powiedziałam April. — Roberto z Midnight Oil już to załatwił.

— Tak. Dobrze. Mamy kilka pytań zanim wyrazimy zgodę.

— Kim pani jest, jeszcze raz proszę? — zapytałam.

— April. Z NGH. — NGH było jedną z największych i najbardziej uznanych agencji w Hollywood. Byli w niej ludzie, do których dzwoniisz, gdy jesteś sławny, poniżej czterdziestki i znajdujesz się w mało przyjemnym położeniu lub/i nielegalnym bajzlu. Robert Downey zatrudnił NGH po tym, jak zemdlął w czyjejs sypialni w oparach heroiny. Courtney Love chciała, by NGH poprawił jej wizerunek po tym, jak ona poprawiała swój nos, piersi oraz styl ubierania się z wul-

garnej bogini grunge'u w sylfidę ubrań najbardziej ekskluzywnej mody. W *Examinerze* mówiliśmy na nich NiGdy... nigdy nie licz na ten wywiad, na który miałaś nadzieję, tę sylwetkę, którą chciałaś opisać. Nigdy. Teraz, ewidentnie, Maxi Ryder zjednała sobie ich również.

— Chcielibyśmy mieć pani zapewnienie — zaczęła April z NGH — że ten wywiad skupi się wyłącznie na pracy Maxi.

— Jej pracy?

— Jej rolach — odparła April. — Jej grze aktorskiej. Nie jej prywatnym życiu.

— Ona jest znakomitością — powiedziałam łagodnie. Lub przynajmniej pomyślałam, że tak to wyszło. — Tak właśnie widzę jej pracę. Bycie słynną kobietą.

Głos April potrafiłby zamrozić gorący karmel. — Jej pracą jest odgrywanie roli — powiedziała. — Jakąkolwiek ona przyciąga uwagę, to jedynie dzięki swojej pracy.

Normalnie już bym to rzuciła — zagryzła zęby, po czym wyszczerzyła je w uśmiechu i zgodziła na jakiegokolwiek bzdurne warunki, jakie chcieliby mi narzucić. Ale ja nie spałam poprzedniej nocy, a ta April naciskała wszystkie złe przyciski. — Och, proszę dać spokój! — zaprotestowałam. — Za każdym razem, gdy otwieram magazyn *People*, widzę ją w spódnicy z głębokim rozcięciem i w dużych, ciemnych okularach typu nie-patrz-na-mnie. I pani mi mówi, że ona chce być jedynie znana jako aktorka?

Miałam nadzieję, że April przyjmie te uwagi w pół-żartobliwy sposób, w jaki zamierzałam. Ale nie czułam odwilży.

— Nie wolno pani pytać ją o sprawy osobiste — oznajmiła April surowo.

Westchnęłam. — Świetnie — powiedziałam. — Fantastycznie. Co chcecie. Zatem będziemy rozmawiać o filmie.

— A więc akceptuje pani warunki?

— Tak. Zgadza się. Bez życia osobistego. Żadnych spódnic. Nic z tych rzeczy.

— Wtedy zobaczę, co się da zrobić.

— Powiedziałam już pani, że Roberto już załatwił wywiad!

Ale mówiłam już do głuchego aparatu.

Dwa tygodnie później, gdy wreszcie wyjechałam na ten wywiad, był szary, sobotni poranek późnego listopada z lecącą z nieba mżawką, dzień z gatunku tych, kiedy to każdy, kto tylko ma pieniądze i możliwości, opuszcza miasto i udaje się na Bahamy lub do rezydencji letniej w Pocomos, a ulice zdają się być zaludnione tymi, którzy zostali: ospowatymi chłopcami na posyłki, czarnymi dziewczętami z warkoczykami, parszywie wyglądającymi długowłosymi, białymi dzieciakami na rowerach. Sekretarki. Japońscy turyści. Facet z kurzajką na brodzie z dwoma wyrastającymi z niej włosami, długimi, kręconymi, sięgającymi prawie jego klatki piersiowej. Uśmiechnął się i pogłaskał po nich, gdy przechodziłam. Mój szczęśliwy dzień.

Podczas dwukilometrowego spaceru w kierunku centrum starałam się nie myśleć o Bruce'ie, ani też nie pozwolić, by moje włosy za bardzo zmokły. Lobby hotelu Ritz było ogromne, wymarmurowane, w błogosławiony sposób chłodne i wypełnione wokół lustrami, które pozwoliły mi podziwiać z trzech różnych kątów przyszc, jaki pojawił się na moim czole.

Byłam wcześniej, więc postanowiłam się trochę pokręcić. Hotelowy sklepik oferował typowy zestaw za drogie szlafroków, szczoteczek do zębów za pięć dolarów oraz magazyny w wielu językach, z których jednym okazało się być listopadowe wydanie *Moxie*. Porwałam go i czym prędzej przerzuciłam na stronę kolumny Bruce'a. „Spadając” — czytałam — „Przygody oralne pewnego mężczyzny”. Ha! „Przygody oralne” nie były mocną stroną Bruce'a. Miał mały problem z nadmiernie wydzielającą się śliną. W chwili słabości, zakrapianej margeritą, określiłam go „ludzkim bidetem”. Było tak źle na początku. Oczywiście, nie ma sposobu, by on o tym wspomniał, myślałam z zadowoloną miną, może jedynie poza tym, że byłam jedyną dziewczyną, na której wykonał ten szczególny akt. Wróciłam do kolumny Bruce'a. *Podstyszałem kiedyś moją dziewczynę, jak powiedziała o mnie — ludzki bidet*, mówił zacytowany z tekstu fragment. On to usłyszał? Moja twarz spłonęła.

— Proszę pani? Czy chce pani to kupić? — zapytała kobieta zza lady. Więc to zrobiłam, dodając do zakupu jeszcze paczkę gum do żucia Juicy Fruit i butelkę wody za cztery dolary. Wtedy ulokowałam się na jednej z miękkich kanap znajdujących się w lodowo chłodnym lobby i zaczęłam:

Spadając

Kiedy miałem piętnaście lat i byłem jeszcze prawiczkim, kiedy nosiłem szelki i ciasne spodenki, które dostałem od mamy, ja i moi przyjaciele mieliśmy zwyczaj naśmiewać się z rutyny Sama Kinisona.

— Kobiety! — wygłaszał z patosem, odrzucając włosy na ramiona, chodząc majestatycznie po scenie jak małe, zaokrąglone zwierzę w berecie, złapane w pułapkę. — Powiedzcie nam, czego chcecie! Dlaczego, — mówił, i upadał na jedno kolano, błagając — dlaczego tak TRUDNO jest powiedzieć TAK, właśnie TAM, że jest DOBRZE, albo NIE, nie TO. POWIEDZCIE NAM, CZEGO PRAGNIECIE! — wrzeszczał, gdy publiczność wybuchała — MY TO ZROBIMY!

Śmialiśmy się, nie wiedząc za bardzo, co było przyczyną takiej hysterii. Co mogłoby być tak trudnym? — zastanawialiśmy się. Seks, jak dotąd, z tego co doświadczyliśmy, nie miał w sobie zbyt wiele tajemniczości. Nasienie, splukać, powtórzyć. To był nasz repertuar. Bez podniecania, bez bałaganu, a z pewnością bez zamieszania.

Kiedy C. rozłożyła swoje nogi i otworzyła się przy pomocy swoich palców...

O... mój... Boże, pomyślałam. To było tak, jakby wepchnął mi lustro między nogi i przekazywał teraz obraz całemu światu. Z trudem to przełknęłam i czytałam dalej.

...Poczułem nagłą i pełną sympatię dla każdego mężczyzny, który kiedykolwiek wznosił swą pięść do lamentu Kinisona. To było tak, jakbym patrzył na czyjąś twarz pozbawioną rysów, najlepsze co mogłem wymyśleć. Włosy, brzuch i ręce powyżej, kremowe uda po lewej i po prawej, ale na wprost mnie misterium, zagięcia, fałdy i załamania, które miały niewiele wspólnego z retuszowanymi zdjęciami pornograficznymi, które oglądałem, od kiedy skończyłem piętnaście lat. Czy też może było to bardziej zbliżone. Albo może były to po prostu moje nerwy. Być skonfrontowanym z misterium to przerażająca rzecz.

— Powiedz mi, czego pragniesz — wyszeptalem do niej, i pamiętam, jak daleko wydawała mi się być jej głowa. — Powiedz mi, czego pragniesz, a zrobię to dla ciebie. — Ale wówczas zdałem sobie sprawę, że mówiąc mi, czego pragnie, byłoby tak, jakby przyznawała, że... no cóż, że wiedziała, czego chciała. Że ktoś inny wpatrywał się w to obce, nieznane serce, poznał jego geografię, odkrył jej sekrety. I chociaż wiedziałem, że miała innych kochanków, to wydawało mi się to jakieś inne, bardziej intymne. Pozwalała innym oglądać siebie tak, jak ja to właśnie robiłem. A ja, będąc samcem i wcześniejszym słuchaczem Sama Kinisona, co się przydało, postanowiłem wprowadzić ją do raju, sprawić, by kwiliła jak nasycony koteczek, by wymazać z jej pamięci jakikolwiek ślad Tego, Który Był Wcześniej.

Obce, nieznane serce, prychnąłem. Ten, Który Był Wcześniej. Niech ktoś da mi łopatę!

I próbowała, a ja też próbowałem. Pokazała palcami, słowami, lekkim naciskaniem, sapaniem i wzdychaniem. I ja też próbowałem. Ale język to nie to, co palec. Moja kozia bródka doprowadzała ją do szału, dokładnie w odwrotny sposób, niż chciałyby być doprowadzana do szału. A kiedy usłyszałem, jak kiedyś przez telefon mówiła o mnie jako o Męskim Bidecie, no cóż, wydało mi się łatwiejsze polegać na rzeczach, o których wiedziałem, że potrafię robić lepiej.

Czy ktokolwiek z nas wie, co robimy? Któryś mężczyzna? Pytam się przyjaciół, a oni najpierw parskają rubasznym śmiechem i przysięgają, że muszą zdrapywać swoje kobiety z sufitu. Kupuję im piwo, pilnuję, by mieli pełne szklanki, a po godzinach mam swoją bardziej doskonałą prawdę: Wszyscy nie mamy o tym pojęcia. Nikt z nas.

— Mówi, że już się zbliża — mamrocze Eric. — Ale ja nie wiem, facet...

— To nie jest takie oczywiste — mówi George. — Skąd my to mamy wiedzieć?

Skąd, zaiste? Jesteśmy mężczyznami. Potrzebujemy pewności, potrzebujemy twardych (albo nawet płynnych) dowodów, potrzebujemy schematów i przewodników jak-to-się-robi, potrzebujemy, by misterium nam się objawiło.

A kiedy zamknę oczy, widzę ją wciąż, tak jak leżała za pierwszym razem, zwinięta ciasno jak skrzydełka małego ptaszka, różowamuszelka, smakująca jak bogata woda morska, pełna małych żyłek, rzeczy, których nigdy nie zobaczę, nie zrozumieć. Szkoda, że nie potrafiłem. Szkoda, że tego nie zrobiłem.

— No dobrze, Jacques Cousteau — wyszemrałam i z trudem stanęłam na nogi. Kiedy zamykał oczy, mógł wciąż mnie widzieć, napisał. Dobrze, ale co to oznaczało? I kiedy to napisał? I jeśli wciąż za mną tęskni, to dlaczego nie dzwonił do mnie? Może, pomyślałam, mimo wszystko była jakaś nadzieja. Może do niego później zadzwonię. Może wciąż jeszcze mamy szansę?

Pojechałam windą na górę, do gościnnego apartamentu na dwudziestym piętrze, gdzie cała grupa młodych, poczwarkowato-błędnych PR-owców w wariacjach na temat czarnych spodni ze strezu, czarnych body i czarnych butów siedziała na kanapach i paliła papierosy.

— Jestem Cannie Shapiro z *Philadelphia Examiner* — powiedziałam do jednej, siedzącej poniżej kartonowego zdjęcia Maxi Ryder naturalnej wielkości, ubranej w żołnierski mundur i wymachującej Uzi.

Dziewczyna-poczwarka przewertowała ospale kartki pełne zapisanych nazwisk.

— Nie widzę cię — oznajmiła.

Wspaniale. — Czy jest tu Roberto?

— Wszedł na chwilę — poinformowała, wskazując jedną ręką na drzwi.

— Czy powiedział, kiedy będzie z powrotem?

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej wyczerpawszy już swój zasób słownictwa.

Wpatrywałam się w kartki, usiłując czytać do góry nogami. Tam było moje nazwisko: Cannie Shapiro. A na nim była gruba, czarna kreska. „NGH” — mówiła notka na marginesie.

Właśnie wtedy pojawił się Roberto.

— Cannie — powiedział. — Co ty tu robisz?

— To ty mi powiedz — odparłam, siląc się na uśmiech. — Ostatnim razem słyszałam, że będą miała wywiad z Maxi Ryder.

— O Boże — wydusił z siebie. — Nikt do ciebie nie zadzwonił?

— W jakiej sprawie?

— Maxi postanowiła, hmm, ograniczyć znacznie wywiady dla prasy. Robi je tylko dla *Time*-*sa*. I *USA Today*.

— Cóż, nikt mi tego nie powiedział — wzruszyłam ramionami. — Betsy oczekuje materiału.

— Cannie, tak mi przykro...

Niech ci nie będzie przykro, ty idioto, pomyślałam. Zrób coś!

— ...ale nic nie mogę zrobić.

Uśmiechnęłam się do niego najlepiej, jak tylko potrafiłam. Najbardziej czarująco, co, jak

miałam nadzieję, podkreślało moją broń w postaci ja-pracuję-dla-ważnej-gazety. — Roberto — powiedziałam. — Zamierzałam z nią przeprowadzić rozmowę. Zostawiliśmy miejsce na szpalcie. Liczyliśmy na historię. Nikt do mnie nie zadzwonił... i ledwo udało mi się dotrzeć aż tutaj, w sobotę, która jest dla mnie wolna od pracy...

Roberto zaczął załamywać ręce.

— ...i ja naprawdę, ale to naprawdę byłabym ci niezmiernie wdzięczna, gdybyśmy mogli dostać piętnaście minut na rozmowę z nią.

Teraz Roberto załamywał ręce i zagryzał wargi jednocześnie, przestępując przy tym z nogi na nogę. Złe oznaki.

— Słuchaj — powiedziałam łagodnie, nachylając się do niego. — Obejrzałam wszystkie jej filmy, nawet te tylko-na-video. Jestem jakby kompletnym ekspertem Maxi. Czy nic nie możemy zrobić? — widziałam, że zaczyna się łamać, kiedy rozległ się przeraźliwy dźwięk jego telefonu komórkowego, zamocowanego na pasku do spodni.

— April? — zapytał. *April*, powiedział do mnie ustami. Roberto był kochanym, ale nie najostrzejszym nożem w szufladzie.

— Czy mogę z nią porozmawiać? — wyszeptałam, ale Roberto wkładał już telefon z powrotem do futerału.

— Powiedziała, że nie bardzo im odpowiadało twoje zastosowanie się do ich poleceń.

— Co? Roberto, zgodziłam się na każdy z jej warunków...

Mój głos się podnosił. Poczwardkowane kreatury na kanapach zaczęły spoglądać na nas lekko zaalarmowane. Podobnie jak Roberto, który zaczął wycofywać się na korytarz.

— Pozwól mi porozmawiać z April — błagałam, wyciągając rękę po jego telefon. Roberto potrząsnął głową. — Roberto — powiedziałam, słysząc jak mój głos się załamuje, na myśl o triumfującym uśmiechu, jakim obdarzy mnie Gabby, jeśli pojawię się w redakcji z pustymi rękami. — Nie mogę wrócić bez artykułu!

— Widzisz, Cannie, tak mi przykro...

Łamał się. Widziałam to. I właśnie wtedy, z długiego, marmurowego korytarza, przytuptała małym kroczkiem drobna kobieta w czarnych, skórzanych butach do połowy łydki. W jednej ręce trzymała telefon komórkowy, w drugiej walkie-talkie, a jej starannie umalowana twarz bez zmarszczek pozbawiona była niemądrego wyrazu. Mogła być bardzo dojrzałą dwudziestoosmiolatką, albo czterdziestopięciolatką po doskonałej operacji plastycznej. To, niewątpliwie, była April.

Przyjrzała mi się bacznie — mojemu pryszczowi, mojej złości, mojej czarnej, letniej sukience z krótkimi rękawkami i sandałom z zeszłego lata, znacznie mniej modnym od tego wszystkiego, co każda kanapowa poczwardka miała na sobie — chłodnym, lekceważącym spojrzeniem. Po czym odwróciła się do Roberta.

— Jakiś problem? — spytała.

— To jest Candace — odparł, wskazując słabo na mnie. — *Z Examiner*.

Wpatrywała się we mnie. Poczułam — naprawdę to poczułam — jak mój pryszcz rośnie pod jej spojrzeniem.

— Jakiś problem? — powtórzyła.

— Nie było go, nawet kilka minut temu — powiedziałam, usiłując zachować spokojny głos. — Miałam mieć wywiad, ustalony na godzinę dziesiątą. Roberto mówi, że został odwołany.

— To prawda — oznajmiła uprzejmie. — Podjęliśmy decyzję, by ograniczyć nasze wywiady dla prasy jedynie do głównych gazet.

— *Examiner* ma nakład 700 000 w niedzielę, a na taki dzień zaplanowaliśmy właśnie ukazanie się wywiadu — powiedziałam. — Jesteśmy czwartym pod względem wielkości miastem na Wschodnim Wybrzeżu. I nikt nawet nie pofatygował się, by mi przekazać, że wywiad został odwołany.

— To było zadaniem Roberta — odparła, mierząc Roberta wzrokiem.

Ewidentnie to było nowością dla Roberta, ale nie zamierzał zaprzeczać Pannie Kociak z Batem. — Przepraszam — wymamrotał do mnie.

— Doceniam przeprosiny — powiedziałam, — ale jak już mówiłam Roberto, mamy teraz dziurę w naszym niedzielnym wydaniu, a ja zmarnowałam wolny dzień. — Co technicznie nie było prawdą. Materiały spływały cały czas, co April prawdopodobnie wiedziała, i wypełnilibyśmy czym innym dziurę. A jeśli chodzi o marnowanie wolnego dnia, za każdym razem, gdy dostawałam darmowy bilet do Nowego Jorku, znajdowałam tu coś do zrobienia.

Ale byłam teraz wściekła. Na bezczelność tych ludzi, by traktować mnie tak niegrzecznie i by być tak otwarcie, kompletnie bez poczucia winy!

— Czy nie ma żadnego sposobu, by zobaczyła się ze mną chociaż przez kilka minut? Skoro tu jestem?

Ton April stawał się zdecydowanie mniej przyjemny. — Ona już jest spóźniona, a dziś po południu odlatuje z powrotem na plan. Do Australii — podkreśliła, tak jakby było to miejsce, o którym wiejska mysz, taka jakja, nigdy nie słyszała. — Ponadto — mówiła dalej, otwierając nagle ruchem mały notes — mamy już zaplanowany wywiad telefoniczny z twoją szefową.

Moją szefową? Było mało prawdopodobne, że Betsy by to zrobiła, poza tym nieprawdopodobnym było, że zrobiłaby to i nic mi o tym nie powiedziała.

— Z Gabby Gardiner — skończyła April.

Byłam zszokowana. — Gabby nie jest moją szefową!

— Przykro mi — powiedziała April, tonem, który wcale nie świadczył o tym, by było jej przykro — ale takie zrobiliśmy ustalenia.

Wycofałam się do apartamentu gościnnego i klapnęłam ciężko na krzesło przy oknie. — Wi-

dzicie, — oznajmiłam — jestem tutaj, i jestem pewna, że zgodzicie się, iż byłoby lepiej dla nas wszystkich przeprowadzić bezpośredni wywiad — nawet krótki — przez osobę, która obejrzała wszystkie filmy Maxi, która spędziła trochę czasu, by się do tego przygotować, niż coś przez telefon. Będę szczęśliwa mogąc tu poczekać.

April stała przez chwilę w korytarzu. — Czy mam wezwać ochronę?

— spytała w końcu.

— Nie widzę potrzeby — odparłam. — Będę tu po prostu czekać, aż Panna Ryder skończy z kimkolwiek tam teraz jest, a jeśli się okaże, że ma minutę czy dwie do stracenia, zanim będzie się spieszyć do Australii, przeprowadzę wywiad tak, jak mi obiecano. — Zaciśnęłam dłonie w pięści, tak by nie widziała, jak cała drzę i rozegrałam moją ostatnią kartę.

— Oczywiście, jeśliby się okazało, że Panna Ryder nie ma dla mnie kilku minut — powiedziałam słodko — wtedy napiszę duży artykuł o tym, co mi się tu przydarzyło. A tak przy okazji, jakie jest twoje nazwisko?

April wpatrywała się we mnie. Roberto przesunął się bokiem bliżej do niej, mrugając oczami to na mnie, to na nią, tak jakbyśmy rozgrywały jakiś bardzo ostry mecz tenisowy. Patrzyłam prosto w oczy April.

— To niemożliwe — oznajmiła.

— Interesujące nazwisko — powiedziałam. — Czy to jedna z tych specjalności Ellis Island⁷?

— Jest mi przykro — rzuciła, pewnie po raz ostatni. — Ale Panna Ryder nie będzie z tobą rozmawiała. Zwracałaś się do mnie sarkastycznie przez telefon...

— O, sarkastyczna dziennikarka! Założę się, że nigdy jeszcze takiej nie widziałas!

— ...i Panna Ryder nie potrzebuje twojego rodzaju uwagi...

— Co jest fantastyczne, — wybuchnęłam — ale czy żaden z twoich sługusów, pacholków czy uczniów nie mógł się pofatygować, by grzecznie do mnie zadzwonić, zanim przejechałam tu taką drogę?

— Roberto miał to zrobić — powtórzyła.

— No dobrze, ale nie zrobił — powiedziałam jej i skrzyżowałam ręce na piersi. Impas. Stała i wpatrywała się we mnie przez chwilę. A ja na nią. Roberto oparł się o ścianę, tak naprawdę to drząc cały. Poczwaraki ustawiły się w rzędzie, ciskając spojrzeniami tam i z powrotem.

— Zawołajcie ochronę — powiedziała wreszcie April i obróciła na obcasie. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie przez ramię. — Ty — rzuciła. — Pisz sobie, co chcesz. My to mamy gdzieś.

I po tym wszyscy odeszli: Roberto, rzucając mi ostatnie, desperacko przeproszające spojrzenie przez swoje ramię, poczwaraki, wszystkie w czarnych butach i April oraz jakokolwiek szansa na spotkanie Maxi Ryder. Siedziałam tam, aż wszyscy wbili się w windę. Dopiero wtedy pozwo-

⁷ Wyspa na Zatoce Nowojorskiej, dawniej punkt przyjmowania imigrantów.

liłam sobie na płacz.

Ogólnie mówiąc, hotelowe toalety w lobby są wspaniałym miejscem do przeżywania załamania. Ludzie zameldowani w hotelu w większości korzystają z łazienek w pokojach. Ludzie na ulicy nie zawsze wiedzą, że mogą wpaść do nawet najbardziej ekskluzywnego hotelu i prawie zawsze skorzystać z toalety, przez nikogo nie niepokojonym. A toalety zazwyczaj są obszerne i eleganckie, z wszystkimi luksusami, począwszy od lakieru do włosów i tamponów, a skończywszy na ręczniczku do wytarcia łez i wysuszenia rąk. Czasem jest w nich nawet kanapa, na którą można się zwalić.

Słaniałam się na nogach, gdy szłam korytarzem do windy i poprzez złote drzwi z wykaligrafowanym elegancko napisem „Damska”, kierując się do części dla inwalidów, w poszukiwaniu ciszy, spokoju i samotności, porywając po drodze dwa, starannie zwinięte ręczniki. — Pieprzona Maxi Ryde! — syknęłam i trzasnęłam drzwiami, po czym usiadłam i przycisnęłam pięści do oczu.

— Hę? — powiedział znajomy głos, dobiegając gdzieś znad mojej głowy. — Dlaczego?

Spojrzałam w górę. Jakaś twarz próbowała zajrzeć do mnie przez przegrodę.

— Dlaczego? — zapytała ponownie Maxi Ryder. W rzeczywistości wyglądała równie cudownie jak na ekranie, ze swoimi niebieskimi, dużymi jak spodki oczami, kremową cerą, nakrapianą lekko piegami, kaskadą kasztanowych loków, zdających się błyszczeć i lśnić bardziej, niż mogłyby włosy przeciętnej osoby. W szczupłutkiej, pełnej niebieskich żyłek dłoni trzymała wąskiego papierosa i, gdy ją obserwowałam, zaciągnęła się nim głęboko, po czym wypuściła dym w górę, do sufitu.

— Nie pal tutaj — doradziłam jej. Była to pierwsza rzecz, o której mogłam pomyśleć. — Uruchomisz system alarmowy.

— Przeklinasz mnie dlatego, że palę?

— Nie. Przeklinam cię, bo mnie wystawiłaś.

— Co?

Dwie ubrane w tenisówki stopy pacnęły lekko na marmurową podłogę i podeszły pod moją przegrodę. — Otwórz — powiedziała, stukając w drzwi. — Chcę wyjaśnienia.

Opadłam na muszlę klozetową. Najpierw April, teraz to! Niechętnie pochyliłam się do przodu i otwierałam drzwi. Przede mną stała Maxi, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach, oczekując odpowiedzi.

— Jestem z *Philadelphia Examiner* — zaczęłam. — Miałam mieć z tobą wywiad. Twoja mała Gestapówka powiedziała mi, po tym jak już tu zdążyłam dotrzeć, że wywiad został odwołany i ustalony na nowo z tą kobietą z mojej redakcji, która jest... — powstrzymałam łzy i wściekłość.

— Obłeśna — wydusiłam. — Więc to jakoś zrujnowało mi dzień. Nie mówiąc już o naszej

niedzielnej sekcji — westchnęłam. — Ale to nie twoja wina, jak mi się zdaje. Więc jest mi przykro. Nie powinnam cię była przeklinać.

— Przeklęta April — powiedziała. — Nawet mi o tym nie wspomniała.

— Nie dziwi mnie to.

— Ukrywam się — przyznała Maxi Ryder i wydała z siebie nerwowy chichot. — Tak właściwie, to przed April.

Jej rzeczywisty głos był łagodny, stonowany. Miała na sobie dzinsy zapinane w pasie na guziki i różową koszulkę typu T-shirt z dekoltem wyciętym na okrągło. Jej włosy upięte były w artystycznym nieładzie, co pewnie zajęło fryzjerce pół godziny, przystrojone małutkimi, migoczącymi spinkami w kształcie motyla. Jak większość żeńskich gwiazd filmowych, które poznałam, była szczuplutka do granic możliwości. Potrafiłam dostrzec kości nadgarstków i przedramion, jasnoniebieskie ślady żył wzdłuż szyi.

Jej nadąsane wargi umalowane były na szkarłatny kolor. Oczy miała starannie podkreślone kredką i cieniami. A na policzkach miała smugi od łez.

— Przykro mi z powodu twojego wywiadu — powiedziała.

— To nie była twoja wina — powtórzyłam. — Więc co ciebie tu zaciągnęło? Nie masz gdzie indziej swojej własnej łazienki? — zapytałam.

— Och — odparła i wzięła głęboki oddech, wzdrygając się przy tym.

— No wiesz.

— No cóż, tak naprawdę to nie wiem, jak to jest być szczupłą, bogatą, słynną gwiazdą filmową, prawdopodobnie nie wiem.

Jeden kącik jej ust wykręcił się lekko w górę, po czym znowu opadł w purpurowy łuk. — Czy miałaś kiedyś złamane serce? — spytała drżącym głosem.

— W zasadzie to tak — odparłam.

Zamknęła oczy. Nieprawdopodobnie długie rzęsy spoczywały na jej bladych, piegowatych policzkach, a spod nich wypływały łzy.

— To jest nie do zniesienia — powiedziała. — Wiem, jak to brzmi...

— Nie, nie. Wiem, co masz na myśli. Wiem, jak się to czuje.

Podaliśmy jej jeden z tych zwiniętych w rurkę ręczników, które porwałam w drodze do toalety. Wzięła go, a potem spojrzała na mnie. To był, jak myślałam, test.

— Moje mieszkanie pełne jest rzeczy, które mi podarował — zaczęłam, a ona potaknęła energicznie głową, wstrząsając lokami.

— Właśnie to, — przyznała — właśnie tak jest,

— I boli spoglądanie na nie, ale boli też chowanie ich.

Maxi opadła na podłogę i przyłożyła policzek do chłodnej, marmurowej ściany. Po chwili zawahania, przyłączyłam się do niej, zdumiona absurdalnością sytuacji i tym, jaki byłby to

świetny początek artykułu: *Maxi Ryder, jedna z najbardziej uznanych w swojej generacji młodych aktorek, płacze na podłodze w hotelowej toalecie.*

— Moja mama mówi mi zawsze, że lepiej jest być zakochanym i stracić, niż nie być zakochanym w ogóle — powiedziałam.

— Wierzysz w to? — spytała.

Musiałam nad tym się zastanowić jedynie przez chwilę. — Nie. Nawet nie wydaje mi się, żeby ona w to wierzyła. Żałuję, że go w ogóle kochałam. Żałuję, że go w ogóle poznałam. Bo uważam, że te dobre chwile, które razem spędziliśmy, nie są warte tego, co teraz przeżywam.

Siedziałyśmy tak chwilę, jedna obok drugiej.

— Jak się nazywasz?

— Candace Shapiro. Cannie.

— A jak jemu było na imię?

— Bruce. A ty?

— Ja jestem Maxi Ryder.

— To ja wiem. Miałam na myśli, jak on się nazywa?

Zrobiła okropny wyraz twarzy. — Och, nie mów mi, że nie wiesz! Wszyscy wiedzą! *Entertainment Weekly* zrobił cały artykuł na ten temat. Z wykresem!

— No cóż, wyraźnie mi zabroniono nawet wspomnienia o tym.

— Ponadto był więcej niż jeden kandydat, ale nie wydawało mi się zbyt roztropnym nadmianie tego.

— Kevin — szepnęła. Którym mógł być Kevin Britton, jej partner z *Trembling*.

— Wciąż Kevin?

— Ciągłe Kevin, zawsze Kevin — odparła smutno, sięgając po kolejnego papierosa. — Kevin, którego nie mogę zapomnieć, nawet po tym, jak spróbowałam wszystkiego. Alkohol... narkotyki... praca... inni faceci...

Jezu. Nagle poczułam się bardzo niewinna.

— A co ty robisz?

Wiedziałam, o co pytała. — Och, no wiesz. Pewnie to samo, co ty.

— Położyłam moją dłoń na czole, udając wyniosłość wynikającą ze znużenia życiem. — Zaczęłam od ucieczek na moją prywatną wyspę z Bradem Pittem, próbowałam zapomnieć o bólu kupując rancza z lamami w Nowej Anglii...

Zboksowała moje ramię. Jej zaciśniętą pięść poczułam jak podmuch powietrza. — Poważnie! Może będzie coś, o czym ja nie pomyślałam.

— Pewnie więcej rzeczy, które i tak nic nie dają. Kąpiele, prysznice, przejażdżki rowerowe...

— Nie mogę iść na rower — oznajmiła pośpiesznie.

— Z powodu paparazzich?

— Nigdy się nie nauczyłam, jak to się robi.

— Naprawdę? Bruce, mój eks-chłopak, też nie potrafił jeździć na rowerze... — mój głos ucichł.

— Boże, czy nie nienawidzisz tego? — zapytała.

— Tego, że nawet zupełnie niezwiązane sprawy przypominają ci o osobie, o której starasz się zapomnieć? Tak, nienawidzę tego. — Spojrzałam na nią. Jej twarz, otoczona marmurowymi ścianami toalety, wyglądała na gotową do zdjęcia ze zbliżeniem. Podczas gdy ja pewnie byłam wrakiem z poplamioną twarzą i zasmarkanym nosem. Nie ma sprawiedliwości, pomyślałam. — Co ty robisz? — spytałam.

— Inwestuję — odparła Maxi od razu. — Zarządzam moimi pieniędzmi. I tymi od moich rodziców też — westchnęła. — Zarządzałam też pieniędzmi Kevina. Szkoda, że mnie nie powiadomił o tym, że zamierza mnie rzucić. Utopiłabym go tak głęboko w akcjach Planet Hollywood, że musiałby teraz robić gościnne występy w WB, by wyrobić na czynsz.

Zaczęłam traktować Maxi z nowo odkrytym szacunkiem. — Więc ty, tak jakby... — moje szare komórki intensywnie pracowały, poszukując odpowiedniego słowa. — Dajesz dzienne zlecenia?

Pokręciła głową. — Nie. Nie mam czasu wgapiać się w komputer całymi dniami. Zbieram akcje i wypatruję inwestycyjnych okazji. — Wstała i wyciągnęła się, opierając ręce na nieistniejących biodrach. — Kupuję nieruchomości.

Mój szacunek dla niej zmienił się w lęk. — Na przykład domy?

— No. Kupuję je, potem ekipa remontowa je odnawia, sprzedaję z zyskiem albo mieszkam w nich przez jakiś czas, jeśli mam przerwę między filmami.

Poczułam, jak moje palce sięgają po pióro i notes, działając prawie całkowicie z własnej woli. Maxi Ryder jako potęga w branży nieruchomości to była nowość, o jakiej nie czytałam w żadnym z tych niezliczonych artykułów o niej, które wręcz przeorałam. Mogłoby to stać się wielkim wydarzeniem. — Hej, — podjęłam próbę — czy sądzisz... to znaczy, wiem, powiedzieli mi, że jesteś zajęta, ale może... mogłybyśmy porozmawiać kilka minut? Bym mogła napisać swój artykuł?

— Pewnie — odparła Maxi, wzruszając ramionami. Rozejrzała się wokoło, jakby po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jesteśmy w toalecie. — Wynieśmy się stąd. Chcesz?

— Czy ty przypadkiem nie masz jechać zaraz do Australii? To właśnie powiedziała April.

Maxi wyglądała na wyprowadzoną z równowagi. — Wyjeżdżam dopiero jutro. April jest kłamczuchą.

— Wyobraź to sobie — powiedziałam.

— Nie, naprawdę... och. A, rozumiem. Żartujesz. — I uśmiechnęła się do mnie. — Zapominam, jacy są ludzie.

— Cóż, ogólnie, to są większymi od ciebie.

Westchnęła, wpatrywała się w swoje odbicie przez chwilę i głęboko zaciągnęła papierosem.

— Kiedy skończę czterdziestkę, — powiedziała — przysięgam, rzucę to wszystko i wybuduję fortecę na wyspie z fosą i naelektryzowanym ogrodzeniem, i pozwolę moim włosom osiwieć, i będę jeść tyle kremu, aż będę mieć czternaście podbródków.

— To nie to — zauważyłam — co powiedziałaś dla *Mirabelli*. Powiedziałaś im, że chcesz co roku pokazywać się w dobrym filmie i wychowywać dzieci na farmie.

Uniosła brwi. — Czytałaś to?

— Czytałam wszystko o tobie — odparłam.

— Kłamstwa. Wszystko to kłamstwa — powiedziała, prawie radośnie. — Dzisiaj, na przykład, mam iść do miejsca zwanego Moomba...

— Moomba — poprawiłam ją.

— ...i napić się z Mattem Damonem, czy Benem Affleckiem. A może z obydwoma. Mamy wyglądać bardzo tajemniczo i sprawiać wrażenie zakochanych, i ktoś ma zadzwonić do Page 6, i mamy być sfotografowani. Idziemy potem do restauracji, której April zapłaciła, byśmy zjedli kolację, za wyjątkiem oczywiście faktu, że ja tak naprawdę nie mogę zjeść kolacji, ponieważ jeśli, broń Boże, zrobią mi kiedykolwiek zdjęcie z czymś w moich ustach, czy też z otwartymi ustami, czy też w ogóle w jakikolwiek sposób, który mógłby sugerować, że ja robię z ustami cokolwiek innego, oprócz całowania mężczyzn...

— ...i palenia.

— To też nie. Lobby rakowe, no wiesz. To dzięki temu wyrwałam się April. Powiedziałam jej, że muszę iść zapalić.

— Więc ty naprawdę chcesz zrezygnować z drinków i kolacji z Benem... czy Mattem...

— Och, to na tym się nie kończy. Potem mam być widziana, jak tańczę w barze ze świniami w swojej nazwie...

— „Wieprze i Jałówki”?

— O, właśnie tam. Mam tam tańczyć do jakiejś bezbożnej godziny, a potem, i tylko wtedy, mogę sobie pozwolić na trochę snu, w samolocie, w drodze do Australii. I to po tym, jak zdejmę biustonosz i zatańczę na barze, wywijając nim nad głowę.

— O rety. Oni naprawdę, hm, zaaranżowali to wszystko dla ciebie?

Wyjęła z kieszeni zmiętą kartkę papieru. Istotnie: 16:00 Moomba;

19:00 Tandoor; 23-? „Wieprze i Jałówki”. Sięgnęła do drugiej kieszeni i wyciągnęła bardzo mały, jedwabny stanik. Owinęła go wokół ręki i zaczęła nim wywijać nad głowę, pompując przy tym swoimi biodrami, w parodii tańców wykonywanych przez dziewczyny do towarzystwa. — Widzisz, — powiedziała — kazali mi nawet to ćwiczyć. Jeśli to ode mnie zależało, spałabym cały dzień.

— Ja też. I oglądałabym *Żelaznego Kucharza*.

Maxi wyglądała na zaintrygowaną. — A co to takiego?

— Zapytał ktoś, kto nigdy nie spędza samotnie piątkowych wieczorów. To program telewizyjny, w którym występuje ten samotny milioner i ma tych trzech szefów kuchni...

— Żelaznych Kucharzy — odgadła Maxi.

— No właśnie. Co tydzień prowadzą kucharskie bitwy z jakimś wyzwaniem na pojedynek szefem kuchni, a ten ekscentryczny milioner daje im przewodni składnik, z którego muszą coś ugotować, i połowa czasu przypada na coś, co zaczyna jako żywe, jak kałamarnica albo gigantyczny węgorz...

Maxi uśmiechała się i potakiwała głową, wyglądała tak, jakby nie mogła się doczekać kolejnego odcinka. A może po prostu tylko grała, przypomniałam sobie. To w końcu była jej praca. Może ona odgrywała to podniecenie i tę przyjaźń za każdym razem, gdy poznawała kogoś nowego, a potem zapominała o jego istnieniu, jak tylko przenosiła się do kolejnego filmu.

— To jest zabawne — podsumowałam. — I za darmo. Tańsze od wypożyczenia filmu. Nagrałam to wczoraj wieczorem i zamierzam obejrzeć, jak tylko będę w domu.

— Nigdy nie ma mnie w domu w piątki czy w soboty — powiedziała smutno.

— Cóż, ja prawie zawsze jestem. Uwierz mi, niewiele tracisz.

Maxi Ryder wyszczerzyła do mnie zęby w szerokim uśmiechu.

— Cannie, czy wiesz, co naprawdę chcę zrobić?

I tak właśnie znalazłam się w Centrum Diennej Rozkoszy, leżąc naga na brzuchu obok jednej z najbardziej uznanych gwiazd filmowych mojej generacji i opowiadając o moim niedanym życiu miłosnym, podczas gdy mężczyzna o imieniu Ricardo rozprawiał po moim ciele Zielone Aktywne Gliniaste Błotko.

Maxi i ja wymknęłyśmy się tylnymi drzwiami hotelu i złapałyśmy taksówkę do tego Centrum, gdzie recepcjonistka bardzo zwięźle nas poinformowała, że mają rezerwacje na cały dzień, a w zasadzie to już na kilka tygodni, dopóki Maxi nie zsunęła swoich okularów przeciwsłonecznych i dokonała trzysekundowego kontaktu wzrokowego, po którym obsługa poprawiła się o 3000 procent.

— Jest tak fantastycznie — powiedziałam jej już po raz piąty. I naprawdę tak było. Łóżko wyściełane było pół tuzinem ręczników, a każdy z nich był tak gruby jak moja kołdra. W tle grała łagodna, kojąca muzyka, o której myślałam, że dobiega z płyty CD, aż do chwili, gdy otwarłam oczy wystarczająco szeroko, by dojrzeć w rogu prawdziwą kobietę, z prawdziwą harfą, na wpół ukrytą za koronkową falą zasłon.

Maxi kiwnęła głową. — Zaczekaj, aż zaczną z kąpielami i solnym peelingiem. — Zamknęła oczy. — Jestem taka zmęczona — wymamrotała.

— Jedyne, czego chcę, to spać.

— Ja nie potrafię spać — powiedziałam jej. — To znaczy, zasypiam, ale potem się budzę...

— ...a łóżko jest takie puste.

— Co prawda mam małego pieska, więc łóżko nie jest takie puste.

— Och, tak chciałabym mieć psa! Ale nie mogę. Za dużo podróżuję.

— Możesz przyjść zabawić się z Nifkinem, kiedy tylko chcesz — podsunęłam, wiedząc, że było wysoce nieprawdopodobne, by Maxi wpadła na mrożoną capuccino i na figle w usłanym psimi gównami parku w Południowej Filadelfii. A potem znowu pomyślałam sobie, gdy Ricardo delikatnie przewrócił mnie na plecy i zaczął smarować mój brzuch, że to również było całkiem nieprawdopodobne.

— A więc, co dalej? — zapytałam. — Zamierzasz rozwalić całą swoją agendę?

— Myślę, że tak — odparła. — Chcę po prostu jeden dzień i jedną noc żyć jak normalna osoba.

Nie wydawało mi się to dobrym momentem na drobną uwagę, że normalna osoba nie wydaje lekką ręką tysiąca dolarów za pojedynczą wizytę w centrum odnowy biologicznej.

— Co jeszcze chciałabyś robić?

Maxi zastanowiła się. — Nie wiem. Już tak długo... co ty byś zrobiła, gdybyś miała dzień do zabicia w Nowym Jorku?

— To ja jestem w tym scenariuszu czy ty?

— Jaka to różnica?

— Cóż, mam do wykorzystania nieograniczone środki i do rozważenia kwestie ewentualnego rozpoznania, czy też jestem po prostu sobą?

— Rozważmy najpierw wariant z tobą.

— Hmm. No dobrze, poszłabym do kas przy Times Square i próbowałabym kupić za pół ceny bilet na jakies dzisiejsze przedstawienie na Broadway'u. Potem pojechałabym do sklepu Steve'a Maddena w Chelsea i sprawdziła, co mają na wyprzedaży. Obejrzałabym wszystkie galerie i kupiłabym wsuwki do włosów sześć-za-dolara na pchlim targu w Columbus, zjadłabym kolację w restauracji Virgil's i poszła na przedstawienie.

— To brzmi fantastycznie! Zróbmy to! — Maxi wstała i wyprostowała się, naga, pokryta jedynie błotkiem, z jakąś grubą opaską odsuwającą jej włosy do tyłu i zdjęła z oczu plastry z ogórka. — Gdzie są moje buty?

— Spojrzała w dół na siebie. — Gdzie są moje ubrania?

— Połóż się — powiedziałam ze śmiechem. Maxi położyła się znowu.

— Co to jest Steve Madden?

— To jest świetny sklep z butami. Kiedyś zawędrowałam tam, gdy była wyprzedaż „Nie Ma Dużej Stopy”. Wszystkie buty rozmiaru czterdzieści były za pół ceny. Myślę, że był to najszcze-

śliwszy dzień w moim życiu, jeśli chodzi o kwestię obuwia.

— To brzmi tak fantastycznie — mówiła Maxi rozmarzonym głosem.

— No, a teraz, co to jest Virgil's?

— Grill — odparłam. — Robią świetne żeberka i pieczone kurczaki, i ciasteczka z masłem klonowym... ale ty jesteś wegetarianką, prawda?

— Tylko oficjalnie — powiedziała Maxi. — Uwielbiam żeberka.

— Sądzisz, że możemy to zrobić? To znaczy, czy ludzie cię nie rozpoznają? A co na to April? — Spojrzałam na nią nieśmiało. — I... to znaczy, nie żeby cię naciskać, czy cokolwiek, ale gdybyśmy mogły porozmawiać przez chwilę o twoim filmie... żebyśmy mogła napisać swój artykuł, a redaktor naczelny mnie nie zabił.

— Ależ oczywiście — oznajmiła wspaniałomyślnie. — Pytaj, o co tylko chcesz.

— Później — odparłam. — Nie chcę wykorzystywać sytuacji.

— Och, mów, śmiało! — zachichotała wesoło i zaczęła pisać mój artykuł: „Maxi Ryder leży nago w śródmiejskim centrum odnowy biologicznej, pokryta aromatycznymi ekstraktami, dumając nad swą utraconą miłością.”

Podniosłam się lekko i wsparłam na jednym łokciu, by móc na nią spojrzeć.

— Czy ty naprawdę chcesz mówić o swojej utraconej miłości? Mam na myśli, że była to jedna rzecz, na wspomnienie której April stawiała się demonem. Ona chciała, byśmy rozmawiały jedynie o twojej pracy.

— Ale bycie aktorem oznacza branie życia — i bólu — w swoje ręce, i żeby to pracowało dla ciebie. — Wzięła głęboki, jakby oczyszczający oddech. — Wszystko służy jakiemuś celowi — powiedziała. — Wiem, że gdyby zadzwoniono do mnie z propozycją zagrania kobiety poniżonej... czytaj, porzuconej publicznie podczas talk-show... jestem przygotowana.

— Uważasz, że to było złe? Mój eks-chłopak pisze męską kolumnę o seksie dla *Moxie*.

— Naprawdę? — spytała. — Byłam w *Moxie* ostatniej jesieni. „Maxi w *Moxie*.” To było dość głupie. Czy twój były pisuje czasem o tobie?

Westchnęłam nieszczęśliwie. — Jestem jego ulubionym tematem, i to wcale nie jest zabawne.

— Co? — zapytała Maxi. — Czy wspominał o czymś osobistym?

— Taaak — odparłam. — O mojej wadze, na początek.

Maxi usiadła ponownie, wyprostowana. — Kochając Większą Kobietę? To byłaś ty?

Cholera. Czy każdy na tym świecie czytał ten głupi artykuł?

— To byłam ja.

— O rety. — Maxi spojrzała na mnie — mam nadzieję, że nie w celu oszacowania, ile waży i czy rzeczywiście mogło to być więcej niż ważył Bruce. — Czytałam to w samolocie — powiedziała przepraszająco. — Normalnie nie czytuję *Moxie*, ale to był naprawdę długi lot i nudziłam

się, więc czytałam, tak jakby trzymiesięczne zaległości...

— Nie musisz mnie przepraszać — uspokoiłam ją. — Jestem pewna, że wiele osób to czytało.

Położyła się z powrotem. — Czy to ty nazwałaś go ludzkim bidetem? — zapytała.

Nawet po warstwę błotka, czułam, jak się czerwienię. — Nigdy prosto w twarz — odparłam.

— Cóż, mogło być gorzej. Rzucił mnie podczas programu Barbary Walters — rozżaliła się Maxi.

— Wiem — przyznałam. — Widziałam.

Leżałyśmy w milczeniu, gdy personel zmywał z nas błotko przy pomocy pół tuzina gumowych węży. Poczułam się, jak bardzo rozpuszczone, bardzo egzotyczne, domowe zwierzątko... albo jak wyjątkowo drogi kawałek mięsa. Następnie pokryto nas gruboziarnistą solą, oczyszczono i znowu splukano, a potem owinięto w ciepłe szlafroki i odesłano do czyszczenia i masażu twarzy.

— Myślę, że ty miałaś gorzej ode mnie — rozważałam, gdy schnęły nasze maseczki. — To znaczy, kiedy Kevin mówił o zakończeniu długiego związku, każdy, kto oglądał, wiedział, że ma ciebie na myśli. A w przypadku tego artykułu, jedyne osoby, które wiedziały, że C. to byłam ja, to...

— Każdy, kto znał ciebie — powiedziała Maxi.

— Taak. Mniej więcej — westchnęłam. Pomiędzy wodorostami, solą, muzyką New Age i łagodnymi, nasmarowanymi olejkami migdałowym rękami masażysty Carlosa, poczułam się tak, jakbym była owinięta jakąś zachwycającą chmurką, kilometry ponad światem, z dala od dzwoniących telefonów, urażonych współpracowników i zadzierających nosa PRowców. Z dala od mojej nadwagi... tak bardzo, że nawet nie przejmowałam się, co Carlos & Spółka myśleli, gdy pocierali, smarowali i przewracali na różne strony moje ciało. Byłam tylko ja i mój smutek, ale nawet on nie wydawał się wtedy taki ciężki. Po prostu go czułam, jak mój nos, jak bliźnię na pępku, której się nabawiłam, zdrapując strupa ospy wietrznej, gdy miałam sześć lat. Po prostu, jak kolejną część mojej osoby.

Maxi złapała mnie za rękę. — Jesteśmy przyjaciółkami, prawda? — powiedziała. A ja pomyślałam przez moment, że prawdopodobnie nie miała tego na myśli — że po prostu to była jej wersja szybkiej, sześciotygodniowej przyjaźni z planu filmowego. Ale nie przejmowałam się tym.

Ścisnęłam jej rękę w odpowiedzi. — Tak — potwierdziłam. — Jesteśmy przyjaciółkami.

— Wiesz, co myślę? — spytała mnie Maxi. Uniosła palec w górę. Wkrótce potem przed nami stały cztery kolejne drinki tequili, każdy z nich zapłacony, nic dziwnego, przez innego adora-

tora. Uniosła szklankę i spojrzała na mnie. Zrobiłam to samo i jednym łykiem wychyliłyśmy tequile. Odstawiłam szklankę, krzywiąc się. W końcu wylądowałyśmy w „Wieprzach i Jałówkach”. Wcześniej jadłyśmy późny lunch w Virgil’s, gdzie próbowaliśmy żeberka, kurczaka z grilla, bananowego puddingu i serowych chrupek. Potem każda z nas kupiła sobie po sześć par butów Steve’a Maddena, rozumując, że chociaż my mogłyśmy czuć się grube, nasze stopy nie. Następnie zawędrowałyśmy do Salonu Piękności, gdzie nakupiłyśmy wszelkiego rodzaju kosmetyków. (Ja skupiłam się przede wszystkim na cieniach w kolorze piaskowym i fluidzie korekcyjnym. Maxi przepuściła pieniądze na wszystko, co się świeciło.) Wszystko to, po podsumowaniu, kosztowało więcej niż zamierałam wydać na buty czy kosmetyki w najbliższym roku, a może nawet przez kilka lat, ale pomyślałam: Kiedy może się pojawić następna okazja robienia zakupów z gwiazdą filmową?

— Wiesz, co myślę? — powtórzyła Maxi.

— No, co takiego?

— Myślę, że naprawdę mamy ze sobą wiele wspólnego. Chodzi mi o kwestię ciała.

Przymrużyłam oczy, patrząc na nią. — He?

— Nasze ciała nami *rządzą* — wygłosiła i upiła trochę piwa, które ktoś podesłał. Jak dla mnie, zabrzmiało to bardzo głęboko. Być może dlatego, że byłam już głęboko wcięta. — Tkwisz w ciele, o którym myślisz, że mężczyźni go nie akceptują...

— W tym punkcie jest coś więcej, niż tylko sama teoria — powiedziałam, ale Maxi nie zamierzała dopuścić, by przerwano jej monolog.

— A ja obawiam się, że jeśli zacznę jeść to, co lubię, przestanę wyglądać tak, jak wyglądam, i nikt mnie nie zechce. Gorzej, — mówiła, patrząc z nienawiścią przez dym papierosowy — nikt mi nie zapłaci. Zatem ja też w nim tkwię. Ale to, w jaką pułapkę wpadłyśmy najbardziej, to postrzeganie naszego ciała. Ty myślisz, że musisz zrzucić, by ktoś cię pokochał. A ja uważam, że jak przytyję, nikt nie będzie mnie kochał. To, czego naprawdę potrzebujemy — powiedziała, uderzając w barenkę dla podkreślenia — to przestać myśleć o sobie jak o ciałach i zacząć myśleć o sobie jak o ludziach.

Wpatrywałam się w nią z podziwem. — Tooo było baardzo głębokie.

Maxi wzięła duży łyk piwa. — Słyszałam to w programie Oprah.

Wypiłam kolejnego drinka. — Oprah jest głęboka. Ale muszę powiedzieć, rozważając wszystkie aspekty, że wolałabym być w pułapce raczej twojego ciała niż mojego. Przynajmniej mogłabym nosić bikini.

— Ale nie widzisz tego? Obie jesteśmy we więzieniu. Więzieniach Ciała.

Zachichotałam. Maxi wyglądała na obrażoną. — Co, nie zgadzasz się z tym?

— Nie, — odparłam, parszając śmiechem — tylko myślę, że Więzienia Ciała brzmi jak tytuł filmu pornograficznego.

— Świetnie — powiedziała Maxi, gdy przestała się już śmiać. — Ale mam rację.

— Oczywiście, że masz — przyznałam. — Wiem, że nie powinnam w ten sposób odczuwać tego, jak wyglądam. Chcę żyć w świecie, w którym ludzie osądzani są przez to, kim są, a nie przez to, jaki noszą rozmiar — westchnęłam. — Ale wiesz, czego pragnę nawet bardziej od tego?

— Maxi spojrzała na mnie wyczekująco. Zawahałam się, a później wypłam kolejną tequile.
— Chcę zapomnieć o Bruce'ie.

— Mam też teorię na ten temat — oznajmiła Maxi triumfująco.

— Moja teoria to to, że nienawiść działa. — Stuknęła swoją szklanką o moją. Wypiłyśmy po drinku i ustawiłyśmy szklanki sztorcem na lepkiem barku, pod lekko kołyszącym się sznurem na bieliznę, z biustonoszami, które kiedyś znajdowały się na biustach sławnych kobiet.

— Nie potrafię go nienawidzić — powiedziałam smutno. Nagle poczułam, jakby moje usta formowały słowa w odległości pół metra od mojej twarzy, tak jakby zdecydowały się oddzielić od niej i skierować się na zieleńsze pastwiska. Był to typowy efekt uboczny, gdy uczestniczyłam w zbyt wielu libacjach. To oraz płynne uczucie w moich kolanach, nadgarstkach i łokciach, tak jakby moje stawy były wyjęte z zawiasów. Kiedy się upijałam, zaczynałam sobie przypominać pewne sprawy, i właśnie wtedy, ponieważ z szafy grającej dobiegał Grateful Dead („Cassidy”, pomyślałam), przypominałam sobie, jak to pojechaliśmy po przyjaciela Bruce'a, by go zabrać na koncert Dead'a i w czasie, gdy czekaliśmy na niego, wymknęliśmy się do gabinetu i zrobiłam mu bardzo szybkiego, niezwykle namiętnego loda, pod wypchaną głową jelenia, zawieszoną na ścianie. Fizycznie siedziałam w „Wieprzach i Jałówkach”, ale w mojej głowie byłam wciąż na kolanach przed nim, moje ręce obejmowały jego tyłek, jego kolana wciskały się w moje piersi, gdy drżał i ciężko sapał, że mnie kocha, myśląc, że zostałam do tego stworzona.

— Pewnie, że możesz — nalegała Maxi, wyciągając mnie gwałtownie z gabinetu i przywracając do utopionej w tequili rzeczywistości.

— Powiedz mi o nim najgorszą rzecz.

— Był naprawdę niechlujny.

Zmarszczyła cudownie nos. — To nie jest tak źle.

— Och, nie masz pojęcia! On miał te wszystkie swoje włosy, widzisz, i one dostawały się do sita pod prysznicem, a on go nigdy nie czyścił, tylko od czasu do czasu wygrzebywał kępkę tych obrzydliwych, wstrętnych, spienionych od mydła włosów i umieszczał w rogu brodzika. Gdy zobaczyłam to po raz pierwszy, wrzasnęłam.

Wypiłyśmy następną kolejkę. Policzki Maxi były mocno zarumienione, a oczy błyszczały.

— I jeszcze, — mówiłam dalej — miał ohydne paznokcie u stóp.

— Odbiło mi się, ale starałam się, jak mogłam, by to zatuszować, przykładając dłoń do ust.
— Wszystkie były żółte, grube i nierówne...

— Grzyb — oznajmiła Maxi fachowym tonem.

— No i miał ten minibarek — dodałam, ożywiając się trochę. — Za każdym razem, gdy jego rodzice lecieli samolotem, przywozili mu małe buteleczki z wódką i scotchem. Przechowywał je w pudełku po butach, a kiedy ktokolwiek przychodził do niego na drinka, mówił, „Napij się czegoś z minibarku” — urwałam, zamyślając się na chwilę. — Tak w sumie, to to było nawet miłe.

— Miałam to właśnie powiedzieć — zgodziła się ze mną Maxi.

— Ale po jakimś czasie to stało się denerwujące. To znaczy, na przykład przychodziłam, miałam okropny ból głowy, chciałam po prostu wódkę z tonikiem, a on od razu sięgał po minibarek. Myślę, że po prostu był zbyt wielkim sknerą, by wybulić za całą, własną butelkę.

— Powiedz mi, — zapytała Maxi — czy był naprawdę dobry w łóżku?

Staralam się oprzeć moją głowę na ręce, ale łokieć odmówił wykonania tej czynności i w rezultacie moje czoło odbiło się od blatu barku. Maxi zaczęła się ze mnie śmiać. Barman popatrzał na nas wilkiem. Poprosiłam o szklankę wody. — Chcesz poznać prawdę?

— Nie, chcę żebyś kłamała. Jestem gwiazdą filmową. Wszyscy inni kłamią.

— Prawdę jest — zaczęłam — prawdą jest...

Maxi śmiała się, pochylając do mnie blisko. — No, Cannie, wyduś to wreszcie z siebie.

— No cóż, on chętnie próbował nowych rzeczy, co ja doceniałam...

— No, Cannie. Bez wstęp... bez wstępniaków... — Zamknęła oczy, a potem usta. — Nie zalewaj. Zadałam proste pytanie. Czy był w ogóle dobry?

— Prawdę jest... — spróbowałam znowu. — Prawdę jest, że on był bardzo... mały.

Jej oczy otwarły się szeroko. — Mały, masz na myśli... tam na dole?

— Mały — powtórzyłam. — Maleńki. Mikroskopijny. Nieskończenie malutki! — Tam. Jeśli bym potrafiła wypowiedzieć to słowo, nie czułabym się tak zmarnowana, jak myślałam o sobie. — To znaczy nie, kiedy był twardy. Kiedy twardniał, nabierał w miarę normalnych rozmiarów. Ale kiedy był miękki, był jakby zwinięty z powrotem do ciała, i wyglądał jak taki mały... — próbowałam to powiedzieć, ale za bardzo się śmiałam.

— Co? No, Cannie. Przestań się śmiać. Usiądź prosto. Powiedz mi!

— Owłosiony żołądz — zdołałam w końcu. Maxi zawyła. Łzy nadeszły jej do oczu, a ja jakoś znalazłam się pochylona do przodu, z głową na jej kolanach. — Owłosiony żołądz! — powtórzyła.

— Ciii — uciszyłam ją, próbując przybrać wyprostowaną sylwetkę.

— Owłosiony żołądz!

— Maxi!

— Co? Myślisz, że mnie usłyszysz?

— On mieszka w New Jersey — oznajmiłam bardzo poważnie.

Maxi wdrapała się na barek i ręce zwinęła w trąbkę wokół ust.

— Uwaga, panowie — zawołała. — Owłosiony Żołądz rezyduje w New Jersey.

— Jeśli nie zamierzasz pokazać nam swoich cycków, to złaż z baru!

— krzyknął pijany facet w kowbojskim kapeluszu. Maxi w bardzo elegancki sposób pokazała mu swój palec, po czym zeszła na dół.

— To mogłoby być nawet jego nazwisko — powiedziała. — Żołądz. Włosek Żołądz. Włodek Żołądz.

— Nie możesz nikomu o tym powiedzieć. Nikomu — bełkotałam.

— Nie martw się. Nie powiem. I poważnie w to wątpię, czy ja i Pan Żołądz poruszamy się tymi samymi ścieżkami.

— On mieszka w New Jersey — powtórzyłam, a Maxi śmiała się tak długo, aż tequila wydoستاła się z jej nosa.

— Więc, zasadniczo biorąc, — powiedziała, gdy już przestała bryzgać — przyczepiłaś się do gościa z małym fiutem, który cię źle traktował?

— Nie traktował mnie źle — zaooponowałam. — On był bardzo słodki... i uważny... i...

— Słodcy i uważni są funta kłaków warci. I tak samo, przykro mi cię o tym poinformować, dotyczy to małych fiutów. Stać cię na więcej.

— Muszę z nim skończyć.

— Więc skończ z nim! Nalegam!

— Jak to zrobić?

— Nienawidzić! — doradziła Maxi. — Jak ci wcześniej powiedziałam.

Ale ja nie potrafiłam go nienawidzić. Chciałam, ale nie potrafiłam. Wbrew mej woli, przypomniałam sobie coś niezwykle czułego. Jak kiedyś, w okolicach Świąt Bożego Narodzenia, powiedziała mi, by udawał Świętego Mikołaja, a ja udawałam, że przyszedłam do centrum handlowego, by zrobić sobie z nim zdjęcie. Jak wdrapałam się na niego, uważając, by stopami mocno oprzeć się na podłodze, aby nie spocząć na nim całą swoją wagą i wyszeptalam mu do ucha: „Czy to prawda, że Święty Mikołaj przychodzi tylko raz w roku?” Jak on śmiał się i jak oddychał ciężko, gdy oparłam jedną rękę na jego piersiach i popchnęłam go do tyłu, na łóżko, i przytuliłam się mocno do niego, podczas gdy on, fałszując, improwizował „All I Want for Christmas Is You”.

— Masz — powiedziała Maxi, wciskając mi do ręki kolejnego drinka z tequila. — Lekarstwo.

Wychyliłam go jednym haustem. Złapała mnie za podbródek i spojrzała mi prosto w oczy. Miałam wrażenie, że są dwie Maxi — z niebieskimi, okrągłymi jak spodki oczami, kaskadami włosów, geometrycznie doskonale nakrapianymi piegami, podbródkami jedynie odrobinę zbyt zaostrozonymi tak, by nie były doskonałe, ale zamiast tego nieprzepracowane powabne. Mrugnęłam oczami i znów była tylko jedna Maxi. Obserwowała mnie uważnie. — Ty go wciąż kochasz — powiedziała. Pochyliłam głowę. — Tak — wyszeptalam.

Puściła mój podbródek. Moja głowa uderzyła w blat barku. Maxi podciągnęła mnie w górę

za wsuwki we włosach. Barman wyglądał na zaniepokojonego. — Sądzę, że ona ma już dość — oznajmił. Maxi zignorowała go.

— Może powinnaś do niego zadzwonić — zaproponowała.

— Nie mogę — powiedziałam jej, nabierając nagle gorzkiej świadomości, że jestem kompletnie pijana. — Zrobię z siebie idiotkę.

— Są gorsze rzeczy od robienia z siebie wariatki.

— Na przykład jakie?

— Stracić kogoś, kogo kochasz, ponieważ jesteś zbyt dumna, by zadzwonić i mu to powiedzieć przez telefon — oznajmiła. — To jest gorsze. Teraz: Jaki jest jego numer?

— Maxi...

— Podaj mi jego numer.

— To jest naprawdę zły pomysł.

— Dlaczego?

— Bo... — westchnęłam, czując nagle, jak cała wypita tequila wbija mi się w czaszkę. — Bo co będzie, jeśli on mnie nie chce?

— Wtedy lepiej, żebyś to wiedziała, raz na zawsze. Możemy zadziałać jak chirurdzy i wypalić ranę. A ja nauczę cię odżywczych mocy nienawidzenia jego flaków. — Wyjęła telefon. — Teraz. Numer.

Wzięłam od niej telefon. Był bardzo malutki, jak zabawka-telefon, wielkości mojego kciuka. Otwarłam go niezdarnie i przymrużając oczy, wybierałam cyfry moim najmniejszym palcem.

Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku. — Halo?

— Cześć Bruce. Tu Cannie.

— Cze-eeść — odparł wolno, głosem wyraźnie zaskoczonym.

— Wiem, że to trochę dziwne, ale jestem w Nowym Jorku, w tym barze, i nigdy byś nie zgadł, z kim...

Przerwałam na zaczerpanie oddechu. Nic nie mówił.

— Muszę coś ci powiedzieć...

— Hmm, Cannie...

— Nie, chcę po prostu, muszę... musisz mnie po prostu wysłuszać. Wysłuchać — zdołałam w końcu. Słowa nadchodziły w pośpiechu. — Zerwanie z tobą było pomyłką. Wiem to teraz. I Bruce, tak mi przykro... i tak za tobą tęsknię, i to staje się gorsze z dnia na dzień, i wiem, że na to nie zasługuję, ale gdybyś mógł mi dać jeszcze jedną szansę, byłabym dla ciebie dobra...

Słyszałam, jak zaskrzypiały sprężyny, gdy podnosił się na łóżku. I jeszcze czyjś głos w głębi. Żeński głos.

Spojrzałam zezując na zegar wiszący na ścianie, za dyndającym stanikiem. Była pierwsza w nocy.

— Ale ja przeszkadzam — powiedziałam głucho.

— Hej, Cannie, to rzeczywiście nie jest najlepsza pora...

— Myślałam, że potrzebujesz dystansu, — mówiłam — bo zmarł twój ojciec. Ale to nie to, prawda? To chodzi o mnie. Ty mnie nie chcesz.

Usłyszałam odgłos uderzenia, a potem w oddali jakąś cichą rozmowę. Prawdopodobnie zasłonił dłonią mikrofon w słuchawce.

— Kim ona jest?! — ryknęłam.

— Wiesz, może ja do ciebie oddzwonię o jakiejś lepszej porze? — zapytał Bruce.

— Czy będziesz o niej pisał? — krzyczałam. — Czy ona znajdzie się pod inicjałem w twojej wspaniałej, cudownej kolumnie? Czy ona jest dobra w łóżku?

— Cannie, — Bruce mówił wolno — pozwól mi do ciebie oddzwonić.

— Nie. Nie przejmuj się. Nie musisz — powiedziałam i zaczęłam walić po omacku w klawisze telefonu, aż w końcu znalazłam ten, który rozłączył rozmowę.

Podałam go z powrotem do Maxi, która wpatrywała się we mnie niepokojącym wzrokiem.

— Nie brzmiało to zbyt dobrze — skomentowała.

Poczułam, jak pomieszczenie zaczęło wirować. Poczułam, że będę wymiotować. Poczułam, że już nigdy w życiu nie będę zdolna się uśmiechnąć, że, gdzieś tam głęboko w sercu, zawsze będzie dla mnie godzina pierwsza w nocy, a ja będę dzwoniła do mężczyzny, którego kochałam, a który był z inną kobietą w łóżku.

— Cannie? Czy mnie słyszysz? Cannie, co powinnam zrobić?

Uniosłam głowę z barku. Przetarłam pięścią oczy. Wzdrygając się, wzięłam głęboki oddech. — Daj mi więcej tequili – powiedziałam — i naucz mnie, jak się nienawidzi.

Później — dużo później — jadąc taksówką z powrotem do hotelu, oparłam głowę na ramieniu Maxi, głównie dlatego, że nie potrafiłam jej unieść. Wiedziałam, że to było to: punkt, w którym nie miałam już nic do stracenia, zupełnie nic. A może to, że najważniejszą rzecz już straciłam wcześniej. Ale co teraz miało znaczenie? Myślałam. Sięgnęłam po torebkę, wygrzebując jakimś cudem lepką z tequili kopię mojego scenariusza, którą wepchnęłam tam milion lat temu, sądząc, że sprawdzę końcowe sceny w drodze pociągiem do domu.

— Masz — wybełkotałam, wciskając scenariusz w rękę Maxi.

— Och, naprawdę, to dla mnie? — Maxi gruchała, zmieniając głos na taki, który brzmiał jak standardowa mowa, akceptująca-prezent-odobcego. — Naprawdę, Cannie, nie musiałaś.

— Nie — powiedziałam, gdy krótki przebłysk sensownego myślenia przedostał się przez alkoholową mgłę. — Nie, prawdopodobnie nie musiałam, ale zrobię to.

Tymczasem pijana Maxi przerzucała kartki. — Ctojest?

Czknęłam i stwierdziłam, że skoro zaszłam już tak daleko, to czemu kłamać? — To scenariusz, który napisałam. Pomyślałam sobie, że może chciałabyś go przeczytać, może w samolocie,

jeśli znowu by ci się nudziło. — Czknęłam ponownie kilka razy. — Nie chcę ci się narzucać...

Powieki Maxi opadły do połowy. Schowała scenariusz do swojego czarnego plecaczka, mnąc przy tym pierwsze trzydzieści stron.

— Nmartw się.

— Nie musisz tego czytać, jeśli nie chcesz — powiedziałam. — A jeśli przeczytasz i nie spodoba ci się, możesz mi to powiedzieć. Nie martw się, że mogłabyś zranić moje uczucia — westchnęłam. — Nikt się o to nie martwi.

Maxi pochyliła się do mnie i niezgrabnie mnie przytuliła. Mogłam wyczuć kości jej łokci, dźgające mnie, gdy mocniej mnie ścisnęła.

— Biedna Cannie — powiedziała. — Nie martw się. Będę się tobą opiekować.

Wpatrywałam się w nią, tak wątpiąca w to, co mówi, jak pijana.

— Naprawdę?

Pokiwała gwałtownie głową, potrząsając lokami wokół twarzy.

— Będę się tobą opiekować, — oznajmiła — jeśli ty zaopiekujesz się mną. Jeśli będziesz moją przyjaciółką, wtedy obie będziemy nawzajem się sobą opiekować.

Rozdział IX

Obudziłam się w pokoju hotelowym, w bardzo dużym łóżku, w mojej letniej sukience. Ktoś zdjął mi sandały i położył równo na podłodze.

Słońce wciskało się przez okna do pokoju, tworząc jasne pasy na dywanie koloru kości słoniowej oraz na różowej kołdrze, którą czułam tak delikatnie, jak pocałunek na moim ciele. Uniosłam głowę. Auuuć. Wielki błąd. Ułożyłam ją ostrożnie z powrotem na poduszkach i zamknęłam ponownie oczy. Czułam się, jakby ktoś przyspawał mi do głowy żelazną obręcz i powoli ją ścisnął. Czułam, jak moja twarz się kurczy. Czułam, jakby coś było przyklepione do mojego czoła.

Uniosłam ręce, zdjęłam kartkę papieru, która rzeczywiście była przyczepiona do mojego czoła i zaczęłam czytać.

Droga Cannie,

Przepraszam, że musiałam Cię zostawić w takim stanie, ale mój samolot startował bardzo wcześnie rano (no i April jest na mnie wściekła... ale to już jest w porządku. Było tego warte!)

Czułam się bardzo źle po tym, co się wydarzyło zeszłej nocy. Wiem, że to ja popchnęłam Cię do tego, byś do niego zadzwoniła i usłyszała fatalne wieści. Mogę sobie wyobrazić, jak teraz się czujesz. Ja też tam byłam (w kontekście zarówno tequila, jak i złamanego serca!)

Czy mogłabyś do mnie jutro zadzwonić, gdy już będziesz z powrotem w domu i, mam nadzieję, będziesz lepiej się czuć? Mój numer jest poniżej. Naprawdę mam nadzieję, że mi wybaczysz i że dalej jesteśmy przyjaciółkami.

Przed hotelem będzie na Ciebie czekał przez cały dzień samochód, by Cię zabrać do domu — na mój koszt. (Tak właściwie, to na koszt April!) Proszę, zadzwoń wkrótce.

Oddana, Maxi Ryder

I dalej był ciąg numerów telefonów: Australia. Biuro. Anglia. Pager. Telefon komórkowy. Fax. Drugi fax. E-mail.

Udałam się ostrożnie do łazienki, gdzie zwymiotowałam, robiąc mnóstwo hałasu. Maxi zostawiła mi na umywalce aspirynę, obok czegoś, co wyglądało jak kosmetyki Kiehla warte kilkaset dolarów oraz dwóch butelek wody mineralnej Evian, wciąż jeszcze schłodzonej. Połknęłam trzy tabletki, popiłam ostrożnie wodą i ujrzałam przelotem swoje odbicie w lustrze. Uch. Niedobrze. Błada, ziemista, poplamiona cera, tłuste włosy, podkrążone oczy, a cały makijaż, który wypróbowałam w Salonie Piękności, rozmazał się po całej twarzy. Zaczęłam analizować współ-

czynnik bólu-do-korzyści długiej, gorącej kąpieli pod prysznicem, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

— Służba hotelowa — oznajmił kelner i wjechał z wózkiem. Gorąca kawa, gorąca herbata, cztery rodzaje soków i suche tosty. — Proszę się poczuć lepiej — powiedział sympatycznie. — A pani Ryder załatwiła późniejszy wypis z hotelu.

— Jak późny? — zapytałam skrzypiącym głosem.

— Tak późny, jak pani będzie sobie tego życzyć — odparł. — Proszę się nie spieszyć i spędzić mile czas.

Odsunął zasłony, prezentując panoramiczny widok na miasto.

— O rety — powiedziałam. Wpadające do pokoju promienie słoneczne kłuły mnie boleśnie w oczy, ale wrażenie, jakie robił widok, było niezaprzeczalne. Widziałam rozciągający się poniżej Central Park, nakrapiany ludźmi i drzewami, których liście mieniły się złotem i pomarańczem. Dalej pasmo wieżowców. Dalej rzeka. A jeszcze dalej New Jersey. — *Mieszka w New Jersey* — dudniły mi w głowie moje własne słowa.

— To jest apartament — oznajmił, po czym zostawił mnie samą.

Nalałam sobie do filiżanki herbatę, dodałam cukier, spróbowałam kilka kęsów tosta. Wanna, jak zdążyłam smutno zauważyć, była wystarczająco duża, że zmieściłyby się w niej dwie osoby — tak naprawdę, to chyba nawet i trzy, gdyby tylko były skłonne na to się zdobyć. Bogaci są inni, podsumowałam i zaczęłam napuszczać wodę, tak gorącą, że ledwo potrafiłam w niej stać. Wlałam jakiś płyn do kąpieli, dający gwarancję posiadania tak wielu odżywczych składników, że powinnam wyjść z wanny jak nowonarodzona lub przynajmniej wyglądająca o wiele lepiej, i zdjęłam przez głowę sukienkę.

Mój drugi błąd tego ranka. Wewnątrz łazienki, dookoła, było mnóstwo luster, oferujących takie widoki, jakie zazwyczaj znajdziesz w przebieralni dużego sklepu. Ale teren nie wyglądał zbyt dobrze. Zamknęłam oczy, aby ukryć przed wzrokiem obraz rozstępów i cellulitisu. — Mam mocne, opalone nogi — zacytowałam siebie. Tydzień temu, na zajęciach z moją Otyłą Klasą, ćwiczyłyśmy pozytywne myślenie.

— Mam piękne ramiona. — I wtedy wsunęłam się do wanny.

A więc, pomyślałam gorzko. Więc on ma kogoś. Więc co ja sądziłam, że co może się stać? Jest Żydem, ma wykształcenie, jest wysoki, uczciwy i atrakcyjny, i ktoś go najwyraźniej złapał.

Przekręciłam się, wylewając na podłogę kaskadę wody.

Ale mnie kochał, myślałam. Zawsze mi tak mówił. Uważał, że jestem doskonała... że razem byliśmy doskonali. I dziesięć minut później ma inną w swoim łóżku? Robiącą rzeczy, które, jak się zarzekał, chciał bym tylko ja mu kiedykolwiek robiła?

Głos powrócił, nieubłagany. *Ale to ty chciałaś zrobić przerwę. I: Czego oczekiwałaś?*

— Do Filadelfii, prawda, panienko? — kierowca był Rosjaninem i nosił prawdziwą czapkę szofera. Samochód, jak się okazało, był limuzyną, z tylnym siedzeniem większym od mojego łóżka, większym pewnie też od całej mojej sypialni. Zerknęłam do środka. Niezbędny telewizor, magnetowid, elegancki zestaw stereo... i, oczywiście, barek. Różne trunki mieniły się w kryształowych karafkach, a obok nich rząd pustych szklanek i kieliszków. Mój żołądek leniwie się przekręcił.

— Mogę na chwilę przeprosić? — zapytałam i popędziłam do lobby hotelu. Toalety w hotelowym lobby są świetnym miejscem także do wymiotywania.

Szofer wyglądał na rozbawionego, gdy wróciłam do samochodu.

— Czy mam jechać autostradą Turnpike?

— Czymkolwiek, byleby najprościej — odparłam, wślizgując się na siedzenie, podczas gdy on trzymał drzwi otwarte i załadował do bagażnika mój plecak, pudełka z butami i torby z zakupami z Salonu Piękności. Na tylnym siedzeniu, obok sprzętu stereo i telewizora, był telefon, który porwałam gwałtownie do rąk, spocona z desperackiej potrzeby sprawdzenia, czy Bruce próbował się ze mną kontaktować zeszłej nocy. Na mojej sekretarce była jedna wiadomość. „Cześć, Cannie, mówi Bruce, oddzwaniem. Jadę do domu na kilka dni, więc mozespróbuję później, pod koniec tygodnia.” — *Żadnego Przepraszam. Żadnego To był tylko zły sen.* Wiadomość zostawiono o jedenastej rano, miał więc czas na poranną powtórkę i belgijskiego wafła z Panną Skrzypiąca Sprężyna, która, dzięki moim szkoleniom, nigdy nie odniesie się do niego per Ludzki Bidet i która pewnie nie waży więcej od niego.

Zamknęłam oczy. To tak bolało.

Odłożyłam telefon na miejsce, gdy mknęliśmy sto trzydzieści na godzinę autostradą New Jersey Turnpike, mijając właśnie zjazd, który zaprowadziłby mnie dokładnie pod jego drzwi. Gdy go minęliśmy, zastukałam dwoma palcami po szybie. Cześć i do widzenia.

Niedziela minęła na zalewaniu się Izami i rzyganiu w domu Samanty, dokąd daliśmy drapaką ja i Nifkin, aby lepiej nie słuchać niedzwoniącego telefonu. Samanta, jak mogłam zauważyć, stawała na głowie, by nie powiedzieć: *A nie mówiłam.* Wytrzymała dłużej, niż ja bym to zrobiła — cały niedzielny dzień, aż do wieczora, kiedy w końcu zabrakło jej pytań dotyczących Maxi i przeszła do tematu Bruce’a, i tej fatalnej rozmowy telefonicznej.

— Miałaś powód, by zrobić sobie przerwę — przypomniała mi. Siedziałyśmy w cukierence „Różowa Róża”. Skubała ciasteczko makaronikowe. Ja natomiast wbijałam się widelcem w ptyśia o wielkości i kształcie czapki baseballowej, najlepsze legalne antidotum na ludzkie nieszczęście, w jakim się znalazłam, zdając sobie sprawę, że nie miało to wielkiego znaczenia, ponieważ nic nie jadłam od zeszłego popołudnia, w Nowym Jorku, z Maxi.

— Wiem — powiedziałam. — Tylko po prostu już nie pamiętam, co to było.

— Ale ty na pewno przemyślałaś sobie wszystko, zanim to zrobiłaś, prawda?

Przytaknęłam głową — A więc musiałaś przynajmniej rozważyć ewentualność, że on znajdzie kogoś innego?

Czułam, jakby to było niemożliwie dawno temu, ale brałam to pod uwagę. Z jednej strony miałam nawet na to nadzieję, liczyłam na to, że znajdzie jakąś małą, milutką dziewczynę do wzięcia, z bransoletkami na kostkach i włosami pod pachami, która zostawałaby do późna i mogłaby się z nim naćpać, podczas gdy ja pracowałabym ciężko, sprzedawałabym moje scenariusze i robiłabym dla magazynu *Time* listę „Trzydziestu poniżej trzydziestki”. Jakiś czas temu byłam zdolna kontemplować taki rozwój sytuacji bez łez, nudności i/lub pragnienia własnej śmierci, chęć zamordowania go albo zabicia go najpierw, a potem własnego odejścia z tego świata.

— Były powody, dla których sprawy nie miały się dobrze — powiedziała Samanta.

— Przypomnij mi, jakie.

— Nie lubił chodzić do kina — oznajmiła Samanta.

— Ja chodzę z tobą do kina.

— Nie lubił nigdzie wychodzić!

— Zatem zabiłoby mnie zostawanie w domu? — Wbiłam się tak mocno w ptysia, że przewrócił się, uwalniając z siebie krem. — Był naprawdę fajnym facetem. Fajnym, słodkim facetem. A ja byłam głupia.

— Cannie, on cię przyrównał do Moniki Lewinsky w ogólnokrajowym magazynie!

— Cóż, nie jest to najgorsza rzecz na świecie. Nie oszukiwał mnie.

— Ja wiem, o co tu chodzi — powiedziała Samanta.

— O co?

— O pragnienie tego, czego nie możesz mieć. To jest prawo wszechświata: kochał cię, czułaś się znudzona i zduszona. Teraz on zrobił ruch, a ty desperacko chcesz go mieć z powrotem. Ale pomyśl o tym, Cannie... czy cokolwiek się naprawdę zmieniło?

Chciałam jej powiedzieć, że to ja się zmieniłam — że miałam bliskie spotkanie z tym, co jeszcze było w moim wszechświecie randek, i że na imię mu było Steve, który nosił Tevasy, i który nawet nie uważał, że wieczór spędzony ze mną mógłby być randką.

— Skończyłabyś na tym, że znowu byś go rzuciła, a to naprawdę nie jest fair.

— A dlaczego ja muszę być fair? — jęknęłam. — Dlaczego nie mogę być samolubna, paskudna i zepsuta, jak każdy inny?

— Ponieważ jesteś dobrym człowiekiem — odparła. — Niestety, jak się może wydawać.

— Skąd wiesz? — rzuciłam jej wyzwanie.

— No dobrze. Idziesz na spacerze z Nifkinem, przechodzisz obok swojego samochodu i zauważasz, że jeśli go podciągniesz z metr, zrobi się dodatkowe miejsce do parkowania, zamiast kolejnej, denerwującej dziury, która wygląda jak miejsce do parkowania, ale nim nie jest. Czy

przestawisz samochód?

— No taaak... a ty byś tego nie zrobiła?

— Nie o to chodzi. To jest dowód. Jesteś dobrym człowiekiem.

— Nie chcę być dobrym człowiekiem. Chcę pojechać do New Jersey i wykopać tę dziwkę z jego łóżka...

— Wiem — powiedziała. — Ale nie możesz.

— Dlaczego nie? — domagałam się.

— Ponieważ skończysz w więzieniu, a ja nie zamierzam zawsze zajmować się twoim małym, dziwnym psem.

— Świetnie — westchnęłam.

Nadszedł kelner, patrząc na nasze talerze. — Skończone? Kiwnęłam głową. — Wszystko skończone. Nic więcej — odpowiedziałam.

Sam zaproponowała, że mogę zostać na noc, jeśli chcę, ale zdecydowałam, że nie mogę się wiecznie ukrywać, przypięłam więc smycz do Nifkina i poszliśmy do domu. Zawlokłam się na górę po schodach, z rękami pełnymi niedzielnej poczty i on tam był, dokładnie na wprost moich drzwi. Widziałam go w poszczególnych etapach — najpierw jego zdarte, drugie-najlepsze tenisówki... potem źle dobrane, sportowe skarpetki... potem opalone, owłosione nogi pojawiały się w zasięgu mojego wzroku, w miarę jak postępowałam po schodach. Szorty khaki, stary T-shirt z college'u, jego kozia bródka, brudnoblond kucyk, jego twarz. Panie i panowie, prosto z ramion Skrzypiącej Sprężyny, Bruce Guberman.

— Cannie?

Czułam się tak dziwnie, jakby moje serce próbowało tonąć i unosić się w tym samym czasie. Albo może to były znowu nudności.

— Widzisz, — powiedział — jest mi, hmm, przykro za zeszłą noc.

— Nie ma za co przepraszać — oznajmiłam jowialnie, rozpychając się ramionami obok niego, by otworzyć drzwi. — Co cię tu sprowadza?

Wszedł do środka, trzymając wzrok utkwiony w sznurówkach, a ręce w kieszeniach. — W zasadzie to jestem w drodze do Baltimore.

— Jak miło z twojej strony — odparłam, rzucając Nifkinowi surowe spojrzenie w nadziei, że powstrzyma go to przed skokiem na Bruce'a, jego ogon merdał z trzykrotnie większą prędkością. — Chciałem z tobą porozmawiać — przyznał.

— Jak miło z twojej strony — powtórzyłam.

— Zamierzałem ci powiedzieć. Chciałem ci to powiedzieć, zanim o tym przeczytasz — powiedział.

Och, fantastycznie. Czy zamierzałam to też przeżyć i o tym przeczytać? — Przeczytać o tym

gdzie? — zapytałam.

— W *Moxie* — odparł.

— W zasadzie, to *Moxie* nie znajduje się zbyt wysoko na mojej liście rzeczy do czytania — powiedziałam. — Ja już wiem, jak zrobić dobrego loda. Jak sobie możesz przypomnieć.

Wziął głęboki oddech i wiedziałam, co to było, co nastąpi, w sposób, w jaki wyczuwa się zmianę ciśnienia powietrza i wie, że nadciąga burza. — Chciałem ci powiedzieć, że w pewnym sensie widuję kogoś.

— Och, naprawdę? To znaczy, że nie miałeś zamkniętych oczu przez cały wczorajszy wieczór?

Nie śmiał się.

— Jak jej na imię?

— Cannie — zaczął łagodnie.

— Odmawiam uznania, że znalazłeś kolejną dziewczynę o imieniu Cannie. No, mów mi. No. Wiek? Stanowisko? Numer seryjny? — pytałam żartując, słysząc, jak mój głos dobiega z odległości milionów kilometrów.

— Ma trzydzieści jeden lat... jest nauczycielką w przedszkolu. Też ma psa.

— To świetnie — oznajmiłam sarkastycznie. — Założę się, że łączy nas wiele, ale to wiele spraw. Pozwól, niech zgadnę... Założę się, że ma piersi! I włosy!

— Cannie...

I wtedy, bo była to jedyna rzecz, o której mogłam pomyśleć:

— Gdzie chodziła do szkoły?

— Hmm... Montclair State.

Świetnie. Starsza, biedniejsza, bardziej zależna, mniej inteligentna. Umierałam z ciekawości, czy była też blondynką, by zakończyć całość obrazu.

— Czy ją kochasz? — wypaliłam zamiast tego.

— Cannie...

— Mniejsza o to. Przepraszam. Nie miałam prawa cię o to pytać. Przepraszam. — I wtedy, zanim zdołałam się powstrzymać, palnęłam — Czy powiedziałeś jej o mnie?

Przytaknął głową. — Oczywiście, że tak.

— No dobrze, co powiedziałeś? — Uderzyła mnie nagle straszna myśl. — Czy mówiłeś jej o mojej mamie?

Bruce kiwnął głową ponownie, wyglądając na zakłopotanego.

— Dlaczego? Co w tym takiego?

Zamknęłam oczy, przytłoczona nagłą wizją Bruce'a i jego nowej dziewczyny w jego szerokim, ciepłym łóżku, jego ramię obejmujące ją towarzysko, opowiadającego jej moje rodzinne sekrety. „No wiesz, jej mama jest lesbijką” — mówi, a jego nowa dziewczyna kiwa głową w pro-

fesjonalny, mądry, współczujący sposób nauczycielki z przedszkola, cały czas myśląc sobie, jakim ja muszę być dziwakiem.

Z sypialni dobiegały odgłosy dławienia się. — Przepraszam — wymamrotałam i pobiegłam tam, gdzie Nifkin był zajęty zwracaniem ciastka. Posprzątałam bałagan i wróciłam do pokoju dziennego. Bruce stał na wprost mojej kanapy. Nie usiadł, najwyraźniej nie chcąc niczego dotykać. Wystarczyło na niego spojrzeć, bym mogła się domyśleć, że desperacko chciał znaleźć się z powrotem w swoim samochodzie, z otwartymi szybami i rozbrzmiewającym Bruce'em Springsteenem... być z dala ode mnie.

— Czy dobrze się czujesz?

Wzięłam głęboki oddech. Chciałabym, byś był znowu ze mną, pomyślałam. Żałuję, że musiałam tego wysłuchiwać. Żałuję, że kiedykolwiek zerwaliśmy ze sobą. Żałuję, że się w ogóle poznaliśmy.

— Świetnie — odparłam. — Miło mi z twojego powodu.

Znowu milczeliśmy oboje.

— Mam nadzieję, że możemy być przyjaciółmi — powiedział Bruce.

— Nie sądzę — stwierdziłam.

— Dobrze — oznajmił i urwał, a ja wiedziałam, że nie ma mi już nic do powiedzenia, i że chciał usłyszeć tylko jedną rzecz.

A więc ją wypowiedziałam. — Do widzenia, Bruce — powiedziałam, otwarłam drzwi i stałam tam, czekając, aż wyjdzie.

Potem był poniedziałek i byłam z powrotem w pracy, odczuwając mdłości na równi z faktem bycia trwale porzuconą. Przekładałam rzeczy po całym moim stole, bez entuzjazmu czytając pocztę tego dnia, która prezentowała typowy natłok narzekań od Osób Starych, Złych, plus kolekcję gorzkich pocisków od wielbicieli Howarda Sterna, którym nie spodobała się recenzja, jaką napisałam na temat jego ostatniego przedsięwzięcia. Zastanawiałam się właśnie, czy nie odpisać jednym listem tym wszystkim siedemnastolatkom, którzy oskarżali mnie o bycie odrażającą, starą i zazdrosną o Howarda Sterna, i podpisać się „Baba Jaga”, gdy podeszła powoli Gabby.

— Jak poszło z Maxi Jak-Jej-Tam? — zapytała.

— Świetnie — odparłam, posyłając jej mój najlepszy, szyderczy uśmiech.

Gabby uniosła brwi. — Bo słyszałam od dziennikarskich kaczek, że nie udzielała żadnych wywiadów prasie. Tylko telewizji.

— Nie ma powodu do niepokoju.

Ale Gabby wyglądała na zaniepokojoną. Bardzo zaniepokojoną. Prawdopodobnie ustaliła temat Maxi jako główny do jutrzejszej kolumny — tak po prostu, dla czystej przyjemności podkopania mnie — i teraz zamierzała skończyć na przedstawianiu wszystkiego, by zapełnić wolną

przestrzeń. Ale nie było to najmocniejszą stroną Gabby.

— Więc... rozmawiałaś z nią?

— Przez około godzinę — powiedziałam. — Świetny materiał. Naprawdę dobry. Naprawdę uchwyciliśmy to, jak sądzę. — mówiłam, przeciągając słowami torturę. — Myślę, że możemy nawet zostać przyjaciółkami.

Usta Gabby otwarły się szeroko. Widziałam, jak starała się ocenić, czy zapytać mnie wprost o to, czy ktokolwiek wspomniał o jej planowanej rozmowie z Maxi, czy też mieć nadzieję, że ja się o tym nie dowiedziałam.

— Dzięki jednak za pytanie — odparłam słodko. — To tak miło z twojej strony, że tak się o mnie troszczysz. To prawie jak... Jezu!... jakbyś była moją szefową. — Odsunęłam swoje krzesło do tyłu, wstałam i przeszłam obok niej po królewsku, plecy wyprostowane, głowa wysoko w górze. A potem weszłam do toalety i zwymiotowałam. Znowu.

Będąc z powrotem przy moim biurku zaczęłam szukać po omacku w szufladach, desperacko starając się *znaleźć* jakiegoś miętowego cukierka czy gumę do żucia, gdy zadzwonił telefon.

— Sylwetki, Candace Shapiro — powiedziałam roztargniona. Pinezki, wizytówki, trzy rodzaje podkładek pod dokumenty, ale żadnej miętówki. Historia mojego życia, pomyślałam.

— Candace, tu Doktor Krushelevansky z Uniwersytetu Filadelfijskiego — oznajmił głęboki, znajomy głos.

— Och. Och, cześć — powiedziałam. — Co się stało? — zrezygnowałam z poszukiwania w szufladach i zaczęłam szperać w mojej torebce, chociaż już tam wcześniej sprawdzałam.

— Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać — odparł.

To skupiło moją uwagę. — Tak?

— Cóż, wiesz, że ostatnio robiliśmy badanie krwi... — dobrze to pamiętałam. — Pojawiło się coś, co, obawiam się, sprawia, że nie nadajesz się do badań.

Poczułam, jak moje dłonie stają się lodowate. — Co? Co to takiego?

— Wolałbym to przedyskutować z tobą osobiście — powiedział.

Szybko przeleciałam w myślach przez wszystko, co może wykazać test krwi, każda ewentualność gorsza od poprzedniej. — Czy mam raka? — zapytałam. — Czy mam AIDS?

— Nic nie zagraża twojemu życiu — odparł surowo. — I wolałbym nie grać w Dwadzieścia Pytań.

— Więc powiedz po prostu, co jest źle — błagałam. — Wysoki poziom cholesterolu? Hipoglikemia? Skorbut? Podagra?

— Cannie...

— Czy mam krzywicę? O, Boże, tylko nie krzywica. Nie sądzę, że mogłabym znieść bycie grubą i krzywonogą.

Zaczął się śmiać. — Nie masz krzywicy, ale zaczynam myśleć, że mogłabyś mieć syndrom

Tourrette'a. Swoją drogą, skąd ty znasz wszystkie te choroby? Czy masz przed sobą na biurku słownik lekarski?

— Cieszę się, że uważasz to za zabawne — powiedziałam płaczliwym głosem. — Cieszę się, że to dla ciebie forma rozrywki, dzwonić do niewinnych reporterek w środku dnia i oznajmiać im, że coś jest nie w porządku z ich krwią.

— Twoja krew jest w porządku — oznajmił poważnie. — I będę szczęśliwy, jeśli powiem ci, co odkryliśmy, ale wolałbym to zrobić osobiście.

Siedział za swoim biurkiem, gdy weszłam i podniósł się, by mnie przywitać. Po raz kolejny zwróciłam uwagę na to, jak jest wysoki.

— Usiądź — zaproponował. Położyłam mój plecak i torebkę na jednym krześle i rozlokowałam się na drugim.

Rozłożyłam na biurku moje akta. — Jak już ci mówiłem, gdy pobieramy krew, przeprowadzamy standardową serię testów, poszukując uwarunkowań, które mogłyby ewentualnie zdyskwalifikować uczestników badania. Zapalenie wątroby to jedno z nich. AIDS, oczywiście, jest kolejnym.

Przytaknęłam głową, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przejdzie do sedna sprawy.

— Sprawdzamy również ciążę — powiedział. Kiwnęłam znowu głową, myśląc, *no dobrze, ale co wreszcie jest nie tak ze mną?* I wówczas zdałam sobie sprawę. *Ciąża.*

— Ale ja nie jestem... — jękałam się. — To znaczy, ja nie mogę być.

Odwrócił do góry nogami moją kartotekę i wskazał na coś, co było zakreślone na czerwono. — Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł przeprowadzić kolejny test, — oznajmił — ale, ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy bardzo dokładni.

— Ja... nie... — wstałam. Jak to się stało? Byłam zupełnie skołowana. Zatopiłam się z powrotem w fotelu, by pomyśleć. Odstawiłam pigułki po tym, jak zerwaliśmy z Bruce'em, stwierdzając, że minie sporo, sporo czasu, zanim będę znowu potrzebować antykoncepcji i nawet mi przez myśl nie przeszło, że byłam w stadium ryzyka, gdy przekazywał mi telefonicznie te fatalne wieści.

— O Boże — powiedziałam, zrywając się znowu na nogi. Bruce. Muszę znaleźć Bruce'a, muszę mu to powiedzieć, na pewno mnie terazweźmie... mój umysł szeptał: *a co, jeśli nie?* Co, jeśli powie, że to moje zmartwienie, mój problem, że on jest z kimś innym, a ja mam sobie radzić sama?

— Och — jęknęłam, osunęłam się ponownie na krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Było to zbyt okropne, by o tym nawet myśleć. Nie zauważyłam nawet, że Dr K. opuścił pokój, aż do chwili, gdy otworzyły się drzwi i on w nich stanął. W jednej ręce trzymał trzy styropianowe kubki, a w drugiej całą garść śmietanek do kawy i paczuszek z cukrem. Ustawił kubki na biurku przede

mną: herbata, kawa, woda. — Nie byłem pewien, co lubisz — powiedział przeprasząco. Wzięłam herbatę. Otworzył szufladę w biurku i wyjął do połowy opróżniony plastikowy pojemnik z miodem, o kształcie niedźwiadka. — Czy mogę ci jeszcze coś podać? — zapytał uprzejmie. Potrząsnęłam głową.

— Czy chciałabyś na chwilę zostać sama? — spytał, a ja przypomniałam sobie, że była to połowa roboczego dnia, wokół mnie żył cały świat i on pewnie miał inne rzeczy do roboty, wizyty innych, grubych kobiet.

— Pewnie nie robisz tego zbyt często? — zadałam pytanie. — To znaczy, mówisz kobietom, że są w ciąży.

Lekarz wyglądał na zaskoczonego. — Nie — odparł w końcu. — Nie, wydaje mi się, że nie tak często. — Zmarszczył brwi. — Czy zrobiłem coś nieodpowiedniego?

Zaśmiałam się słabo. — Nie wiem. Nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi, że jestem w ciąży, nie mam więc do czego tego przyrównać.

— Przykro mi — spróbował. — Biorę to... za nieoczekiwaną wiadomość.

— Możesz tak to nazwać. — Nagle, przywołałam żywe wspomnienie Tequilowej Eskapady Maxi i Cannie. — O, mój Boże — powiedziałam, wyobrażając sobie, że domniemane dziecko musiało pewnie się przez to urznąć. — Czy wiesz coś na temat alkoholowego syndromu płodu?

— Zaczekaj — odparł. Słyszałam, jak przemieszczał się szybkim krokiem po korytarzu. Wrócił z jakąś książką w rękach. *W oczekiwaniu na dziecko*. — Jedna z pielęgniarek to miała — wytłumaczył. Przerzucił kartki na indeks. — Strona 52 — oznajmił i podał mi książkę. Przeleciałam pobieżnie po wytłuszczonych akapitach i dowiedziałam się, że zasadniczo, pod warunkiem, że rzucę od razu picie, wszystko powinno być dobrze. Zakładając oczywiście, że chcę, by wszystko było w porządku. A ja, w tej właśnie chwili, nie miałam pojęcia, czego chciałam. Za wyjątkiem oczywiście faktu, że absolutnie nie znajdować się w takiej sytuacji.

Odłożyłam książkę na biurko i pozbierałam swoje *rzeczy*, plecak i torebkę. — Sądzę, że powinnam już iść — powiedziałam.

— Czy chciałabyś przeprowadzić jeszcze jeden test? — zapytał.

Potrząsnęłam głową. — Zrobię jeden w domu, tak sądzą, i wtedy ocenię... — zamknęłam usta. Tak naprawdę, to nie wiedziałam, co mogłabym ocenić.

Wyciągnął książkę z powrotem w moim kierunku. — Czy chciałabyś jeszcze to mieć? Na wypadek, gdybyś miała jakieś inne pytania?

Jest dla mnie taki miły, pomyślałam. Dlaczego on jest tak miły dla mnie? Pewnie to szalony obrońca życia poczętego, pomyślałam z pogardą, próbujący przekonać mnie do zachowania ciąży, oferując mi bezpłatne napoje i poradniki.

— Czy pielęgniarka nie będzie chciała jej z powrotem? — spytałam.

— Ona już urodziła dzieci — odparł beztróska. — Jestem pewien, że nie będzie miała nic

przeciwko temu. Możesz spokojnie ją sobie zabrać. — Odchrząknął. — Co się natomiast tyczy badań... — zaczął. — Jeśli wybierzesz utrzymanie ciąży, nie będziesz mogła w nich, oczywiście, uczestniczyć.

— Żadnych marnych tabletek?

— Nie wolno ich używać kobietom w ciąży.

— Mogłabym zatem zostać waszą świnką morską — zaproponowałam, czując, że balansuję na krawędzi hysterii. — Może będę miała naprawdę szczupłe dziecko. Byłoby niezłe, prawda?

— Cokolwiek zrobisz, daj mi znać — powiedział, wpychając do książki wizytówkę. — Upewnię się, żebyś dostała całkowity zwrot pieniędzy, jeśli zdecydujesz się nie kontynuować naszego kursu.

Pamiętałam bardzo wyraźnie, że gdzieś w pliku formularzy, które wypełniałam pierwszego dnia, była jakaś adnotacja, że nie ma żadnych zwrotów pieniędzy. Zwariowany obrońca życia poczętego jak nic, pomyślałam i wstałam, zakładając na ramiona mój plecak.

Spojrzał na mnie w miły sposób. — Posłuchaj, jeśli będziesz chciała o tym porozmawiać... albo jeśli będziesz miała jakiegokolwiek inne medyczne pytania, będę szczęśliwy mogąc ci pomóc.

— Dzięki — wymamrotałam. Moja dłoń była już na gałce drzwi.

— Dbaj o siebie, Cannie — powiedział. — I zadzwoń do nas, tak czy tak.

Przytaknęłam ponownie głową, przekręciłam gałką i otwierałam drzwi.

Przez całą drogę do domu robiłam z Bogiem zakłady, w taki sam sposób, w jaki wymyślałam listy do fana Celine Dion, biednego Pana Deiffingera, najmniej istotnego z moich obecnych problemów. Dobry Boże, jeśli sprawisz, że nie będę w ciąży, zgłoszę się jako wolontariuszka do schroniska dla zwierząt i hospicjum chorych na AIDS, i już nigdy nie napiszę nic paskudnego o kimkolwiek. Będę lepszą osobą. Będę wszystko robić tak jak trzeba, będę chodzić do synagogi i to nie tylko w wielkie święta, nie będę podła i krytyczna, będę miła dla Gabby, tylko proszę, proszę, proszę, nie pozwól, by to się mi przydarzyło.

W aptece na Południowej Ulicy kupiłam dwa testy, w białych, tekturowych opakowaniach z rozpromienionymi przyszłymi mamami i obsikałam sobie całą dłoń podczas robienia pierwszego z nich, tak mocno cała drżałam. Już wtedy jednak byłam przekonana o najgorszym, tak że nie musiałam czekać na pojawienie się dodatkowego znaku na pałeczce, który by mi powiedział to, czego wcześniej już się dowiedziałam od Dr Krushelevsky'ego.

— Jestem w ciąży — powiedziałam do lustra i udałam uśmiech, podobny do tego, który zrobiła kobieta na opakowaniu.

— W ciąży — poinformowałam Nifkina późnym wieczorem, gdy skakał po mnie i lizał mi twarz w domu Samanty, gdzie go przechowywałam, gdy byłam w pracy. Samanta miała dwa własne psy, plus duży, ogrodzony teren oraz drzwi dla psów, dzięki którym te mogły wchodzić i

wychodzić, kiedy tylko chciały. Nifkin nie był zwariowany na punkcie jej psów, Daisy i Mandy — podejrzewam, że on bardziej wolał towarzystwo ludzi niż zwierząt — ale był wielkim fanem doskonałej potrawy z ryżu i baraniny, którą serwowała Samanta, i tak, dla równowagi, zdawał się być szczęśliwy z przebywania w jej domu.

— Co mówiłaś? — Samanta krzyknęła z kuchni.

— Jestem w ciąży — odkrzyknęłam do niej.

— Co?

— Nic — wrzasnęłam. Nifkin usiadł mi na kolanach, zaglądając poważnie w moje oczy.

— Usłyszałaś mnie, prawda? — wyszeptałam. Nifkin polizał mój nos i wtulił się mocno we mnie.

Samanta weszła do pokoju dziennego, wycierając dłonie. — Mówiłaś coś?

— Powiedziałam, że jadę do domu na Dzień Dziękczynienia.

— Znowu lesbijski indyk? — Samanta zmarszczyła nos. — Czy nie mówiłaś mi, że dostałam ścisłe polecenie spoliczkowania cię, jeśli kiedykolwiek wspomnisz o spędzeniu kolejnych świąt razem z Tanią?

— Jestem zmęczona — powiedziałam jej. — Jestem zmęczona i chcę jechać do domu.

Usiadła blisko mnie. — O co naprawdę chodzi?

Chciałam tak bardzo jej wtedy powiedzieć, po prostu odwrócić się do niej i zrzucić to wszystko z siebie, powiedzieć jej, by mi pomogła i doradziła, co robić. Ale nie potrafiłam. Jeszcze nie teraz. Potrzebowałam czasu na przemyślenia, by poznać własne zdanie, zanim zacznę chór. Wiedziałam, jakiej udzieliłaby mi rady. Byłoby to to samo, co ja bym jej powiedziała, gdyby znalazła się w takiej samej sytuacji: młoda, samotna, ze wspaniałą karierą, uziemiona przez faceta, który nawet nie odpowiada na jej telefony. Wystarczy jedno popołudnie za pięćset dolarów u lekarza, kilka dni skurczów i płaczu, i po wszystkim.

Ale zanim miałam iść po oczywiste, potrzebowałam trochę czasu, nawet kilka dni. Chciałam jechać do domu, nawet jeśli dom już dawno przestał być szczęśliwym schronieniem, a stał się czymś zbliżonym do safickiej wspólnoty.

To nie było takie trudne. Zadzwoiłam do Betsy, która powiedziała, bym wzięła tyle wolnego, ile mi potrzeba. — Masz jeszcze trzy tygodnie urlopu, pięć dni, które jeszcze ci zostały z zeszłego roku, plus wolne za Nowy Jork — zostawiła wiadomość na mojej domowej, automatycznej sekretarce. — *7, yczq* ci Szczęśliwego Dnia Dziękczynienia i do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Wysłałam do Maxi e-maila. „Coś się wydarzyło... niestety, nie to, na co miałam nadzieję”, pisałam, „Bruce spotyka się z przedszkolanką. A ja mam złamane serce i jadę do domu jeść wysuszonego indyka i dać mamie możliwość wyrażenia mi współczucia”.

„Zatem, powodzenia”, odpisała natychmiast, mimo iż musiała tam być trzecia nad ranem. „I

nie przejmuj się przedszkolanką. Ona jest obiektem przejściowym. Takie nigdy nie trwają. Zadzwoń albo napisz, gdy będziesz w domu... Będę znowu w Stanach na wiosnę.”

Odwołałam obcinanie włosów, przełożyłam kilka telefonicznych wywiadów, załatwiłam z sąsiadami odbiór mojej poczty i gazet. Nie zadzwoniłam do Bruce’a. Jeśli postanowiłabym nie mieć tego dziecka, nie byłoby powodu, dla którego miałby o tym wiedzieć. W tym stadium naszej nie-znajomości, nie mogłam go sobie za bardzo wyobrazić siedzącego obok mnie w klinice, trzymającego mnie czule za rękę. Jeśli rzeczywiście pozostałabym w ciąży... cóż, spaliłabym ten most, gdyby do tego przyszło, jak sądzę.

Do tylnej części mojej małej, niebieskiej hondy zamontowałam stelaż, do niego mój górski rower, włożyłam Nifkina do jego podróźnej skrzyni i wrzuciłam torbę do bagażnika. Gotowa czy nie, jechałam do domu.

CZEŚĆ TRZECIA

Idę pływać

Rozdział X

Latem pomiędzy moim trzecim a czwartym rokiem w Princeton odbywałam praktykę w *Village Vanguard*, najstarszym i najbardziej zmanierowanym z alternatywnych tygodników w naszym kraju.

To były paskudne trzy miesiące. Z jednej strony, było to najgorętsze od lat lato. Manhattan się gotował. Każdego ranka zaczynałam się pocić już w momencie, gdy wychodziłam spod prysznicza, pociłam się podczas jazdy metrem do centrum i zasadniczo pociłam się przez cały dzień.

Pracowałam dla okropnej kobiety o imieniu Kiki. Miała 150 centymetrów wzrostu i była gruba, z włosami farbowanymi henną i okularami z połówkami szkieł typu sklepowego oraz ciągle nachmurzoną miną. Letnim mundurkiem Kiki była spódniczka mini w parze z długimi do ud botkami z zamszu albo, alternatywnie, najbardziej hałaśliwe na świecie chodaki plus obcisły T-shirt reklamujący rumuńską restaurację Sammy’ego lub kolekcję Gymboree dla skautów chłopięcych, czy też jeszcze coś innego, tak kwadratowego, że aż przygnębiająco.

Na początku Kiki zmyliła mnie. Biodrówki miały sens, a jej fatalne zachowanie było zgodne z linią *Vanguarda*, ale nie potrafiłam rozszyfrować, kiedy udawało się jej wykonywać pracę. Przychodziła do pracy późno, wychodziła wcześniej, a pomiędzy tym brała jeszcze dwie godziny na lunch i zdawała się spędzać większość swojego służbowego czasu na rozmowach telefonicznych z kadrą jednoznacznie brzmiących przyjaciół. Swoją kącik w redakcji oddzieliła niskim, białym płótkiem, na którym ironicznie poprzyczepiała tabliczki, z rodzaju tych imiennych, które w całości tworzyły napis „redaktor współpracujący”. I podczas gdy współpracowała z wieloma, nigdy nie widziałam, by sama coś redagowała.

Jednakowoż była mistrzem w przydzielaniu najbardziej nieprzyjemnej, czarnej roboty. — Myślę o kobietach i morderstwach — oznajmiła pewnego wtorkowego popołudnia, leniwie popijając swoją mrożoną kawę, gdy ja stałam przed nią, pocąc się. — Dlaczego nie miałabyś sprawdzić, co o tym napisaliśmy?

Był to rok 1991. Poprzednie wydania *Vanguarda* nie były przechowywane na żadnym nośniku, ani nawet na mikrofilmie, ale w wielkich, zakurzonych, rozwalających się, powiązanych stosach, z których każdy ważył co najmniej dziesięć kilo. Te stosy rozstawione były wzdłuż korytarza łączącego biura felietonistów z płodnymi piórami metalowych krzeseł i biurk pokierszowa-

nych papierosami, służących jako miejsca pracy pomniejszych luminarzy *Vanguarda*. Spędziłam całe dni na zwlekaniu z półek tych stosów, wlokąc je najpierw do mojego biurka, następnie do kserokopiarki, przez cały czas starając się uniknąć alkoholowego oddechu i wędrujących rąk wybitnych, narodowych aktywistów, bojowników broni, których biura mieściły się zaraz obok półek ze stosami i których najlepszym, letnim hobby zdawało się być niby przypadkowe, ale celowe ocieranie się o boki moich piersi, wtedy, gdy moje ręce załadowane były stertami gazet.

To było coś strasznego. Po dwóch tygodniach zrezygnowałam z metra i zaczęłam jeździć autobusem. Mimo że podróż trwała dwukrotnie dłużej i było tak samo gorąco, trzymało mnie to z dala od piekielnej, cuchnącej pułapki, jaką stała się stacja przy ulicy 116. Pewnego popołudnia, na początku sierpnia, siedziałam w autobusie linii M140, pilnując swego nosa i pocąc się jak zwykle, kiedy, właśnie w chwili, gdy autobus przejeżdżał obok Billy'ego Toplessa, usłyszałam bardzo cichy, doskonale opanowany głos, który zabrzmiał, jakby dochodził dokładnie z podstawy mojej czaszki.

— *Wiem, dokąd zmierzasz* — powiedział głos. Włosy na moich rękach i karku stanęły dęba. Po ciele przeszły mi ciarki i nagle poczułam okropny ziąb, byłam całkowicie przekonana, że to, co usłyszałam, nie było... ludzkie. Głos ze świata duchów, mogłabym powiedzieć tego lata, nasmiewając się z moimi przyjaciółmi. Ale tak naprawdę, to pomyślałam, że był to głos Boga.

Oczywiście, nie był to Bóg, tylko Ellyn Weiss, mały, dziwny, dwu-płciowo wyglądający pisarz współpracujący z *Village Vanguard*, który usiadł za mną i zdecydował się powiedzieć „Wiem, dokąd zmierzasz” zamiast zwykłego „Cześć”. Ale ja w głębi duszy pomyślałam sobie, że jeśli kiedykolwiek miałabym usłyszeć głos Boga, brzmiałby on dokładnie w ten sposób: jak nieomylny głos sumienia.

Gdy usłyszysz już głos Boga, to wszystko się zmienia. Tego dnia, kiedy to wybitny aktywista-bojownik broni poruszał palcami przy mojej prawej piersi przemieszczając się do swojego biura, niby przypadkowo, ale celowo upuściłam na jego stopę rocznik 1987. — Tak mi przykro — powiedziałam słodko jak cukierek, gdy on zmienił kolor na ten, jaki ma brudne prześcieradło i pokuśtykał jęcząc cicho do siebie, nie zamierzając mnie już nigdy dotknąć. A kiedy Kiki oznajmiła mi: — Myślę o kobietach i mężczyznach, i o tym, jak są różni od siebie — i zapytała, czy mogłabym zacząć wertować strony, skłamałam jej prosto w twarz. — Mój uczelniany doradca mówi, że nie otrzymam zapłaty za tę pracę, jeśli wszystko, co każesz mi robić, to robienie kserokopii — powiedziałam. — Jeśli ty nie możesz mnie wykorzystać, jestem pewna, że redaktorzy wydania mogą.

— I tego samego popołudnia wymknęłam się diabelskim pazurom Kiki i spędziłam resztę lata na pisaniu nagłówków i wychodzeniu na tanie drinki z moimi nowymi kolegami, jakich pozyskałam spośród redaktorów wydania.

Teraz, siedem lat później, siedziałam z nogami skrzyżowanymi na letnim stolyczku, z twarzą

zwróconą do listopadowego słońca i rowerem zaparkowanym obok, czekając na to, by ponownie usłyszeć ten głos. Czekając na Boga, by zwrócił na mnie uwagę, gdy siedziałam w centrum Stanowego Parku Pennwood w południowej Pensylwanii, osiem kilometrów od domu, w którym dorastałam. Boga, który spojrzałby w dół na mnie i zaintonował albo *Zachowaj dziecko*, albo *Zadzwoń do Planowanego Rodzicielstwa*.

Wyciągnęłam do przodu nogi, uniosłam ramiona ponad głowę, wciągając powietrze nosem, wypuszczając je ustami, w sposób, w jaki zalecił mi przyjaciel Samanty, instruktor jogi, by pozbyć się z układu krwionośnego wszelkich zanieczyszczeń i zwiększyć jasność myślenia. Jeśli to wydarzyło się tak, jak mi się wydawało — to *znaczy*, jeśli zaszłam w ciążę wtedy, gdy po raz ostatni byłam z Bruce'em — byłabym w ósmym tygodniu. Jak duże już było, zastanawiałam się? Rozmiaru koniuszka palca, gumki do ołówków, kijanki?

Zadecydowałam, że dam Bogu jeszcze dziesięć minut, kiedy coś usłyszałam.

— Cannie?

Ugh. To z pewnością nie był boski głos. Poczułam, jak mój stolik się przechyliła, gdy znalazła się na nim Tania, ale trzymałam oczy zamknięte, mając nadzieję, że może, chociaż raz, jeśli ją zignoruję, ona sobie pójdzie.

— Czy coś nie tak?

Głupia ja. Wciąż zapominałam, że Tania była uczestnikiem całego Wylęgu grup terapeutycznych: jednej dla rodzin alkoholików, drugiej dla osób molestowanych seksualnie, trzeciej nazywanej: *Nigdy Więcej Współzależności!*, z wykrzyknikiem będącym częścią nazwy. Pozostawienie mnie sobie samej nie było nawet możliwe. Tania była gotowa do interwencji.

— Mogłoby ci pomóc, gdybyś o tym porozmawiała — zagrzmiała, zapalając papierosa.

— Mmm — odparłam. Nawet z przymkniętymi oczyma mogłam poczuć, że mnie obserwuje.

— Wyrzucili cię z pracy — oznajmiła nagle.

Wbrew sobie, moje oczy otwarły się natychmiast. — Co?

Tania wyglądała na przesadnie zadowoloną z siebie. — Zgadłam, prawda? Ha! Twoja mama winna mi jest dziesięć dolców.

Z powrotem oparłam się wygodnie na plecach, odganiając od siebie dym z jej papierosa, czując w sobie rosnące zirytywanie. — Nie, nie zostałam wylana.

— Czy to Bruce? Czy stało się coś innego?

— Tania, ja naprawdę nie mam ochoty o tym dyskutować właśnie teraz.

— Bruce, uhu? — powiedziała ponuro Tania. — Cholera.

Usiadłam ponownie. — Czemu cię to denerwuje?

Wzruszyła grubymi ramionami. — Och, twoja mama uważała, że to chodzi o coś pomiędzy tobą a Bruce'em, więc jeśli ona ma rację, ja muszę jej zapłacić.

No świetnie, pomyślałam. Moje biedne życie zostało zredukowane do serii dziesięciodolaro-

wych zakładów. Łzy nadeszły mi szybko do oczu. Wydawało się, że w tych dniach byle powód sprawiał, że płakałam, począwszy od mojej nędznej sytuacji, kontynuując bezlitośnie poprzez opowieści o ludzkich kłopotach, opisywanych w sekcji Style Życia w *Examinerze*, a skończywszy na reklamówkach zupek Campbella.

— Sądzę, że widziałaś jego ostatni artykuł, hę? — spytała Tania.

Widziałam go. „Miłość, ponownie” brzmiał jego tytuł, w grudniowym wydaniu, który trafił do kiosków dokładnie w porę, by wystarczająco zepsuć mi Święto Dziękczynienia.

„Wiem, że powinienem skupić się na E., na niej samej”, pisał.

Wiem, że błędem byłoby porównywać. Ale nie ma sposobu na uniknięcie tego. Po tej Pierwszej wydaje się, że następna kobieta jest, koniecznie, tą Drugą. Przynajmniej na początku, przynajmniej przez jakiś czas. A E. jest w każdym calu różna od mojej pierwszej miłości: niska, podczas gdy tamta była wysoka, szczupła i delikatna, gdy tamta szerokai solidnie zbudowana, słodka, gdy tamta gorzko, zjadliwie zabawna.

— Lekarstwo — mówią mi przyjaciele, kiwając głowami jak sędziwi rabinowie, a nie jak dwudziestodziewięcioletni praktykanci czy świeżo upieczeni absolwenci. — Ona jest dla ciebie lekarstwem. — Ale co w tym złego, ja się pytam? Jeśli była pierwsza i nie wyszło, to musi być druga, następna, kolejna, nowa. Ostatecznie, trzeba posunąć się do przodu.

Jeśli pierwsza miłość była jak poznawanie nowego kontynentu, myślę, że druga to jak przeprowadzka do nowego sąsiedztwa. Wiesz już, że będą ulice i domy. Teraz masz przyjemność poznawania, jak te domy wyglądają od wewnątrz, jak te ulice odczuwać pod stopami. Znasz zasady, podstawowy zasób słownictwa: telefony, czekoladki na Walenryunki, jak pocieszyć kobietę, gdy mówi ci, co się nie udało w danym dniu, w jej życiu. Teraz możesz się dobrze dostroić. Znajdujesz dla niej przezwisko, odkrywasz, jak lubi być trzymana za rękę, poznajesz rozkoszne miejsce tuż poniżej linii szczęki...

Tak daleko zdołałam dojść, zanim musiałam biec do toalety na drugie już tego dnia rzyganie. Sama myśl o Bruce’ie całującym kogoś innego w rozkoszne miejsce poniżej linii szczęki — nawet myśl o nim zauważającym coś takiego — wystarczała, by mój przewrażliwiony teraz żołądek doprowadzić do buntu. On już mnie nie kocha. Musiałam sobie wciąż to powtarzać i za każdym razem, gdy myślałam te słowa, było tak, jakbym słyszała je po raz pierwszy, wszystkie dużymi, pochyłymi literami, wygrzmiane przez faceta, robiącego narrację dla zwiastuna filmowego: *ON JUŻ MNIE NIE KOCHA*.

— To musi być trudne — dumiała Tania.

— To jest absurdalne — warknęłam. I naprawdę, cała ta sytuacja była dość absurdalna. Po

trzech latach opierania się jego pretekstom, ofertom, desperackim zanudzaniom i dwukrotnym na tydzień proklamacjom, że byłam jedyną kobietą, której kiedykolwiek pragnął, teraz byliśmy osobno, ja w ciąży, a on znalazł sobie kogoś innego, i ja, najprawdopodobniej nigdy już go nie zobaczę. (*Nigdy* było słowem, które słyszałam w głowie wiele razy: *Nigdy już nie obudzisz się obok niego*, albo *Nigdy nie będziesz z nim rozmawiała przez telefon!*)

— Więc, co zamierzasz zrobić? — zapytała.

— Oto jest pytanie — odparłam, zrywając się nagle ze stolika, wskakując na rower, obierając kierunek do domu. Mimo że nie czułam się już w nim jak w domu i nie byłam pewna, dzięki inwazji Tani, czy kiedykolwiek się jeszcze tak pocuję.

Im mniej wiesz o życiu seksualnym swoich rodziców, tym lepiej. Pewnie, możesz się domyśleć, że musieli to zrobić przynajmniej raz, by cię począć, a potem może jeszcze kilka razy, jeśli masz braci i siostry, ale to była prokreacja, to był obowiązek; i myśl o nich, używających swoich różnych otworów i przyrządów dla zabawy, dla przyjemności — krótko mówiąc, w sposób, w jaki ty, ich dziecko, pragniesz użyć swoich — wywoływała w tobie tylko obrzydzenie. Zwłaszcza, jeśli przeżywali ten rodzaj modnej miłości ostatniego stadium rozwoju, która była bardzo popularna w późnych latach dziewięćdziesiątych. Nie musisz wiedzieć o tym, że twoi rodzice uprawiają miłość, a zwłaszcza nie musisz wiedzieć o tym, że ich seks jest bogatszy od twojego.

Niestety, dzięki motywacyjnym szkoleniom Tani i mojej mamie, będącej niewrażliwą na czyjeś uczucia, otrzymałam całą opowieść.

Zaczęło się od tego, że któregoś dnia mój brat, Josh, przyszedł z college'u i grzebał w łazience mamy w poszukiwaniu obcinaka do paznokci, gdy znalazł małą stertę kart okolicznościowych Hallmarka — takich jak te z abstrakcyjnymi, wodnymi kolorami ptaków i drzew na pierwszej stronie i kwiecistymi, wykaligrafowanymi życzeniami wewnątrz. „Myśląc o Tobie” — mówiła pierwsza strona jednej z nich, a wewnątrz, pod rymowanym dwuwierszem, ktoś dopisał, „Anno, po trzech miesiącach ogień wciąż płonie gorący.” Brak podpisu.

— Sądzę, że one są od tej kobiety — powiedział Josh.

— Jakiej kobiety? — zapytałam.

— Tej, która tu mieszka — odparł Josh. — Mama mówi, że jest jej trenerem od pływania.

Trenerem od pływania? Pierwszy raz o tym słyszałam.

— To pewnie nic takiego — powiedziałam Joshowi.

— To pewnie nic takiego — powiedział mi Bruce, kiedy rozmawiałam z nim tej nocy.

I tak też ja zaczęłam rozmowę z moją mamą, kiedy zadzwoniła do pracy dwa dni później: — To pewnie nic takiego, ale...

— Tak? — zapytała mama.

— Czy jest ktoś, hmm... kto tam... mieszka?

— Moja trenerka pływacka — odparła.

— No wiesz, olimpiada była w zeszłym roku — powiedziałam, podejmując grę.

— Tania jest moją przyjaciółką z Centrum Żydowskiej Wspólnoty. Ona jest tak jakby pomiędzy wynajmem kolejnego mieszkania, więc zatrzymała się w pokoju Josha na kilka dni.

To brzmiało lekko podejrzenie. Mama nie miała przyjaciół, którzy żyliby samotnie w mieszkaniach, zatrzymując się tak po prostu na noc, ponieważ oczekiwali na nowe lokum. Ale zostawiłam to, aż do następnego razu, gdy zadzwoniłam do domu i jakiś nieznany głos odebrał telefon.

— Hlo? — burknął obcy głos. Było niemożliwym, na początku, odgadnąć, czy mówiłam do kobiety, czy do mężczyzny. Ale ktokolwiek to był, brzmiało to, jakby wstał właśnie z łóżka, mimo iż była ósma, w piątkowy wieczór.

— Przepraszam — powiedziałam grzecznie. — Sądzę, że wybrałam zły numer.

— Czy to Cannie? — zażądał głos.

— Tak. Kto mówi, proszę?

— Tania — odparła dumnie. — Jestem przyjaciółką twojej mamy.

— Och — odparłam. — Och. Cześć.

— Twoja mama wiele mi opowiedziała o tobie.

— Cóż... to... dobrze — powiedziałam. W mojej głowie się pieniało. Kim była ta osoba i z jakiej racji odpowiadała ona na telefony?

— Ale nie ma jej w tej chwili tutaj — ciągnęła Tania. — Gra w brydża. Ze swoją grupą brydżową.

— W porządku.

— Czy chcesz, żeby oddzwoniła do ciebie?

— Nie — odparłam. — Nie, nie ma potrzeby.

To był piątek. Nie rozmawiałam z mamą, aż zadzwoniła do mnie w poniedziałkowe popołudnie do pracy.

— Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć? — spytałam ją, spodziewając się, że odpowie mi jakąś wariację na „Nie”. Zamiast tego wzięła głęboki oddech.

— Cóż, no wiesz, Tania... moja przyjaciółka? Ona jest... cóż. Jesteśmy w sobie zakochane i mieszkamy razem.

Co mogłam odpowiedzieć? Subtelność i dyskrecja istniały w naszej rodzinie.

— Muszę kończyć — powiedziałam i odłożyłam telefon.

Całą resztę popołudnia spędziłam wpatrując się bezmyślnie w przestrzeń, która, wierzcie mi, nic nie miała do dodania do mojego artykułu o nagrodach MTV Music Video Awards. W domu były trzy wiadomości na mojej automatycznej sekretarce: jedna od mojej mamy („Cannie, zadzwoń do mnie, musimy porozmawiać”); druga od Lucy („Mama powiedziała, że muszę do ciebie zadzwonić i nie powiedziała dlaczego”); i trzecia od Josha („A nie mówiłem!”).

Wszystkie zignorowałam, robiąc zamiast tego obławę na Samantę, by ją wyciągnąć na deser

nagłej potrzeby i sesję poświęconą strategii działania. Poszłyśmy do baru za rogiem, gdzie zamówiłam tequile i kawałek czekoladowego ciasta z sosem malinowym. Wtedy, wzmocniona, powiedziałam jej o tym, co mi oznajmiła mama.

— O rety — wymamrotała Samanta.

— Dobry Boże! — przyznał Bruce, kiedy to samo opowiedziałam jemu tej nocy. Ale nie trwało długo, zanim wstępny szok przemienił się w... cóż, nazwijmy to zszokowanym rozbawieniem. Z dużą pomocą jego łaskawości. Do chwili, gdy dotarł do moich drzwi, był w pełnym rozkwicie liberalizmu. — Powinnaś być zadowolona, że odnalazła swoją miłość — wykladał.

— Jestem — odparłam powoli. — To znaczy, zdaje mi się, że jestem. Tylko, że...

— Zadowolona — powtórzył. Potrafił stawać się trochę nieznośny, gdy przychodziło do nabijania się z komputerowych „party line” i wymawiania z przesadą przekonań, które funkcjonowały praktycznie obowiązkowo w latach dziewięćdziesiątych wśród absolwentów uczelni na Północnym Wschodzie. Przez większość czasu puszczałam mu to płazem. Ale tym razem nie zamierzałam pozwolić mu na to, bym poczuła się jak bigotka, czy też mniej otwarta i zdolna zaakceptować, niż on. Tym razem to była sprawa osobista.

— Ilu masz przyjaciół homoseksualistów? — zapytałam, chociaż wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

— Żadnego, ale...

— Żadnego, o którym byś wiedział — zaczęłam mówić i przerwałam, pozwalając, by to w niego wsiąknęło.

— Co masz na myśli? — zapytał.

— Mam na myśli to, co powiedziałam. Żaden, o którym byś wiedział.

— Sądzisz, że któryś z moich przyjaciół jest gejem?

— Bruce, ja nawet nie wiedziałam, że moja mama jest lesbijką. Jak możesz spodziewać się, bym miała jakikolwiek wgląd w seksualność twoich przyjaciół?

— Och — przyznał, zmiękczone.

— Chcę ci zwrócić uwagę na to, że tak naprawdę nie znasz żadnego homoseksualisty. Więc jak możesz zakładać, że jest to tak kapitalne dla mojej mamy? Że powinnam być z tego powodu szczęśliwa?

— Ona jest zakochana. Jak to może być czymś złym?

— Ale co powiesz o tej drugiej osobie? A co, jeśli ona jest okropna? Co, jeśli... — zaczęłam płakać, w miarę jak okropne obrazy pojawiały się w mojej głowie. — Co, jeśli, nie wiem, spacerują sobie razem gdzieś i ktoś ich widzi, i... i rzuca im w głowy butelką po piwie czy czymś takim...

— Och, Cannie...

— Ludzie są podli! O to mi chodzi! Nie to, że jest coś złego w tym, że ktoś jest gejem, ale

ludzie są podli... i lubią osądzać... i są zepsuci... i, i wiesz, jakie jest moje sąsiedztwo! Ludzie nie pozwolą swoim dzieciom bawić się w naszym domu, czy nas po prostu odwiedzać... — Oczywiście, prawdą było, że nikt nie pozwalał swoim dzieciom odwiedzać nas już od roku 1985, kiedy to mój ojciec rozpoczął swój zjazd w dół zbocza zaniedbując prace na podwórzu i nawiązując kontakt ze swoim wewnętrznym artystą. Przyniósł ze szpitala do domu skalpel i przemienił pół tuzina dyń w prowokująco dokładne wizerunki członków najbliższej rodziny mamy, włącznie z prawdziwie odrażającą dynią Ciotki Lindy, którą umieścił na naszym ganku, uwieńczywszy najpierw jej czubek platynową blond peruką, jaką zwędził ze szpitalnego biura rzeczy znalezionych. Ale prawdą było, że Avondale nie było specjalnie zintegrowaną społecznością. Żadnych czarnych, kilku Żydów, i żadnych otwarcie się do tego przyznających homoseksualistów, o których bym wiedziała.

— Więc kto się przejmuje tym, co ludzie mówią?

— Ja — szlochałam. — To znaczy, to miłe mieć ideały i nadzieję, że sprawy się zmieniają, ale musimy żyć w świecie takim, jaki jest, a świat jest... jest...

— Dlaczego płaczesz? — spytał Bruce. — Czy martwisz się o swoją mamę, czy o siebie? — Oczywiście, do tego czasu zdążyłam się już tak rozryczeć, że nie byłam w stanie odpowiedzieć, a pojawiła się też śluzowa sytuacja, która wymagała natychmiastowej interwencji. Nakryłam nos rękawem i wydmuchałam go hałaśliwie. Gdy spojrzałam w górę, Bruce wciąż mówił. — Twoja mama dokonała wyboru, Cannie, i jeśli jesteś dobrą córką, powinnaś ją w tym wspierać.

No, ładnie. Łatwo mu się mówi. To nie było tak, jakby Zawsze Gustowna Audrey oznajmiła podczas jednej z jej czterodaniowych, ko-szernych obiadokolacji, że zdecydowała się, że tak po-wiem, zaparkować po przeciwnej stronie ulicy. Założę się o tygodniówkę, że Zawsze Gustowna Audrey nigdy nie widziała pochwy innej kobiety. Prawdopodobnie nigdy nie widziała swojej własnej.

Myśl o mamie Bruce'a, leżącej w ich dwuosobowej wannie z hy-dromasażem, dyskretnie dotykającej swoich intymnych części ciała pod egipskim ręczniczkiem utkanym z grubej przędzy, rozbawiła mnie na tyle, że się lekko zaśmiałam.

— No widzisz? — skomentował Bruce. — Musisz to po prostu jakoś przetrwać, Cannie.

Zaśmiałam się nawet bardziej. Po wypełnieniu swojego obowiązku jako mojego chłopaka, Bruce zmienił biegi. Jego głos obniżył się z za-troskano-doradczo-mentorskiego na bardziej intymny. — Chodź tu, dziewczynko — wymamrotał głosem Lionela Richie, gdy skinął ręką zapraszając mnie do siebie, czule całując mnie w czoło i mniej czule zrzucając Nifkina z łóżka. — Pragnę cię — powiedział i umieścił moją dłoń na swoim kroczu, bym nie miała żadnych wątpliwości.

No i tak poszło.

Bruce wyszedł o północy. Zapadłam w niespokojny sen i obudziłam się następnego poranka,

po tym, jak przy mojej poduszce rozległ się przeraźliwy dźwięk telefonu. Odkleiłam jedną powiekę. 5:15. Odebrałam telefon. — Halo?

— Cannie? Tu Tania.

Tania?

— Przyjaciółka twojej mamy.

O Boże. Tania.

— Cześć — odparłam słabym głosem. Nifkin wpatrywał się we mnie, jakby pytając, o co chodzi? Po czym wydał z siebie pełne dezaprobaty prychnięcie i ułożył się z powrotem na poduszce. Tymczasem Tania mówiła z szybkością błyskawicy.

— ...wiedziałam od pierwszego naszego spotkania, że ona mogłaby coś do mnie czuć...

Zmusiłam się do wyprostowania i po omacku sięgnęłam po mój dziennikarski notes. Było to na tyle dziwne, że należało to zarejestrować dla potomności. Do zakończenia naszej rozmowy wypełniłam dziewięć stron, byłam już spóźniona do pracy i dowiedziałam się wszystkich szczegółów o życiu Tani. Usłyszałam, jak była molestowana przez nauczyciela gry na pianinie, jak jej mama zmarła na raka piersi, gdy była młoda („radziłam sobie z bólem pijąc alkohol”), i jak jej ojciec poślubił niezbyt miłą panią redaktor od książek, która odmówiła płacenia Tani czesnego za Green Mountain Valley Community College („mają trzeci najlepszy w Nowej Anglii program do terapii sztuką”). Dowiedziałam się, jak miała na imię pierwsza miłość Tani (Marjorie), jak wylądowała w Pensylwanii (praca), i jak była w trakcie kończenia siedmioletniej znajomości z kobietą o imieniu Janet. — Ona jest bardzo współzależna — zwierzyła się Tania. — I może także obsesyjnie obowiązkowa. — W tym momencie wycofałam się do całkowicie reporterskiego zachowania i nie mówiłam nic, oprócz „Uh-huh” albo „Rozumiem”.

— Wyprowadziła się — oznajmiła.

— Uh-huh — odparłam.

— I ja poświęciłam się tkaniu.

— Rozumiem.

A potem było o tym, jak poznała moją mamę (namiętne spojrzenia w damskiej kabinie w saunie — już miałam odłożyć słuchawkę), dokąd poszły na pierwszą randkę (tajskie jedzenie), i o tym, jak Tania przekonała moją mamę, że jej lesbijskie skłonności były czymś więcej niż tylko przemijającą fantazją.

— Pocałowałam ją — powiedziała dumnie Tania. — A ona próbowała odejść, i przytrzymałam ją w swoich ramionach, spojrzałam w jej oczy i powiedziałam „Anno, to nie minie.”

— Uh-huh — przyznałam. — Rozumiem.

Tania wówczas przystąpiła do analityczno-refleksyjnej części swojej mowy.

— Widzę to w ten sposób, — zaczęła — że twoja mama poświęciła całe swoje życie wam, dzieciom. — Powiedziała „wam, dzieciom” dokładnie tym samym tonem, jakiego ja użyłabym

do „wam, plago karaluchów”.

— I tolerowała tego drania...

— O którym draniu mówimy? — zapytałam delikatnie.

— O twoim ojcu — odparła Tania, która najwyraźniej nie zamierzała złagodzić tonu mając na uwadze dobro potomstwa drania. — Jak już mówiłam, poświęciła wam swoje życie... i nie, żeby to była zła rzecz. Wiem, jak bardzo chciała być matką i mieć rodzinę, i, oczywiście, nie było wówczas takich możliwości, by była lesbą...

Lesbą? Ledwo mogę znieść „lesbijkę”. W którym momencie moja mama dostała awans na „lesbę”?

— ...ale uważam, — ciągnęła dalej Tania — że teraz jest dla twojej mamy czas na to, by robiła to, co chce. By miała życie dla siebie.

— Rozumiem — powiedziałam. — Uh-huh.

— Naprawdę nie mogę doczekać się spotkania z tobą — oznajmiła.

— Muszę już kończyć — odparłam, odkładając telefon. Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać, więc skończyłam na wykonywaniu obu czynności naraz.

— Poza granicami okropności — powiedziałam Samancie, rozmawiającej przez telefon w samochodzie.

— Nawet taki dziwak jak ty by nie uwierzył — obwieściłam Andy’emu podczas lunchu.

— Nie osądzaj — ostrzegł mnie Bruce, zanim zdążyłam wypowiedzieć choć słowo.

— Ona... hm. Ona się dzieli. Dzieli się wszystkimi myślami.

— To dobrze — przyznał, mrugając znacząco. — Ty powinnaś się więcej dzielić, Cannie.

— Huh? Ja?

— Jesteś bardzo zamknięta ze swoimi emocjami. Wszystko trzymasz w sobie.

— Wiesz, masz rację — zgodziłam się. — Znajdźmy jakąś zupełnie obcą osobę, bym mogła jej opowiedzieć, jak obmacywała mnie moja nauczycielka gry na pianinie.

— Huh?

— Była molestowana — wytłumaczyłam. — I opowiedziała mi wszystkie krwawe szczegóły.

Nawet Pan Kochający Każdego zdawał się być wstrząśnięty usłyszaną informacją. — Och, moja.

— Taak. A jej matka miała raka piersi, a macocha przekonała ojca do tego, by nie opłacać jej czesnego za społeczny college,

Bruce spojrział na mnie sceptycznie. — I ona ci to wszystko powiedziała?

— A co ty myślisz? Że jechałam do domu i czytałam jej pamiętnik? Oczywiście, że mi powiedziała! — Przerwałam, by ukraść mu z talerza kilka frytek. Byliśmy w Tick Tock Diner, miejscu znanym z ogromnych porcji i najbardziej gburowatych kelnerek w południowej części

Nowego Jorku. Nigdy nie zamawiałam tam frytek, ale użyłam całej mej siły perswazji, by przekonać Bruce'a do ich zamówienia, tak byśmy mogli się nimi podzielić. — Ona zdawała się być poważnie przejęta.

— Pewnie sprawiłaś, że zrobiło jej się przykro.

— Ale ja nic nie powiedziałam! Ona jeszcze nawet mnie nie poznała! No i poza tym, to ona zadzwoniła do mnie, więc jak mogłam sprawić, że jej zrobiło się przykro?

Bruce wzruszył ramionami. — Po prostu taka jesteś, jak mi się wydaje.

Spojrzałam na niego wilkiem. Sięgnął po moją rękę. — Nie wściekaj się. Chodzi o to, że ty po prostu... masz ten sposób osądzania spraw.

— Kto tak mówi?

— Cóż, moi przyjaciele, jak sędzę.

— Co? Tylko dlatego, że uważam, iż powinni znaleźć sobie pracę?

— O widzisz, tu cię mam. To jest właśnie osądzanie.

— Kochanie, oni są próżniakami. Zaakceptuj to. To jest prawda.

— Nie są próżniakami, Cannie. A poza tym wiesz, że mają pracę.

— Och, przestań. Z czego żyje Eric Silverberg?

Eric, jak oboje wiedzieliśmy, miał chwilowo pracę na pełnym etacie w jednym z inkubatorów internetowych, gdzie, jak mogliśmy najlepiej wywnioskować, spędzał całe dnie na poszukiwaniu nielegalnych kaset Bruce'a Springsteena, poznawał dziewczyny na jednym z trzech internetowych portali randkowych, które subskrybował, i załatwiał chłopaków z narkotykami.

— George ma prawdziwą pracę.

— George spędza każdy weekend na odgrywaniu Wojny Domowej. Ma swój własny muszkiet.

— Zmieniasz temat — powiedział Bruce. Widziałam, że starał się być rozgniewany, ale zaczynał się uśmiechać.

— Wiem — mówiłam. — Tylko po prostu facet, który ma swój własny muszkiet, jest taką łatwą puentą.

Wstałam, przekroczyłam stół i usiadłam obok niego, po jego stronie kabiny, ściskając jego udo i opierając głowę na jego ramieniu. — Widzisz, jedyny powód, dla którego jestem taka krytyczna, to fakt, że jestem zazdrosna — powiedziałam. — Chciałabym wieść taki rodzaj życia. Żadnych pożyczek uczelnianych do spłacenia, czynsz, za który ktoś płaci, stabilni, heteroseksualni rodzice, którzy usadawialiby mnie w swoich lekko używanych meblach za każdym razem, gdy urządzałyby na nowo swoje domy i kupowali samochód na Chanukę... — Mój głos ucichł. Bruce twardo się we mnie wpatrywał. Zdałam sobie sprawę z tego, że opisując większość z jego przyjaciół, opisałam też i jego.

— Przepraszam — powiedziałam łagodnie. — To po prostu dlatego, że czasem odczuwam,

jak wszystkim jest łatwiej niż mnie, a za każdym razem, gdy przybliżam się do tego, by sprawy były w porządku... przytrafia mi się coś takiego jak to.

— Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, że przytrafia się to tobie, bo jesteś wystarczająco silna, by to znieść? — zapytał Bruce. Pochylił się, złapał mnie za rękę i uniósł ją w górę, do mojego uda. Dużo w górę. — Jesteś taka silna, Cannie — wyszeptał.

— Ja tylko — mówiłam — chciałabym... — A wtedy on zaczął mnie całować. Mogłam wyczuć ketchup i sól na jego wargach. Potem jego język znalazł się w moich ustach. Zamknęłam oczy i oddałam się zapomnieniu.

Spędziłam weekend w mieszkaniu Bruce'a. Była to jedna z tych chwil, kiedy wszystko nam dobrze szło: udany seks, dobre jedzenie na mieście, leniwe popołudnia spędzane na wertowaniu sekcji niedzielnej *Timesa*, i w końcu znalazłam się w drodze do domu, zanim zaczęliśmy na siebie zgrzytać. Rozmawialiśmy trochę o mojej matce, ale głównie to chciałam z nim po prostu trochę uciec od rzeczywistości. A on dał mi swoją ulubioną koszulę flanelową do ubierania w domu. Pachniała jak on, jak my: jak narkotyk i seks, jego skóra i mój szampon. Była mi za ciasna w klatce piersiowej — wszystkie jego rzeczy były takie — ale rękawy opadały aż do koniuszków palców i czułam się schowana w niej, pokrzepiona na duchu, tak jakby to on mnie mocno obejmował, trzymając za rękę.

Bądź dzielna, myślałam sobie leżąc w łóżku w moim mieszkaniu. Owinęłam się ciasno koszulą Bruce'a, nastawiłam policzek Nifkinowi, tak by mógł mnie polizać dla dodania otuchy i zadzwoniłam do domu.

Na szczęście to mama odebrała telefon. — Cannie! — powiedziała z wyraźną ulgą. — Gdzie byłaś? Dzwoniłam i dzwoniłam...

— Pojechałam do Bruce'a — odparłam. — Miał bilety do teatru — skłamałam. Bruce'owi nie szło zbyt dobrze w teatrach. Nie potrafił skupić uwagi.

— Dobrze — skomentowała. — Dobrze. Hm, chcę ci powiedzieć, że jest mi przykro za to, że to wszystko tak na ciebie nagle spadło. Sądzę, że powinnam była... cóż, wiem, że powinnam była poczekać i może powiedzieć ci to osobiście...

— Albo przynajmniej nie w pracy — przyznałam.

Roześmiała się. — Racja. Przepraszam.

— W porządku.

— Więc... — mogłam prawie usłyszeć, jak testuje w głowie pół tuzina otwierających rozmowę uwag. — Czy masz jakieś pytania? — zapytała w końcu.

Wzięłam głęboki oddech. — Czy jesteś szczęśliwa?

— Czuję się, jakbym była w szkole średniej! — mama odparła triumfująco. — Czuję się... och, nie potrafię nawet tego opisać.

Proszę, nie próbuj, pomyślałam.

— Tania jest naprawdę niesamowita. Zobaczysz.

— Ile ma lat? — zapytałam.

— Trzydzieści sześć — odparła moja pięćdziesięciosześcioletnia mama.

— Młodsza kobieta — zauważyłam. Mama zachichotała. Nawet nie macie pojęcia, jak bardzo to było denerwujące. Mama nigdy nie była typem osoby, która ma zwyczaj chichotać.

— Ona zdaje się mieć pewien mały problem z... granicami — podjęłam próbę.

Głos mamy stał się nagle bardzo poważny. — Co masz na myśli?

— Cóż, zadzwoniła do mnie w piątek rano... myślę, że ciebie tam nie było...

Szybkie nabranie oddechu. — Co powiedziała?

— Może mniej czasu zabrałoby określenie tego, czego nie powiedziała.

— O Boże. Och, Cannie.

— To znaczy, przykro mi, no wiesz, że była molestowana...

— Och, Cannie, wyznała ci to naprawdę? — Ale pod przykrywką zszokowanego, zatrwożonego tonu, mama brzmiała... prawie dumnie. Tak, jakby pod płaszczem złości pobłażała swojemu ulubionemu dziecku w jego najbardziej ulubionych figlach.

— Tak — powiedziałam ponuro. — Znam całą sagę, od nauczycielki gry na pianinie, która łaskotała jej klawisze...

— ...Cannie!

— i szalonej macochy, aż do obsesyjnie obowiązkowej-współzależnej ex-przyjaciółki.

— Ach — odparła mama. — Jezu.

— Może by rozważyła jakiś rodzaj terapii — zasugerowałam.

— Chodzi. Wierz mi, że chodzi na taką. Już od wielu lat.

— I dotąd nie nauczyła się, że nie papla się o całym swoim życiu zupełnie obcej osobie podczas pierwszej rozmowy z nią?

Mama westchnęła. — Myślę, że nie — powiedziała.

Czekałam. Oczekiwałam przeprosin, wytłumaczenia, czegoś, co nadałoby mi temu jakiś sens. Nic nie nadeszło. Po chwili niezręcznego milczenia, mama zmieniła temat, a ja się temu poddałam, w nadziei, że to był tylko jakiś etap, odskok, a nawet zły sen. Nie miałam jednak takiego szczęścia. Tania przybyła na dobre.

Co lesbijka przynosi na drugą randkę? brzmi dowcip. Hak. A co przynosi pedał na drugą randkę? Jaką drugą randkę?

Stary dowcip, rzeczywiście, ale jest w nim pewna prawda. Po tym, jak zaczęły się spotykać, Tania rzeczywiście wyprowadziła się z suterenu domu swojej współzależnej, obsesyjnie obowiązkowej ex-przyjaciółki i zamieszkała w swoim mieszkaniu.

Ale, tak faktycznie, to wprowadziła się na drugiej randce. Zdałam sobie z tego sprawę, gdy przyjechałam do domu w sześć tygodni po tym, co ja i moje rodzeństwo nazywaliśmy Wybrykiem Mamy i zobaczyłam napisy na ścianie.

Dokładnie, to plakat na ścianie. „Inspiracja” — głosił napis powyżej rysunku wznoszącej się fali — „to wiara, że wszyscy możemy wiosłować razem”.

— Mamo? — zawołałam, upuszczając torby na podłogę. Nifkin w tym czasie skamlał i warował przy mojej nodze w nie-Nifkinowym stylu.

— Tutaj, kochanie — odrzyknęła mama.

Kochanie? Zastanawiałam się wchodząc do pokoju rodzinnego z wylęknionym Nifkinem za mną. Tym razem plakat przedstawiał figlujące delfiny. I napis: „Praca zespołowa”. A pod plakatem z delfinami była moja mama z kobietą, którą mogła być tylko Tania, obie w tych samych, purpurowych dresach.

— Hej! — powiedziała Tania.

— Hej — powtórzyła moja mama.

Wielki kot w kolorze mandarynki zeskoczył z parapetu okiennego, zuchwale podszedł dumnym krokiem do Nifkina i wyciągnął łapę z rozpostartymi pazurami. Nifkin wydał z siebie przeraźliwe kwilenie i uciekł.

— Gertrudo! Zły kocie! — zawołała Tania. Kot zignorował ją i zwinął się, wykładając w promieniach słońca w centralnym miejscu pokoju.

— Nifkin! — krzyknęłam. Z góry dosłyszałam słabe skomlenie na znak protestu — Nifkinowy sposób mówienia: *Nie ma sposobu, nie za dnia*.

— *Czy mamy pracowników, których musielibyśmy motywować?* — zapytałam, wskazując na plakat zespołu delfinów.

— Hę? — powiedziała Tania.

— Co? — zapytała moja mama.

— Plakaty — odparłam. — Mamy dokładnie takie same w pracy, na hali drukarni. Zaraz obok napisu „27 Dni Bez Awarii”. One są, tak jakby, grafiką motywacyjną.

Tania wzruszyła ramionami. Spodziewałam się nauczycielki gimnastyki w standardowym wydaniu, z umięśnionymi łydkami i sflaczałymi bicepsami oraz rozsądnym uczesaniem. Najwyraźniej byłam w błędzie. Tania była małym, ugotowanym groszkiem kobiety, ledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, z aureolą kędzierzawych, rudych włosów oraz cerą opaloną na kolor i konsystencję starej skóry. Żadnych piersi czy bioder, o których można by wspomnieć. Wyglądała jak małe dziecko, z kolanami pokrytymi strupami i plastrem owiniętym wokół palca. — Po prostu lubię delfiny — przyznała nieśmiało.

— Uh-huh — powiedziałam. — Rozumiem.

I to były te najbardziej oczywiste ze zmian. Nad kominkiem, obok zdjęć rodzinnych, rozło-

żona była kolekcja figurek delfinów. Do ścian przymocowane były plastikowe stojaki na czasopisma — co dawało naszemu pokojowi rodzinnemu wygląd gabinetu lekarskiego — by tym lepiej zaprezentować egzemplarze magazynu *Rehabilitation*, będące niewątpliwie własnością Tani. A kiedy poszłam zostawić bagaże w moim pokoju, drzwi nie chciały się otworzyć.

— Mamo — zawołałam. — Coś tu jest nie tak!

Słyszałam szeptaną rozmowę w kuchni: spokojny i łagodny głos mojej mamy oraz bas Tani, który gderając unosił się w fazę hysterii. Co jakiś czas mogłam zrozumieć słowa. „Terapeutka” i „Prywatność” zdawały się wśród nich dominować. Wreszcie moja mama weszła po schodach na górę, wyglądając na zakłopotaną.

— Hmm, właśnie miałam o tym z tobą porozmawiać.

— O czym? O tym, że drzwi nie da się otworzyć?

— Cóż, te drzwi są tak naprawdę zamknięte.

Tylko się wpatrywałam.

— Tania ma tam coś w rodzaju... przechowuje tam swoje rzeczy.

— Tania — pokazałam ręką — ma mieszkanie. Czy nie może tam trzymać swoich rzeczy?

Mama wzruszyła ramionami. — No wiesz, to jest bardzo małe mieszkanie. Taka kawalerka, naprawdę. Więc to tak jakby miało sens... może mogłabyś spać dzisiaj w pokoju Josha.

W tym momencie zniecierpliwiłam się. — Mamo, to jest mój pokój. Chciałabym spać w moim pokoju. Po co ta cała dyskusja?

— Cóż, Cannie, ty tu... ty tu już nie mieszkasz.

— Oczywiście, że nie, ale to nie znaczy, że nie chcę tam spać, gdy przyjeżdżam do domu.

Moja matka westchnęła. — Zrobiłyśmy parę zmian — wymamrotała.

— Taaak, zauważyłam. Więc o co chodzi?

— My, hmm... cóż. Pozbyłyśmy się twojego łóżka.

Odebrało mi mowę. — Pozbyłyście...

— Tania potrzebowała miejsca na swój warsztat tkacki.

— Tam jest warsztat tkacki?

I zaiste tam był. Tania weszła ciężko po schodach, odryglowała drzwi i zeszła z powrotem ciężko po schodach na dół, wyglądając posepnie. Otwarłam drzwi do mojego pokoju i zobaczyłam warsztat tkacki, komputer, sponiewierany materac, kilka obrzydliwych półek z presz-panu, pokrytych sztucznym fornirem w kolorze orzecha, zawierających książki o tytułach takich jak *Mądra Kobieta*, *Głupie Wybory*, czy *Odwaga do Wyzdrowienia* oraz *To Nie To, Co Jesz, Ale Co Zjada Ciebie*. Do okna przymocowana była tęczowa zasłonka na promienie słoneczne w kształcie trójkąta i, najgorsze ze wszystkiego, popielniczka na biurku.

— Ona pali?

Mama zagryzła wargę. — Próbuje rzucić palenie.

Wciągnęłam powietrze. Mogłam być pewna, że to Marlboro Lights i kadzidło. Fuj. Dlaczego musiała zasadzić swoje poradniki i zapachy papierosowe właśnie w moim pokoju? A gdzie były moje rzeczy?

Odwróciłam się do mamy. — Wiesz co, naprawdę mogłaś powiedzieć mi o tym wcześniej. Mogłam przyjechać i zabrać swoje rzeczy.

— Och, my niczego nie wyrzuciłyśmy, Cannie. Wszystko jest w pudłach w suterenie.

Przewróciłam oczami. — No, to sprawia, że czuję się o wiele lepiej.

— Widzisz — powiedziała. — Przepraszam. Staram się po prostu wyważyć sprawy tutaj...

— Nie, nie — zaprotestowałam. — „Wyważyć” oznacza wzięcie różnych spraw pod uwagę. To — oznajmiłam, wymachując ręką, by wskazać warsztat tkacki, popielniczkę, wypchanego delfina umieszczonego na materacu — pokazuje, co jedna osoba chce wziąć pod uwagę, całkowicie rolując przy tym inną. To jest zupełnie samolubne. To jest totalnie absurdalne. To jest...

— Cannie — powiedziała Tania. Nie zauważyłam nawet, kiedy weszła znowu po schodach.

— Wybacz nam, proszę — oznajmiłam i trzasnęłam drzwiami w jej twarz. Odczułam perwersyjną przyjemność słuchając jej pracy nad klamką po tym, jak zamknęłam drzwi jej własnym zamkiem.

Mama zaczęła siadać w miejscu, gdzie zwykle stać moje łóżko, złapawszy się na tym, że jest już w półsiadzie i usadowiła się na krześle przy biurku Tani. — Cannie, widzisz. Wiem, że to jest szokujące...

— Czy ty już zupełnie oszalałaś? To jest absurdalne! Można było wykonać jeden nędzny telefon! Przyjechałabym, zabrałabym swoje rzeczy...

Mama wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. — Przepraszam — powtórzyła.

Skończyło się na tym, że nie zostałam na noc w domu. Ta wizyta spowodowała moją pierwszą — i, jak dotąd, ostatnią — sesję terapeutyczną. System zdrowotny *Examinera* opłacił dziesięć wizyt u Doktor Blum, maleńkiej kobiety, wyglądającej na Małą Sierotkę Annie, która gryzmoliła jak oszalała, gdy przekazywałam jej całą opowieść o szalonym-ojcu-ziym-rozwodzie-lesbijskiej-matce. Martwiłam się o Doktor Blum. Z jakiegoś powodu wyglądała zawsze tak, jakby się mnie obawiała. I zawsze zdawała się być kilka zakrętów za głównym wątkiem.

— A teraz cofnijmy się trochę — powiedziała, gdy oschle, jednym potokiem słów, opisałam najnowsze okrucieństwa Tani względem mojej siostry, Lucy, za jej nieumiejętność utrzymania pracy. — Twoja siostra, hmm, zarabiała na życie tańcząc topless, a twoi rodzice tego nie zauważyli?

— To był rok 86 — odparłam. — Mojego ojca już wtedy nie było. A moja mama jakoś zdołała nie zauważyć faktu, że sypiałam z moim nauczycielem historii i przybrałam 25 kilogramów podczas pierwszego roku studiów, więc taak, ona rzeczywiście wierzyła w to, że Lucy zajmowała się pilnowaniem dzieci do czwartej każdego ranka.

Dr Blum zerknęła ukradkiem w swoje notatki. — No dobrze, a nauczycielem historii był... James?

— Nie, nie. James był facetem z drużyny. Jason był poetą E-ZLube. Bili był facetem na studiach, a Bruce jest teraz.

— Bruce! — wykrzyknęła z triumfem, odnajdując jego imię w swoich notatkach.

— Ale ja naprawdę obawiam się, że, wiesz, go zwodzę, czy coś takiego — westchnęłam. — Nie jestem pewna, czy go rzeczywiście kocham.

— Wróćmy na chwilę do twojej siostry — powiedziała, przerzucając coraz szybciej kartki z notatkami, podczas gdy ja siedziałam tam i starałam się nie ziewać.

Oprócz swej nieumiejętności nadążania, Dr Blum stawała się jeszcze mniej godna zaufania przez swoje ubrania. Ubierała się tak, jakby nie wiedziała, że istnieją też ciuchy dla osób o drobnej budowie. Jej rękawy rutynowo zamiatały opuszki palców, spódnice zwisały wokół kostek u nóg. Otwierałam się tak bardzo, jak tylko umiałam, odpowiadałam na pytania, kiedy mi je zadawała, ale nigdy tak naprawdę nie nabrałam do niej zaufania. Jak mogłabym zaufać kobiecie, które miała jeszcze mniejsze pojęcie o modzie niż ja?

Na końcu naszej terapii, podczas dziesiątego spotkania, nie oznajmiła, że jestem już wyleczona, ale przekazała mi dwie rady.

— Po pierwsze, — powiedziała — nie możesz zmienić niczego, co robi ktoś inny. Ani tego, co twój ojciec, ani matka, ani Tania, ani Lisa...

— Lucy — poprawiłam ją.

— Tak. Więc, nie możesz sterować ich postępowaniem, ale możesz kontrolować to, w jaki sposób na nie reagujesz... czy pozwalasz, by doprowadzało cię to do szaleństwa lub zaprzętało twoje myśli, czy też zauważasz, co oni robią, rozważasz to i podejmujesz świadomą decyzję o tym, jak bardzo pozwolisz, by to na ciebie wpłynęło.

— Dobrze. A ta druga rada?

— Trzymaj się Bruce'a — odparła poważnym tonem. — Nawet jeśli nie sądzisz, by był Panem Odpowiednim. On jest tam dla ciebie i wygląda mi na to, że jest dobrym wsparciem, a sądzę, że będziesz tego potrzebować w nadchodzących miesiącach.

Podaliśmy sobie dłonie. Życzyła mi powodzenia. Podziękowałam jej za pomoc i powiedziałam, że sklep Ma Jolie w Manayunk ma właśnie dużą wyprzedaz i że mają ubrania w jej rozmiarze. I to był koniec mojego doświadczenia z wielką terapią.

Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że w ciągu tych lat, od kiedy Tania z tym jej warsztatem, bólem i plakatami się wprowadziła, sprawy potoczyły się łatwiej. Tak naprawdę to wcale tak nie było. Tania posiada umiejętność życia jak roślina. Jest to ten specjalny rodzaj głuchoty, który zamiast niesłyszenia dźwięków sprawia, że ktoś jest głuchy na niuanse, subtelności, eufemizmy, banały i niewinne kłamstwa. Spytaj się jej, jak się miewa, a otrzymasz długi i pełny opis jej

ostatniego kryzysu w pracy, na zdrowiu, włącznie z zaproszeniem do spojrzenia na jej bliznę pooperacyjną. Powiedz, że smakowało ci to, co ugotowała, a uraczy cię niekończącymi się przepisami kulinarnymi, z których każdy wsparty będzie jakąś łączącą się z nim opowieścią („Moja mama ugotowała to dla mnie, pamiętam, w tę noc, kiedy wróciła do domu ze szpitala...”).

Przy tym wszystkim jest jednocześnie bardzo szczupła, skłonna do ataków publicznego płaczu oraz napadów złości, które kończyły się zamykaniem w moim byłym pokoju, gdy byliśmy w domu, czy też tupaniem i puszczeniem się w ucieczkę, gdziekolwiek byśmy nie byli, jeśli to było poza domem. I okazywała mojej mamie uwielbienie w najbardziej nieznośny sposób, jaki można sobie wyobrazić, chodząc wokół niej jak wokół ukochanego szczeniaczka, zawsze sięgając po jej rękę, dotykając jej włosów, pocierając jej stopy, czy okrywając ją kocem.

— Chore — wygłosił Josh.

— Niedojrzałe — powiedziała Lucy.

— Nie pojmuję — oto, co ja oznajmiłam. — Mieć kogoś, kto traktuje cię w ten sposób, przez, powiedzmy, tydzień, byłoby miłe... ale gdzie jest to wyzwanie? Gdzie podniecenie? I o czym one rozmawiają?

— O niczym — odparła Lucy. Wszyscy troje przyjechaliśmy do domu na Chanukę i siedzieliśmy w pokoju dziennym, po tym jak goście rozeszli się do domów, a mama i Tania poszły do łóżka. Wszyscy trzymaliśmy w rękach prezenty, które Tania dla nas utkała. Ja miałam chustę w kolorach tęczy („Możesz to założyć na Paradę Dumy”, zaproponowała Tania). Josh dostał rękawiczki, również w wesołych odcieniach tęczy, a Lucy obdarzona została wyglądającym dziwnie zwitkiem przędzy, które Tania nazwała mufką. — To będzie ogrzewać twoje dłonie — grmiała Tania, ale Lucy i ja zdążyliśmy już dać się ponieść wybuchom śmiechu, a Josh zastanawiał się szeptem, czy takie coś można wrzucać na dno basenu do letniego nurkowania po mufkę.

Nifkin, który otrzymał mały, tęczyowy sweterek, leżał w moich polach, śpiąc z jednym oknem otwartym, gotów puścić się pędem na górę, jeśli tylko pojawiłyby się diabelskie koty, Gertruda i Alicja. Josh leżał na kanapie, wygrywając na gitarze coś, co zdawało się być tytułowym motywem z *Beverly Hills 90210*.

— Tak naprawdę, — mówiła Lucy — to one w ogóle nie rozmawiają.

— No cóż, o czym miałyby rozmawiać? — zapytałam. — To znaczy, mama się kształciła... podróżowała...

— Tania zamyka mamie usta, gdy zaczyna się *Jeopardy* — powiedział Josh posępnym głosem i zaczął grać *Sex and Candy*.

— Ooo — skomentowałam.

— No — potwierdziła Lucy. — Ona twierdzi, że to wstrętne, gdy mama wykrzykuje odpowiedzi.

— To pewnie dlatego, że sama nie zna żadnej z nich — dodał Josh.

— Wiesz, — powiedziała Lucy — ta cała lesbijska kwestia jest w porządku. Byłaby w porządku...

— Gdyby chodziło o inny typ kobiety — skończyłam i siedziałam tam, wyobrażając sobie bardziej odpowiedni seks osobników tej samej płci: powiedzmy szykowna pani profesor filmoznawstwa z Uniwersytetu w Pensylwanii, posiadaczka własności ziemskiej i krótkich włosów oraz interesującej biżuterii z bursztynu, która zapoznaje nas z niezależnymi reżyserami filmowymi i zabiera moją mamę do Cannes. Zamiast tego, mama zakochała się w Tani, która ani nie była odcytana, ani szykowna, której gusty kinematograficzne koncentrowały się wokół ostatnich prac Jerry'ego Bruckheimera i która nie miała ani jednego kawałka bursztynu.

— Więc, co to jest? — spytałam. — Co to za atrakcja? Nie jest ładna...

— To z pewnością — powiedziała Lucy, wzdrygając się dramatycznie.

— Ani mądra... ani zabawna... ani interesująca...

Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, gdy zaświtało nam, co to za atrakcja mogła być.

— *Załóżę się, że ma język jak wieloryb* — wypaliła Lucy. Josh wydał z siebie odgłosy nudności. Przewróciłam oczami, czując mdłości.

— Jak mrówkojad! — krzyczała Lucy.

— Lucy, przestań! — rzuciłam. Nifkin obudził się i zaczął pomrukiwać. — A poza tym, jeśli to jest tylko seks, to może dojść jedynie tak daleko.

— Skąd miałabyś to wiedzieć? — zapytała Lucy.

— Zaufaj mi — odparłam. — Mama się tym znudzi.

Siedzieliśmy przez chwilę, myśląc o tym.

— To tak, jakby ona się już o nas nie troszczyła — objawił sekret Josh.

— Troszczy się — powiedziałam. Ale nie byłam pewna. Przed Tanią mama lubiła robić z nami różne rzeczy... gdy byliśmy wszyscy razem. Odwiedziła mnie w Filadelfii, a Josha w Nowym Jorku. Gotowała, gdy przyjeżdżaliśmy do domu, dzwoniła do nas kilka razy w tygodniu, była wciąż zajęta w swoich klubach książki i zaabsorbowana grupami czytelniczymi, jej szerokim kręgiem znajomych.

— Jedyne, o co mama się troszczy, to Tania — oznajmiła Lucy gorzko.

A ja nie miałam na to argumentu. Pewnie, wciąż do nas dzwoniła... ale nie tak często. Od miesięcy mnie nie odwiedziła. Jej dni (nie mówiąc już o nocach) zdawały się być pełne Tani — wycieczki rowerowe, na które się udawały, podwieczorki taneczne, na które uczęszczały, długi weekend z Rytuałem Uzdrawiania, na który Tania zabrała mamę, robiąc jej niespodziankę z okazji trzymiesięcznej rocznicy, gdzie paliły sztafiwę, modląc się do Bogini Księżycy.

— To nie będzie trwało — powiedziałam, z większym przekonaniem, niż czułam. — To tylko namiętność.

— A co, jeśli tak nie jest? — zapytała Lucy. — A co, jeśli to jest prawdziwa miłość?

— Nie jest — powtórzyłam. Ale głęboko wewnątrz myślałam, że może była. Że to było to, a my wszyscy zostaliśmy już wrobieni, obarczeni do końca życia tą okropną, pozbawioną wdzięku, emocjonalną kreaturą. Lub przynajmniej do końca mamy życia. A potem...

— Pomyślcie o pogrzebie — dumałam. — Boże. Mogę już słyszeć jej... — I zniżyłam głos do chrapliwego tonu Tani. — Twoja matka chciała, bym to miała — warknęłam. — Ale Tania — powiedziałam własnym głosem — ...to jest mój samochód!

Wargi Josha wykrzywiły się do góry. Lucy się zaśmiała. Znowu wydałam z siebie warczenie Tani.

— Ona wiedziała, jak wiele to dla mnie znaczyło!

Teraz Josh uśmiechał się już w pełni. — Zrób wiersz — powiedział. Potrząsnęłam głową.

— No, Cannie! — błagała moja siostra.

Odchrząknęłam i zaczęłam recytować Philipa Larkina. — „Oni cię wyrolowali, twoi rodzice. Choć może celowo tego nie zamierzali.”

— „Własnymi wadami napełnili ciebie” — ciągnęła Lucy.

— „I jeszcze kilka, tak specjalnie, dodali” — dodał Josh.

— „Ale sami w zamian też wyrolowani zostali, przez głupków w starych kapeluszach i płaszczach. Którzy sami albo ckliwo-srodzy bywali, albo zębami tkwili przy czyichś gardłach.”

I połączyliśmy się razem, wszyscy troje, do ostatniej strofy — tej, do której nie potrafiłam się nawet zmusić do myślenia w moim obecnym, zafajdanym położeniu. — „Człowiek drugiemu przekazuje swoją niedolę, która pogłębia się jak rafa koralowa. Wynieś się z domu, jak tylko możliwe, i sam najlepiej przed własnymi dziećmi uchowaj!”

I wówczas, na sugestię Lucy, wstaliśmy — łącznie z Nifkinem — i wrzuciliśmy nasze wydziergane rzeczy do kominka.

— Precz, Tania! — zaintonowała Lucy.

— Heteroseksualizmie, wróć! — błagał Josh.

— To, co powiedzieli — powtarzałam jak echo i obserwowałam, jak płonie mufka.

Kiedy wróciłam do domu, zaparkowałam rower w garażu, obok małego, zielonego samochodu Tani z nalepką na zderzaku „Kobieta potrzebuje mężczyzny tak, jak ryba potrzebuje roweru”, wydobyłam z zamrażarki garażowej indyka i włożyłam go do zlewu, by się odmroził. Zrobiłam sobie szybki prysznic i poszłam do Pokoju Wcześniej Znanego jako Mój, gdzie rozbiłam obóz po moim przyjeździe. Pomiędzy krótkimi przejazdami na rowerze a długimi kąpielami w wannie i pod prysznicem zdołałam wydobyć wystarczająco dużo prześcieradeł z szafy z pościelą i zmienić materac Tani w potrójnie wyłożoną oazę. Wykopałam również z piwnicy pudło z książkami i przedzierałam się przez przeboje mojego dzieciństwa: *Mały domek na prerii*, *The Phantom Toll-booth*, kroniki Narnii oraz *The Five Little Peppers and How They Grew*. Cofam się, pomyślałam

ponuro. Jeszcze kilka dni i stanę się praktycznie z powrotem embrionem.

Usiadłam przy biurku Tani i sprawdziłam e-maile. Praca, praca. Stara Osoba, ZJa („Twoje uwagi, że CBS to stacja dla widzów, którzy lubią, gdy ich jedzenie jest już wstępnie przeżute, były haniebne!”). I wiadomość od Maxi. „Tu jest codziennie 36 stopni, ” pisała. „Jest mi gorąco. Nudzę się. Opowiedz mi o Święcie Dziękczynienia. Kto gra w tej sztuce?”

Usiadłam do odpowiedzi. „Święto Dziękczynienia to w naszym domu zawsze pełna produkcja” pisałam. „Zaczynając ode mnie, mojej mamy, Tani, Josha i Lucy. Potem są przyjaciółki mojej mamy, ich mężowie i dzieci, i jakakolwiek zagubiona dusza, którą zwerbujecie Tania. Mama robi suszonego indyka. Nie jest suszony z założenia, ale dlatego, że zawsze nalega na pieczenie go na gazowym grillu, a nie udało jej się jeszcze odkryć, jak długo go piec, by był gotowy, ale nie tak długo, by została z niego tylko skóra. Puree ze słodkich ziemniaków. Puree ze zwykłych ziemniaków. Coś zielonego. Farsz. Sos do pieczenia. Sos żurawinowy z puszkii.” Mój żołądek się przewracał, gdy to pisałam. Nudności właściwie skończyły się już w zeszłym tygodniu, ale sama myśl o tym idiotycznym indyku, brejowatym sosie Tani i żurawinowym koktajlu z puszkii wystarczyła, bym musiała sięgnąć po spakowane w domu sole.

„Jedzenie nie jest jednak najważniejsze” — ciągnęłam dalej. „Miło jest spotykać ludzi. Niektórych znam, odkąd byłam małą dziewczynką. Mama rozpała w kominku i cały dom nasiąka dymem z drewna, a my chodzimy wokół stołu i wypowiadamy jedną rzecz, za którą jesteśmy wdzięczni.”

„A co ty powiesz?” Maxi odpisała natychmiast.

Westchnęłam, wślizgując się stopami w grube, wełniane skarpety, które zwędziłam Tani ze schowanej głęboko kolekcji ciuchów L.L. Bean i owinęłam się mocniej wełnianym szalem, który przyniosłam na górę z pokoju dziennego. „Nie odczuwam w tej chwili specjalnej wdzięczności” odpisałam, „ale coś wymyślę.”

Rozdział XI

Dzień Święta Dziękczynienia rozpoczął się od rześkiego, chłodnego, olśniewająco słonecznego poranka. Ledwo dałam radę wygramolić się z łóżka, wciąż jeszcze ziewając o godzinie dziesiątej, po czym spędziłam kilka godzin na grabieniu liści z podwórka, razem z Joshem i Lucy, podczas gdy Nifkin przyglądał się z ganku nam i przechadzającym się dumnie kotom.

O trzeciej po południu wzięłam prysznic, wydmuchałam włosy w coś na kształt fryzury, umalowałam szminką usta, a mascarą rzęsy, założyłam czarne, szerokie spodnie z aksamitu i czarny, kaszmirowy sweterek, które spakowałam mając nadzieję, że skumulowany efekt będzie zarówno stylowy, jak i wyszczuplający. Lucy i ja nakryłyśmy stół, Josh ugotował i obrał krewetki, a Tania uwijała się w kuchni, robiąc więcej hałasu niż jedzenia, z częstymi przerwami na papierosa.

O 16:30 zaczęli przybywać goście. Przyjaciółka mamy, Beth, przyjechała ze swoim mężem oraz trzema wysokimi, blondwłosymi synami, z których najmłodszy chlubił się kolczykiem w nosie, przechodzącym dokładnie przez jego przegrodę, co dawało mu wygląd zakłopotanego żydowskiego byka. Beth wzięła mnie w objęcia, po czym zaczęła wkładać do piekarnika tace z przekąskami, podczas gdy Ben, ten przekłuty, dyskretnie ciskał solonymi orzeszkami w koty Tani.

— Wyglądasz świetnie! — powiedziała Beth tak, jak zawsze to mówiła. To było dalekie od prawdy, ale doceniałam jej dobre chęci. — Bardzo podobał mi się twój artykuł o nowym przedstawieniu Donny’ego i Marie. Kiedy napisałaś, że gdy śpiewali razem z LeAnn Rimes, to wyglądało tak, jakby chcieli wyssać z niej krew... to było takie zabawne!

— Dzięki — odparłam. Uwielbiałam Beth. Ufam jej, że pamięta tekst „Mormońskie Wampiry”, ten, który ja też bardzo lubiłam, nawet jeśli spowodował on pół tuzina rozgniewanych telefonów do mojego wydawcy, garść listów ziejących furią („Droga Zbyt Kąśliwa Dziennikarko” — zaczynał się mój ulubiony), plus nawiedzoną wizytę dwóch dwudziestoletnich studentek Uniwersytetu Brigham Young, które zwiedzały Filadelfię i obiecały się za mnie modlić.

Tania wniosła zieloną fasolkę z chrupiącą cebulką z puszki na gorze, zmieszaną z nierozcieńczonym Campbellowskim kremem z pieczarek, też z puszki, po czym podskakując radośnie ruszyła do pokoju dziennego, by rozpalić jasny ogień. Dom napełnił się słodkim zapachem dymu z drzewa, zmieszanego z wonią pieczonego indyka. Nifkin, Gertruda i Alicja zawarli pokój i kulali się błogo przed kominkiem, wszyscy w jednym rzędzie. Josh częstował przygotowanymi przez siebie krewetkami. Lucy przygotowywała drinki Manhattan — udoskonaliła to podczas pracy jako barmanka, co miało miejsce po jej eskapadach jako tancerka topless, a przed sześciotygodniowym uprawianiem seksu przez telefon.

— Wyglądasz nędznie — zauważyła, podając mi drinka. Sama Lucy natomiast wyglądała świetnie, jak zwykle. Moja siostra jest tylko piętnaście miesięcy młodsza ode mnie. Ludzie mówili nam, że wyglądałyśmy jak bliźniaczki, gdy byłyśmy małe. Nikt nam już tak nie mówi. Lucy jest szczupła — zawsze była — i nosi swoje faliste włosy krótko obcięte, tak, że widać jej lekko spiczaste końcówki uszu, gdy potrząsa głową. Ma pełne, soczyste usta oraz duże, brązowe oczy Betty Boop i prezentuje się światu jak gwiazda, którą myślała, że powinna być. Od lat widuję ją tylko z pełnym makijażem, usta ma zawsze doskonale podkreślone kreską i wypełnione szminką, brwi dramatycznie wyskubane, a z jej języka migotał i lśnił srebrny, maleńki ćwiek. Na Święto Dziękczynienia ubrała się w obcisłe spodnie z czarnej skóry, wysokie buty na wysokim obcasie oraz różowy sweterkowy bliźniak z cekinami. Wyglądała tak, jakby właśnie przyszła z sesji fotograficznej albo jakby zatrzymała się tylko na szybkiego drinka, zanim podąży na jakąś bardziej stylową imprezę znakomitszej osoby.

— Jestem trochę zestresowana — powiedziałam, ziewając i oddając z powrotem drinka, licząc na to, że będzie jeszcze okazja na kolejną drzemkę.

Mama krzątała się wokół stołu z tymi samymi podkładkami na stół, których używała na Paschę rok temu. Wiem, że jedna z nich miała napis „Bruce” i miałam nadzieję, że przez wzgląd na mnie raczej ją wyrzuci, a nie zaoszczędzi, przekreślając jego imię i wpisując inne.

Ostatni raz był tu zimą. Josh, Lucy, Bruce i ja staliśmy na ganku, popijając piwo, które Tania zabroniła nam przechowywać w lodówce („Ja powracam do zdrowia!” — beczała, trzymając grzeszne butelki tak, jakby były granatami.) A potem poszliśmy na mały spacer dookoła kilku posesji. W połowie drogi z powrotem niespodziewanie zaczął padać śnieg. Bruce i ja zatrzymaliśmy się, trzymając się za ręce, z zamkniętymi oczami i szeroko otwartymi ustami, czując spadające płatki jak maleńkie, wilgotne pocałunki na naszych policzkach, staliśmy tak jeszcze długo po tym, jak wszyscy weszli do środka.

Zamknęłam oczy, by nie przywoływać wspomnień.

Lucy wpatrywała się we mnie. — Jezu, Cannie. Czy dobrze się czujesz?

Zamrugałam, by powstrzymać łzy. — Jestem tylko zmęczona.

— Hmm — powiedziała Lucy. — Dobrze, wgniotę coś małego, specjalnego do twoich ziemniaków.

Wzruszyłam ramionami i pilnowałam się, by potem przy kolacji unikać ziemniaków. Zgodnie z tradycją Święta Dziękczynienia mojej mamy, chodziliśmy wokół stołu i mówiliśmy, za co byliśmy wdzięczni w tym roku. — Jestem wdzięczna za znalezienie tak wiele miłości — powiedziała chrapliwym głosem Tania, na co Lucy, Josh i ja skrzywiliśmy się, a mama wzięła ją za rękę.

— Ja dziękuję za to, że mam tu razem moją cudowną rodzinę — oznajmiła mama. Jej oczy błyszczały. Tania pocałowała ją w policzek. Josh jęknął. Tania rzuciła mu złowieszcze spojrzenie.

nie.

— Ja dziękuję za... — musiałam chwilę pomyśleć. — Dziękuję za to, że Nifkin przeżył ostatniego lata atak krwotocznego zapalenia żołądka i jelit — powiedziałam w końcu. Na dźwięk swojego imienia Nifkin położył na mnie swoją łapę i zaczął skamleć błagalnie. Dałam mu kawałek skóry indyka.

— Cannie! — wrzasnęła mama. — Przestań karmić tego psa!

— Ja dziękuję za to, że jeszcze mam apetyt po tym, jak usłyszałem o kłopotach Nifkina — powiedział Ben, który irtował swoich rodziców nie tylko kolczykiem w nosie, ale i noszeniem koszulki z napisem: „Co by zrobił Jezus?”

— A ja dziękuję za to, że Cannie rzuciła Bruce’a dopiero po moich urodzinach, tak że zdołałem jeszcze dostać te bilety na Fisha — oznajmił Josh swoim głębokim, oschłym barytonem, co niezłe się komponowało z jego szczupłą sylwetką, 180 centymetrów samej skóry i kości, oraz kozią bródką, która mu wyrosła w czasie, od kiedy ostatni raz się widzieliśmy.

— Dzięki — wyszeptał teatralnym tonem.

— Nie ma za co — odszeptałam.

— A ja dziękuję za to, — podsumowała Lucy — że są tu wszyscy, by wysłuchać mojej wspaniałej nowiny!

Mama i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Ostatnią wielką wiadomością od Lucy był plan — na szczęście porzucony — przeniesienia się do Uzbekistanu z facetem poznanym w barze. — Jest tam adwokatem — powiedziała z dużą pewnością siebie, prześlizgując się jakoś nad faktem, że tu był doręczycielem w jednej z restauracji Pizza Hut. Wcześniej miała pomysł na piekarnię bajgli w Montserrat, gdzie pojechała w odwiedziny do przyjaciółki ze szkoły medycznej. — Tam nie ma nawet jednego bajgla! — oznajmiła triumfująco i zdołała wypełnić papiery do ubiegania się o kredyt na małe przedsięwzięcie, gdy nastąpiła erupcja długo uspiętego wulkanu na Montserrat i cała wyspa została ewakuowana, a marzenia Lucy umarły w gorącej lawie.

— Jakie nowiny? — zapytała mama, patrząc w rozpromienione oczy Lucy.

— Mam agenta! — wykrzyknęła, chcąc wywołać duże wrażenie.

— I załatwił mi sesję zdjęciową!

— Topless? — spytał oziębłe Josh. Lucy potrząsnęła głową. — Nie, nie, z tym już koniec. To jest legalne. Reklamuję rękawiczki gumowe.

— Do magazynu dla fetyszystów? — nie mogłam się powstrzymać.

Lucy zrzędlą mina. — Dlaczego nikt we mnie nie wierzy? — zapytała. Znając moją rodzinę, było to tylko kwestią czasu, zanim ktoś otworzy Katalog Niepowodzeń Lucy — od szkoły, poprzez jej związki, a skończywszy na pracach, których nigdy nie umiała utrzymać.

Pochyliłam się nad stołem i wzięłam rękę siostry. Wyszarpnęła rękę z powrotem. — Żadnych niepotrzebnych dotykań! — ostrzegła.

— A tak w ogóle, to co z tobą?

— Przepraszam — odparłam. — Nie daliśmy ci szansy. — I wtedy usłyszałam głos. Nie Boga, niestety, ale Bruce’a. „Dobrze”, powiedział. „To było miłe.”

Rozejrzałam się wokół, przerażona.

— Cannie? — zapytała mama.

— Wydawało mi się, że coś usłyszałam — odparłam. — Mniejsza o to.

I podczas gdy Lucy szczebiotała o swoim agencie, o tej sesji zdjęciowej, o tym, w co będzie ubrana, cały czas unikając narastających, uszczypliwych pytań mojej mamy, czy będzie miała za to zapłacone czy nie, ja jadłam indyka z farszem i kleistą potrawką z zielonej fasolki i rozmyślałam nad tym, co usłyszałam. Myślałam sobie, że chociaż już nigdy nie zobaczę Bruce’a, mogłabym zachować jego cząstkę, czy też tego, co moglibyśmy razem stanowić, jeśli byłabym bardziej serdeczna i miła. Za każdym razem, gdy robił mi wykład, gdy był dydaktyczny i protekcyjny, wiedziałam, że tak naprawdę był miłym człowiekiem, a ja... cóż, też nim byłam w moim prywatnym życiu, ale ktoś mógłby się sprzeczać, że zarabiałam na życie byciem niemłą. Ale może mogłabym się zmienić. I może jemu by się to spodobało i któregoś dnia polubiłby mnie bardziej... i znowu pokochał. Zakładając oczywiście, że kiedykolwiek byśmy się znowu spotkali.

Pod stołem Nifkin powarkiwał i machał łapą, polując na coś w swoim śnie. Moje oczy jasno widziały świat, moja głowa była uporządkowana i opanowana. Nie było tak, jakby zniknęły wszystkie moje problemy — jakby chociaż jeden z nich przestał istnieć, tak naprawdę — ale po raz pierwszy od chwili, gdy ujrzałam dodatni znak na próbniku ciężowym, poczułam się tak, jakbym była w stanie bezpiecznie się w nich przejrzeć. Miałam teraz czego się trzymać, bez względu na to, jakiego dokonam wyboru — *Mogę być lepszym człowiekiem, myślałam. Lepszą siostrą, lepszą córką, lepszą przyjaciółką.*

— Cannie? — zapytała mama. — Czy coś mówiłaś?

Nic nie mówiłam. Ale w tej właśnie chwili pomyślałam, że poczułam jakby maleńkie trzepotanie w brzuchu. Mogło to być jedzenie albo podekscytowanie i wiedziałam, że to dużo za wcześnie, by naprawdę coś poczuć. Ale to było coś. Tak, jakby coś do mnie machało. Maleńka rączka, pięć paluszków rozpostartych jak rozgwiazda, machająca przez wodę. Dzień dobry i do widzenia.

Ostatniego dnia mojego urlopu Dziękczynieniowego, zanim miałam wyruszyć w wędrowkę z powrotem do miasta i pozbierać kawałki mojego życia tam, gdzie je pozostawiłam, mama i ja poszłyśmy popływać. Pierwszy raz byłam w Centrum Żydowskiej Wspólnoty od czasu, gdy dowiedziałam się, że było ono sceną uwiedzenia mamy. Po tym wszystkim sauna parowa już nie była tym samym.

Ale brakowało mi pływania, zdałam sobie z tego sprawę, gdy zakładałam kostium kąpielowy w przebieralni. Brakowało mi zapachu chloru w nosie i starych Żydówek, które paradowały w

przebieralni kompletnie gołe, zupełnie niezawstydzone i wymieniały przepisy kulinarne oraz porady kosmetyczne podczas ubierania się. Dotyku wody, utrzymującej mnie na powierzchni i tego, że mogłam o wszystkim zapomnieć, wsłuchując się jedynie w rytm oddechu, gdy pływałam.

Mama każdego ranka przepływała 1,5 kilometra, przemieszczając się powoli w wodzie, z solidnym rodzajem wdzięku. Trzymałam się jej przez może połowę tego odcinka, a potem przeniosłam się na jeden z pustych torów i przez chwilę pływałam ospale na boku, nie myśląc o niczym. Wiedziałam, że było to luksusem, na który niedługo nie będę mogła już sobie pozwolić. Jeśli chciałabym, żeby sprawy zostały wzięte pod opiekę (było to wyrażenie, którego lubiłam używać w myślach), musiałyby to nastąpić wkrótce.

Przewróciłam się na plecy i pomyślałam o tym, co czułam poprzedniego wieczoru. Maleńką dłoń, wymachującą. Absurdalne, naprawdę. To jeszcze pewnie nie miało rąk, a jeśli nawet by miało, to nie potrafiłoby jeszcze nimi machać.

Zawsze byłam za możliwością wyboru. Nigdy nie idealizowałam ciąży, zamierzonych bądź nie. Nie byłam jedną z tych kobiet, które widząc nadchodzące trzydzieste urodziny zaczynają gaworzyć do wszystkiego, co jest w wózku i ma śliniący się podbródek. Miałam kilka przyjaciółek, które wyszły za mąż i założyły rodziny, ale miałam też o wiele więcej takich, które dobijały do trzydziestki lub ją przekroczyły i tego nie zrobiły. Nie słyszałam, by tykał mój zegar. Nie miałam gorączki dziecięcej.

Przewróciłam się na brzuch i zaczęłam leniwie płynąć żabką. Problem był w tym, że nie mogłam strząsnąć z siebie wrażenia, że zostało to już za mnie zadecydowane. Tak, jakbym straciła nad sobą kontrolę i jedyne, czego ode mnie oczekiwano, to wyprostować się na krześle i pozwolić, by wszystko samo się działo.

Wydmuchałam zawiedziony oddech do wody, obserwując, jak bąbelki rozchodzą się wokół mnie. Poczulałabym się na pewno lepiej, gdybym mogła znowu usłyszeć głos Boga, gdybym mogła się upewnić, że postępuję właściwie.

— Cannie?

Mama podpłynęła do mnie na swoim torze. — Jeszcze dwie długości — powiedziała. Przepłynęłyśmy je razem, dopasowując każdy oddech i każde uderzenie o wodę. A potem poszłam za nią do sauny.

— Teraz — zaczęła mama — powiedz mi, co się z tobą dzieje?

Spojrzałam na nią, zdziwiona. — Ze mną?

— Och, Cannie. Jestem twoją matką. Znam cię od dwudziestu siedmiu lat.

— Dwudziestu ośmiu — poprawiłam ją.

Zmrużyła oczy, patrząc na mnie przez parę.

— Czyżbym zapomniała o twoich urodzinach?

Wzruszyłam ramionami. — Myślę, że wysłałaś mi kartkę.

— Czy to o to chodzi? — zapytała mama. — Czy przejmujesz się tym, że się starzejesz? Czy jesteś tym przygnębiona?

Znowu wzruszyłam ramionami. Mama zdawała się być bardziej przejęta.

— Czy masz jakąś pomoc? Czy z kimś rozmawiasz?

Prychnęłam, wyobrażając sobie, jak bardzo bezużyteczna byłaby w takiej sytuacji ta drobna lekarka, tonąca we własnych ubraniach. — Teraz, Bruce jest twoim chłopakiem — zaczęłyby, przerzucając kartki w swoim zawsze obecnym notatniku.

— Był — poprawiłabym ją.

— Czy myślisz o... adopcji?

— Aborcji — odparłabym.

— Jesteś w ciąży — powiedziała mama.

Usiadłam wyprostowana, a usta otworzyły się ze zdziwienia. — Co?

— Cannie, jestem twoją matką. Matka wie takie rzeczy.

Owinęłam się ciasno ręcznikiem, zastanawiając się, czy nieoczekuję zbyt wiele, mając nadzieję, że była to jedna z nielicznych rzeczy, o które mama i Tania nie stawiały zakładów.

— Wyglądasz tak samo, jak ja wyglądałam — ciągnęła dalej. — Cały czas zmęczona. Gdy byłam z tobą w ciąży, sypiałam czternaście godzin na dobę.

Nic nie powiedziałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wiedziałam, że będę musiała zacząć gadać z kimś na ten temat w którymś momencie, ale nie miałam jeszcze gotowych słów.

— Czy myślałaś już o imionach? — spytała mnie mama.

Wydałam z siebie krótki, chrapliwy śmiech.

— Nie myślałam jeszcze o niczym — powiedziałam. — Nie myślałam o tym, gdzie będę mieszkać, ani o tym, co będę robić...

— Ale zamierzasz... — jej głos delikatnie ucichł.

— Tak się wydaje — odparłam. Tam. Głośno. Było to rzeczywiste.

— Och, Cannie! — zdawała się być, o ile to jest możliwe, jednocześnie wzruszona i zrozpaczona. Wzruszona, jak sądzę, tym, że zostanie babcią (w przeciwieństwie do mnie, mama gotowa była gaworzyć do wszystkiego, co jest w wózku). A zrozpaczona dlatego, że nie jest to sytuacja, której się życzy swojej córce.

Ale to była moja sytuacja. Zobaczyłam to wtedy, w tym momencie, w saunie. To właśnie miało się wydarzyć — zamierzałam mieć to dziecko, z Bruce'em czy bez Bruce'a, ze złamanym sercem czy bez. Czułam, że był to właściwy wybór. Co więcej, czułam to jak moje przeznaczenie — to, w jaki sposób moje życie miało się rozwijać. Chciałabym jedynie, by ten, kto to zaplanował, podrzucił mi wskazówkę co do tego, w jaki sposób będę mogła zapewnić utrzymanie siebie i dziecka. Ale jeśli Bóg nie zamierzał się odezwać, rozwiązę sama ten problem.

Mama wstała i przytuliła mnie, co ktoś mógłby uznać za obrzydliwe, jeśli się weźmie pod

uwagę fakt, że obie byłyśmy spocone, a jej ręcznik nie zakrył jej tak zupełnie z przodu. Ale co tam. Poczułam się dobrze, mając czyjeś ramiona oplatające moje ciało.

— Nie jesteś wściekła? — spytałam.

— Nie, nie! Jak w ogóle mogłabym być wściekła?

— Ponieważ... cóż. To nie jest tak, jak bym chciała tego... — powiedziałam, pozwalając na chwilę mojemu policzkowi spocząć na jej ramieniu.

— To nigdy tak nie jest — przyznała. — Nigdy nie jest właśnie tak, jak myślisz, że będzie. Czy sądzisz, że chciałam mieć ciebie i Lucy tam, w Luizjanie, milion kilometrów od mojej rodziny, z tymi okropnymi lekarzami wojskowymi i karaluchami wielkimi jak mój kciuk...

— Przynajmniej miałaś męża — powiedziałam. — I dom... i plan...

Mama klepnęła mnie dziarsko po ramieniu. — Mężowie i domy to kwestia dyskusyjna — oznajmiła. — A co do planu... to coś wymyślimy.

Pytanie za 64 000 dolarów zadała dopiero wtedy, gdy po wysuszeniu i ubraniu się jechałyśmy samochodem z powrotem do domu.

— Zakładam, że to Bruce jest ojcem — powiedziała.

Oparłam się policzkiem o zimną szybę. — Prawdłowo.

— I nie jesteście z powrotem razem?

— Nie. To było... — Jak mogłabym wytłumaczyć mamie, co właściwie się stało?

— Nie martw się — podsumowała, wyraźnie ucinając moje usiłowania wymyślenia odpowiedniego eufemizmu dla pieprzenia się z poczucia sympatii. Jadąc do domu przejeżdżałyśmy przez park przemysłowy i kioski z warzywami i owocami, poprzez górę. Wszystko wyglądało na takie znajome, ponieważ jeździłam tędy milion razy, gdy dorastałam. Pływałyśmy z mamą każdego sobotniego ranka i jechałyśmy razem do domu, obserwując, jak budzą się śpiące miasta, kupując po drodze świeże bajgle i świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy na śniadanie, które jedliśmy potem razem w piątkę.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Drzewa stały się wyższe, domy wyglądały jakoś bardziej odrapane. Na kilku najbardziej niebezpiecznych skrzyżowaniach pojawiła się nowa sygnalizacja świetlna, nowe domy ze ścianami wyglądającymi jak z surowego drewna i rozkopane trawniki przy ulicach, które nie istniały jeszcze, gdy chodziłam do szkoły średniej. Ale wciąż czułam się dobrze i wygodnie, jadąc tak znowu z mamą. Mogłam prawie udać, że Tania została w mieszkaniu tej swojej obsesyjnie-obowiązkowej-współzależnej byłej przyjaciółki i z dala od mojej mamy i jej życia... i że ojciec nie porzucił nas tak zupełnie... i że sama nie byłam w obecnym stanie.

— Czy zamierzasz powiedzieć Bruce'owi? — zapytała w końcu.

— Nie wiem. Tak właściwie to teraz nie rozmawiamy ze sobą. I myślę... cóż, jestem pewna, że gdybym mu powiedziała, to pewnie starałby się wybfć mi to z głowy, a ja nie chcę, by mi to

wybijano z głowy — przerwałam, zamyślając się nad tym, co mówiłam. — A to po prostu wydaje się... To znaczy, na jego miejscu... to jest dla kogoś dużym ciężarem. Że ma się na świecie swoje dziecko...

— Czy chcesz go mieć w swoim życiu? — spytała mama.

— To naprawdę nie o to chodzi. On dość jasno mi przekazał, że nie chce być w moim życiu. Teraz, czy on chce być w... — zająkałam się, próbując to wypowiedzieć po raz pierwszy — w życiu naszego dziecka...

— Cóż, to nie tak, że zupełnie nie jest to zależne od niego. On będzie musiał płacić alimenty na dziecko.

— Ugh — odparłam, wyobrażając sobie, jak wzywam Bruce'a do sądu i uzasadniam swoje zachowanie przed sądem i ławą przysięgłych.

Nie przestawała mówić: o funduszach inwestycyjnych, o składanych odsetkach i kilku obejrzanych przez siebie programach telewizyjnych, w których pracujące mamy ustawiły w domach ukryte kamery i odkryły, że nianie zaniedbują dzieci, podczas gdy one (nianie, nie dzieci, jak przypuszczam) oglądają mydlane seriale i wydzwanają do Hondurasu. Przypomniało mi to o Maxi, szczebioczącej o mojej finansowej przyszłości.

— Dobrze — powiedziałam mamie. Moje mięśnie były przyjemnie ociężałe od pływania, a powieki zaczęły powoli opadać. — Żadnych niań z Hondurasu. Obiecuję.

— Może Lucy mogłaby czasem pomóc — rzuciła i zaczęła mi się przyglądać, gdy stałyśmy na czerwonym świetle. — Już byłaś u swojego ginekologa, prawda?

— Jeszcze nie — odparłam i ponownie ziewnęłam.

— Cannie! — I przystąpiła do wykładu na temat odżywiania się, ćwiczeń podczas ciąży i tego, jak słyszała, że witamina E w kapsułkach może zapobiec rozstępom. Pozwoliłam moim oczom się zamknąć, ululana brzmieniem jej głosu i obracających się kół, i prawie spałam, kiedy wjeżdżaliśmy na drogę podjazdową. Musiała mną potrząsnąć, by mnie dobudzić, mówiąc przy tym delikatnym głosem moje imię i że już przyjechaliśmy do domu.

Było dla mnie zaskoczeniem, że pozwoliła mi jechać z powrotem do Filadelfii tego wieczoru. Tak więc wracałam do domu z bagażnikiem pełnym pojemników z pięcioma kilogramami indyka, farszu i ciasta, i po tym, jak złożyłam jej solenną obietnicę, że pierwsza rzecz, jaką zrobię następnego ranka, to umówię się na wizytę u lekarza i że będzie mogła mnie wkrótce odwiedzić.

— Miej pasy zapięte — mówiła, gdy ja pakowałam protestującego Nifkina do jego nosidełka.

— Zawsze mam pasy zapięte — odparłam.

— Zadzwoń, jak tylko będziesz znała datę.

— Zadzwonię! Obiecuję!

— No, dobrze — uspokoiła się. Pochyliła się do mnie i potarła opuszkami palców o mój policzek. — Jestem z ciebie dumna — powiedziała. Chciałam spytać, dlaczego. Co ja takiego zrobiłam, że ktokolwiek mógłby być dumny ze mnie? Wpaść z facetem, który nie chciał już mieć ze mną nic do czynienia nie było czymś, czym mogłaby się przechwalać przed swoimi przyjaciółmi z klubu czytelniczego, czy też czymś, o czym ja mogłabym napisać do *Tygodnika Absolwentów Princeton*. Samotne macierzyństwo może było bardziej akceptowane wśród gwiazd filmowych, ale z tego, co widziałam po moich rozwiedzionych znajomych, nie było niczym innym, jak ciężką próbą życia dla prawdziwych kobiet, a z pewnością nie było powodem świętowania czy dumy.

Ale nie zapytałam. Zapaliłam tylko silnik i ruszyłam w dół drogą podjazdową, machając do niej tak długo, aż zniknęła mi z pola widzenia.

Po powrocie do Filadelfii wszystko wyglądało inaczej. A może było tak tylko dlatego, że ja wszystko widziałam inaczej. Idąc po schodach na górę zauważyłam, że przy mieszkaniu na pierwszym piętrze kosz na odpadki do wtórnego zastosowania był pełen puszek po Budweiserze i usłyszałam dobiegający spod drzwi przeraźliwy śmiech, taki nagrywany do sitcomów. Gdzieś na ulicy włączył się alarm w samochodzie i mogłam dosłyszeć rozbijaną szybę w pobliżu. Taki zwykły hałas w tle — coś, co zazwyczaj ledwo zauważałam, ale teraz muszę zacząć zauważać... teraz, kiedy jestem odpowiedzialna jeszcze za kogoś.

Na górze, na drugim piętrze, w moim mieszkaniu zdążyła pojawić się warstwa kurzu po pięciu dniach nieobecności, i śmierdziało stęchlizną. Nie jest to miejsce do wychowywania dziecka, pomyślałam otwierając okna, zapalając świecę o zapachu wanilii i szukając miotły.

Dałam Nifkinowi świeżego jedzenia i wody. Wyzmiałam podłogi. Przejrzałam brudną bieliznę, przygotowując pranie na następny dzień, opróżniłam zmywarę, włożyłam resztki jedzenia do zamrażarki, a potem wypłukałam i wywiesiłam do wysuszenia mój kostium kąpielowy. Miałam już w połowie przygotowaną listę zakupów, pełnąmleka odłuszczonego, świeżych jabłek i dobrych rzeczy do jedzenia, zanim zdałam sobie sprawę, że nie sprawdziłam telefonu, czy ktokolwiek... no dobra, czy Bruce przypadkiem nie zadzwonił. Kiepska sprawa, wiedziałam, ale uświadomiłam sobie, że dałam sobie przynajmniej tę chwilę wątpliwości.

A kiedy odkryłam, że jednak nie dzwonił, poczułam smutek, ale nie ten rodzaj kłującego, nerwowego, przepełnionego chorem wręcz niepokojem smutku, którego doświadczałam wcześniej, nic z tej przytłaczającej pewności, że umrę, jeśli on nie zadzwoni, którą czułam tamtej nocy w Nowym Jorku z Maxi.

— Kochał mnie — wyszeptałam do wysprzątanego pokoju. — Kochał mnie, ale już mnie nie kocha, i nie jest to koniec świata.

Nifkin uniósł głowę z kanapy, spojrział na mnie z ciekawością i ułożył się z powrotem do snu. Wróciłam do mojej listy. „Jajka”, pisałam. „Szpinak. Śliwki.”

Rozdział XII

— Jesteś co?!?

Kiwałam głową nad mleczną, bezkofeinową kawą i tostowanym bajgłem. — W ciąży. Z dzieckiem. Spodziewam się. W delikatnym stanie. Przy nadziei. Dozwolone od lat 15.

— Dobra, dobra, już załapałam — Samanta wpatrywała się we mnie, jej pełne usta były rozchylone, brązowe oczy zaszokowane i szeroko otwarte, mimo że była dopiero 7:30 rano.

— Jak?

— W normalny sposób — odparłam lekko. Byłyśmy w Xando, pobliskiej kawiarence, która zmieniała się w bar już od godziny osiemnastej. Businessmeni przeglądali badawczo swoje *Examinery*, udręczone mamy z wózkami połykały wręcz kawy. Dobre miejsce, czyste i jasne. Wybitnie nie jest to miejsce na robienie scen.

— Z Bruce'em?

— No dobrze, może to nie był taki normalny sposób. To było wkrótce po śmierci jego ojca...

Samanta wydała z siebie wielkie, zirytowane westchnienie. — O, Boże, Cannie... co ja ci mówiłam o seksie z pogrążonym w smutku facetem?

— Wiem — przyznałam. — Po prostu to się jakoś stało.

Pozwoliła sobie na jeszcze jedno westchnienie, po czym sięgnęła po swojego DayTimera, wszystko ze żwawą sprawnością, mimo że miała jeszcze na sobie czarne legginsy i T-shirt od Wally Winga z napisem „My dusimy w sobie nasze tchórzostwa”. — Dobra — powiedziała. — Czy zadzwoniłaś do kliniki?

— Tak właściwie to nie — odparłam. — Zamierzam je mieć.

Jej oczy otwały się szeroko. — Co? Jak? Dlaczego?

— A dlaczego nie? Mam dwadzieścia osiem lat, mam wystarczająco dużo pieniędzy...

Samanta potrząsała głową. — Zrzuńujesz sobie życie.

— Wiem, że moje życie się zmieni...

— Nie. Nie dosłyszałaś mnie. Zrzuńujesz sobie życie.

Odstawiłam na stół filiżankę z kawą. — Co masz na myśli?

— Cannie... — spojrzała na mnie błagalnymi oczami. — Samotna matka... mam na myśli to, że ciężko jest spotkać przyzwoitego faceta, kiedy się jest... czy ty wiesz, co to robi z twoim życiem towarzyskim?

Tak naprawdę, to nie zastanawiałam się nad tym za bardzo. Teraz, skoro mój umysł pogodził się z faktem, że straciłam Bruce'a bezpowrotnie, nie zaczęłam nawet myśleć o tym, z kim miałabym się *związać*, czy też czy w ogóle będzie jeszcze ktokolwiek inny.

— Nie tylko z życiem towarzyskim — ciągnęła dalej Samanta. — Z całym twoim życiem.

Czy myślałaś o tym, jak to może wszystko zmienić?

— Oczywiście, że tak — odparłam.

— Koniec z wakacjami — powiedziała Samanta.

— No co ty... ludzie przecież jadą z dziećmi na wakacje!

— Czy będziesz miała na to pieniądze? To znaczy, zakładając, że będziesz pracowała...

— Taaak. Na pół etatu. To właśnie wymyśliłam. Przynajmniej na razie.

— Więc twoje dochody się zmniejszą, a i tak będziesz musiała wydawać na opiekunkę, gdy będziesz w pracy. To wywrze znaczący wpływ na twój standard życia, Cannie. Znaczący wpływ.

No cóż, to była prawda. Koniec z trzydniowymi weekendami w Miami tylko dlatego, że USAir miało promocję na bilety, a ja czułam, że potrzebuję trochę słońca. Koniec z tygodniami w Killington, w wynajętym apartamencie, gdzie całymi dniami jeździłam na nartach, a Bruce w tym czasie palił marychę w wannie z jacuzzi i czekał na mój powrót, bo sam nie był narciarzem. Koniec ze skórzanymi butami za dwieście dolarów, które absolutnie musiałam mieć, koniec kolacji za sto dolarów, koniec popołudniówek w centrum rekreacji za osiemdziesiąt dolarów, gdzie płaciłam jeszcze jakiejś dziewiętnastce za oczyszczanie moich stóp i depilowanie brwi.

— Cóż, życie się zmienia — powiedziałam. — Dzieją się rzeczy, których nie planujemy. Ludzie chorują... albo tracą pracę...

— Ale to są sprawy, nad którymi nie mamy kontroli — podkreśliła Samanta. — Podczas gdy tę sytuację da się wziąć pod kontrolę.

— Podjęłam decyzję — oznajmiłam cicho. Samanta nie zniechęcała się.

— Pomyśl o przyniesieniu tego dziecka na świat bez ojca — mówiła.

— Wiem — przyznałam jej, podnosząc rękę do góry, zanim zdołała cokolwiek jeszcze powiedzieć. — Myślałam o tym. Wiem, że to nie jest idealna sytuacja. To nie to, co bym wolała, gdybym mogła wybierać...

— Ale ty możesz wybrać — przerwała Samanta. — Pomyśl o wszystkim, z czym będziesz teraz musiała sobie sama dawać radę. Jak cała odpowiedzialność spoczywać będzie na twoich ramionach. Czy naprawdę jesteś na to przygotowana? Czy to w porządku mieć dziecko, jeśli nie jesteś gotowa?

— Ale pomyśl o wszystkich innych matkach, które tak robią!

— No, których, tych żyjących z opieki? Nastolatkach?

— Pewnie! O nich! Jest wiele kobiet, które mają dzieci, a ich tatusiów nie ma wokół i jakoś sobie radzą.

— Cannie — powiedziała Samanta — to żadne życie. Niepewne, bez oszczędzania, na skraju ubóstwa...

— Mam trochę pieniędzy — odparłam głosem posępnym nawet dla mych własnych uszu.

Samanta upiła trochę kawy. — Czy to chodzi o Bruce'a? O to, by trzymać się Bruce'a?

Spojrzałam w dół, na moje splecione dłonie i zwiniętą w nich serwetkę.

— Nie — zaprzeczyłam. — To znaczy, sądzę, że to angażuje, że... jakoś z samej rzeczy... ale to nie tak, że zaszłam w ciążę, by móc go znów złowić na haczyk.

Samanta uniosła brwi. — Nawet nie podświadomie? Wzdrygnęłam się. — Boże, mam nadzieję, że moja podświadomość nie jest aż tak nieoświecona!

— Oświecenie nie ma tu nic do rzeczy. Może, gdzieś głęboko, jakaś część ciebie miała nadzieję... czy też ma nadzieję, że kiedy Bruce się dowie, wróci do ciebie.

— Nie zamierzam mu o tym powiedzieć — powiedziałam.

— Jak możesz mu nie powiedzieć? — zapytała.

— A dlaczego powinnam? — odbiłam piłeczkę. — On poszedł do przodu, znalazł sobie kogoś innego, nie chce mieć nic wspólnego ze mną ani z moim życiem, więc dlaczego powinnam mu powiedzieć? Nie potrzebuję jego pieniędzy i nie chcę jakichkolwiek resztek jego uwagi, jaką czułby się obowiązany mi poświęcać...

— Ale co z dzieckiem? Czy dziecko nie zasługuje na to, by mieć w swoim życiu ojca?

— O rany, Samanta. My mówimy o Bruce'ie. Dużym, ćpającym Bruce'ie. Bruce'ie z kucykiem i nalepką na zderzaku „Zalegalizuj To”...

— On jest dobrym facetem, Cannie. Prawdopodobnie byłby naprawdę dobrym ojcem.

Przygryzłam wargę. Ciężko było to przyznać, czy też nawet tylko pomyśleć o tym, ale pewnie była to prawda. Bruce przez lata był doradcą na obozie. Dzieciaki kochały go, z kucykiem czy bez, z marihuaną czy bez, naćpanego czy nie. Za każdym razem, gdy widywałam go ze swoimi kuzynami czy poprzednimi obozowiczami, zawsze rywalizowali między sobą o to, by usiąść obok niego przy kolacji, albo *zagrać* z nim w koszykówkę, czy też, żeby pomógł im przy zadaniu domowym. Nawet jeśli nasze stosunki były w najgorszym stanie, nie mogłam wątpić, że byłby cudownym ojcem.

Samanta potrząsała głową. — Nie wiem, Cannie. Po prostu nie wiem. — Rzuciła mi długie, trzeźwe spojrzenie. — On się o tym dowie, wiesz przecież.

— Jak? Już nie znamy tych samych osób... mieszka tak daleko...

— Och, dowie się. Widziałam wystarczająco dużo mydlanych seriali, by ci to zagwarantować. Wpadniesz gdzieś na niego... usłyszysz coś o tobie... dowie się. Na pewno.

Wzruszyłam ramionami, starając się wyglądać na odważną. — No więc dowie się, że jestem w ciąży. To wcale nie oznacza, że muszę mu powiedzieć o tym, że to jego dziecko. Niech sobie myśli, że sypiałam z innymi, kiedy byliśmy razem. — Chociaż poczułam przenikający mnie smutek na samą myśl, że Bruce mógłby mieć kiedykolwiek powód, by tak sądzić. — Niech sobie myśli, że zgłosiłam się do banku spermy. Chodzi o to, że on nie musi wiedzieć. — Spojrzałam na Samantę. — A ty nie musisz mu powiedzieć.

— Cannie, czy nie uważasz, że on ma prawo wiedzieć? Zostanie ojcem...

— Nie, nie zostanie...

— Cóż, urodzi się dziecko, które jest jego. A co, jeśli on zechce być ojcem? A co, jeśli cię poda do sądu?

— No dobra, też widziałam ten film o Sally Jessy...

— Mówię poważnie — nie ustępowała Samanta. — Mógłby tak zrobić, wiesz o tym.

— Och, proszę — wzruszyłam ramionami, próbując wyglądać na mniej zaniepokojoną, niż byłam. — Bruce ledwo panuje nad przewalającymi się papierami. Co on mógłby chcieć od dziecka?

Samanta wzruszyła ramionami. — Nie wiem. Może nic. A może pomyślałby, że dziecko potrzebuje... no wiesz... modelu z czynnikiem męskim.

— To pozwolimy, żeby zajmowała się nim Tania — zażartowałam. Samanta się nie śmiała. Wyglądała na tak przygnębioną, że chciałam jej zaproponować przytulenie się w moich ramionach, aż zdałam sobie sprawę, że zabrzmiałabym jak Tania na spotkaniach tych swoich najbardziej Anonimowych. — Wszystko będzie dobrze — powiedziałam, starając się mówić lekko i przekonywująco. Samanta spojrzała na mnie.

— Mam nadzieję — prawie wyszeptała. — Naprawdę.

— Jesteś co? — zapytała Betsy, moja redaktor naczelna. Ale trzeba przyznać, że doszła do siebie szybciej niż Samanta.

— W ciąży — powtórzyłam. Byłam już trochę zmęczona odgrywaniem tej specyficznej rasy na ścieżce dźwiękowej mojego życia.

— Z dzieckiem. Wpadłam. Jestem przy nadziei...

— Dobra, dobra. Och, moja. Hmm... — Betsy przyglądała mi się badawczo zza swoich grubych okularów. — Gratulacje? — zaferowała wstępnie.

— Dzięki — odparłam.

— Czy, hmmm, będzie jakieś wesele? — zapytała.

— Nie w przewidywalnej przyszłości — odpowiedziałam dziarsko.

— Czy to stanowić będzie jakiś problem?

— Och, nie, nie! Oczywiście, że nie! To znaczy, oczywiście, że gazeta nie będzie dyskryminować czy coś takiego...

Zrobiłam się nagle bardzo, bardzo zmęczona. — Wiem — powiedziałam. — I wiem, że to wyda się ludziom dziwne...

— Im mniej będziesz tłumaczyć, tym lepiej — doradziła Betsy. Byłyśmy w pokoju konferencyjnym, z zamkniętymi drzwiami i spuszczoneymi storami, co oznaczało, że mogłam widzieć moich kolegów od kolan w dół. Rozpoznałam nadniszczone już trochę buty Franka, redaktora wydania, zwalnijące w czasie przechadzki do pokoju pocztowego, a zaraz za nimi wysokie ob-

casy Mary Janes należące do Tanishy, naszej redakcyjnej fotograf, poruszające się zabawnym, wężowo-podobnym krokiem. Byłam pewna, że gdybym miała widok na całe sylwetki, mogłabym dojrzeć, jak głowy wszystkich obracały się w moim kierunku, próbując rozszyfrować, dlaczego Betsy i ja byłyśmy tutaj, czy ja stanowiłam jakiś problem i co to mógł być za problem. Byłam pewna, że jak tylko zrobili obowiązkowy przystanek przy swoich pojemnikach z pocztą, wykonywali ostry zakręt do biurka Elaine, długoletniej sekretarki działu i składnicy wszystkich smakowitych i skandalicznych spraw. Do diabła, gdyby to ktoś inny był teraz z Betsy, ja robiłabym dokładnie to samo. To negatywna strona pracy z ludźmi, którzy na życie zarabiają szperaniem, wścibianiem i wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Nie zostaje ci wtedy zbyt wiele z prywatnego życia.

— Na twoim miejscu nie puściłabym pary z ust — powiedziała Betsy. Sama była po czterdziestce, niewysoka, bystra, z czupryną białoblonde włosów. Przetrwiała walkę płci, korporacyjne przejścia, cięcia budżetowe i z pół tuzina redaktorów naczelnych, wszystkich płci męskiej, i wszystkich mających swą własną, unikalną wizję tego, co *Examiner* powinien robić. Przetrwiała wszystkich i wszystko, była moim mentorem w gazecie i ufałam, że da mi dobrą radę.

— Cóż, w końcu będę musiała coś powiedzieć...

— W końcu — podkreśliła. — Ale na razie ja bym nic nie mówiła. — Spojrzała na mnie, nie niemiło. — To trudne, wiesz — dodała.

— Wiem — powiedziałam.

— Czy będziesz miała jakąś pomoc?

— Jeśli masz na myśli to, czy Bruce przyjedzie na białym koniu i mnie poślubi, to pewnie nie. Ale moja mama i Tania pomogą... i może też moja siostra.

Betsy przysłała na spotkanie przygotowana. Wyciągnęła ze swojej teczki kontrakt związkowy, a potem notes i kalkulator. — Zobaczmy, co możemy dla ciebie zrobić.

To, co zaproponowała, brzmiało więcej niż fair — sześć tygodni płatnego urlopu po urodzeniu i, jeśli będę chciała, dodatkowe sześć tygodni bezpłatnego urlopu później. Potem będę musiała pracować przez trzy dni w tygodniu, by zachować moje zdrowotne przywileje, ale Betsy zobowiązała się, że jeden z tych dni będę mogła odpracowywać w domu, jeśli tylko będzie ze mną kontakt. Wyliczyła na kalkulatorze moją nową pensję. Uuuf. Będzie gorzej niż myślałam... ale dalej będzie się dało żyć. Przynajmniej to było to, na co miałam nadzieję. Ile może kosztować dzienna opieka nad dzieckiem? I ubranka dla dziecka... i meble... i jedzenie. Zobaczyłam, jak moje pieczołowicie utrzymywane oszczędności — te, które odkładałam z myślą o tym, że któregoś dnia będę potrzebować, by zapłacić za ślub czy może za dom — kurczą się do zera na moich oczach.

— Popracujemy nad tym — powiedziała życzliwie Betsy. — Nie przejmuj się. — Pozbierała swoje papiery i wetschnęła. — Przynajmniej staraj się nie przejmować więcej niż naprawdę mu-

sisz. I daj mi znać, jeśli mogłabym ci jakoś pomóc.

— Osiem tygodni — oznajmiła moja pani ginekolog swoim melodyjnym, po brytyjsku ucinanym głosem. — Albo może dziewięć.

— Osiem — powiedziałam słabo. Ciężko jest mówić stanowczo, kiedy się leży płasko na plecach, ze stopami w pałkach i rozpostartymi nogami.

Gita Patel — tak przynajmniej mówił napis na identyfikatorze przypiętym do jej laboratoryjnego fartucha — odłożyła narzędzia i przejechała swoim taboretom na kółkach tak, by mi móc spojrzeć w twarz, gdy ja siliłam się, by przyjąć siedzącą pozycję. Była mniej więcej w moim wieku, tak w każdym razie mi się wydawało, z czarnymi, błyszczącymi włosami, spiętymi w niski kok na karku. Nie była tą, którą zazwyczaj widywałam w tym prywatnym, małym gabinecie przychodni lekarskiej, ulokowanym jeden poziom poniżej parteru przy Delancey, ale była pierwszą, u której można było umówić się na wizytę, a dzięki nieprzerwanym chórom mojej mamy („Czy już byłaś u lekarza?”), zdecydowałam się nie czekać. Jak dotąd, pomyślałam, wszystko szło dobrze. Dr Patel miała delikatne dłonie i miły sposób bycia.

— Czy dobrze się czujesz? — zapytała.

— Świetnie. Tylko trochę zmęczona. No dobrze, tak naprawdę to bardzo zmęczona.

— Brak nudności? — No proszę. Nawet spodobał mi się sposób, w jaki powiedziała „nudności”.

— Nie miałam w ciągu ostatnich kilku dni.

— Zatem bardzo dobrze. Omówmy teraz twoje plany. — Skinęła głową nadzwyczaj dyskretnie w kierunku poczekalni. Podziwiałam subtelność tego gestu, nawet gdy potrząsałam głową.

— Nie. Jestem tylko ja.

— Bardzo dobrze — powtórzyła i podała mi nabłyszczane broszury, na których znajdowała się nalepka z moim nazwiskiem. „Małe Kielki”, głosił tytuł. Ugh. „Pomaganie naszym członkom, gdy zaczynają jedną z najbardziej ekscytujących podróży życia!” Podwójne ugh.

— Zatem będziemy się widzieć co miesiąc przez następne pięć miesięcy, potem co dwa tygodnie w ósmym miesiącu, aż wreszcie co tydzień, do rozwiązania. — Przerzuciła kilka kartek w kalendarzu. — Określam dzień porodu na piętnasty czerwca... pamiętając, oczywiście, że dzieci przychodzą wtedy, kiedy same chcą.

Wysłałam z torebką grzechoczącą od butelek z witaminami i kwasem foliowym, a w głowie rozciągała się lista tego, czego nie mogę jeść, rzeczy, które muszę zakupić i telefonów, które muszę wykonać. Formularze do wypełnienia, szkoły rodzenia do zapisania się, fakty o nacięciach krocza przy porodzie do przejrzenia, na co nie chciałam na razie nawet spojrzeć w obecnym stanie mojego umysłu. Był grudzień i nadworze zrobiło się w końcu zimno. Przenikający chłodem wiatr wkopywał w kąty wysuszone liście, gdy przechodziłam, owinięta szczelnie w cieniutką

kurtkę. Mogłam poczuć w powietrzu nadciągający śnieg. Byłam zmęczona aż do szpiku kości, a w głowie mi się wręcz kręciło, ale został jeszcze jeden przystanek do załatwienia.

Grupa Otyłych właśnie kończyła zajęcia, kiedy przyszłam. Znalazłam znajome z grupy i Doktora K. wychodzących z biur Zaburzeń Wagi i Trawienia, rozmawiających wesoło, opatulonych w swetry i zimowe płaszcze, które wyglądały, jakby były noszone po raz pierwszy tego roku.

— Cannie! — Dr K. pomachał i podszedł do mnie. Miał na sobie spodnie khaki, koszulę dżinsową i krawat. Przynajmniej raz bez białego, laboratoryjnego fartucha. — Jak ci leci?

— Och, w porządku — odparłam. — Przepraszam, że spóźniłam się na zajęcia. Miałam zamiar podejść wcześniej...

— Może przejdźmy do mojego gabinetu — powiedział Dr K.

Tak zrobiliśmy. Usiadł za swoim biurkiem, a ja na krześle naprzeciw, nie zdając sobie sprawy tak długo, aż usiadłam, że nie byłam po prostu zmęczona, byłam całkowicie wykończona.

— Dobrze cię widzieć — powiedział, patrząc na mnie wyczekująco.

Wzięłam głęboki oddech. Przejdź przez to, mówiłam sobie.

Przejdź przez to, a będziesz mogła iść do domu i pójść spać.

— Zamierzam, hm... zachować ciążę. Więc będę musiała wypaść z programu — oznajmiłam mu. Pokiwał głową, tak jakby to właśnie spodziewał się usłyszeć.

— Załatwię, by wysłano ci czek — powiedział. — A my będziemy zaczynać nowe badania następnej jesieni, jeśli wciąż będziesz zainteresowana.

— Nie sądzę, bym miała za dużo wolnego czasu — przyznałam.

Przytaknął głową. — Cóż, będzie nam ciebie w grupie brakować.

Naprawdę wnosisz coś wyjątkowego.

— Och, mówisz po prostu, że...

— Nie. Ta imitacja żeńskiej komórki tłuszczowej, którą zrobiłaś dwa tygodnie temu... powinnaś naprawdę pomyśleć o występach komediowych.

Westchnęłam. — Takie występy są trudne. A ja mam... mam teraz wiele spraw, o których muszę myśleć.

Dr K. sięgnął po notes i pióro. — Wiesz, tak właściwie to myślę, że moglibyśmy mieć pewien rodzaj zajęć z żywienia dla oczekujących matek — mówił, odsuwając przy tym książki i stertę papierów, by odnaleźć swój notatnik teleadresowy. — Mam na myśli to, że skoro już zapłaciłaś, to mogłabyś coś otrzymać... Albo, oczywiście, jeśli po prostu chcesz zwrot kosztów, zdecydowanie możemy to zrobić...

Był taki miły. Dlaczego był dla mnie taki miły? — Nie, jest w porządku. Tylko chciałam przekazać, że muszę wypaść z badań i że jest mi przykro...

Wzięłam głęboki oddech, patrząc na niego wpatrującego się we mnie poprzez biurko, jego oczy były takie miłe. I wtedy znowu zaczęłam płakać. Co było takiego w tym pokoju i w tym biednym mężczyźnie, że za każdym razem, gdy siadałam naprzeciw niego, kończyłam zalewając się łzami?

Podał mi chusteczki higieniczne. — Czy dobrze się czujesz?

— Świetnie. Czuję się świetnie. Zaraz się uspokoję... Przepraszam...

I wtedy płakałam już tak mocno, że nie potrafiłam mówić. — Przepraszam — powtórzyłam. — Sądzę, że to jeden z typowych objawów pierwszego trymestru, kiedy wszystko sprawia, że chce się płakać. — Poklepałam moją torebkę. — Mam tu gdzieś listę... tego, co powinno się zażywać, tego, co powinno się odczuwać...

Podszedł do mnie, zdejmując po drodze z wieszaka biały fartuch laboratoryjny.

— Wstań — powiedział. Wstałam, a on zarzucił mi na ramiona fartuch. — Chcę ci coś pokazać — rzucił. — Chodź ze mną.

Zaprowadził mnie do windy, a potem w głąb korytarza, przez zamknięte drzwi z napisem „Tylko dla personelu” i „Zakaz wstępu”, przez kolejne drzwi z napisem „Tylko w razie niebezpieczeństwa! Uruchomi się alarm!” Ale alarm się nie rozległ, gdy popchnął drzwi. I nagle znaleźliśmy się na zewnątrz, na dachu, a miasto rozciągało się pod naszymi stopami.

Zobaczyłam Ratusz. Byłam praktycznie na tym samym poziomie, co statua Billy’ego Penna na górze. Widziałam centrum PECO, usiane migocącymi, niebieskimi światełkami... bliźniacze Wieże Wolności, błyszczące srebrem... maleńkie samochody, cofnięte głęboko, nieskończenie małe ulice. Rzędy bożonarodzeniowych świateł i girland neonów znakowały całą Market Street aż do nabrzeża. Ślizgawka na rzece Blue Cross, z maleńkimi łyżwiarzami, poruszającymi się wolno po okręgu. A dalej rzeka Delaware i Camden. New Jersey. Bruce. Wszystko wyglądało na tak oddalone.

— Przychodzę tu na górę, kiedy muszę nabrać perspektywy do pewnych spraw — powiedział Dr K. Myślę, że powinnam była skoczyć, gdy w końcu zaczął mówić. Przez moment zapominałam o nim... zapominałam o wszystkim. Byłam tak pochłonięta widokiem.

— Nigdy nie oglądałam miasta w ten sposób — przyznałam. — Jest zdumiewające.

Oparł się o drzwi i uśmiechnął. — Sądzę, że musiałybyś płacić całkiem niezły czynsz w jednym z tych wieżowców przy Rittenhouse Square, by mieć taki widok — powiedział.

Odwrociłam się znowu w kierunku rzeki, czując na twarzy chłodny powiew wiatru. Powietrze pachniało znakomicie. Przez cały dzień — albo przynajmniej od chwili, gdy Dr Patel dała mi broszurę z listą Ogólnych Dolegliwości Pierwszego Trymestru — zauważałam, że mogłam wyczuć każdy zapach, ale większość z tych zapachów sprawiała, że robiło mi się niedobrze. Spaliny z samochodów... smród ze śmietnika... zapach psa... benzyna... nawet rzeczy, które dotąd mi bardzo odpowiadały, jak aromat kawy unoszący się z kawiarenki Starbucks przy South Street, docie-

rały do mnie teraz z dziesięciokrotnie większą intensywnością. Ale tam na górze powietrze niczym nie pachniało, tak jakby zostało dla mnie specjalnie przefiltrowane. Cóż, ja i każdy z tych bogatych mieszkańców-apartamentów-na-ostatnich-piętrach-z-balkonami mieliśmy dość szczęścia, by mieć do tego właściwy dostęp.

— Lepiej się czujesz? — zapytał.

— O taaak.

Dr K. usiadł ze skrzyżowanymi po turecku nogami i kiwnął na mnie, bym się do niego przyłączyła. Zrobiłam więc to samo, co on, bacząc jednak ostrożnie, by nie usiąść na jego laboratoryjnym fartuchu.

— Czy chciałabyś o tym porozmawiać?

Rzuciłam mu z boku krótkie spojrzenie. — Czy chcesz tego słuchać?

Wyglądał na zakłopotanego. — Nie chcę być wścibski... Wiem, że to nie moja sprawa...

— Och, nie, nie, to nie jest tak. Nie chcę cię po prostu zanudzić — westchnęłam. — To jest chyba najstarsza opowieść na świecie, jak sądzę. Dziewczyna poznaje chłopaka, dziewczyna kocha chłopaka, dziewczyna rzuca chłopaka z przyczyn, które naprawdę nie rozumie, ojciec chłopca umiera, dziewczyna idzie do niego, by go pocieszyć, dziewczyna wpada i zostaje samotna.

— Ach — powiedział ostrożnie.

Przewróciłam do niego oczami. — A co, myślałeś, że to mógł być ktoś inny?

Nic nie powiedział, ale uznałam, że w świetle odbitym z ulic poniżej wyglądał na speszonego. Uniosłam się na przykucniętych nogach i przemieściłam się tak, by usiąść naprzeciw niego.

— Nie, no, co ty, naprawdę. Myślałeś, że znajdę tak szybko innego faceta? Proszę — prychnęłam. — Przeceniasz mnie.

— Wydaje mi się, że myślałem... cóż, tak naprawdę to nie myślałem o tym.

— Wiesz, uwierz mi, to potrwa o wiele dłużej niż kilka miesięcy, zanim spotkam kogoś, kto mnie polubi, kto będzie chciał oglądać mnie nagą i zanim ja będę czuła się na tyle swobodnie, by na to pozwolić — spojrzałam znowu na niego z boku. A co, jeśli on myśli, że z nim flirtuję? — Tylko dla twojej informacji — dodałam mało przekonująco.

— Odłożę te akta na bok — powiedział posępnym głosem. Zdawał się być tak poważny, że musiałam się zaśmiać.

— Powiedz mi coś... skąd ludzie wiedzą, że żartujesz? Bo zawsze brzmisz podobnie.

— To znaczy jak? Odpychająco? — Tyle czasu poświęcił na wypowiedzenie słowa *odpychająco*, że, oczywiście, zabrzmiał... trochę odpychająco.

— Niezupełnie. Tylko poważnie przez cały czas.

— Cóż, nie jestem taki. — Robił wrażenie obrażonego. — Tak naprawdę to mam duże poczucie humoru.

— Które mnie udaje się jakoś skutecznie omijać — drażniłam się z nim.

— No wiesz, biorąc pod uwagę ten szmat czasu, jaki spędziliśmy na rozmowach i ciebie, mającą pewien przesadny kryzys życiowy, nie byłem u szczytu formy.

Teraz to zdecydowanie wyglądał na obrażonego.

— Wierzę ci — powiedziałam. — Jestem pewna, że jesteś bardzo zabawny.

Patrzył na mnie nieufnie, szerokie brwi zmarszczone. — Skąd to możesz wiedzieć?

— Ponieważ tak powiedziałaś. Ludzie, którzy są zabawni, wiedzą, że są zabawni. Ci, którzy nie są zabawni, powiedzieliby „Moi przyjaciele mówią, że mam duże poczucie humoru.” Albo „Moja mama mówi, że mam duże poczucie humoru.” Tak jest wtedy, kiedy wiesz, że masz kłopot.

— Och — odparł. — Więc, gdybyś miała siebie opisać, powiedziałabyś, że jesteś zabawna?

— Nie — westchnęłam, patrząc w górę na niebo. — W tej sytuacji powiedziałabym, że jestem zaciężona.

Siedzieliśmy w ciszy przez chwilę. Obserwowałam, jak łyżwiarze robią zakręt.

— Czy myślałaś już o tym, co zamierzasz zrobić? — zapytał w końcu. — Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz...

— Nie, nie. Nie mam nic przeciwko. Na razie tak naprawdę rozstrzygnęłam tylko kilka kwestii. Wiem, że zamierzam to zatrzymać, mimo że nie jest to najbardziej praktyczną rzeczą i wiem, że będę musiała przestawić mój plan dnia, gdy narodzi się dziecko. Och, i wiem, że zacznę może poszukiwać nowego miejsca zamieszkania i sprawdzać, czy moja siostra mogłaby być ze mną przy porodzie.

Kiedy rozłożyłam wszystko w ten sposób, jak przegrywająca ręka z kartami rozłożonymi na stole jak wachlarz, nie wydawało mi się to tak bardzo proste.

— A co z Bruce'em? — zapytał.

— Widzisz, to jest ta kwestia, której jeszcze nie rozstrzygnęłam — odparłam. — Nie rozmawialiśmy od tygodni, a on spotyka się z kimś innym.

— Poważnie?

— Wystarczająco poważnie dla niego, by mi o tym powiedzieć. I napisać o tym.

Lekarz rozważał to, co powiedziałam. — Cóż, to może nic nie oznaczać. Może on po prostu chce wrócić do ciebie... albo sprawić, żebyś była zazdrosna.

— Taaak, no dobrze, to działa.

— Ale dziecko... cóż, to zmienia wszystko.

— Och, ty też czytałaś tę broszurę? — Przytuliłam kolana do piersi.

— Po tym, jak zerwaliśmy... po śmierci jego ojca, kiedy czułam się tak okropnie i chciałam go mieć z powrotem, a moi przyjaciele mówili mi „Zerwałaś z nim, musiałaś mieć ku temu powody”. I wiem, że to prawda. Myślę, że wiedziałam, tam głęboko, że pewnie nie mieliśmy być, no wiesz, razem do końca życia. I pewnie to była moja wina... to znaczy, mam całą teorię na te-

mat mojego ojca, moich rodziców i dlatego nie ufam miłości. Więc sędzę, że może nawet jeśli nie byłby doskonały... albo, wiesz, nie doskonały, ale dobry dla mnie... że może nie byłabym zdolna tego dostrzec albo próbowałabym sobie to wybić z głowy. Albo cokolwiek.

— A może on nie był dobrym facetem dla ciebie. Zawsze uczyli nas tego w szkole medycznej, że kiedy słyszysz uderzenia kopyt...

— ...nie szukaj zebr.

Wyszczerył do mnie zębami w uśmiechu. — W twojej szkole medycznej też to mówili?

Potrząsałam głową. — Nie. Mój ojciec był lekarzem. Miał zwyczaj ciągle to mówić. Ale nie wiem. Myślę, że tak właściwie to mogła być zebra. To znaczy, wiem, jak bardzo mi go brakuje i jak okropnie się czułam, gdy odkryłam, że ma kogoś innego, i myślę, że to popsulałam... że on naprawdę miał być miłością mojego życia, moim mężem. — Przełknęłam z trudem, moje gardło zamykało się wokół tego słowa. — Ale teraz...

— Teraz co?

— Tęsknię za nim ciągle. — Pokiwałam głową, zdegustowana swoją chandrą. — To tak, jakbym była prześladowana, czy coś w tym rodzaju. A nie mogę sobie pozwolić na luksus bycia prześladowaną właśnie teraz. Muszę myśleć o sobie, o dziecku, o tym, jak mam wszystko zaplanować i przygotować się.

Spojrzałam na niego. Zdjął okulary i bacznie mi się przyglądał.

— Mogę zadać ci pytanie? — powiedziałam.

Pokiwał głową.

— Potrzebuję męskiego poglądu na sprawę. Czy masz dzieci?

— Żadnych, o których... to znaczy, nie.

— Widzisz, zamierzałaś powiedzieć „Żadnych, o których wiem”, prawda?

— Tak, ale zatrzymałam się — odparł. — No, prawie.

— Dobra. Więc żadnych dzieci. Jakbyś się czuł, gdybyś był z kimś, potem już nie, a ona przyszła do ciebie i oznajmiła: „Wiesz, co? Będę miała twoje dziecko!” Czy chciałbyś o tym w ogóle wiedzieć?

— Jeśli to byłbym ja — odparł, pogrążony w myślach. — No dobra, tak. Jeśli to byłbym ja, to chciałbym wiedzieć. Chciałbym być częścią życia tego dziecka.

— Nawet jeśli nie byłbyś już z jego matką?

— Uważam, że dzieci zasługują na to, by zajmowali się nim oboje rodzice i mieli wpływ na to, kim się staną, nawet jeśli żyją oddzielnie. Wystarczająco ciężko się dorasta na tym dzisiejszym świecie. Myślę, że dzieci potrzebują całej tej pomocy, jaką mogą otrzymać.

Nie było to oczywiście to, co chciałam usłyszeć. To, co chciałam usłyszeć, to: *Możesz to zrobić, Cannie! Możesz to zrobić sama!* Jeśli nie miałam być z Bruce'em — a był na to wystarczająco wyraźny dowód — chciałam każdego rodzaju zapewnienia, że pojedynczy rodzic jest świet-

nym i właściwym rozwiązaniem. — Więc uważasz, że powinnam mu powiedzieć.

— Jeśli to byłbym ja, — mówił, dalej zamyślony — chciałbym, by mi powiedziano. Ale nieważne co zrobisz albo co on zechce, to ty będziesz wciąż tą, która podejmie ostateczną decyzję. Co najgorszego mogłoby się wydarzyć?

— On i jego matka pozywają mnie do sądu i próbują odebrać mi dziecko?

— Czy o tym nie było w programie Oprah? — zapyta}.

— Sally Jessy — sprostowałam. Zaczynało się robić chłodno. Owinęłam się ciasniej laboratoryjnym fartuchem.

— Czy wiesz, kogo mi przypominasz? — spytał.

— Jeśli powiesz Janeane Garofalo, skoczę — ostrzegłam. Zawsze mówią Janeane Garofalo.

— Nie — odparł.

— Twoją matkę? — próbowałam dalej.

— Nie moją matkę.

— Tego gościa w programie Jerry'ego Springera, który był tak gruby, że sanitariusze musieli wyciąć dziurę w jego domu, by go stamtąd wydostać?

Uśmiechał się, chociaż starał się tego nie robić. — Bądź poważna! — zbeształ mnie.

— No dobrze. Kogo?

— Moją siostrę.

— Ooo — zastanowiłam się nad tym przez chwilę. — Czy ona jest... — I wtedy nie wiedziałam, co powiedzieć. Czy jest gruba? Czy jest zabawna? Czy wpadła ze swoim byłym chłopakiem?

— Wyglądała trochę podobnie jak ty — powiedział. Wyciągnął dłoń, koniuszki jego palców niemal muskały moją twarz. — Miała policzki takie, jak twoje i taki sam uśmiech.

Zadałam pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy. — Była starsza czy młodsza?

— Była starsza — odpowiedział, z oczami wpatrzonymi prosto przed siebie. — Umarła, kiedy miałem dziewięć lat.

— Och.

— Wielu moich pacjentów, gdy mnie poznają, chce wiedzieć, dlaczego zająłem się tą dziedziną medycyny. To znaczy, nie ma oczywistego powiązania. Nie jestem kobietą, nigdy nie miałem problemów z wagą...

— Och, pewnie. Nie wytykaj mi tego — powiedziałam. — Więc twoja siostra była... ciężka?

— Nie, niezupełnie. Ale to sprawiało, że wariowała. — Mogłam dojrzeć jedynie bok jego twarzy, gdy się uśmiechał. — Zawsze była na tych swoich dietach... gotowane na twardo jajka w jednym tygodniu, w drugim arbuz.

— Czy ona miała, hmmm, zaburzenia trawienia?

— Nie. Jedynie standardowego rodzaju nerwice wokół jedzenia. Miała wypadek samocho-

dowy... tak właśnie zmarła. Pamiętam, że moirodźce byli w szpitalu i nikt przez dłuższy czas nie mówił mi, co się działo. Wreszcie moja ciotka, siostra mamy, przyszła do mojego pokoju i powiedziała, że Katie jest w niebie, a ja nie powinienem być smutny, bo niebo jest cudownym miejscem, gdzie można robić to, co się najbardziej lubi. Zacząłem sobie myśleć, że niebo jest miejscem pełnym Devil Dogsów i lodów, i bekonu, i wafli... wszystkich tych rzeczy, które Katie chciała jeść, a nigdy sobie na nie nie pozwalała. — Odwrócił się twarzą do mnie. — Brzmi głupio, czyż nie?

— Nie. Nie, tak właściwie to ja sama tak sobie wyobrażam niebo. — Poczulałam się okropnie, jak tylko to powiedziałam. A co, jeśli pomyśli, że się wyśmiewałam z jego biednej, zmarłej siostry?

— Jesteś Żydówką, prawda?

— Taaak.

— Ja też. To znaczy w połowie. Mój ojciec był. Ale nie byliśmy wychowywani w jakiś szczególny sposób. — Spojrzał na mnie zaciekawionym wzrokiem. — Czy Żydzi wierzą w niebo?

— Nie... nie w techniczny sposób. — Sięgnęłam po omacku po moje lekcje w szkole hebrajskiej. — Chodzi o to, że umierasz, a potem jest tylko... tak jakby sen, jak sądzę. Nie ma takiej prawdziwej koncepcji na życie po śmierci. Tylko sen. A potem nadchodzi Mesjasz i wszyscy będą ponownie żyć.

— Życ w ciałach, które mieli, kiedy żyli wcześniej?

— Nie wiem. Ja osobiście zamierzam lobbować za Heidi Klum.

Zaśmiał się lekko. — Czy ty... — Odwrócił się do mnie twarzą. — Jest ci zimno.

Trochę się trzęsłam z zimna. — Nie, jest dobrze.

— Przepraszam — powiedział.

— Nie, jest świetnie! Tak właściwie, to lubię słuchać o, hmm, życiu innych osób. — Już miałam powiedzieć „problemach”, ale ugryzłam się w porę w język. — To było dobre.

Ale on już zdążył wstać i odejść ode mnie na trzy długie kroki, był już prawie przy drzwiach. — Powinnaś być w środku — wymamrotał. Trzymał drzwi otwarte. Weszłam do klatki schodowej, ale nie postąpiłam naprzód, tak że gdy zamknął drzwi, znalazł się bardzo blisko mnie.

— Chciałeś mi zadać jakieś pytanie — oznajmiłam. — Powiedz, co to miało być.

Teraz to on wyglądał, jakby stracił głowę. — Ja... hmm... te, uch, zajęcia z odżywiania w czasie ciąży, jak sądzę. Zamierzałem się ciebie spytać, czy wzięłabyś pod uwagę zapisanie się na któreś z nich.

Wiedziałam, że nie o to chodziło. Nawet miałam słabe przypuszczenia, że to mogło być coś zupełnie innego. Ale nic nie powiedziałam. Może on miał krótką, przelotną myśl, by zapytać mnie... o coś... bo mówił o swojej siostrze i poczuł się tak mało odporny. A może zrobiło mu się

przykro z powodu mnie. A może całkowicie się pomyliłam. Po tej całej porażce ze Steve'em, teraz z Bruce'em, przestałam tak naprawdę ufać swoim instynktom.

— O której godzinie się spotykają? — zapytałam.

— Sprawdzę to — odparł i ruszyłam za nim po schodach w dół.

Rozdział XIII

Po długim rozważaniu i wykonaniu około dziesięciu próbnych wersji, ułożyłam i wysłałam do Bruce'a list.

Bruce,

Nie ma sposobu, by to jakoś polukrować, więc powiem wprost, że jestem w ciąży. Stało się to podczas naszego ostatniego spotkania i zdecydowałam się zatrzymać dziecko. Mam urodzić 15 czerwca.

Jest to moja decyzja i ostrożnie ją podejmowałam. Chciałam Ci dać o niej znać, ponieważ chcę, byś sam dokonał wyboru, do jakiego stopnia zaangażujesz się w życie tego dziecka.

Nie mówię Ci, co masz zrobić, ani też o nic nie proszę. Ja już wybrałam, teraz wybierz Ty. Jeśli zechcesz spędzić życie z dzieckiem, zrobię co w mej mocy, by to umożliwić. Jeśli nie, zrozum.

Przykro mi, że tak się stało. Wiem, że to nie to, czego teraz potrzebujesz w swoim życiu. Ale uznałam, że zasługujesz na to, by się o tym dowiedzieć, tak więc możesz dokonać takich wyborów, jakie uznasz za odpowiednie. Proszę Cię jedynie o jedną rzecz, byś o tym nie pisał. Nie obchodzi mnie, czy będziesz mówił o mnie, ale ktoś inny wchodzi teraz w grę.

Uważaj na siebie, Cannie

Napisałam mój numer telefonu, na wszelki wypadek, gdyby już zdołał go zapomnieć, i wysłałam list.

Było wiele rzeczy, o których chciałam napisać, jak na przykład to, że wciąż za nim usycham z tęsknoty. Że nadal marzę o tym, by do mnie wrócił, byśmy byli wszyscy razem: ja, Bruce i dziecko. Że często bardzo się obawiałam, a kiedy się nie obawiałam, to byłam na niego wściekła, albo to, że czuję się tak zmarnowana z miłości i tęsknoty za nim, że bałam się nawet pomyśleć jego imię, z obawy przed tym, co bym zrobiła, i że tak bardzo, jak wypełniałam moje dni sprawami do załatwienia, planami i listami, malowaniem drugiego pokoju w kolorze żółtym zwanym Lemoniadowym Straganem i składaniem kredensu kupionego w Ikei, tak często, za często, łapałam się na myśleniu o tym, że bardzo chciałam mieć go z powrotem.

Ale nic z tego nie napisałam.

Przypomniałam sobie, jak byłam w ostatniej klasie szkoły średniej i ciężko było doczekać się chwili, gdy uczelnie odeślą nam swoje listy i przekażą, czy nas przyjmują, czy też nie. Uwierzcie mi, czekanie na to, aż ojciec twojego nieurodzonego jeszcze dziecka odpowie ci, czy chce, czy

nie chce zwracać sobie głowę tobą czy dzieckiem, jest o wiele gorsze. Przez trzy dni obsesyjnie sprawdzałam domowy telefon. Przez tydzień jeździłam do domu w porze lunchu, by sprawdzić zawartość skrzynki pocztowej, przeklinając się za to, że nie wysłałam listu pocztą poleconą, bym przynajmniej wiedziała, czy go otrzymał.

Nic nie było. Dzień za dniem i nic. Nie mogłam uwierzyć w to, że był taki zimny. Że odwróciłby się do mnie — do nas — plecami tak całkowicie. Ale taka była, jak się wydawało, prawda. Zatem poddałam się... albo raczej starałam się zmusić do poddania się.

— Jest jak jest — powiedziałam do mojego brzucha. Był niedzielny poranek, dwa dni przed Świętami Bożego Narodzenia. Wybrałam się na przejażdżkę rowerową (mogłam jeździć do szóstego miesiąca, za wyjątkiem ewentualnych komplikacji), złożyłam ruchomą zabawkę, składającą się z pomalowanych w ostrych kolorach psich kości, którą wykonałam sama, na podstawie książki pod tytułem *Proste dzieła dla dzieci*, i nagradzałam się długą, gorącą kąpielą.

— Uważam, że dzieci powinny mieć oboje rodziców. Wierzę w to. Idealnie rzecz biorąc, miałabym dla ciebie ojca. Ale nie mam. Widzisz, twój, hmm, biologiczny ojciec jest naprawdę dobrym facetem, ale nie był właściwym facetem dla mnie i przechodzi teraz trudny okres, i ponadto spotyka się z kimś innym... — Było to pewnie więcej niż moje nieurodzone jeszcze dziecko potrzebowało wiedzieć, ale co tam. — Więc jest mi przykro. Ale tak już jest. I zamierzam cię wychowywać najlepiej, jak potrafię, i zrobimy z tego najlepszy użytek, i mam nadzieję, że nie obrazisz się na mnie strasznie któregoś dnia, kończąc robieniem sobie tatuaży, wbijaniem kolczyków i innych *rzeczy*, uzewnętrzniających twój ból, czy też czegokolwiek, co dzieciaki będą robić za piętnaście lat, ponieważ jest mi przykro i będę robić wszystko, żeby się udało.

Jakoś przekuśtykałam przez wakacje. Zrobiłam karmelki i ciasteczka dla moich przyjaciół zamiast kupowania im prezentów, wetknęłam gotówkę (mniej niż odmierzyłam rok wcześniej) do kartek dla mojego rodzeństwa. Pojechałam do domu na mamy doroczne, waka-cyjnie otwarte drzwi, gdzie tuziny jej przyjaciół, plus wszyscy członkowie Klubu Biseksualistów i wielu z listy Mojej Własnej Ligi zabiegali wokół mnie, oferując dobre życzenia, porady, nazwiska lekarzy i ośrodków dziennej opieki i lekko używany egzemplarz *Heather miała dwie mamy* (to ostatnie od wprowadzonej w błąd idiotki o imieniu Dot, którą Tania natychmiast wzięła na bok, by ją poinformować, że nie jestem lesbijką, tylko porzuconym reproduktorem). Przebywałam w kuchni tak długo, jak tylko się dało, ucierając ziemniaki, smażąc oładki, słuchając Lucy obdarzającej mnie historyjką o tym, jak to ona i jedna z jej przyjaciółek przekonały faceta poznanego w barze, by zabrał je do swojego domu i otwarły pod choinką wszystkie prezenty świąteczne po tym, jak przy nich zmarł.

— To nie było zbyt miłe — zbesztalam ją.

— On nie był bardzo miły — powiedziała Lucy. — Co on robił, zabierając nas obie do domu, podczas gdy jego żona wyjechała z miasta?

Zgodziłam się, że miała rację.

— Oni wszyscy są psami — ciągnęła wyniośle Lucy. — Oczywiście, nie muszę ci tego mówić. — Pociągnęła ze szklanki przezroczystego płynu. Oczy jej błyszczały. — Muszę przywrócić sobie moje wakacje — oznajmiła.

— Przywracaj je sobie na zewnątrz — ponagliłam ją i dodałam kolejną porcję papki z surowych ziemniaków na rozgrzany tłuszcz na patelni. Pomyślałam sobie, że Lucy pewnie w duszy była bardzo uradowana, że to ja, a nie ona, znalazłam się w tym poplątanym położeniu. Dla Lucy nieplanowana ciąża byłaby prawie jak oczekiwana. Dla mnie była szokująca.

Mama wetknęła głowę do kuchni. — Cannie? Zostajesz na noc, prawda?

Pokiwałam głową na tak. Od Święta Dziękczynienia nabrałam zwyczaju spędzania przynajmniej jednej nocy co weekend w domu mamy. Ona gotowała kolację, ja ignorowałam Tanie i rankami pływałyśmy, wolno, ramię w ramię, zanim pakowałam do samochodu zapasy żywności i wszystko to, co jej przyjaciółki darowały mi jakoniezbędne artykuły dla nowonarodzonego dziecka i wracałam z powrotem do miasta.

Mama podeszła do pieca i pogmerała łopatką w moich oławkach. — Uważam, że olej jest za gorący — zasugerowała. Przegoniłam ją, ale wycofała się tylko do zlewu.

— Wciąż nic od Bruce'a? — zapytała. Pokiwałam raz. — Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała. — To do niego niepodobne...

— Jak uważasz — ucięłam. Tak naprawdę to uważałam, że mama miała rację. To nie było podobne do Bruce'a, którego znałam i byłam zraniona i oszołomiona, jak byłaby każda inna. — Najwyraźniej zdołałam wydobyć z niego to, co najgorsze.

Mama rzuciła mi uprzejmy uśmiech. A potem pochyliła się, by zmniejszyć temperaturę pieca. — Nie spal ich — powiedziała i wróciła do przyjęcia, zostawiając mnie z patelnią do połowy wysmażonych placków ziemniaczanych i wszystkimi moim pytaniami. *Czy jest mu to obojętne?* Zastanawiałam się. *Czy jest mu to w ogóle obojętne?*

Przez całą zimę starałam się być czymś zajęta. Robiłam rundki po przyjęciach moich przyjaciół, popijając przyprawiony jabłecznik zamiast grzanego piwa z jajkiem czy szampana. Poszłam na kolację z Andym, wychodziłam na spacer z Samantą, do szkoły rodzenia z Lucy, która zgodziła się być ze mną przy porodzie „tak długo, jak tylko nie będę musiała patrzeć na twoją cipkę!”. W rzeczywistości, prawie nas wyrzucono z pierwszych zajęć, kiedy Lucy zaczęła się wydierać „Przyj! Przyj!”, podczas gdy wszystko, czego prowadzący chciał, to porozmawiać o wyborze szpitala. Od tego czasu zatem pary mamusio-tatusiowe zaczęły nas omijać z daleka.

Dr K. stał się moim nowym e-mailowym przyjacielem. Pisał do mnie do biura raz czy dwa razy w tygodniu, pytając, jak się miewam, informując na bieżąco o znajomych z Grupy Otyłych. Dowiedziałam się, że Esther kupiła ruchomą bieżnię i zrzuciła prawie dwadzieścia kilogramów, i że Bonnie znalazła sobie chłopaka. „Daj mi znać, jak się miewasz” — pisał zawsze, ale nigdy nie

pisałam mu za dużo, głównie dlatego, że nie wiedziałam, do jakiego pudła go włożyć. Czy był lekarzem? Przyjacielem? Nie potrafiłam tego rozszyfrować, więc mówiłam o sprawach bieżących, przekazując mu ostatnie redakcyjne plotki, nad czym pracowałam i jak się czułam.

Powoli zaczynałam mówić osobom mi bliskim o tym, co się działo, zaczynając od kręgów bliższych, stopniowo rozszerzając je o osoby z dalszego otoczenia — dobrych przyjaciół, a potem nie-tak-dobrych przyjaciół, garść współpracowników, pół tuzina krewnych. Tam, gdzie to było możliwe, robiłam to osobiście, czasem e-mailem, jak w przypadku Maxi.

„Jak się okazuje, ” zaczęłam, „jestem w ciąży.” Podałam jej skondensowaną — dozwoloną od lat 13 — wersję zdarzeń. „Pamiętasz, kiedy powiedziałam Ci o naszym ostatnim spotkaniu?”, pisałam. „Mieliśmy zbliżenie, gdy byłam u niego w domu. Właśnie tak to się stało.”

Odpowiedź Maxi przyszła natychmiast, w postaci dwóch zdań wypisanych dużymi literami. „CO ZAMIERZASZ ZROBIĆ?”, napisała. „CZY POTRZEBUJESZ POMOCY?”

Opowiedziałam jej o moich planach: mieć dziecko, pracować na pół etatu. „To nie jest to, co bym kiedyś planowała, ” pisałam, „ale staram się wybrnąć najlepiej z tej sytuacji.”

„Czy jesteś szczęśliwa?” odpisała z powrotem Maxi. „Czy się boisz? Co mogę dla Ciebie zrobić?”

„W pewnym sensie jestem szczęśliwa. Jestem podniecona”, pisałam. „Wiem, że moje życie się zmieni i staram się nie obawiać tego, w jaki sposób to się stanie.” Zastanowiłam się nad jej ostatnim pytaniem i odpisałam, że tego, czego od niej potrzebuję, to by była dalej moją przyjaciółką i by utrzymywała ze mną kontakt. „Miej dla mnie dobre myśli”, przekazałam jej. „I bądź pełna nadziei, że wszystko jakoś się uda.”

Niektóre dni jednak nie wskazywały, że jest to prawdopodobne. Jak dzień, kiedy weszłam do apteki, by zaopatrzyć się w niezbędne preparaty ciążowe, włącznie z Metamucilem i Preparatem H, i natknęłam się na ostatni artykuł Bruce’a w kolumnie „Dobra w łóżku”, rozprawkę naukową na temat publicznego okazywania uczucia, zatytułowaną „Och, Och, Jemioło”.

„Gdyby to ode mnie zależało”, pisał, „trzymałbym E za rękę całe życie. Ma ona najcudowniejsze dłonie, maleńkie, smukłe i delikatne, tak odmienne od moich.”

Albo od moich, pomyślałam smutno, przyglądając się własnym, grubo-palczastym dłoniom, z wystrzępionymi paznokciami i przebranymi naskórkami.

Jeśliby zależało to ode mnie, całowałbym ją na każdym rogu ulicy i tulił ją do siebie na wprost firm organizujących castingi. Nie potrzebuję okazyjnych przeprosin, czy też kawałka zieloniny dyndającego z sufitu jako bodziec. Ona jest całkowicie urocza, a ja nie jestem taki nieśmiały, by jej tego nie okazać.

To czyni mnie niezwykłym, wiem o tym. Wielu mężczyzn wolałoby raczej nosić wasze torby z zakupami, wasze plecaki, może nawet wasze torebki, niż trzymać was publicznie za rękę. Nie przeszkadza im całowanie swoich matek i sióstr — lata przyzwyczajęń osłabiły ich opór — ale nie są tak wspaniałomyślni, gdy przychodzi do całowania was, gdy ich przyjaciele mogą patrzeć. Jak pokonać te uprzedzenia twojego mężczyzny? Nie przestawaj próbować. Dotykaj jego palców, gdy dzielicie popcorn w kinie i trzymaj go za rękę, gdy wychodzicie przez drzwi. Pocałuj go najpierw filuternie, i miej nadzieję, że on się odwzajemni, z jeszcze większą pasją. Spróbuj wetknąć tę jemiołę w swój biustonosz, albo lepiej załóż ten koronkowy pas do pończoch, którego nigdy nie zakładałaś...

Koronkowe pasy do pończoch. Och, to boli. Pamiętam teraz, jak na moje urodziny i na Walentynki Bruce pokazywał się z pudełkami pełnymi bielizny dużych rozmiarów. Odmawiałam noszenia tego. Powiedziałam mu, że jestem nieśmiała. W rzeczywistości te rzeczy sprawiały, że czułam się głupio. Kobiety o regularnych wymiarach wstydzą się swojego tyłka i brzucha. Jak ja mogłam się czuć, wciskając się w obcisłe body czy stringi, które jakoś zdobył? To było jak kiepski żart, jak złośliwa sztuczka, jak kawał w *Ukrytej Kamerze*, gdzie jak tylko bym pokazała, że jestem głupia czy wystarczająco naiwna, by myśleć, że wyglądałabym dobrze w tych rzeczach, Allan Funt i jego ekipa wyskoczyliby z ukrycia, z włączonymi jasnymi lampami i gotowymi obiektami szerokokątnymi. Bez względu na to, jak bardzo Bruce starał się mnie zapewnić („Nie kupiłbym tego dla ciebie, gdybym nie chciał cię widzieć w to ubraną!”), po prostu nie potrafiłam zmusić się nawet do spróbowania.

Zamknęłam magazyn. Zapłaciłam za moje rzeczy, wrzuciłam je do kieszeni i ruszyłam w mozolny marsz do domu. Mimo iż wiedziałam, że napisał swój grudniowy artykuł miesiąc przed tym, jak dostał mój list — jeśli w ogóle go dostał — poczułam się jednak tak, jakbym dostała policzek.

Ponieważ nie miałam żadnych planów przyjęciowych (nie mówiąc już o tym, że nie miałam nikogo do pocałowania), zgłosiłam się na ochotnika do pracy w Sylwestrowy wieczór. Wyszłam o 11:30, przyszłam do domu, opatuliłam Nifkina w mały sweterek z kędzierzawej wełny, którym pogardzał (w głębi duszy byłam pewna, że myślał sobie, iż wyglądał w nim głupio... i w głębi duszy musiałam mu przyznać, że miał rację), a siebie zapakowałam w zimowy płaszcz. Wetknęłam jeszcze butelkę bezalkoholowego soku winogronowego do kieszeni i poszliśmy do Penns Landing, by przysiąc sobie na molo, poobserwować sztuczne ognie i popatrzeć, jak wokół nas pijane nastolatki i mieszkańcy South Philly wrzeszczą i się oblapiają, i całują. Był rok 1999.

Potem wróciłam do domu i zrobiłam coś, co prawdopodobnie powinnam była zrobić dużo wcześniej. Wzięłam wielkie, kartonowe pudło i zaczęłam pakować wszystkie rzeczy, jakie dostałam od Bruce’a, czy też mi go przypominały.

Do środka poszła na wpół stopiona świeca o kształcie kuli, którą zapaliliśmy razem w Vermont, i w której migocącym świetle i przy jej słodkim zapachu uprawialiśmy miłość. Do pudła wrzuciłam też wszystkie listy od niego, każdy złożony starannie w swojej kopercie. Tam też znalazła się cała bielizna, którą mi kupił, a nigdy jej nie założyłam, wibrator, jadalne olejki do ciała i kajdanki wykończone różowym futerkiem, które nie były rzeczami, jakie mogłyby się pałętać wokół, gdy baraszkować będzie sobie dziecko. W pudle znalazł się też naszyjnik ze szklanych paciorków, który dostałam od jego matki na moje ostatnie urodziny i skórzana torba z poprzednich urodzin. Po pewnej chwili zastanowienia zdecydowałam się zachować sobie przenośny telefon, który zdołał stracić powiązanie z Bruce'em... ostatecznie przestał przecież dzwonić. I zatrzymałam sobie płyty CD z Ani DiFranco i Mary Chapin Carpenter, Liz Phair i Susan Werner. To była moja muzyka, nie jego.

Zamknęłam pudło, okleiłam taśmą klejącą i zesłałam na dół, do piwnicy, myśląc sobie, że może mogłabym sprzedać co ładniejsze *rzeczy*, gdyby do czego doszło, ale póki co, będą one poza zasięgiem mojego wzroku, i to może wystarczy. Przynajmniej na początek. Potem wróciłam schodami na górę i otwarłam hałaśliwie nowy pamiętnik, piękną księgę z okładką z marmurkowego papieru i grubymi, poliniowanymi stronami. „1999”, napisałam, podczas gdy Nifkin wskoczył i usiadł obok mnie na jednym ramieniu kanapy, patrząc na pisane przeze mnie słowa z, jak miałam nadzieję, aprobatą. „Dla mojego dziecka, które już bardzo kocham.”

Przez prawie cały styczeń padał deszcz, a w lutym niemal bezustannie padał śnieg, zmieniając wszystko w biel na około dziesięć minut, aż dymiące autobusy i faceci odchrząkający flegmę na ulicę zamieniali z powrotem w kolor szary. Staralam się nie patrzeć na czerwone, foliowe serduszka przyklejone do okien sklepowych. Próbowałam unikać walentynkowego, czerwonoróżowego wydania *Moxie*, w którym Bruce, jak informowała okładka, zamieścił artykuł o tytule „Spraw, by on chciał krzyczeć: 10 Nowych Ekscytujących Sztuczek w Seksie, Rozbudzających Erotyczne Przygody.” Pewnego fatalnego dnia, stojąc w kolejce do kasy, przerzucałam magazyn i dotarłam do jego kolumny, gdzie zaatakowało mnie całostronicowe zdjęcie Bruce'a ubranego w ostroczerwone bokserki, z wyrazem nikczemnej rozkoszy na twarzy, leżącego nonszalancko na łóżku z kobietą, którą, miałam szczerą nadzieję, była modelka *Moxie*, a nie tajemnicza E. Wepchnęłam magazyn z powrotem na stojak, tak jakbym się oparzyła, i zdecydowałam, po osobistych konsultacjach z Samantą („Po prostu zostaw to, Cannie”) i e-mailowej debacie z Maxi („Mogłabym go zabić, jeśli chcesz”), że najlepiej będzie po prostu to ignorować i być wdzięcznym za to, że luty jest krótkim miesiącem.

Mijał czas. Wyhodowałam nowy i interesujący zestaw rozstępów, i zaczęłam usilnie pożądać importowanego sera Stilton, który sprzedawali w sklepie z delikatesami na South Street, kilogram za 32 dolary. Kilka razy byłam już blisko porwania kawałka i wsunięcia do kieszeni płasz-

cza, by potem wymknąć się chyłkiem, ale nigdy tego jednak nie zrobiłam. Zbyt żenujące byłoby potem tłumaczenie się z mojego serowego nałogu temu, kto przyszedłby do mnie i zapłacił za mnie kaucję po moim nieuchronnym zaarrestowaniu.

Tak naprawdę to czułam się całkiem dobrze, co było, jak opisywała większość bezlitośnie radosnych książek o ciąży, typowe dla drugiego trymestru. „Będziesz się czuć rozpromieniona i pełna życiowej energii!” podawała jedna, pod zdjęciem rozpromienionej i żywotnie wyglądającej ciężarnej kobiety, przechadzającej się przez pola dzikich kwiatów, trzymanej za rękę przez jej, wyglądającego na w pełni oddanego, małżonka. Nie było tak cudownie, z tą powtarzającą się, wszechogarniającą potrzebą snu i moimi piersiami bolącymi tak bardzo, że któregoś dnia fantazjowałam, że odpadają i turlają się po ziemi — tej nocy, gdy wyjadłam cały słoik mango-chutney, oglądając powtórkę *Total Request Live* na MTV. Sporadycznie — no dobrze, może więcej niż sporadycznie — było mi tak siebie żal, że płakałam. Wszystkie moje książki zawierały zdjęcia pań w ciąży ze swoimi mężami (lub też, w przypadku tych bardziej postępowych, z partnerami) — kimś, kto wetrze ci masło kakaowe w brzuch i przyniesie lody czy pikle, rozchmurzy, nakłoni do czegoś i pomoże wybrać imię. Ja nie miałam nikogo, pogrążałam się w czarnych myślach, wygodnie pomijając istnienie Samanty, Lucy i telefonów od mamy, dwóch każdego wieczoru, plus cotygodniowych nocy spędzanych w domu. Nikogo, by wysłać do sklepu spożywczego w środku nocy, nikogo, z kim bym mogła omawiać do późnego wieczoru względne zalety Alicji i Abigail, nikogo, kto powiedziałby mi, bym się nie obawiała bólu i przyszłości, i że wszystko będzie dobrze.

Czułam, jakby sprawy stawały się bardziej skomplikowane, zamiast mniej. Z jednej strony, ludzie w pracy zaczęli już coś zauważać. Nikt jeszcze nie przyszedł do mnie wprost i nie spytał, ale łapałam na sobie od czasu do czasu czyjś wgapiiony wzrok, albo też sporadycznie słyszałam szybko zapadającą ciszę, gdy wchodziłam do toalety albo kawiarenki.

Pewnego popołudnia Gabby przyparła mnie do muru przy moim biurku. Polowała na mnie od jesieni, kiedy to w niedzielnym wydaniu ukazał się mój ogromny artykuł o Maxi, na pierwszej stronie działu poświęconego rozrywce, co też spodobało się moim szefom. Zrobił na nich wrażenie fakt, że byliśmy jedyną gazetą na Wschodnim Wybrzeżu, która miała zapewniony wywiad z Maxi, a nawet bardziej byli przejęci tym, że tylko my mieliśmy materiał, w którym Maxi mówi tak otwarcie o swoim życiu, swoich celach i nieudanych romansach. Dostałam za to małą, miłą premię oraz żarliwą notkę od redaktora naczelnego, którą przechowywałam przypiętą w widocznym miejscu do mojej ścianki działowej.

Wszystko to było dla mnie dobre, ale oznaczało, że Gabby miała coraz bardziej wstrętne nastroje — zwłaszcza od kiedy dostałam zgodę na pisanie o nagrodach Grammy, podczas gdy jej powierzono napisanie wstępnej notki pośmiertnej o Andym Rooney, gdyby jego zdrowie znacznie miało się pogorszyć.

— Czy ty przybierasz na wadze? — zapytała.

Staralam się odwrócić pytanie, jak doradza *Redbook* w swoich „Dziesięciu wskazówkach, jak sobie radzić z trudnymi ludźmi”, świadoma tego, że wszyscy nastawili uszu. — Co za niezwykle pytanie — powiedziałam przez zdrętwiałe wargi. — Dlaczego cię to interesuje?

Gabby tylko wpatrywała się we mnie, odmawiając gryzienia. — Wyglądasz inaczej — odparła.

— Zatem, jeśli dobrze słyszę, — zaczęłam, stosując się do instrukcji *Redbooka*, — istotne jest dla ciebie, bym zawsze wyglądała tak samo?

Rzuciła mi długie, złowrogie spojrzenie, po czym odeszła obrażona. To mi odpowiadało. Nie podjęłam jeszcze decyzji, co mówić ludziom, czy też kiedy im to mówić, więc póki co nosiłam za duże koszule i legginsy, mając nadzieję, że przypiszą mój przyrost wagi (trzy kilogramy w pierwszym tryestrze, kolejne dwa od Święta Dziękczynienia) nadmiernemu pofolgowaniu sobie w czasie wakacji.

A prawdą było, że jadłam dobrze. Co weekend jadłam z mamą obfite, późne śniadanie, raz czy dwa razy w tygodniu kolację z przyjaciółmi, którzy zdawali się funkcjonować według pewnego rodzaju taryfy największego zaufania. Każdego wieczoru ktoś dzwonił i wpraszał się na kawę, albo proponował spotkanie przy porannym bajglu. Codziennie w pracy Andy pytał się, czy nie chciałabym trochę resztek z tego cudownego miejsca, w którym jadł poprzedniego dnia, albo Betsy zabierała mnie na lunch do maleńkiej, wietnamskiej restauracyjki oddalonej o jedyne dwieście metrów. To tak, jakby obawiali się zostawić mnie samą.

I było mi nawet obojętne, czy byłam dla nich przypadkiem godnym politowania, czy też ich planem. Chłonełam to wszystko, próbując się oderwać od myślenia o Bruce’ie i obsesyjnego myślenia o rzeczach, których jeszcze nie miałam (bezpieczeństwa, stabilności, ojca dla mojego nienarodzonego dziecka, ubrań dla matek w ciąży, które nie sprawiają, że będę wyglądała jak mały stok narciarski). Chodziłam do pracy i na wizyty u doktor Patel, i zrobiłam przygotowania do wszystkich klas i kursów, jakie nowa, oczekująca na dziecko mama zechce: Podstawy Karmienia Piersią, Dziecięce CPR, Rodzicielskie 101.

Mama wypowiedziała tylko słowo i jej przyjaciółki opróżniły swoje strychy i strychy swoich córek. W przeciągu tygodnia tonęłam w rzeczach, o których nigdy nie wiedziałam, że mogłabym ich potrzebować. Do lutego miałam stolik do przewijania, pieluszki Genie, łóżeczko dziecinne, fotelik samochodowy i wózek, który wyglądał na bardziej luksusowy (i bardziej skomplikowany) od mojego małego samochodu. Miałam pudła pełne śpiochów i małych, dzierganych czapeczek, obślinione egzemplarze *Króliczka Pata* i *Dobranoc, Księżycu oraz* srebrne grzechotki ze śladami małych ząbków. Miałam butelki i smoczki, i sterylizator smoczków. Josh dał mi kupon 50-dolarowy na zakupy w EBaby. Lucy podarowała mi pudełko ręcznie zrobionych kuponów wyrażających jej zgodę na zajmowanie się dzieckiem raz w tygodniu („na tak długo, jak tylko nie bę-

dę musiała zmieniać pieluchy Nr Dwa!”).

Stopniowo zmieniałam mój drugi pokój z gabinetu w pokójki dziecienny. Czas, który wcześniej poświęcałam na pisanie scenariuszy, opowiadań i listów z zapytaniami do *GQ* i *New Yorkera* — dla poprawienia swojej sytuacji materialnej, głównie — zaczęłam przeznaczać na serię własnoręcznie wykonywanych usprawnień domowych. I, niestety, wydawać pieniądze. Kupiłam dywanik w kolorze morskiej zieleni, który nieźle pasował do lemoniadowych ścian oraz kalendarz Beatrix Potter. Na śmietniku znalazłam obdrapane krzesło na kółkach, które odnowiłam malując na biało i dając do zrobienia nowe siedzisko z trzciny. Zaczęłam napełniać półkę każdą książką dla dzieci, jaką dałam radę wyciągnąć od wydawcy, pozycjami z domu i książkami używanymi. Każdego wieczoru czytałam do mojego brzucha... tylko po to, by nabrać nawyku oraz ponieważ gdzieś czytałam, że małe dzieci są wrażliwe na brzmienie głosu swojej matki.

I każdego wieczoru tańczyłam. Spuszczałam na dół wiecznie zakurzone, metalowe żaluzje, zapalałam kilka świec, zrzucałam z nóg buty, włączałam muzykę i zaczynałam się poruszać. Nie był to zawsze szczęśliwy taniec. Czasem puszczałam wczesną Ani DiFranco i, wbrew sobie, myślałam o Bruce’ie, gdy Ani wydzierała się: „You were never very kind, and you let me way down every time...”⁸. Ale starałam się wykonywać tańce radosne, z myślą o dziecku, a nie o sobie.

Czy byłam samotna? Szalenie. Żyjąc bez Bruce’a i bez możliwości jego ewentualnego powrotu, czy nawet ponownego zobaczenia go kiedykolwiek, i wiedząc, że odrzucił całkowicie mnie i nasze dziecko, czułam się, jakbym próbowała żyć bez tlenu. W niektóre dni robiłam się zła i wściekła na niego za to, że pozwolił mi zostać z nim tak długo... albo za to, że nie wracał, kiedy tak tego chciałam. Ale starałam się włożyć tę złość do pudła, w ten sam sposób, jak schowałam tam wszystkie jego prezenty, i iść dalej do przodu.

Czasami nie mogłam nic na to poradzić, ale zastanawiałam się, czy to tylko duma była przyczyną naszego rozdzielenia i czy nie byłoby mądrzej jednak do niego zadzwonić, albo jeszcze lepiej, jechać zobaczyć się z nim i tylko błagać, by mnie zechciał z powrotem. Zastanawiałam się, czy może, pomimo wszystkiego, co powiedział, wciąż mnie jeszcze kochał. Zastanawiałam się, czy on w ogóle mnie kiedyś kochał. Próbowałam powstrzymać się od takiego myślenia, ale mój mózg aż się od tego pieniał, dopóki nie wstawałam i nie zaczynałam czegoś robić. Polerowałam srebro, zabezpieczałam meble na obecność małego dziecka, robiłam porządki w szafach. Moje mieszkanie po raz pierwszy było czyste, nawet piękne. Zbyt źle jednak, że w mojej głowie był taki bałagan.

⁸ Nigdy nie byłeś bardzo miły i za każdym razem mnie tak zwodziłeś.

Rozdział XIV

— To, o czym każda samotna kobieta powinna pamiętać — powiedziała Samanta, gdy spacerowałyśmy razem po Kelly Drive w rześki, chłodny, kwietniowy poranek — to to, że jeśli on będzie chciał z tobą rozmawiać, zadzwoni. Tylko musisz to sobie wciąż powtarzać. „Jeśli będzie chciał ze mną porozmawiać, zadzwoni.”

— Wiem — odparłam ponuro, kładąc ręce na wzniesieniu brzucha, co mogłam robić, odkąd od tygodnia zaczęłam oficjalnie obnosić się z ciążą. Bycie w ciąży było zjawiskiem dziwnym, ale miało kilka zalet. Zamiast wzroku ludzi — no dobrze, mężczyzn — wyrażającego brak zainteresowania, bądź/i pogardę, ponieważ byłam Większą Kobieta, spoglądano na mnie z uprzejmością, teraz, gdy było widać moją ciążę. Była to miła zmiana. To nawet sprawiało, że czułam się trochę lepiej w odniesieniu do mojego wyglądu — przynajmniej przez kilka minut, od czasu do czasu.

— W zasadzie to już lepiej sobie radzę — powiedziałam. — Staram się być proaktywna. Kiedy tylko pomyślę o nim, zmuszam się do myślenia o czymś związanym z dzieckiem. O czymś, co mam zrobić, kupić albo na jaki kurs się zapisać.

— Brzmi nieźle. A jak w pracy?

— Nie jest źle — odparłam. Tak naprawdę, praca była teraz trochę dziwna — dziwnie mi się teraz wykonywało rzeczy, które mnie tak podniecały... czy denerwowały... albo zasmucały... czy też uszczęśliwiały rok temu, a teraz ledwo miały dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Bezpośredni wywiad z Craigiem Kilbornem podczas lunchu w Nowym Jorku, by omówić nowe kierunki jego przedstawienia? Eee. Niemiła sprzeczka z Gabby na temat tego, która z nas ma napisać notkę pośmiertną o *The Nanny*? Nieważne. Nawet wzmagająca się ilość spojrzeń, już nie ukradkowych, moich współpracowników, lustrujących obszar począwszy od mojego brzucha (pączkującego), a skończywszy na pozbawionym obrączki palcu, zdawała się nie mieć dla mnie znaczenia. Nikt z nich nie nabrał jeszcze tupetu, bo mnie wprost o coś spytać, ale ja byłam przygotowana na wszelkie możliwe pytania. Tak, powiedziałabym, jestem w ciąży. Nie, odparłabym, nie jestem już z ojcem dziecka. To, jak myślałam, może by ich powstrzymało... pod warunkiem, że umiałabym zmienić temat na opowieści o ich własnych ciążach/narodzinach/wychowywaniu dzieci.

— Co jest zatem w planach na dziś? — zapytała Samanta.

— Więcej zakupów.

Samanta jęknęła.

— Przepraszam, ale naprawdę potrzebuję jeszcze kilka rzeczy ze sklepu dla ciężarnych kobiet...

Wiedziałam, że Samanta starała się być nadzwyczaj miła robiąc ze mną zakupy. Ale mogłam przyznać, że nie było to łatwe. Z jednej strony, Samanta nienawidziła zakupów. Z drugiej, byłam

prawie pewna, że miała dość każdego, kto mógłby przypuszczać, że byłyśmy lesbijskimi kochankami.

Podczas gdy Samanta wychwalała zalety zakupów na zamówienie z katalogów i Internetu, jakiś facet uprawiał jogging, biegnąc niedaleko nas. Wysoki, szczupły, w krótkich spodenkach i bluzie koloru mysiego, reklamującej jakiś college czy coś takiego. Typowy biegacz na Kelly Drive w sobotni dzień. Za wyjątkiem tego, że ten się zatrzymał.

— Cześć, Cannie!

Zatrzymałam się i przymrużyłam oczy, kładąc ręce protekcyjnie na brzuchu. Samanta również stanęła, wpatrując się. Tajemniczy Biegacz zdjął z głowy baseballową czapkę. Był to Dr K.

— Hej! — powiedziałam, uśmiechając się. No proszę. Poza tym okropnie fluorescencyjnym budynkiem, bez białego, laboratoryjnego fartucha i okularów, był nawet pewnego rodzaju milutki... jak na starszego gościa.

— Poznaj mnie ze swoim przyjacielem — Samanta wręcz zamruczała.

— To jest Dr Krushelevansky — wypowiedziałam powoli i wyraźnie, jak sędzę, ponieważ uśmiechał się do mnie. — Z programu przy Uniwersytecie Filadelfijskim, na który uczęszczałam.

— Peter. Proszę — podsunął.

Nastąpiła wymiana uścisków rąk, podczas gdy dwóch rolkarzy o mały włos by w nas nie wjechało.

— Lepiej ruszmy się stąd — powiedziałam.

— Przejdę się z wami, — zaproponował — jeśli nie macie nic przeciwko temu. Muszę trochę ochłonać...

— Och, pewnie! Absolutnie! — odpada Samanta. Rzuciła mi krótkie, acz wymowne spojrzenie, które mogło znaczyć: „Czy jest samotny i czy jest Żydem, a jeśli jest, jakie miałabyś możliwe wytłumaczenie tego, że mi o nim nie wspomniałaś?”

Odpowiedziałam jej lekkim wzruszeniem ramion i uniesieniem brwi, co, jak byłam pewna, odebrała jako: „Nie mam pojęcia, czy jest samotny, a poza tym, czy ty przypadkiem nie jesteś już zajęta?” Samanta zdawała się przełamać obłądne pasmo pechowych, trzyrandkowych związków i wciąż była ze swoim instruktorem jogi. Wiele z naszych nie-Bruce’owych dyskusji toczyło się wokół kwestii, czy on nie był za bardzo Zen, by rozważać ożenek.

W tym czasie, całkowicie nieświadom naszej rozmowy prowadzonej szyfrem brwiowym, Dr K. zapoznawał się z Nifkinem, który był przedmiotem kilku dyskusji podczas zajęć Grupy Otyłych.

— A więc to ty jesteś tym słynnym facetem — oznajmił, gdy Nifkin demonstrował swój pionowy wyskok, skacząc za każdym razem coraz wyżej. — On powinien występować w cyrku — powiedział do mnie Dr K., drapiąc Nifkina energicznie za uszami, a ten wdzięczny się do niego w

podzięce.

— Taaak, cóż, jeszcze parę kilogramów i ja też tam się znajdę. Wciąż zatrudniają tłuste kobiety, prawda?

Samanta rzuciła mi przeciągłe spojrzenie.

— Wyglądasz bardzo zdrowo — uznał Dr K. — Jak praca?

— A dziękuję, dobrze.

— Czytałem twój artykuł w *The View* — powiedział. — Uważam, że miałaś całkowitą rację... to rzeczywiście przypomina mi Thunderdome.

— Pięć dziewczyn wchodzi, jedna wychodzi — zaintonowałam. Zaśmiał się. Samanta spojrzała na niego, na mnie, potem zrobiła sobie w myślach kilka równań i złapała smycz Nifkina.

— Dobrze! — oznajmiła radośnie. — Dzięki za spacerowanie ze mną, Cannie, ale naprawdę muszę już iść. — Nifkin zaskomlał, gdy zaczęła go ciągnąć za sobą w kierunku miejsca, gdzie zaparkowała swój samochód.

— Zobaczymy się później — dodała. — Udanych zakupów!

— Idziesz na zakupy? — zapytał Dr K.

— Taaak, potrzebuję kilka... — To, czego naprawdę potrzebowałam to nowej bielizny, bo majtki z Jockey For Her już nie zakrywały moich wzniesień, ale za nic bym mu o tym nie powiedziała. — artykułów spożywczych — powiedziałam słabo. — Wybierałam się do Fresh Fields...

— Czy miałabyś coś przeciwko temu, bym wybrał tam się z tobą?

— spytał. — Też potrzebuję kilku rzeczy. Mógłbym cię podwieźć — zaproponował.

Zmrużyłam oczy, patrząc na niego pod słońce. — Coś ci powiem. Jeśli możemy się spotkać za godzinę, to możemy najpierw zjeść śniadanie, a potem iść na zakupy — rzuciłam.

Powiedział mi, że mieszka w Filadelfii od siedmiu lat, ale nigdy nie był w Morning Glory Diner, moim ulubionym miejscu spożywania śniadań. Jeśli jest jakaś rzecz, którą kocham robić, to przedstawiać ludziom moje odkrycia kulinarne. Poszłam do domu, wzięłam szybki prysznic, założyłam na siebie wariację na temat mojego standardowego ubioru (czarne, aksamitne legginsy, gigantyczną tunikę, zakończoną koronką króciutką koszulkę Chuck Taylor w kolorze delikatnego odcienia barwinka, którą kupiłam za 10 dolarów), a potem spotkałam się z nim w Diner, gdzie, chwała Bogu, nie było nawet kolejki — jak na weekendową porę to był wręcz fuks. Miałam niezłe samopoczucie, gdy siadaliśmy na zabudowanej sofie. Wyglądał dobrze, również się wykapał, pomyślałam sobie, i przebrał w spodnie khaki i zapinaną na guziki, prostą koszulę.

— Założę się, że to dla ciebie dziwaczne zjawisko, wychodzenie z kimś do restauracji — zauważyłam. — Każdy pewnie czuje się bardzo zażenowany, gdy ma zamawiać to, czego naprawdę pragnie.

— Tak — przyznał. — Zauważyłem coś takiego.

— Dobrze, jesteś moim gościem — oznajmiłam mu i przywołałam kelnerkę z dredami na głowie i tatuażem wijącym się po jej odsłoniętym pod krótkim topem brzuchu. — Poproszę frittatę z serem i smażoną papryką, porcję bekonu z indyka, pieczywo drożdżowe, i czy można otrzymać i ziemniaki, i kaszę, zamiast jednego lub drugiego?

— Pewna sprawa — odparła i zamachała długopisem w kierunku doktora.

— A ja poproszę to samo — powiedział.

— Dobry chłopiec — skomentowała i poderwała się w kierunku kuchni.

— To w zasadzie śniadanie-obiad — próbowałam coś wytłumaczyć. Wzruszył lekko ramionami.

— Jesz za dwóch — odparł. — Jak się... mają... sprawy?

— Jeśli przez „sprawy” masz na myśli moją sytuację, to wszystko idzie świetnie. Teraz już się czuję dużo lepiej. Wciąż odczuwam ten dziwny rodzaj zmęczenia, ale to wszystko. Ale nie mam już zawrotów głowy, wymiotów, nie czuję się już tak wykończona, by zasypiać w redakcyjnej toalecie...

Roześmiał się. — Czy tak się stało?

— Tylko raz — powiedziałam. — Ale teraz jest już lepiej. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że moje życie zmieniło się w jedną z pomniejszych piosenek z katalogu Madonny, powoli jakoś daję sobie z tym radę. — Przyłożyłam teatralnie rękę w poprzek czoła. — Saaamotna.

Zmrużył oczy patrząc na mnie. — Czy to miała być Garbo?

— Hej, nie dokuczaj kobiecie w ciąży.

— To była najgorsza podróbka Garbo, jaką kiedykolwiek słyszałem.

— No dobra, wykonam to lepiej, jak się upiję — westchnęłam.

— Boże, jak ja tęsknię za tequila.

— Tylko powiedz mi o tym — powiedziała kelnerka, gdy stawiała na stole nasze talerze pełne jedzenia. Zaczęliśmy zajadać.

— To jest naprawdę dobre — ocenił w momencie, gdy akurat nie miał pełnych ust.

— Prawda? — zauważyłam. — Robią najlepsze pieczywo drożdżowe. Sekret tkwi w smalcu.

Spojrzał na mnie. — Homer Simpson.

— Bardzo dobrze.

— Naśladujesz Homera znacznie lepiej niż Garbo.

— Taaak. Ciekawam, co to mówi o mnie? — Zdecydowałam się zmienić temat, zanim zdołałby odpowiedzieć. — Czy ty kiedykolwiek myślisz o serze?

— Bezustannie — odparł. — Jestem tym wręcz udręczony. Budzę się w nocy, myśląc tylko... o serze.

— No nie, poważnie — przerwałam, pokazując na moją frittatę.

— Na przykład, kto wymyślił ser? Kto powiedział: „Hmm, założę się, że mleko będzie na-

prawdę smaczne, jeśli zostawię je na tak długo, aż się pokryje pleśnią?” Ser musiał być jakąś pomyłką.

— Nigdy o tym nie myślałem — przyznał. — Ale zastanawiałem się nad serkiem topionym Cheez Whiz.

— Oficjalną potrawą Filadelfii!

— Czy kiedykolwiek widziałś listę składników serka Cheez Whiz?

— zapytał. — Jest przerażająca.

— Jeśli chcesz rozmawiać o przerażaniu, to pokażę ci ulotkę o nacinaniu krocza przy porodzie, jaką dostałam od mojej lekarki — powiedziałam. Przełknął z trudnością. — No dobra, nie podczas jedzenia — zreflektowałam się. — Ale poważnie, o co chodzi w tej lekarskiej profesji? Czy próbujecie tak przerazić ludzką rasę, by ją nakłonić do celibatu?

— Denerwujesz się przed porodem? — zapytał.

— Do diabła, tak. Usiłuję znaleźć szpital, który mógłby mi zaaplikować środek nasenny. — Spojrzałam na niego z nadzieją. — Ty możesz przepisać coś takiego, prawda? Może mógłbyś mnie uspić na krótko przed tym, jak się zacznie cała zabawa.

Roześmiał się. Miał naprawdę bardzo ładny uśmiech. Jego pełne wargi otoczone były głębokimi zmarszczkami ze śmiechu. Zastanawiałam się bezwiednie, ile może mieć lat. Mniej niż myślałam na początku, ale wciąż pewnie z piętnaście lat więcej ode mnie. Nie miał obrączki, ale to niczego jeszcze nie oznaczało. Wielu facetów ich nie nosi. — Poradzisz sobie świetnie — pocieszył.

Dał mi resztę swojego pieczywa, nawet nie mrugnął, gdy zamawiałam gorącą czekoladę, i zaczął się upierać, że to on stawia, choćby dlatego, że w rzeczywistości jest mi winien za odkrycie przed nim tej knajpki.

— Gdzie teraz? — spytał.

— Och, możesz mnie po prostu wysadzić przy Fresh Fields...

— Nie, nie. Jestem do twojej dyspozycji.

Spojrzałam na niego z boku. — Cherry Hill Mall? — zaproponowałam, mając nikłą nadzieję. Centrum Handlowe Cherry Hill było po drugiej stronie rzeki, w New Jersey. Były tam takie sklepy jak Macy's, Lord and Taylor, dwa z ciuchami dla kobiet w ciąży i M.A.C. Swój własny samochód pożyczyłam na cały weekend Lucy, która, w oczekiwaniu, aż jej kariera modelki wystartuje na dobre, dostała pracę jako śpiewająca dziewczyna dowożąca kwiaty, po jej szczerych zapewnieniach, że jest w stanie zapewnić własny transport.

— Jedźmy.

Jego samochód był lśniąc srebrnym cudeńkiem, jakimś rodzajem przyciężkiego sedana. Drzwi zamykały się z apodyktycznym trzaskiem, a silnik brzmiał o wiele bardziej ostentacyjnie niż moja mała, skromna Honda. Wnętrze było nieskazitelne, a siedzenie pasażera wyglądało... na

nieużywane. Tak, jakby tapicerka nigdy nie była tknięta ludzkimi pośladkami.

Wydostaliśmy się na drogę 676 i przejechaliśmy mostem Bena Franklina, nad rzeką Delaware, która połyskiwała w słońcu. Drzewa zaczynały właśnie wypuszczać pąki i wyglądały, jakby były pokryte delikatnym, zielonym puchem, a promienie słoneczne odbijały się w wodzie. Moje nogi były mile zmęczone od spaceru, a ja byłam mile pełna od jedzenia i, gdy położyłam ręce na moim brzuchu, poczułam coś, co zajęło mi minutę na identyfikację. Szczęście, wreszcie odkryłam. Poczułam się szczęśliwa.

Ostrzegłam go na parkingu. — Gdy przyjdziemy do sklepów, oni mogą myśleć, że jesteś... hmm...

— Ojcem?

— Hmm, taak.

Uśmiechnął się do mnie. — Jak chcesz, bym sobie z tym radził?

— Hmm — tak naprawdę to nie przemyślałam jeszcze tej kwestii, tak byłam oczarowana moją obecnością w tym wielkim, masywnym, potężnie-brzmiącym samochodzie, obserwując wiosnę za oknami i czując się szczęśliwa. — Zagrajmy to bez nut.

W rzeczywistości nie było tak źle. W dużym sklepie, gdzie zakupiłam Zestaw Ciężowy (długa suknia, krótka sukienka, spódnica, spodnie, tunika, wszystko z czarnego materiału, niezniszczalnego, rozciągliwego i z gwarancją odporności na plamy), był taki tłok, że w zasadzie ignorowano nas. To samo było w Toys „R” Us, gdzie kupiłam klocki, i w markecie Target, do którego miałam kupony kup-jedno-otrzymasz-drugie-za-darmo na dziecięce chusteczki i pieluszki. Mogłam wyczuć spojrzenia dziewczyny w Baby Gap, które wędrowały ode mnie na niego i z powrotem, gdy wbiła na kasę moje zakupy, ale nic nie powiedziała. Nie tak, jak kobieta w Pea in the Pod, która powiedziała mi i Samancie w zeszłym tygodniu, że uważa, iż jesteśmy obie bardzo odważne, albo ta kobieta tydzień wcześniej w Ma Jolie, która zapewniała mnie, że „Tatusiowi bardzo się spodobała!” legginsy, które tam przymierzałam.

Z Dr K. robiło się bardzo miło zakupy. Cichy, ale chętny do wydawania opinii, kiedy go pytałam, i niesienia wszystkich pakunków, a nawet mojego plecaczka. Kupił mi lunch w części restauracyjnej (mogłoby się wydawać, że tam dają kiepsko zjeść, gdy tymczasem w Cherry Hill podają całkiem niezłe jedzenie) i nie zdawał się być wzburzony moimi czterema wizytami w toalecie. Podczas ostatniej zajrzał nawet do sklepu z artykułami dla zwierząt i kupił kowbojską kość, długą przynajmniej tak, jak Nifkin. — By nie poczuł się zaniedbywany — wytłumaczył.

— Będzie cię uwielbiał — powiedziałam. — To będzie pierwsze. Nifkin zazwyczaj działa jako moja pierwsza linia eliminacji... — chłopaków, z którymi się spotykam, pomyślałam. Ale to był inny przypadek. — nowych przyjaciół — dokończyłam w końcu.

— Czy lubił Bruce’a?

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie, jak ci dwaj egzystowali w kruchym zawieszaniu

bronii, co łatwo mogło przerodzić się w wojnę na pełną skalę, gdybym tylko odwróciła się na wystarczająco długą chwilę. Bruce niechętnie zgodził się na to, by Nifkin spał w moim łóżku, zgodnie swoim dotychczasowym zwyczajem, a ten z ociąganiem przystał na fakt, iż Bruce ma prawo w ogóle egzystować, ale po drodze była niezliczona ilość podniesionych głosów, obelg, przetych butów, pasków i portfeli. — Myślę, że Bruce był zawsze dwie minuty od porzucenia Nifkina gdzieś daleko stąd. Nie był tak naprawdę miłośnikiem psów. A Nifkin nie jest łatwy. — Oparłam się na siedzeniu pachnącym nowym samochodem, czując, jak popołudniowe promienie słoneczne wdzierając się przez dach samochodu ogrzewały moją głowę. Uśmiechnął się do mnie. — Zmęczona?

— Trochę — odparłam i ziewnęłam. — Zdrzemnę się, gdy przyjadę do domu.

Kierowałam go, aż dotarł do ulicy, przy której mieszkałam. Gdy w nią wjeżdżaliśmy, pokiwiał z aprobatą głową. — Ładnie — powiedział. Spojrzałam w tym samym kierunku, starając się dostrzec to, na co on zwrócił uwagę: drzewa z pączkami liści, wyginające się łukiem nad chodnikami, donice pełne kwiatów przed okazałymi domami z cegły.

— Taak — przyznałam. — Miałam szczęście znaleźć tu mieszkanie.

Kiedy zaproponował mi pomoc we wnoszeniu rzeczy na górę, nie zamierzałam mu tego odmówić, chociaż rozmyślałam w czasie dźwigania pieluch na górę, czy moje miejsce mu się spodoba. On pewnie mieszkał na przedmieściach, w jednym z tych wielkich, starych domów przy Main Line, pewnie z szesnastoma pokojami i strumykiem płynącym przez ogród, nie mówiąc już o kuchni, która nie chwaliła się akcesoriami z Harvest Gold, rocznik 1978. Ale przynajmniej moje mieszkanie było relatywnie czyste, powiedziałam do siebie. Otwarłam drzwi, a Nifkin wykata-pultował do przedpokoju, pędząc w powietrzu. Dr K. zaśmiał się.

— Hej, Nif — powiedział, gdy Nifkin wywachiwał kowbojską kość przez trzy plastikowe siatki i dostał ataku radości. Rzuciłam torby na sofę i pospieszyłam do łazienki, podczas gdy Nifkin próbował myszkować w siatce. — Rozgość się! — wrzasnęłam.

Kiedy wróciłam, stał w drugim pokoju, gdzie od pewnego czasu starałam się złożyć do kupy łóżeczko dziecinnie od jednej z przyjaciółek mojej mamy, które dotarło do mnie w częściach, bez instrukcji i pewnie bez kilku ważnych elementów.

— To mi nie wygląda dobrze — wymamrotał. — Mógłbym spróbować?

— Pewnie — odparłam, zaskoczona i zadowolona zarazem. — Jeśli uda ci się to poskładać, będę ci winna po stokroć.

Uśmiechnął się do mnie. — Nic mi nie będziesz winna — powiedział. — Spędziłem dziś miłe czas.

Zanim zdążyłam pomyśleć, co z tym zrobić, zadzwonił telefon. Przeprosiłam, porwałam przenośny telefon i opadłam bez wdzięku na łóżko.

— Cannie! — ryknął znajomy, brytyjski akcent. — Gdzie ty się podziewałaś?

— Na zakupach — odparłam. Cóż, to była niespodzianka. Maxi i ja korespondowałyśmy drogą e-mailową i czasem telefonowałyśmy do siebie do pracy. Opowiadała o mozolnej pracy przy *PlugIn*, futurystycznym thrillerze science-fiction, w którym grała razem z wziętym, młodym aktorem, który wymagał nie jednego ani dwóch, ale trzech pełnoetatowych „statecznych managerów”, by się właściwie prowadzić, i prze-emailowała mi uwagi i artykuły na temat inwestowania, z poradą, jak powinnam założyć fundusz powierniczy dla swojego dziecka. Odpisywałam jej, pisząc głównie o pracy i o przyjaciółkach... i moich planach, takich, jakimi były. Nie zadawała zbyt wielu pytań odnośnie krępującego nadejścia — może to i dobry zwyczaj, pomyślałam.

— Mam nowinę — mówiła. — Wielką. Ogromną. Największą. Twój scenariusz — zaczęła, mówiąc wszystko na jednym oddechu. Przełknęłam z trudnością. Pośród wszystkich spraw, o których pisałyśmy czy mówiłyśmy przez te pięć miesięcy od naszego poznania się w Nowym Jorku, ani razu nie padła kwestia mojego scenariusza. Zakładałam, że Maxi zapomniała o nim, nie przeczytała go, albo przeczytała i uznała, że był tak okropny, że lepiej dla naszej przyjaźni, by o nim nie wspominać.

— Bardzo mi się spodobał — powiedziała. — Josie jest taką doskonałą bohaterką. Jest mądra, uparta, zabawna i smutna, i byłby to dla mnie zaszczyt zagrać ją.

— Pewnie — przyznałam, wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje. — Zaczynaj jeść.

— Zakochałam się w tej postaci — kontynuowała Maxi, ignorując mnie, jej słowa nakładały się na siebie, coraz szybciej. — I wiesz, mam ten układ ze studiem Intermission... pokazałam scenariusz mojej agentce. A ona im. Im się też bardzo spodobał... zwłaszcza pomysł mojej osoby jako Josie. A więc, za twoim przyzwoleniem... Intermission chciałoby kupić twój scenariusz, bym w nim zagrała. Oczywiście, ty będziesz w to zaangażowana przez cały czas... Myślę, że obie powinnyśmy być gotowe podpisać się pod zmianami do scenariusza i, oczywiście, mieć wpływ na główne decyzje dotyczące obsady, nie mówiąc już o tym, kto zostanie reżyserem...

Ale ja nie słuchałam. Leżałam na plecach na łóżku, moje serce nagle poczuło się dziwnie, rozpalone i niezwykle podniecone. Zrobiesz swój film, pomyślałam sobie, wielki uśmiech pojawił się na mojej twarzy. O mój Boże, to w końcu się dzieje, ktoś zamierza zrobić mój film! Jestem teraz pisarką, naprawdę to zrobiłam, może będę bogata!

I właśnie wtedy to poczułam. Jak falę piętrzącą się wewnątrz mnie. Jakbym była w oceanie, lekko odpychana przez falę. Upuściłam telefon, położyłam obie dłonie na brzuchu i wtedy pojawiła się delikatna, prawie natarczywie ciekawa seria: stuk, stuk, stuk. Porusza się. Moje dziecko się porusza.

— Jesteś tu — wyszeptałam. — Ty tu naprawdę jesteś?

— Cannie? — mówiła Maxi. — Czy wszystko w porządku?

— Świetnie! — powiedziałam i zaczęłam się śmiać. — Czuję się doskonale.

CZEŚĆ CZWARTA

Suzie Lightning

Rozdział XV

Nigdy nie miałam wiele szczęścia do Hollywood. Dla mnie ten cały przemysł filmowy jest jak facet, którego poznałaś w szkolnej kawiarence i od tego czasu wciąż pożądałaś — tak przystojny, tak doskonały, że wręcz wiedziałas, iż nigdy cię nie zauważy, a jeśli byś go poprosiła, by na koniec roku wpisał się do twojego rocznika klasowego, spojrzalby na ciebie obojętnym wzrokiem i po omacku poszukiwałby twego imienia w pamięci.

To była miłość bez wzajemności, ale nigdy nie zaprzestawałam prób. Co kilka miesięcy molestowałam agentów listami z zapytaniem, czy byliby zainteresowani moim scenariuszem. W efekcie końcowym nie miałam czym się pochwalić, poza garścią wydrukowanych pocztówek z odmowami („Droga, aspirująca pisarko” — zaczynały się). Czasem też trafił się na wpół osobisty list doradzający mi, że nie zajmują się już takimi spontanicznymi pracami, nieznanymi pisarzami, pisarskimi nowicjuszami, niedoświadczonymi pisarzami, czy też używali innych poniżających określeń, na zasadzie hasła dnia.

Kiedyś, rok przed poznaniem Bruce’a, jeden agent nawet się ze mną spotkał. Najbardziej pamiętam z tamtej rozmowy to, że podczas całych dziesięciu minut, jakie mi poświęcił, ani razu nie wymówił mojego imienia, ani nie zdjął okularów przeciwsłonecznych.

— Przeczytałem twój scenariusz — powiedział, popychając go opuszkami palców po stole, jakby był zbyt ohydny, by ryzykować kontakt całej dłoni z nim. — Był słodki.

— Słodki to niedobry? — zapytałam; oczywista konkluzja, jaką ktoś mógł wywnioskować z wyrazu jego twarzy.

— Słodki jest dobry dla książek dla dzieci czy programów „Dzięki Bogu już piątek” na ABC. Dla filmów, cóż... wolelibyśmy, gdyby twoja bohaterka coś rozwaliła. — Uderzał piórem po stronie tytułowej. *Trafiona Gwiazda*, mówił tytuł. Poza tym, że do pierwszych liter dorysował małe, wijące się wąsy, tak że wyglądały jak węże. — Ponadto, muszę ci to powiedzieć, ale w Hollywood jest tylko jedna gruba aktorka...

— To nieprawda! — wybuchnęłam, porzucając moją strategię grzecznego uśmiechania się i pozostawiania cicho, nie będąc pewna, czym się bardziej obruszyłam: użyciem przez niego określenia „gruba aktorka” czy też uwagą, że była taka tylko jedna.

— Jedna licząca się, gruba aktorka — poprawił się. — A tak naprawdę, to problem w tym, że nikt nie chce oglądać filmów o grubasach. Filmy są o ucieczce!

No dobra. — Więc... co mam teraz zrobić? — zapytałam.

Pokiwał głową, odsuwając się jednocześnie od stołu i sięgając po swój telefon komórkowy i kluczyki samochodowe. — Ja po prostu nie widzę możliwości zaangażowania się w ten projekt — oznajmił. — Przykro mi. — Kolejne kłamstwo z Los Angeles.

— Jesteśmy antropologami — wymamrotałam do Nifkina i do dziecka, gdy przelatywaliśmy nad czymś, co mogło być Nebraska. Nie zabrałam ze sobą żadnej książki dla dzieci, ale uświadomiłam sobie, że jeśli nie mogłam czytać, mogłam przynajmniej wytłumaczyć. — Pomyślcie sobie zatem o tym jak o przygodzie. I będziemy w domu, zanim się spostrzeżecie. Z powrotem w Filadelfii, gdzie nas doceniają.

My — ja, Nifkin i mój brzuch, który doszedł już do tego punktu, że traktowałam go jako coś oddzielnego — byliśmy w pierwszej klasie. Tak naprawdę to mogłam powiedzieć, że byliśmy pierwsza klasa. Maxi wysłała po nas limuzynę do mojego mieszkania, która pomknęła z nami piętnaście kilometrów na lotnisko, gdzie zarezerwowano na moje nazwisko sekcję czterech foteli i nikt nawet nie mrugnął rzęsą na widok małego i przerażonego, szczurowatego teriera w zielonym, plastikowym nosidełku. Znajdowaliśmy się teraz wszyscy w powietrzu, na wysokości przelotowej 9000 metrów, stopy miałam wsparte na poduszce, na nogach rozpostarty koc, w ręce szklankę schłodzonej wody Evian z kawałkiem limonki oraz połyskujący zestaw najnowszych magazynów rozłożonych wachlarzem na siedzeniu obok, pod którym odpoczywał Nifkin. *Cosmopolitan*, *Glamour*, *Mademoiselle*, *Mirabella*, *Moxie*. Najnowszy, kwietniowy numer *Moxie*.

Podniosłam go, słysząc, jak serce zaczyna mi walić, czując ból w dole brzucha i znany, zimny pot z tyłu szyi.

Odłożyłam go. Dlaczego miałabym sobie psuć humor? Byłam szczęśliwa, odniosłam sukces, leciałam do Hollywood pierwszą klasą, by otrzymać większą zapłatę niż on kiedykolwiek ujrzy w swoim życiu, nie mówiąc już o obowiązkowym kumaniu się z supergwiazdami.

Podniosłam go. Odłożyłam. I znowu podniosłam. — Cholera — wymamrotałam, do nikogo w szczególności, i przerzuciłam na „Dobrą w łóżku”.

„Rzeczy, które po sobie zostawiła”, czytałam. „Już jej nie Kocham”, zaczynał się artykuł.

Kiedy się budzę rano, ona nie jest pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślę — czy jest tutaj, kiedy ją zobaczę i kiedy będę mógł ją znowu przytulić. Budzę się i myślę o pracy, mojej nowej dziewczynie, czy też, co bardziej prawdopodobne, o mojej rodzinie, mojej mamie, o tym, jak sobie poradzi po niedawnej śmierci mojego ojca.

Mogę słuchać naszej piosenki w radiu i nie od razu przełączać na inną stację. Mogę przeczytać jej nazwisko pod artykułem i nie czuć się tak, jakby ktoś duży i zły tupął po czubku mojej

głowy. Mogę pójść do Tick Tock Diner, gdzie mieliśmy zwyczaj chodzić na późne omlety z frytkami, gdzie siedzieliśmy obok siebie na miękkiej ławie i rzucaliśmy sobie ogłupiałe uśmiechy. Mogę siedzieć na tej samej ławie bez przypominania sobie, jak to zaczynała siadać naprzeciw mnie i nagle, w połowie siadania, poderwała się i klapnęła obok mnie. — Jestem po prostu towarzyska — mówiła za każdym razem. — Składam ci wizytę. Witaj, sąsiedzie! — wygłaszała i całowała mnie, całowała tak długo, aż kelnerka z blond kokiem i filiżanką kawy w każdej ręce zatrzymywała się i kiwała głową.

Odzyskałem Tick Tock. Kiedyś to było nasze miejsce, teraz jest to znowu moje miejsce. Znajduje się dokładnie na mojej drodze z pracy do domu i lubię omlet ze szpinakiem i serkiem feta, i potrafię go nawet czasami zamówić, bez przypominania sobie, jak szczerzyła do mnie zęby na parking, pytając, czy nie zostały jej kawałki szpinaku między zębami.

Są jednak małe *rzeczy*, które mnie biorą, za każdym razem.

Wczoraj wieczorem zamiatałem — miała przyjść moja nowa dziewczyna i chciałem, żeby było ładnie — i znalazłem kawałek psiego jedzenia, wciśnięty w szczelinę między kaflami.

Te oczywiste rzeczy, takie jak ubrania i biżuterię — zwróciłem, a resztę wyrzuciłem. Jej listy popakowane w pudełka schowane są w mojej szafce, jej zdjęcie wyniosłem do piwnicy. Ale jak się uchronić przed jednym kawałkiem karmy jej psa Purina Small Bites, który jakoś się uchował, niezauważony, przez wiele miesięcy, by nagle pojawić się na twojej śmietniczce i przyprowadzić cię o zawrót głowy? Jak ludzie przeżywają takie rzeczy?

Każdy ma swoją historię, mówi moja dziewczyna, próbując mnie uspokoić. Każdy ma swój bagaż, każdy nosi ze sobą fragmenty ze swojej przeszłości. Ona jest przedszkolanką, studentką socjologii, profesjonalnym empatą: wie, co należy mówić w różnych sytuacjach. Ale furia mnie ogarnia, gdy znajduję wiśniową pomadkę od C. w moim pudełku z rękawiczkami, czy pojedynczą, niebieską rękawiczkę bez palców w kieszeni mojego zimowego płaszcza. Furia również, gdy nie mogę znaleźć swoich rzeczy: zestaw kołnierzyk + farbowany krawat, czy T-shirt z napisem Cheesaurus Rex, który dostałem za wysłanie wieczek z trzech opakowań potrawy *Kraft Macaroni and Cheese*, ponieważ wiem, że je posiada i nigdy ich już nie dostanę z powrotem.

Uważam, że kiedy kończy się związek, powinien nastąpić Dzień Amnestii dla Rzeczy. Nie od razu, kiedy oboje jesteście jeszcze świeżo po, załamani, w bólu, i prawdopodobnie skłonni ulec pokusie seksu, nawet przypadkowego, ale później, kiedy potraficie już być wobec siebie uprzejmi, ale zanim zakończycie proces przemiany swojej byłej/byłego miłości jedynie we wspomnienie.

Przemiana twojej byłej miłości we wspomnienie, pomyślałam smutno. Więc on to właśnie czyni. Z wyjątkiem... cóż, zmiana byłej ukochanej we wspomnienie to jedna rzecz, ale robić z dziecka pomniejszą formę rozrywki, coś, czym nawet nie chce się kłopotać... cóż, to już jest coś

innego. Coś wkurzającego. Kiepsko doradzony seks, zaiste! A co z konsekwencjami jego malej gafy!

Ale od dzisiaj zatrudniłem firmę do sprzątanego mojego mieszkania. Podłogi, powiedziałem im, pokazując kawałek psiej karmy, który znalazłem, mamrocząc o strasznych wizjach pluskw, myszy i innego robactwa. Ale tak naprawdę to prześladowają mnie jeszcze wspomnienia.

Już jej nie kocham. Ale to wcale nie oznacza, że to nie boli.

Uff. Oparłam się o pluszowe, powleczone skórą, podwójnie szerokie oparcie fotela ułożonego w pozycji półleżącej i zamknęłam oczy, czując najsilniejszą i najbardziej okropną mieszankę smutku i wściekłości — i nagłej, nieprzeparanej nadziei — aż przez chwilę myślałam, że zwymiotuję. Napisał to trzy miesiące temu. Mniej więcej tyle magazyny potrzebują na druk. Czy widział mój list: czy wiedział, że jestem w ciąży? I co teraz czuł?

— On wciąż za mną tęskni — wyszeptalam, z ręką na brzuchu. Czy to zatem oznacza, że jest jakaś nadzieja? Myślałam przez chwilę, że może wyślę mu pocztą tę jego koszulkę Cheesasaurus Rex, jako znak... pokojowej oferty. I wtedy przypomniałam sobie, że ostatnim razem, gdy mu coś wysyłałam, były to wieści o tym, że spodziewam się jego dziecka, a on nawet nie wysilił się na tyle, by podnieść słuchawkę telefonu i zapytać mnie, jak się czuję.

— On już mnie nie kocha — przypomniałam sobie. I zastanawiałam się, jak ta E. czuła się, czytając to... E. przedszkolanka, ze swym terapeutycznym gadaniem i małymi, delikatnymi dłońmi. Czy zastanawiała się, dlaczego wciąż pisał o mnie, po takim czasie? Czy zastanawiała się, dlaczego dalej nie byłam mu obojętna? Czy rzeczywiście nie byłam, czy były to tylko moje pobożne życzenia? A jeśli bym zadzwoniła, co bym powiedziała?

Przekręciłam się niespokojnie w fotelu, zrzucając poduszkę, po czym przyłożyłam ją energicznie do okna, by zrobić sobie z niej wygodne oparcie. Zamknęłam oczy, a kiedy je otwarłam, kapitan ogłaszał, że schodzimy do lądowania w pięknym Los Angeles, gdzie świeciło słońce, wiatr wiał z południowego zachodu i gdzie było doskonałe 26 stopni.

Wysiadłam z samolotu z kieszeniami pełnymi drobnych upominków, które wcisnęły mi stewardessy — pudełeczek z cukierkami Mint Milanos i czekoladek owiniętych w folię, dodatkowych masek na oczy, ściereczek do rąk i skarpetek. Trzymałam nosidełko z Nifkinem w jednej ręce, a torbę w drugiej. W torbie miałam zapas bielizny na tydzień, Zestaw Ciężowy minus długa spódnica i tunika, bo to miałam na sobie, oraz kilka garści wybranych produktów higienicznych, które wrzuciłam do środka w ostatniej chwili. Koszulę nocną, papcie, moją książeczkę teleadresową, pamiętnik oraz wysłużony, z oślimi uszami, egzemplarz *Twojego Zdrowego Dziecka*.

— Jak długo tam będziesz? — zapytała mama wieczorem, na dzień przed moim wyjazdem. Pudełka i torby z rzeczami, które zakupiłam wtedy w centrum handlowym, były wciąż porozrzuc-

cane po przedpokoju i kuchni, jak leżące ciała. Ale łóżeczko, zauważyłam, było doskonale poskładane. Dr K. musiał to zrobić pewnie wtedy, gdy rozmawiałam z Maxi przez telefon.

— Tylko weekend. Może kilka dni dłużej — odparłam.

— Powiedziałaś tej Maxi o dziecku, prawda? — niepokoiliła się.

— Tak, mamo, powiedziałam jej.

— I zadzwonisz, tak?

Przewróciłam oczami, powiedziałam: tak i poszłam z Nifkinem na spacer do Samanty, by jej przekazać dobrą nowinę.

— Szczegóły! — zażądała, podając mi filiżankę herbaty i sadwiąc się na swojej kanapie.

Powiedziałam jej to, co wiedziałam: że sprzedawałam pewnemu studiu filmowemu mój scenariusz, że muszę znaleźć sobie agenta i że spotkam się z kilkoma producentami. Nie wspomniałam, że Maxi naciskała na mnie, bym znalazła sobie jakieś miejsce na dłużej, na wypadek gdybym chciała zostać w Kalifornii z powodu nieuniknionych powtórek i poprawek.

— To jest kompletnie niewiarygodne! — skomentowała Samanta, i przytuliła mnie do siebie. — Cannie, to po prostu wspaniale!

I to było wspaniałe, dumalam, gdy ciężkim krokiem szłam z samolotu, z nosidłem Nifkina objającym się o moją nogę. — Lotnisko — wymamrotałam do dziecka. A tam, przy bramce, stała April. Rozpoznałam ją od razu, z mojej wizyty w Nowym Jorku. Te same czarne, skórzane, długie do kolan botki, tyle że teraz jej włosy zebrane były w kucyk na środku głowy i coś dziwnego działo się pomiędzy jej nosem a podbródkiem. Zajęło mi chwilę, by stwierdzić, że był to uśmiech.

— Cannie! — zawołała, pomachała, a potem podała mi rękę. — Tak miło jest w końcu cię poznać! — Przemierzyła mnie swoim wzrokiem w sposób, który zapamiętałam, zatrzymując go może trochę zbyt długo na moim żołądku, ale jej uśmiech był przyklejony do twarzy w chwili, gdy nasze spojrzenia spotkały się znowu. — Niezwykły talent — mówiła. — Zakochałam się w twoim scenariuszu. Uwielbiam go, uwielbiam. Jak tylko Maxi mi go pokazała, oznajmiłam jej dwie rzeczy. Powiedziałam: Maxi, ty jesteś Josie Weiss i powiedziałam: nie mogę doczekać się chwili, by poznać tego geniusza, który ją stworzył.

Pomyślałam szybko o tym, by uświadomić ją, że już się w rzeczywistości poznałyśmy i że było to najgorsze przeżycie dla mnie jako reporterki, najgorsze w miesiącu, a może nawet w roku. Zastanawiałam się, czy słyszała mnie, gdy szeptałam „Hipokrytka” do mojego dziecka. Ale wtedy zadecydowałam, po co psuć dobry moment? Może ona naprawdę mnie nie rozpoznała. Nie wyglądałam na ciężarną ostatnim razem, gdy mnie widziała, a teraz tak ładnie się uśmiechała.

April pochyliła się, by zajrzeć do nosidelka. — A ty musisz być małym Nifty! — zagruchała. Nifkin zaczął powarkiwac. April zdawała się tego nie zauważać. — Jaki piękny pies — powiedziała. Nie mogłam się powstrzymać od prychnięcia śmiechem, a Nifkin wciąż powarkiwiał, teraz

już tak mocno, że cała jego klatka się trzęsła. Nifkin miał wiele zalet, ale uroda do nich nie należała.

— Jak minął lot? — zapytała mnie April, mrugając szybko powiekami i wciąż się uśmiechając. Zastanawiałam się, czy tak właśnie traktowała swoich słynnych klientów. Zastanawiałam się, czy ja już byłam jej klientką, czy Maxi nie postąpiła do przodu i nie zawarła paktu krwią, czy cokolwiek w tym rodzaju, by zdobyć usługi kogoś takiego, jak April.

— Świetnie. Bardzo przyjemnie, naprawdę. Nigdy wcześniej nie leciałam pierwszą klasą.

April wzięła mnie pod rękę, jak byśmy byli dawnymi przyjaciółkami z jednej klasy. Jej przedramię wchodziło zgrabnie pod moją prawą pierś. Próbowalam to zignorować. — Przyzwyczaj się do tego — doradziła mi. — Całe twoje życie się teraz zmieni. Oprzyj się tylko wygodnie i miłej przejażdżki!

April zostawiła mnie w apartamencie hotelu Beverly Wilshire, tłumacząc, że studio płaciło za tę noc. Nawet jeśli miała to być tylko jedna noc, poczułam się jak Julia Roberts w *Pretty Woman*, gdyby zrobiono niezależne, alternatywne zakończenie, w którym prostytutka okazywała się być w ciąży, i to samotna, jedynie ze swoim małym pieskiem dla pocieszenia.

Apartament mógł być dokładnie tym samym, w którym filmowano *Pretty Woman*. Był duży, jasny i pełen luksusu w każdym calu. Ściany pokryte były złotokremową tapetą w paski, na podłogach była gruba, mięciutka, beżowa wykładzina, a łazienka stanowiła studium przepychu w marmurze, z żyłkami złota. Ponadto łazienka, jak zauważyłam, była rozmiarów pokoju dziennego w moim domu, z wanną dużą na tyle, by można w niej rozegrać żywiołową partyjkę w wodne polo, gdybym miała na to ochotę.

— Francja-Elegancja — rzuciłam uwagę mojemu dzidziusiowi i otwierałam szerokie, francuskie drzwi, by znaleźć łóżko, które było wielkości kortu tenisowego, całe ubrane w świeże, białe prześcieradła, przykryte mięciutką, różowozłotą kołdrą. Wszystko było czyste i pachniało nowością, i wyglądało tak wspaniale, że bałam się czegokolwiek dotknąć. Przy łóżku znajdował się też wyszukany bukiet kwiatów, z ozdobną kartką „Witaj!” od Maxi.

— Bukiet — poinformowałam dziecko. — Pewnie bardzo drogi. — Nifkin zdążył się wydość z nosidełka i wykonywał teraz wężową przechadzkę po apartamencie. Spojrzał na mnie krótko, po czym uniósł się na tylnych łapach, by wetknąć nos do toalety. Jak tylko zakończył inspekcję, popędził galopem do sypialni.

Zostawiłam go rozłożonego na jednej z poduszek na łóżku, po czym wzięłam kąpiel i owinęłam się szlafrokiem Wilshire. Zadzwoniłam do restauracji i zamówiłam herbatę, truskawki i świeżego ananasa, z minibaru wyjęłam butelkę wody Evian i pudełko Choco Leibniz, króla wszystkich ciasteczek, nie przejmując się w ogóle metką z ceną 8 dolarów, co oznaczało przynajmniej trzy razy tyle, co w sklepie w Filadelfii. Następnie ułożyłam się na dwóch z sześciu

poduszek leżących na łóżku i klasnęłam w dłonie, śmiejąc się. — Jestem tutaj! — wykrzyknęłam triumfująco, a Nifkin szczełał, by dotrzymać mi towarzystwa. — Zrobiłam to!

A potem zadzwoniłam do wszystkich osób, o których mogłam pomyśleć.

— Jeśli będziesz w którejkolwiek z restauracji Wolfganga Pucka, zamów pizzę z kaczką — doradził Andy swoim tonem smakosza.

— Przesyłaj mi wszystko faxem, zanim cokolwiek podpiszesz — nagliła Samanta i przeszła do recytowania prawniczych regułek przez pięć minut, zanim zdołałam ją uspokoić.

— Rób notatki! — powiedziała Betsy.

— Rób zdjęcia! — radziła mama.

— Zabrałaś zdjęcia mojej twarzy, prawda? — upewniała się Lucy.

Obiecałam, że będę lobbować dla Lucy, robić notatki do przyszłych artykułów dla Betsy i zdjęcia dla mamy, taksować wszystko, co miało znamiona prawne do Samanty i jeść pizzę z kaczką dla Andy'ego. I wtedy zauważyłam wizytówkę na jednej z poduszek, z wytłoczonym napisem *Maxi Ryder*. Pod jej nazwiskiem było jedno słowo „Garth”, numer telefonu i adres przy Ventura Boulevard. „Bądź tam o siódmej. Gwarantowane drinki i dobra zabawa” — mówił tekst na niej.

— Drinki i zabawa — wymamrotałam i wyciągnęłam się na łóżku. Czułam zapach świeżych kwiatów i słyszałam słabo hałas samochodów, które brzęczały trzydzieści dwa piętra niżej. Wtedy zamknęłam oczy i obudziłam się dopiero o 18:30. Obmyłam twarz wodą, wgramoliłam się w buty i popędziłam za drzwi.

Garth okazał się być tym słynnym Garthem, fryzjerem gwiazd, chociaż najpierw myślałam, że taksówka zatrzymała się przy galerii sztuki. Łatwo można było się pomylić. W salonie Gartha brakowało typowej parady: rzędu umywalek, stert przeglądanych magazynów, lady recepcjonistki. W rzeczywistości wydawało się, że w tym wysokim pomieszczeniu, udekorowanym pojedynczym krzesłem, pojedynczą umywalką i pojedynczym, antycznym lustrem od podłogi aż po sufit, nie było nikogo oprócz... Gartha.

Usiadłam na krześle, podczas gdy mężczyzna, który wkładał maślane kostki we włosy Britney Spears, robił pasemka Hillary i hennę Jennifer Lopez do okładki jej albumu, unosił i rozdzieliał na małe pasma moje włosy, dotykając je i przyglądając się im badawczo jak naukowiec — i próbowałam się tłumaczyć.

— Widzisz, nie powinno się farbować włosów, gdy jest się w ciąży — zaczęłam. — A ja nie spodziewałam się, że zajdę w ciążę, więc dałam sobie zrobić pasemka i one teraz odrastają od sześciu miesięcy, i wiem, że wygląda to okropnie...

— Kto ci to zrobił? — zapytał łagodnie Garth.

— Hmm, ciążę czy pasemka?

Uśmiechnął się do mnie w lustrze i uniósł kolejne pasmo moich włosów. — One nie były robione... tutaj? — spytał delikatnie.

— Och, nie. W Filadelfii — puste spojrzenie od Gartha. — W Pensylwanii. — Prawdą było, że zrobiono mi je w szkole piękności przy Bainbridge Street i myślałam, że była to dobra robota, ale z wyrazu jego twarzy mogłam wywnioskować, że Garth by się z tym nie zgodził.

— Och, moja droga — oddychał cicho. Wziął grzebień i małą butelkę wody z rozpylaczem. — Czy masz jakieś silne uczucia wobec hmm... — Mogłam zgadnąć, że poszukiwał najbardziej uprzejmego słowa, by wyrazić to, co działo się na czubku mojej głowy.

— Mam wiele silnych uczuć, ale żadne z nich nie dotyczy moich włosów — oznajmiłam mu. — Rób ze mną, co chcesz.

Zajęło mu to prawie dwie godziny: najpierw obcinanie, potem czesanie, potem przycinanie końcówek, potem płukanie głowy w substancji o kolorze czerwieni o odcieniu owocu granatu, co do której przysięgał, że jest całkowicie naturalna, bez środków chemicznych, na bazie ekstraktu jedynie z najczystszych, organicznych warzyw, gwarantując, że absolutnie nie zaszkodzi mojemu nienarodzonemu jeszcze dziecku.

— Jesteś scenarzystką? — Garth zapytał, kiedy płukał mi włosy. Przytrzymał mnie za podbródek, pochylając moją głowę na wszystkie strony.

— Ale jak dotąd bez żadnej produkcji.

— Sprawy potoczą się dobrze dla ciebie. Masz tę aurę.

— Och, prawdopodobnie to jest mydło z hotelu.

Pochylił się do mnie bliżej i zaczął skubać moje brwi. — Nie daj się zjeść krytykom — doradził. Pachniał jakąś cudowną wodą kolońską i, nawet z odległości kilku centymetrów od mojej twarzy, jego cera była nieskazitelna.

Kiedy już nadał moim brwiom pożądany kształt, wypłukał mi włosy, wysuszył i spędził około pół godziny na nakładaniu różnych kremów i pudrów na moją twarz. — Nie używam za dużo makijażu — zaprotestowałam. — Pomadka i tusz do rzęs. To wszystko.

— Nie martw się. To będzie subtelne.

Miałam wiele wątpliwości. Zdążył już nałożyć trzy różne cienie na moje powieki i wokół nich, włącznie z tym, który wyglądał praktycznie jak fioletowy. Ale kiedy zdjął ze mnie pelerynkę i przekręcił mnie, bym była zwrócona twarzą do lustra, zrobiło mi się przykro, że w ogóle przez myśl przeszły mi jakieś wątpliwości co do jego osoby. Moja cera była promienna. Policzki miały kolor doskonałej, dojrzałej moreli. Usta były pełne, o ciepłym kolorze wina, dające twarzy lekki wyraz rozbawienia, nawet mimo tego, że nic mi nie było wiadomo o tym, bym się uśmiechała. I nie zauważyłam cieni na powiekach, tylko moje oczy, które zdawały się być dużo większe, o nieodpartym uroku. Wyglądałam jak ja, tyle że bardziej... tak jakby moja najlepsza wersja samej siebie. A moje włosy...

— To najlepsza fryzura, jaką kiedykolwiek miałam — powiedziałam mu. Przejechałam powoli palcami po włosach. Zmieniły się z poszarpanego, mysio-brązowego „boba” z kilkoma przypadkowymi, rozjaśnionymi pasemkami w lśniący kolor skorupy żółwia, przecięty złotymi, brązowymi i miedzianymi pasemkami. Przyciął je krótko, końcówki z boku ledwie dotykały moich policzków i pozwolił ich naturalnej fali pozostać na miejscu, założył je za ucho po jednej stronie, nadając mi wygląd chłopczycy. Zapewne, chłopczycy w ciąży, ale komu miałam się skarżyć? — To może być najlepsza fryzura, jaką ktoś kiedykolwiek miał.

Dźwięk oklasków nadszedł od strony drzwi. Była tam Maxi, ubrana w czarną, obcisłą sukienkę w paski spaghetti i czarne sandały. W uszach było widać diamentowe kolczyki, a na srebrnym naszyjniku wokół jej szyi pojedynczy diament. Suknia miała pasek biegnący za jej szyją, co pozostawiało plecy prawie gołe, z dekoltem tak głębokim, że pokazującym wręcz wycięcie pomiędzy pośladkami. Mogłam dostrzec delikatne zarodki łopatek, każdy drobny krąg jej kręgosłupa oraz doskonale rozsiane piegi na jej ramionach.

— Cannie! Mój Boże — powiedziała, przyglądając się najpierw mojej twarzy, a potem brzuchowi. — Wyglądasz... o rany.

— Myślałaś, że żartowałam? — zapytałam i roześmiałam się z jej wystraszonego wyrazu twarzy.

Uklękła przede mną. — Mogę...?

— Pewnie — odparłam. Położyła płasko dłoń na moim brzuchu i, po chwili, dzidzius usługnie kopnął.

— Och! — powiedziała Maxi, szybkim ruchem zabierając z powrotem swą dłoń, jakby się oparzyła.

— Nie bój się. Nie zranisz jej. Albo mnie.

— Więc to jest dziewczynka — zapytał Garth.

— Nic oficjalnego. Po prostu mam takie przeczucie — odparłam.

Maxi obeszła mnie wokoło, jakbym była jakąś rzeczą na sprzedaż, a ona zastanawiała się nad zakupem. — Co ma na ten temat do powiedzenia Bruce? — spytała.

Pokręciłam głową. — O ile mi wiadomo, to nic. Nic od niego nie słyszałam.

Maxi przestała chodzić wokół mnie i zaczęła się we mnie wgapiać, z szeroko rozwartymi oczami. — Nic? Dalej nic?

— Nie żartuję — powiedziałam.

— Mogłabym go dać zabić — zaoferowała Maxi. — Albo przynajmniej pobić. Mogłabym wysłać, powiedzmy, pół tuzina rozwścieczonych rugbistów z kijami baseballowymi, by połamali mu nogi...

— Albo jego lufkę — zasugerowałam. — To by go pewnie bardziej zraniło.

Maxi wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Czy dobrze się czujesz? Jesteś głodna? Albo senna?

Czy chciałabyś gdzieś pójść, bo jeśli nie, nie ma problemu...

Uśmiechnęłam się szeroko do niej i odgarnęłam zamaszystym ruchem moje fantastyczne włosy. — Oczywiście, że chcę wyjść! Jestem w Hollywood! Mam makijaż! Chodźmy!

Chciałam zapłacić Garthowi kartą kredytową, ale on przegonił mnie, mówiąc, że mam się o to nie martwić, że to już jest załatwione, że jeśli tylko obiecuję wrócić za sześć tygodni, by przyciąć końcówki, on uzna, że to wystarczy. Dziękowałam mu i dziękowałam tak długo, aż Maxi wyciągnęła mnie za drzwi. Jej mały, srebrny samochód był zaparkowany przy krawężniku. Wsiadłam do niego ostrożnie, świadoma mojego przemieszczającego się środka ciężkości... i tego, że obok Maxi, nawet z moimi cudownymi włosami i wspaniałym makijażem Gartha, nawet w mojej półszykownej, czarnej, matowej tunice i spódnicy, i w niezgorszych, czarnych butach, wciąż czułam się jak zaniedbany sterowiec. Przynajmniej uliczny sterowiec, pomyślałam, gdy Maxi poderwała samochód do lotu w poprzek trzech pasów pełnych trąbiących samochodów i przyspieszyła na żółtym świetle.

— Załatwiłam z odźwiernym w hotelu, by zajął się Nifkinem, na wypadek, gdybyśmy miały wrócić późno — krzyczała, gdy ciepły, wieczorny wiatr dmuchał w nasze twarze. — Ponadto, wynajęłam dla niego kabinę.

— No proszę, szczęściarz z Nifkina.

Dopiero dwa skrzyżowania dalej pomyślałam o tym, by spytać ją, dokąd jedziemy. Maxi od razu się ożywiła. — Star Bar! To jedno z moich ulubionych miejsc.

— Czy jest tam jakieś przyjęcie?

— Och, tam zawsze jest przyjęcie. I doskonałe sushi.

Westchnęłam. Nie mogłam jeść surowej ryby ani pić alkoholu.

I chociaż byłam podniecona tym, że będę się bawić i poznawać gwiazdy, wiedziałam, że nie potrwa to długo, bo pojawi się chwila, w której tym, czego najbardziej będę pragnąć, będzie znalezienie się w łóżku w tym wielkim, fantastycznym apartamencie hotelowym. Nigdy tak naprawdę lubiłam późnych wieczorów czy głośnych przyjęć, nawet przed tym, zanim zaszłam w ciążę i odkryłam, że teraz lubię je jeszcze mniej. Będę tam przez jakiś czas, powiedziałam sobie, a potem powołam się na zmęczenie kobiety w ciąży i zrobię sobie przerwę, by udać się do domu.

Maxi wygłosiła mi skondensowany monolog na temat tego, kto mógłby tam być, wraz ze stosowną historyjką, zawierającą wszystko, o czym taki nowy przybysz jak ja powinien wiedzieć. Dowiedziałam się, że słynny aktor i aktorka, zamężni od siedmiu lat, udawali. — On jest gejem — mamrotała Maxi, — a ona od lat pieprzy się ze swoim osobistym trenerem.

— Co za banał! — odszeptałam. Maxi roześmiała się i pochyliła do mnie jeszcze bliżej. Nowa gwiazdeczka, bohaterka drugiego największego filmu akcji ostatniego lata, mogłaby zaferować mi w toalecie Ekstazę („Przynajmniej mnie to zaproponowała”, mówiła Maxi). Hiphopowa

księżniczka, o której mówią, że nie rusza się nigdzie bez swojej matki, zagorzałej baptystki, chodzącej wszędzie z Biblią, to „prawdziwa, zdemoralizowana bestia”, powiedziała Maxi, „śpi z chłopakami, dziewczynami, z obojgiem w tym samym czasie, podczas gdy mamuśka prowadzi nawróceniom w Wirginii.” Pięćdziesięcioletni reżyser właśnie wyszedł z Kliniki Betty Ford; czterdziestokilkuletni aktor grający główne role został zdiagnozowany jako uzależniony od seksu podczas ostatniej sesji w Hazelden⁹; mocno obgadywana scenografka nie była w rzeczywistości lesbijką, chociaż czuła się szczęśliwa, że mogła nakręcić młyn plotek. — Moralna aż do przesady — mówiła Maxi, a w jej głosie dało się słyszeć oburzenie. — Sądzę, że ona ma nawet męża, ukrytego gdzieś w Michigan.

— Horror! — przyznałam. Maxi zachichotała, chwytając mnie za ramię. Otwarły się drzwi do windy i dwóch wspaniale wyglądających facetów, ubranych w białe szorty i białe koszule, otwarło na oścież szklane, wysokie na trzy metry drzwi, odkrywając przed nami bar, który wyglądał, jakby był przywieszony do nocnego sklepienia nieba. Wokół stały tuziny małych, przykrytych białymi obrusikami stolików dla dwóch lub czterech osób, a na nich tuziny migoczących, kościelnych świec. Na ścianach wisiały zasłony z cieniutkiej, kremowej tkaniny, które falowały lekko w nocnej bryzie. Bar był podświetlony z tyłu niebieskim neonem, a barmanką była wysoka na metr osiemdziesiąt kobieta w granatowym, kocim kostiumie, rozlewająca martini do szklanek z twarzą wspaniałą i nieruchomą jak wyrzeźbiona maska afrykańska. Maxi uściśnęła ostatni raz moje ramię, szepcząc: — Będę z powrotem za sekundę — i popędziła ucałować w powietrzu ludzi, których widziałam dotąd tylko w filmach. Oparłam się o jeden z filarów i starałam się nie przyglądać zbyt natarczywie.

Była tam hip-hopowa księżniczka, z cieniutkimi warkoczykami, opadającymi z czubka jej głowy prawie aż do talii. Była ta dawno poślubiona para supergwiazd, wyglądająca dla całego świata jak oddani sobie małżonkowie... i nie-lesbijska scenografka w wykrochmalonej koszuli od smokingu i czerwonym krawacie w formie kokardy. Tuziny kelnerek i kelnerów pomykały wokół ze świstem w powietrzu. Wszyscy byli ubrani na biało — białe spodnie, białe szorty, białe kołnierzyki i białe, te dawne, oryginalne tenisówki. To sprawiało, że cały lokal wyglądał jak najbardziej ekskluzywny szpital na świecie, z wyjątkiem faktu, że personel roznosił ogromne martini zamiast basenów i wszyscy byli piękni. Ręce mnie świerzbiły, by sięgnąć po pióro i notes. Nie miałam żadnego interesu w tym, by przebywać w takim miejscu, otoczona takimi ludźmi, chyba że robiłabym notatki do artykułu w kolejnym numerze naszej gazety, w którym niewątpliwie byłabym dość sarkastyczna. Ja osobiście nie należałam do tego miejsca.

Podeszłam do okna, które wyglądało na podświetlony basen, w którym nikt się nie kąpał. Był tam też bar w drewnianym, pokrytym strzechą domku w stylu mauretańskim, gdzie w świetle

⁹ Organizacja charytatywna.

pochodni tłoczyli się ludzie — wszyscy młodzi, wszyscy wyglądający wspaniale, większość z nich miała na sobie mnóstwo kolczyków i tatuaży, wyglądali jakby właśnie mieli kręcić jakiś muzyczny klip. Ponad nimi był smog, billboardy Calvina Kleina i migocące światła miasta.

I tam, zwrócony tyłem do pokoju, ze szklanką w dłoni, wpatrując się w noc, był... O, Boże, czy to był on? Tak. Adrian Stadt. Mogłam go rozpoznać po kształcie ramion, układzie bioder. Bóg jedyny wie, ile czasu spędziłam nad jego zdjęciami. Włosy miał teraz krótko obcięte, a jego kark lśnił w przyćmionym świetle pokoju.

Adrian nie był przystojny w klasycznym pojęciu surowego mężczyzny-przywódcy, ani też nie był najnowszym plonem dwupłciowych, pięknych chłopców. Był bardziej jak chłopak z sąsiedztwa — średniego wzrostu, o regularnych rysach, zwyczajnych, brązowych włosach i standardowych, brązowych oczach. To, co robiło go niezwykłym, jeśli chodzi o wygląd, to jego uśmiech — słodki uśmiech od ucha do ucha, wygięty lekko od środka w górę, eksponujący przez to uszczerbione lekko przednie zęby (w wywiadach mówił zawsze, że przytrafiło mu się to, gdy spadł z drzewa w wieku dziewięciu lat). A te regularne, brązowe oczy potrafiły wyrazić tysiące wariacji na temat zakłopotania, zaskoczenia, zamroczenia — krótko mówiąc, wszystkich słów na „z” koniecznych do zagrania głównej roli w romantycznej komedii. Każda z nich oddzielnie nie była niczym specjalnym, ale gdy je wszystkie zebrać do kupy, otrzymywaliśmy prawdziwie hollywoodzką, męską seksbombę. Tak przynajmniej nazwało go *Moxie* w artykule „Mężczyźni, których pożądamy!”

Na szczęście byłam wolna od nastoletnich, nieszczęśliwych miłości, nigdy nie wytapetowałam swojej szafki zdjęciami z *New Edition* czy coś takiego, ale żywiłam pewne uczucia dla Adriana Stadta. Oglądając go w *Saturday Night!*, gdy kurczył się ze strachu i jęczał, gdy odgrywał Dzieciaka Wybranego Jako Ostatni Do Drużyny Kopaczy W Piłkę albo śpiewał prawie operowo Matczyny Lament Stowarzyszenia Rodziców-Nauczycieli, czułam, że gdybyśmy się znali, moglibyśmy zostać przyjaciółmi... albo czymś więcej. Oczywiście, sądząc po jego popularności, miliony innych kobiet i dziewcząt czuły dokładnie to samo. Ale ile z nich znajdowało się w Star Bar, w ciepły, wiosenny wieczór w Los Angeles, mając przed sobą obiekt swoich uczuć?

Wycofałam się, powłócząc nogami, aż oparłam się o filar, próbując ukryć na tyle, by móc się przyglądać nieprzerwanie plecom Adriana Stadta i usiłując zdecydować, czy zadzwonić najpierw do Lucy, czy do Samanty. Wszystko szło dobrze, aż do chwili, gdy do pokoju wpadło stado szczupłych dziewczyn w butach na szpilkach i rozlokowało się przede mną, z tyłu, wszędzie wokół mnie. Poczułam się jak słoń, który zbłądził i wlaź w stado lśniących, szybkich, wspaniałych antylop, i nie potrafiłam znaleźć łatwego sposobu na to, by się dyskretnie stamtąd wycofać.

— Potrzebujesz na sekundę? — zapytała najwyższa, najbardziej blondwłosa, najszczuplejsza dziewczyna, wskazując na swój srebrny, kaszmirowy szal. Wzięłam szal i zaczęłam się jej przyglądać, czując, jak rozdziawiają mi się usta. To była Bettina Vance, czołowa wokalistka mocnej

grupy punkowej z list przebojów — Screaming Ophelia, grającej moje ulubione kawałki do tańca, których słuchałam, gdy miałam zły humor.

— Uwielbiam twoją muzykę — wygadałam się ze swojej tajemnicy, gdy Bettina porwała z tacy martini.

Spojrzała na mnie zamglonymi oczyma i westchnęła. — Gdybym miała pięć centów od każdej grubej dziewczyny, która mi to mówi...

Poczułam się tak zszokowana, jakby ktoś oblał mnie lodowatą wodą. Cały ten makijaż, moja fantastyczna fryzura, nowe ubrania, cały mój sukces, a wszystkie Bettiny Vences z całego świata oglądają i tak po prostu kolejną grubą dziewczynę, siedzącą samotnie w pokoju, słuchającą rockowego wokalisty, śpiewającego o tym, że są na świecie takie życia, o których nawet nam się nie śni, życia, których nigdy nie poznamy.

Dziecko kopnęło w brzuchu, jak maleńka pięść boksująca mnie surowo od wewnątrz, jak przypominacz. Nagle pomyślałam sobie: do diabła z nią. Pomyślałam, ja też jestem kimś.

— Dlaczego potrzebowałabyś darowizn? Nie jesteś wystarczająco bogata? — zapytałam. Kilka gazel zachichotało. Bettina przewróciła oczami, wskazując na mnie. Sięgnęłam do torebki i, całe szczęście, poczułam jak palce dotykają tego, czego potrzebowałam. — Masz swoje pięć centów — powiedziałam słodko. — Możesz zacząć zbierać na swoją kolejną operację nosa.

Chichoty zmieniły się w szczery śmiech. Bettina Vance wpatrywała się we mnie.

— Kim jesteś? — zasyczała.

Przyszło mi do głowy kilka odpowiedzi: Była fanka? Rozgniewana grubaska? Twoja najgorsza mara nocna?

Ale zamiast tego wybrałam prostą, skromną i nieprzypadkowo, prawdziwą odpowiedź. — Jestem pisarką — oznajmiłam łagodnie, zmuszając się do tego, by się nie wycofać, czy też odwrócić wzrok.

Bettina patrzyła na mnie przez chwilę, która wydała mi się niewiarygodnie długa. Potem porwała z moich rąk szal i odeszła dumnym krokiem, zabierając ze sobą stado rozmiarów zero-wych. Oparłam się o filar, trzęsąc się, i położyłam dłoń na brzuchu. — Suka — powiedziałam do dzidziusia. Jeden z mężczyzn, który snuł się na krańcach tłumu, uśmiechnął się do mnie, po czym odszedł, zanim można było zapamiętać jego twarz. Po chwili, która potrzebna mi była na rozszyfrowanie, kim on był, Maxi była przy mnie z powrotem.

— O co chodziło? — zapytała.

— O Adriana Stadta — zdołałam.

— Czy nie mówiłam ci, że tu będzie? — spytała niecierpliwie Maxi. — Jezu, co z Bettina?

— Mniejsza o Bettinę — trzęsłam się. — Adrian Stadt właśnie się do mnie uśmiechnął! Czy znasz go?

— Trochę — odparła. — A ty?

Przewróciłam oczami. — O, tak — powiedziałam. — Jest w mojej lidze kręglarskiej w Filadelfii.

Maxi wyglądała na zaskoczoną. — Czy on nie jest przypadkiem z Nowego Jorku?

— Żartuję — sprostowałam. — Oczywiście, że go nie znam! Ale jestem jego główną fanką. — Przerwałam, zastanawiając się, czy powiedzieć Maxi, że Adrian Stadt zasadniczo zainspirował mój scenariusz. Tak, jak Josie Weiss to byłam ja, tak Avery Trace to był Adrian, tyle żeo innym imieniu i bez tej irytującej skłonności do umawiania się z super-modelkami. Zanim podjęłam decyzję, co odpowiedzieć, sama się domyśliła. — Wiesz, on byłby doskonałym Averym — wymamrotała. Podeszła do okna. Zamarłam. Odwróciła się.

— O co chodzi?

— Nie mogę tak... po prostu podejść do niego i zacząć rozmowę.

— Dlaczego nie?

— Bo jestem... — szukałam ładnych słów, by wyrazić „w zupełnie innej lidze niż te przy-
stojne, słynne gwiazdy filmowe”. I w końcu znalazłam: — ...w ciąży.

— Sądzę, — mówiła Maxi — że ludziom w ciąży pozwala się na konwersowanie z ludźmi nie będącymi w ciąży.

Zwiesiłam głowę. — Jestem nieśmiała.

— Och, nie jesteś nieśmiała. Jesteś reporterką, na Boga!

To była słuszna uwaga. Było prawdą, że w moim służbowym życiu mogłam po prostu rutynowo podejść do osób dużo potężniejszych, bardziej wpływowych czy lepiej wyglądających ode mnie. Ale nie do Adriana Stadta. Nie do faceta, na temat którego pozwoliłam sobie na stustronicowy sen na jawie. A co, jeśli mnie nie polubi? A co, jeśli on mi się nie spodoba, w bezpośredniej konfrontacji? Czyż nie byłoby lepiej pozostawić to jako czystą fantazję?

Maxi przestępowała z nogi na nogę. — Cannie...

— Lepiej sobie radzę przez telefon — wymamrotałam w końcu. Maxi westchnęła uroczo, w sposób, który potrafił wiele zdziałać. — Czekaj tutaj — powiedziała i pospieszyła do baru. Kiedy wróciła, trzymała w ręce telefon komórkowy.

— O, nie — rzuciłam, kiedy go zobaczyłam. — Z tym telefonem już miałam pecha.

— To jest inny telefon — odparła Maxi, mrużąc oczy, by odczytać numery, które zapisała na ręce czymś, co wyglądało na kredkę do ust.

— Mniejszy. Lżejszy. Droższy. — Wybrała numer i podała mi telefon. Po drugiej stronie pokoju, naprzeciw okien na całą szerokość pokoju, Adrian Stadt otworzył klapkę swojego aparatu. Patrząc na jego odbicie na szybie mogłam dojrzeć, jak jego usta się poruszają.

— Halo?

— Nie podskocz — powiedziałam. To było pierwsze, o czym potrafiłam pomyśleć. Gdy mówiłam, przesunęłam się tak, bym stała za filarem udrapowanym w biały jedwab, poza zasię-

giem jego wzroku, ale w miejscu, gdzie wciąż mogłam oglądać jego odbicie w szybie. — Nie podskocz — powtórzyłam. — Nie może być tak źle.

Zaśmiał się ponuro. — Ty nic nie wiesz — powiedział.

— Pewnie, że wiem — oznajmiłam, trzymając telefon w śmiertelnym uścisku w mojej nagle spoconej dłoni. Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Rozmawiałam, flirtowałam nawet, z Adrianem Stadtem. — Jesteś młody, jesteś przystojny, jesteś utalentowany...

— Pochlebiasz mi — przerwał. Miał cudowny głos, niski i ciepły. Zastanawiałam się, dlaczego w filmach mówił zawsze tym dziwnym, kwilącym, monotonnym śpiewem, gdy w rzeczywistości brzmiał w ten sposób.

— Ale to prawda! Jesteś. Jesteś w cudownym miejscu i jest piękny wieczór. Możesz oglądać gwiazdy.

Kolejny gorzki wybuch śmiechu. — Gwiazdy — szydził. — Jakbym tego właśnie chciał.

— Nie te gwiazdy — mówiłam. — Wyjrzyj przez okno — powiedziałam mu. Obserwowałam jego oczy, gdy robił to, co mu kazałam. — Spojrzyj w górę. — Pochylił głowę. — Widzisz tę jasną gwiazdę, zaraz po prawej stronie?

Adrian zmrużył oczy. — Nie mogę nic zobaczyć. Zanieczyszczenie — wytłumaczył. Odwrócił się od okna, przeszukując wzrokiem tłum.

— Gdzie jesteś?

Wsunęłam się jeszcze głębiej za filar. Kiedy połykałam ślinę, słyszałam mlaśnięcie mojego gardła.

— Albo przynajmniej powiedz mi, kim jesteś.

— Przyjaciółką.

— Czy jesteś w tym pokoju?

— Może.

Jego głos przybrał lekko drażniący się odcień. — Czy mogę cię widzieć?

— Nie. Jeszcze nie.

— Dlaczego nie?

— Bo jestem nieśmiała — odparłam. — A nie wolałbyś raczej poznać mnie lepiej w ten sposób?

Uśmiechnął się. Mogłam w odbiciu dojrzeć jego poruszające się wargi. — Skąd mogę wiedzieć, że istniejesz naprawdę? — zapytał.

— Nie wiesz — odpowiedziałam. — Mogłabym być wymysłem twojej fantazji.

Obrócił się szybko dookoła siebie i przez sekundę poczułam jego spojrzenie na sobie. Upuściłam telefon, podniosłam go, wyłączyłam i oddałam z powrotem Maxi, wszystko jednym ruchem, o którym chciałam myśleć, że był spokojny, ale pewnie takim nie był.

W tej chwili telefon zaczął dzwonić. Maxi otworzyła klapkę, by go odebrać. — Halo?

Mogłam słyszeć głos Adriana. — Fantazja? Fantazja, czy to ty?

— Proszę poczekać — powiedziała szorstkim tonem i podała mi z powrotem telefon. Wślizgnęłam się znowu za filar.

— Star 69¹⁰ jest zmorą ludzkiej egzystencji w latach dziewięćdziesiątych — zaczęłam. — Co stało się z anonimowością?

— Anonimowość — powtórzył powoli, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy.

— Tylko pomyśl — ciągnęłam — o generacjach dojrzewających płciowo chłopców, którzy nie będą w stanie wykonać głuchych telefonów do dziewczyn, które właśnie wpadły im w oko. Pomyśl, jak oni będą upośledzeni.

— Zabawna jesteś — przyznał.

— To jest mechanizm obronny — odparowałam.

— A więc, mogę cię zobaczyć?

Trzymałam telefon tak mocno, jak tylko się dało, ale nic nie odpowiedziałam.

— Mam zamiar dzwonić tak długo do ciebie, aż pozwolisz mi siebie zobaczyć.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Bo twój głos jest bardzo miły. Czy mogę postawić ci drinka?

— Nie piję — odparłam.

— Nigdy nie robisz się spragniona? — spytał, a ja zaśmiałam się wbrew sobie.

— Pozwól mi cię zobaczyć — powiedział.

Westchnęłam, poprawiłam tunikę, rozejrzałam się szybko wokół, by upewnić się, że w pobliżu nie ma Bettiny Vance, po czym podeszłam do niego od tyłu i poklepałam go po ramieniu. — Hej — rzuciłam, mając nadzieję, że najpierw uderzy go moja fryzura i doskonały makijaż, zanim przejdzie do brzucha. — Cześć.

Odrócił się powoli. W rzeczywistości był cudowny. Wyższy niż sobie wyobrażałam i taki uroczy, tak słodko wyglądający. I pijany. Bardzo, bardzo pijany.

Uśmiechnął się do mnie. Uniosłam telefon. Złapał mnie za przegub dłoni. — Nie, — powiedział — twarzą-w-twarz.

Wyłączyłam telefon.

Z bliska był taki przystojny. Na ekranie wyglądał ładnie, nie cudownie, ale w tym świetle był zdumiewający, z tymi pięknymi, brązowymi oczami i...

— Jesteś w ciąży — wypalił.

No dobrze, niezupełnie był to błysk wiedzy, ale było to coś.

— Taaak — przyznałam. — Jestem w ciąży. Jestem Cannie.

— Cannie — powtórzył. — Gdzie jest twój... hmmm — I pomachał jedną ręką w powietrzu

¹⁰ Firma felekomunikacyjna.

w enigmatyczny sposób, który ja odebrałam jako „ojciec dziecka”.

— Jestem tu sama — odparłam, decydując, że na tym poprzestanę. — Tak naprawdę, to jestem tu z Maxi Ryder.

— Jestem tu sam — powiedział, jakby mnie nie usłyszał. — Zawsze jestem sam.

— Wiem, że to nieprawda — mówiłam. — Tak się składa, że wiem o tym, że spotykasz się z niemiecką studentką medycyny o imieniu Inga.

— Greta — wymamrotał. — Zerwaliśmy. Chyba to pamiętasz.

Wzruszyłam ramionami i próbowałam wyglądać skromnie. — Jestem fanką — powiedziałam. Staralam się zgadnąć, czy nie będzie przesadą, jeśli poproszę go o autograf, kiedy Adrian złapał mnie za rękę.

— Mam pomysł — zaproponował. — Chcesz wyjść na zewnątrz?

— Na zewnątrz? — Czyja chciałam wyjść z Adrianem Stadtem? Czy Papież nosił duży kapelusz? Przytaknęłam tak gorliwie i mocno, że obawiałam się, czy nie nabawię się trzęsawki. Wycofałam się szybko z tłumu pełnego minispódniczek i krótkich koszulek typu top w poszukiwaniu Maxi. Dojrzałam ją w końcu w ścisku przy barze. — Słuchaj — powiedziałam — wychodzę na chwilę z Adrianem Stadtem.

— Och, idziesz, naprawdę? — spytała figlarnie.

— To nie to, co myślisz.

— Och, nie?

— On wydaje się być jakoś... samotny.

— Hmm. Cóż, pamiętaj, że jest aktorem. — Pomyślała nad tym przez chwilę. — Tak naprawdę, to aktorem komediowym, który gra w filmach.

— Idziemy tylko na spacer — powiedziałam, czując się zdesperowana, by jej nie zranić czy obrazić, ale jeszcze bardziej, by wrócić do Adriana.

— Jak chcesz — rzuciła niedbale. Nagryzmoliła numer swojego telefonu na serwetce i wyciągnęła rękę po telefon. — Zadzwoń, gdziekolwiek będziesz.

Oddałam jej telefon, wrzuciłam serwetkę do torebki i przewróciłam oczami. — Och, dobra. Będę go uwodzić. Będzie bardzo romantycznie. Będziemy się do siebie tulić na kanapie i ja go pocałuję, a on powie, że mnie uwielbia, i wtedy moje nienarodzone dziecko kopnie go w zębra.

Maxi nie wyglądała już na nadąsaną.

— I wtedy sfilmuję całe zdarzenie i sprzedam prawa Foxowi, a oni zrobią z tego wydanie specjalne. *Najbardziej Pokręcona Trójka Na Świecie*.

Maxi roześmiała się. — No dobra. Tylko bądź ostrożna Pocałowałam ją w policzek i, niewiarogodne, odkryłam, że Adrian Stadt wciąż na mnie czekał. Uśmiechnęłam się do niego, a on prowadził mnie do windy, w dół i na zewnątrz, gdzie znaleźliśmy się naprzeciw czegoś, co wyglądało na autostradę. Żadnych ławek, trawy, nawet skromnego przystanku autobusowego, ani

nawet chodnika, by móc się przespacerować po nim.

— Huh — powiedziałam.

Adrian zaczął wyglądać na jeszcze bardziej pijanego niż w Star Barze. Świeże powietrze zdawało się nie mieć na niego otrzeźwiającego wpływu, na co miałam nadzieję. Sięgnął po moją rękę, ale zamiast tego zdołał chwycić jedynie mój przegub i przyciągnął mnie mocno do siebie... cóż, na tyle, na ile pozwalał na to mój brzuch.

— Pocałuj mnie — zaproponował, a ja roześmiałam się głośno analizując absurdalność tych słów. *Pocałuj mnie!* Jak kwestia z filmu! Patrzałam przez jego ramię poszukując nieuniknionych ostrych świateł, tłumu statystów i reżysera, gotowego by krzyknąć: „Koniec ujęcia!”, gdy Adrian uniósł swój kciuk i zaczął wodzić nim wzdłuż mojego policzka, a potem niżej, nad moimi ustami. Był to gest, który z pewnością widziałam wykonywany przez niego na ekranie, ale odkryłam, że mnie to nie obchodziło. — Cannie — wyszeptał. Sam jego głos wypowiedający moje imię sprawił, że zadygotałam w miejscach, w których nie spodziewałam się poczuć cokolwiek przed narodzeniem dziecka. — Pocałuj mnie. — Przynurzył swoje wargi do moich, uniosłam lekko głowę do góry, a ciało cofnęłam, gdy jego dłoń wygięła się na mojej szyi i przytrzymała mi głowę, jakby była czymś cennym. Och, taki słodki pocałunek, pomyślałam, i wówczas jego usta znalazły się z powrotem na moich, mocniej, jego dłoń bardziej natarczywa, gdy obok nas pomykały auta, poczułam, jak topnieję, zapominam o swoim postanowieniu, moim życiu, moim nazwisku.

— Chodź ze mną — rzucił, obsypując mnie pocałunkami na policzkach, ustach, powiekach.

— Zatrzymałam się w hotelu... — wymamrotałam słabo, uświadamiając sobie, kiedy tylko słowa wydobyły się z moich ust, że zabrzmiało to jak najtańsza propozycja. Ale co właściwie tu się dzieje, tak czy tak? Czy on rzeczywiście mógłby być tak samotny? Czy mógłby czuć pożądanie do kobiety w ciąży? A może to był jego rodzaj żartu? — Czy chcesz może... — próbowałam myśleć szybko. Gdybym była w Filadelfii i na ulicy obmacywał mnie mój największy obiekt pożądania, który był bardzo, bardzo pijany, co mogłabym zaproponować? Ale, oczywiście, nic nie potrafiłam wymyśleć. Nic mi nie przychodziło do głowy. — ...pójść do baru? — wydusiłam wreszcie. — Może na kolację?

Adrian sięgnął do swojej kieszeni i wyciągnął coś, co wyglądało mi na karnet parkingowy. — A co byś powiedziała na przejażdżkę? — zapytał.

— Czy możemy... — myślałam szybko — możemy jechać na plażę? Jest taka piękna noc... — Co nie było całkiem prawdą. Był niesamowity smog, ale przynajmniej było ciepło, z lekką bryzą.

Adrian kołysał się na nogach do przodu i do tyłu, rzucając mi słodki, lekko głupkowaty uśmiech. — To brzmi jak plan — przyznał.

Po pierwsze jednak pozostawała błaża kwestia przekonania go do oddania kluczyków.

— Ooo, cabriolet — zagruchałam, gdy mały, lśniącoczerwony samochód podjechał do kra-

wężnika i wysiadł z niego parkingowy. — Nigdy jeszcze takiego nie prowadziłam. — Rzuciłam mu moje najskromniejsze i najbardziej czarujące spojrzenie. — Czy mogę nim jechać? — Przekazał mi klucze bez słowa, a potem usiadł cicho obok mnie, nie mówiąc dużo, za wyjątkiem słów wskazujących mi drogę.

Kiedy popatrzałam z boku na niego, zauważyłam, że do czoia przyciska swą dłoń.

— Ból głowy? — zapytałam. Przytaknął głową z zamkniętymi oczyma. — Piwo przed wódką?

Wykrzywił się z bólu. — Tak naprawdę, to Ekstaza przed wódką.

Uuuuf. Sądzę, że gdybym zdecydowała się zostać dłużej w Hollywood, musiałabym się przyzwyczaić do ludzi tak lekko przyznających się do rekreacyjnego zażywania narkotyków. — Nie wyglądasz ekstatycznie — ośmieliłam się.

Ziewnął, a potem się skrzywił. — Może poproszę o zwrot kosztów — powiedział i spojrzał na mnie z boku. — Więc, jesteś, hmmm... kiedy masz...

— Mam termin na piętnastego czerwca — pomogłam mu.

— A więc twój, hmm, mąż tam w...

Zdecydowałam zakończyć już tę grę wypełniania-wolnych-miejsc.

— Jestem z Filadelfii i nie mam męża. Ani chłopaka.

— Och! — powiedział Adrian, brzmiąc, jakby poczuł się na nieco pewniejszym gruncie. — Więc twój partner jest tam?

Zaśmiałam się. Nie mogłam nic na to poradzić. — Partnera też nie mam. Jestem klasyczną samotną matką. — Przedstawiłam mu w zarysie najważniejsze fakty z mojego życia: siebie i Bruce'a, nasze zerwanie i dwudziestominutowe pojednanie, ciążę, scenariusz i mój przylot do Kalifornii przed ledwo dwunastoma godzinami.

Adrian kiwał głową, ale nie zadawał żadnych pytań, a ja nie mogłam spojrzeć na niego, by odczytać wyraz jego twarzy. Więc skupiłam się na jeździe. Wreszcie, po serii mniej lub bardziej ostrych zakrętów, o których wiedziałam, że nawet nie mogę mieć nadziei, że je zapamiętam i że mogłabym odtworzyć tę drogę kiedyś sama, zaparkowaliśmy na urwisku, na wprost oceanu. I, pomimo smogu, było wspaniale: zapach słonej wody, rytmiczny szum fal uderzających o brzeg, wrażenie całej tej wody, całej tej siły i ruchu, tak blisko nas...

Odwróciłam się do Adriana. — Czyż to nie jest fantastyczne? — zapytałam. Nie odpowiadał. — Adrian?

Żadnego ruchu. Przysunęłam się trochę do niego, jak myśliwy podchodzący do lwa. Nie poruszył się. Przysunęłam się jeszcze bliżej. — Adrian? — wyszeptalam. Żadnego mrużenia czułych słówek, żadnych pytań o scenariusz, ani o moje życie w Filadelfii. Zamiast tego usłyszałam chrapanie. Adrian Stadt zasnął.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Była to klasyczna dla Cannie Shapiro chwila: być

na plaży ze wspaniałym gwiazdorem filmowym, przy wietrze chłostającym morze i wzbudzającym fale, w świetle księżycy odbijającym się w wodzie, pod milionem gwiazd na niebie, a on... zasypia.

Tymczasem poczułam się opuszczona. I robiło mi się zimno od wiatru docierającego z wody. Rozejrzałam się po samochodzie, na próżno szukając koca czy też zabłąkanej bluzy. Nic z tego. Była czwarta nad ranem, zgodnie z tym, co podawały świecące na zielono wskazówki mojego zegarka. Zdecydowałam, że dam mu pół godziny, a jeśli się nie obudzi i nie zacznie poruszać... cóż, już coś tam wymyślę.

Włączyłam silnik, by mieć ogrzewanie i muzykę z płyty Chrisa Isaaka, którą miał w odtwarzaczu. Potem się oparłam, żałując, że nie założyłam żakietu, nie spuszczać z jednego oka Adriana, który chrapał do rytmu muzyki, a z drugiego mojego zegarka. Było to... no dobrze, tak naprawdę żalosne, ale też trochę zabawne. Moja wielka podróż do Hollywood, pomyślałam ponuro. Mój romans. Może byłam tym gatunkiem dziewczyny, który zasługiwał na kpinę w gazetach, pomyślałam... i wtedy potrząsnęłam głową. Wiem, jak o siebie dbać. Wiem, jak pisać. I osiągnęłam coś, czego pragnęłam najbardziej na świecie — sprzedałam swój scenariusz. Będę miała pieniądze, dobrobyt, jakąś sławę. I byłam w Hollywood! Z gwiazdorem filmowym!

Rzuciłam spojrzeniem na prawo. Ten gwiazdor filmowy wciąż się nie poruszał. Pochyliłam się bliżej. Oddychał chrapliwie, a jego czoło pokryte było potem.

— Adrian? — wyszeptałam. Nic. — Adrian? — zapytałam normalnym głosem. Nie widziałam nic poza drżeniem powieki. Pochyliłam się nad nim i potrząsnęłam lekko jego ramionami. Nic się nie stało. Gdy go puściłam, opadł bez życia na kubelkowe, sportowe siedzenie. Teraz to zaczęłam się niepokoić.

Wsunęłam jedną rękę do jego kieszeni, krzywiąc się na samą myśl o potencjalnych tytułach w gazetach („*Saturday Night!* Gwiazdor Molestowany Przez Debiutującą Scenarzystkę!”) i znalazłam jego telefon komórkowy. Po krótkim, niezdarnym gmeraniu zdołałam wreszcie uzyskać sygnał. Wspaniale. Ale co teraz?

Wtedy mnie olśniło. Sięgnęłam do torebki i wyjęłam z portfela wizytówkę Dr K. Na jednym z zajęć Grupy Otyłych powiedział nam, że nie sypia dużo i z reguły jest w biurze przed siódmą rano, a teraz na Wschodnim Wybrzeżu było już nawet później.

Wstrzymałam oddech i wybrałam numer. — Halo? — powiedział jego głęboki głos.

— Cześć, Dr K. Mówi Cannie Shapiro.

— Cannie! — wykrzyknął, jakby był szczęśliwy, że mnie słyszy, a ani trochę zaalarmowany faktem, że dzwoniłam z tak daleka o lekko dziwnej, jak dla mnie, porze dnia. — Jak minęła podróż?

— Po prostu świetnie — odparłam. — Cóż, jak dotąd dobrze. Z wyjątkiem tego, że teraz mam chyba mały problem.

— Mów, jaki — powiedział.

— Dobrze, ja, hmm... — przerwałam, zastanawiając się — poznałam nowego przyjaciela — dokończyłam.

— To dobrze — skomentował zachęcająco.

— I jesteśmy na plaży, w jego samochodzie, a on zasnął głęboko, a ja nie mogę go dobudzić.

— To źle — przyznał.

— Taaak, — zgodziłam się z nim — i nie jest to nawet najgorsza randka, na jakiej byłam. No więc normalnie to pozwoliłabym mu spać, tyle że zdołał mi wcześniej powiedzieć, że pił i brał Ekstazę jednocześnie...

Przerwałam i nic nie usłyszałam w odpowiedzi. — To nie to, o czym myślisz — mówiłam słabo, mimo że nie miałam pojęcia, o czym myślał, poza tym, że była to pewnie kombinacja mojego imienia i słów typu „wariatka”.

— A więc zasnął? — zapytał Dr K.

— Cóż, tak. Zasadniczo — westchnęłam. — A myślałam, że byłam wystarczająco zabawna.

— Ale oddycha?

— Oddycha, ale się poci — podałam szczegóły. — I się nie budzi.

— Dotknij jego twarzy i powiedz, jaka jest jego cera.

Zrobiłam tak. — Gorąca — zdałam relację. — Spocona.

— Lepiej niż chłodna i lepka. Tego nie chcemy — powiedział.

— Sądzę, że twój dzentelmen będzie się miał świetnie. Ale uważam, że powinnaś zrobić dwie rzeczy.

— No mów — rzuciłam, wtykając telefon pod podbródek i odwracając się do Adriana.

— Po pierwsze, przekręć go tak, by leżał na boku, by na wypadek wymiotów nie musiał ich wdychać.

Mocowałam się z Adrianem, aż w końcu leżał w połowie na boku.

— Zrobione — zrelacjonowałam.

— Kolejną kwestią jest to, byś po prostu z nim była — powiedział.

— Sprawdzaj go mniej więcej co pół godziny. Jeśli zrobi się zimny albo zacznie dygotać, albo jego puls stanie się nieregularny, zadzwoń pod 911. W przeciwnym razie rano powinien poczuć się dobrze. Może mieć nudności albo odczuwać ból, — przestrzegł — ale żadnej trwałej szkody nie będzie.

— Fantastycznie — oznajmiłam, kurcząc się w sobie na myśl o tym, co będzie rankiem, gdy Adrian obudzi się z kaczem-gigantem i znajdzie siebie obok mnie.

— Możesz wziąć szmatkę, zanurzyć w zimnej wodzie, wykręcić i położyć na jego czole — mówił lekarz. — To wtedy, gdy poczujesz w sobie litość.

Zaczęłam się śmiać. Nie mogłam nic na to poradzić. — Dziękuję ci — powiedziałam. —

Naprawdę, wielkie dzięki.

— Mam nadzieję, że sytuacja się polepszy — starał się pocieszyć, mówiąc pogodnym tonem. — Ale mam wrażenie, że masz już ją opanowaną. Czy zadzwonisz do mnie i powiesz, jak się to zakończy?

— Absolutnie. Jeszcze raz ci dziękuję.

— Dbaj o siebie, Cannie — powiedział. — Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś znowu potrzebować.

Skończyliśmy rozmowę i zaczęłam rozważać. Szmatkę? Sprawdziłam w schowku i znalazłam jedynie umowę najmu samochodu, kilka płyt CD i dwa pióra. Przejrzałam moją torebkę: szminka, którą dostałam od Gartha, portfel, klucze, notatnik teleadresowy, podpaska, którą książka *W oczekiwaniu na dziecko* kazała mi nosić przy sobie.

Spojrzałam na Adriana. Popatrzałam na podpaskę. Doszłam do wniosku, że to, o czym nie wie, go nie zrani, więc wysiadłam z samochodu, podeszłam ostrożnie do wody, zanurzyłam w niej podpaskę, wróciłam i położyłam ją delikatnie na jego czole, starając się nie chichotać, gdy to robiłam.

Adrian otworzył oczy. — Jesteś taka słodka — wybełkotał.

— Hej, Śpiąca Piękność! — powiedziałam. — Nie śpisz wreszcie! Już zaczęłam się niepokoić...

Adrian zdawał się mnie nie słyszeć. — Założę się, że będziesz kapitalną matką — wymamrotał i zamknął z powrotem oczy.

Uśmiechnęłam się, sadowiąc wygodniej na siedzeniu. Kapitalna matka. Był to pierwszy raz, gdy naprawdę o tym pomyślałam — o właściwym akcie macierzyństwa. Oczywiście, że myślałam o rodzeniu, o logistyce opiekowania się noworodkiem też. Ale nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jaką matką ja, Cannie Shapiro, lat prawie dwadzieścia dziewięć, będę.

Przyłożyłam dłonie do brzucha, gdy Adrian chrapał łagodnie obok mnie. Dobra matka, pomyślałam, lekko otumaniona. Ale jakiego rodzaju? Czy będę taką, którą wszystkie dzieciaki w sąsiedztwie uwielbiają, bo podaje słodzone poncze owocowe i ciasteczka zamiast odtłuszczonego mleka i owoców, ubiera się w dżinsy i modne buty, i potrafi naprawdę porozmawiać ze swoimi dziećmi, zamiast robienia im wykładów? Czy będę zabawna? Czy będę taką domową mamą, albo taką, którą będą mogli pokazać w Dzień Kariery? Albo będę jedną z tych wciąż martwiących się mam, kręcącą się przy drzwiach, wyczekującą na swoje dziecko, aż wróci do domu, zawsze za nim biegnącą, trzymającą w ręku jego sweter czy płaszcz, czy też garść chusteczek higienicznych?

Będiesz sobą, powiedział mi głos w głowie. Głos mojej matki. Od razu go rozpoznałam. Będę sobą. Nie mam innego wyboru. I nie będzie tak źle. Poradziłam sobie z Nifkinem, rozumowałam. To było coś.

Oparłam głowę na ramieniu Adriana, stwierdzając, że nie będzie mieć nic przeciwko temu. I wtedy właśnie pomyślałam o czymś innym.

Wyciągnęłam gwałtownie z torebki jego telefon, po czym wygrzebałam z niej kawałek papieru z zapisanym numerem telefonu Maxi i wstrzymałam oddech, aż usłyszałam jej pogodne, brytyjskie: — Halo?

— Hej, Maxi — wyszeptałam.

— Cannie! — krzyknęła. — Gdzie jesteś?

— Na plaży — odparłam. — Nie wiem dokładnie, gdzie, ale...

— Czy jesteś z Adrianem?

— Tak — szeptałam. — A on tak jakby... zasnął.

Maxi zaczęła się śmiać... a ja, wbrew sobie, też to zrobiłam. — Więc pomóż mi. Jaka tu panuje etykieta? Czy zostaję? Czy odchodzę? Czy zostawiam mu jakąś wiadomość?

— Gdzie jesteś, dokładnie? — zapytała Maxi.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiegoś znaku, światła, czegokolwiek. — Pamiętam, że ostatnia ulica, na której byliśmy, nazywała się Del Rio Way — powiedziałam. — A teraz jesteśmy na urwisku, może jakieś dwadzieścia metrów od morza...

— Wiem, gdzie to jest — oznajmiła Maxi. — Przynajmniej tak mi się wydaje. To tam, gdzie kręcił scenę miłosną do *Oczy Estelli*.

— Świetnie — ucieszyłam się, starając się przypomnieć sobie, czy ktokolwiek zasnął podczas tej sceny. — Więc co mam robić?

— Powiem ci, jak zajechać do mojego domu — powiedziała. — Będę czekać.

Maxi kierowała mną w doskonały sposób i za dwadzieścia minut podjeżdżaliśmy pod jej mały domek z szarym gontem, położony na plaży. Było to takie miejsce, które pewnie bym wybrała, znając mój gust, i pewnie by kosztował kilka milionów dolarów.

Sama Maxi czekała w kuchni. Zmieniła sukienkę na czarne legginsy, T-shirt i warkoczyki, które wyglądają absurdalnie na 99,9 procentach populacji kobiet, ale na niej wyglądały uroczo. — Czy on dalej śpi?

— Chodź i zobacz — wyszeptałam. Poszliśmy z powrotem do samochodu, gdzie Adrian spoczywał wciąż na siedzeniu pasażera, z ustami szeroko otwartymi, oczami szczelnie zamkniętymi i moją podpaską dalej umieszczoną na jego czole.

Maxi wybuchnęła śmiechem. — A co to jest?

— To było najlepsze, co mogłam zrobić — odparłam, broniąc się.

Wciąż chichocząc, Maxi porwała egzemplarz *Variety* z czegoś, co ja uznałam za jej kosz na śmieci, zwinęła w rulon i szturchnęła nim w ramię Adriana. Nic. Obniżyła trochę gazetę i wtknęła w jego brzuch. Żadnej reakcji.

— Huh — powiedziała Maxi. — Cóż, nie sądzę, by on umierał, ale może powinniśmy go wnieść do środka.

Powoli i ostrożnie, z dużą ilością chrząknięć i chichotów, zdołaliśmy wymanewrować Adrianem z samochodu i dowlec aż na kanapę Maxi — fantastyczną konstrukcję z białej skóry, której, miałam nadzieję, Adrian nie zarzyga.

— Powinniśmy ułożyć go na boku, na wypadek gdyby wymiotywał... — zasugerowałam, wpatrując się w Adriana. — Naprawdę myślisz, że wszystko z nim w porządku? — zapytałam. — Brał Ekstazę...

— Pewnie będzie dobrze — odparła wymijająco. — Ale może powinniśmy z nim zostać. — Przyjrzała mi się badawczo. — Musisz być wykończona.

— Ty też — powiedziałam. — Przepraszam za to...

— Cannie, nie przejmuj się! Robisz dobry uczynek!

Spojrzała na Adriana, a potem na mnie. — Impreza drzemkowa? — zasugerowała.

— Brzmi jak niezły plan — odpowiedziałam.

Podczas gdy Maxi wyszła, prawdopodobnie po pościel, ja zdjęłam Adrianowi buty, a potem skarpety. Rozpięłam mu pasek i wyjęłam ze spodni, rozpięłam jego koszulę, zdjęłam mu z czoła podpaskę i zastąpiłam ją ścierką do naczyń, którą znalazłam w kuchni.

Potem, kiedy Maxi rozkładała na podłodze koce i poduszki, zmyłam z twarzy makijaż, wciśnęłam się do otrzymanego od niej T-shirta i zastanawiałam się, do czego mogłabym być przydatna.

Na środku pokoju znajdował się kominek — doskonale wyglądający, kominek w dawnym stylu z geometrycznie, dokładnie ułożoną stertą kawałków brzoźowych pni na środku paleniska. I wiedziałam, jak się rozpala ogień. To było dobre.

Nie umiałam znaleźć gazety, więc wyrwałam kilka stron z *Variety*, zwinęłam je w precelki, włożyłam pod kawałki drewna, upewniłam się, czy przewód kominowy był otwarty, sprawdziłam, czy drewno było naprawdę drewnem, a nie jakąś dekoracyjną imitacją drewna z ceramiki, po czym zapaliłam zapalniczkę z pudełka, które zabrałam ze Star Baru, w nadziei, że będę mogła w ten sposób udowodnić Samancie i Andy'emu, i Lucy, że tam naprawdę byłam. Papier zajął się od razu, a potem zaczęły się palić kłody drewna i odwróciłam się na piętach, zadowolona z siebie.

— No, no — powiedziała Maxi, wtulając się w swoją stertę koców, zwracając twarz do ognia. — Jak się tego nauczyłaś?

— Właściwie to mama mnie nauczyła — odparłam. Patrzała na mnie wyczekująco, więc opowiedziałam jej i, myślałam, że mojemu dzidziusiowi również, jak pojechaliśmy wszyscy na ryby na Cape Cod, i jak mama zrobiła ognisko, by nam było ciepło... i jak usiedliśmy wszyscy dookoła — mój ojciec, moja siostra, mój brat i ja — piekąc ryby i patrząc, jak mama stoi w wodzie, zarzucając srebrną sieć do szaro-czarną wodę, z podwiniętymi spodniami, pokazując silne,

solidne, opalone nogi.

— Dobre czasy — powtarzała Maxi, po czym przekręciła się i zasnęła. Ja leżałam jeszcze przez chwilę, z oczami szeroko otwartymi w ciemności, wsłuchując się w jej głęboki, cichy oddech i chrapanie Adriana.

No dobrze, oto jesteś, powiedziałam sobie. Ogień już powoli wygasał. Czułam zapach dymu na moich rękach i we włosach, słyszałam fale uderzające o brzeg i widziałam powoli szarzące niebo. Oto jesteś, pomyślałam. Ty Jesteś Tutaj. Położyłam dłonie na brzuchu. Dziecko odwróciło się, płynąc w swoim śnie, robiąc z siebie coś, co odczułam jako koziołek do tyłu. Ona, pomyślałam. Dziewczynka, na pewno.

Wysłałam nocną modlitwę do Nifkina, który powinien sobie poradzić jedną noc samotnie w pokoju hotelowym. Wtedy zamknęłam oczy i przywołałam ze wspomnień twarz mamy znad ogniska w Cape Cod, taką szczęśliwą i spokojną. I sama, czując się szczęśliwa i spokojna, zdołałam wreszcie zasnąć.

Rozdział XVI

Kiedy obudziłam się rano, była 10:30. Ogień był uśpiony. Tak, jak Adrian i Maxi.

Tak cicho, jak tylko umiałam, weszłam na pierwsze piętro. Wypolerowane, drewniane podłogi, nowoczesne komody i półki z drewna klonowego, prawie puste. Zastanawiałam się, jak czuje się Maxi, zamieszkując i porzucając tyle domów, jak gąsienica zrzucająca swój kokon. Zastanawiałam się, czy to ją w ogóle obchodziło. Wiedziałam, że obchodziłoby to mnie.

Łazienka przepelniona była miękkimi ręcznikami, eleganckimi mydlami i szamponami w małych, jednorazowych buteleczkach. Wzięłam długi, gorący prysznic, umyłam zęby jedną z nowych, wciąż jeszcze zapakowanych szczoteczek, jakie znalazłam w apteczce, a potem ubrałam się w T-shirt i czysty dół od piżamy, który znalazłam w jednej z szuflad komody. Byłam pewna, że będę potrzebować suszarkę i możliwe, że asystę, by usiłować odtworzyć to, co wczoraj z moimi włosami zrobił Garth, ale nikogo wokół nie było. Zaczesałam do tyłu pasma włosów, spinając je zapinkami, cementując całość jakąś małą porcją drogiej, fantastycznie pachnącej, francuskiej mikstury. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Pod silnym naciskiem ojca, w szkole średniej chodziłam na lekcje hiszpańskiego. Pożyteczne, by zmierzyć się z testem na koniec roku, ale w ogóle nieprzydatne w te poranki, gdy niespodziewanie trzeba przetłumaczyć napisy na kosmetykach gwiazd filmowych.

Gdy zeszłam z powrotem na dół, Maxi wciąż spała, zwinięta jak przecudny kociak na stercie koców. Ale po Adrianie została tylko kartka papieru.

Podniosłam ją. „Droga Cassie”, zaczynał się list, a ja parsknęłam śmiechem. Cóż, pomyślałam, przynajmniej był blisko. I z pewnością bywałam nazywana gorzej. „Dziękuję ci bardzo za zaopiekowanie się mną zeszłej nocy. Wiem, że nie znamy się zbyt dobrze...”

I tu znowu parsknęłam. Nie znamy się dobrze! Ledwo wymieniliśmy pięć zdań, zanim zasnął!

„...ale wiem, że jesteś miłą osobą. Wiem, że będziesz cudowną matką. Przepraszam, że musiałem wyjechać w takim pośpiechu i tak szybko nie będę się mógł z tobą spotkać. Wyjeżdżam dziś rano na plan zdjęciowy do Toronto. Więc mam nadzieję, że będzie ci się to podobać, podczas twojego pobytu w Kalifornii.”

To? Co to było? Rozwinęłam zupełnie kartkę i wypadł z niej srebrny kluczyk na to, co zostało z dolnej części mego brzucha. Kluczyk samochodowy. „Dzierżawa jest wykupiona do przyszłego miesiąca,” napisał Adrian na odwrocie kartki, a obok tej notki nazwa i adres wypożyczalni samochodowej w Santa Monica. „Zostaw to, gdy już będziesz jechać do domu. I miłej zabawy!”

Podniosłam się powoli, podeszłam do okna i wstrzymałam oddech, gdy podnosiłam żaluzje.

No tak, był tam mały, czerwony samochód. Popatrzałam na kluczyk w mojej dłoni, potem na samochód i uszczypnęłam się, czekając, aż się zbudzę i odkryję, że to wszystko było tylko snem... że spałam wciąż w moim łóżku w Filadelfii, ze stertą książeczek o planowaniu ciąży na stoliczku nocnym i Nifkinem zwiniętym w kłębek tuż obok mojej głowy.

Maxi ziewnęła, wstała z wdziękiem i podeszła do mnie, do okna. — Co się dzieje? — zapytała.

Pokazałam jej samochód, kluczyk i notatkę. — Czuję się, jakbym śniła.

— Przynajmniej to mógł zrobić — powiedziała Maxi. — Ma szczęście, że nie przewróciłaś mu kieszeni do góry nogami i nie zrobiłaś mu zdjęć nagiemu.

Zrobiłam jej niewinną minę, z szeroko otwartymi oczami. — A nie miałam tak zrobić?

Maxi wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Usiądź mocno — powiedziała. — Pojadę po twojego psa, a potem będziemy planować twój podbój Hollywoodu.

Spodziewałam się, że szafki będą ogołoczone, z wyjątkiem może tej żywności, na której opierają swą egzystencję gwiazdy filmowe — Altoidów, wody mineralnej, może trochę drożdży piwnych, czy też czegośkolwiek innego, co dietetyczni guru zalecą im jeść.

Ale półki Maxi były przepełnione różnymi artykułami, od kostek rosółowych przez mąkę i cukier, na przyprawach skończywszy, a w lodówce były świeże jabłka, pomarańcze, mleko, sok, masło i ser topiony.

Tarta, zdecydowałam, i sałatka owocowa. Kroiłam kiwi i truskawki na plasterki, gdy wróciła Maxi. Przebrała się w czarne kolarki, wiśniowoczerwony T-shirt bez rękawów, duże czarne okulary przeciwsłoneczne i coś we włosach, co wzięłam za wsuwki ze sztucznego rubinu, a Nifkin paradował w lakierowanej, czerwonej obroży, nabitej tymi samymi klejnotami i dopasowanej do niej smyczy. Oboje wyglądali bardzo wytwornie. Obsłużyłam Maxi, a potem, w obliczu chwilowego braku psiej karmy, dałam Nifkinowi małą porcję tarty.

— Tu jest tak pięknie — powiedziałam, podziwiając migocące w wodzie słońce i czując w powietrzu powiew świeżej bryzy morskiej.

— Powinnaś tu zostać jakiś czas — zasugerowała Maxi.

Pokręciłam głową. — Muszę spakować rzeczy i jechać z powrotem... — zaczęłam, a potem urwałam. Tak naprawdę to dlaczego miałabym się spieszyć z powrotem? Praca może poczekać — wciąż miałam jeszcze nie wybrany urlop. Opuszczenie kilku zajęć z macierzyństwa też nie byłoby końcem świata. Pokój z widokiem na ocean był kuszący, zwłaszcza wtedy, gdy w Filadelfii panowała kapryśna, mokra wiosna. A Maxi czytała w moich myślach.

— Będzie wspaniale! Możesz pisać, ja pójdę do pracy, możemy robić przyjęcia obiadowe, palić w kominku. Nifkin może się wybiegać... Zrobię dla ciebie portfolio giełdowe...

Chciałam zacząć skakać z radości, ale nie byłam pewna, czy dzidziusiowi by się to spodoba-

ło. Byłoby tu niesamowicie. Mogłabym brodzić w morzu. Nifkin mógłby gonić mewy. Maxi i ja mogłybyśmy gotować. Tu musi się kryć jakieś oszustwo. Nie potrafiłam jedynie dojść do tego, jakie i gdzie. Ale tego ranka, przy pełnym słońcu i szumie fal, wydawało się łatwiejsze pozwolić tej cudownej przygodzie dalej się toczyć, niż marnować więcej czasu na szukanie dziur w całym.

Sprawy zaraz potem potoczyły się bardzo szybko.

Maxi zawiozła mnie do wysokiego drapacza chmur z niebiesko-srebrzystymi ścianami ze szkła, ze stylową knajpką na parterze. — Zabieram cię na spotkanie z moją agentką — wytłumaczyła, wciskając klawisz siódmego piętra.

Wyteżyłam umysł, by zadać odpowiednie pytania. — Czy ona... czy ona zajmuje się też pisarzami? — zapytałam. — Czy jest dobra?

— Tak, i to bardzo — odparła Maxi, prowadząc mnie w głąb korytarza. Zastukała mocno w otwarte drzwi i wetknęła głowę do środka.

— Gównu prawda! — powiedział kobiecy głos na tyle donośnie, że słyhać było na korytarzu. — Terence, pierdolisz. To jest projekt, którego poszukiwałeś, a on to będzie mieć zrobione na przyszły tydzień...

Zajrzałam przez ramię Maxi, spodziewając się, że właścicielką głosu będzie pałaca jednego papierosa za drugim dama z platynowymi włosami i pewnie poduszkami na ramionach, z papierosem bez filtra w jednej dłoni i filizanką czarnej kawy w drugiej... żeńską wersją faceta w gadzich okularach przeciwsłonecznych, który powiedział mi, że w Hollywood nie ma grubych aktorek. Zamiast tego, ulokowana za olbrzymim biurkiem siedziała żeńska wersja chochlika, z truskawkowo-blond włosami, jasną cerą i piegami. Ubrana była w jasnozieloną suknię bez rękawów i T-shirt w kolorze liliowym, a na jej maleńkich, dziecięcych niemal stopach były Kedsy. Włosy miała spięte w luźny kok jasnoniebieską zapinką. Wyglądała, jakby miała może ze dwanaście lat.

— To jest Violet — powiedziała dumnie Maxi.

— GÓWNO! — powtórzyła Violet. Walczyłam w sobie z chęcią położenia rąk na brzuchu, w miejscu, gdzie, wyobrażałam sobie, były uszy dzidziusia.

— I co sądzisz? — wyszeptała Maxi.

— Ona jest hmm... — starałam się. — Wygląda jak Pippi Pończoszanka! Czy ona jest wystarczająco duża, by używać takiego języka?

Maxi wybuchnęła śmiechem. — Nie przejmuj się — uspokoiła. — Może wygląda jak mała harcerka, ale ma w sobie dużo zacięcia.

Z pożegnalnym „Gównu” Violet odłożyła telefon, podniosła się i wyciągnęła dłoń. — Cannie. Miło mi — oznajmiła głosem normalnej osoby, a nie jak ziejący ogniem smok, który dokopywał Andrew Dice Clay kilka chwil temu. — Naprawdę podobał mi się twój scenariusz. A wiesz, co najbardziej?

— Przekleństwa?

Violet zaśmiała się. — Nie, nie — odparła. — Podobało mi się, że twoja główna bohaterka miała przez cały czas silną wiarę w siebie. W tak wielu romantycznych komediach wydaje się, że bohaterka powinna być jakoś ocalona... przez miłość, pieniądze, czy też czarodziejską matkę chrzestną. Podobało mi się bardzo, że Josie uratowała siebie i wierzyła w siebie cały czas.

No proszę. Nigdy nie myślałam o niej w ten sposób. Dla mnie historia Josie była spełnieniem marzeń, czystym i prostym — historią, którą mogłaby się wydarzyć mnie samej, gdyby któraś z gwiazd, z którymi przeprowadzałam wywiad w Nowym Jorku, kiedykolwiek spojrzęła na mnie w inny sposób i zobaczyła we mnie coś więcej, niż tylko potencjalnego autora jej reklamy, w żeńskiej formie, o nadmiernych gabarytach.

— Kurwa, kobiety będą uwielbiać ten film! — wyróżyla Violet.

— Tak się cieszę, że tak myślisz — powiedziałam.

Violet pokiwała głową, wyciągnęła raptownie z włosów zapinkę, rozczesła je palcami, a potem zebrała loki w odrobinę staranniejszą wersję tego samego koka. — Porozmawiamy więcej później — powiedziała, zgarniając podkładkę pod dokumenty, garść długopisów, egzemplarz mojego scenariusza i coś, co wyglądało, jak kopia kontraktu. — Póki co, zaróbmy dla ciebie trochę pieniędzy.

W końcu okazało się, że ta mała Violet potrafi być wyjątkową negocjatorką. Może to ostre, metaliczne brzmienie jej głosu i nieprzerwany strumień sprośnych słów wylewający się z tak uroczej osóбки, co niewątpliwie kłóciło się ze sobą, sprawiły, że trio młodych facetów w eleganckich garniturach w efekcie końcowym bardziej wpatrywało się w nią, niż kontestowało jej stwierdzenie, że mój scenariusz jest tego wart. Wreszcie, kwota, którą mi przyznano — jedną część mają dostarczyć w ciągu pięciu dni od podpisania, drugą w dniu rozpoczęcia zdjęć, a trzecią „na pierwszy rzut spojrzenia” za to, cokolwiek napiszę później — była co najmniej niewiarygodna. Maxi objęła mnie, a Violet objęła nas obie. — A teraz idźcie i sprawcie, bym była dumna — powiedziała, zanim zawlokła się z powrotem do swojego biura, wyglądając dla całego świata jak piątoklasistka wracająca z popołudniowej przerwy.

Już o piątej po południu siedziałam znów za biurkiem Maxi z miską schłodzonych winogron na kolanach i wąziutkim kieliszkiem bezalkoholowego, musującego soku winogronowego w ręce, czując najbardziej niesamowitą słodką ulgę. Teraz mogłam kupić sobie jakikolwiek dom albo wynająć nianię, wziąć nawet cały rok wolnego, gdy urodzi się dziecko. A te poprawki, jakie miałam zrobić, nie były tak złe, jak zmierzanie się z Gabby i jej niekończącym się potokiem krytycyzmu, tym zarówno prosto-w-twarz, jak i tym za-plecami. Nie mogło to być też tak złe, jak wyętyżanie umysłu nad siódmą wersją mojego listu do Bruce’a. Tamte *rzeczy* były pracą. To będzie po prostu zabawa.

Tego dnia gadałam aż do zmierzchu, wykrzykując radosne wieści mojej mamie, Lucy i Joshowi, Andy'emu i Samancie, wybranym znajomym i krewnym, każdemu, z którym chciałam dzielić się moim szczęściem. I potem zadzwoniłam do gabinetu Dr K.

— Mówi Cannie — powiedziałam. — Chciałam tylko przekazać, że wszystko ze mną w porządku.

— Twój przyjaciel czuje się lepiej?

— Dużo lepiej — odparłam i wytłumaczyłam, jak to się stało — jak Adrian wyzdrowiał, a ja postanowiłam zostać u Maxi, i jak maleńka Violet zdobyła dla mnie całe te pieniądze.

— To będzie wielki film — przyznał Dr K.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziałam, po raz już może trzydziesty tego popołudnia. — Ja nawet nie czuję, że to jest realne.

— Cóż, po prostu ciesz się tym — doradził. — To brzmi tak, jakbyś miała fantastyczny start.

Maxi obserwowała to wszystko otumaniona i rzucała piłkę tenisową Nifkinowi, aż ten wrócił się, zdyszany, obok sterty wodorostów.

— Kto to jest? — zapytała, a ja wytłumaczyłam.

— On jest... cóż, był moim lekarzem, gdy próbowałam zrzucić kilka kilogramów, zanim zaszłam w ciążę. Teraz, jak sędzę, jest przyjacielem. Zadzwoniłam do niego zeszłej nocy, by zapytać go o Adriana.

— Wygląda mi na to, że go lubisz — powiedziała, ruszając brwiami, jak Groucho Marx. — Czy on przyjmuje telefony w domu?

— Nie mam pojęcia — przyznałam. — Jest bardzo miły. I bardzo wysoki.

— Wysoki, to dobrze — zaakceptowała Maxi. — A więc, co teraz?

— Kolacja? — zaproponowałam.

— Och, rzeczywiście — rzuciła Maxi. — Zapomniałam, że jesteś wielostronnie utalentowana. Potrafisz pisać i gotować też!

— Nie miej próżnych nadziei — uprzedziłam. — Niech zobaczą najpierw, co mamy jeszcze w lodówce.

Maxi uśmiechnęła się. — Mam lepszy pomysł na to, co powinnyśmy zrobić najpierw.

Strażnik przy drzwiach do sklepu jubilerskiego skinął na mnie i na Maxi, po czym otworzył szeroko ciężkie, szklane drzwi.

— Co my tu robimy? — wyszeptałam.

— Kupujemy ci prezent — powiedziała Maxi. — A ty nie musisz szeptać.

— Kim ty jesteś, moim słodkim tatusiem? — zadrwiłam.

— Och, nie — oznajmiła Maxi bardzo poważnym tonem. — Ty sobie kupisz coś dla siebie.

Wgapiłam się w nią. — Co? Dlaczego? Czy nie powinnaś mnie zachęcać do oszczędzania?

Spodziewam się dziecka...

— Oczywiście, że będziesz oszczędzać — uspokoiła mnie Maxi, tonem wybitnie rozsądnym. — Ale moja mama zawsze mi mówiła, że każda kobieta powinna posiadać jakąś piękną, doskonałą rzecz, którą sama sobie kupiła... i ty, moja droga, masz właśnie możliwość to zrobić.

Wzięłam głęboki oddech, jakbym miała zanurzyć się w głębokiej wodzie, a nie po prostu przejść się po sklepie jubilerskim. Pomieszczenie pełne było szklanych gablot, gdzieś na poziomie mojej talii, i każda z nich pełna była ozdobnych skarbów, wszystkich artystycznie rozłożonych na podkładkach z czarnego i gołębioszarego aksamitu. Były wśród nich szmaragdowe i szafirowe pierścienie, cieniutkie paski platynowego kompletu z diamentami. Były dyndające kolczyki z bursztynu i broszki z topazu, bransoletki ze srebrnych oczek tak delikatnych, że ledwo mogłam zobaczyć połączenia, i kajdanki wyklepane ze złota. Były też błyszczące, urocze bransoletki z maleńkimi baletkami i miniaturowymi kluczykami samochodowymi... solidne, srebrne kolczyki w kształcie pulchnych, walentynkowych serduszek... szczipione ze sobą wstążki z różowego i żółtego złota, połyskujące szpilki-biedronki czy pławikoniki... diamentowe opaski tenisowe, tego rodzaju, jaki nosiła mama Bruce'a... Przestałam chodzić i oparłam się o ścianę, czując się lekko przytłoczona tym wszystkim.

Sprzedawczyni w schludnym, granatowym garniturze pojawiła się obok tak szybko, jakby była teleportowana. — Co mogę pani pokazać? — zapytała ciepło. Wskazałam niezobowiązująco na najmniejszą parę diamentowych kolczyków, którą zobaczyłam. — Te, proszę — odparłam.

Maxi wyjrzała przez moje ramię. — Nie te — zadrwiła. — Cannie, one są maleńkie!

— Czy coś na moim ciele nie powinno być malutkie? — zapytałam.

Maxi spojrzała na mnie, zaintrygowana. — Dlaczego?

— Bo... — zaczęłam. Mój głos ucichł.

Maxi złapała mnie za rękę. — Wiesz co? — powiedziała. — Uważam, że wyglądasz świetnie. Uważam, że wyglądasz cudownie. Wyglądasz na szczęśliwą... i zdrową... i, i w ciąży...

— Nie zapomnij tego — zaśmiałam się.

Tymczasem sprzedawczyni odwijała kawałek czarnego aksamitu i wykladała kolczyki na gablocie — te maleńkie, o które prosiłam najpierw, a potem parę dwukrotnie większych. Diamenty były wielkości, mniej więcej, kalifornijskich rodzynek, pomyślałam. Położyłam je na ręce, patrząc, jak migocą na niebiesko i fioletowo.

— Są przepiękne — powiedziałam miękko i uniosłam je do moich uszu.

— Pasują pani — doradziła sprzedawczyni.

— Weźmiemy je — rzuciła Maxi pewnym głosem. — I proszę się nie przejmować pakowaniem ich. Założy je zaraz w domu.

Później, w samochodzie, z moimi nowymi kolczykami, wysyłającymi w stronę sufitu błyski

tęczy, gdy tylko światło słońca przez nie przechodziło, próbowałam jej podziękować — za zabranie mnie, za kupienie mojego scenariusza, za sprawienie, że uwierzyłam w przyszłość, w której zasłużę sobie na takie rzeczy. Ale Maxi machnęła tylko ręką. — Zaslugujesz na ładne rzeczy — powiedziała w miły sposób. — To nie powinno być jak błysk nowości, Cannie.

Wzięłam głęboki oddech. *Przyjaciółka*, wyszeptalam do dzidziusia. Do Maxi powiedziałam: — Zrobię ci najlepszą kolację, jaką kiedykolwiek jadłaś.

— Nie rozumiem tego — przyznała moja mama, która robiła mi kontrolę podczas swojej codziennej, popołudniowej sesji pytań. — A mam tylko pięć minut, by to rozwiązać.

— Pięć minut? — przyłożyłam telefon bliżej do siebie i zmrużyłam oczy patrząc na palce u moich stóp, próbując stwierdzić, czy jest możliwe przetrwać w Hollywood z fatalnie odpadającym lakierem od paznokci, czy też lepiej będzie zapewnić sobie przyjemność pedicure. — Dlaczego tak się spieszysz?

— Przedsezonowy mecz softballowy — odparła mama dziarsko.

— Pobjemy Lawendową Pogrózkę.

— Czy one są dobre?

— Były w zeszłym roku. Ale zmieniasz temat. Teraz mieszkasz z Maxi... — zaczęła mama, ścisząc głos w nadziei. Albo przynajmniej tak to odebrałam.

— Jesteśmy tylko przyjaciółkami, mamó — powiedziałam. — Platoniczny rodzaj.

Westchnęła. — Jeszcze nie jest za późno, wiesz o tym. Przewróciłam oczami. — Przykro mi, że cię rozczarowuję.

— Więc co robisz?

— Świetnie się bawię — odparłam. — Spędzam tu fantastyczny czas — nie wiedziałam za bardzo, od czego zacząć. Byłam w Kalifornii już prawie trzy tygodnie i każdego dnia Maxi i ja gdzieś wyruszałyśmy, wyjeżdżałyśmy na małe przejażdżki czerwonym kabrioletem Adriana, w którym czułyśmy się bardziej jak w czarodziejskim rydwanie albo na magicznym dywanie. Poprzedniego wieczoru, po kolacji, przeszłyśmy pieszo całą drogę do Santa Monica Pier i kupiłyśmy ociekające tłuszczem, słodko-słone frytki i mrożoną, różową lemoniadę, które potem zjadłyśmy, trzymając stopy w wodzie. Dzień wcześniej poszłyśmy do centrum na rynek produktów rolnych, gdzie wypełniłyśmy plecaki malinami, młodymi marchewkami i białymi brzoskwiniami, które Maxi poroz-dawała znajomym członkom jej ekipy filmowej (z wyjątkiem jej partnera filmowego, ponieważ on, jak rozumowała, odebrałby brzoskwinie jako zaproszenie do robienia Bellinich¹¹ — „a nie chcę być tym razem odpowiedzialna za to, że znowu zacznie pić”).

Były jeszcze rzeczy w Kalifornii, do których wciąż nie przywykłam — jak ujednolicona uro-

¹¹ Nazwa drinka, w skład którego wchodzi szampan, lód i brzoskwinie.

da kobiet, bo wszystkie, które widywałam w kawiarniach czy w sklepach, wyglądały podobnie, jakby grały przyjaciółkę albo drugą kumpelę głównej, atrakcyjnej bohaterki jakiegoś gwałtownie przerwano sitcomu z 1996 roku. I kultura samochodowa w mieście mnie zdumiewała — wszyscy jeździli wszędzie autem, więc nie było żadnych chodników ani dróg rowerowych, tylko niekończące się korki, smog gęsty jak marmolada, parkowanie z dowożeniem samochodu przez parkingowego wszędzie — nawet, niewiarygodne, na jednej z plaż, które zwiedzałyśmy. — Teraz, oficjalnie, widziałam już wszystko — powiedziałam Maxi. — Nie, nie widziałaś — odparła. — Na promenadzie przy Czwartej Ulicy jest jamnik ubrany w króciutką, obcisłą koszulkę z cekinami, który bierze udział w występie zonglerskim. Kiedy to zobaczysz, możesz powiedzieć, że widziałaś wszystko.

— Czy ty w ogóle pracujesz? — zapytała mama, na której najwyraźniej nie zrobiły wrażenia opowieści o białych brzoskwiniach i zonglujących jamnikach.

— Codziennie — uspokoiłam ją, bo było to prawdą. Pomiedzy wyprawami i wieczornymi wyjściami spędzałam przynajmniej dwie godziny przy biurku, pracując na komputerze. Violet przysłała mi scenariusz tak naszpikowany zapiskami, że praktycznie był nieczytelny. „NIE WPADNIJ W PANIKĘ”, napisała na tytułowej stronie atramentem o kolorze lawendy. „Purpurowe zapiski są moje, czerwone od czytelnika zatrudnionego przez studio, czarne od gościa, który może lub nie, skończy na reżyserowaniu tego — i większość tego, co mówi, jest gównem, uważam. Potraktuj wszystko z dystansem, to są TYLKO SUGESTIE!”. Stopniowo przechodziłam przez gąszcz naskrobanych marginaliów, przekreśleń, strzałek i przyklejonych żółtych karteczek.

— Więc kiedy przyjeżdżasz do domu? — zapytała mama. Przygryzłam wargę. Wciąż tego nie wiedziałam, ale będę musiała coś zdecydować — i to wkrótce. Mój trzydziesty tydzień nadchodził szybko. Potembędę musiała albo znaleźć lekarza w Los Angeles i urodzić dziecko tutaj, albo znaleźć sposób na to, by dostać się do domu, ale nie samolotem.

— No dobrze, proszę, powiedz mi przynajmniej, jakie są twoje plany — powiedziała mama. — Będę szczęśliwa mogąc przywieźć cię z lotniska, a może nawet spojrzeć na moją wnuczkę czy wnuka przed jego, jej pierwszymi urodzinami...

— Ma...

— To tylko matczyne przypomnienie! — rzuciła i rozłączyła się.

Wstałam i wyszłam na piasek. Nifkin podskakiwał wokół moich nóg, z nadzieją, że będzie mógł gonić za piłką tenisową po falach.

Wiedziałam, że muszę w końcu coś postanowić, ale sprawy miały się tu tak dobrze, że trudno było myśleć o czymkolwiek innym niż o kolejnym, doskonałym, słonecznym dniu, kolejnym smacznym posiłku, kolejnej wyprawie na zakupy czy piknik, albo o spacerze na plaży pod rozgwieżdzonym niebem. Oprócz okazjonalnych wspomnień o Bruce'ie i o naszych szczęśliwych

czasach spędzonych razem, bez niepewności spowodowanej brakiem wiedzy o tym, co zdarzy się potem w moim życiu, czas spędzony w domku na plaży był dla mnie zasadniczo niczym nie zmaconą rozkoszą.

Pracowałam i chodziłam na spacer. Robiłam sobie długie drzemki i rzucałam Nifkinowi piłkę tenisową do wody, by ją wydobywał z fal.

— Powinnaś tu zostać — mówiła Maxi. Nigdy nie powiedziałam: tak, ale też nie mówiłam: nie. Próbowала znaleźć odpowiedź w taki sam sposób, jak kiedyś badałam moje panny młode, zadając sobie wciąż te same pytania: Czy to życie mi odpowiada? Czy naprawdę potrafiłabym żyć w ten sposób?

Myślałam o tym wieczorami, gdy robota była już zrobiona, jedzenie się gotowało, a ja i Nifkin przechadzaliśmy się przy brzegu. „Zostać czy jechać?” — pytałam siebie, czekając na odpowiedź: od psa, od dzidziusia, od Boga, który już od listopada nie przekazuje mi żadnych instrukcji. Ale żadna odpowiedź nie nadchodziła — tylko fale i, ewentualnie, światło nocy.

Podczas mojego trzeciego sobotniego poranka w Kalifornii Maxi weszła do gościnnej sypialni i gwałtownie odsłoniła zasłony, strzelając palcami na Nifkina, który lotem strzały znalazł się od razu przy niej, z uszami sterczącymi w gotowości, jak najmniejszy na świecie psi strażnik. — W górę i do działania! — oznajmiła, kiwając się na stopach. — Idziemy na salę gimnastyczną!

Z ledwością udało mi się podnieść. — Sala gimnastyczna? — zapytałam. Zdążyłam zauważyć, że ona była już do tego ubrana. Jej kasztanowe loki ściągnięte były w wysoko upięty kucyk, a na sobie miała obcisły, czarny strój, śnieżnobiałe skarpetki i klasyczne, białe tenisówki.

— Nie przejmuj się — uspokoiła mnie. — Nic nadmiernie męczącego. — Usiadła na brzegu mojego łóżka i wskazała na plan zajęć z jakiegoś miejsca o nazwie Centrum Wewnętrznej Lekkiej Edukacji. — Widzisz... tutaj?

— Samorealizacja, medytacja i wizualizacja — czytałam głośno opis kursu. — A potem masturbacja? — zapytałam.

Maxi rzuciła mi diabelskie spojrzenie. — Nie nabijaj się — powiedziała. — To naprawdę działa.

Podeszłam do komody i zaczęłam ją przeglądać w poszukiwaniu odpowiedniego stroju do samorealizacji. Doszłam do wniosku, że przyłączę się i wykorzystam sesję medytacji do tego, by spróbować wymyśleć jakiś możliwy do przyjęcia kawałek dialogu pomiędzy Josie, bohaterką mojego scenariusza, a jej przyszłym ex-chłopakiem. Albo będę kontemplować moją przyszłość i to, co z nią zrobić. Samorealizacja i wizualizacja brzmiały dla mnie jak głupoty New Age, ale przynajmniej nie byłyby stratą czasu.

Centrum Wewnętrznej Lekkiej Edukacji było nisko osadzonym, białym, drewnianym budynkiem na szczycie wzgórza. Miało duże, szeroko oszklone okna, a piętro wyróżniało się trawami

morskimi i donicami z niecierpkami. I, na szczęście, nie było parkingu z podstawianiem samochodu.

— Będzie ci się naprawdę podobać — powiedziała Maxi, gdy wchodziliśmy przez drzwi. Wcisnęłam się w za duży T-shirt Maxi, który dla mnie okazał się wcale nie za duży, plus parę legginsów i tenisówek oraz, obowiązkowo, czapeczkę baseballową i okulary przeciwsłoneczne — tę część jej wyglądu zdołałam zaadaptować dla siebie.

— Wiesz, w Filadelfii takie miejsce byłoby straganem z serowymi stekami — gderałam.

Weszliśmy do dużego, przewiewnego pomieszczenia z lustrami na ścianach, pianinem w jednym rogu, pełnego zapachu potu i kadzidła z drzewa sandałowego. Maxi i ja znalazłyśmy miejsce z tyłu, i kiedy Maxi poszła po złożone maty piankowe dla nas, ja sprawdzałam tłum. Z przodu była grupka wystrzałowych dziewczyn, wyglądających na supermo-delki, ale też i kilka starszych kobiet — jedna z nich miała w rzeczywistości niefarbowane, siwe włosy — i facet z długą, białą, falującą brodą i T-shirtem z napisem „Mam kraby z Chatki Jimmy’ego Kraba”. Zdecydowanie daleka droga od Star Baru, pomyślałam z ulgą, gdy weszła instruktorka.

— Powstańmy — powiedziała, naginając płytę CD, by się zmieściła do odtwarzacza.

Przyglądałam się i zamrugałam oczami, bo tam, na wprost mnie, była prawdziwie Większa Kobieta... w błyszczącym, elektryczno-niebieskim topie i czarnych rajstopach, ni mniej ni więcej. Była może dziesięć lat starsza ode mnie, mocno opalona, z brązowymi włosami, które opadały do połowy jej pleców, a od jej szerokiej twarzy oddzielone były opaską, która pasowała do topu. Jej ciało przypominało te małe lale urodzajności, które archeolodzy wykopują z ruin — spadziste piersi, szerokie biodra, niepokorne krągłości. Miała różową szminkę i małeńki, diamentowy kolczyk w nosie, i wyglądało na to, że miała... dobre samopoczucie. Była pewna siebie. Zadowolona z siebie. Przyglądałam się jej, nie mogąc się od tego powstrzymać i zastanawiając, czy ja kiedykolwiek wyglądałam na taką szczęśliwą, i czy kiedykolwiek się tego nauczę, i jak wyglądałabym z przekłutym nosem.

— Jestem Abigail — oznajmiła. Abigail! Pomyślałam. Najlepsze imię dla dziewczynki! To musi być jakiś znak. Czego, tego nie byłam pewna, ale zdecydowanie czegoś dobrego. — A to jest samorealizacja, medytacja i wizualizacja. Jeśli jesteś w złym miejscu, proszę wyjdź teraz.

— Nikt tego nie zrobił. Abigail uśmiechnęła się do nas i przycisnęła klawisz w urządzeniu. Dźwięki fletu i delikatnej perkusji wypełniły pomieszczenie. — Zaczniemy od rozciągania i głębokiego oddechu, a potem będziemy robić to, co nazywają sterowaną medytacją. To tak z grubszą. Usiądźcie w pozycjach dla was dogodnych, zamknijcie oczy, a ja was poprowadzę poprzez wyobrażanie sobie różnych sytuacji, różnych możliwości. Czy możemy zacząć?

Maxi uśmiechnęła się do mnie. Odpowiedziałam uśmiechem.

— W porządku? — wyszeptała, a ja przytaknęłam głową i zanim się spostrzegłam, siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na wyściełanej maty podłodze, z zamkniętymi oczami, fletami i

perkusjami dzwoniącymi lekko w moich uszach.

— Wyobraźcie sobie bezpieczne miejsce — zaczęła Abigail. Jej głos był niski i kojący. — Nie próbujcie wybierać. Po prostu zamknijcie oczy i zobaczcie, co wam się nasunie.

Byłam pewna, że zobaczę biurko Maxi, a może jej kuchnię. Ale to, co zobaczyłam jako powtarzane przez Abigail „bezpieczne miejsce”, to moje łóżko... moje łóżko w domu. Niebieska kołdra, poduszki w żywych kolorach, Nifkin ulokowany na nich jak mały, futrzany, ozdobny kaptur, mrugający do mnie oczami. Po ukośnie wpadającym przez żaluzje świetle mogłam rozpoznać, że był to wczesny wieczór, gdy zazwyczaj wracamz pracy. Pora, by iść z psem na spacer, zadzwonić do Samanty, by zapytać, czy chciałaby się wybrać na salę gimnastyczną. Pora, by przejrzeć pocztę, odwiesić ubrania i ulokować się na noc... I nagle zostałam porwana przez falę paskudnej tęsknoty za domem, tęsknoty za miastem, mieszkaniem, moim łóżkiem, tak silną, że zrobiło mi się słabo.

Z trudem stanęłam na nogi. W głowie miałam pełno zdjęć miasta — sklep z kawą na rogu, gdzie Samanta i ja dzieliłyśmy się mrożoną kawą cappuccino oraz zwierzeniami i pełnymi okropności historiami o mężczyznach... Reading Terminal o poranku, pełna zapachu świeżych kwiatów i bułek Cincinnati... Centrum Handlowe Independence po drodze do domu, szerokie, zielone trawniki przepełnione turystami, wyciągającymi szyje, by rzucić przelotne spojrzenie na Liberty Bell, dereniowe drzewa pełne różowych kwiatów... Penns Landing w sobotę, z Nifkinem ciągnącym z całych sił swoją smycz, próbując złapać mewy, pomykające nisko i nurkujące w dół, tuż nad wodę. Moja ulica, moje mieszkanie, moi przyjaciele, moja praca... — Dom — wyszeptalam do dziadusia, do siebie. A do Maxi wyszeptalam: — Toaleta — i wyszłam na zewnątrz.

Stałam w świetle słońca, oddychając głęboko. Chwilę później poczułam klepanie po ramieniu. Abigail stała przy mnie, ze szklanką wody w ręku.

— Czy dobrze się czujesz?

Przytaknęłam głową. — Wydaje mi się tylko, że zaczęłam trochę odczuwać... tęsknotę za domem — wytłumaczyłam.

Abigail pokiwała głową zamyślona. — Dom — powiedziała, a ja przytaknęłam. — Cóż, to dobrze. Jeśli dom jest twoim bezpiecznym miejscem, to cudownie.

— Jak ty... — nie potrafiłam znaleźć słów właściwych dla tego, co chciałam powiedzieć. Jak znaleźć zadowolenie z siebie, mając takie ciało jak ona... jak ja? Jak znaleźć odwagę, by podążać za czymś, gdziekolwiek, jeśli nie czujesz, że pasujesz do tego świata?

Abigail uśmiechnęła się do mnie. — Dorosłam — powiedziała, w odpowiedzi na pytanie, którego nie zadałam. — Nauczyłam się wiele. Ty też się nauczysz.

— Cannie?

Maxi mrużyła oczy próbując na mnie patrzeć pod słońce, wyglądała na zaniepokojoną. Pomachałam jej ręką. Abigail kiwnęła głową do nas obu. — Powodzenia, Cannie — rzuciła i wróci-

ła do środka, kołysząc obfitymi biodrami, trzęsąc grubymi udami, dumna i pozbawiona wstydu. Patrzyłam za nią, żalując, że nie mogę wyszeptać *wzór do naśladowania* mojemu dzidziusiowi.

— Co się stało? — zapytała Maxi. — Dobrze się czujesz? Nie wracałaś, myślałam, że zaczęłaś już rodzić w jakiejś alkwie czy gdzieś...

— Nie — odparłam. — Nie ma jeszcze dziecka. Czuję się świetnie.

Jechałyśmy z powrotem do domu, Maxi trąkotała podniecona o tym, jak zwizualizowała siebie wygrywającą Oskara i gustownie, z wdziękiem i emfazą denuncjującą na podium wszystkich swoich byłych, zdemoralizowanych chłopaków. — Prawie zaczęłam się śmiać, kiedy wyobraziłam sobie wygląd twarzy Kevina! — zapiszczała z radości i rzuciła mi spojrzenie na następnym czerwonym świetle. — A co ty zobaczyłaś, Cannie?

Nie chciałam jej odpowiedzieć... nie chciałam urazić jej uczuć mówiąc, że pomyślałam o szczęściu leżącym około pięć tysięcy kilometrów od domku na plaży i wybrzeża Kalifornii, i od samej Maxi. — Dom — wymówiłam cicho.

— Dobrze, będziemy tam wkrótce — powiedziała Maxi.

— Can-nie — lamentowała Samanta przez telefon następnego ranka, głosem zdecydowanie nieprawniczym. — To jest absurdalne! Nalegam, byś wróciła. Sprawy tu się toczą. Zerwałam z instruktorem jogi, a ciebie tu nawet nie było, by o tym posłuchać...

— Więc powiedz mi — ponagliłam ją, odsuwając od siebie poczucie winy.

— Mniejsza o to — powiedziała Sam beztrąsko. — Jestem pewna, że to, co ja teraz przeżywam nie jest tak interesujące, jak przyjaciele gwiazdy filmowe i ich zerwania...

— Sam, wiesz przecież, że to nieprawda. Jesteś moją absolutnie najlepszą przyjaciółką i chcę usłyszeć wszystko o tym diabelnym facecie od jogi...

— Mniejsza o to — powtórzyła Sam. — Porozmawiajmy raczej o tobie. O co tam chodzi? Jesteś tak jakby na długich wakacjach? Czy zamierzasz tam zostać na zawsze?

— Nie na zawsze — odparłam. — Po prostu... nie jestem pewna tego, co robię, naprawdę. — I przez chwilę poczułam się na tyle zdesperowana, by nie chcieć już o tym mówić.

— Tęsknię za tobą — powiedziała Sam z rozżaleniem. — Tęsknię nawet za twoim dziwnym pieskiem.

— Nie wyjechałam na zawsze — uspokoiłam ją. Była to jedyna rzecz, o której wiedziałam z pewnością, że jest prawdziwa.

— Okay, zmieniamy temat — rzuciła Samanta. — Zgadnij, kto do mnie zadzwonił? Ten kławy lekarz, na którego wpadłyśmy na Kelly Drive.

— Dr K.! — wykrzyknęłam, czując nagły przypływ radości na dźwięk jego nazwiska, razem z poczuciem winy, że nie zadzwoniłam do niego od dnia, w którym podpisałam z Violet kontrakt. — Jak on zdobył twój numer telefonu?

Głos Samanty oziębł. — Najwyraźniej, — odparła — pomimo mojej jasno sprecyzowanej prośby, znowu podałaś mnie jako kontakt w razie potrzeby, gdy wypełniałaś dla niego jakiś formularze.

Skrzywiłam się. To była przyczyna sporu. Zawsze podawałam Samantę jako kontakt w razie potrzeby, gdy jeździłam na wycieczki rowerowe. Samanta nie bardzo była z tego powodu szczęśliwa.

— Uczciwie, Cannie, czemu nie podasz swojej matki? — zapytała teraz, powtarzając swoje narzekanie, jak wiele razy wcześniej.

— Bo obawiam się, że Tania odbierze telefon i każe im pochować moje ciało nad morzem — odpowiedziałam.

— Tak czy tak, zadzwonił, bo chciał się dowiedzieć, co się z tobą dzieje, i czym mam twój adres; wydaje mi się, że chce ci coś wysłać.

— Świetnie! — ucieszyłam się, zastanawiając się, co to może być.

— Więc kiedy przyjeżdżasz do domu? — zapytała znowu Sam.

— Wkrótce — odparłam, ustępując trochę.

— Obiecujesz? — domagała się.

Położyłam ręce na brzuchu. — Obiecuję — odpowiedziałam im obu.

Następnego popołudnia w skrzynce pocztowej znalazłam przesyłkę z Mailboxes & More przy Walnut Street w Filadelfii.

Wyciągnęłam ją, wniosłam na biurko i otworzyłam. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, była widokówka ze zdjęciem małego, nifkino-podobnego pieska, z szerokimi oczami i niespokojnym spojrzeniem. Odwróciłam ją. „Droga Cannie. Samanta mówi, że będziesz jakiś czas w Los Angeles, więc pomyślałam sobie, że może chciałabyś coś poczytać. (Tam też czytają, prawda?). Przesyłam Ci kilka twoich książek i kilka rzeczy, które będą Ci przypominały dom. Nie krępuj się i zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała ze mną porozmawiać.” Podpisano: „Peter Krushelevan-sky (z Uniwersytetu w Filadelfii)”. Pod podpisem było P.S.: „Samanta mówi, że Nifkin też pojechał na Zachodnie Wybrzeże, więc jemu również coś wysyłam.”

Wewnątrz pudła znalazłam trzy książki, które kupiłam w Centrum Handlowym Cherry Hill — te, przypomniałam sobie, które zostawiłam w jego samochodzie w dniu, gdy poszliśmy razem na zakupy. Kopałam głębiej. Była tam jedna kartka z Liberty Bell i jedna z Independence Hall. Była też puszka z czekoladowymi preclami z Reading Terminali pojedyncze, lekko zgniecione ciastko Tastykake. Na spodzie pudła moje palce natknęły się na coś okrągłego i ciężkiego, opakowanego w kilka warstw *Examinera* („Gadając z Gabby”, jak zauważyłam, poświęcone było ostatniemu filmowi telewizyjnemu Angeli Lansbury). W środku znalazłam płytkę, ceramiczną miskę na psie pożywienie. W jej wnętrzu nadrukowana była litera *N*, namalowana w kolorze

ostrej czerwieni, obrysowanej żółtym. A wokół części zewnętrznej miski była seria portretów Nifkina, każdy ukazywał jego szyderczy uśmiech i plamy na sierści. Był więc Nifkin w biegu, Nifkin siedzący, Nifkin na podłodze pochłaniający gołą kość. Śmiałam się, zachwycona. — Nifkin! — zawołałam, a ten szczechnął i podbiegł do mnie.

Postawiłam misę na podłodze, by mógł ją obwąchać. Potem zadzwoniłam do Dr K...

— Suzie Lightning! — powiedział na powitanie.

— Kto? — zdziwiłam się. — Huh?

— To z piosenki Warrena Zevona — wytłumaczył.

— Huh — odparłam. Jediną piosenką Warrena Zevona, jaką znałam, była ta o prawnikach, rewolwerach i pieniądzach.

— To jest o dziewczynie, która... dużo podróżuje — wyjaśnił.

— Brzmi interesująco — powiedziałam, robiąc jednocześnie notkę w głowie, by dotrzeć do tekstu piosenki. — Dzwonię, by ci podziękować za prezenty. Są cudowne.

— Nie ma za co — odparł. — Cieszę się, że ci się podobały.

— Czy malowałaś Nifkina z pamięci? To niesamowite. Powinieneś być zostać artystą.

— Param się — przyznał, co zabrzmiało, jak Dr Evil z komedii *Austin Powers*, więc wybuchnęłam śmiechem. — Tak naprawdę to twoja przyjaciółka Samanta pożyczyła mi kilka zdjęć — wytłumaczył. — Ale nie użyłem ich. Twój pies ma bardzo charakterystyczny wygląd.

— Jesteś zbyt miły — uznałam, zgodnie z prawdą.

— Tuż za rogiem przy kampusie otwarli takie studio, umaluj-własną-porcelanę — wyjaśnił.

— Tam to zrobiłem. Były jakieś urodziny pięciolatka, więc było ośmiu pięciolatków malujących kubki i ja.

Uśmiechnęłam się szeroko, wyobrażając to sobie — wysoki, o głębokim głosie Dr K. złożony w krześle, malujący Nifkina, i małe dzieciaki gapiące się na niego.

— No, więc jak ci tam leci?

Zrobiłam dla niego skondensowaną wersję, opowiadając mu o zakupach z Maxi, moim gotowaniu, rynku artykułów rolnych, który znalazłam. Opisałam mały domek na plaży. Powiedziałam mu, że Kaliforniawydaje się być zarówno cudowna, jak i nierzeczywista. Mówiłam, że każdego ranka chodziłam na spacer, potem pracowałam, i o tym, jak Nifkin nauczył się wyłapywać piłeczkę tenisową z przybrzeżnych fal.

Dr K. wydawał z siebie odgłosy wyrażające zainteresowanie, zadając stosowne pytania, przechodząc bezpośrednio do tego najważniejszego. — Więc, kiedy przyjeżdżasz do domu?

— Nie jestem pewna — przyznałam. — Mam teraz urlop i wciąż jeszcze robię poprawki do scenariusza.

— Więc... urodzisz dziecko tam?

— Nie wiem — powiedziałam powoli. — Nie sądzę.

— Dobrze — skomentował krótko. — Powinniśmy znowu zjeść razem śniadanie, jak tylko wrócisz.

— Pewnie — zgodziłam się, czując wyrzuty za Poranną Chwałę Sam. Nie ma to jak tam. — Byłoby wspaniale — usłyszałam samochód Maxi w garażu. — Hej, powinnam już kończyć...

— Nie ma sprawy — powiedział. — Zadzwoń, kiedy będziesz chciała.

Odłożyłam telefon uśmiechając się. Zastanawiałam się, ile miał naprawdę lat. Zastanawiałam się, czy lubił mnie bardziej niż tylko pacjentkę, kolejną z tych wielkich dziewczyn wchodzących i wychodzących z jego gabinetu, każdą z jej własną historią złamanego serca. I postanowiłam, że chciałabym znowu z nim się spotkać.

Następnego ranka Maxi zaproponowała kolejną wycieczkę.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że masz mieć operację plastyczną — gderałam, wsiadając ciężko do małego, nisko osadzonego samochodu, myśląc, że tylko w tym mieście, w tych czasach, dwudziestosiedmioletnia aktorka o doskonałych rysach rozważa operację plastyczną.

— Zło konieczne — powiedziała cierpko Maxi, wyprzedzając kilka mniej ważnych samochodów i wbijając się na najszybszy pas jezdni.

Biuro chirurga było niezwykłym gabinetem w kolorze szaro-fiołkoworóżowym, z podłogami wykonanymi z chłodnego marmuru, błyszczącymi ścianami i nawet bardziej błyszczącymi recepcjonistkami. Maxi zdjęła swoje olbrzymie okulary przeciwsłoneczne i odbyła cichą rozmowę z kobietą za biurkiem, podczas gdy ja spacerowałam, analizując zdjęcia wielkości plakatów przedstawiające lekarzy, które wisiały w jednej linii na ścianie, zastanawiając się, który z nich miałby tę przyjemność powiększenia ust Maxi i usunięcia niewidzialnych zmarszczek wokół jej oczu. Dr Fisher był wyglądającym jak lalka Ken blondynem. Dr Rhodes był brunetem z łukowatymi brwiami, który wyglądał na mniej więcej mój wiek, ale pewnie w nim nie był. Dr Tasker był jowialnym Świętym Mikołajem — minus, oczywiście, pulchne policzki i podwójny podbródek. A Dr Shapiro...

Stałam tam, jak sparaliżowana, wpatrując się w większe niż w rzeczywistości zdjęcie mojego ojca. Był szczuplejszy i zgolił brodę, ale niewątpliwie to był on.

Maxi podeszła, stukając obcasami po podłodze. Kiedy zobaczyła wyraz mojej twarzy, złapała mnie za łokieć i zaprowadziła do krzesła.

— Cannie? Co się stało? Coś z dzieckiem?

Podeszłam z powrotem, na chwiejnych nogach, które czułam jakby były ze skostniałego drewna, i wskazałam. — To jest mój tata.

Maxi popatrzyła na zdjęcie, a potem na mnie. — Nie wiedziałaś, że tutaj jest? — zapytała. Pokręciłam głową.

— Co powinniśmy zrobić?

Pokazałam głową drzwi i zaczęłam iść tak szybko, jak tylko mogłam. — Wyjść.

— A więc to to z niego się zrobiło — powiedziałam. Maxi, Nifkin i ja siedzieliśmy na pomoście, popijając mrożoną herbatę malinową.

— Odsysanie tłuszczu w L.A. — przejechałam językiem wokół brzegów kubka, próbując określić jego rozmiar. — Brzmi jak początek kiepskiego dowcipu, nieprawdaż?

Maxi patrzyła w dal. Było mi przykro z jej powodu. Nigdy nie widziała mnie zmartwionej i nie miała pojęcia, jak mi pomóc. A ja nie wiedziałam, co jej powiedzieć.

— Siedz tu — rzuciłam, wstając. — Idę się przejść.

I poszłam wzdłuż wody, mijając rolkarzy w bikini, grających w siatkówkę i wrzeszczące, lepkie od lizaków dzieciaki. Mijałam sprzedawców na szczytach, salony przekłuwania uszu, sprzedawców skarpet typu cztery-pary-za-dolara, nastolatków z dredami, siedzących na ławkach i grających na gitarach, bezdomnych ludzi ubranych w wielowarstwowe ubrania, rozłożonych pod palmami jak śnięte ciała.

Gdy tak szłam, próbowałam ułożyć sobie rzeczy, zorganizować je, jakby były obrazkami na wystawie, oprawionymi w ramki i powieszonymi na ścianie w galerii.

Wyobraziłam sobie moją rodzinę taką, jaką kiedyś była — naszą piątkę na trawniku w Rosh Hashanah, pozującą w naszych najlepszych ubraniach: mojego ojca ze swoją starannie przyciętą brodą i rękami na moim ramieniu; mnie z włosami ściągniętymi do tyłu zapinkami, z kielkującymi pączkami piersi napierającymi na przód swetra — oboje uśmiechamy się.

Wyobraziłam nas sobie pięć lat później: bez mojego ojca, który już wtedy odszedł; mnie, grubą, ponurą i przerażoną; moją mamę, szaloną; mojego brata, nieznośnego; i Lucy, z jej Mohawkiem, koleczykami, i rozmowami telefonicznymi późno w nocy.

Więcej zdjęć: zakończenie roku w college'u. Moja mama i Tania, ich ręce wsparte o ramiona każdej, podczas gry w ligowych mistrzostwach w softballu. Josh, wysoki na metr osiemdziesiąt, szczupły i poważny, dzielący indyka na części w Dzień Dziękczynienia. Lata wakacji, nas czworo zgromadzonych wokół stołu w pokoju jadalnym, moja matka u szczytu, mój brat naprzeciw, różni przyjaciele i przyjaciółki pojawiające się i znikające, wszyscy starający się mocno, by wyglądało, jakby tam niczego nie brakowało.

Szłam dalej. I byłam tam, stojąca dumnie na wprost mojego pierwszego mieszkania, trzymając egzemplarz mojego pierwszego artykułu w gazecie i wskazując na tytuł „Debate budżetowa odłożona”. Ja i mój pierwszy chłopak. Ja i mój ukochany z college'u. Ja i Bruce w oceanie, śmiejący się do kamery, mrużący oczy w słońcu. Bruce na koncercie Grateful Dead, z jedną stopą wyciągniętą w połowie do kopnięcia, piwem w dłoni i włosami opadającymi luźno na ramiona. Wtedy cofnęłam się i posunęłam dalej.

Stałam tak i pozwalałam, by ocean chłodził moje stopy i czułam... nic. A może czułam ko-

niec miłości, chłodne, puste miejsce, które pozostawiłam wewnątrz, gdzie zazwyczaj był żar, ból i namiętność, gładką powierzchnię mokrego piasku, gdy przyplływ *zaczyna* się w końcu cofać.

No dobrze, pomyślałam. Oto jestem. Ty Jesteś Tutaj. I idziesz dalej do przodu, bo tak to się odbywa; tylko tam możesz iść. Idziesz dalej, aż przestaje boleć, albo znajdujesz nowe rzeczy, które ranią cię jeszcze bardziej. I to jest ludzka kondycja, my wszyscy pochylamy się nad swoimi własnymi niedolami, ponieważ to tak właśnie jest. Ponieważ, jak sądzę, Bóg nie dał nam żadnego wyboru. Dorośniesz, przypomniałam sobie słowa Abigail. Nauczysz się.

Maxi siedziała tam, gdzie ją zostawiłam, czekając.

— Musimy iść na zakupy.

Szybko się podniosła. — Dokąd? — zapytała. — Po co?

Zaśmiałam się i usłyszałam łzy w tym śmiechu, i zastanawiałam się, czy ona też je mogła usłyszeć. — Muszę sobie kupić obrączkę ślubną.

Rozdział XVII

Recepcjonistka w biurze mojego ojca w ogóle nie zdawała się być zaniepokojona długą pauzą, zanim powiedziałam jej, dlaczego dzwonię.

Miałam bliznę, jak w końcu wytłumaczyłam, i chciałam, by Dr Shapiro ją obejrzał. Podałam numer telefonu komórkowego Maxi jako mój własny i Lois Lane jako moje imię i nazwisko, a w głosie recepcjonistki nie zabrzmiała nawet nuta nadmiernego zainteresowania. Wyznaczyła mi po prostu termin spotkania na piątek, na godzinę 10 rano, i ostrzegła, że mogą być wtedy okropne korki na drogach.

Więc w piątkowy poranek wyruszyłam wcześniej. Moje włosy były dopiero co podcięte (Garth nalegał, mimo iż minęły dopiero cztery tygodnie, a nie sześć). A na lewej dłoni miałam nie tylko gładką, złotą obrączkę, dokładnie taką, jaką sobie wyobraziłam, ale też i diament, o tak zapierających dech rozmiarach, tak nieprawdopodobnej wielkości, że ledwo udawało mi się trzymać wzrok na jezdni.

Maxi przyniosła to do domu z planu filmowego, zapewniając, że nikt nie zauważy ich chwilowego braku, i że będzie to sposób na oznajmienie ojcu w szczególności, a ogólnie całemu światu, że przybyłam.

— Ale pozwól mi cię o coś spytać — zaczęła tego ranka, przy śmietankowych waflach i brzoskwińowo-imbrowej herbacie. — Dlaczego chcesz, żeby twój ojciec sądził, że jesteś zamężna?

Wstałam i odsłoniłam zasłony, patrząc na wodę.

— Nie wiem, naprawdę. Nie wiem nawet, czy założę pierścionki, gdy się już z nim spotkam.

— Na pewno o tym myślałaś — powiedziała Maxi. — Przecież myślisz o wszystkim.

Spojrzałam na pierścionki na moich palcach. — To chyba dlatego, że powiedział kiedyś, że nikt mnie nigdy nie pokocha, że nikt mnie nigdy nie zechce. I czuję, że gdy mnie zobaczy, w ciąży, niezamężną... to będzie tak, jakby miał rację.

Maxi spojrzała na mnie tak, jakby to była najsmutniejsza rzecz, którą kiedykolwiek usłyszała. — Ale ty wiesz, że to nieprawda, co? — zapytała. — Wiesz, jak wiele osób cię kocha.

Musiałam uspokoić oddech, który nagle stał się drżący. — Och, pewnie — odparłam. — Tylko... że przez to... ciężko jest myśleć rozsądnie.

— Spojrzałam na nią. — To jest rodzina, wiesz? Kto był kiedykolwiek rozsądny, gdy szło o rodzinę? Ja po prostu... chcę wiedzieć, dlaczego zrobił to, co zrobił. Chcę przynajmniej być zdolna zadać to pytanie.

— On może nie mieć odpowiedzi — ostrzegła Maxi. — Albo, jeśli ma, może to nie będzie to, co chciałabyś usłyszeć.

— Chcę po prostu usłyszeć cokolwiek — powiedziałam chrapliwym głosem. — Po prostu czuję, jakby... mam na myśli to, że ma się tylko dwoje rodziców, a moja mama jest... — wykonałam nieokreślone, szerokie machnięcie ręką, by pokazać miłość lesbijską i niewłaściwą partnerkę życiową. Mój palec zabłysnął w świetle słońca. — Po prostu czuję, że muszę spróbować.

Pielęgniarka, która prowadziła mnie do gabinetu, miała piersi tak symetryczne i okrągłe, jak bliźniacze połówki kantalupe. Dała mi miękki szlafrok z aksamitu i podkładkę pełną formularzy do wypełnienia.

— Doktor wkrótce nadejdzie — poinformowała, zapalając mocne światło, które skierowała na moją twarz, gdzie miałam swoją zmyśloną bliznę.

— Huh — powiedziała, przyglądając się jej badawczo. — To ledwo widać.

— Ale jest głębokie — tłumaczyłam. — Mogę to dostrzec na zdjęciach. To na nich wychodzi.

Przytaknęła głową, jakby to miało dla niej wystarczający sens i wycofała się z pomieszczenia.

Usiadłam w beżowym fotelu, wymyślając kłamstwa, które miałam wpisać na formularzach, żałując, że nie miałam blizny — jakiegoś fizycznego znaku, który można by pokazać światu, jemu — i który by pokazywał, przez co przesłam, i co przeżyłam. Dwadzieścia minut później usłyszałam krótkie stukanie do drzwi i mój ojciec wszedł do środka.

— A więc, co panią tu dzisiaj sprowadza, panno Lane? — zapytał, utkwivszy wzrok w moich papierach. Siedziałam cicho, nic nie mówiąc. Po chwili spojrzał w górę. Na jego twarzy pojawiło się zirytowanie, to spojrzenie typu przestań-marnować-mój-czas, które znałam z dzieciństwa. Wpatrywał się we mnie przez minutę, a na jego twarzy narastało rozdrażnienie. I wtedy zobaczył.

— Cannie?

Przytaknęłam głową. — Cześć.

— Mój Boże, co... — Mój ojciec, mężczyzna, który potrafił rzucić obelgę przy każdej okazji, tym razem przyjemnie zaniemówił. — Co ty tutaj robisz?

— Umówiłam się na spotkanie — odparłam.

Skrzywił się, zdjął okulary i zaczął przyciskać garb swojego nosa — kolejna poza, którą dobrze pamiętałam. To zwykle zapowiadało napad złego humoru, jakiś rodzaj rozniewania.

— Ty po prostu zniknąłeś — powiedziałam. Zaczął potrząsać głową i otworzył usta, ale nie zamierzałam mu pozwolić zacząć, zanim ja powiem swoje. — Nikt z nas nie wiedział, gdzie jesteś. Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś tak po prostu wyjść z domu i zostawić nas wszystkich?

— Nic nie mówił... tylko wpatrywał się we mnie — przeze mnie — jakbym była jakąś histeryczną pacjentką, wrzeszczącą, że jej uda wciąż są kluskowate albo że jej lewy sutek jest wyżej

niż prawy. — Czy nie martwisz się o nas? Czy nie masz serca? Czy też jest to zbyt głupie pytanie, by zadać je komuś, kto zarabia na życie odsysaniem z ud cellulitisu?

Ojciec patrzył na mnie piorunującym wzrokiem. — Nie musisz być taka wyniosła.

— Nie, jedyne czego potrzebowałam, to ojca — powiedziałam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak zła, jak wściekła byłam na niego, dopóki go nie zobaczyłam, stojącego tam w swoim białym, świeżo wypranym fartuchu lekarskim, z paznokciami po manicure, opalenizną i ciężkim, złotym zegarkiem.

Westchnął, jakby ta konwersacja go nudziła; jakbym ja go też nudziła. — Dlaczego tu jesteś?

— Nie przyjechałam tu w poszukiwaniu ciebie, jeśli o to ci chodzi. Moja przyjaciółka miała tu spotkanie, a ja przyjechałam z nią. Zobaczyłam twoje zdjęcie — ciągnęłam. — Niezbyt sprytne, wiesz? Jak na kogoś starającego się pozostać w ukryciu...

— Ja się nie ukrywam — wybuchnął. — To nonsens. Czy twoja matka tak ci powiedziała?

— Więc jakim cudem żadne z nas nie wiedziało, gdzie jesteś?

— Nawet gdybyście wiedzieli, i tak by was to nie obchodziło — wymamrotał, sięgając po podkładkę, z którą przyszedł.

Byłam tak oszołomiona, że on zdążył położyć ręce na klamce, zanim ja mogłam pomyśleć, co powiedzieć. — Czy ty oszalałeś? Oczywiście, że nas by to obchodziło. Jesteś naszym ojcem...

Założył z powrotem okulary. Za nimi mogłam dostrzec jego oczy, słabe, wodnistobrazowe. — A teraz wszyscy już zdążyliście dorosnąć. Wszyscy.

— Sądzisz, że przez to, że jesteśmy starsi, nie ma już dla nas znaczenia to, co nam zrobiłeś? Myślisz, że potrzeba posiadania rodziców w swoim życiu to coś, z czego się wyrasta, jak dodatkowe kółka przy rowerze czy wysokie krzeselko?

Wyprostował się do swoich pełnych 176 centymetrów wzrostu i zebrał wokół siebie tę otoczkę autorytetu, swojej lekarskości w tak namacalny sposób, jakby zakładał na siebie ciężki, zimowy płaszcz. — Myślę,

— powiedział, mówiąc wolno i wyraźnie — że wielu ludzi jest rozczarowanych swoim życiem.

— I tym właśnie chcesz dla nas być... rozczarowaniem?

Westchnął. — Nie mogę ci pomóc, Cannie. Nie wiem, czego chcesz, ale mogę ci jedynie powiedzieć, że nie mam ci nic do podarowania. Nikomu z was.

— My nie chcemy twoich pieniędzy...

Spojrzał na mnie prawie miło. — Nie mówię o pieniądzach. — Dlaczego? — zapytałam go. Głos mi się łamał. — Mieć dzieci i je zostawić? To ta część, której nie rozumiem. Co takiego zrobiliśmy...

— z trudem przełknęłam ślinę. — Co takiego zrobił ktokolwiek z nas, że już nigdy nie chciałeś nas zobaczyć? — Wiedziałam, nawet mówiąc te słowa, nawet gdy myślałam o tym, że to

brzmiało absurdalnie. Wiedziałam, że żadne dziecko nie może być tak złe, tak niedobre, tak okropne, by spowodować odejście jednego z rodziców. Wiedziałam, że to nie była nasza wina. To nie nas należy obwiniać, pomyślałam sobie. Mogłabym to tak zostawić; mogłabym pozbyć się ciężaru, mogłabym się uwolnić.

Z wyjątkiem, oczywiście, sytuacji, gdy to, co jest w mojej głowie, różni się od tego, co czuję w sercu. I wiedziałam w tym momencie, że Maxi miała rację. Cokolwiek ojciec mógł mi powiedzieć, jakiejkolwiek odpowiedzi mógłby udzielić, jakąkolwiek wymówkę mógłby podać, nie byłoby to właściwe. I nigdy nie byłoby wystarczające.

Patrzałam na niego. Czekałam, aż zapyta mnie o coś, o to, kim zostałam: gdzie mieszkam, co robię i z kim postanowiłam spędzić swoje życie? Zamiast tego spojrzał na mnie ponownie, potrząsnął raz głową i odwrócił się w kierunku drzwi.

— Hej! — wykrzyknęłam.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć, a coś utkwilo mi w gardle. Co chciałam mu powiedzieć? Nic. Chciałam, by to on zadawał *mi* pytania: jak się masz, kim jesteś, co ci się stało, kim zostałam. Wpatrywałam się w niego, a on nic nie mówił — tylko wyszedł z pokoju i zamknął drzwi za sobą...

Nie mogłam nic na to poradzić. Sięgnęłam za nim, po jakiś znak, po cokolwiek, gdy wychodził za drzwi. Czulałam, jak opuszki moich palców muskają tył tego białego, świeżo wypranego fartucha. Nie zatrzymał się. Nawet nie zwolnił.

Kiedy wróciłam, włożyłam pierścionek do jego małego, atlasowego pudełka. Zmyłam z twarzy makijaż i spłukałam żel oczyszczający. Wtedy zadzwoniłam do Samanty.

— Nie uwierzysz w to — zaczęłam.

— Pewnie nie — zgodziła się. — Więc powiedz mi.

Tak też zrobiłam. — Nie zadał żadnego pytania — powiedziałam.

— Nie chciał wiedzieć, co tam robiłam ani co robiłam z moim życiem. Nie sądzę nawet, by zauważył, że jestem w ciąży. On po prostu miał to gdzieś.

Samanta westchnęła. — To okropne. Nie, po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, jak się musisz czuć.

— Czuję... — zaczęłam, patrząc na wodę, a potem w górę, na niebo.

— Czuję, że jestem gotowa na przyjazd do domu.

Wzięłam głęboki oddech, strzelając palcami na Nifkina, który wskoczył na moje kolana, gdy Samanta powiedziała mi po raz już piętnasty, jak bardzo rozradowana jest z tego, że ja wracam. — Czy słyszałaś kiedykolwiek o piosence Warrena Zevona pod tytułem „Suzie Lightning?” — zapytałam.

— Nie — odparła Samantha, której muzyczne gusta biegły raczej w kierunku starego R & B,

niz Warrena Zevona. — Ale zaczekaj — postukała po swoim komputerze i za kilka minut miała gotowe teksty piosenek. — „Śpi tylko w samolotach” — wyrecytowała. — „Jest zmęczona jeżdżeniem donikąd, mieszka w Jugosławii, pracując w mini-serialach...”

Załamalam się. — Jugosławia!

— Nie rozłączaj się — powiedziała Samanta. — Oto refren: „Suzie Lightning, zbudowałem dla niej świat, Suzie Lightning, potrzebuję dziewczyny z Ziemi”.

— Och, smutne — przyznałam.

— Jest więcej — rzuciła Samanta. — „Ona jest na Węgrzech, wysłała widokówki do domu, czy myślisz o mnie? Jestem w Hollywood...” Hej, po co to jest, tak czy tak?

— Przeczytaj mi tylko resztę tego — zdołałam wydusić z siebie, poprzez grudę w gardle.

— „Nie ma sensu płakać o to” — czytała Sam. — „Nie ma sensu tego się trzymać, ona zapala niebo, a potem jej nie ma...”

— O rety — powiedziałam.

— Więc, po co to? — zapytała znowu Sam.

— Nie jestem pewna — przyznałam. — Dowiem się później. I zadzwonię do ciebie, jak tylko będę wiedzieć, kiedy wracam do domu.

Maxi pokiwała głową smutno, kiedy jej powiedziałam, ale nie poprosiła mnie, bym została.

— Czy skończyłaś ze scenariuszem? — spytała.

— Już kilka dni temu — odparłam. Spojrzała na łóżko, gdzie wyciągnęłam moje rzeczy — ubrania, książki i pluszowego misia, którego kupiłam dla dzidziusia któregoś popołudnia w Santa Monica.

— Szkoda, że nie mogliśmy zdziałać więcej — westchnęła.

— Zrobiliśmy dużo — powiedziałam i objęłam ją. — I będziemy rozmawiać... i wysyłać e-maile... i ty odwiedzisz mnie, kiedy urodzi się dziecko...

Oczy Maxi zaświeciły się. — Ciocia Maxi — obwieściła. — Będziesz musiała nauczyć dziecko, by nazywało mnie ciocia Maxi. A ja mam zamiar zepsuć je do szpiku kości!

Uśmiechnęłam się do siebie, wyobrażając Maxi traktującą małego Maxa albo Abby jak dwunożnego Nifkina, ubierając go lub ją w ubranka, które wybrała, by pasowały do niej. — Zostaniesz cudowną ciocią — zapewniłam ją.

Nalegała, by odwieźć mnie na lotnisko, pomóc nadać mój bagaż, a potem czekała ze mną przy przejściu do gate'a, mimo iż cała obsługa lotu gapiała się na nią, jakby była najrzadszym okazem w zoo.

— To się skończy artykułem w *Inside Edition* — ostrzegłam ją, chichocząc i popłakując lekko, gdy obejmowałyśmy się po raz osiemnasty. Maxi pocałowała mnie w policzek, a potem pochyliła się i pomachała do mojego brzucha.

— Masz bilet? — zapytała.

Przytaknęłam głową.

— Masz kieszonkowe?

— O tak — powiedziałam, uśmiechając się, wiedząc, jak bardzo to było prawdziwe.

— Więc jesteś gotowa do drogi — oznajmiła.

Przytaknęłam głową, pociągnęłam nosem i uściśnęłam ją mocno.

— Jesteś cudowną przyjaciółką — wyznałam jej. — Jesteś najwspanialsza.

— Bądź ostrożna — mówiła. — Miej bezpieczną podróż. Zadzwoń, jak tylko dotrzesz na miejsce.

Pokiwałam głową, nic nie mówiąc, ponieważ nie ufałam sobie, że będę umiała mówić, odwróciłam się od niej, w kierunku przejścia, samolotu i domu.

Pierwsza klasa była tym razem bardziej zatłoczona niż podczas poprzedniej podróży. Facet mniej więcej w moim wieku i dokładnie mojego wzrostu, z kręconymi blond włosami i jasnoniebieskimi oczami, zajął miejsce obok mnie, gdy ja mocowałam się, by zapiąć pas (ciaśniejszy tym razem) wokół siebie. Skinęliśmy do siebie uprzejmie głowami. A potem wyjął plik ważnie wyglądających dokumentów prawniczych, opieczętowanych „Tajne” gdzie się tylko dało, a ja wyciągnęłam *Entertainment Weekly*. Rzucił z boku długie spojrzenie na mój materiał do czytania i westchnął.

— Zazdrosny? — spytałam. Uśmiechnął się, pokiwał głową i wyjął z kieszeni cukierki.

— Czy chcesz jednego Mento? — zaproponował.

— Czy to rzeczywiście liczba pojedyncza? — rzuciłam w odpowiedzi, częstując się jednym. Spojrzał na rulonik z Mentosami, potem na mnie i wzruszył ramionami.

— Wiesz, — oznajmił — to jest dobre pytanie.

Obniżyłam fotel. Był miłutki, dumałam, i wyraźnie miał dobrą pracę, albo przynajmniej papierkową robotę, która sprawiała wrażenie dobrej posady. To było to, czego potrzebowałam — po prostu zwykłego faceta z dobrą pracą, który mieszkałby w Filadelfii, czytał książki i mnie uwielbiał. Rzuciłam jeszcze jedno spojrzenie na Pana Mento i rozważałam wręczenie mu swojej wizytówki... i wtedy zaraz otrzeźwiałam, słysząc głosy matki i Samanty zlewające się w jeden głośny, desperacki wrzask: *Czy ty oszalałaś?*

Może w innym życiu, postanowiłam, podciągając koc wysoko pod podbródek. Ale to bieżące mogłoby okazać się jeszcze całkiem niezłe. Może mój ojciec nie będzie już nigdy moim ojcem, może moja mama zostanie na zawsze ujarzmiona przez Przeróżającą Tanie Lesbijkę. Może moja siostra będzie zawsze nieustabilizowana, może mój brat nigdy nie nauczy się uśmiechać. Ale ja wciąż jeszcze potrafiłam znaleźć na świecie dobro. I wciąż mogłam odnaleźć piękno. I któregoś dnia, powiedziałam sobie, zanim zasnęłam, może nawet mogłabym znaleźć kogoś innego do kochania. — Miłość — wyszeptałam do dzidziusia. I wtedy zamknęłam oczy.

Jeśli czegoś bardzo pragniesz, uczą nas bajki, w końcu to otrzymujesz. Ale rzadko jest to tak, jak sobie wyobrażamy, i zakończenia nie zawsze są szczęśliwe. Od miesięcy pragnęłam Bruce'a, marzyłam o nim, zaczarowałam wspomnienie jego twarzy i trzymałam je przed sobą, gdyzasy-
piałam, nawet gdy starałam się, by tak nie było. W końcu było prawie tak, jakbym chciała, żeby
to wspomnienie zmieniło się w rzeczywistość, tak mocno marzyłam i tak często, że on, nawet
wbrew sobie, powinien przede mną się pojawić.

Stało się to właśnie w taki sposób, jaki przewidziała Samanta. — Zobaczysz go znowu —
powiedziała mi tego ranka, miesiąc temu, kiedy oznajmiłam jej, że spodziewam się dziecka. —
Widziałam wystarczająco dużo oper mydlanych, by ci to zagwarantować.

Wysiadłam z samolotu, ziewając w celu odetkania uszu, i tam, w hali oczekiwania, dokładnie
naprzeciw mnie, pod znakiem mówiącym „Tampa/St. Pete's” stał Bruce. Poczulałam, jak unosi się
moje serce, myśląc, że „przyszedł po mnie”, aż zobaczyłam, że jest z dziewczyną, której wcze-
śniej nie widziałam. Niska, blada, włosy obcięte na pazia. Jasne, niebieskie džinsy, a w nie wci-
śnięta jasnożółta koszula z napisem Oxford. Nieokreślone, wyblakłe ubrania, przeciętne rysy i
przeciętna sylwetka. Nic nadzwyczajnego w niej nie było, może z wyjątkiem grubych, niesfor-
nych brwi. Moja zmienniczka, wywnioskowałam.

Utknęłam w miejscu, sparaliżowana tym okropnym zbiegiem okoliczności, tym skandalicz-
nym pechem. Ale jeśli to miało się wydarzyć, to właśnie w takim miejscu — na bezdusznym
Międzynarodowym Lotnisku Newark, gdzie gromadzą się ludzie z Nowego Jorku, New Jersey i
Filadelfii w poszukiwaniu lotów transatlantyckich i/lub tanich połączeń krajowych.

Przez około pięć sekund stałam jak wryta i modliłam się, żeby mnie nie zobaczyli. Staralam
się wycofać na bok hali, okrążyć cały ten obszar, gdzie byli, sądząc, że musi być jakiś sposób, by
dotrzeć niepostrzeżenie do ruchomych schodów, porwać moje bagaże i uciec. Ale właśnie wtedy
Bruce utkwiał we mnie wzrok i wiedziałam, że było za późno.

Pochylił się, szepcząc coś do dziewczyny, która odwróciła głowę, zanim zdołałam się jej do-
brze przyjrzeć. Potem ruszył w poprzek hali, idąc dokładnie w moim kierunku, ubrany w czer-
wony T-shirt, w który się wtulałam setki razy, i niebieskie szorty, które pamiętałam, jak zakładał
i zdejmował, też tak często. Wysłałam szybką modlitwę dziękczynną za uczesanie Gartha, za
opaleniznę, za diamentowe kolczyki i poczułam nagły spazm nieszczęścia, że wciąż nie miałam
na sobie wielkiego i dostojnego pierścionka z diamentem. Było to zupełnie powierzchowne, wie-
działam, ale miałam nadzieję, że wyglądałam dobrze. Na tyle dobrze przynajmniej, na ile można
wyglądać w połowie ósmego miesiąca ciąży, po sześciogodzinnym locie.

I wówczas Bruce pojawił się przede mną, wyglądając blado i poważnie.

— Cześć, Cannie — powiedział. Jego oczy zeszyły do połowy mojego ciała, jakby przycią-
gnął je tam jakiś magnes. — Więc ty...

— Dokładnie — odparłam chłodno. — Jestem w ciąży. — Stałam wyprostowana i zacisnęłam mocniej dłoń na nosidelku Nifkina. Ten, oczywiście, wyczuł Bruce'a i próbował wyskoczyć i przywitać go. Słyszałam, jak grzmocił ogonem o ścianki klatki, skomlać.

Bruce przeniósł spojrzenie do góry, na komputerową tablicę mieszczącą się nad wejściem, którym nadeszłam. — Przyleciałaś z L.A.?

— zapytał, pokazując, że jego umiejętności czytania nie zmniejszyły się od czasu naszego rozstania.

Wykonałam znowu lakoniczne kiwnięcie głową, mając nadzieję, że nie zauważy moich drżących niemiłosiernie kolan. — A co ty tu robisz?

— zapytałam.

— Wakacje — odpowiedział. — Jedziemy na weekend na Florydę.

My, pomyślałam gorzko, patrząc na niego. Nic się nie zmienił.

Może trochę szczuplejszy, z kilkoma pasemkami siwych włosów więcej w swoim kucyku, ale wciąż ten sam, dawny Bruce, począwszy od jego zapachu, uśmiechu, a skończywszy na pomalowanych, do połowy zasznurowanych tenisówkach do koszykówki. — O, jak miło — rzuciłam. Bruce nie złapał przynęty. — Więc byłaś w L.A. służbowo?

— Miałam na wybrzeżu kilka spotkań — odparłam. Zawsze pragnęłam to komuś powiedzieć.

— *Examiner* wysłał cię do Kalifornii? — zapytał.

— Nie, miałam spotkania w związku z moim scenariuszem.

— Sprzedałaś swój scenariusz? — Zdawał się być naprawdę zadowolony ze mnie. — *Can*nie, to wspaniale!

Nic nie powiedziałam, przesywając go wzrokiem. Na tle tego wszystkiego, czego od niego potrzebowałam — miłości, wsparcia, pieniędzy, zwykłego uznania, że istnieję, że nasze dziecko istnieje, i że cokolwiek z tego ma dla niego znaczenie, jego gratulacje wypadły wyjątkowo marnie.

— Ja... przepraszam — zdołał w końcu. A to doprowadziło mnie do furii. Jak wrednie z jego strony, pomyślałam, pojawić się na lotnisku, by zabrać tę swoją Małą Miss Wyblakłości na wakacje, wypowiadać te swoje żalosne przeprosiny, tak jakby mogły rozgrzeszyć miesiące milczenia, niepokój, jakiego doświadczyłam, udrękę tęsknoty za nim i rozwiązywanie kwestii zapewnienia bytu dziecku, wychowując je samotnie. Byłam też wściekła za to jego samozadowolenie. Nie troszczył się — *arri* o mnie, ani o dziecko. Nigdy nie zadzwonił, nie zapytał, nie *zatroszczył się*. Po prostu zostawił mnie — nas — samych. Kogo mi to przypominało?

W tym momencie wiedziałam już, że mój gniew nie był tylko na niego. Był przede wszystkim na mojego ojca, oczywiście, na Pierwotnego Porzucającego, autora wszystkich moich lęków i niepewności. Ale mój ojciec był pięć tysięcy kilometrów stąd, odwrócony na zawsze tyłem do

mnie. Gdybym tylko potrafiła zrobić krok w tył i spojrzeć na to dokładnie, zobaczyłabym, że Bruce był po prostu facetem, jak tysiące innych, zwłaszcza z marihuaną, kucykiem i tym w polowie zamierzonym, leniwym życiem, z niedokończoną wciąż pracą dyplomową, półkami, których nigdy nie zrobił, i wanną, której nigdy nie czyści. Facetów takich, jak Bruce, było tak dużo, jak białych skarpet sprzedawanych w sześciopakach w hipermarketach Wal-Martu, tyle, że nie tak czystych, i wszystko, co musiałabym zrobić, by zdobyć kolejnego, to pokazać się na koncercie grupy Phish i uśmiechać się.

Ale Bruce, w przeciwieństwie do mojego ojca, stał właśnie tutaj... i daleki był od niewinności. W końcu, czyż to nie on też mnie zostawił?

Postawiłam Nifkina na ziemię i zwróciłam się twarzą do Bruce'a, czując, jak cała moja złość — lata złości — gromadzą się w klatce piersiowej i podchodzą do gardła. — Ty *przepraszasz?* — rzuciłam z wściekłością.

Zrobił krok do tyłu. — Przepraszam — powiedział, a głos miał tak smutny, jakby był rozdarty od środka. — Wiem, że powinienem był do ciebie zadzwonić, ale... ja po prostu...

Zwężiłam oczy. Opuścił dłonie. — To było po prostu zbyt wiele — wyszeptał. — Mój ojciec i to wszystko.

Przewróciłam oczami, by pokazać, co myślę o tym wytłumaczeniu, i by dać wyraźnie do zrozumienia, że nie będziemy omawiać strategii borykania się z tym ani wymieniać czułych wspomnień o Bernardzie Gubermanie, ani czeokolwiek innego, w najbliższym czasie.

— Wiem, jak jesteś silna — powiedział. — Wiedziałem, że wszystko będzie z tobą dobrze.

— Cóż, musi być, czyż nie, Bruce? Nie zostawiłeś mi zbyt dużego wyboru.

— Przepraszam — powtórzył Bruce, wyglądając jeszcze bardziej żałośnie. — Ja mam... mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa.

— Czuję, jak te dobre życzenia aż promieniają od ciebie — odparowałam. — Och, czekaj. Mój błąd. To tylko dym z marychy. — Poczułam, jakby część mnie oderwała się od reszty ciała i popłynęła aż do sufitu, i obserwowała rozwój tej sceny z przerażeniem... i wielkim smutkiem. *Cannie, och, Cannie*, lamentował cichy głos, *to nie ten, na którego jesteś wściekła*.

— A ty wiesz co? — zapytałam go. — Przykro mi z powodu twojego ojca. Był mężczyzną. A ty jesteś tylko chłopcem z dużymi stopami i zarostem na twarzy. I nigdy nie będziesz kimś innym. Jeśli będziesz miał trochę szczęścia, może skończysz kiedyś te studia, ale nigdy nie będziesz kimś więcej niż tylko trzeciorzędnym pisarzem w drugorzędnym magazynie i niech Bóg ci pomoże, gdy już nic nie będziesz mógł sobie przypomnieć z tego, co razem przeżyliśmy.

Dziewczyna podeszła bokiem do niego i wplotła swoje palce w jego dłoń. A ja ciągnęłam dalej. — Nigdy nie będziesz tak dobry jak ja i zawsze będziesz wiedzieć, że byłam najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek miałeś.

Dziewczyna usiłowała coś powiedzieć, ale ja nie zamierzałam przerwać.

— Zawsze będziesz wielkim, głupkowskim facetem ze stertą taśm w pudełkach po butach. Facetem z rulonami papierów. Facetem z przemyconym Grateful Deadem. Dobry, stary Bruce. Tyle, że ta sztuczka się męczy po drugim roku. Starzeje się, w ten sam sposób jak ty. Jest nieudokonalona, podobnie jak twoje pisanie. I wiesz, co jeszcze? — Podeszłam do niego, tak blisko, że prawie dotykaliśmy się stopami. — Ty *nigdy* nie skończysz tej pracy. I *zawsze* będziesz mieszkać w New Jersey.

Bruce stał tam, oszołomiony. Jego usta dosłownie rozdziawiły się szeroko. Nie był to ładny widok, podkreślał jego kiepski, blady podbródek i siatkę zmarszczek wokół oczu.

Dziewczyna spojrzała na mnie.

— Zostaw nas w spokoju — powiedziała lekko piskliwym głosem. Moje nowe buty Manolo Blahnika dawały mi dodatkowe osiem centymetrów i czułam się jak Amazonka, potężna, nie przejmująca się tym drobiazgiem, który zrzuciłam właśnie z ramion. Rzuciłam jej moje najlepsze, zamknij-się-i-pozwól-mądrym-ludziom-mówić spojrzenie, takie, które doskonaliłam latami na moim rodzeństwie. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek słyszała o pincecie. Ona patrzyła na mnie i pewnie zastanawiała się, czyja słyszałam o Slim-Fast czy innych środkach odchudzających... czy też o kontroli urodzeń, dla przykładu. Odkryłam, że mało mnie to obchodziło.

— Nie sądzę, bym mówiła cokolwiek do ciebie — rzuciłam i zacytowałam werset z „Zabierz z Powrotem Nocny Marsz”, rok około 1989. — „Nie wierzę w obwinianie ofiar”.

To przywróciło gwałtownie Bruce’a do rzeczywistości. Zacisnął dłoń na jej dłoni. — Zostaw ją w spokoju — oznajmił.

— O Jezu — westchnęłam. — Jakbym to ja robiła coś któremuś z was. Dla twojej wiedzy, — mówiłam do dziewczyny — napisałam mu dokładnie jeden list, gdy odkryłam, że jestem w ciąży. Jeden list. I już nigdy tego nie powtórzę. Mam dużo pieniędzy, lepszą pracę niż on, na wypadek jeśli wypadło mu to z głowy, gdy opowiadał ci naszą historię, i będę sobie dawać świetnie radę. Mam nadzieję, że jesteście ze sobą bardzo szczęśliwi. — Podniosłam Nifkina, odrzuciłam moje fantastyczne włosy i ruszyłam obok strażnika. — Sprawdziłabym jego bagaż, — rzuciłam, wystarczająco głośno, by Bruce to usłyszał — pewnie gdzieś tam to trzyma.

I wtedy, wciąż przecież będąc w ciąży, poszłam do toalety wysiusiać się.

Moje kolana były miękkie jak woda, policzki rozpalone. Ha, pomyślałam. Ha!

Wstałam, splukałam i otwarłam drzwi mojej kabiny. A tam była nowa dziewczyna Bruce’a, z rękami splecionymi na wątlej klatce piersiowej.

— Tak? — zapytałam grzecznie. — Masz jakiś komentarz?

Jej usta skrzywiły się. Miała je, jak zauważyłam, lekko przygryzione.

— Myślisz, że jesteś taka mądra — powiedziała. — On nigdy cię tak naprawdę nie kochał. Powiedział mi to. — Jej głos się powoli unosił. Pisk, pisk, pisk. Wydawała z siebie dźwięki, jak mały, wypchany zwierzak, z rodzaju tych, które beczą, gdy przyciśniesz.

— Podczas gdy ty — zripostowałam — jesteś oczywiście prawdziwą miłością jego życia. — Wiedziałam w głębi serca, mojego dobrego serca, że jeśli miałam mieć tu kłótnię, to nie z nią. Ale wyglądało na to, że nie mogłam na to nic poradzić.

Jej usta zwinęły się, dosłownie ściągnęły się w trąbkę, jak pysk Nifkina, gdy bawił się swoimi pluszowymi zabawkami.

— Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju? — syknęła.

— Zostawić w spokoju? — powtórzyłam. — Zostawić was w spokoju? Widzisz, to jest temat, do którego ciągle wracasz, a ja tego nie rozumiem. Nie robię nic żadnemu z was. Mieszkam w Filadelfii, na miłość boską...

I wtedy to zobaczyłam. Coś w jej twarzy, a ja wiedziałam, co to było.

— Wciąż o mnie mówi, tak? — zapytałam.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć. Postanowiłam, że nie chcę zostać w pobliżu i tego wysłuchiwać. Nagle poczułam się niesamowicie zmęczona. Zapragnęłam, aż do bólu, snu, domu, mojego łóżka.

— Nie — zaczęła.

— Nie mam czasu na to — oznajmiłam jej, ucinając rozmowę.

— Mam swoje życie. — Próbowałam przejść obok niej, ale stała zaraz obok umywalki, nie zostawiając mi żadnego przejścia.

— Posuń się — rzuciłam krótko.

— Nie — odparła. — Nie, słuchaj mnie! — Położyła ręce na moich ramionach, usiłując mnie przytrzymać w miejscu, popychając lekko. W jednej minucie byłam na nogach, próbując przecisnąć się obok niej, ale w następnej moja stopa poślizgnęła się na kałuży wody. Moja kostka wykrzywiła się, skręcając pode mnie. I upadłam bokiem, uderzając brzuchem o ostry kant umywalki.

Przeszył mnie ostry ból i leżałam tam na plecach, na podłodze, z kostką wykręconą w taki sposób, który nie wróżył nic dobrego, a ona stała nade mną, dysząc jak zwierzę, z czerwonymi wypiekami na policzkach.

Usiłowałam wstać, kładąc obie dłonie płasko na podłodze i łapiąc się za umywalkę, gdy poczułam nagły, rozdzierający skurcz. Gdy spojrzałam w dół, spostrzegłam, że krwawię. Niezbyt wiele, ale... cóż, krew to nie jest coś, co chcesz oglądać gdziekolwiek w okolicy od pasa w dół, gdy jesteś dopiero w połowie ósmego miesiąca.

Jakoś bardzo szybko znalazłam się znowu na podłodze. Kostka bolała tak bardzo, że zrobiło mi się niedobrze i czułam, jak po nodze sączy mi się krew.

Przyjrzałam się jej. Ona odpowiedziała spojrzeniem, zsuwając wzrok za mną tam, gdzie krew leciała już dużymi kroplami. Wtedy przyłożyła jedną rękę do ust, odwróciła się i wybiegła.

Rzeczy wokół zaczęły tracić dla mnie swoją ostrość, a mój brzuch przeszywały fale bólu.

Czytałam o tym. Wiedziałam, co to oznaczało i wiedziałam, że to za wcześnie, że miałam kłopoty. — Pomocy — próbowałam powiedzieć, ale wokół nie było nikogo, kto mógłby to usłyszeć.

— Pomocy... — powtórzyłam, i świat nagle zrobił się szary, a potem czarny.

CZEŚĆ PIĄTA

Joy

Rozdział XVIII

Gdy otwierałam oczy, byłam pod wodą. W basenie? Jeziorze przy letnim kempingu? Oceanie? Nie byłam pewna. Mogłam dostrzec światło nade mną, przedostające się przez wodę i czułam ciągnięcie przez coś, co było pode mną, w ciemnościach czarnych na tyle, że nie mogłam tego dostrzec.

Spędziłam większość mojego życia w wodzie, pływając z matką, ale to ojciec nauczył mnie pływać, gdy byłam mała. Wrzucał srebrną monetę dolarową do wody, a ja podążałam za nią, ucząc się, jak wstrzymywać oddech, iść głębiej niż myślałam, że potrafię, i jak szybko wrócić na powierzchnię. „Utoń albo pływaj”, mówił mój ojciec, kiedy wracałam z pustymi rękami, pryskając śliną i narzekając, że nie potrafię, że woda jest za zimna albo za głęboka. *Utoń albo pływaj*. I wracałam do wody. Chciałam srebrną dolarówkę, ale, bardziej niż tego, chciałam zadowolić tatę.

Mój ojciec. Czy on był tutaj? Obróciłam się wokół jak oszalała, wiosłując rękami, próbując rzucić się w kierunku, skąd dobiegało światło. Ale zaczynałam mieć zawroty głowy. Przekreślono mnie wokół. I ciężko było dalej wiosłować, pozostać na powierzchni, mogłam poczuć szarpnięcia dna oceanu. Jak miło byłoby po prostu przestać, nie poruszać się, pozwolić, bym opadła na dno, zanurzyła się w miękkim osadzie pełnym tysięcy muszli, pozwoliła sobie zasnąć...

Utoń albo pływaj. Żyj albo umieraj.

Usłyszałam głos, dochodzący z powierzchni.

Jak ci na imię?

Zostawcie mnie w spokoju, pomyślałam. *Jestem zmęczona. Jestem taka zmęczona*. Poczułam, jak ciemność mnie wciąga, a ja się temu poddawałam.

Jak ci na imię?

Otwarłam oczy, mrużąc powieki w jasnym, białym świetle.

Cannie, wymamrotałam. *Jestem Cannie, a teraz dajcie mi spokój*.

Zostań z nami, Cannie, mówił głos. Pokręciłam głową. Nie chciałam tu być, gdziekolwiek to *tu* było. Chciałam być z powrotem w wodzie, gdzie byłam niewidzialna, gdzie byłam wolna. Chciałam znowu pływać. Zamknęłam oczy. Srebrna dolarówka błyszczała i mieniła się w słońcu, iskrząc w powietrzu, po czym zanurzając się głęboko w wodzie, a ja płynęłam za nią.

Zamknęłam z powrotem oczy i zobaczyłam moje łóżko. Nie moje łóżko w Filadelfii, z koją-

cą, niebieską kołdrą i jasnymi, ładnymi poduszkami, ale moje łóżko z czasów, gdy byłam małą dziewczynką — wąskie, schludnie wykonane, przykryte dokładnie kapą w czerwono-brązowy wzorek, ze stertą książek w twardej oprawie wsuniętą pod spód. Zamrugałam oczami i zobaczyłam dziewczynę na łóżku, silnie zbudowaną, ze spokojną twarzą, zielonymi oczami i brązowymi włosami związanymi w kucyk, opadający na ramiona. Leżała na jednym boku, a przed nią leżała otwarta książka. Ja? Zastanawiałam się. Moja córka? Nie mogłam być pewna.

Przypomniałam sobie to łóżko — jak było moim schronieniem, gdy byłam małą dziewczynką, jak było jedynym miejscem, gdzie czułam się bezpieczna będąc nastolatką, gdyż było to jedyne miejsce, gdzie ojciec nigdy nie przychodził. Pamiętam, jak spędzałam tam godziny w czasie weekendów, siedząc po turecku z przyjaciółką ulokowaną po drugiej stronie łóżka, z telefonem i roztapiającymi się lodami pośrodku, pomiędzy nami, jak rozmawialiśmy o chłopakach, o szkole, o przyszłości, o tym, jak będzie wyglądać nasze życie, i zapragnęłam tam teraz wrócić. Chciałam tak bardzo tam wrócić, do czasów, zanim sprawy zaczęły iść źle, przed odejściem mojego ojca i zdradą Bruce'a, zanim wiedziałam, jak to wszystko się potoczy.

Spojrzałam w dół, dziewczyna na łóżku odwróciła głowę od książki i spojrzała do góry, na mnie, a jej oczy były szerokie i bystre.

Patrzałam na nią, a ona uśmiechnęła się do mnie. *Mamo*, powiedziała.

Cannie?

Jęknęłam, jakbym budziła się z najsłodszych snów i próbowałam znowu otworzyć oczy.

Ścisnij moją rękę, Cannie, jeśli to słyszysz.

Ścisnęłam słabo. Słyszałam głosy mamroczące coś nade mną, mówiące coś o typie krwi, coś jeszcze o monitorowaniu płodu. Może tobyło snem, a dziewczyna na łóżku była prawdziwa? Albo woda? Może ja naprawdę poszłam pływać, może wypłynęłam za daleko, zmęczyłam się, może właśnie się topiłam, a obraz mojego łóżka był tylko czymś, co mój umysł przywołał jako rodzaj rozrywki na ostatnią minutę?

Cannie? powiedział znowu głos, brzmiąc prawie szaleńczo. *Zostań z nami!*

Ale ja nie chciałam tam być. Chciałam wrócić do łóżka.

Gdy zamknęłam oczy po raz trzeci, zobaczyłam mojego ojca. Byłam z powrotem w jego gabinecie w Kalifornii, siedząc wyprostowana na jego białym stole do badań. Czułam ciężar diamentów na moim palcu, w uszach. Czułam ciężar jego spojrzenia na mnie — pełnego ciepła i miłości, jakie zapamiętałam sprzed dwudziestu lat. Siedział naprzeciw mnie, w swoim białym, lekarskim fartuchu, uśmiechając się do mnie. *Powiedz mi, jak sobie radziłaś*, mówił. *Powiedz, jak ci się potoczyły losy.*

Będę miała dziecko, powiedziałam mu, a on przytaknął głową. *Cannie, to cudowne!*

Jestem reporterką w gazecie. Napisałam scenariusz, mówiłam. *Mam przyjaciół. Psa. Miesz-*

kam w mieście.

Mój ojciec uśmiechnął się. *Jestem taki dumny z ciebie.*

Wyciągnęłam rękę do niego, a on wziął ją i przytrzymał. *Dlaczego tego nie powiedziałaś wcześniej? Zapytałam. To by zmieniło wszystko, gdybym wiedziała, że cię obchodzę...*

Uśmiechnął się do mnie, wyglądając na zakłopotanego, jakbym przestała mówić po angielsku, albo jakby przestał to rozumieć. A kiedy zabrał swoją dłoń, ja otworzyłam moją i znalazłam w niej srebrną dolarówkę. *To jest twoje, powiedział. Znalazłaś to. Zawsze znajdowałaś. Zawsze potrafiłaś.*

Ale nawet, kiedy mówił, już się odwracał.

Chcę cię o coś spytać, powiedziałam. Był przy drzwiach, jak zapamiętałam, z ręką na klamce, ale tym razem odwrócił się i spojrzał na mnie.

Wpatrywałam się w niego, czując, jak w gardle mi wysycha, nie mówiąc nic.

Jak mogłeś? to właśnie pomyślałam. *Jak mogłeś zostawić swoje własne dzieci?* Lucy miała piętnaście lat, a Josh tylko dziewięć. Jak mogłeś to zrobić; jak mogłeś odejść?

Łzy spływały po mojej twarzy. Ojciec szedł z powrotem do mnie. Wyciągnął ze swojej kieszeni na piersiach starannie złożoną chusteczkę, zawsze tam ją trzymał. Pachniała wodą kolońską, której zawsze używał, jak cytryny, i krochmalem, którego używają w chińskich pralniach, jakzawsze. Z dużą troskliwością mój ojciec pochylił się nade mną i zaczął wycierać moje łzy.

I znowu poniżej mnie była ciemność, a powyżej światło.

Utoń albo płyn, pomyślałam ponuro. A co, jeśli chciałam tonąć? Co by mnie miało utrzymać na powierzchni?

Pomyślałam o ręce ojca na moim policzku i o poważnym, zielonookim spojrzeniu tej dziewczyny na moim łóżku. Myślałam o tym, co się czuje, gdy się bierze ciepły prysznic po długiej przejażdżce rowerowej, albo gdy się wchodzi do oceanu w letni, gorący dzień. Pomyślałam o smaku maleńkich truskawek, które znalazłyśmy z Maxi na targu. Myślałam o moich przyjaciółkach i o Nifkinie. Myślałam o własnym łóżku, ubranym we flanelową pościel, zmiękczoną od wielu wycieczek do suszarki, z książką na poduszce i Nifkinem ułożonym obok mnie. I pomyślałam przez chwilę o Bruce'ie... może nie konkretnie o Bruce'ie, ale o uczuciu zakochiwania się, bycia zakochanym, bycia wartościowym. *Cenionym,* słyszałam, jak Maxi mówiła.

Więc dobrze, pomyślałam. Świetnie. Idę popływać. Dla siebie i dla mojej córki. Dla wszystkich, których kocham i każdego, kto mnie kocha.

Kiedy się obudziłam znowu, słyszałam głosy.

— To nie wygląda prawidłowo — powiedział jeden z nich. — Czy jesteś pewna, że zwisa właściwą stroną?

Moja mama, domyśliłam się. Kto jeszcze?

— Co to jest to żółte? — domagał się drugi głos, młody, żeński, zrzędzający. Lucy. — Pewnie budyń.

— To nie jest budyń — usłyszałam chrapliwe warczenie. Tania.

Potem: — Lucy! Zabieraj swój palec z obiadu twojej siostry!

— Ona nie będzie go jeść — odparła Lucy posępnie.

— Nie wiem nawet, kiedy przynieśli jedzenie — huczała Tania.

— Znajdź trochę piwa imbirowego — powiedziała mama. — I kilka kostek lodu. Mówili, że może dostać lód w kostkach, gdy się obudzi.

Mama pochyliła się bliżej. Mogłam ja poczuć — mieszanka perfum Chloe, kremu do opalania i szamponu Pert. — Cannie? — wymamrotała. Otwarłam oczy — tym razem naprawdę — i zobaczyłam, że nie jestem pod wodą ani w mojej dawnej sypialni, ani w gabinecie mojego ojca. Byłam w łóżku szpitalnym. Na grzbiecie dłoni przymocowany miałam kawałek plastra, wokół nadgarstka wiła się plastikowa bransoletka z moim nazwiskiem, a wokół mnie, w półkolu stały maszyny wydające różne dźwięki. Uniosłam głowę i dojrzałam palce u moich nóg — nie było brzucha wnoszącego się dotąd po drodze od głowy do stóp.

— Dziecko — powiedziałam. Mój głos brzmiał obco, piskliwie. Ktoś wyszedł z zacienionej części. Bruce.

— Hej, Cannie — przywitał się bojaźliwym głosem, wyglądając nędznie, okropnie zawstydzony.

Odprawiłam go machnięciem tej dłoni, która nie miała wbitej igły. — Nie ty — rzuciłam. — Moje dziecko.

— Zawołam lekarza — powiedziała mama.

— Nie, pozwól, że ja to zrobię — odezwała się Tania. Te dwie spojrzały na siebie, po czym pospiesznie wyszły z pokoju, jakby zgodnie z wzajemną umową. Lucy rzuciła mi szybkie, nieczytelne spojrzenie i wybiegła za nimi. Co oznaczało, że zostaliśmy z Bruce'em sami.

— Co się stało? — zapytałam.

Bruce przełknął z trudnością. — Sądzę, że może lekarz ci to lepiej wytłumaczy.

Teraz zaczynałam sobie przypominać — lotnisko, toaleta, jego nowa przyjaciółka. Upadek. A potem krew.

Próbowałam usiąść. Luźne ręce sprowadziły mnie z powrotem na łóżko.

— Co się stało? — domagałam się, mój głos przechodził powoli w histerię. — Gdzie jestem? Gdzie jest moje dziecko? Co się stało?

Jakaś twarz pojawiła się w zasięgu mojego widzenia — lekarz, bez wątplenia, w białym fartuchu, z obowiązkowym stetoskopem i plastikowym identyfikatorem.

— Widzę, że się obudziłaś! — powiedział serdecznie. Rzuciłam mu gniewne spojrzenie. —

Podaj mi swoje nazwisko — zażądał.

Wzięłam głęboki oddech, uświadamiając sobie nagle, że czułam ból. Od pępka w dół czułam się jakbym była rozcięta, a następnie byle jak zszyta. Moja kostka pulsowała razem z biciem serca. — Jestem Candace Shapiro — zaczęłam — i byłam w ciąży... — głos uwiązał mi w gardle. — Co się stało? — błagałam. — Czy moje dziecko czuje się dobrze?

Lekarz odchrząknął. Mama przyciągnęła bliżej krzesło i oplotła swoimi palcami mój nadgarstek.

— Miałaś coś, co nazywa się „przedwczesne oddzielenie się łożyska” — zaczął. — Co oznacza, że całe twoje łożysko naraz odkleiło się od macicy. To właśnie to spowodowało krwawienie... i przedwczesny poród.

— Więc, moje dziecko... — wyszeptałam.

Lekarz wyglądał na przygnębionego.

— Twoje dziecko było w ciężkim stanie, kiedy przywieziono was tutaj. Zrobiliśmy cesarskie cięcie, ale ponieważ nie mieliśmy prawidłowego monitorowania płodu, nie jesteśmy pewni, czy nie została pozbawiona tlenu, a jeśli tak, to na jak długo.

Nie przestawał mówić. Niska waga urodzeniowa. Wcześniak. Nierozwinięte płucka. Respirator. OIOM dla noworodków. Powiedział mi, że moja macica rozerwała się podczas porodu, że tak bardzo krwawiłam, że musieli podjąć „radykalne kroki”. Radykalne, ponieważ nie miałam już teraz macicy. — Nienawidzimy to robić młodym dziewczynom, — przyznał poważnym tonem — ale okoliczności nie zostawiły nam wyboru.

Mówił i mówił monotonnym głosem o udzielaniu porad, terapii, adopcji, zbiorach jajeczek i surogatach, aż chciałam wrzeszczeć, złapać pazurami za gardło, zmusić go do udzielenia odpowiedzi na jedyne pytanie, które mnie obchodziło. Spojrzałam na moją mamę, która zagryzła wargę i odwróciła wzrok, gdy usiłowałam usiąść. Lekarz wyglądał na zaniepokojonego i starał się ułożyć mnie na plecach, ale ja się nie poddawałam. — Moje dziecko — powiedziałam. — Czy to chłopiec czy dziewczynka?

— Dziewczynka — odparł niechętnie.

— Dziewczynka — powtórzyłam i zaczęłam płakać. Moja córka, pomyślałam, moja biedna córeczka, której nie potrafiłam zapewnić bezpieczeństwa, nawet podczas jej przychodzenia na świat. Spojrzałam na mamę, która wróciła i opierała się teraz o ścianę, wydychając nos. Bruce położył niezgrabnie swoją rękę na moim ramieniu.

— Cannie — powiedział. — Przykro mi.

— Odejdź ode mnie — załkałam. — Po prostu idź — otarłam oczy, założyłam moje zmatoiwiałe włosy za uszy i popatrzałam na lekarza.

— Chcę zobaczyć moje dziecko.

Posadzili mnie na wózkum inwalidzkim, zranioną i zszytą, obolałą na całym ciele i zawieźli

do OIOM-u dla noworodków. Nie mogłam wejść, jak mi wytłumaczyli, ale mogłam ją zobaczyć przez okno. Pielęgniarka wskazała ją. — Tam — powiedziała, gestykulując.

Przysunęłam się tak blisko, że czoło przyciskałam do szyby. Była taka malutka. Pomarszczony, różowy grejpfrut. Kończyny nie większe niż mój mały palec, rączki wielkości paznokcia mojego kciuka, a główka rozmiaru najmniejszej nektaryny. Maleńkie oczka miały zaciśnięte powieki, a na twarzy można było dostrzec urazę. Na czubku głowy miała jakąś zasypkę z czarnego puchu, a na tym nieokreśloną, beżową czapeczkę.

— Waży prawie półtora kilograma — rzuciła pielęgniarka, popychająca mój wózek.

Dziecko, wyszeptalam i postukałam palcami o szybę, wybijając łagodny rytm. Nie poruszała się, ale kiedy stukałam, jej ramiona drgnęły. „Macha do mnie”, wyobrażałam sobie. *Cześć, dzi-dziusiu*, powiedziałam.

Pielęgniarka przyjrzała mi się bliżej. — Czy wszystko w porządku?

— Ona potrzebuje lepszej czapeczki — oznajmiłam. Moje gardło zdawało się być nabrzmiąte, ściśnięte od smutku, po mojej twarzy spływały łzy, ale nie płakałam. Było to bardziej jak wyciekanie. Napelniłam się smutkiem i dziwnym, przesądzonym rodzajem nadziei, że nie było gdzie po nią pójść, jak tylko na zewnątrz. — W domu, w jej pokoju, w żółtym pokoiku z łóżeczkiem, w komodzie, w górnej szufladzie, mam mnóstwo dziewczęcych czapeczek. Moja mama ma klucze...

Pielęgniarka pochyliła się. — Muszę cię zawieźć z powrotem — powiedziała.

— Proszę, spraw, by jej dali ładniejszą czapeczkę. — powtórzyłam. Głupio, uparcie. Ona nie potrzebowała modnego nakrycia głowy, ale cudu, i nawet ja nie mogłam go *znaleźć*.

Pielęgniarka pochyliła się jeszcze bardziej.

— Proszę mi podać jej imię. — I byłam już teraz pewna, że na końcu pudełka przyklejony był kawałek papieru z napisem: „DZIEWCZYNA SHAPIRO.”

Otwarłam usta, niepewna tego, co się wydarzy, ale kiedy słowo przyszło mi nagle do głowy, było właściwe.

— Joy — powiedziałam. — Na imię ma Joy, jak Radość.

Kiedy wróciłam do pokoju, czekała tam Maxi. Kwartet ochotniczek ubranych w pasiaste ubrania gromadził się w drzwiach mojego pokoju, z twarzami jak kwitnące pąki albo spakowane ciasno balony. Maxi zaciągnęła białe zasłony bliżej wokół mojego łóżka, odgradzając nas od świata. Była ubrana bardziej poważnie niż kiedykolwiek widziałam — czarne dzinsy, czarne tenisówki, bluza z kapturem — i trzymała w rękach różę, absurdalne naręcze róż, ten rodzaj girlandy, który udrapowuje się na szyi konia zdobywającego nagrodę. Albo kładzie się w poprzek trumny, pomyślałam ponuro.

— Przyjechałam, jak tylko się dowiedziałam — powiedziała, ze ściągniętą twarzą. — Twoja

mama i siostra są na zewnątrz. Pozwalają nam tu przebywać pojedynczo.

Usiadła obok mnie i przytrzymała mnie za rękę, tę z wbity rurką, i nie wydawała się być zaniepokojona tym, że na nią nie popatrzałam, ani nawet nie oddałam uścisku. — Biedna Cannie — pożałowała mnie. — Czy widziałas dziecko?

Przytaknęłam głowę, wycierając łzy z policzków. — Jest bardzo malutka — zdołałam powiedzieć i zaczęłam płakać.

Maxi skrzywiła się. Była bezradna i przerażało ją to.

— Bruce przyjechał — rzuciłam, łkając.

— Mam nadzieję, że powiedziałaś mu, że ma iść do diabła — obruszyła się.

— Coś w tym rodzaju — odparłam. Ręką niepokłutą igłami przetrąłam twarz i zapragnęłam chusteczki higienicznej. — To jest obrzydliwe — podsumowałam i czknęłam płaczem. — To jest naprawdę żalosne i obrzydliwe.

Maxi pochyliła się bliżej, biorąc moją głowę w ramiona. — Och, Cannie — powiedziała smutno. Zamknęłam oczy. Nie pozostało mi już żadne pytanie do zadania, nic innego do powiedzenia.

Po wyjściu Maxi spałam jakiś czas, zwinięta w kłębek na jednym boku. Jeśli coś mi się śniło, to nie zapamiętałam tego. A kiedy się obudziłam, Bruce stał w drzwiach.

Zamrugałam oczami i wpatrzyłam się w niego.

— Czy mogę coś zrobić? — zapytał. A ja po prostu wpatrywałam się w niego, nic nie mówiąc. — Cannie? — powiedział zażenowanym głosem.

— Podejdź bliżej — skinęłam. — Ja nie gryzę. Ani nie popycham — dodałam złośliwie.

Bruce skrzywił się i ruszył w stronę mojego łóżka. Był blady, zdenerwowany, wyraźnie nie-swoj, a może po prostu niezbyt szczęśliwy z faktu bycia znowu blisko mnie. Na jego nosie mogłam dostrzec siatkę wągrów, wyraźnie się odznaczających, a z jego postawy, ze sposobu, w jaki trzymał ręce wepchnięte w kieszenie, i z jego wzroku wbitego wciąż w linoleum na podłodze, mogłam odczytać, że to go zabijało, że wołałby być gdziekolwiek indziej, tylko nie tutaj. *Dobrze*, pomyślałam, czując, jak wściekłość bulgocze mi w piersiach. *Dobrze*. Niech go to boli.

Usiadł na krześle obok mojego łóżka, rzucając krótkie spojrzenia na mnie, na sączki wijące się spod mojego prześcieradła, kropłówkę dyndającą w pobliżu. Miałam nadzieję, że robiło mu się od tego niedobrze. Miałam też nadzieję, że był przerażony.

— Mogę ci powiedzieć dokładnie, ile dni minęło, od kiedy ostatni raz rozmawialiśmy — wyrzuciłam z siebie.

Bruce zamknął oczy.

— Mogę powiedzieć dokładnie, jak wygląda twój pokój, powtórzyc dokładnie, co mówiłeś podczas naszego ostatniego spotkania.

Złapał mnie za rękę, chwytając po omacku. — Cannie, proszę — powiedział. — Proszę. Przepraszam. — Słowa, za które kiedyś oddałabym wszystko. Zaczął płakać. — Nigdy nie chciałem... nigdy nie myślałem, by to się stało...

Spojrzałam na niego. Nie czułam miłości ani nienawiści. Czułam tylko zmęczenie przenikające do szpiku kości. Tak, jakbym nagle miała sto lat i wiedziała jednocześnie, że muszę jeszcze żyć kolejne sto lat, nosząc mój smutek przy sobie jak plecak pełen kamieni.

Zamknęłam oczy, wiedząc, że było za późno dla nas obojga. Zbyt wiele się wydarzyło i nic z tego nie było dobre. Ciało wprawione w ruch pozostaje w ruchu. To ja to wszystko zaczęłam, mówiąc mu, że chcę zrobić sobie przerwę. Albo może to on wszystko zaczął, umawiając się ze mną po raz pierwszy? Jakie to miało teraz znaczenie?

Odwróciłam twarz do ściany. Po chwili Bruce przestał płakać. Kolejną chwilę później słyszałam, jak wychodzi.

Obudziłam się następnego dnia, od promieni słonecznych wlewających się do pokoju na moją twarz. W tej samej chwili mama pędem weszła przez drzwi i przyciągnęła krzesło do mojego łóżka. Wyglądała kiepsko — była dobra w opowiadaniu dowcipów, obracania wszystkiego w żart, nie traciła nigdy ducha i była wytrwała, ale nie radziła sobie z łzami.

— Jak się masz? — zapytała.

— Do dupy! — wrzasnęłam, a mama odskoczyła do tyłu tak gwałtownie, że jej krzesło na kółkach odjechało do połowy pokoju. Nie czekałam nawet, aż przysunie się do mnie z powrotem, tylko kontynuowałam swoją tyradę. — A jak sądzisz, jak się mam? Urodziłam coś, co wygląda na eksperyment naukowy licealisty i jestem cała porozcinana i mnie b-o-o-lli...

Ukryłam ręce w dłoniach i łkałam przez chwilę. — Ze mną jest coś nie tak — płakałam. — Mam defekt. Powinniście byli pozwolić mi umrzeć...

— Och, Cannie — powiedziała mama. — Cannie, nie mów w ten sposób.

— Nikt mnie nie kocha — ryczałam. — Tata nie kochał, Bruce mnie nie kochał...

Mama pogłaskała mnie po głowie. — Nie mów w ten sposób — powtórzyła. — Masz śliczne dziecko. Maleńka, jeśli chodzi o kwestię wielkości, na razie, ale bardzo piękna. — Odchrząknęła, wstała i zaczęła chodzić — typowe zachowanie mojej mamy, gdy nadchodziło coś bolesnego.

— Usiądź — powiedziałam jej znużonym tonem i tak zrobiła, ale widziałam, że jedna z jej stóp drży z niepokoju.

— Rozmawiałam z Bruce'em — przyznała.

Wypuściłam powietrze ze świstem. Nie chciałam nawet słyszeć jego imienia. Mama mogła to wyczytać w mojej twarzy, ale nie przestawała mówić.

— Z Bruce'em — ciągnęła — i jego nową dziewczyną.

— Popychaczką? — zapytałam, wysokim, ostrym i histerycznym głosem. — Widziałas ją?

— Cannie, ona się czuje po prostu okropnie. Oboje tak się czują.

— Powinni — rzuciłam gniewnie. — Bruce nigdy nawet do mnie nie zadzwonił, przez cały czas mojej ciąży, a potem Popychaczką zrobiła swoje...

Mama wyglądała na wstrząśniętą na dźwięk mojego głosu. — Lekarze nie są pewni, co było przyczyną...

— To nie ma znaczenia — powiedziałam zrzędzącym tonem. — Ja wierzę, że to właśnie to spowodowało i mam nadzieję, że ta głupia dziwka też.

Mama była najwyraźniej zszokowana. — Cannie...

— Cannie co? Myślisz, że mam zamiar im to wybaczyć? Nigdy tego nie wybaczę. Moje dziecko omal nie umarło, ja prawie umarłam, nigdy nie będę mogła mieć kolejnego dziecka, a teraz, tylko dlatego, że im jest przykro, wszystko ma już być okay? Nigdy im nie wybaczę. Nigdy.

Mama westchnęła. — Cannie — powiedziała łagodnym tonem.

— Nie mogę uwierzyć, że bierzesz ich stronę! — wydarłam się.

— Nie biorę ich strony, Cannie, oczywiście, że nie — broniła się.

— Biorę twoją stronę. Ja tylko myślę, że to nie jest dla ciebie zdrowe, byś tak się złościła.

— Joy prawie umarła — rzuciłam.

— Ale tak się nie stało — uspokajała mama. — Nie umarła. Będzie się czuć dobrze...

— Nie wiesz tego — odparłam z furią.

— Cannie — powiedziała mama. — Ona ma małą niedowagę i jej płucka są lekko nierozwinięte...

— Została pozbawiona tlenu! Czy nie słyszałaś ich? Pozbawiona tlenu! Wszystko może być źle!

— Wygląda dokładnie tak samo, jak ty, gdy byłaś dzieckiem — mówiła mama niecierpliwie. — Będzie się czuć dobrze. Po prostu to wiem.

— Ty nawet nie wiedziałaś, że jesteś lesbijką, aż do pięćdziesiątegośósteego roku życia! — krzyczałam. — Jak mam ci w cokolwiek uwierzyć?

Mama znowu odsuwała się swoim krzesłem od mojego łóżka.

— To nie jest zdrowe dla ciebie tak się złościć...

Pokazałam drzwi. — Wyjdź — powiedziałam i zaczęłam płakać.

Mama potrząsnęła głową. — Nie idę. Rozmawiaj ze mną.

— Co takiego chciałabyś ode mnie usłyszeć? — zapytałam, próbując otrzeć swoją twarz, mieć normalny głos. — Nowa dziewczyna mojego dupowatego, byłego chłopaka mnie popchnęła, a moje dziecko omal nie umarło. Nawaliłam, nie udało mi się zostać wystarczająco dobrą, ładną, szczupłą, kochaną, by utrzymać przy sobie ojca. Albo Bruce'a. A teraz, nie udało mi się zapewnić bezpieczeństwa mojemu dziecku.

Mama podjechała na krzesło znowu bliżej i oplotła mnie swoimi rękami.

— Nie zasłużyłam na nią — szlochałam. — Nie potrafiłam jej zapewnić bezpieczeństwa, pozwoliłam, by się zraniła...

— Kto ci coś takiego podsunął do głowy? — mama szeptała w moje włosy. — Cannie, to był wypadek. To nie była twoja wina. Będiesz cudowną mamą.

— Jeśli jestem taka wspaniała, to czemu on mnie nie kochał? — łkałam dalej, a nie byłam nawet pewna, o kim mówiłam — o Bruce'ie? Moim ojcu? — Co takiego ze mną jest nie tak?

Mama wstała. Podążyłam za jej wzrokiem, który przeniosła na zegar na ścianie. Widziała, jak ją obserwuję i przygryzła wargę. — Przepraszam, — powiedziała miękko — ale muszę wyskoczyć na kilka minut.

Wytarłam oczy, zyskując na czasie, próbując przeanalizować to, co mi powiedziała. — Musisz...

— Muszę odebrać Tanie z jej zajęć ciągłej edukacji.

— A co, Tania zapomniała, jak się prowadzi?

— Jej samochód jest w naprawie.

— A czego dzisiaj się uczy? Do jakiej części jej osobowości jest to adresowane? — zapytałam. — Współzależne wnuczki albo emocjonalnie odsunięci dziadkowie?

— Daj temu spokój, Cannie — powiedziała oschle mama, a ja byłam tak zdumiona, że nie potrafiłam nawet myśleć o tym, by zacząć znowu krzyczeć. — Wiem, że jej nie lubisz, a ja mam już dość wysłuchiwanie tego.

— Och, i teraz jest pora na to, by to roztrząsać? Nie mogłaś z tym poczekać, aż może twoja wnuczka wyjdzie już z intensywnej opieki?

Mama zasznurowała usta. — Porozmawiamy później — odparła i wyszła z pokoju. Trzymając jeszcze rękę na klamce odwróciła się do mnie. — Wiem, że w to nie wierzysz, ale wszystko będzie dobrze. Masz wszystko, czego potrzebujesz. Musisz tylko wiedzieć o tym w głębi serca.

Zachmurzyłam się. *Wiedzieć o tym w głębi serca*. Brzmiało to jak ta lipa New Age, coś, co zrabowała z jednego z tych głupich podręczników Tani, jak *Uzdrow Swoją Ranę*.

— Pewnie — zawołałam za nią. — Idź! Jestem dobra w byciu opuszczaną. Przyzwyczyłam się.

Nie odwróciła się. Westchnęłam, wpatrując się w moje prześcieradło i mając nadzieję, że żadna z pielęgniarek nie słyszała, jak chlusnęłam dialogiem z trzeciorzędnej opery mydlanej. Czułam się strasznie nieszczęśliwa. Czułam się pusta, jakbym została wypatroszona z wnętrzości i pozostała tam tylko odbijająca echem pustka, wolne czarne dziury. Jak miałam się dowiedzieć, czy będę dobrym rodzicem, jeśli wezmę pod uwagę wybory dokonane przez moich rodziców?

Masz wszystko, czego potrzebujesz, powiedziała mi. Ale nie mogłam dostrzec, co miała na

myśli. Analizowałam swoje życie i widziałam tylko to, czego w nim brakowało — ojca, chłopaka, żadnej obietnicy zdrowia i otuchy dla mojej córki. Wszystko, czego potrzebuję, pomyślałam ponuro i zamknęłam oczy, licząc znowu na sen o moim łóżku i o wodzie.

Kiedy drzwi otwarły się znowu, jakąś godzinę później, nawet nie spojrzałam.

— Powiedz to Tani — powiedziałam z zamkniętymi wciąż oczami. — Bo ja tego nie chcę słuchać.

— Cóż, zrobiłbym to, — odezwał się znajomy, głęboki głos — ale nie sądzę, by miała jakąś korzyść z mojej uprzejmej... a tak w ogóle, to nie byliśmy sobie tak naprawdę przedstawieni.

Podniosłam wzrok. Stał tam Dr K., z białym pudłem z ciastkami w jednej ręce i czarną, wełnianą torbą typu worek w drugiej. Ta torba zdawała się ruszać.

— Przyjechałem tak szybko, jak tylko się dowiedziałem — zaczął, sadowiac się na krzesło, które nie tak dawno zajmowała moja mama, kładąc pudło na stolyczku, a torbę na swoich kolanach. — Jak się czujesz?

— W porządku — odparłam. Spojrzał na mnie bacznie. — No dobrze, tak w zasadzie to ohydnie.

— Mogę w to uwierzyć, po tym, co przeszłaś. Jak się ma...

— Joy — podsunęłam. Używając jej imienia czułam się dziwnie... jakoś tak arogancko, jakbym testowała przeznaczenie, wymawiając je głośno. — Jest malutka, a jej płucka są lekko nierozwinięte i oddycha przez respirator... — przerwałam i wytarłam ręką oczy. — Ponadto, wycięto mi macicę i płaczę chyba przez cały czas.

Odchrząknął.

— Czy to było zbyt wiele informacji? — zapytałam przez łzy.

Potrząsnął głową. — Bynajmniej — odparł. — Możesz mi mówić, cokolwiek tylko zechcesz.

Czarny worek prawie wyskoczył z jego kolan. Wyglądało to tak zabawnie, że prawie się uśmiechnęłam, ale poczułam się tak, jakby moja twarz zapomniała, jak to się robi. — Czy w twojej torbie jest perpetuum mobile, czy po prostu tak się cieszysz, że mnie widzisz?

Dr K. rzucił krótkie spojrzenie przez ramię na zamknięte drzwi. Potem pochylił się bliżej do mnie. — Był pewien stopień ryzyka, — wyszeptał — ale pomyślałem...

Przeniósł torbę na łóżko i otworzył zamek błyskawiczny. Ujrzałam rozpychający się nos Nifkina, za nim koniuszki jego zbyt wielkich uszu i krótko potem jego całe ciało.

— Nifkin! — wykrzyknęłam, a Nifkin rzucił się na moje piersi i zaczął robić całej mojej twarzy kąpiel językową. Dr K. przytrzymał go, odsuwając od różnych rurek i innych przyrządów do mnie poprzyczepianych, a Nifkin mnie dalej zlizywał. — Jak ty... gdzie on był?

— Z twoją przyjaciółką Samantą — wytłumaczył. — Jest na zewnątrz.

— Dziękuję — powiedziałam, wiedząc, że słowa nie mogły wyrazić radości, jaką mi sprawił.

— Tak ci dziękuję.

— Nie ma sprawy — odparł lekko lekarz. — Tutaj... zobacz. Ćwiczyliśmy. — Podniósł Nifkina i postawił na podłodze. — Możesz spojrzeć?

Uniosłam się na łokciach i przytaknęłam głową.

— Nifkin... SIAD — oznajmił Dr K., głosem w każdym calu tak głębokim i autorytatywnym, jak James Earl Jones mówiący światu, że to... jest CNN. Pupa Nifkina uderzyła o linoleum w zadziwiającym tempie, a jego ogon machał trzykrotnie szybciej. — Nifkin... LEŻEĆ! — I Nifkin położył się płasko na brzuchu, spoglądając na Dr K. iskrzącymi się oczami, a jego różowy język zwijał się, gdy dyszał. — A teraz, w ostatnim akcie... PIES NIEŻYWY! — I Nifkin przewrócił się na jeden bok, jakby go zastrzelono.

— Niewiarygodne — przyznałam. Tak naprawdę było.

— Szybko się uczy — pochwalił Dr K, ładując zwiniętego teraz teriera z powrotem do torby. Pochylił się znowu nade mną. — Zdrowiej, Cannie — powiedział i położył jedną rękę na mojej.

Następnie wyszedł i weszła Samanta, spiesząc do mojego łóżka. Była w kompletnym stroju prawnika — eleganckie czarne ubranie, buty na wysokich obcasach, skórzana aktówka w kolorze karmelu w jednej ręce, a okulary przeciwsłoneczne i kluczyki od samochodu w drugiej. — Cannie — zaczęła — przyszłam...

— ...jak tylko się dowiedziałas — dokończyłam i zmrużyłam oczy patrząc na ściany, szukając kalendarza. — Którego dzisiaj jest? Jak długo tu jestem?

— Piętnasty maja, więc...

— ...trzy dni.

— Jak się czujesz? — zapytała Sam. — Jak dzidzius?

— Ja się czuję dobrze, a dziecko... cóż, ona jest na OIOM-ie. Muszą poczekać i ją obserwować.

Samanta westchnęła. Zamknęłam oczy. Nagle poczułam się zupełnie wyczerpana. I głodna.

Usiadłam, wtykając drugą poduszkę pod plecy. — Hej, która jest godzina? Kiedy jest obiad? Nie masz tak przypadkiem banana albo czegoś podobnego w swojej torbie?

Samanta wstała, wdzięczna za to, jak pomyślałam, że ma coś do roboty. — Pójdę i sprawdzę... hej, a co to jest?

Wskazała na pudełko z ciastkami, które zostawił Dr K.

— Nie wiem — odparłam. — To Dr K. przyniósł. Zobaczmy.

Zerwała tasiemkę i otworzyła pudło, a tam, w środku, był ptyś zesklepu Pink Rose Pastry, kawałek czekoladowo-chlebowego puddingu, ciasteczko, wciąż zapakowane w papier z nadrukiem firmowym Le Bus i kobiałka świeżych malin.

— Niewiarygodne — wymamrotałam.

— Przepyszne! — przyznała Samanta. — Skąd wiedział, co lubisz?

— Powiedziałaś mu — odparłam, poruszona tym, że pamiętał. — Na zajęciach z otyłości musiałyśmy zapisać, jakie są nasze ulubione potrawy. — Sam ukroiła mi kawałek ptysia, ale smakował jak kurz i kamienie w moich ustach. Przełknęłam, by być uprzejmą, popiłam wodą, a potem powiedziałam jej, że jestem zmęczona i chcę spać.

Zostałam w szpitalu kolejny tydzień, zdrowiejąc, podczas gdy Joy rosła i nabierała sił.

Maxi pokazywała się każdego ranka, przez tydzień, siadała obok mnie i czytała mi z magazynów *People*, *In Style* i *Entertainment Weekly*, upiększając każdą opowieść anegdotami z własnego magazynu pamięci. Mama i siostra były ze mną w ciągu dnia, prowadząc rozmowy, starając się nie przeciągać przerw, które się pojawiały w chwili, gdy normalnie powiedziałabym coś przemyślano. Samanta przychodziła wieczorami, po pracy i zabawiała mnie plotkami z Filadelfii, o byłych gwiazdach, teraz antykwarycznych, z którymi Gabby przeprowadzała wywiady, i opowieściami o tym, jak Nifkin zatrzymywał się w połowie spaceru i rozlokowywał naprzeciw budynku z moim mieszkaniem, odmawiając pójścia dalej. Andy przyszedł ze swoją żoną i pudełkiem słynnych ciasteczek czekoladowych Famous Forth Street oraz ozdobną kartką, którą podpisali wszyscy w pokoju redakcyjnym. „Wracaj szybko do zdrowia”, mówił napis. Nie uważałam, by tak się mogło stać, ale nie powiedziałam mu tego.

— Martwią się o ciebie — wyszeptła Lucy, gdy mama była na korytarzu, rozmawiając o czymś z pielęgniarkami.

Popatrzałam na nią i wzruszyłam ramionami.

— Chcą, żebyś porozmawiała z psychiatrą.

Nic nie powiedziałam. Lucy wyglądała bardzo poważnie. — To jest Dr Melburne — mówiła. — Miałam z nią trochę do czynienia. Ona jest okropna. Lepiej się rozchmurz i zacznij więcej rozmawiać, albo ona zacznie cię wypytywać o twoje dzieciństwo.

— Cannie nie musi mówić, jeśli nie chce — oznajmiła mama, nalewając do kubka piwa imbirowego, którego nikt nie chciał pić. Poprawiła kwiaty, uklepała poduszki po raz czternasty, usiadła, znowu wstała, szukając jeszcze czegoś do zrobienia. — Cannie może po prostu odpoczywać.

Trzy dni później Joy zdołała zrobić pierwsze wdechy bez respiratora.

To jeszcze nie oznacza końca problemów, ostrzegł mnie lekarz. Musimy poczekać i obserwować. Może być wszystko dobrze, ale może też się pogorszyć, prawdopodobnie jednak ona będzie czuć się dobrze.

I pozwolili mi wreszcie potrzymać jej 2,1-kilogramowe ciało i ukołysać ją blisko. Dotykałam opuszkami palców jej delikatne rączki, każdy paznokieć, niemożliwie mały i doskonały. Złapała mocno mój palec swoimi maleńkimi drobinami. Mogłam wyczuć kości, krążenie krwi pod jej

skórą. *Trzymaj się*, pomyślałam do niej. *Nie poddawaj się, malutka. Świat jest brutalny, ale są na nim też dobre rzeczy. I ja cię kocham. Twoja mama cię kocha, maleńka Joy.*

Siedziałam z nią przez kilka godzin, aż kazali mi iść z powrotem do łóżka. Zanim jednak wyszłam, wypełniłam jej świadectwo urodzenia wyraźnym i stanowczym pismem. Joy Leah Shapiro. Leah było od Leonarda, drugiego imienia ojca Bruce'a. Leah, druga siostra, ta, której Jakub nie chciał poślubić. Leah, podstępna panna młoda, ta, którą ojciec odesłał do nawy w przebraniu.

Założę się, że Leah tak czy tak miała bardziej interesujące życie, wyszeptalam do mojego dziecka, trzymając ją za rękę, siedząc w fotelu inwalidzkim, podczas gdy ona leżała z powrotem w szklanym pudle, które z trudem powstrzymywałam się, by nie nazwać trumną. Założę się, że Leah jeździła z przyjaciółkami na wycieczki autostopem i jadła popcorn z Margeritą na kolację, jeśli tak właśnie chciała. Założę się, że pływała nago i sypiała pod gwiazdami. Rachel pewnie kupowała płyty CD Celine Dion i talerze z kolekcji Franklina Minta. Prawdopodobnie była nudna, nawet dla siebie samej. Nigdy nie ruszyła na przygodę, nawet nie podjęła takiej próby. Ale ty i ja, maleńka... my będziemy wyruszać na wyprawy. Nauczę cię pływać i żeglować, rozpalać ognisko... wszystkiego, czego nauczyła mnie moja mama i wszystkiego innego, czego sama się nauczyłam. Tylko wydostań się stąd, pomyślałam tak mocno, jak tylko potrafiłam. Chodź do domu, Joy, a obie będziemy czuć się świetnie.

Dwa dni później moje życzenie częściowo się spełniło. Wysłali do domu mnie, ale postanowili jeszcze zatrzymać Joy. — Tylko na kilka kolejnych tygodni — powiedział lekarz tonem, który pewnie uważał za uspokajający. — Chcemy się upewnić, że jej płucka są dojrzałe... i że nabrała wystarczającej wagi.

Wybuchnęłam gorzkim śmiechem na dźwięk tych ostatnich słów. — Jeśli odziedziczyła to po matce, — oznajmiłam — nie powinno to stanowić problemu. Po mistrzowsku przybierze na wadze.

Lekarz klepnął mnie po ramieniu w sposób, który bez wątpienia był według niego kojący. — Nie martw się — powiedział. — Wszystko będzie dobrze.

Wyszłam ze szpitala powłócząc nogami, mrużąc oczy w ciepłych promieniach majowego słońca i wsiałam do samochodu mamy, nie odzywając się w ogóle przez całą drogę do domu. Oglądałam liście, świeżą, zieloną trawę, dziewczynki ze szkoły Świętego Piotra w gładkich, sztywnych sukienkach w szkocką kratę. Oglądałam, ale nie widziałam. Dla mnie cały świat wyglądał szaro i czułam się tak, jakby wewnątrz mnie nie było miejsca na nic, prócz wściekłości i strachu.

Mama i Lucy wyładowały moje torby z bagażnika i zaprowadziły mnie do mojego domu. Lucy niosła bagaże. Mama szła powoli za mną, a obrażona Tania za nami. Mięśnie moich nóg trzęsły się jak galareta, za mało były ostatnio używane. Bolały mnie szwy, a kostka swędziała pod gipsem. Okazało się, że jedynie ją skręciłam, kiedy upadałam, ale nikt nie pomyślał, by zer-

knąć na moje nogi. Zajęli się tym dopiero kilka dni później, więc stopa pozostała skręcona, a ścięgna zerwane, co oznaczało gips na sześć tygodni: mało istotne, w porównaniu do wszystkiego innego, z czym miałam teraz do czynienia.

Przed drzwiami mojego mieszkania musiałam przeszukać torebkę. Portfel, paczka gum do żucia w połowie opróżniona, pomadka i pudełko zapalek ze Star Baru wyglądały jak relikty z innego życia. Grzebałam dalej w poszukiwaniu moich kluczy, kiedy Lucy włożyła swój klucz w drzwi mieszkania na parterze.

— Ja tu nie mieszkam — powiedziałam.

— Teraz tu mieszkasz — podkreśliła Lucy. Uśmiechała się do mnie, rozpromieniona. Mama i Tania też.

Przeszłam przez próg, powłócząc nogą w gipsie, walącym o drewnianą podłogę, i weszłam do środka, mrugając oczami.

Mieszkanie — bliźniacze do mojego na drugim piętrze, całe w ciemnym drewnie i z urządzeniami gdzieś z lat siedemdziesiątych — zostało przeobrażone.

Światło słoneczne wbijało się promieniami przez okna, których wcześniej tu nie było, połyskując na nowych, wypolerowanych, klonowych podłogach, które nie były ani nowe, ani wypolerowane, ani klonowe, gdy ostatnim razem oglądałam to miejsce.

Weszłam powoli do kuchni, poruszając się, jakbym była pod wodą. Nowe, sosnowe szafki, pomalowane na kolor koniczynowego miodu. W pokoju dziennym były nowa kanapa i nowa sofa, obie pękate i wygodne, obłożone tapicerką w kolorze maślanej żółci — ładne, ale śmiałe, pamiętam, jak mówiłam do Maxi, gdy pokazywałam rzeczy, które mi się bardzo podobały w ostatnim numerze *Martha Stewart Living* pewnego leniwego popołudnia. Podłogę przykrywał piękny, tkany dywanik w granatowy, ciemnoniebieski i złoty wzór. W rogu stał telewizor z płaskim ekranem i zupełnie nowa wieża stereo, a na półkach leżały sterty nowych książek o dzieciach.

Lucy praktycznie tańczyła, nie posiadając się z radości. — Czy możesz w to uwierzyć, Cannie? Czyż to nie jest zdumiewające?

— Nie wiem, co powiedzieć — odparłam, przechodząc do korytarza. Łazienka była nie do poznania. Pastelowa tapeta z czasów administracji Cartera, marność okropnego, ciemnego drewna, tanie wyroby z nierdzewnej stali i popękana muszla klozetowa — wszystko to zniknęło. Zamiast tego białe kafelki, ze złotymi i granatowymi akcentami. Wanna miała system hydromasażu, z dwoma główkami do prysznica, na wypadek pewnie gdybym chciała się kąpać z partnerem. Były tam też nowe szafki z przeszklonymi drzwiczkami, świeże lilie w wazonie, a na zupełnie nowej półce ułożono całą obfitość najgrubszych, jakich kiedykolwiek dotykałam, ręczników. Na kontuarze stała mała, biała wanienska dla niemowlaków, z całym zestawem zabawek do kąpieli, małych gąbeczek o kształtach różnych zwierzątek i rodziną gumowych kaczek,

— Zaczekaj, aż zobaczysz pokoik dziecięcy! — piszczała z radości Lucy.

Ściany pomalowane były na kolor żółty Stoiska z Lemoniadą, dokładnie tak, jak zrobiłam to na górze, i rozpoznałam łóżeczko, które poskładał Dr K. Ale reszta mebli była nowa. Zobaczyłam ozdobny stolik do przewijania, komódkę, białe, drewniane krzesło na kółkach. — Antyki — dyszała Tania, przesuwając grubym palcem po zakończonych łukiem brzegach wybielonego drewna, zabarwionego lekko na różowo. Na ścianach wisiały obramowane obrazki — syrenka pływająca w oceanie, żaglówka, słonie maszerujące w parach. A w rogu było coś, co wyglądało na najmniejszy sklep sieci Toys „R” Us. Była tam każda zabawka, jaką kiedyś widziałam, plus kilka takich, których nie widziałam. Komplet klocków. Grzechotki. Piłeczki. Zabawki, które mówiły albo szczeptały, albo płakały, kiedy się je ścisnęło lub pociągało za sznurki. Dokładnie ten sam koń na biegunach, którego podziwiałam w sklepie w Santa Monica dwa miesiące temu. Wszystko.

Zatopiłam się powoli w żółtej, drelichowej sofie, pod zwisającą karuzelą z delikatnymi gwiazdkami, chmurkami i księżycowymi różkami, obok metrowego misia Paddington.

— Jest coś jeszcze — powiedziała Lucy.

— Nie uwierzysz w to — dodała mama.

Przeszłam do sypialni. Moja zwykła metalowa rama łóżka została zastąpiona cudownym łóżem z kutego żelaza, z baldachimem. Moje różowe prześcieradła zamieniono na coś wspaniałego — szerokie pasy biało-złote w maleńkie, różowe kwiatuszki.

— To jest bawełna o numerze przędzy dwieście — wychwalała Lucy, odfajkując moje nowe prześcieradła, wskazując na kapę, ręcznie tkany dywan na podłodze (żółty, z różowymi różkami na obwódce), otwierając alkowę, by pokazać jeszcze więcej różowo-białych, antycznych mebli — komodę z dziewięcioma szufladami, stoliczek nocny, na którym stał niebiesko-rudy słój ze wspaniałym bukietem żonkili.

— Odsłoń żaluzje — powiedziała Lucy.

Tak zrobiłam. Za oknem sypialni rozciągał się nowy balkon. Był na nim wielki, gliniany dzban geranium i petunii, obok ławki i stolik, a w rogu gazowy grill wielkości Volkswagena Garbusa.

Usiadłam — wstrząśnięta — na łóżku. Na poduszce była maleńka kartka, taka, jaką dostaje się zazwyczaj z bukietem kwiatów. Otwarłam ją, pomagając sobie kciukiem.

„Witaj w domu” — napisane było na jednej stronie. „Od twoich przyjaciół”, brzmiał tekst na drugiej.

Mama, Lucy i Tania stały w rzędzie, patrząc na mnie, czekając, aż wypowiem jakieś słowa uznania.

— Kto... — zaczęłam. — Jak...

— Twoi przyjaciele — powiedziała Lucy niecierpliwie.

— Maxi?

Wszystkie trzy wymieniły pomiędzy sobą ukradkowe spojrzenia.

— No, słuchajcie. Przecież nie mam innych przyjaciół, którzy mogliby sobie na to pozwolić.

— Nie potrafiłyśmy jej powstrzymać! — przyznała Lucy.

— Naprawdę, Cannie, to prawda — potwierdziła mama. — Nie przyjmowała „nie” jako odpowiedzi. Ona zna tych wszystkich wykonawców... wynajęła dekoratora, by znalazł te *rzeczy*... ludzie pracowali tu na okrągło...

— Moim sąsiadom musiało się to podobać — rzuciłam.

— A tobie się podoba? — zapytała Lucy.

— To jest... — Uniosłam ręce, a potem pozwoliłam im opaść. Serce biło mi zbyt szybko, wypychając ból w każdą obolałą część mojego ciała. Pomyślałam o słowie, którego potrzebowałam. — To jest zdumiewające — powiedziałam w końcu.

— Więc, co chcesz teraz robić? — spytała Lucy. — Mogłybyśmy pójść na kolację do Dimitriego...

— W Ritzu dają dokument o lesbijkach — zaproponowała chrapliwie Tania.

— Na zakupy? — rzuciła propozycję mama. — Może chcesz nakupić artykułów spożywczych, póki tu jesteśmy i możemy ci pomóc je nosić?

Wstałam. — Myślę, że chciałabym pójść na spacer — powiedziałam. Mama, Lucy i Tania spojrzały na mnie z ciekawością.

— Spacer? — powtórzyła mama.

— Cannie, twoja stopa wciąż jest w gipsie — wskazała na nią moja siostra.

— Przecież to jest wersja do chodzenia, czyż nie? — warknęłam.

— A mam ochotę na chodzenie.

Chciałam unosić się radością. Chciałam się czuć szczęśliwa. Byłam otoczona ludźmi, których kochałam; miałam piękne miejsce do życia. Ale czułam, jakbym oglądała moje nowe mieszkanie odbite w brudnym zwierciadle, jakbym dotykała gładką bawełnę i miękkie dywany w grubych, gumowych rękawiczkach. To z powodu Joy — z braku Joy. Nic z tego nie będę odbierała właściwie, aż moje dziecko nie będzie w domu, pomyślałam, i nagle zrobiłam się tak zła, że moje ramiona i nogi aż osłabły od tej wściekłości, a moje pięści i stopy swędziały od pragnienia, by bić i kopać. Bruce’a, pomyślałam, Bruce’a i tę cholerną, pieprzoną Popychaczkę. To powinien być mój triumf, do licha, tyle, że jak ja mogę być szczęśliwa mając dziecko wciąż w szpitalu, a Bruce i ta nowa byli sprawcami tego, że ona tam się znalazła?

— Świetnie — powiedziała mama zatrwożonym tonem. — Więc idziemy na spacer.

— Nie — zaprotestowałam. — Sama. Chcę teraz być sama.

Wszystkie wyglądały na zakłopotane, nawet zaniepokojone, gdy wynosiły się z pokoju.

— Zadzwoń do mnie — rzuciła mama. — Daj mi znać, gdy będziesz już gotowa mieć tu z

powrotem Nifkina.

— Zadzwoń — skłamałam. Chciałam, by już stąd wyszły, z mojego domu, moich włosów, mojego życia. Czułam, jakbym się paliła, jakbym miała się przemieścić albo eksplodować. Patrzyłam przez okno, aż wszystkie wbiły się do samochodu i odjechały. Potem nałożyłam biustonosz do joggingu, wyświechtany T-shirt, szorty, jedną tenisówkę i wyszłam z domu, na rozgrzane chodniki, zdeterminowana, by nie myśleć o ojcu, ani o Bruce'ie, o dziecku, o czymkolwiek. Chciałam po prostu się ruszyć. I wtedy, może, będę mogła znowu zasnąć.

Maj zmienił się w czerwiec, a wszystkie moje dni skupiały się wokół Joy. Chodziłam do szpitala każdego dnia z samego rana, idąc trzy kilometry do Dziecięcego Szpitala w Filadelfii przy wschodzącym słońcu. Ubrana w fartuch, maseczkę ochronną i rękawiczki siedziałam przy niej na sterylnym krześle obrotowym na dziecięcym OIOM-ie, trzymając jej maleńką rączkę, muskając opuszkami palców jej usteczka, śpiewając piosenki, do których tańczyłyśmy przed miesiącami. To były chwile, w których nie czułam zjadającej mnie wściekłości; jedyne chwile, gdy mogłam oddychać.

A kiedy czułam, że nadchodzi złość, gdy czułam, że coś mnie zaczyna ścisnąć w klatce piersiowej i ręce mają ochotę kogoś uderzyć, wychodziłam. Wracałam do domu, by przemierzać podłogi i pompować płuca, by czyścić i drapać podłogi i szafki, które pucowałam i skrobałam poprzedniego dnia. Robiłam długie, wściekle spacerować po mieście, z kostką w coraz bardziej wyświechtanym i brudnym gipsie do chodzenia, przechodząc na żółtych światłach i rzucając złowieszcze spojrzenia na każdy samochód, który odważył się posunąć o cal w kierunku skrzyżowania.

Przyzwyczyłam się do tego maleńkiego głosu, który odzywał się w mojej głowie, tego z lotniska, tego, który uniósł się pod sufit i obserwował moją furię na Bruce'a, ubolewając cicho nad faktem, że to nie był on. Przyzwyczyłam się do głosu pytającego: *Dlaczego?* każdego ranka, gdy zawiązywałam sznurówki i wciągałam przez głowę serię nieokreślonych koszulek... i pytającego: *Dlaczego?* każdego wieczoru, gdy odsłuchiwałam nagrane na automatycznej sekretarce wiadomości — dziesięć, piętnaście wiadomości od mojej mamy, siostry, Maxi, Petera Krushelewskiego, od wszystkich moich przyjaciół — i kasowałam je bez odzwania, aż któregoś dnia zaczęłam kasować od razu, bez odsłuchiwania. *Jesteś zbyt smutna*, mamrotał głos, gdy szłam ciężkim krokiem po Walnut Street. *Powoli, nie denerwuj się*, mówił głos, gdy na śniadanie łykałam, parząc usta, czarną kawę, filiżanka po filiżance. *Porozmawiaj z kimś*, doradzał głos. *Pozwól im sobie pomóc*. Ignorowałam to. Kto mógłby mi teraz pomóc? Co mi pozostało, poza tymi ulicami i szpitalem, moim cichym mieszkaniem i pustym łóżkiem?

Ustawiłam sekretarkę automatyczną, by odbierała wszystkie telefony. Zostawiłam informację na poczcie, że wyjeżdżam na jakiś czas z miasta i poprosiłam o przetrzymanie całej korespon-

dencji. Pozwoliłam komputerowi obrosnąć kurzem. Przestałam sprawdzać e-maile. A podczas jednego ze spacerów wrzuciłam do rzeki Delaware mój pager i telefon komórkowy, nie zwalniając nawet kroku. Gips mogłam wreszcie zrzucić i zaczęłam chodzić na jeszcze dłuższe spacery — czterogodzinne, sześciogodzinne, wałęsając się w kółko po najgorszych dzielnicach miasta, mijając dealerów narkotyków, żeńskie i męskie dziwki w pełnym wyborze, zdechłe gołębie w rynsztokach, spalone szkielety aut, ale nic z tego nie widząc i niczego się nie obawiając. Jak cokolwiek z tego mogło mi zrobić krzywdę, po tym, co już utraciłam? Kiedy wpadłam na Samantę na ulicy, powiedziałam jej, że jestem zbyt zajęta, by rozmawiać, przestępując z nogi na nogę, z oczami błędzącymi po horyzoncie tak, bym nie musiała oglądać jej zmartwionej twarzy. Wytłumaczyłam jej, że przygotowuję wszystko, by wkrótce znowu zacząć funkcjonować. Że niedługo dzidzius będzie już w domu.

— Mogę ją zobaczyć? — zapytała Sam.

Od razu potrząsnęłam przecząco głową. — Nie jestem jeszcze gotowa... to znaczy, ona nie jest gotowa.

— Co masz na myśli, Cannie? — spytała.

— Jest medycznie delikatna — wypróbowałam głośno określenie, które tyle razy słyszałam na dziecięcym oddziale intensywnej terapii.

— Więc stanę na zewnątrz i popatrzę na nią przez szybę — powiedziała Sam, wyglądając na zdumioną. — A potem pójdziemy na śniadanie. Pamiętasz śniadania? To były nasze ulubione posiłki.

— Muszę iść — rzuciłam szorstko, próbując prześlizgnąć się obok niej. Samanta nawet się nie poruszyła.

— Cannie, co się z tobą naprawdę dzieje?

— Nic — odparłam, przechodząc obok niej, moje stopy nabierały już swojego tempa, a oczy utkwione były daleko w przestrzeń. — Nic, nic, wszystko jest w porządku.

Rozdział XIX

Chodziłam i chodziłam, i było to tak, jakby Bóg wyposażył mnie w jakieś specjalne okulary, bo widziałam tylko złe rzeczy, smutne rzeczy, ból i niedolę życia w mieście, śmieci wepchnięte w kąty zamiast kwiatków w doniczkach na oknach. Widziałam małżonków walczących ze sobą, a nie całujących się czy trzymających się za ręce. Widziałam dzieciaki pędzące po ulicach na skradzionych rowerach, krzyczące obelgi i przekleństwa, i dorosłych mężczyzn, którzy robili wrażenie, jakby delektowali się swoimi plwocinami, łypiąc na kobiety bezwstydnym, lubieżnym wzrokiem. Czułam w powietrzu letni smrodek miasta: końskich szczyń, gorącej smoły i szarych, cuchnących spalin wydalanych kłębami z autobusów. Spod włazów studzienek wyciekała para, a chodniki buchały gorącym dochodzącym z kipiącego poniżej metra.

Gdziekolwiek nie spojrzalam, widziałam pustkę, samotność, budynki z powybijanymi szybami, narkomanów powłóczących nogami, z wyciągniętymi rękami i wymarłymi oczami, smutek, brud i zepsucie.

Sądziłam, że czas mnie uzdrowi, a przemierzone kilometry ukoją ból. Czekałam na poranek, w który obudzę się i nie zobaczę od razu Bruce'a i Popychaczki umierających w okropnych mężczyznach... albo, jeszcze gorzej, utraty mojego dziecka, mojej Joy.

Chodziłam do szpitala o świcie, czasem wcześniej, i robiłam okrążenia po parkingu, aż nie poczułam się uspokojona na tyle, by móc wejść do środka. Siedziałam w kawiarni, pijąc wodę kubek za kubkiem, usiłując się uśmiechać i wyglądać normalnie, ale wewnątrz moja głowa snuła wściekłe fantazje, myśląc: noże? broń? wypadek samochodowy? Wykrzywiałam twarz w uśmiechu i mówiłam *dzień dobry*, ale, tak naprawdę, w głowie obmyślałam zemstę.

Wyobraziłam sobie, żeby zadzwonić na uniwersytet, gdzie Bruce uczył angielskiego pierwszorzeczniaków, i powiedzieć im, że przeszedł test narkotykowy jedynie dzięki temu, że wypił kilka litrów ciepłej wody, a był naszpikowany haszyszem najlepszej jakości, który kupił przez darmowy telefon z ostatnich stron *High Timesa*. Szczęście Uryny, tak się to nazywało. Mogłabym im powiedzieć, że przychodził do pracy naćpany — że tak zwykł robić i pewnie dalej tak robi, i dostrzegą to, jeśli zaczną mu się uważnie przyglądać. Mogłabym zadzwonić do jego matki, do policji w jego mieście, by go zaarrestowali i zabrali stamtąd.

Wyobraziłam sobie, że piszę do *Moxie*, załączając zdjęcie Joy w inkubatorze, co prawda większej już i silniejszej, ale wciąż wyglądającej rozczulająco, podłączonej do tych wszystkich rurek, oddychającej przez respirator, z kto wie jakimi jeszcze horrorami przyniesionymi przez przyszłość — porażeniem mózgowym, niezdolnością do uczenia się, ślepotą, głuchotą, opóźnieniem w rozwoju, takim zestawem nieszczęść, o których lekarze nawet nie wspominali. Szukałam informacji o tym w internecie, na takich stronach, jak *preemie.com*, czytając opowieści rodziców,

których dzieci przeżyły, okropnie zniekształcone; które przybyły do domu z monitoringiem tlenu czy bezdechu we śnie, albo z dziurkami w gardłach, by mogły oddychać. Czytałam o dzieciach, które dorastały z zaburzeniami padaczkowymi, niezdolnością do uczenia się, które nigdy nie nadszały, nigdy tak naprawdę nie zachowywały się prawidłowo, i czytałam historie dzieci, które zmarły: podczas narodzin, w inkubatorze, w domu. „Nasz Drogocenny Aniołek”, „Nasza Kochana Córeczka”, brzmiały ich tytuły.

Chciałam skopiować te historie i wysłać e-mailem do Popychaczki, razem z fotografią Joy. Chciałam wysłać jej zdjęcie mojej córki — żadnego listu, bez słów, tylko zdjęcie Joy wysłać do jej domu, do jej szkoły, do jej szefa, do jej rodziców, jeśli tylko umiałabym ich znaleźć, by im wszystkim pokazać, co narobiła, za co jest odpowiedzialna. Złapałam się na planowaniu spacerów tak, by przechodzić obok sklepów z bronią. Złapałam się na wpatrywaniu w ich witryny. Jeszcze nie weszłam do środka, ale wiedziałam, że to wkrótce nastąpi. A wtedy co?

Nie pozwalałam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Nie pozwalałam sobie sięgać myślą poza ten obraz, który tak pielęgnowałam: twarz Bruce’a, kiedy otworzy drzwi i zobaczy mnie, stojącą z rewolwerem w ręku; jego twarz, gdy powiem: „Ja ci pokażę przepraszam”.

I wtedy, któregoś ranka, płonąć wewnątrz, przechodziłam obok kiosku z gazetami i zobaczyłam najnowszy numer *Moxie*, wydanie sierpniowe, chociaż wciąż jeszcze był lipiec, i to tak gorący, że powietrze migotało, a ulice robiły się w słońcu lepkie. Wyrwałam egzemplarz ze stojaka.

— Panienko, zamierza pani płacić za to?

— Nie — warknęłam. — Zamierzam cię okraść. — Rzuciłam dwa dolary i drobne na ladę, po czym zaczęłam wertować z wściekłością strony, zastanawiając się, jaki będzie tytuł. „Moja Córka Rośliną”? „Jak Naprawdę Spieprzyć Życie Swojej Byłej”?

Zamiast tego ujrzałam pojedyncze słowo, wielkie, czarne litery, prawdziwa niestosowność dla typowego, lekkiego literactwa w pastelowych kolorach. „Komplikacje”, głosił tytuł.

„W ciąży”, mówi list, i więcej nie potrafię przeczytać. To tak, jakby każde słowo mnie uderzało i pozostawiało sparaliżowanym, gdyby nie lodowate mrowienie na karku, początek przerażenia.

„Nie znam łatwego sposobu, by to powiedzieć”, napisała, „więc powiem to wprost. Jestem w ciąży.”

Pamiętam, jak szesnaście lat temu stałem na bimie w synagodze w Short Hills, spoglądając na tłum przyjaciół i krewnych, wypowiadając te uświęcone zwyczajem słowa: „Dziś jestem mężczyzną”. Teraz, czując nagły lód aż do żołądka, czując, jak moje dłonie zaczynają się pocić, znam prawdę: Dzisiaj jestem mężczyzną. Tym razem naprawdę.

— Niezupełnie — powiedziałam, na tyle głośno, że bezdomni pomykający obok na chodniku zatrzymali się, wpatrując we mnie. Chyba nie. Mężczyzna. Mężczyzna by do mnie zadzwonił. A przynajmniej wysłał kartkę! Wróciłam do artykułu.

Ale ja nie jestem mężczyzną. Jak się okazało, jestem tchórzem. Wetknąłem list do notesu, wrzuciłem notes do szuflady, szufladę zamknąłem na klucz, a klucz, przypadkowo celowo, zapodziałem.

Mówią — oni, ci wielcy filozofowie, albo może obsada *Seinfelda* — że zerwać z kimś to tak, jak przewrócić automat do Coca-coli. Nie możesz tego tak po prostu zrobić, musisz wprawić rzecz w ruch i kołysać do przodu i do tyłu, kilka razy. Dla C. i dla mnie to nie było tak. Było to czyste, szybkie zerwanie — jak trzask pioruna. Intensywne, okropne i skończone w kilka sekund.

Kłamca, pomyślałam. Och, ty kłamco. To nie był trzask pioruna, to nie było nawet zerwanie, ja ci tylko powiedziałam, że potrzebuję trochę czasu!

Wtedy, mniej niż trzy miesiące później, zmarł mój ojciec. Chodziłem tam i z powrotem z telefonem w ręku, z jej numerem wciąż pierwszym na szybkim wybieraniu. Zadzwoić do niej? Nie dzwonić do niej? Czy była moją ex-, czy moją przyjaciółką?

W końcu postawiłem na jej *przyjaźń*. I potem, kiedy załobnicy przebierali w zakąskach serwowanych przez moją mamę w kuchni, postawiłem na więcej.

I teraz, trzy miesiące potem, wciąż oplakuję śmierć mojego ojca, ale czuję, jakbym już opłakał C, prawdziwie i całkowicie. Wiem teraz, co to jest autentyczny smutek. Potrafię go badać każdej nocy, jak dziecko, które straciło ząb i nie umie przestać dotykać językiem rozpulchnionego, zranionego i pustego miejsca po zębie.

Z wyjątkiem tego, że ona jest w ciąży.

A ja nie wiem, czy to upiększyła, by mnie nabrać albo złapać w pułapkę, nie wiem nawet, czy jestem ojcem, czy ona w ogóle jest w ciąży.

— Och, to niewiarygodne! — oznajmiłam głośno do całej Broad Street. — To jest kurwa niewiarygodne!

Rzecz w tym, że jestem zbyt wielkim tchórzem, by spytać.

To jest twój wybór, wyobrażam sobie, że mówię do niej. Twój telefon, twoja gra, twój ruch. Udaje mi się uciszyć tę część mnie, która się zastanawia, która chce wiedzieć, co ona wybrała: czy udała się do kliniki przy Locust Street i przemaszerowała obok protestujących, trzymających zdjęcia zakrwawionych, zmarłych płodów; czy zrobiła to w gabinecie lekarskim, dokąd poszła z

przyjaciółką czy nowym kochankiem, czy też sama. Albo maszeruje teraz po swoim mieście z brzuchem wielkim jak piłka plażowa i książkami pełnymi imion dla dzieci.

Nie pytam ani nie dzwonię. Nie wysyłam czeku ani listu, ani nawet kartki. Jestem załatwiony, pusty, wysuszony i wypłakany. Nic nie zostało dla niej czy dla dziecka, jeśli takowe istnieje.

Kiedy pozwalam sobie tak myśleć, wściekam się na siebie (jak mogłem być tak głupi?) i wściekły na nią (jak mogła mnie zostawić?). Ale staram się nie pozwalać sobie na zbyt długie myślenie o tym. Budzę się, ćwiczę, idę do biura, udaję, że coś robię, staram się trzymać koniuszek języka z dala od tej dziury w moim uśmiechu. Ale głęboko w środku wiem, że mogę to jedynie odłożyć na później, że nawet moje tchórzostwo nie może odzębnić od siebie nieuniknionego. Gdzieś w moim biurku, wetknięty w notes, leży list adresowany do mnie.

— Spóźniłaś się! — zbesztala mnie siostra oddziałowa i zaraz uśmiechnęła się, by mi pokazać, że nie miała tego na myśli. Trzymałam *Moxie* zwinięte w rulon, jakbym chciała kogoś nim uderzyć.

— Masz — powiedziałam, przekazując go jej.

Ledwo rzuciła na niego spojrzenie. — Nie czytam tego — odparła. — Jest bezwartościowe — dodała.

— Zgadzasz się — przyznałam, idąc w stronę oddziału dla noworodków.

— Jest tam ktoś, kto chciał się z tobą zobaczyć — rzuciła.

Weszłam na oddział i rzeczywiście, przy moim oknie, przy oknie naprzeciw izolatki Joy, stała kobieta. Dostrzegłam krótkie, nieskazitelnie uczesane, siwe włosy, elegancki, czarny garnitur i szeroką, platynową bransoletę z diamentami wokół jednego z nadgarstków. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum Allure, jej świeżo pomalowane paznokcie błyszcząły we fluorescencyjnym oświetleniu szpitala. Zawsze-Gustowna Audrey wybrała ten odpowiedni zestaw właśnie po to, by iść w odwiedziny do nieślubnej, przedwcześnie narodzonej pierworodnej swojego syna.

— Co ty tu robisz? — zapytałam.

Audrey ciężko westchnęła i zrobiła dwa wielkie kroki do tyłu. Jej twarz zbladła dwa odcienie niżej od podkładu Estee Lauder, który miała na sobie.

— Cannie! — powiedziała i przyłożyła jedną rękę do piersi. — Ja... przestraszyłaś mnie.

Przyglądałam się Audrey, nic nie mówiąc, a jej oczy przesuwwały się po mnie, niedowierzając.

— Jesteś taka szczupła — powiedziała w końcu.

Spojrzałam w dół i zauważyłam, bez większego zainteresowania, że to była prawda. Całe to chodzenie, całe to intrygowanie, z jedynym pożywieniem w postaci porwanego naprędce kęsa bajgla albo banana z filiżankami czarnej, gorzkiej kawy, ponieważ jej smak pasował do tego, jak czułam się wewnątrz. Lodówka zawierała w sobie tylko butelki z odciągniętym mlekiem i nic więcej. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem usiadłam przy stole i jadłam posi-

łek. Na twarzy wystawały mi kości policzkowe, kości biodrowe też sterczały. Z profilu wyglądałam jak Jessica Rabbit: brak pośladków, płaski brzuch, nieprawdopodobne piersi, dzięki wytwarzanemu mleku. Jeśli ktoś nie zbliżał się za bardzo, by dostrzec, że moje włosy były brudne i zmatowiały, że miałam gigantycznie podkrążone oczy i że, najprawdopodobniej, nieładnie pachniałam, mógłby mnie wziąć za niezłą laskę.

Ale ironia losu mnie nie opuściła: po latach obsesji, liczenia kalorii, odchudzania z Weight Watching i StarMastering, znalazłam sposób, by pozbyć się tych niechcianych kilogramów na zawsze! By uwolnić się od sflaczałości i cellulitisu! By mieć wreszcie ciało, którego zawsze chciałam! Powinnam to rozreklamować, pomyślałam historycznie. Dieta Przedwcześnie Odklejonego Łożyska, Nagłego Przypadku Wycięcia Macicy i Przedwcześnie Narodzonego, z Prawdopodobieństwem Uszkodzenia Mózgu Dziecka. Zbiłabym fortunę.

Audrey nerwowo przebierała palcami po bransolecie. — Pewnie zastanawiasz się... — zaczęła. Nic nie powiedziałam, wiedząc dokładnie, jak trudne to było dla niej. Wiedząc, ale nic się tym nie przejmując. Część mnie chciała widzieć ją, jak się skręca w sobie, szukając uporczywie słów. Część mnie chciała, by cierpiała.

— Bruce mówi, że nie chcesz z nim rozmawiać.

— Bruce miał szansę ze mną porozmawiać — odparłam. — Napisałam i przekazałam mu, że jestem w ciąży. Nigdy nie zadzwonił.

Jej usta drżały. — Nigdy mi nie powiedział — wyszeptała, w połowie do siebie. — Cannie, jemu jest strasznie przykro za to, co się stało.

Prychnęłam, tak głośno, że obawiałam się, iż zakłócę spokój dzieci. — Bruce jest znowu spóźniony i nie ma ani dolara.

Ugryzła się w wargę, przekręcając bransoletę wokół nadgarstka. — On chce zrobić właściwą rzecz.

— Czym byłoby co? — zapytałam. — Sprawienie, by jego dziewczyna powstrzymała się od kolejnych targnięć na życie mojego dziecka?

— Powiedział, że to był wypadek — wyszeptała.

Przewróciłam oczami.

— On chce zrobić coś właściwego — powtórzyła. — Chce jakoś pomóc...

— Nie potrzebuję pieniędzy — odparłam wyrachowanym, oschłym tonem, cedząc słowa. — Ani jego, ani twoich. Sprzedałam mój scenariusz.

Jej twarz się rozjaśniła, zadowolona, że przeszliśmy na bardziej szczęśliwy temat. — Kochanie, to cudowne!

Nic nie powiedziałam, licząc na to, że nerwy jej puszcza w obliczu mojego milczenia. Ale Audrey była bardziej śmiała, niż przypuszczałam.

— Czy mogę zobaczyć dziecko? — zapytała.

Wzruszyłam ramionami i przyłożyłam palec do szyby. Joy była pośrodku sali. Już nie wyglądała jak rozgniewany grejpfrut, bardziej może jak owoc kantalupy, ale wciąż była malutka, wciąż krucha, wciąż z wyglądającym futurystycznie respiratorem przymocowanym do jej twarzy. Karta przymocowana w końcu inkubatora miała napis „Joy Leah Shapiro”. Miała na sobie tylko pieluszkę, plus skarpetki w biało-różowe pasy i małą, różową czapeczkę z pomponem na czubku. Przyniosłam pielęgniarkom cały stos rzeczy i poprosiłam, by każdego ranka upewniały się, czy Joy ma na sobie inną czapeczkę. Była bez wątpienia najładniejszym kapeluszowym dzieckiem na całym OIOM-ie.

— Joy Leah — wyszeptała Audrey. — Czy ona... czy dałaś jej imię po moim mężu?

Przytaknęłam głową, przelękając ciężko grudę w gardle. Tyle mogę jej dać, pomyślałam. W końcu to nie ona była osobą, która mnie ignorowała, nie dzwoniła, która sprawiła, że uderzyłam się o umywalkę i omal nie straciłam dziecka.

— Czy wszystko z nią będzie dobrze?

— Nie wiem — odparłam. — Prawdopodobnie. Mówią, że prawdopodobnie. Jest wciąż malutka, musi urosnąć, a jej płucka muszą się na tyle wykształcić, by mogła samodzielnie oddychać. Wtedy przyjedzie do domu.

Audrey wytarła oczy chusteczką higieniczną, którą wyciągnęła z torebki. — I zostanieie tutaj? Będiesz ją wychowywać w Filadelfii?

— Nie wiem — przyznałam. Uczciwie do przesady. — Nie wiem, czy chcę wrócić do redakcji, czy też może jechać z powrotem do Kalifornii. Mam tam przyjaciół. — Ale nawet gdy to mówiłam, zastanawiałam się, czy było to prawdą. Po napisanej niedbale notce z podziękowaniami, które nie mogły wyrazić wdzięczności, jaką powinnam czuć za wszystko, co dla mnie zrobiła, traktowałam Maxi w ten sam, milczący sposób, jak innych moich przyjaciół. Kto wie, co ona sobie myślała, czy uważała mnie jeszcze za swoją przyjaciółkę?

Audrey wyprostowała ramiona.

— Chciałabym być dla niej babcią — powiedziała troskliwie. — Bez względu na to, co zaszło pomiędzy tobą i Bruce'em...

— Co zaszło — powtórzyłam. — Czy Bruce przekazał ci, że wycięto mi macicę? Że nigdy nie będę mogła mieć kolejnego dziecka? Czy on był łaskaw o tym wspomnieć?

— Przykro mi, Cannie — powiedziała znowu piskliwym głosem, bezradna i nawet lekko przerażona. Zamknęłam oczy, uderzając nagle głową o szklaną ścianę.

— Po prostu idź — rzuciłam. — Proszę. Możemy o tym porozmawiać innym razem, ale nie właśnie teraz. Jestem zbyt zmęczona.

Położyła rękę na moim ramieniu. — Pozwól mi pomóc ci — zaproponowała. — Mogę ci coś przynieść? Trochę wody?

Potrząsnęłam głową, zrzuciłam jej rękę, odwróciłam twarz. — Proszę — powiedziałam. —

Po prostu idź. — I stałam tam, odwrócona od niej, z zamkniętymi mocno oczami, aż usłyszałam odgłos odchodzących korytarzem kroków. Taką też znalazła mnie pielęgniarka, opierającą się o ścianę i płaczącą, z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— Czy dobrze się czujesz? — zapytała i dotknęła mojego ramienia. Przytaknęłam głową i odwróciłam się z powrotem w kierunku drzwi.

— Wrócę później — rzuciłam. — Wychodzę na spacer.

Tego popołudnia spacerowałam godzinami, aż ulice, chodniki, budynki zmieniły się w szarą plamę. Pamiętam, że kupiłam gdzieś lemoniadę Snapple, a kilka godzin później zatrzymałam się na przystanku autobusowym, by się wysikać, i pamiętam, że kostka, na której miałam gips, zaczęła w jednym miejscu pulsować. Zignorowałam to. Szłam dalej. Szłam na południe, potem na wschód, przez dziwne okolice, nad kolejką miejską, obok spalonych domów handlarzy narkotyków, opuszczonych fabryk, słonawego, powolnego kolana rzeki Schuylkill. Pomyślałam sobie, że mogłabym tak iść aż do New Jersey. *Popatrz*, powiedziałabym, stając w lobby wieżowca z mieszkaniem Bruce'a jak duch, jak nieczyste sumienie, jak zagojona rana, która nagle zaczyna krwawić. *Zobacz, co się ze mną stało*.

Szłam i szłam, aż poczułam coś dziwnego, jakieś obce doznanie. Ból w stopie. Spojrzałam w dół, uniosłam lewą stopę i obserwowałam z głupim zakłopotaniem, jak podeszwa powoli oderwała się od wyświechtanej tenisówki i klapnęła na ulicę.

Jakiś facet siedzący na ganku po drugiej stronie ulicy wybuchnął śmiechem. — Hej! — krzyknął, gdy ja wpatrywałam się oglupiałe w buta, potem w podeszwę i z powrotem, usiłując *znaleźć* w tym jakiś sens. — Laska potrzebuje nową parę butów!

Moje dziecko potrzebuje parę nowych płuc, pomyślałam, kuśtykając i rozglądając się dookoła. Gdzie ja jestem? Okolica nie była mi znana. Żadna z nazw ulic nie brzmiała znajomo. I było ciemno. Spojrzałam na zegarek. Wskazywał na 8:30 i przez chwilę nie wiedziałam, czy był poranek, czy wieczór. Byłam brudna, spocona, wykończona i... zagubiona.

Zaczęłam grzebać po kieszeniach, szukając odpowiedzi albo przynajmniej pieniędzy na tak-sówkę. Znalazłam banknot pięciodolarowy, garść drobniaków i kilka opatrunków.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiś oznaczeń, punktów orientacyjnych, automatu telefonicznego czy czegoś takiego.

— Hej! — zawołałam do gościa na werandzie. — Hej, gdzie ja jestem?

Zarechotał, kiwając się na nogach. — Powelton Village! Ty w Powelton Village, kochana!

No dobra. Coś na początek.

— Którędy do University City? — krzyknęłam.

Potrząsnął głową. — Dziewczyno, zgubiłaś się! Ty w zupełnie innym kierunku! — Jego głos był głęboki, donośny, z akcentem z Południa.

Podniósł się i ruszył z ganku w moją stronę — czarny mężczyzna w średnim wieku w białej

podkoszulce i spodniach khaki. Przyjrzał się bacznie mojej twarzy. — Ty chora? — zapytał w końcu.

Pokręciłam głową. — Tylko zagubiona — odparłam.

— Ty chodzisz do college’u? — pytał dalej, ja znowu pokręciłam głową, a on przysunął się nawet jeszcze bardziej, wyglądając na zaniepokojonego.

— Czy jesteś pijana? — zadał pytanie, a ja musiałam się uśmiechnąć.

— Nie, naprawdę — przekonywałam. — Wyszłam po prostu na spacer i się zgubiłam.

— No to lepiej się odnajdź — rzucił. Przez jeden chory, przerażający moment, byłam całkowicie przekonana, że zamierzał mówić mi o Jezusie. Ale tak nie zrobił. Zamiast tego przez dłuższą chwilę lustrował mnie spojrzeniem, od rozpadających się tenisówek, poprzez pokryte strupami i siniakami łydki, do spodenek, dwukrotnie zawiniętych w pasie, żeby nie zsunęły się z bioder oraz T-shirta, który nosiłam już piąty dzień, i włosów, które po raz pierwszy od dziesięciu lat urosły poza ramiona, robiłam z nich zaimprovizowane dready, zamiast je myć i czesać.

— Potrzebujesz pomocy — powiedział w końcu.

Pochyliłam głowę i przytaknęłam. To była prawda. Potrzebowałam pomocy.

— Masz kogoś?

— Mam — odparłam. — Mam dziecko — zaczęłam i wtedy coś mi utkwilo w gardle.

Uniosł rękę i pokazał kierunek. — University City tamtą drogą — zaczął tłumaczyć. — Idziesz do rogu 45-ej, autobus M *zabierze* cię tam prosto. — Pogrzebał w kieszeni, znalazł lekko wystrzępiony bilet autobusowy i wcisnął mi go w dłoń. Potem pochylił się i przyjrzał moim butom.

— Zostań tutaj — rzucił. Stałam jak wryta, obawiając się ruszyć bardziej od samych mięśni. Czego się obawiałam dokładnie, tego dobrze nie wiedziałam.

Mężczyzna wyszedł z domu trzymając w ręku rolkę srebrnej taśmy przewodzącej. Uniosłam stopę, a on owinał ją taśmą dookoła, przymocowując podeszwę do buta.

— Uważaj na siebie — powiedział. To zabrzmiało jak: *Uwnasie*. — Ty matką teraz, masz uważać.

— Będę — zgodziłam się. I zaczęłam kuśtykać w stronę wskazanego przez niego rogu ulicy.

Mimo że byłam tak brudna, z butami owiniętymi taśmą i łzami przecinającymi brud na policzkach, nikt w autobusie nie poświęcał mi więcej uwagi, poza krótkimi spojrzeniami. Każdy pogrążony był w swoich prywatnych, wracania-do-domu-z-pracy rozmyślaniach — kolacja, dzieci, co w telewizji, najdrobniejsze szczegóły normalnego życia. Autobus jechał przez miasto, podnosząc się i opadając, wydając głośnie pojękiwania. Mijane obrazy zaczęły wyglądać znowu znajomo. Widziałam stadion, wieżowce, a w oddali migoczącą światłami białą wieżę *Examinera*. I wtedy zobaczyłam biura Centrum Zaburzeń Wagi i Trawienia Uniwersytetu Filadelfii, dokąd się udałam milion lat temu. Wtedy, kiedy jedyną rzeczą, o którą się martwiłam, było to, że nie byłam

szczupła.

Znajdź się, pomyślałam i pociągnęłam za rączkę „Hamulec na Żądanie” tak mocno, że myślałam przez chwilę, iż się urwie. Pojechałam windą na siódme piętro, przypuszczając, że pewnie znajdę wszystkie światła wygaszone, a drzwi pozamykane i zastanawiając się, czemu w ogóle zwracałam sobie głowę.

Ale jego światła były włączone, a drzwi otwarte.

— Cannie! — powiedział Dr K., promieniejąc. Rozpromieniony był aż do chwili, kiedy wstał, wyszedł zza swojego biurka i powąchał mnie. I przyjrzał mi się.

— Jestem przypadkiem, który odniósł sukces — rzuciłam, próbując się uśmiechnąć. — Spójrz na mnie! Dwadzieścia kilogramów ohydnej sflaczałości zniknęło w parę miesięcy! — przetarłam ręką po oczach. — Jestem szczupła — dodałam, zaczynając płakać. — Taaa, ja.

— Usiądź — powiedział i zamknął drzwi. Objął mnie ramieniem i popchnął lekko w stronę kanapy, gdzie usiadłam, pociągająca nosem i żalosna.

— Cannie, na Boga, co ci się stało?

— Poszłam na spacer — zaczęłam. Język miałam obrzmiały i pokryty nalotem, a wargi popękane. — Zgubiłam się — mówiłam. Mój głos zrobił się obcy, chrapliwy. — Poszłam na spacer i znalazłam się zupełnie w innym miejscu. Zgubiłam się, a teraz próbuję się odnaleźć.

Położył rękę na mojej głowie, głaszcząc ją delikatnie. — Pozwól mi zabrać cię do domu.

Pozwoliłam mu zaprowadzić się do windy, na zewnątrz, do jego samochodu. Po drodze zatrzymał się przy automacie z napojami i kupił zimną puszkę Coca-coli. Porwałam ją bez pytania i wychlałam na raz całość. Nie powiedział ani słowa, nawet kiedy mi się potwornie odbiło. Zatrzymał się przy sklepie spożywczym, wszedł do środka, po czym wyszedł z litrową butelką wody i mrożonym napojem pomarańczowym.

— Dzięki — rzuciłam chrapliwie. — To bardzo miłe z twojej strony. — Wypiłam wodę i przyssałam się do lodowego soku.

— Próbowałem się do ciebie dodzwonić — powiedział. — Do pracy i do domu.

— Jestem bardzo zajęta — wyrecytowałam.

— Czy Joy jest już w domu?

Potrząsnęłam przecząco głową.

Spojrzał na mnie. — Czy dobrze się czujesz?

— Zajęta — wychrypiałam. Bolały mnie piersi. Popatrzałam w dół i bez zdziwienia zauważyłam dwie okrągłe plamy pod przepoconym dekoltem, od obojczyka w dół.

— Zajęta czym? — zapytał.

Zamknęłam usta. Nie zaplanowałam tak naprawdę żadnego dialogu poza „zajęta”.

Na czerwonych światłach spojrzał na mnie, wpatrując się w moją twarz. — Czy dobrze się czujesz?

Wzruszyłam ramionami. Samochód za nami zatrąbił, ale on się nie poruszył. — Cannie — powiedział delikatnie. Pojedyncza łza pociekła mi w dół po policzku. Wyciągnął rękę, by ją wytrzeć. Odskokczyłam, jakbym była oparzona.

— Nie! — wrzasnęłam. — Nie dotykaj mnie!

— Cannie, na Boga, co się dzieje?

Potrząsnęłam głową, wbiłam wzrok w moje kolana, gdzie topniały resztki lodu. Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, przy cichym mruczeniu silnika, chłodne powietrze z klimatyzacji dmuchało na moje kolana i ramiona.

Przy kolejnych światłach znowu zaczął mówić. — Jak Nifkin? Czy pamięta jeszcze coś z tego, czego go nauczyłem? — Zerknął na mnie szybko. — Pamiętasz, jak cię odwiedziliśmy, prawda?

Przytaknęłam głową. — Nie zwariowałam — rzuciłam. Ale nawet gdy to mówiłam, nie byłam pewna, czy to prawda. Czy wariaci wiedzą, że są wariatami? Albo czy myślą, że są najzupełniej normalni, robiąc cały czas szalone rzeczy, wałęsając się brudni i w rozpadających się butach, z głowami tak pełnymi wściekłości, jakby miały eksplodować?

Jechaliśmy znowu jakiś odcinek w milczeniu. Nie potrafiłam myśleć o tym, co powiedzieć, co zrobić potem. Wiedziałam, że były pytania, które powinnam mu zadać, sprawy, do których miałabym go przekonać, ale czułam się, jakby moja głowa była pełna ciąglego brzęczenia.

— Gdzie my jedziemy? — zdołałam w końcu powiedzieć. — Powinnam jechać do domu. Albo do szpitala. Powinnam tam wrócić.

Zatrzymał się na czerwonym świetle. — Czy pracujesz? — zapytał. — Nie widziałem twojego nagłówka...

Od tak dawna nie miałam z nikim tego typu miłej, normalnej, koktajlowej konwersacji, że zabrało mi chwilę, zanim zdołałam uporządkować słowa. — Jestem na urlopie.

— Czy właściwie się odżywasz? — zmrużył oczy, patrząc na mnie z boku w ciemności. — A może powinienem zapytać, czy ty cokolwiek jadasz?

Wzruszyłam ramionami. — To trudne. Przy dziecku. Przy Joy. Chodzę do szpitala dwa razy dziennie, by ją zobaczyć, i przygotowuję rzeczy w domu... Dużo chodzę — skończyłam.

— Widzę to — rzucił.

Kolejny odcinek w milczeniu, kolejne czerwone światło. — Myślałem o tobie — powiedział. — Miałem nadzieję, że wpadniesz albo zadzwonisz...

— Cóż, zrobiłam to, prawda?

— Myślałem, że może moglibyśmy zobaczyć jakiś film. Albo wybrać się razem na kolację.

Zabrzmiało to tak dziwnie, że prawie się zaśmiałam. Czy był czas, bym mogła pójść na kolację, do kina, kiedy każda moja myśl poświęcona była mojemu dziecku i mojej wściekłości?

— Gdzie szłaś, jak się zgubiłaś?

— Na spacer — odparłam cicho. — Po prostu na spacer.

Pokręcił głową, ale nie wypytywał mnie już dalej. — Dlaczego bynie pojechać do mojego mieszkania? Zrobię ci kolację. Rozważałam to. — Mieszkasz blisko szpitala?

— Nawet bliżej niż ty. Zabiorę cię tam, jak tylko będziesz chciała.

Kiwnęłam głową, poddając się.

Byłam cicho, gdy jechaliśmy windą na szesnaste piętro, cicho, gdy otwierał drzwi, przeprosząc za bałagan i pytając, czy wciąż jeszcze lubię kurczaka i czy nie chciałabym skorzystać z telefonu? Kiwnęłam głową na kurczaka, pokręciłam na telefon i weszłam powoli do jego pokoju dziennego. Szłam, przebiegając dłońmi po grzbietach nagromadzonych książek, a wzrokiem po oprawionych w ramki portretach członków rodziny, patrząc, ale nie widząc naprawdę wiele. Zniknął w kuchni, po czym wyłonił się z niej ze stosem poukładanych rzeczy: grubym, białym ręcznikiem, parą spodni dresowych, T-shirtem, miniaturkowymi mydełkami i buteleczkami z szamponem z hotelu w Nowym Jorku.

— Czy chciałabyś się odświeżyć? — zaproponował.

Łazienka była duża i czysta. Zdjęłam koszulkę, potem moje szorty, bez entuzjazmu usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem były one czyste. Z ich wyglądu i zapachu wносиłam, że było to jakiś czas temu. Złożyłam je, potem znowu je złożyłam, a potem zdecydowałam, że do diabła z nimi i wrzuciłam do kosza na śmieci. Stałam pod wodą przez dłuższą chwilę, trzymając oczy zamknięte i nie myśląc o niczym, tylko o wodzie spływającej na moją twarz. *Odnaleźć*, powiedziała do siebie. *Spróbuj się odnaleźć*.

Kiedy wyszłam z łazienki, ubrana, z włosami osuszonymi w ręczniku, wykladał właśnie jedzenie na stół.

— Witaj z powrotem — oznajmił, uśmiechając się do mnie. — Czy to będzie dobre?

Na stole była zielona sałata, mały, pieczony kurczak, talerz placków ziemniaczanych, których od lat nie widziałam u nikogo poza Chanuką. Usiadłam. Jedzenie naprawdę pachniało dobrze — po raz pierwszy od dłuższego czasu cokolwiek pachniało mi dobrze.

— Dziękuję — powiedziałam.

Napełnił mój talerz po brzegi, a ja nic nie mówiłam podczas jedzenia, chociaż uważnie mnie obserwował. Od czasu do czasu podnosiłam wzrok i widziałam, że on... nie żeby się wpatrywał. Po prostu obserwował mnie.

W końcu odsunęłam od siebie talerz. — Dziękuję — powtórzyłam.

— To było naprawdę dobre.

Zaprowadził mnie do kanapy i wręczył ceramiczną miseczkę pełną lodów czekoladowych i sorbetu z mango.

— „Ben and Jerry’s” — powiedział. Wpatrywałam się w niego, z głową wciąż nieruchomą,

przypominając sobie, że już raz przyniósł mi deser, kiedy byłam w szpitalu. — Pamiętasz, gdy na zajęciach rozmawialiśmy o lodach?

Patrzałam na niego bezmyślnie.

— Gdy rozmawialiśmy o jedzeniu, któremu nie można się oprzeć?

— podsuwał. I wtedy przypominałam sobie, jak siedzieliśmy wokół stołu milion lat temu, rozmawiając o tym, co lubiłam jeść. To było niewiarygodne, że ja kiedykolwiek coś lubiłam... że sprawiały mi przyjemność normalne rzeczy. Jedzenie, przyjaciele, chodzenie na spacer i do kina. Czy ja będę mogła znowu tak żyć? Zastanawiałam się. Nie byłam pewna... ale pomyślałam, że może mogłabym spróbować.

— Czy pamiętasz ulubione potrawy wszystkich swoich pacjentów?

— zapytałam.

— Tylko moich ulubionych pacjentów — odparł. Usiadł w fotelu naprzeciw mnie, podczas gdy ja jadłam powoli, delektując się każdą porcją wziętą do ust. Westchnęłam, kiedy skończyłam. Od dawna nie jadłam tak dobrze; od dawna nic mi tak nie smakowało.

Odchrząknął. Domyśliłam się, że był to dla mnie sygnał do drogi. Pewnie miał plany na wieczór. Może nawet umówił się na randkę. Wyteżyłam umysł i usiłowałam sobie przypomnieć, jaki dziś był dzień? Czy był to weekend?

Ziewnęłam, a Dr K. uśmiechnął się do mnie. — Wyglądasz na bardzo zmęczoną — powiedział. — Może byś trochę wypoczęła? — Jego głos był taki ciepły, kojący. — Lubisz herbatę, nie kawę, prawda? — przytaknęłam głową. — Zaraz wrócę — rzucił.

Poszedł do kuchni, a ja wyciągnęłam nogi na kanapie. Gdy wrócił, byłam już w połowie uśpiona. Powieki były takie ciężkie. Ziewnęłam i spróbowałam usiąść, gdy podawał mi kubek.

— Dokąd dzisiaj szłaś? — zapytał.

Odwróciłam głowę, sięgając po koc, który był udrapowany z tyłu kanapy. — Ja tylko wyszłam na spacer. Sądzę, że po prostu się zgubiłam czy coś takiego. Ale czuję się świetnie. Nie powinieneś się martwić. Czuję się świetnie.

— Nieprawda — powiedział rozniewanym tonem. — Ty wcale nie czujesz się świetnie. Jesteś na wpół zagłodzona, włączysz się po mieście, porzucasz pracę...

— Urlop — poprawiłam go. — Mam urlop okolicznościowy.

— Nie musisz się wstydzic tego, by prosić o pomoc.

— Nie potrzebuję pomocy — odparłam odruchowo. Bo taki właśnie był mój odruch, nabyty, gdy byłam nastolatką, a dopracowany w ciągu następnych lat. *Wszystko w porządku. Potrafię sobie z tym poradzić. Czuję się świetnie.* — Wszystko jest pod kontrolą. Czuję się świetnie. My czujemy się świetnie. Ja i dziecko. Czujemy się świetnie.

Potrząsnął głową. — Jak możesz czuć się świetnie? Nie jesteś szczęśliwa...

— A dlaczego miałabym być szczęśliwa? — odparowałam. — Z jakiego powodu miałabym

być szczęśliwa?

— Masz piękne dziecko...

— Taaak, ale nie czuję wdzięczności do kogokolwiek innego. Wpatrywał się we mnie. Odpowiedziałam też wzrokiem, rozwścieczona. Potem odstawiłam herbatę i wstałam.

— Powinnam pójść.

— Cannie...

Spojrzałam na moje skarpety i buty owinięte taśmą. — Czy mógłbyś mnie zabrać do domu?

Wyglądał na zmartwionego. — Przepraszam... Nie chciałem cię zdenerwować.

— Nie zdenerwowałeś mnie. Nie jestem zdenerwowana. Ale chcę jechać do domu.

Westchnął i spojrzał w dół, na swoje stopy. — Myślałem... — wymamrotał.

— Co myślałeś?

— Nic.

— Co myślałeś? — powtórzyłam bardziej natarczywie.

— To był zły pomysł.

— Co pomyślałeś? — powiedziałam znowu, tonem, który nie przyjmował braku odpowiedzi.

— Pomyślałem, że jeśli tu przyjechałaś, mogłabyś odpocząć. — Potrząsnął głową, wydając się zaskoczony własnymi nadziejami, przypuszczeniami. — Pomyślałem, że może chciałabyś porozmawiać o różnych sprawach...

— Nie ma o czym rozmawiać — odparłam. Ale powiedziałam to miłszym tonem. W końcu dał mi kolację, czyste ubrania, mrożony napój pomarańczowy, podwiózł. — Czuję się dobrze. Naprawdę. Jest dobrze.

Staliśmy tak chwilę i coś przeszło między nami, jakieś małe złagodzenie napięcia. Czułam bąble na obu stopach, policzki były napięte i piekły od opalenizny. Na plecach czułam chłodną, cienką bawełnę jego T-shirta i zdałam sobie sprawę z tego, że to było bardzo miłe uczucie, podobnie jak miłe mi było uczucie brzucha wypełnionego dobrym jedzeniem. I czułam moje piersi, które tępo bolały.

— Hej, nie masz tak przypadkiem odciągacza do pokarmu? — zapytałam. Moja pierwsza próba żartowania, od kiedy obudziłam się po raz pierwszy w szpitalu.

Potrząsnął głową. — Czy lód mógłby pomóc? — zaproponował. Przytaknęłam i usiadłam z powrotem na kanapie, gdzie przyniósł mi lód owinięty w ręcznik. Odwróciłam się tyłem do niego i wetknęłam lód pod koszulkę.

— Jak Nifkin? — zadał to samo pytanie, co wcześniej.

Zamknęłam oczy. — Z moją mamą — wyszeptalam. — Wysłałam go do niej, by tam pobyl przez jakiś czas.

— Wiesz, nie pozwól mu być tam zbyt długo. Zapomni swoje sztuczki. — Upił łyk swojej herbaty. — Miałem zamiar nauczyć go mówić, gdybyśmy spędzili razem trochę więcej czasu.

Kiwnęłam głową. Powieki robiły się znowu coraz cięższe.

— Może innym razem — powiedział. Odwracał grzecznie wzrok, gdy ja przekładałam lód.
— Chciałbym znowu zobaczyć Nifkina — dodał. Przerwał i odchrząknął. — Chciałbym ciebie też znowu zobaczyć, Cannie.

Spojrzałam na niego. — Dlaczego? — nieuprzejme pytanie, wiedziałam, ale czułam, jakbym i tak nie musiała przestrzegać dobrych manier... tak naprawdę, to jakichkolwiek manier. — Dlaczego mnie?

— Ponieważ zależy mi na tobie.

— Dlaczego? — zapytałam znowu.

— Bo jesteś... — zawiesił zdanie, niedokończone. Gdy spojrzałam na niego, machał ręką w powietrzu, jakby chciał z niego wyrzeźbić zdanie. — Jesteś wyjątkowa.

Potrząsnęłam głową.

— Jesteś.

Wyjątkowa, pomyślałam. Nie czułam się wyjątkowa. Czułam się tak naprawdę śmieszna. Czułam się jak spektakl kobiety, dziwaczka z płacziwą historią. Jak ja rzeczywiście wyglądałam? Wyobraziłam sobie siebie na ulicy tego wieczoru, z rozwalającym się butem, brudna, spocona, z ciekącymi piersiami. Powinni zrobić mi zdjęcie, zrobić z niego plakaty, porozwieszać je w każdej szkole średniej i przymocować w księgarniach, tuż obok książek Harlequina i poradników z zakresu poszukiwania bratniej duszy, życiowego partnera, jedynej, prawdziwej miłości. Mogłabym być ostrzeżeniem; mogłabym odciągnąć dziewczyny z dala od takiego losu jak mój.

Chyba wtedy zasnęłam, bo kiedy się ocknęłam, z policzkiem przyciśniętym do koca i lodem topniejącym na piersiach, siedział tuż naprzeciw mnie.

Zdjął okulary i odsłonił łagodne oczy.

— Masz — powiedział. Trzymał coś w rękach, zwiniętego jak dziecko. Poduszki. Prześcieradła. — Przygotowałam dla ciebie pokój gościnny.

Przeszłam tam, oszołomiona, obolała z wyczerpania. Prześcieradła były chłodne i sztywne, poduszki czułam jak uścisk. Pozwoliłam mu odsunąć narzutę, ułożyć mnie na łóżku, przykryć, a potem wygładzić koc na moich ramionach. Jego twarz wydawała się być o wiele przyjemniejsza bez tych okularów, w ciemności, usiadł na krawędzi łóżka. — Czy powiesz mi, dlaczego jesteś taka rozgniewana? — zapytał.

Byłam taka zmęczona, język w moich ustach zrobił się ciężki i powolny. Czułam się, jakbym była pod wpływem narkotyków albo zahipnotyzowana; jakbym śniła pod wodą. A może powiedziałabym to każdemu, gdybym tylko zezwoliła mu się na tyle do mnie zbliżyć, by o to mógł spytać. — Jestem zła na Bruce'a. Jestem zła, że jego dziewczyna mnie popchnęła, i jestem zła, że on mnie nie kocha. Sądzę, że jestem zła na mojego ojca.

Uniósł brew.

— Widziałam go... w Kalifornii... — przerwałam, by ziewnąć, z trudem udawało mi się wydobyć słowa. — Nie chciał mnie znać. — Przesunęłam rękami po brzuchu, albo raczej po miejscu, gdzie był brzuch.

— Dziecko... — mówiłam. Powieki były jakby czymś obciążone, tak ciężkie, że ledwo trzymałam je otwarte. — Nie chciał wiedzieć.

Gładził mnie po policzku grzbietem dłoni, a ja przylgnęłam do jego dotyku jak kot, nie myśląc o tym. — Tak mi przykro — powiedział.

— Miałaś wiele smutku w swoim życiu.

Nabrałam powietrza, potem wypuściłam, dumając nad istotą tego stwierdzenia. — To nie jest coś zupełnie nowego dla mnie — zauważyłam.

Uśmiechnął się. — Chciałem tylko, żebyś wiedziała — zaczął.

— Chciałem cię zobaczyć, bym mógł ci powiedzieć...

Wpatrywałam się w niego, z oczami rozwartymi szeroko w ciemności.

— Nie musisz robić wszystkiego sama — ciągnął. — Są ludzie, którzy się troszczą o ciebie. Ty tylko musisz im pozwolić sobie pomóc.

Wtedy usiadłam. Prześcieradła i koce zsunęły się do talii. — Nie — zaproponowałam. — To nie jest w porządku.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał.

Potrząsnęłam głową raz, niecierpliwie. — Czy wiesz, co to jest miłość?

Zastanawiał się nad tym pytaniem. — Myślę, że słyszałem o tym kiedyś piosenkę.

— Miłość — odparłam — to dywanik, który wyjmują spod ciebie. Miłość to Lucy unosząca piłkę footballową w ostatniej sekundzie tak, że Charlie Brown upada na tyłek. Miłość to coś, co odchodzi za każdym razem, gdy w to wierzysz. Miłość jest dla naiwniaków, a ja nie zamierzam już być nigdy naiwna. — Kiedy zamknęłam oczy, zobaczyłam się taką, jaką byłam miesiące temu, leżącą na podłodze w łazience, z pasemkami we włosach i makijażem na twarzy, w drogich butach, eleganckim ubraniu i diamentowych kolczykach, które nie potrafiły mnie uchronić, oddalić wilka od moich drzwi.

— Chcę domu z drewnianymi podłogami — powiedziałam. — I nie chcę, by ktokolwiek do niego wchodził.

Dotykał moich włosów, mówiąc coś. — Cannie — szeptał. Otwarłam oczy.

— To nie musi tak być.

Wpatrywałam się w niego w ciemnościach. — A jak inaczej mogłoby być? — zapytałam, całkiem rozsądnie.

Pochylił się do przodu i mnie pocałował.

Całował mnie, a ja w pierwszej chwili byłam zbyt zszokowana, by cokolwiek zrobić, zbyt zaskoczona, by się poruszyć, zbyt oszołomiona, by robić cokolwiek innego, jak tylko siedzieć,

zupełnie nieruchomo, gdy jego usta dotykały moich.

Odsunął głowę. — Przepraszam — powiedział.

Pochyliłam się w jego stronę. — Drewniane podłogi — wyszeptalam i zdałam sobie sprawę z tego, że drażniłam się z nim, i że się uśmiechałam, i że robiłam to po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— Dam ci, co tylko będę mógł — odparł, patrząc na mnie w sposób, który mi uświadomił, że on, jakoś tak, cud nad cudami, brał to wszystko na poważnie. I wtedy znowu mnie pocałował, podciągnął prześcieradła wysoko, do mojego podbródka, przyłożył swą ciepłą dłoń do mojego czoła i wyszedł z pokoju.

Słuchałam, jak zamykają się drzwi i jak on układa swoje długie ciało na łóżku. Nasłuchiwałam, aż zgasił światła, a jego oddech stał się głęboki, równomierny. Słuchałam, przyciskając koc ciasno wokół mnie, zatrzymując przy mnie to uczucie bycia bezpieczną, bycia schowaną, czułam wokół mnie czyjąś troskę. I po raz pierwszy od urodzin Joy myślałam wtedy sensownie. Postanowiłam, właśnie tam, w tym obcym łóżku, w ciemnościach, że mogłabym tak zawsze być przestraszona i mogłabym tak ciągle chodzić, zawsze obnosić się ze swoją wściekłością, gorącą i ciężką w moich piersiach. Ale może był inny sposób. *Masz wszystko, czego potrzebujesz*, powiedziała mama. Ale może wszystko, czego potrzebowałam, to odwaga, by przyznać, że potrzebuję kogoś, na kim mogłabym się wesprzeć. I wtedy mogłabym to zrobić — być dobrą córką i dobrą matką. Może mogłabym nawet być szczęśliwa. Może potrafiłabym.

Wyślizgnęłam się z łóżka. Podłoga była chłodna pod moimi gołymi stopami. Poruszałam się na oślep przez ciemności, dotarłam do drzwi, otwarłam je. Podeszłam do niego, leżącego na kanapie, gdzie zasnął z książką wypadającą mu z rąk. Usiadłam przy nim na podłodze i pochyliłam się tak blisko, że moje usta praktycznie dotykały jego czoła. Wtedy zamknęłam oczy, wzięłam głęboki oddech i wskoczyłam do wody. — Pomocy — wyszeptalam.

Jego oczy otwały się natychmiast, jakby nie spał, tylko czekał. Wyciągnął jedną rękę i dotknął mojego policzka.

— Pomocy — powtórzyłam, jakbym była małym dzieckiem, a to było słowo, którego właśnie się nauczyłam i wciąż je powtarzałam. — Pomóż mi. Pomocy.

Dwa tygodnie później Joy przyjechała do domu. Miała teraz osiem tygodni, jej waga doszła do pięciu kilogramów i wreszcie oddychała samodzielnie. — Będzie dobrze — powiedziała mi pielęgniarka. Oprócz tego, że nie byłam jeszcze gotowa na bycie samodzielną. Wciąż byłam w środku zraniona, wciąż zbyt smutna.

Samanta zaproponowała, że możemy z nią zamieszkać. Wzięłyby urlop, nagromadziły jej się niewykorzystane tygodnie, zrobiłaby, co trzeba, by przygotować dom. Maxi zaoferowała się, że przyleci albo, dla odmiany, byśmy obie przyleciały do Utah, gdzie kręciła epicką opowieść o

wieśniacze, z niezdarnym tytułem *Buffalo Girls 2000*. Peter, oczywiście, był pierwszym w kolejce, by powiedzieć nam, że mogłybyśmy mieszkać u niego albo, jeśli bym chciała, mógłby zamieszkać z nami.

— Zapomnij o tym — oznajmiłam mu. — Nauczyłam się już czegoś o dawaniu mężczyznom za darmo mleka i potem oczekiwania od nich, że kupią krowę.

Jego twarz przybrała przyjemny odcień purpury. — Cannie, — zaczął — nie miałem na myśli...

A ja zaśmiałam się wtedy. Tak dobrze było znowu się śmiać. Zbyt długo obywałam się bez tego. — Żartuję — uspokoiłam go i spojrzałam na siebie ponuro. — Uwierz mi, nie jestem w formie, by myśleć o tym przez jakiś czas.

W końcu postanowiłam jechać do domu — domu dla mojej mamy i tej okropnej Tani, która zgodziła się schować do piwnicy na jakiś czas swój warsztat tkacki i oddać mi i Joy Pokój Upřednio Znany Jako Mój. Tak naprawdę to obie cieszyły się, że przyjechałyśmy.

— To tak miło trzymać znowu na rękach dziecko! — zauważyła mama, delikatnie pomijając fakt, że maleńka, słabowita Joy ze szczecinką na głowie, z monitoringiem bezdechu we śnie i niezliczonym mnóstwem obaw o jej zdrowie, nie była dokładnie tym rodzajem dziecka, o którym marzy każda babcia.

Myślałam, że tak będzie przez tydzień albo dwa — akurat szansa dla mnie, by powrócić do ludzi, odpocząć, przyzwyczać się do pielęgnowania dziecka. W rezultacie zostałyśmy tam trzy miesiące, ja w łóżku, które kiedyś było moje, a Joy w łóżeczku obok mnie.

Mama i Tania pozwoliły mi po prostu być. Przynosiły tace z jedzeniem do moich drzwi, a kubki z herbatą do mojego łóżka. Przywiozły płyty CD i pół tuzina książek z mojego mieszkania, a Tania zapoznała mnie z jej nowym, purpurowo-zielonym, wełnianym szalem. — Dla ciebie — oznajmiła nieśmiało. — Przykro mi z powodu tego, co się stało. — I rzeczywiście było jej przykro, uświadomiłam sobie. Było jej przykro i się starała — zdołała nawet rzucić palenie. Dla dziecka, powiedziała mi mama. To było miłe.

— Dzięki — odparłam i owinęłam go wokół siebie. Uśmiechnęła się jak słońce wychodzące zza chmur.

— Proszę — odpowiedziała.

Samanta przyjeżdżała kilka razy w tygodniu, przywożąc mi smakołyki z miasta — grillowane liście winogron z wietnamskiego straganu przy stacji Reading, świeże śliwki z sadów w New Jersey. Peter też nas odwiedzał, przywożąc książki, gazety, magazyny (nigdy *Moxie*, co zauważyłam z przyjemnością) i małe upominki dla Joy, a wśród nich maleńki T-shirt z napisem „Dziewczęca Moc”.

— To jest takie śliczne — powiedziałam, chociaż zdawałam sobie sprawę z tego, że upłynie jakiś czas, zanim przestanie pływać w nawet najmniejszych ubrankach dziecięcych.

Peter uśmiechnął się i sięgnął po swoją teczkę. — Dla ciebie też mam jedną — pocieszył.

— Dzięki — odparłam.

Joy poruszyła się we śnie. Peter spojrział na nią, potem na mnie.

— Więc jak się naprawdę czujesz?

Rozciągnęłam ręce wysoko ponad głowę. Byłam bardzo opalona, od spacerów na słońcu, ale reszta zaczęła się zmieniać. Po pierwsze, zaczęłam brać kąpiele pod prysznicem. Po drugie, zaczęłam jeść. Moje biodra i piersi powracały, i czułam się dobrze z tym... tak, jakbym zaakceptowała siebie. Jakbym uznała nie tylko moje ciało, ale i całe życie, jakie za sobą zostawiłam. Biorąc wszystko pod uwagę, to nie było takie złe życie. Były rzeczy, które utraciłam, to prawda, i ludzie, którzy nigdy mnie nie pokochają ponownie, ale był też... potencjał, pomyślałam i uśmiechnęłam się do Petera. — Lepiej — powiedziałam mu. — Myślę, że teraz radzę sobie lepiej.

I wtedy, pewnego wrześnieowego poranka, obudziłam się i poczułam, że chcę znowu gdzieś iść.

— Czy chcesz jakiegoś towarzystwa? — wychrypiała Tania.

Potrząsnęłam przecząco głową. Mama obserwowała, jak zawiązywałam tenisówki, jedna jej brew była zmarszczona. — Czy chcesz zabrać dziecko? — zapytała.

Popatrzałam na Joy. Nawet nie wzięłam tego pod uwagę.

— Może jej się przydać trochę świeżego powietrza — zasugerowała mama.

— Nie sądzę — powiedziałam powoli.

— Ona się nie połamię — nalegała mama.

— Mogłaby — odparłam, czując jak napelniają mi się oczy. — Już prawie tak się stało wcześniej.

— Małe dzieci są silniejsze, niż przypuszczamy — ciągnęła. — Joy wydobrzeje... a ty nie możesz jej zawsze trzymać w środku.

— Nawet, jeśli zapewnię jej szkołę w domu? — zapytałam. Mama uśmiechnęła się szeroko i podała mi nosidełko Snugli. Niezdarnie zapięłam pasy wokół mojej klatki piersiowej i włożyłam Joy do środka.

Była taka mała, wciąż tak mała, że czułam ją przy sobie jak jesienny liść. Nifkin popatrzał na mnie i przywarł do mojej nogi, łagodnie skamląc. Więc przypięłam go do smyczy i też zabrałam z nami. Szliśmy powoli, do końca drogi podjazdowej, potem na ulicę, poruszając się w tempie, przy którym artretyczny ślimak zdawałby się pędzić. Po raz pierwszy, od kiedy przyjechałam, byłam na ulicy i czułam się przerażona — samochodami, ludźmi, wszystkim, pomyślałam ponuro. Joy przylgnęła do mnie z zamkniętymi oczami. Nifkin maszerował obok, powarkując na przyjeżdżające samochody. — Patrz, maleńka — wyszeptalam do pokrytej meksykańską główki Joy. —

Oglądaj świat.

Gdy wróciliśmy z naszego porannego spaceru, na podjeździe stał zaparkowany samochód Petera. W domu, mama, Tania i Peter siedzieli przy kuchennym stole.

— Cannie! — zauważyła nas mama.

— Witaj — powiedział Peter.

— Właśnie mówiliśmy o tobie — przyznała Tania. Chociaż mijał już prawie miesiąc, od kiedy rzuciła palenie, jej głos wciąż brzmiał jak jedna z sióstr Marge Simpson.

— Hej — rzuciłam do Petera, zadowolona z jego przyjazdu. Zrobiłam ogólne machnięcie ręką, po czym odpięłam Joy, zawięłam ją w koc i usiadłam z nią na rękach. Mama nalewała mi herbatę, podczas gdy Joy wpatrywała się w Petera, oczami otwartymi szeroko. Bywał tu wcześniej, oczywiście, ale ona zawsze spała. Więc teraz to było ich naprawdę pierwsze spotkanie.

— Witaj, maleńka — powiedział poważnie Peter. Joy wykrzywiła buźkę i zaczęła płakać. Peter wyglądał na strapionego.

— Och, przepraszam — zaczął.

— Nie przejmuj się tym — uspokoiłam go, obracając Joy tak, by była odwrócona twarzą do mnie i kołysząc ją tak długo, aż jej łkania zamieniły się w kwilenie, potem w czkawkę, a w końcu się uciszyła.

— Nie jest przyzwyczajona do mężczyzn — wygłosiła Tania. Pomyślałam o przynajmniej sześciu zgryźliwych powrotach do tej kwestii, ale roztropnie trzymałam na razie buzię na kłódkę.

— Myślę, że dzieci boją się mnie — powiedział Peter ponuro. — To pewnie przez ten mój głos.

— Joy słyszała wszystkie rodzaje głosów — oznajmiłam cierpko. Mama rzuciła mi złowieszcze spojrzenie. Tania zdawała się nic nie zauważać. — Ona się nie obawia — dodałam. W rzeczywistości spała, z ustami lekko rozchylonymi i długimi, ciemnymi rzęsami na tle różowych policzków; to tam wciąż wysychały łzy. — Tutaj, — powiedziałam — widzisz?

Wytarłam jej twarz i przechyliłam Joy w jego kierunku, by mógł zobaczyć. Pochylił się, patrząc na nią. — No proszę — rzucił z uznaniem. Wyciągnął jeden, długi i wysmukły palec i delikatnie dotknął jej policzka. Uśmiechnęłam się szeroko do Joy, która od razu przebudziła się, spojrzała krótko na Petera i znowu zaczęła wrzeszczeć.

— Przejdzie jej to — rzuciłam. — Niegrzeczny dzidzius! — wyszeptałam do jej ucha.

— Może jest głodna — wysnuła przypuszczenie Tania.

— Mokra pielucha — zasugerowała mama.

— Rozczarowana spikerami z pory najlepszej oglądalności stacji ABC — powiedziałam. Peter wybuchnął śmiechem.

— Cóż, ona jest bardzo krytycznym widzem — ciągnęłam, podrzucając Joy na moim ramie-

niu. — Naprawdę lubi wieczorne wiadomości sportowe. — Gdy już się uspokoiła, poczęstowałam się herbatą i garścią czekoladowych ciasteczek znajdujących się na środku stołu. Dodałam do tego jabłko z misy z owocami i poszłam pracować.

Peter popatrzał na mnie z aprobatą. — Wyglądasz o wiele lepiej — wygłosił.

— Mówisz to za każdym razem, gdy mnie widzisz — zauważyłam.

— Naprawdę — upierał się. — O wiele zdrowiej.

I była to prawda. Przy trzech posiłkach dziennie i przekąskach, szybko odzyskiwałam swoje stare proporcje Anny Nicole Smith sprzed diety. I wciąż mile witałam zmiany. Wszystko teraz widziałam w inny sposób. Moje nogi były silne i mocne, a nie tłuste czy niezgrabne. Moje piersi miały teraz inny cel poza rozciąganiem swetrów i utrudnianiem miznalezienia innego biustonosza niż beżowy. Nawet moja talia i biodra, usiane srebrzącymi śladami po rozstępach, sugerowały siłę i opowiadały historię. Mogę być dużą dziewczyną, rozumowałam, ale nie była to najgorsza rzecz na świecie. Miałam bezpieczną przystań i przytulne miejsce do odpoczynku. Ukształtowana dla wygody, nie dla powodzenia, pomyślałam i zachichotałam do siebie. Peter uśmiechnął się do mnie.

— O wiele zdrowiej — powtórzył.

— Wyrzucą cię z ośrodka zrzucania wagi, jeśli się dowiedzą, że tak mi mówisz — ostrzegłam.

Wzruszył ramionami, jakby to nie miało znaczenia. — Uważam, że wyglądasz świetnie. Zawsze tak uważałem — powiedział. Mama uśmiechała się rozpromieniona. Rzuciłam jej krótkie zajmij-się-sobą spojrzenie i ułożyłam Joy w swoich objęciach.

— Więc — zmieniłam temat — co cię tu sprowadza?

— W zasadzie to — odparł — zastanawiałem się, czy ty i Joy nie miałybyście ochoty na przejażdżkę.

Poczułam, jak znowu coś ściska mnie w klatce piersiowej. Joy i ja nie jechałyśmy nigdzie samochodem od czasu jej wyjścia ze szpitala, poza badaniami kontrolnymi w szpitalu. — Dokąd? — spytałam, starając się, by mój głos brzmiał naturalnie.

— Wybrzeżem w dół — odpowiedział, używając typowego, filadelfijskiego wyrażenia. — Tylko na małą przejażdżkę.

To brzmiało mile. To również brzmiało absolutnie przerażająco.

— Nie jestem pewna — powiedziałam z żalem. — Nie jestem pewna, czy ona jest gotowa.

— Ona nie jest gotowa, czy ty nie jesteś gotowa? — zapytała moja pomocna mama. Wysłałam jej jeszcze bardziej intensywne zajmij-się-sobą spojrzenie.

— Ja tam będę — mówił Peter. — Więc masz medyczne wsparcie, w razie potrzeby.

— No jedź, Cannie — nagliła mama.

— Dobrze ci to zrobi — nakłaniała Tania.

Wpatrzyłam się w niego. Uśmiechnął się do mnie. Westchnęłam, wiedząc, że mnie pokonano. — Tylko krótka przejażdżka — powiedziałam, a on przytaknął, pełen entuzjazmu jak uczeń i wstał, by mi pomóc.

Oczywiście, zajęło to jakiś czas, czterdzieści pięć minut, by być dokładnym, i trzy torby pełne pieluch, czapek, skarpetek, sweterków, butelek, koczków i różnych innych przyborów niemowlęcych, wszystko wraz z wózkiem wrzucone do bagażnika — zanim byliśmy gotowi do drogi. Wtedy Joy została usadowiona w dziecięcym foteliku, ja usiadłam na fotelu pasażera, Peter za kierownicą i ruszyliśmy w stronę wybrzeża Jersey.

Peter i ja rozmawialiśmy trochę na początku — o jego pracy, o Lucy i Maxi, i o tym, jak Andy otrzymał prawdziwą śmiertelną pogrózkę po napadnięciu na bardzo znaną w Filadelfii rybną tawernę, która funkcjonowała już dziesiątki lat bazując tylko na swej reputacji i takiej sobie, rybnej zupie. Wtedy, kiedy wyjechaliśmy już na autostradę Atlantic City, uśmiechnął się do mnie i przycisnął jeden z klawiszy na desce rozdzielczej, rozsuwając tym samym dach nad naszymi głowami.

— Otwierany dach! — wykrzyknęłam, pod wrażeniem.

— Pomyślałem, że spodoba ci się! — odkrzyknął do mnie.

Spojrzałam do tyłu, na Joy, wtuloną wygodnie w swoim foteliku, zastanawiając się, czy nie będzie na nią za bardzo wiało. Ale w rzeczywistości wyglądała tak, jakby jej się to podobało. Maleńka różowa wstążka, którą wplotłam w jej włosy, żeby wszyscy wiedzieli, że jest dziewczynką, łopotała na wietrze, a jej oczy były szeroko otwarte.

Wjechaliśmy do Vernor i zaparkowaliśmy dwieście metrów od plaży. Peter rozłożył skomplikowany wózek Joy, podczas gdy ja wyjęłam ją z samochodu, owinęłam w większą ilość koczków niż wymagał tego ciepły, wrześnieowy poranek i włożyłam do wózka. Ruszyliśmy wolno w stronę wody, ja pchałam wózek, a Peter szedł obok mnie. Poczulałam się wspaniale, czując na ramionach ciepłe promienie słońca, które jak miód sprawiły, że moje włosy nabrały blasku.

— Dziękuję — powiedziałam. Wzruszył ramionami, zakłopotany.

— Cieszę się, że ci się podoba — odparł.

Szliśmy po chodniku ubitym z desek — w jedną stronę przez dwadzieścia minut, z powrotem przez kolejne dwadzieścia, ponieważ postanowiłam, że nie chcę, by Joy była na dworze dłużej niż godzinę. Pomimo że słone powietrze zdawało się jej nie przeszkadzać. Szybko zasnęła, z małą buźką rozchyloną jak pączek róży, rozwiniętą, różową wstążeczką i ślicznymi, brązowymi włoskami zwijającymi się wokół jej policzków. Przybliżyłam się, by usłyszeć, jak oddycha i sprawdzić pieluchę. Wszystko było w porządku.

Peter wrócił z kocem w rękę. — Chcesz usiąść na plaży? — zapytał.

Przytaknęłam. Rozwinął koc, a ja wyjęłam Joy i podeszliśmy bliżej do wody. Usiedliśmy

tam, obserwując fale uderzające o brzeg. Palcami stóp grzebałam w ciepłym piasku i wpatrywałam się w białą pianę, niebiesko-zieloną głębię, czarne krawędzie oceanu tuż przy horyzoncie, rozmyślając o tym wszystkim, czego nie mogłam ujrzeć: rekinach, rozgwiazdach, śpiewających do siebie wielorybach, o tych tajemniczych formach życia, których nigdy nie poznam.

Ale znałam to życie. — I tak to się wszystko porobiło — wyszeptalam do Joy.

Peter ułożył kolejny koc na moich ramionach i zostawił tam przez kilka sekund swoje ręce.

— Cannie — zaczął. — Chcę ci coś powiedzieć.

Obdarzyłam go czymś, co, mam nadzieję, było zachęcającym uśmiechem.

— Tamtego dnia na Kelly Drive, kiedy ty i Samanta spacerowałyście — przerwał i odchrząknął.

— Tak — przytaknęłam. — Mów dalej.

— Cóż, — ciągnął — ja, hmm... nie jestem takim prawdziwym biegaczem.

Spojrzałam na niego, zdumiona.

— Ja po prostu... cóż, pamiętałem, jak na zajęciach mówiłaś, że jeździłaś na przejażdżki rowerowe i że chodziłaś na spacer, a czułem, że do ciebie nie mógłbym zadzwonić...

— Więc zacząłeś biegać?

— Każdego dnia — przyznał. — Rano, wieczorem i czasem w porze lunchu. Aż cię spotkałem.

Wyprostowałam się, zaskoczona stopniem jego poświęcenia, wiedząc, że ja na jego miejscu, bez względu na to, jak bardzo chciałabym spotkać tę drugą osobę, nie potrafiłabym się nakłonić do biegania. — I teraz, hmm, mam... obrzęk mięśni piszczelowych w zespole przeciążenia — wymamrotałam, a ja wybuchnęłam śmiechem.

— Dobrze ci to służy! — rzuciłam. — Mogłeś po prostu do mnie zadzwonić...

— Ale nie potrafiłem — powiedział. — Przede wszystkim byłaś moją pacjentką...

— Już nie jestem — przerwałam.

— I byłaś hmm...

— W ciąży z innym facetem — uzupełniłam.

— Ty w ogóle na nic nie zważałaś! — wykrzyknął. — Zupełnie na nic! To było najgorsze! I ja tam wałęsałem się w poszukiwaniu ciebie, robiąc sobie te obrzęki...

Znowu zachichotałam.

— A po pierwsze ty byłaś smutna z powodu Bruce'a, który, nawet ja mogę to powiedzieć, nie był właściwym partnerem dla ciebie...

— Byłaś mało obiektywny — powiedziałam mu, ale on jeszcze nie skończył.

— A potem byłaś w Kalifornii, co też nie było dla ciebie właściwe...

— Kalifornia jest bardzo ładna — odparłam, biorąc Kalifornię w obronę.

Usiadł blisko i objął mnie ramionami, przyciskając Joy i mnie mocno do siebie. — Myśla-

łem, że nigdy nie przyjedziesz do domu — mówił. — Nie mógłbym tego znieść. Bałem się, że cię już nigdy nie zobaczę i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić.

Uśmiechnęłam się do niego, obracając się tak, by móc spojrzeć mu w oczy. Słońce jaśniało ponad nami, a mewy skrzeczały, pikując w górę, a potem w dół, do fal.

— Ale ja przyjechałam do domu — powiedziałam. — Widzisz? Te obrzęki nie były potrzebne.

— Cieszę się — przyznał, a ja oparłam się o niego, pozwalając mu, by mnie przytrzymał. Promienie słońca połyskiwały w jego włosach, ciepły piach kołło moje stopy, a moje dziecko, moja Joy, była bezpieczna w moich ramionach.

— Więc, jak sądzę, pytanie brzmi — zaczęłam, jadąc jego samochodem z powrotem do domu — co ja teraz zrobię ze swoim życiem?

Uśmiechnął się do mnie szybko, zanim odwrócił wzrok z powrotem na drogę. — Tak naprawdę to myślałam pomiędzy wierszami, czy chciałabyś zatrzymać się na kolację.

— Pewnie — odparłam. Joy spała w swoim foteliku. Gdzieś zgubiliśmy jej różową wstążeczkę, ale widziałam ziarnka piasku błyszczące na jej gołych stopach. — Więc teraz, skoro to już uzgodniliśmy...

— Czy chcesz wrócić do pracy? — zapytał mnie.

Myślałam o tym. — Tak sądzę — odparłam. — W końcu. Już mi tego brakuje. — Wiedziałam, jak tylko to powiedziałam, że była to prawda. — Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek przetrwała tak długo bez napisania czegoś. Boże dopomóż, ja nawet tęsknię za moimi pannami młodymi.

— A więc, co chcesz pisać? — zapytał. — O czym?

Zastanawiałam się nad tym pytaniem.

— Artykuły do gazety? — podsuwał odpowiedzi. — Kolejny scenariusz? Książkę?

— Książkę! — wyśmiałam. — Jakbym to potrafiła!

— Mogłoby się tak stać — powiedział.

— Nie sądzę, bym miała książkę w sobie — odparłam.

— Jeślibyś miała, — mówił poważnie — poświęciłbym całe moje medyczne doświadczenie, by ją z ciebie wydobyć.

Zaśmiałam się. Joy obudziła się i wydała z siebie zastanawiający hałas. Odwróciłam się do niej i pomachałam jej. Popatrzała na mnie, potem ziewnęła i zasnęła z powrotem.

— Może nie książkę — powiedziałam — ale chciałabym napisać coś o tym.

— Artykuł do magazynu? — zasugerował.

— Może — odparłam.

— Dobrze — pochwalił, co zabrzmiało, jakby zostało to ustalone raz na zawsze. — Nie mo-

gę się tego doczekać.

Następnego ranka, po spacerze z Joy, śniadaniu z Tanią, rozmowie telefonicznej z Samantą i ustaleniu planów na następny wieczór z Peterem, zesłam do piwnicy i odszukałam mały, zakurzony komputer Apple, który pomógł mi przebrnąć przez cztery lata w Princeton. Nie spodziewałam się wiele, ale kiedy go włączyłam, zaczął sapać i piszczeć, i zaświecił się uprzejmie. I pomimo że dziwnie czułam klawiaturę pod palcami, wzięłam głęboki oddech, odkurzyłam ekran i zaczęłam pisać.

Kochając Większą Kobiętę

Candace Shapiro

Kiedy miałam pięć lat, nauczyłam się czytać. Książki były dla mnie cudem — białe kartki, czarny tusz, a w każdej z nich nowe światy i inni przyjaciele. Po dziś dzień rozkoszuję się uczuciem otwierania książki po raz pierwszy, oczekiwaniem, dokąd udam się tym razem i kogo tam spotkam.

Kiedy miałam osiem lat, nauczyłam się jeździć na rowerze. I to również otwarło mi oczy na nowy świat, który mogłam poznawać na własną rękę — strumyk, który szumiał na wolnej działce dwie ulice dalej, sklep z lodami, który sprzedawał po dolarze wypiekane u siebie rożki, sad, który graniczył z polem golfowym i pachniał intensywnie, jak jabłecznik, od jabłek spadających jesienią na ziemię.

Kiedy miałam dwanaście lat, dowiedziałam się, że jestem gruba. Mój ojciec mi to powiedział, wskazując uchwytem swojej rakietki tenisowej na wewnętrzne partie moich ud i dolne partie moich ramion. Graliśmy wtedy, pamiętam, byłam zaczerwieniona i spocona, rozpromieniona radością uprawiania sportu. Będziesz musiała na to uważać, mówił do mnie, szturchając mnie uchwytem tak, że ta dodatkowa ilość ciała trzęsła się. Mężczyźni nie lubią tłustych kobiet.

I mimo że okazało się to nie być do końca prawdą — pojawili się mężczyźni, którzy mnie pokochali, i ludzie, którzy mieli dla mnie szacunek — nosiłam w sobie jego słowa przez cały okres dorastania, jak proroctwo, oglądając cały świat przez pryzmat mojego ciała i wróżby mojego ojca.

Nauczyłam się, jak być na diecie i, oczywiście, jak oszukiwać diety. Nauczyłam się, jak się czuć nieszczęśliwa i zawstydzona, jak uciekać ze strachu przed lustrami i męskimi spojrzeniami, jak sobie radzić z obelgami, o których wiedziałam, że zawsze będą: przywódczyni drużyny harcerskiej, która zaproponowała mi marchewkę, podczas gdy inne dziewczyny dostały mleko i ciasteczka; mającej jak najlepsze intencje nauczycielki, która zapytała, czy nie myślałam o zajęciach z aerobiku. Nauczyłam się tuzina sztuczek, by stać się niewidzialną — jak trzymać ręcznik owi-

nięty wokół tułowia na plaży (ale nigdy nie pływać), jak przemieszczać się do tyłu na każdym grupowym zdjęciu (i nigdy się nie uśmiechać), jak ubierać się w odcieniach szarości, czerni i brązu, jak unikać oglądania własnego odbicia w szybach czy w lustrach, jak myśleć o sobie wyłącznie jak o ciele — więcej: jak o ciele, które się nie udało, które stało się czymś przerażającym, brzydkim, niekochanym.

Były tysiące słów, które mogły mnie opisać — mądra, zabawna, miła, hojna. Ale słowo, które ja wybrałam — słowo, o którym myślałam, że świat je wybrał dla mnie — to *gruba*.

Gdy miałam dwadzieścia dwa lata, wyszłam na świat, ubrana w tę niewidoczną zbroję, w pełni świadoma, że będzie się do mnie strzelać, ale zdeterminowana, by nie dać się zastrzelić. Dostałam świetną pracę i w końcu zakochałam się w mężczyźnie, który, myślałam, będzie mnie kochał do końca życia. Nie kochał. I potem — przypadkowo — zaszłam w ciążę. I kiedy moja córka urodziła się dwa miesiące za wcześnie, nauczyłam się, że są gorsze rzeczy niż nielubienie swoich ud czy pośladków. Ze są bardziej przerażające rzeczy niż przymierzanie kostiumu kąpielowego przed wielkimi lustrami w domu handlowym. Istnieje strach oglądania swojego dziecka walczącego o złapanie oddechu wewnątrz szklanego inkubatora, gdzie nie można jej dotknąć. Jest paniczny lęk wyobrażenia sobie przyszłości, w której ona nie będzie silna czy zdrowa. I, wreszcie, nauczyłam się, że istnieje komfort. Komfort, że mogę zwracać się do ludzi, którzy mnie kochają, komfort w proszeniu o pomoc, i w zdaniu sobie sprawy, w końcu, z tego, że jestem wartościowa, doceniana, kochana, nawet jeśli nie będę mniejsza od rozmiaru 46, nawet jeśli moja opowieść nie ma hollywoodzkiego zakończenia, w którym zrzucam trzydzieści kilogramów i Czarujący Król postanawia, że ostatecznie mnie jednak kocha.

Prawda jest taka: wszystko ze mną w porządku, taką, jaką jestem. Cały czas było w porządku. Nie będę nigdy szczupła, ale będę szczęśliwa. Będę kochać siebie i moje ciało za to, co potrafi robić — bo jest wystarczająco silne, by nosić, chodzić, jeździć na rowerze pod górę, by brać w objęcia tych, których kocham i trzymać ich mocno, i by wyżywić nowe życie. Będę kochać siebie, bo jestem mocna. Ponieważ nie załamalam się i nigdy tego nie zrobię.

Będę delectować się jedzeniem i moim życiem, i jeśli Czarujący Król nigdy się nie pokaże — albo, co gorsza, jeśli przejedzie obok, rzuci chłodne, taksujące spojrzenie na mnie i powie mi, że mam piękną twarz, ale czy próbowałam kiedyś środka odchudzającego Optifast? — pogodzę się z tym.

I, co najważniejsze, będę kochać moją córkę, bez względu na to, czy będzie duża, czy mała. Będę jej mówić, że jest śliczna. Nauczę ją pływać, czytać i jeździć na rowerze. I powiem jej, że bez względu na to, czy będzie miała rozmiar 38, czy 48, może być szczęśliwa i silna, i pewna, że znajdzie przyjaciół, sukces, a nawet miłość. Będę szeptać jej to do ucha podczas snu. Będę mówić: Nasze życia — twoje życie — będą wyjątkowe.

Przeczytałam to dwukrotnie, poprawiając interpunkcję i błędy stylistyczne. Potem wstałam, rozciągnęłam się, kładąc dłonie płasko na dolnej części pleców. Popatrzałam na moje dziecko, które zaczynało bardziej przypominać typowego niemowlaka rodzaju ludzkiego, niż jakąś kolczastą, owoco-człowieczą hybrydę. I spojrzałam na siebie: na biodra, biust, pośladki, brzuch, wszystkie te problematyczne obszary, z powodu których kiedyś byłam tak zrozpaczona, na ciało, które przyprawiło mi tyle wstydu i uśmiechnęłam się. Pomimo wszystko, będę czuła się świetnie.

— Obie będziemy czuć się świetnie — powiedziałam do Joy, która nie poruszyła się.

Zadzwoiłam na informację, a potem wykreciłam numer w Nowym Jorku. — Halo, tu *Moxie* — oznajmiła radośnie, smarkato brzmiąc sekretarka. Mój głos nawet nie zadrżał, gdy poprosiłam o połączenie z redaktorem naczelnym.

— Mogę zapytać, w jakiej to sprawie? — zaśpiewała sekretarka.

— Nazywam się Candace Shapiro — zaczęłam. — Jestem byłą dziewczyną waszego felietonisty „Dobrej w Łóżku”.

Usłyszałam krótkie wstrzymanie oddechu po drugiej stronie linii. — Ty jesteś C? — zapytała, łapiąc z trudem oddech.

— Cannie — poprawiłam ją.

— OmójBoże! Ty jesteś prawdziwa!

— Jak najbardziej — odparłam. To zaczynało być całkiem zabawne.

— Czy ty miałaś dziecko? — zapytała dziewczyna.

— Tak — powiedziałam. — Właśnie tu jest, śpi.

— Och. Och, o rety — mówiła. — Wiesz, zastanawialiśmy się tutaj, jak to wszystko się skończyło.

— Cóż, dlatego właśnie dzwonię — wyjaśniłam.

Rozdział XX

Dobrą rzeczą dotyczącą ceremonii nadawania imion żydowskim dziewczętom jest to, że nie muszą się one odbyć w ściśle określonym terminie. Jeśli chodzi o chłopców, to ceremonia obrzezania musi odbyć się w ósmym dniu. Dziewczynce można to zrobić po sześciu tygodniach, trzech miesiącach, kiedykolwiek. Jest to nowszy rodzaj usługi, trochę mniej formalny, a rabinowie nadający imiona zdają się dostosowywać, stają się bardziej w stylu New Age.

Ceremonia Joy odbyła się trzydziestego pierwszego grudnia, w mroźny, doskonale zimowy poranek w Filadelfii. O jedenastej rano, po czym miał nastąpić śniadanie-obiad.

Moja mama była w pierwszej fali napływających gości. — Kim jest moja duża dziewczynka? — szebiotła, wyjmując Joy z łóżeczka. — Kim jest mój worek radości? Joy chichotała i machała rączkami. Moja śliczna córeczka, pomyślałam, czując, jak w gardle mnie ściska na jej widok. Miała prawie osiem miesięcy i wciąż, za każdym razem, gdy na nią patrzyłam, wydawało mi się, że jest cudem.

I nawet obcy mówili, że jest wyjątkowo ślicznym dzieckiem, z brzoskwińową skórką, dużymi oczkami, mocnymi nóżkami opatulonymi w puszyste wałeczki tłuszczu i cudownie zadowoloną z siebie miną. Wybrałam dla niej doskonale imię. Jeśli nie była głodna albo nie miała mokrej pieluchy, Joy zawsze się uśmiechała albo chichotała, obserwując pobliski świat swoimi dużymi, baczными oczami. Była najszczęśliwszym dzieckiem, jakie znałam.

Mama podała mi ją, a potem impulsywnie wyciągnęła ręce i nas obie przytuliła. — Taka jestem z ciebie dumna — powiedziała głosem drżącym od emocji.

Ścisnęłam ją mocno. — Dziękuję — wyszeptalam, żałując, że nie potrafię jej powiedzieć tego, co naprawdę chciałam: że mogę jej być wdzięczna za to, że mnie kochała, gdy byłam dziewczynką i pozwoliła odejść, gdy stałam się kobietą. — Dziękuję — powtórzyłam. Mama wykonała jeszcze jeden uścisk i ucałowała Joy w czubek głowy.

Napełniłam białą wanienkę Joy ciepłą wodą i zrobiłam jej kąpiel. Gaworzyła i cmokała, gdy polewalam ją wodą, myłam jej nóżki, stopki, paluszki, jej słodką, małą pupkę. Wtarłam w nią mleczko do ciała, posypałam pudrem i wsunęłam ją w białą sukienkę z dzianiny, a na główkę włożyłam jej biały kapelusik z wyszytymi dookoła rondka różyczkami.

— Maleńka — wyszeptalam do jej ucha. — Maleńka Joy. — Joy pomachała piąstką w powietrzu, jak najmniejszy na świecie atleta i zagruchała mokrym potokiem sylab, jakby mówiła do nas w języku, którego nikt z nas się nie nauczył.

— Czy potrafisz powiedzieć *mama*? — zapytałam.

— Auh — oznajmiła Joy.

— Nawet coś zbliżonego — powiedziałam.

— Oo — odparła, patrząc na mnie dużymi, bystrymi oczkami, jakby rozumiała każde słowo.

Potem dałam ją Lucy i poszłam sama wziąć prysznic, ułożyć włosy, zrobić makijaż i przećwiczyć mowę, którą pisałam przez wiele dni.

Słyszałam, jak dzwonił dzwonek do drzwi, a te się otwierały i zamykały, jak ludzie wchodzili do środka. Kucharki przyjechały najpierw, a potem Peter, z dwoma pudłami owiniętymi w srebrny papier i bukietem róż. — Dla ciebie — powiedział i włożył kwiaty do wazonu. Potem zabrał Nifkina na spacer i opróżnił zmywarkę, podczas gdy ja kończyłam przygotowania.

— Ale on kochany — powiedziała jedna z asystentek kucharek.

— Nie sądzę, by mój mąż wiedział w ogóle, gdzie jest zmywarka.

Uśmiechnęłam się w podziękowaniu, nie zawracając sobie głowy, by ją poprawiać. To wszystko było zbyt skomplikowane, by wytłumaczyć obcym... jak to, że u mnie wszystko było na odwrót. Najpierw przychodzi miłość, potem małżeństwo, a potem dzieciątko w nosidelku. Nawet mały dzieciak wie, jak to powinno być. Ale co ja mogłam zrobić? — dumałam. Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogę zmienić biegu wydarzeń. A jeśli dały mi one Joy, nie ma mowy, bym chciała coś zmieniać.

Weszłam do pokoju dziennego z Joy na rękach. Maxi tam była i uśmiechała się do mnie, machając delikatnie. Samanta stała obok, a dalej moja mama i Tania, Lucy i Josh, Betsy i Andy z żoną, Ellen, i dwie pielęgniarki, które opiekowały się Joy w szpitalu. I, w rogu pokoju, stała Audrey, wyraźnie odmieniona w gładkim, kremowym, lnianym ubraniu. Peter był obok niej. Wszyscy moi przyjaciele. Zagryzłam wargę i popatrzałam w dół, by się powstrzymać od płaczu. Rabin poprosił o ciszę, a potem o cztery osoby, które wystąpią do przodu i będą trzymać rozpostartą chupę¹². Zauważyłam, że była od babci; rozpoznałam starą, delikatną koronkę ze ślubów moich kuzynek. Była tą, pod którą brałabym ślub, gdyby sprawy szły we właściwym porządku. Na uroczystościach nadawania imion chupa ma chronić dziecko, męża i żonę. Ale ja zrobiłam pewne wcześniejsze ustalenia i na prośbę rabina wszyscy zgromadzili się ze mną pod chupą. Moja córka dostanie swoje imię otoczona tymi, których kochałam i którzy nas wspierali, a rabin uznał, że dla niego to brzmi dobrze.

Joy była rozbudzona i czujna, rozpromieniona, jakby wiedziała, że była w centrum uwagi, i że nie było wątpliwości, iż tak dokładnie miało być. Nifkin siedział grzecznie przy moich nogach.

— Czy możemy zaczynać? — zapytał rabin. Wygłosił krótką mowę o Izraelu i żydowskiej tradycji, i o tym, jak Joy była mile widziana w religii, przekazanej nam przez Abrahama, Izaaka i

¹² Baldachim, pod którym stoją żydowscy nowożeńcy podczas zaślubin.

Jakuba, ale także przez Sarę, Rebekę i Leę. Wyśpiewał błogosławieństwo i wymówił modły nad chlebem i winem, pomazał chustę w Maniszewitzu i przycisnął ją do ust Joy. — Ooh! — zarechotała Joy i wszyscy się zaśmiali. — A teraz — mówił rabin — mama Joy, Cannie, powie nam, jak wybrała jej imię.

Wzięłam głęboki oddech. Joy patrzyła na mnie wielkimi oczami. Nifkin był bardzo spokojny przy mojej nodze. Wyciągnęłam z kieszeni kartkę z notatnika.

— Wiele się nauczyłam tego roku — zaczęłam. Wzięłam głęboki, drżący oddech. *Me płacz*, powiedziałam do siebie. — Nauczyłam się, że sprawy nie zawsze okazują się być takie, jak sobie zaplanowaliśmy, czy też takie, jakbyśmy myśleli, że powinny być. I nauczyłam się, że są sprawy, które nie idą dobrze i nie zawsze dają się naprawić albo poskładać tak, jak były kiedyś. Nauczyłam się też, że te same popsute sprawy pozostają nienaprawione, i nauczyłam się, że można przetrwać złe chwile i oczekiwać lepszych, tak długo, jak długo ma się wokół tych, którzy cię kochają. — Przerwałam i wytarłam ręką oczy. — Nazwałam moje dziecko Joy, bo jest moją radością — mówiłam. — I dostała też imię Leah po ojcu swego ojca. Miał na drugie imię Leonard i był cudownym człowiekiem. Kochał swoją żonę i swojego syna, i wiem, że kochałby też Joy.

I to było wszystko. Płakałam, Audrey płakała, mama i Tania obejmowały się, i nawet Lucy, która zazwyczaj nie objawiała żadnych reakcji przy smutnych okazjach („To Prozac”, tłumaczyła), ocierała łzy. Rabin obserwował to wszystko, z pewnym wyrazem rozbawienia na twarzy. — Dobra, — powiedział w końcu — czy zaczniemy jeść?

Po bajglach i rybnej sałatce, po maślanych ciasteczkach, szarlotce i mimozach, po tym, jak Nifkin pochłonął miskę łososia i był chory w toalecie, po tym, jak otwarliśmy prezenty i spędziłam piętnaście minut na tłumaczeniu Maxi, że Joy, cudowne dziecko, jakim była, nie będzie naprawdę potrzebować naszyjnika z pereł przed osiemnastym rokiem życia, po tym, jak uprzątnęliśmy papier po opakowaniach i wyrzuciliśmy wszystkie resztki, po tym, jak ja i Joy zrobiłyśmy sobie drzemkę, Peter, dziecko i ja poszliśmy w dół rzeki, by poczekać na koniec wieku.

Dobrze się z tym wszystkim czułam, pomyślałam, gdy wkładałam Joy do wózka. Zaczynała się faza przedprodukcyjna mojego filmu. Moja wersja „Kochając Większą Kobietę” ukazała się pod koniec listopada, w miejsce felietonów Bruce’a. Odpowiedź czytelników, jak powiedziała mi redaktor naczelna, była przytłaczająca. Napłynęły listy od każdej kobiety, która kiedykolwiek czuła się za duża, za mała, za brzydka, czy też za dziwna, by pasować albo być warta miłości. Wychwalano moją odwagę, potępiano egoizm Bruce’a, dzielono się ze mną swoimi własnymi opowieściami, jak to jest być dużą kobietą w Ameryce i przekazywano najlepsze życzenia dla Joy.

— Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam — powiedziała redaktor naczelna, opisując stopy korespondencji, kocyków i książek dla dzieci, pluszowych misiów oraz różnych religijnych i świeckich ikon, które wypełniły pokój redakcyjny *Moxie*. — Czy chciałabyś pisać dla nas regu-

larnie? — Miała już wszystko zaplanowane: wysyłałabym comiesięczne depesze z frontu samotnej matki, bieżące uaktualnienia z życia mojego i Joy.

— Chciałabym, byś nam mówiła, jak to jest żyć twoim życiem, w twoim ciele: pracować, umawiać się, dzielić obowiązki matki ze swoimi przyjaciółmi — dokończyła.

— A co z Bruce'em? — zapytałam. Byłam poruszona szansą pisania dla *Moxie* (a nawet bardziej poruszona po tym, jak mi przekazano, ile będą za to płacić), ale mało mnie cieszyła myśl, że moje artykuły miałyby ukazywać się obok felietonów Bruce'a, w których opowiadałby czytelnikom o swoim życiu seksualnym, podczas gdy ja napełniałabym ich nowinkami o pieluszkach i wymiotach oraz o tym, jak ciężko będzie mi *znaleźć* kostium kąpielowy, który będzie pasować.

— Kontrakt z Bruce'em nie został odnowiony — odparła szorstko. Co akurat było dobrą wiadomością dla mnie, oznajmiłam i zadowolona przystałam na jej warunki.

Grudzień spędziłam na rozlokowywaniu się w moim nowym mieszkaniu i moim nowym życiu. Nie przemęczałam się. Budziłam się rano, ubierałam siebie i dziecko, zakładałam Nifkinowi smycz, popychałam wózek z Joy i szliśmy do parku, siedząc potem w słońcu. Nifkin biegał za piłką, a sąsiedzi zabiegali wokół Joy. Potem spotykałam się na kawie z Samantą i ćwiczyłam przebywanie w miejscu publicznym, wśród samochodów, autobusów, obcych ludzi i setek tysięcy rzeczy, których zaczęłam się bać, po tym, jak Joy przyszła tak niespodziewanie na świat. Oprócz tego znalazłam też terapeutkę: ciepłą kobietę w wieku mniej więcej mojej mamy, o kojącem sposobie bycia i z niekończącym się zapasem chusteczek higienicznych, która wcale nie zdawała się być zaalarmowana tym, że pierwsze dwie sesje spędziłam na nieustannym płaczu, a na trzeciej opowiedziałam historię typu dawno-dawno-temu o tym, jak ojciec mnie kiedyś bardzo kochał i jak to mnie zraniło, kiedy nas zostawił, zamiast mówić o czymś, co z pewnością mogło się wydawać bardziej stosowną kwestią.

Zadzwoiłam do Betsy, mojej przełożonej, i ustaliłam z nią moją pracę na pół etatu, bym mogła zabrać się energicznie do kilku dużych projektów, i pracę w domu, gdybym musiała. Zadzwoniłam do mamy i uzgodniłam stałe spotkania: w każdy piątkowy wieczór kolacja w jej domu, a Joy i ja zostawałybyśmy na noc, by następnego ranka udać się na zajęcia z pływania w Ośrodku Żydowskim. Joy czuła się w wodzie jak mała kaczuśka.

— Nigdy nie widziałam czegoś takiego — grzmiała Tania, gdy Joy wiosłowała rączkami, wyglądając rozkosznie w małym, różowym kostiumie kąpielowym z falbankami na dole. — Ona będzie pływać jak ryba!

Zadzwoiłam do Audrey i przeprosiłam... cóż, przeprosiłam na tyle, na ile mogłam, wciskając moje słowa w jej monolog przeprosin za Bruce'a. Było jej tak przykro za to, jak się zachował, za to, że go nie było przy mnie, a najbardziej przykro z tego powodu, że nie wiedziała na tyle wcześniej, by mogła przekonać go do zrobienia właściwego ruchu. Co, oczywiście, nie było możliwe. Nie możesz sprawić, by dorosły robił to, czego nie chce. Ale nie powiedziałam tego.

Powiedziałam jej natomiast, że będzie dla mnie zaszczytem, jeśli mogłaby odegrać jakąś rolę w życiu Joy. Zapytała, bardzo nerwowo, czy miałam jakikolwiek zamiar pozwolić Bruce'owi odegrać swoją rolę w życiu Joy. Odparłam, że nie... ale dodałam, że sprawy się zmieniają. Rok temu nie wyobrażałam sobie siebie z dzieckiem. A więc, kto wie? W przyszłym roku może Bruce przyjdzie na późne śniadanie albo na przejażdżkę rowerową... a Joy będzie mówić do niego: Tatusiu. Wszystko jest możliwe, prawda?

Nie zadzwoniłam do Bruce'a. Myślałam o tym i myślałam, wywracałam to w myślach do góry nogami i spoglądałam na to z każdego możliwego kąta, i w końcu zdecydowałam, że tego nie zrobię. Pozwoliłam sobie wypuścić wiele złości, ale nie wszystko. Może to też kiedyś nadejdzie.

— Więc... w ogóle z nim nie rozmawiałaś? — zapytał Peter, gdy szedł obok mnie, balansując ręką obok mojej na wózku Joy.

— Ani razu.

— Nie słyszałaś nic od niego?

— Słyszę... o nim. To bardzo bizantyjski system. Audrey mówi mojej mamie, która z kolei Tani, a ta mówi wszystkim, których zna, włączając Lucy, która wreszcie mnie.

— Jak się z tym czujesz?

Uśmiechnęłam się do niego, pod niebem, które w końcu zrobiło się zupełnie czarne. — Mówisz jak moja psychoterapeutka. — Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam, patrząc, jak robi się z niego srebrna chmurka, a potem odpływa. — Na początku było okropnie i jeszcze czasem jest.

— Ale tylko czasem?

Uśmiechnęłam się znowu do niego. — Rzadko kiedy. — Wyciągnęłam rękę po jego dłoń, a on ścisnął moje palce. — Rzeczy się dzieją, wiesz? To jest moja wielka lekcja z terapii. Rzeczy się dzieją, a ty nie możesz sprawić, by się przestały dziać. Nie możesz robić przeróbek, nie można zawrócić wskazówek zegara, a jedyne, co możesz zmienić, jedyną rzeczą, o którą jest sens się martwić, to jaki wpływ pozwolisz im mieć na ciebie.

— Więc, jak pozwalasz im wpływać na ciebie?

Uśmiechnęłam się do niego z boku. — Jesteś bardzo uparty.

Spojrzał na mnie poważnie. — Mam wyższe motywy.

— O?

Peter odchrząknął. — Zastanawiałem się, czy ty... brałaś mnie pod uwagę.

Nachyliłam głowę. — Na stanowisko domowego doradcy dietetycznego?

— Domowego cokolwiek — wymamrotałam.

— Ile ty masz lat, naprawdę? — drażniłam się. Był to jedyny temat, którego tak właściwie jeszcze nie poruszaliśmy, podczas naszych spacerów do księgarni, na plażę i do parku.

— A jak myślisz, ile mam lat?

Podjęłam rzetelną próbę zgadnięcia i poprawiłam o pięć lat w dół. — Czterdzieści?

Westchnął. — Mam trzydzieści siedem.

Byłam tak zdumiona, że nie było nawet sposobu, by to ukryć — Naprawdę?

Jego głos, zwykle powolny, głęboki i pewny siebie, brzmiał wyżej, niezdecydowany, gdy tłumaczył. — Chodzi o to, że jestem taki wysoki i że... moje włosy zaczęły siwieć, gdy miałem osiemnaście lat... i wiesz, będąc profesorem, myślę, że każdy musi zrobić pewne założenia...

— Masz trzydzieści siedem?

— Chcesz zobaczyć moje prawo jazdy?

— Nie — odparłam — nie, wierzę ci.

— Wiesz — zaczął. — Zdaję sobie sprawę, że pewnie jestem zbyt stary dla ciebie i że pewnie nie jestem taki, jak sobie wymarzyłaś.

— Nie bądź głupi...

— Nie wyglądam olśniewająco, ani też nie jestem zbyt dobrym biegaczem — spojrzał w dół, na stopy i westchnął. — Jestem typem wkuwacza, jak sądzę.

— Knuwacza? Jak w *Murder, She Wrote*?

Słaby grymas uśmiechu uniósł jego usta. — Wkuwacz, od wkuwania, mozolnego podążania do przodu.

— Zwłaszcza teraz, z tymi obrzękami — wymamrotałam.

— I ja... to znaczy, naprawdę...

— Czy przeszliśmy do emocjonalnej części prezentacji? — zapytałam, wciąż się z nim drażniąc. — Tobie nie przeszkadza, że jestem Większą Kobietą?

Owinął swój długi palec wokół mojego nadgarstka. — Ja uważam, że wyglądasz jak królowa — powiedział z taką intensywnością, że byłam zaskoczona... i niezmiernie z tego zadowolona. — Uważam, że jesteś najbardziej zdumiewającą, ekscytującą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Uważam, że jesteś mądra, zabawna i masz najcudowniejsze serce...

— zawiesił głos, przelękając z trudem ślinę. — Cannie. — I wtedy przerwał.

Uśmiechnęłam się — osobistym, zadowolonym uśmiechem — gdy on siedział tam, trzymając mnie za nadgarstek, i czekałam na ciąg dalszy. A wiedziałam, co to będzie, widząc, w jaki sposób na mnie patrzy. Wiedziałam też, że go kocham... i że jest tak miłym, delikatnym, kochającym mężczyzną, którego zawsze miałam nadzieję odszukać. I że był życzliwy, skromny, słodki, i mogliśmy razem przeżywać przygody... ja, Peter i Joy.

— Czy chciałbyś być pierwszym mężczyzną, którego pocałuję w tym tysiącleciu? — zapytałam.

Peter przysunął się bliżej. Czulałam ciepło jego oddechu na moim policzku. — Chciałbym być jedynym mężczyzną, którego pocałujesz w tym tysiącleciu — odparł znacząco. I musnął moją szyję wargami... potem moje ucho... a potem policzek. Chichotałam, aż pocałował mnie w usta, by mnie uciszyć. Przytulona do mojej piersi, wciśnięta pomiędzy nas, Joy wydała z siebie mały

okrzyk i pomachała piąstką w powietrzu.

— Cannie? — wyszeptał Peter, jego głos był bardzo cichy, przeznaczony jedynie dla moich uszu, jedną rękę trzymał w kieszeni. — Chcę cię o coś zapytać.

— Ciii — powiedziałam, wiedząc, jakie to będzie pytanie i jaka będzie moja odpowiedź. *Tak*, pomyślałam. *Chcę*. — Ciii — powtórzyłam. — Zaczynają.

Ponad naszymi głowami wybuchnęły fajerwerki, w fantastycznych odcieniach kolorów i o różnej intensywności światła. Srebrne iskierki opadały w dół, pędząc w stronę rzeki, a noc wypełniła się eksplozjami i gwizdzącymi odgłosami, gdy odpalane petardy pędziły, wybuchając, w górę, a potem do rzeki. Spojrzałam w dół. Twarz Joy wyrażała oczarowanie, jej oczy były szeroko otwarte, a obie rączki rozłożone, jakby chciała objąć to, co widziała. Uśmiechnęłam się do Petera i uniosłam w górę jeden palec, prosząc go oczami, by zaczekał. Wtedy wypięłam Joy z jej nosidelka, włożyłam ręce pod jej pachy, trzymając ją przed sobą, gdy, gramoląc się, wstawałam. Ignorując życzliwe okrzyki: „Na dół tam z przodu!” i „Hej, kobieto, uważaj!”, stanęłam na krawędzi, pozwalając, by zimno i światło oblało moje włosy, moją twarz i moją córeczkę. Podniosłam ręce ponad głowę, unosząc Joy wysoko w stronę światła.